

Blake Jennifer
Z dala od zgiełku

Per son joy malautz sanar,

E per a ira sa morir.

Swoją radością miłość zło uleczyć zdolna,

A swoim gniewem zalijńć.

GUILHEM IX, KSIĄŻĘ AKWITANII

Pragnę wyrazić głęboką wdzięczność Shirley i Nelsonowi Faucheux z Grand Point w Luizjanie za ich szczodrość i gościnność okazane mi podczas prac przygotowawczych do napisania tej książki; dzięki tej gościnności mogłam rozkoszować się najlepszą w całym stanie jambalają i zupą z langusty. Pragnę im serdecznie podziękować za udzielanie mi niezliczonych informacji na temat obyczajów Cajunów z Wybrzeża Akadyjskiego w okolicach Nowego Orleanu, a także za zaznajomienie mnie z pełnym radości życiem tych ludzi. Nelsonowi dziękuję za pełnienie roli przewodnika na wijącej się zakolami Blind River, za dzielenie się ze mną tradycyjną ludową wiedzą o tej rzece i mokradłach oraz za opowiedzenie mi zasłyszanej w dzieciństwie historii o przewróconej pirodze.

Słowa podziękowania kieruję również do Tony'ego Bacali z Biura Szeryfa Parafii Wniebowstąpienia za wyjaśnienie problemu handlu narkotykami w stanie Luizjana oraz do Julie Champagne z Biblioteki Parafii Świętego Jakuba w Lutchter w Luizjanie za pomoc w wyszukiwaniu niezbyt ważnych informacji i rozwiązywaniu bardzo ważnych problemów.

1

Bagna nie wyglądały zachęcająco, zwłaszcza gdy wieczór przemienił się w noc. W przejmującej, wilgotnej ciemności, czającej się pod nawisami starych cyprysów o powyginanych korzeniach, wśród gnijących kłód, ciemnozielonych palm i mangrowców porastających gęsto brzeg kryło się coś pierwotnego. Nieokielzanie bujne pnącza i splątane paprocie uczone pni drzew, śpiewające i kłuszące owady, a także nocne stworzenia obserwujące ich w blasku latarni czerwono świecącymi oczami sprawiały, że Julie odbierała otaczający ich świat jako niewiarygodnie dziki, ogromnie daleki od cywilizacji. Z rzeki podnosiła się mgła, a bezgłośnie prześlizgująca się przez nią piroga zdawała się odbywać podróż w inny czas.

Świetnie. Tak, doskonale.

Julie Bullard uśmiechnęła się do siebie. Wyobrażenia nie jest czymś złym, zwłaszcza u reżysera filmowego. A Julie wyobrażała sobie już sceny, które miały się znaleźć w jej filmie. Plenery, których potrzebowała - przeważnie za dnia, ale także w nocy były osiągalne za następnym zakrętem, wiedziała o tym. Ta wycieczka staromodną drewnianą łodzią na pewno okaże się przydatna, ten wieczór z pewnością przyniesie wiele wrażeń.

Wąska piroga zakołysała się i przechyliła w prawo, posuwając się naprzód i opływając podobny do pnia kształt tkwiący w wodzie w pobliżu brzegu. Julie uchwyciła się ławki, zacisnęła mocno palce, oglądając się na swego przewodnika. Przewodnik stał z tyłu i odpychał się drągiem od dna, powodując powstawanie błotnistych wirów i sprawiając, że płytka łódź posuwała się naprzód pełną zakrętów rzeką. Był to krzywonogi Cajun o twarzy pokrytej siateczką zmarszczek tak pogmatwaną jak siatka rzek i strumieni pokrywająca podmokłe okolice Luizjany. Jego oczy błyszczały w słabym świetle obozowej latarni zawieszanej na dziobie. Wskazał głową podłużny kształt wynurzający się z wody.

- Ten stary aligator chce tylko zobaczyć, co my tu robimy. Julie popatrzyła na aligatora, udając, że jest przestraszona. - Jest pan pewien, że aligatory nie pożerają ludzi? Przewodnik posłał jej łagodny uśmiech.

- Mogę to zagwarantować! W każdym razie nie pożerają żywych ludzi. Ale on mógłby przewrócić łódź, tak z ciekawości. Lepiej będzie go okrążyć.

- Dobrze, zrobmy to - powiedziała Julie chłodno, wracając do obserwowania rzeki.

Jej przewodnik zaśmiał się po cichu.

Julie nie bała się nocy ani tego, co się mogło czaić w ciemności.

Uwierzyła staremu Cajunowi, kiedy ten powiedział jej, że aligatory rzadko zabijają stworzenia większe niż zablakane szopy lub oposy i że jadowite węże wodne, które noszą działające na wyobraźnię nazwy, takie jak "miedziany mokasyn", i pozostawiają za sobą w wodzie ślady w kształcie strzał, boją się jej bardziej niż ona ich. Mimo że dobrze skrywała swoje uczucia, była do głębi poruszona pierwotną magią, jaka emanowała z otaczających ją bagnisk. A doznawanie takich uczuć dowodziło, że z pewnością będzie umiała przekazać je widzom.

Miała rację decydując się na plener Y i rezygnując z kręcenia w dekoracjach zrobionych z plastiku i papier miiche. Wiedziała, że bardzo istotną rzeczą jest oszczędne gospodarowanie pieniędzmi, zdawała sobie z tego sprawę i bez uwag drogiego Allena, który zwykł je wypowiadać spacerując tam i z powrotem w jedwabnej piżamie i przybierając pozę producenta - waźniaka. Była też świadoma, że chcąc udowodnić, iż jest jedną z liczących się reżyserek filmowych w Los Angeles, musi ukończyć film w terminie. A poza tym wiedziała, że sprawą równi-.. Nazną jak te poprzednie jest jakość filmu, który właśnie kręci.

Zadbała o nią sama, tworząc scenariusz na podstawie książki młodego pisarza z Luizjany, zakupiwszy od niego prawa za własne pieniądze. Królestwo bagien było opowieścią o dorastaniu młodej dziewczyny, opowieścią, w której tradycja i wartości kulturowe triumfowały nad bogactwem i przywilejami kasowymi. Przedstawiona w niej walka o prawo do opieki nad dorastającą córką, tocząca się między pewnym Cajunem i jego brylującą w wyższych sferach żoną, była pełna dramatyzmu. Akcja toczyła się wartko:

Cajun porywał córkę z nowego, miejskiego mieszkania żony i zabierał ją ze sobą na bagna, a potem musiał walczyć z opryszkami nasłanymi przez żonę i mającymi sprowadzić dziewczynkę z powrotem do miasta. W opowieści tej był humor, i był seks, i patos - było w niej wszystko, nie wyłączając dobrej, choć nie składającej się z najpopularniejszych gwiazd obsady. Na zaangażowanie wielkich gwiazd Julie nie mogła sobie pozwolić. Mimo to nie wyobrażała sobie, że film może nie być sukcesem kasowym - jeżeli oczywiście przetransponuje tę historię na ekran zgodnie z własnym wyobrażeniem.

Chociaż ojciec powiedział jej, że postępuje głupio, próbując to zrobić. Tak, wielki William Bullard, dwukrotny laureat Nagrody Akademii dla Najlepszego Reżysera przyznanej za nowatorskie podejście do filmu, radził jej nie ryzykować. Radził jej pozostać przy nisko budżetowych filmach opowiadających o surfingu i przy filmach kobiecych, dzięki którym wyrobiła sobie już markę.

Zabolało ją to. Zabolało ją, że ojciec w nią nie wierzy. Czowała się zraniona tym, że nie potrafił dostrzec, jak wiele nauczyła się obserwując go przez te wszystkie lata, że nie chciał przyznać, iż córka potrafi przełożyć na język filmu dłuższe historie i bardziej ważne tematy. Nie brakowało jej przecież doświadczenia. Swój pierwszy krótki film fabularny zrobiła na ziarnistej szesnastomilimetrowej taśmie ponad piętnaście lat temu, kiedy była jeszcze studentką UCLA. W tamtych czasach szalała na punkcie surfingu, była jedną z tych wysokich, opalonych, jasnowłosych i młodych mieszkanek Kalifornii, od których roi się na plażach i które mówią żargonem surfingowców jak drugim językiem. Ten pierwszy film wyrósł z miłości do oceanu i z zafascynowania młodymi ludźmi rzucającymi wyzwanie falom. I w związku z nim spotkało ją szczęście sprzyjające twórcom, którzy podchodzą do tematu z szacunkiem i ufnością - w filmie tym udało jej się powiedzieć coś istotnego o sporcie surfingowym i o nomadach, których ten sport zrodził. Film został powiększony i już na taśmietrydziestopięciomilimetrowej wybrany jako ten, który ma być pokazany w Cannes na przedfestiwalowym przeglądzie filmowym. Od tego czasu Julie wciąż realizowała kolejne filmy.

Ojciec jednak wątpił w jej możliwości. Istniał po temu tylko jeden powód. Był nim fakt, że Julie była kobietą. Nie powinno jej to dziwić. Ojciec zawsze dawał jasno do zrozumienia, że spodziewa się, iż jego córka

będzie pełniła wobec niego rolę elementu dekoracyjnego i że będzie go darzyła należnym mu podziwem aż do czasu, kiedy wyjdzie za mąż i przeleje swoje uczucia na męża. Ojciec był bowiem swego rodzaju niepoprawnym męskim szowinistą, uważającym, że miejsce kobiety jest na przemian w kuchni i w łóżku. Dziwne było tylko to, że choć matka Julie odpowiadała dokładnie temu obrazowi, ojciec mimo wszystko nie był usatysfakcjonowany. Potrzebował podniet płynących od innych kobiet albo też z przebywania w towarzystwie innych mężczyzn, z żeglowania, łowienia ryb, polowania, walki z bykami czy udziału w wyścigach samochodowych - słowem z tych spraw, przy których ryzykował życie lub utratę jakiejś części ciała i był daleko od domu. Pragnął wolności albo złudzenia, że jest wolny. Po pewnym czasie matka Julie dała mu pełną swobodę. Ale Bun - jak nazywali go przyjaciele, a nawet i sama Julie - i w tych warunkach nie był szczęśliwy.

Po rozwodzie matka przeniosła się do rodzinnego miasta w Luizjanie. Zabrała córkę ze sobą i nie chciała mieć więcej do czynienia z fałszywym przepychem Los Angeles.

Julie także nie lubiła fałszu. Dlatego właśnie tak jej zależało na sfilmowaniu rzeczy autentycznych, prawdziwych: prawdziwego Nowego Orleanu, prawdziwego jazzu, prawdziwych bagien. Zadowolona była z tego, że realizuje film w tej części kraju, z której pochodziła matka, dawało jej to bowiem możliwość przebywania tam, gdzie mieszkała od czasu, gdy była nastolatką, do momentu śmierci matki; fakt tej śmierci miał dla niej teraz znaczenie drugorzędne.

Przez większą część ostatniego miesiąca Julie kręciła w Nowym Orleanie. Teraz miała przed sobą co najmniej cztery tygodnie pracy na bagnach położonych na północny zachód od miasta. Po upływie tego okresu film miał być ukończony. Uważała, że zrealizuje go w terminie i za mniejsze pieniądze, niż przewidywano, mimo że na planie zdarzały się drobne wypadki, a także zaistniały pewne problemy związane z nieobecnością ludzi w pracy i z kradzieżami artykułów żywnościowych. Wiedziała, że po zakończeniu zdjęć będzie równocześnie zadowolona i zmartwiona. Zadowolona, bo przeżyła niespodziewane emocje związane z próbami wiernego przedstawienia życia Cajunów oraz piękna bagien, a zmartwiona, bo skończy się praca przynosząca jej niezwykle satysfakcję.

Tworzyła tu, wraz z całą ekipą, dzieło wielkiej wagi. Powtarzała to sobie ciągle - musiała to robić, wbrew temu, co sądzili lub mówili inni. Czasami wierząc w to święcie nie rozstawała się ze swoimi myślami przez kilka godzin bez przerwy.

Piroga przesuwiała się wzdłuż brzegu. Rzeka nazywała się Blind. Jej koryto, będące w dawnych czasach - zanim dokonała się jedna z wielu zmian biegu Missisipi - kanałem, którym płynęła wielka rzeka, tworzyło pętle, lecz było dobrze wykształcone. Było bardzo stare i nie miało obecnie żadnego połączenia z Missisipi. Nie było widać w nim dostrzegalnego prądu, mimo że wilo się meandrami zmierzając na południowy wschód. Julie dowiedziała się, że nazywano je kiedyś Bayou Acadian. Nosiło tę nazwę do lat trzydziestych, czyli do czasu, gdy na bagna przybyli mówiący po angielsku drwale, którzy wycinali dziewicze cyprysy. W tym czasie nadano mu nową nazwę, gdyż drwale mieli trudności z wymawianiem starej, a także dlatego, że ciemna woda, zabarwiona kwasem zawartym w soku bezustannie kapiącym z drzew, była tak nieprzezroczysta, że trudno było

w niej cokolwiek dostrzec.

Tej nocy na niebieskoczarnym sklepieniu nieba nie było księżyca. Błede gwiazdy Drogi Mlecznej wyglądały jak zaplątane w ogromny welon z gazy, sięgający po obu stronach rzeki niemal do poziomu wierzchołków drzew. Łagodny, jesienny powiew, wilgotny i niosący zapach ryb i słonej świeżości znad odległej Zatoki poruszył sięgające ramion włosy Julie. Jakiś liść, jeden z tych nielicznych, które zaczynały dopiero żółknąć, mimo że był już początek października, opadł na wodę i zawirował na fali pozostawionej przez pirogę. Słychać było jedynie plusk zanurzanego drąga, chór żab, rzadkie zawodzenie komara, zawołania polującej sowy albo ryk aligatora.

Julie nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli z płuc. Naokoło panował błogi spokój, a oni żeglowali poprzez noc w nikłym świetle latarni. Jej przewodnik, Joseph, zabrał ją na tę przejażdżkę swoim skifem z doczepionym silnikiem, a ona zgodziła się pokonać pierwsze dziesięć mil tą łodzią ze względu na jej szybkość. Później jednak zażądała, żeby się przesiedli na pirogę, którą holowali za sobą. Chciała się przekonać, jak zachowuje się taka płytka łódź, a poza tym wolała płynąć powoli i w ciszy, by móc się skupić.

Był to właściwy wybór. Bo skoro już minęli duże kanały, obozowiska wędkarzy i myśliwych oraz źródła wody pitnej, a także małą drewnianą kaplicę w górnym biegu, przyszedł czas na to, żeby naprawdę zobaczyć rzekę. Czas na to, by się przyjrzeć drzewom, roślinom i zwierzętom, kanałom, trzęsawiskom i wąskim, prawie ukrytym strumykom wpadającym do rzeki, które pokazywał jej przewodnik, kiedy światło dzienne było jeszcze wystarczająco jasne. W tradycyjnym sposobie życia, które upływało powoli, z dala od zgiełku miasta, było coś dobrego; cennego, w przeciwieństwie do nerwowego pośpiechu. A ona ostatnio zbyt angażowała się w sprawy filmu, była nim za bardzo przejęta.

Powinna spróbować zwolnić tempo. Tak, na pewno to zrobi, kiedy Królestwo bagien zostanie ukończone. Jeżeli Allen nie będzie zbyt zajęty, namówi go, żeby polecili razem na wyspy albo do Belize; może wynajmą domek na plaży i przez parę tygodni będą bawili się w rozbitków. Było to mało prawdopodobne, ale postanowiła spróbować.

Koryto poszerzyło się przed nimi. Pojawił się otwarty fragment rzeki wielkości boiska do piłki nożnej. Jego brzegi porośnięte były rogozą i wysokimi trawami wodnymi o szorstkich krawędziach, od czasu do czasu widać też na nich było grupki cyprysów unoszących ku nocnemu niebu gałęzie obwieszane splotami liści podobnymi do koronki i draperie z szarego, tworzącego girlandy mchu. Julie pochyliła się do przodu, chcąc lepiej widzieć; zebrała równocześnie marszczoną spódnicę białej bawełnianej sukienki i otuliła nią sobie kolana; chciała w ten sposób uchronić spódnicę przed zamoczeniem, gdyż dno pirogi było wilgotne. Miejsce to nadawało się do jej filmu, było tak rozległe, że można było na nim wykonywać różne manewry łodziami. W zasięgu wzroku nie było żadnych domów; obozowisk, przycumowanych barek mieszkalnych ani linii wysokiego napięcia odwracających uwagę widza; nie było też żadnego mola dla łodzi, była jedynie naturalna, przypominająca lagunę przestrzeń na rzece. Ta przestrzeń była niewiarygodnie cudowna, prawie doskonała.

Uwagę Julie przykuł niski dźwięk przypominający buczenie ogromnego owada. Pulsował w ciemności, na przemian nasilając się i słabnąc. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Tuż przed pirogą rozległ się plusk - jak gdyby jakieś zwierzę, przestraszone buczeniem czy też może odgłosem zbliżania się pirogi, skoczyło z brzegu do wody.

- Co to? - spytała Julie.

Równocześnie na skraju kręgu światła padającego z latarni zauważyła małą falę, a potem głowę oraz górną część ciała zwierzęcia futerkowego. Wydało jej się, że rozpoznaje nutrię.

Joseph roześmiał się cicho.

- Mnie się zdaje, że to Szczur Bagienny!

Julie odwróciła się, spoglądając na niego przez ramię.

- Uważa pan, że to taki duży szczur?

- Mais non, chere - odpowiedział starzec, wzruszając ramionami na widok nutrii i nasłuchując z przymkniętymi na wpół oczami i głową przechyloną na bok. - Ja mówię o człowieku w ślizgaczu.

Albo przewodnik nie rozumiał jej, albo ona nie rozumiała jego .

Tak, pomyślała Julie i zanim zdecydowała się na którąś z tych wersji, jej uwagę przykuły dwa snopy światła padające zza drzew rosnących po przeciwległej stronie otwartego obszaru wody. Żółte promienie przesuwały się w jedną i drugą stronę, zawracając nagłym ruchem, przedzierając się przez gałęzie i zwisające pnącza i ozłacając swym światłem zarysy kołyszącego się mchu. Równocześnie buczący ryk, któremu towarzyszyło syczenie, stał się głośniejszy.

Nagle Julia zrozumiała: to był ślizgacz wodny z napędem śmigłowym. Widziała kiedyś taki ślizgacz na obrazku - był to pojazd, w którym silnik znajdował się wysoko z tyłu; miał wachlarzowato umieszczone łopaty i poruszał się z dużą prędkością na poduszce z powietrza. Skonstruowany po to, żeby podróżować po takich zbiornikach wodnych, które na bardzo małej przestrzeni zmieniały się z głębokich na czterdzieści stóp w płytkie na cztery cale - był w stanie przesuwać się po czymś, co było niewiele głębsze niż obfita rosa. Ten, który Julie miała w tej chwili przed oczami, poruszał się rzeczywiście szybko, w zawrotnym tempie brał zakręty na wijącym się odcinku rzeki po drugiej stronie otwartej przestrzeni.

Ku swemu zdziwieniu Julie zauważyła, że słyszy coś w rodzaju echa cichego silnika ślizgacza. W chwilę później uświadomiła sobie, że to domniemane echo dochodzi z góry. Zbliżał się samolot, a raczej hydroplan. Julie zobaczyła jego niezdarną sylwetkę z dużymi pływakami. Zbliżywszy się, zaczął opuszczać się niżej, jak gdyby pilot miał zamiar lądować, chociaż Julie wiedziała, że najbliższy port lotniczy to międzynarodowy port w Nowym Orleanie, oddalony od tego miejsca o ponad czterdzieści mil.

Zastanowiła się, czy hydroplan nie znalazł się w jakichś tara- . patach, chociaż nic na to nie wskazywało. Kiedy tak mu się przyglądała, zapaliły się w nim światła główne oświetlając wierzchołki drzew. Silnik pracował wolniej, wydawało się, że prawie zgasł i że samolot ma zamiar schodzić w dół.

Za plecami Julie stary przewodnik mruknął coś we francuskiej gwarze Cajunów. Stał ze zmarszczonymi brwiami, trzymając drag, z którego kapłała woda, ponad powierzchnią rzeki, a piroga tymczasem dryfując przedostawała się z wąskiego, obrzeżonego drzewami kanału rzecznego na otwartą przestrzeń.

Ślizgacz wziął zakręt na oddalonym odcinku rzeki, wpłynął w obrośnięty drzewami przesmyk podobny do tego, który Julie i jej przewodnik właśnie opuścili, i szybko zbliżył się do nich, ciągnąc za sobą pasmo burzącej się piany przypominające ogon komety.

Wyskoczył z łoskotem pomiędzy drzew na otwarty obszar wodny. Spoza oślepiającego światła głównych reflektorów Julie dostrzegła niewyraźną jak cień postać człowieka przy sterach. Człowiek ten miał szerokie ramiona i kierował ślizgaczem wprawną ręką. Falujące włosy rozwiewane przez podmuch zasłaniały mu twarz. Głowę miał przechyloną do tyłu i bacznie, w napięciu obserwował hydroplan. Nie zmniejszył prędkości.

Hydroplan zbliżał się, schodząc niżej i ocierając się niemal o wierzchołki drzew. A potem wydostał się na otwartą przestrzeń, pozostawiając za sobą kołyszące się gałęzie. Jego białe światła przesuwwały się po wodzie, która lśniła w ich blasku, i mieszały się z żółtymi światłami ślizgacza. Trasy warczącego hydroplanu i ryczącego ślizgacza zbliżyły się do siebie, a potem skrzyżowały.

Po chwili ich drogi się rozeszły i hydroplan odleciał. Człowiek w ślizgaczu odwrócił głowę, śledząc światła hydroplanu. Nie zmienił przy tym kursu.

Przewodnik Julie zamamrotał coś głośniejsz. A potem wydał ostrzegawczy okrzyk, podnosząc drag i machając nim nad głową Julie. Ślizgacz zmierzał prosto na pirogę, posuwał się szybko tunelem utworzonym z drzew, takim, jaki drewniana łódź przed chwilą opuściła. Pilot ślizgacza nie zauważył pirogi, nie patrzył nawet w jej stronę. Wszystko wskazywało na to, że za sekundę na nich wpadnie. Nie było sposobu, żeby go zatrzymać ani żadnej możliwości uniknięcia zderzenia. Julie uchwyciła się burty, gotowa natychmiast wyskoczyć.

W tej samej chwili pilot ślizgacza odwrócił głowę i wreszcie ich spostrzegł. Pociągnął mocno za drążki steru, przechylając całą sylwetkę. Silnik głośno zawodził, kiedy ślizgacz przemknął obok nich na jednym pontonie, wzbijając huraganowy podmuch i potężną falę.

Julie cofnęła się przed przelatującym obok z łoskotem i rykiem ogromnym kształtem i oślepiającym światłem. Niestabilna drewniana łódź przechyliła się w brudzie pozostawionej przez ślizgacz. Julie usłyszała krzyk przewodnika i zobaczyła, że staruszek rzuca się na przeciwległą burzę, chcąc zrównoważyć przechył. Było jednak za późno. Julie wypadła za burzę.

Mroczna woda podniosła się, pochłaniając ją, zamykając się nad jej głową, wciągając ją w głąb. Była czarna, zimna i gęsta, napierała na nią. Julie poczuła, że przy każdej próbie oddechu pali ją w piersiach. Odwróciła się w zwolnionym tempie. Spódnica owinęła się jej wokół górnej części ciała, krepując ramiona. Coś dotknęło jej nogi, coś szorstkiego i oślizgłego - jakiś pływający pod wodą pień cyprysa. Obrzydzenie dodało jej energii - poruszyła gwałtownie nogami gubiąc sandały i posunęła się szybko w górę. Odwinęła spódnicę z piersi, rozgarniając wodę szerokimi ruchami. Wynurzyła się na powierzchnię, chwytając powietrze tak gwałtownie, że

poczuła ból w gardle.

Tuż za nią, niemal nad jej głową, rozlegał się pomruk pracującego na zwolnionych obrotach silnika. Odezwał się głęboki, męski głos:

- Tutaj, moja ręka. Proszę się złapać. Już myślałem, że będę musiał skakać po panią do wody.

Julie, bijąc rękami o wodę, podniosła wzrok i zobaczyła ślizgacz i klęczącego na nim mężczyznę. Przechylał się ponad powleczone gumą pontonami i wyciągał do niej rękę. Jego ciemne brwi były zmarszczone, a zdecydowanie zarysowane usta zaciśnięte w złości.

Julie poczuła, że ogarnia ją fala gniewu. Rozejrzała się za przewodnikiem i pirogą. Zobaczyła małą łódź o kilka stóp od siebie i starego przewodnika płynącego szybko w stronę łodzi. Odwróciła głowę i spojrzała na pilota ślizgacza.

- Dziękuję - powiedziała ostrym tonem - nie chciałabym sprawiać panu kłopotów.

Mężczyzna cofnął się i oparł dłoń na zgiętym kolanie. Z jego twarzy znikło napięcie, a pojawiło się coś, co przypominało rozbawienie.

- Chodzi pani o to, że to ja sprawiłem pani mnóstwo kłopotów?

- Chodzi mi o to, że wpadł pan na nas, bo nie patrzył pan, gdzie pan płynie!

- Byłem zajęty czym innym. A poza tym stary Joseph był tysiące razy upominany, by trzymać latarnię na widoku, a nie na wpół schowaną na przednim siedzeniu.

- No tak, i na dodatek piroga płynęła za szybko - zgodziła się Julie z ironiczną skwapliwością. - Właściwie to jest wyłącznie wina Josepha, a nie pana.

Twarz mężczyzny zmarszczyła się w powoli napływającym uśmiechu, który zabłysnął również w jego oczach.

- Tego nie powiedziałem. A jeżeli przyznam, że nie patrzyłem, gdzie płynę, to wejdzie pani na pokład ślizgacza?

Julie nie odpowiedziała, jeszcze raz popatrzyła w stronę swojego przewodnika. Joseph odwrócił już pirogę dnem do dołu i wchodził właśnie na jej pokład. Julie popłynęła do niego szybkim crawl, którego nauczyła się wśród przybrzeżnych fal Pacyfiku.

Silnik ślizgacza wydał jakiś pomruk, a potem zaczął terkotać nieco szybciej. Po chwili ślizgacz znalazł się między Julie a celem, do którego zmierzała.

Julie zmieniła kierunek.

Ślizgacz dotrzymywał jej tempa, płynąc obok. Julie ponownie zmieniła kierunek, rzucając pilotowi przez ramię wściekłe spojrzenie. Motor zawarczał głośniejsz, a potem znowu zmniejszył obroty. Julie płynąc odwróciła głowę i znowu zobaczyła pilota przechylonego w jej stronę. Był tuż w ślad nią.

Chciała mu się wymknąć, ale jego silna dłoń chwyciła jej ramię, unieruchamiając ją. Zanim Julie zdążyła zareagować albo zaakceptować to, co się dzieje, znalazła się w silnym uchwycie jego ramienia. Chwilę później była już na pokładzie ślizgacza. Potknęła się o wykonaną z gumy i włókna szklanego burtę i wylądowała na

dnie. Pilot krzyknął coś do jej przewodnika. Nie rozumiała jego słów, gdyż mówił francuską gwara Cajunów. Przewodnik odpowiedział śmiechem i machnięciem ręki. Równocześnie jej porywacz opadł na lewe siedzenie z przodu łodzi. Ślizgacz ryknął głucho, a potem uniósł się i ruszył naprzód.

Julie przez chwilę pozostała tam, gdzie była, nie wierząc własnym zmysłom i usiłując odzyskać równowagę, a potem przeczołgała się na przód ślizgacza. Ociekająca wodą, oblepiona mokrą sukienką, niezdarnie stanęła na nogi i zatoczyła się mi siedzenie obok pilota. Kiedy wyciągnęła rękę, chcąc złapać go za koszulę, wrzała w niej wściekłość, której towarzyszył strach. Szarpnęła go raz i drugi. Wiatr wtłaczał jej słowa z powrotem do gardła, a ryk silnika zagłuszał je. Udało jej się jednak krzyknąć:

- Dokąd mnie pan wiezie?

A on - mężczyzna potężnej budowy, o twardych mięśniach, który nawet nie drgnął, kiedy go szarpała - odwrócił głowę, popatrzył na nią z czającym się w oczach śmiechem i powiedział:

- Do domu.

Odpowiedź, której towarzyszyła wyzywająca mina, w równym stopniu co chłodny podmuch wiatru przyczyniła się do tego, że Julie zabrakło tchu.

- To pan tak myśli - powiedziała, obrzucając go stanowczym spojrzeniem.

Po czym odwróciła się i unosząc się nieco, zerknęła w bok. A on wyciągnął ramię i objął Julie w pasie, ściągając ją w dół.

Odwrócił wzrok od ciemnego, obrzeżonego gęsto rosnącymi drzewami przesmyku, w który właśnie wpłynęli, i spojrzał na nią. - Proszę mi pozwolić wyjaśnić. Nie miałem na myśli mojego domu. Miałem na myśli teren należący do was, filmowców, chyba że woli pani popłynąć gdzie indziej.

- Nie wolę - odrzekła przez zaciśnięte zęby. A on podniósł rękę, uśmiechając się blado. - Bałem się, że tak będzie - powiedział.

Julie opadła na siedzenie, nie mając pewności, czy ma mu wierzyć, czy nie. Chwył jego ręki był mocny, ale nie sprawiał bólu. Między jej oczami trzepotało pasmo mokrych włosów. Podnosząc z roztargnieniem wolną rękę, odgarnęła je, a potem przesunęła palcami po ociekających wodą splątanych lokach, odlepiając je od głowy.

W końcu zapytała podniesionym głosem:

- Wie pan, kim jestem?

- Nietrudno zgadnąć - odpowiedział, cofając ramię, którym ją obejmował. - Nie jest pani miejscowa, bo albo bym panią znał, albo bym słyszał o pani już dawno. Ma pani dość pieniędzy i jest pani dostatecznie czarująca, by przekonać starego Josepha, żeby zabrał panią na nocną przejażdżkę łodzią, co nie jest takie łatwe. Ta cienka biała sukienka zdradza styl Kalifornii, bo turyści z innych okolic wolą na przejażdżkę łodzią ubrać się w dzinsy albo jakieś inne spodnie. Stąd wniosek, że musi pani należeć do ekipy filmowej. Jest pani zbyt młoda na to, by grać w tym filmie żonę, a zbyt dorosła na córkę. Domyślam się więc, że jest pani reżyserką.

- Świetnie - pochwaliła go Julie kwaśno.

Spojrzał na nią z uśmiechem, ale nic nie powiedział.

- Czy pan traktuje tak wszystkie kobiety, czy też może ja powiedziałam coś takiego, że zaczął pan przypuszczać, że chcę zostać porwana?

Zmniejszył nieco prędkość i ryk silnika nieco ucichł.

- Tutaj jest teraz jesień. Mówię to na wypadek, gdyby pani tego nie zauważyła. Znajdujemy się co prawda w południowej Luizjanie i może się wydawać, że nie jest zimno. Mimo to jednak można się przeziębić.

- Tak?

Na jego twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia, który zaraz zniknął.

- Może wyraziłem się dziwnie, więc muszę wyjaśnić, że w tych stronach jest to niebezpieczne. Cajunowie doznają także ataków serca i chorują na raka, nie mówiąc o grypie.

- Ja się z pana nie śmiałam.

- Jestem więc przewrażliwiony. Według pani oczywiście. To też jest niebezpieczne. Znajduje się pani jednak na moich bagnach i będzie się pani musiała do tego przyzwyczaić.

- Na pańskich bagnach?

Julie starała się zadać to pytanie tonem jedynie neutralnej ciekawości.

On tymczasem spojrzął na nią w jaskrawym świetle, mrużąc oczy i chroniąc je w ten sposób przed wiejącym w twarz wiatrem, i powtórzył głosem, w którym brzmiała spokojna stanowczość:

- Tak, na moich.

- Dlaczego pan tak mówi?

- Ponieważ je znam, ponieważ wiem, gdzie są stojące wody, w których składają ikrę ryby, a aligatory łączą się w pary, i gdzie są mokradła; na które zimą zlatują się gęsi i kaczki; ponieważ znam chenieres, czyli porośnięte dębami wzgórza z muszli pozostawionych w dawnych czasach przez Indian, i kanały, którymi spławia się pnie, i kręte strumienie, i bagniste odgałęzienia rzek prowadzące do jeziora Maurepas przez kanał Manchac do jeziora Pontchartrain i w końcu do Zatoki. Znam to wszystko od dziesiątego roku życia, kiedy to po raz pierwszy i ostatni zarazem zablądziłem. Bagna są moje, bo uczyniłem je swoimi.

- Szczur Bagienny - mruknęła Julie, przypominając sobie nagle słowa starego przewodnika.

- Niektórzy tak mnie nazywają. Ja sobie tego przydomka nie nadałem.

Był mężczyzną przystojnym, urodziwym, o ciemnych włosach i śniadej cerze. Był przypuszczalnie w jej wieku, może o cztery lub pięć lat od niej starszy. Miał gęste brwi, a jego nos, wysoko sklepiony i prosty, tkwił między wystającymi kośćmi policzkowymi; głęboko osadzone oczy, otoczone promykami zmarszczek mimicznych i obrzeżone rzęsami tak długimi, że aż dziw, że się ze sobą nie spleływały, miały kolor kawy. Jego ręce spoczywające na drążkach sterowniczych były silne i kształtne, pokryte gdzieniegdzie bliznami bielejącymi pod ciemną opalenizną. Ramiona okryte spraną koszulą w kolorze khaki były muskularne. Siedział wygodnie, jak człowiek znajdujący się w doskonałej formie fizycznej i zrelaksowany. Podobnie jak obszar bagien, który uważał za swoje terytorium, on także nie był całkowicie oswojony.

Na przodzie koszuli i na dzinsach, w miejscach, w których przyciskał do siebie Julie, widniały plamy wilgoci. Przypominając sobie chwilę, w której ten człowiek schwycił ją w ramiona i wciągnął na pokład ślizgacza, Julie poczuła skurcz mięśni brzucha i drżenie karku. Nie podobało jej się to, o nie - wcale jej się to nie podobało.

- Czym się pan zajmuje? - zapytała.

Był to nieszkodliwy manewr, pytanie rodem z jakiegoś przyjęcia, mające na celu ustanowienie uprzejmych podstaw konwersacji. Równocześnie jednak Julie ciekawa była odpowiedzi, gdyż przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

- Czym się zajmuję? Robię właściwie niewiele.

Ta odpowiedź niczego nie wyjaśniała. Julie miała wrażenie, że została tak sformułowana celowo. Nie dawała jednak za wygraną.

- Pracuje pan może w jednej z tutejszych fabryk chemicznych? A może w rafinerii cukru? A może na platformie wiertniczej na morzu? Czy też zajmuje się pan rybołówstwem?

- Nic z tych rzeczy. Można powiedzieć, że jestem na emeryturze.

- To wygodne. Ale czy nie jest pan na to trochę za młody? Ze wzrokiem utkwionym w rzekę odpowiedział:

- Nie.

Wyglądało na to, że miał rację mówiąc o jesiennej pogodzie. Zaczynała się dawać Julie w znaki, zwłaszcza w połączeniu z mokrą sukienką i podmuchem towarzyszącym ruchowi ślizgacza. Na ramionach i nogach pojawiła się gęsia skórka, a dolna szczęka Julie drżała. Zaczęła rozcierać sobie ramiona.

- Czy mógłby pan ... czy mógłby pan zmniejszyć trochę prędkość? Strasznie mi zimno.

- Powinienem ją raczej zwiększyć - odpowiedział. Silnik zawył głośniejszym głosem i ślizgacz ruszył jeszcze raz ostro do przodu.

Julie zacisnęła zęby; wstrząsały nią dreszcze - atakowały w rytmie zgodnym z wibracjami ślizgacza. Podmuch wiatru rozwiał jej włosy, osuszając je. Lzy, które zebrały się w oczach, pod wpływem podmuchu spłynęły po skroniach. Schyliła głowę, próbując to wytrzymać.

- Jesteśmy prawie na miejscu - krzyknął pilot.

Była to prawda. Julie zobaczyła różowawe światło dodatkowych lamp rtęciowych osadzonych na słupach, które obsługa techniczna rozmieściła tak, by oświetlały teren w nocy. Za drzewami z trudem można było dostrzec metaliczny połysk przyczep, w których mieściły się biura, i karawaningów ustawionych wzdłuż zygzakowatej linii. Za drzewami majaczył też masywny kształt metalowego budynku, w którym mieścił się Klub Jachtowy Parafii Świętego Jakuba. Klub ten pozwolił Excel Films korzystać ze swego parkingu i dostępu do rzeki. Za chwilę Julie zmieniła ubranie na suche i napije się czegoś gorącego. I będzie musiała podziękować Szczurowi Bagiennemu za to, że przywiózł ją do domu:

- Właśnie sobie uświadomiłam - powiedziała, gdy on wyłączył silnik i ślizgacz podryfował w stronę mola - że nie wiem, jak się pan nazywa.

Kąciki jego ust uniosły się.

- Myślałem, że zna pani moje imię.

- To, które znam, na nic się nie zda. Nie znajdę go na przykład w książce telefonicznej.

- Nazywam się Rey - odpowiedział. - Rey Tabary.

- Jest pan Cajunem, jak się domyślam?

- Jestem francusko - hiszpańskim Kreolem z domieszką krwi Cajunów, jeśli pani wie, co to znaczy.

- To oznacza osobę mającą w żyłach krew francuską i hiszpańską, lecz urodzoną na obcej ziemi, w tym wypadku w Ameryce, i spokrewnioną z rodziną francuską wypędzoną przez Brytyjczyków z Nowej Szkocji ponad dwieście lat temu.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Studiowała pani historię tego stanu.

- Urodziłam się tutaj, chociaż moi przodkowie byli po prostu Anglikami, Irlandczykami i Walijczykami.

- To raczej skomplikowane.

Robiąc tę uwagę uśmiechnął się tak szelmowsko, że nie było wiadomo, czy chciał jej w ten sposób powiedzieć komplement, czy też nie. Zresztą wcale jej to nie obchodziło.

Zbliżając się do terenu filmowców Tabary przyspieszył. Ślizgacz okrążył drewniane molo, do którego były przycumowane dwie łodzie z kabinami mieszkalnymi, i podплыł do brzegu. Na brzegu kręcili się ludzie; niektórzy z nich budowali drewnianą platformę potrzebną do jutrzejszych zdjęć, inni rozmawiali przyciszonymi głosami, jeszcze inni gotowali coś w ogromnym aluminiowym garnku nad palnikiem gazowym. Popatrzyli w stronę śliz" gacza z dużym zainteresowaniem. Zanosilo się na to, że Julie nie uda się dotrzeć do własnego karawaningu bez udzielenia odpowiedzi na ich pytania.

Ślizgacz przedarł się przez kępę wodnej trawy i zatrzymał się na błotnistym brzegu.

- Jeżeli ma pan ochotę spotkać się ze wszystkimi, zapraszam pana na drinka - powiedziała Julie, zdecydowana okazać gościnność.

- Dziękuję, ale może innym razem. Teraz muszę już jechać. Wychodząc ze ślizgacza nie wyłączył silnika.

Owinąwszy sobie linę dookoła dłoni i utrzymując ślizgacz w równowadze, podał Julie drugą rękę, pomagając jej wysiąść.

Zeskoczyła, opryskując mu buty wodą kapiącą ze spódnicy.

Podziękowała krótko i rzeczowo i chciała odejść, ale on nie puszczał jej ręki.

Spojrzała na niego, niepewna, co to znaczy. Przyglądał się jej uważnie w świetle rtęciowych lamp osadzonych na słupach. Jego dłoń była ciepła, trzymał Julie nie brutalnie, ale stanowczo.

- O co chodzi? - spytała, unosząc lekko brwi.

Nie odpowiedział. Z namysłem puścił linę, wyciągnął rękę, wziął drugą dłoń Julie i rozpostarł jej ramiona na całą szerokość. Przyjrzał się nagim rękom, nie okrytym przez krótkie rękawy sukienki, najpierw od wewnątrz, a potem z zewnątrz. Kiedy próbowała się wyrwać, przesunął po nich szybko dłońmi w górę ku

ramionom, a potem wsunął palce pod włosy, przesunawszy je po gładkiej skórze szyi.

- Co pan robi? - spytała zdenerwowana, tym bardziej że jej głos nieco drżał.

A on ponownie przesunął dłońmi po jej na rękach, tym razem w dół i chwycił ją za przeguby.

- Niech pani podniesie spódnicę - powiedział cicho.

- Pan chyba zwariował.

- Niezupełnie - odrzekł prawie z błyskiem złośliwości w oczach. - Chcę tylko zobaczyć, czy nie przyczepiły się do pani pijawki.

- Pijawki?!

- To bardzo możliwe.

- Chyba pan żartuje.

- Oczywiście, jeżeli chce pani, żeby wysały z pani krew, byle tylko nie pokazać mi nóg - to pani sprawa. Ale ostrzegam panią: one się nie odczepią, dopóki nie staną się dziesięć razy większe, a ślady, które pozostawią, mogą zamienić się w blizny.

- Proszę mnie puścić. Sama się obejrzę - odburknęła.

- Sama nie zauważy pani wszystkiego, co trzeba zauważyć.

Brzmiało to podejrzenie, ale istotnie Julie czuła, że jej skóra jest mokra i zimna i że coś się do niej przyczepiło. Tabary tymczasem stanął pomiędzy nią a audytorium złożonym z członków ekipy filmowej i klubu jachtowego. Zasłaniał ją przed spojrzemiami tych ludzi. Patrzył uważnie i zuchwale, trudno więc było przewidzieć, co zrobi, jeżeli on odmówi. Nie ścisnął jej za rękę, ale czuła, że gdyby chciał, nie pozwoliłby jej się wyrwać.

- Och, na litość boską! - krzyknęła rozdrażniona.

Wyrwała mu rękę, a potem zebrała ociekającą wodą spódnicę, podnosząc ją do wysokości pól uda.

Spojrzał w dół, a potem obrócił ją wkoło; jego dotknięcie było pospieszne, bezosobowe. Przez chwilę oceniał to, co zobaczył, a Julie wydawało się, że ta chwila nigdy się nie skończy.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Jest pani czysta.

- Dziękuję - odpowiedziała, czując, że ma ściśnięte gardło.

Odwróciła się szybko, stając z nim twarzą w twarz.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Zawahał się, patrząc na nią z góry. Z jego twarzy zniknął stopniowo wyraz rozbawienia. Potem kiwnął powoli głową i cofnął się.

- I proszę mi wybaczyć.

Wybaczyć? Co? Czy to, że przez niego wpadła do rzeki? Czy też to, że poświęcił swój czas i sprawdził, czy nie oblaży jej pijawki? Julie nie dana była szansa, żeby o to zapytać.

Przeskakując lekko przez burtę, wrócił na swój ślizgacz, który cofnął się od brzegu z rykiem silnika. A potem oddalił się, wracając tą samą drogą, którą tu przybył, robiąc wiele hałasu i zostawiając za sobą głęboką

bruzdę piany.

Julie patrzyła za nim do chwili, gdy schował się za jakimś zakrętem, a potem spojrzała na siebie, na poplamioną i przemoczoną sukienkę, na błoto między palcami nóg. Włosy miała w nieładzie, a makijaż, jeżeli coś jeszcze z niego pozostało, najprawdopodobniej był rozmazany. Mało tego, rozmawiała przed chwilą z człowiekiem, który wyciągnął ją z wody, jak jakaś wiedźma albo wstydliva dziewczica. Nie miała pojęcia, jak to się stało, że zachowywała się w sposób tak nieopanowany i prostacki.

W chwilę później potrząsnęła głową śmiejąc się nerwowo. Co ją obchodzi, jak wyglądała, co pomyślał o niej człowiek noszący przydomek Szczur Bagienny?

Rey Tabary był w istocie typem mężczyzny najmniej przez nią akceptowanym i takim, do którego miała najmniej zaufania. Był typem władczygo macho, który najprawdopodobniej uważał, że każdy konflikt należy rozwiązywać siłą i że kobiety są zabawkami stworzonymi do rozrywki. Z pewnością na wszystko miał przemądrzałą odpowiedź. Był więc pod każdym względem przeciwieństwem Allena Gravesenda, narzeczonego Julie i producenta jej filmu, któremu Rey nigdy nie mógłby dorównać.

A na dodatek gotowa była przysiąc, że ten Cajun coś ukrywa.

Odpowiadając na pytania umyślnie stosował uniki i była pewna, że za tymi idiotycznie długimi rzęsami skrywają się jakieś ciemne myśli.

Znowu działała jej wyobraźnia. Tajemnica - jeżeli istniała jakakolwiek tajemnica - polegała prawdopodobnie na tym, że on jest żonaty. Ten człowiek to tylko arogancki mędrak. Podobnie jak jej ojciec.

Był też kimś, kogo potrzebowała.

Potrzebowała go do filmu. Tylko. do filmu, do niczego innego.

Tak, tylko do filmu.

Ten pomysł przyszedł jej do głowy w chwili, gdy on mówił o swoich bagnach i o tym, że jest Cajunem. Julie tak bardzo chciała przekazać prawdę o tych okolicach, przekazać ducha i smak życia tych ludzi, w niczym jednocześnie nie przesadzając. Zarówno ten duch, jak i smak życia miały ogromne znaczenie dla jej filmu, dla realizmu przekazu, jego mechanizmów i samej istoty. Julie od początku martwiła się o tę część filmu, której akcja miała się rozgrywać na bagnach, martwiła się o rozłożenie akcentów przy prezentowaniu życia Cajunów, o to, czy uda jej się przedstawić ich obyczaje i światopogląd, w którym główną rolę grała męska dominacja; martwiła się o sceny przedstawiające łowienie ryb i szybkie jazdy motorówkami po krętych rzekach i strumieniach. Bardzo potrzebny był jej ktoś, kto mógłby udzielić wskazówek na temat szczegółów.

Rey Tabary był takim człowiekiem. Należało go tylko o tym przekonać.

Zaangażowanie się w produkcję filmu było ostatnią rzeczą, na jaką Rey Tabary miałby ochotę. Nie chciał dać się przekonać i postawił sprawę jasno, w momencie gdy się zorientował, czego Julie od niego chce. Powiedział "nie" i powtarzał to wiele razy, podczas gdy ona wyjaśniała mu, w jaki sposób chce przedstawić bagna - jego bagna i jego lud Cajunów. Odmawiał, kiedy usiłowała mu zaoferować stanowisko konsultanta i płacę równą półrocznym poborom przeciętnego pracownika oraz premię, w wypadku gdyby udało się ukończyć film przed terminem. Odmówił z podziękowaniem, choć Julie przekonywała, że bez niego film z pewnością straci na wartości.

Pamiętał, jakiej należy udzielić odpowiedzi; to nie sprawiało mu trudności. Z trudem natomiast uświadamiał sobie, że ona w chwili gdy przyjmie w końcu do wiadomości jego odpowiedź odejdzie i nigdy się już do niego nie odezwie.

Poprzedniej nocy Rey zastanawiał się, jakiego dokładnie koloru są jej oczy. Teraz już wiedział. Były zielone, zielone łagodną, czystą zielonością zimowej trawy, rosnącej w tej szerokości geograficznej. Były też jasne i szczerze, inteligentne i pozbawione śladu kokieterii. Rey nie był pewien, czy ta powściągliwość i brak uciekania się do tradycyjnych metod kobiecej perswazji ułatwiają mu całą rzecz, czy też utrudniają.

Julie nie tak prędko rezygnowała, co nie czyniło sprawy prostą.

Kiedyś osoba taka jak ona, długonoga kobieta ze słońcem we włosach, kobieta, która wie, czego oczekuje, mogłaby od niego uzyskać wszystko. Zresztą nawet i teraz Rey łapał się na tym, że patrzy uważnie na jej delikatne wargi, obserwuje, jak światło błyszczy na złoto zakończonych rzęsach, i przygląda się kościom policzkowym, pod którymi w zagłębieniach kładą się cienie. Kiedy tak stali obok siebie, Julie sięgała mu do podbródka. Sukienka, którą miała na sobie, uszyta z bawełny w dziwnym, przydymionym odcieniu zieleni, była ściągnięta szerokim zamszowym paskiem w kolorze piasku. Talia tej dziewczyny była tak wąska, że miał ochotę objąć ją dłońmi.

Julie Bullard nie była osobą powierzchowną, nie zachowywała się też nieszczerze, nie ukrywała swoich prawdziwych zamiarów. Była bezpośrednia i rzeczowa. A jednak miała w sobie jakąś delikatność, podatność na zranienie, jakąś nadmierną wrażliwość i nadmierną powagę. Rey zastanawiał się, czy ktoś kiedyś się z nią drażnił, rozśmieszał ją, zachęcał do tego, żeby straciła panowanie nad sobą i zrobiła lub powiedziała coś śmiesznego, kapryśnego, co właśnie wpadło jej do głowy. Raczej w to wątpił.

Ona tymczasem czekała, aż on się znowu odezwie.

- Są inni ludzie, którzy mogą pani pomóc, panno Bullard powiedział uprzejmie. - Na przykład stary Joseph. Niech pani spróbuje z nim porozmawiać.

- Rozmawiałam z nim, ale on mnie zapewnił, że pan jest najlepszy. A poza tym, w połowie nie jestem pewna, co Joseph mówi, i mam ogromne wątpliwości, czy on mnie rozumie.

- On rozumie to, co chce rozumieć - odpowiedział Rey chłodno. Julie popatrzyła na niego z zakłopotaniem, marszcząc brwi.

Nonszalancja tego człowieka i absolutny brak zainteresowania z jego strony tym, co mu proponowała, wyprowadzały ją z równowagi. Mógł przynajmniej wysłuchać ją do końca. Ale on nie chciał. Stojąc na galerii i opierając się o kolumnę podpierającą ąch starego drewnianego domu, obserwował ją tylko i czekał, aż skończy rozmowę i sobie pójdzie. Julie odwróciła wzrok, szukając w myśli jakichś przekonujących argumentów.

Dom stał przy Great River Road, która była szeroką ulicą biegnącą równoległe do wijącej się Missisipi. Stał w cieniu starych dębów, których grube gałęzie opadały aż na ziemię, a zbudowany był z drewna cyprysowego, nie malowanego i srebrnoszarego ze starości. Nie był zbyt duży, miał sześć pokoi i sypialnię na mansardzie. Nie sprawiał jednak wrażenia małego, gdyż pokoje były przestronne. Stał na ceglanych filarach mających siedem lub osiem stóp wysokości i zapewniających dobrą cyrkulację powietrza oraz zabezpieczających przed powodzią. W ciągu ostatnich trzydziestu czy czterdziestu lat w przestrzenie między filarami wbudowano ceglane ściany, dzięki czemu powstała suterena służąca jako skład i garaż. Wzdłuż frontowej i tylnej ściany domu biegły długie werandy, zwane w tych stronach galeriami. Na galeriach były barierki z prostymi słupkami, przytwierdzone do kanciastych kolumn, które z kolei podtrzymywały dach z zardzewiałej blachy.

Rey i Julie stali na galerii z tyłu domu. Za domem znajdowało się patio, wyłożone ręcznie ceglami, do którego prowadziły wysokie stopnie. Tuż obok rogu domu rósł krzew jaśminu, wysoki na dziesięć stóp i rozrośnięty wszcz na sześć. Na trawniku natomiast rosły gdzieniegdzie krzewy mirtu z pniami powykręcany i srebrnymi ze starości. W pewnej odległości znajdował się ogródek, w którym uprawiano dynie i fasolę szparagową, cebulę, rzepę i kapustę ogrodową i w którym były grządki różnych ziół. Dalej, na podwórku dla kur, za płotem, grupka leghornów skrobała pazurami gołą ziemię. Po trawniku spacerował dumny władca tego królestwa - paw o piórach lśniących w słońcu odcieniami błękitu i zieleni. Towarzyszyło mu stadko składające się z kilku samiczek

- Dlaczego? - spytała w końcu Julie. - Dlaczego nawet nie zastanowi się pan nad moją propozycją? Sam pan mówił, że nie ma pan stałej pracy i nie ma pan co robić.

- Powiedziałem, że jestem na emeryturze, a to niezupełnie to samo.

- Jakie to ważne zajęcia powstrzymują Pilna od popracowania ze mną przez kilka tygodni? Myślę, że to coś, cokolwiek by to było, może zostać odłożone na później, a pan tymczasem może nieźle zarobić. Dzięki temu będzie mógł pan coś kupić albo dokonać modernizacji domu.

- Uważa pani, że ten dom wymaga modernizacji? - Rey rozejrzał się.

- Tego nie powiedziałam - odrzekła pośpiesznie Julie, dostrzegając w jego głosie nutę ironii. - Ale wielu ludzi w ten sposób wykorzystuje niespodziewanie otrzymane pieniądze.

- Ten dom należy do mojej ciotki, a ona woli jego naturalny wygląd. Cyprys jest praktycznie niezniszczalny, niezależnie od tego, czy się go pomaluje, czy nie. Farba pleśnieje pod wpływem wilgoci, więc skoro raz się taki dom pomaluje, trzeba go ciągle na nowo malować. Taki wygląd to nie zawsze sprawa pieniędzy czy braku dbałości.

Julie popatrzyła na niego, a potem uśmiechnęła się nerwowo.

- Rozumiem. Rzeczywistość nie zawsze jest taka, na jaką wygląda.

- Ja też nie jestem taki, na jakiego wyglądam.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- A co daje pani taką pewność, że jestem odpowiednim człowiekiem do roli, którą chce mi pani narzucić? Nic przecież pani o mnie nie wie.

- Wiem to, co chciałabym wiedzieć.

- Hm - mruknął - miło jest spotkać kobietę tak pewną siebie. Ale skąd pani może wiedzieć, skoro pani jeszcze ze mną niczego nie próbowała?

Na jej policzki wypłynął rumieniec.

- Miałam na myśli tylko interesy - powiedziała nerwowo. Uśmiech, który powoli pojawił się na jego twarzy, wskazywał w równym stopniu na rozbawienie, jak na skruchę.

- Sprowokowała mnie pani, tak że nie mogłem się powstrzymać. przepraszam.

- W każdym razie ma pan doskonale kwalifikacje - kontynuowała pospiesznie Julie, próbując zignorować zarówno jego niestosowną uwagę, jak i przeprosiny. - Wyrósł pan na bagnach, pański dziadek i ojciec słynęli ze znajomości tej okolicy, a swoją wiedzę przekazali panu. Co więcej, studiował pan historię Luizjany na Southwestern i ma pan stopień naukowy w tej dziedzinie, nie mówiąc już o tym, że skończył pan studia w zakresie zarządzania.

- Widzę, że Joseph się rozgadał.

- Nie, to ja zadawałam pytania. Nie mam zamiaru brnąć w to na oślep. Nie przyszedłabym tu, gdybym nie uważała, że pana wkład w nasz film może być bezcenny.

Rey przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy. Jego spojrzenie było ponure.

- Czy pani wie, że byłem kiedyś agentem DEA?

- Joseph mówił coś o agencji antynarkotykowej.

- Rozstałem się z nimi - powiedział spokojnie - gdyż padł na mnie cień. W związku ze sprawą brakujących narkotyków.

- Był pan winien?

Patrzyła na niego nieustępliwym spojrzeniem. Jego piersią wstrząsnął krótki śmiech.

- A cóż to za pytanie. Przecież gdybym był winien, to bym pani i tak nie powiedział. A jeżeli powiem, że nie, to kto mi uwierzy?

- Ja bym uwierzyła.

Na jego twarzy na chwilę pojawił się dziwny wyraz, jak gdyby wypowiedziane przez nią słowa obudziły w nim myśli i uczucia, z którymi nie mógł sobie poradzić; jakby przywdziany pancerz został nagle przedziurawiony.

Równocześnie Julie uderzył jego spokój. Nie usiłował się tłumaczyć ani bronić, nie sięgnął dłonią, by poprawić włosy, nie dotknął ubrania, nie zmienił ani na chwilę swej postawy. W odróżnieniu od większości atrakcyjnych mężczyzn, których znała, przeważnie aktorów, chyba nie zdawał sobie sprawy, jak wygląda. Nie obchodziło go też, jakie robi na niej wrażenie.

- Mnie się wydaje - powiedział ze spokojnym namysłem - że pani, chcąc osiągnąć cel, gotowa jest powiedzieć wszystko.

Julie odwróciła na chwilę wzrok, popatrzyła gdzieś ponad jego ramieniem. Kiedy spojrzała na niego znowu, jej wargi wygięły się w pełnym skruchy uśmiechu.

- Rzeczywiście - przyznała spokojnie.

- W takim razie - odezwał się - powiem pani, że jestem całkowicie niewinny. Wierzy pani w to?

- Dlaczego miałabym nie wierzyć?

- Rzeczywiście, dlaczego nie. Ale i tak nie mogę być konsultantem w pani ekipie.

Julie zrozumiała, że Rey mówi całkiem poważnie i żadne jej słowa nie wpłyną na zmianę decyzji. Żywnienie urazy z tego powodu byłoby czymś nieracjonalnym. A jednak Julie czuła urazę.

- To znaczy, że pan nie chce nim być.

- Tego bym nie powiedział.

- N a pewno tylko przez grzeczność - odrzekła.

Przerwał im głuchy odgłos kroków. Drobna kobieta, która została Julie przedstawiona na początku tej wizyty jako ciotka Tine, wyszła na galerię. Niosła tacę zastawioną szklankami mrożonej herbaty; na ich krawędziach perliły się kropelki wilgoci. Obok szklanek, na paterze z nóżką leżały kawałki żółtego ciasta. Julie aż zamrugnęła, kiedy zauważyła, że szklanki i patera są wykonane z pięknego kryształu, do złudzenia przypominającego Wyroby z Baccarat, a ukrochmalone na sztywno serwetki obszyte ręcznie robioną koronką są z prawdziwego lnu.

- O co się sprzeczcacie? - spytała starsza pani śpiewnym akcentem, który podkreślał jeszcze ironię, z jaką patrzyła na bratanka. - Za moich czasów, num cher; przystojny mężczyzna i ładna kobieta potrafili znaleźć sobie lepsze zajęcie niż sprzeczcza.

- Oczywiście, oczywiście - odpowiedział Rey, na którego twarz powoli wypłynął uśmiech. Ruszył w stronę ciotki, żeby wziąć z jej rąk ciężką tacę.

- O nie, nie, nic z tych rzeczy! Oni by tylko rozmawiali o swoich rodzinach i przyjaciółach, o tym, czy lubią tańczyć i o innych takich ważnych sprawach.

- Panna Bullard chce mnie zatrudnić u siebie przy filmie. Rey szedł do przeciwległego końca galerii, gdzie między dwoma bujanymi fotelami i obok huśtawki, na której leżała sterta obciążonych perkalem poduszek, stał nakryty stół. Ciotka Tine pomknęła za nim, by rozstawić wszystko na stole.

Julie wydawało się, że tych dwoje wymieniło między sobą szybkie jak błyskawica spojrzenie. Zanim zdążyła się zastanowić nad tym, co oznaczało, starsza pani mówiła już do bratanka:

- Pracowałbyś więc razem z Paulem. Co w tym złego?

- Z Paulem? - spytała Julie.

- To mój przyjaciel - odpowiedział Rey. - Został zatrudniony jako kaskader przez jakąś kobietę z pani ekipy. Twierdził, że to pani asystentka.

- To na pewno była Ofelia. Mówiła mi, że zatrudniła większość potrzebnych ludzi, kaskaderów i statystów. A ja jeszcze wszystkich nie poznałam, bo przyjechałam z Nowego Orleanu dopiero wczoraj rano.

Asystentka Julie, Ofelia Selby, była w pracy bardzo sprawna i energiczna. Musiała być taka, gdyż ze względu na ograniczony budżet filmu wykonywała podwójne obowiązki: kierownika produkcji i asystentki reżysera. Ofelia już od pewnego czasu przebywała na bagnach, wykonując prace przygotowawcze do drugiej, bardzo ważnej fazy realizacji filmu, mającej nastąpić właśnie teraz. Zajmie ona dwa najbliższe tygodnie. Julie była w tym czasie w Nowym Orleanie i przeglądała z montażystą materiał nakręcony w tym mieście. Załatwiała też wszystkie sprawy związane z licencjami i zezwoleniami potrzebnymi do kręcenia na bagnach. Przyjechała na miejsce tak szybko jak mogła. Aktorzy mieli przybyć tego popołudnia i na drugi dzień.

- Donna, to znaczy żona Paula, jest tym tak podniecona, że nie może się już doczekać - mówiła ciotka -Tine. - Paul obiecał, że za część zarobionych wielkich pieniędzy kupi pierścionek z brylantem dla niej i nadmuchiwany basen dla ich dwóch synów. Za resztę chce kupić sobie łódź do połowu krewetek. Zawsze marzył o tym, żeby rzucić pracę i zacząć zarabiać na życie łowieniem.

Julie usadowiła się w fotelu bujanym obok Reya i sięgnęła po herbatę i ciasto, które podała jej starsza kobieta.

- Przekonywałam pani bratanka - zwróciła się do niej - że konsultant też jest dobrze wynagradzany. Zarobki są co najmniej takie jak pensja kaskadera. A kaskader może zarobić dziesięć tysięcy dolarów netto za wykonany numer, nawet narażając się na stosunkowo niewielkie niebezpieczeństwo.

- Tak? Ale Reyowi nie zależy na pieniądzach. Dlaczego miałoby mu na nich zależeć?

Julie aż zamrugnęła, słysząc to pytanie. Równocześnie odniosła nieprzyjemne wrażenie, że wykazała pewną tępotę. Uśmiech, który przemknął przez twarz Reya Tabary'ego na widok jej zmieszania, potwierdzał to.

- Mało jest ludzi, którym od czasu do czasu nie przydadzą się dodatkowe pieniądze - powiedziała Julie obronnym tonem.

- Miałem właśnie powiedzieć pannie Bullard - odezwał się Rey, naśladując Julie i zwracając się do ciotki - że nie chcę mieć do czynienia z filmem, który przedstawia mieszkańców Luizjany jako zacofanych, niemoralnych i prymitywnych. Albo z takim, który mówi, że bagna są ścięciem pełnym ludzkich i zwierzęcych potworów.

- Ja nie robię takiego filmu! - zaprotestowała Julie.

- Być może nie ma pani takiego zamiaru.

- Ale pan myśli, że film mimo wszystko będzie taki z powodu mojej ignorancji? Czy tak?

- Tak się zwykle dzieje.

- Przesadza pan. Było. trochę dobrych filmów nakręconych w tym stanie. Filmów, które zdobyły nagrody.

- Jeżeli mówiąc o dobrych filmach ma pani na myśli obsadę złożoną z samych gwiazd i pasjonującą fabułę, to zgadzam się. W jednym z nich pokazano jednak wesele, podczas którego para z północy stanu, ubrana uroczysto, wykonuje szaleńczy taniec chodaków do muzyki w stylu Cajunów. I na dodatek jest to wesele jakichś robotników rolnych, członków Kościoła episkopalnego. Wszystko w tej scenie było fałszywe. A ponadto w scenie pogrzebu, po nabożeństwie, matka zostaje sama nad grobem córki. Nic takiego nie mogłoby się zdarzyć w rzeczywistości, matka byłaby ze wszystkich stron otoczona przez krewnych, mężczyzn i kobiety.

- Tak - wtrąciła się ciotka Tine. - A poza tym pokazali, że azalie i mirty kwitną równocześnie. Czegoś takiego w życiu nie widziałam. I nie uwierzy pani: kwiaty w trawie kwitnące na Wielkanoc były z jedwabiu. Toż to wierutne kłamstwo! I dlaczego tak zrobili? - pytam. A te dekoracje na weselu, w Boże Narodzenie i w wigilię Wszystkich Świętych! Boże! Czy ci ludzie z Hollywood nie mają za grosz gustu? Czy może myślą, że my go nie mamy?

- Wiem, który film mają państwo na myśli - powiedziała Julie z wymuszonym uśmiechem. - Oni pewnie mieli nadzieję, że nikt nie zauważy tych kwiatów. Nie zdawali sobie sprawy z tego, że większość kobiet na Południu to zawołane ogrodniczki. A co do tego nadmiaru ozdób - to prawdopodobnie zrobiono tak dla śmiechu.

Ciotka Tine pokręciła głową.

- Jeżeli tak, to był to niewczesny żart.

- Problem w tym - powiedział Rey - że ten film był jednym z lepszych.

- Mógłby pan zapobiec takim rzeczom. Bo to jest właśnie zadanie konsultanta.

W spojrzeniu Julie było wyzwanie.

- Oglądanie błędów przy równoczesnej niemożności naprawienia ich może spowodować wrzód żołądka.

Miał rację.

- Załóżmy - odrzekła Julie po chwili - że obiecuję panu, że do pana będzie należało ostatnie słowo tam, gdzie będziemy pokazywać bagna i mieszkańców tych okolic. Przypuśćmy, że dam panu szansę udziału w planowaniu scen, które przedstawia tubylców w jak najlepszym świetle, Co pan na to?

Rey pokręcił głową.

- Nie sądzę, by się to udało. A poza tym ja naprawdę mam inne sprawy na głowie.

Rozmowa została zakłócona przez dzwonek znajdującego się gdzieś daleko telefonu. Rey przeprosił i wszedł do domu. Skwapliwość, z jaką to zrobił, nasunęła Julie przypuszczenie, że jest zadowolony z możliwości przerwania tej rozmowy.

- A ten taniec chodaków! Nie było w nim żadnego dostojęstwa - powiedziała ciotka Tine, wracając do poprzedniego tematu. - Walc Cajunów, kiedy go się tańczy dobrze, jest piękny. Pełen gracji. Rękę trzyma się na biodrze albo z tyłu, spódnica tancerki wiruje. Dlaczego nie pokazali takiego walca? Ja lubię filmy. Kiedy byłam dziewczynką, nauczyłam się z nich angielskiego, bo oglądając starałam się rozumieć słowa. Ale takimi rzeczami oni doprowadzają mnie do białej gorączki!

- Mnie też - powiedziała Julie szczerze. - I dlatego właśnie zależy mi tak bardzo na tym, żeby pani bratanek ze mną pracował. Nie mogłaby go pani przekonać, by zmienił zdanie?

Stara kobieta pokręciła głową.

- Rey nie zmienia łatwo zdania. Chciałabym pani pomóc, ale nie jestem w stanie.

- Gdybym mogła go namówić, żeby przyszedł na plan, popatrzyl, co się tam dzieje ... Może wtedy ...

Ciotka Reya zamyśliła się.

- To można by zrobić - powiedziała powoli. - Tak, myślę, że Rey będzie musiał zawieźć mnie na plan, żeby zobaczyć, faktycznie jak się kręci film, jak grają aktorzy....

Julie zaczęła mieć nadzieję, jej policzki zarumieniły się. Pochyliła się w stronę starszej kobiety.

- Naprawdę mógłby panią zawieźć na plan? - spytała. Ciotka Tine kiwnęła głową; minę miała chytrą.

- Myślę, że będę chciała zdobyć autografy gwiazd. Tego Vance'a Stuarta i tej Madelyn de Wells, o których czytałam we wszystkich gazetach. Od długiego czasu jestem wielbicielek Vance'a Stuarta. Od wielu lat codziennie oglądam go w serialach. Możemy tak zrobić? Może jutro?

- Świetnie - zgodziła się skwapliwie Julie.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

Julie popatrzyła na ciotkę Tine z uwagą, gdyż zastanowił ją chytry wyraz jej ładnych oczu.

- Tak? Jaka?

- Czytałam, że tym, którzy wypożyczają swoje domy do filmu, płaci się dużo pieniędzy. No wie pani, takim, którzy pozwalają, żeby aktorzy udawali, że mieszkają w ich domach. Mój dom nie jest ładny, ale jest stary, ma prawie sto pięćdziesiąt lat. To prawdziwy dom Cajunów. Wykorzystałabym te pieniądze na na□prawę dachu nad dodatkową sypialnią, ponieważ przecieka. Nie naprawiano go od wieków. Ostatni raz wtedy, gdy żył jeszcze mój mąż, Etienne. Blaszane dachy są dzisiaj takie drogie, że wielu funduje je sobie w luksusowych domach. Przyda się pani mój dom, prawda?

- Obawiam się, że nie - powiedziała Julie z zalem w głosie. A poza tym te duże pieniądze płaci się ze względu na to, że dom może zostać zniszczony, bo czasami burzy się ściany, żeby ustawić kamery pod odpowiednim kątem, a czasem niszczy się podłogi, przesuając po nich ciężki sprzęt. Jeżeli pani dom jest zabytkowy, to na pewno nie chciałaby pani tego.

Na twarzy ciotki Tine pojawił się wyraz rozczarowania. Mimo to uśmiechnęła się z odrobiną dumy.

- Jest na liście zabytków narodowych.

- To piękny, stary dom - powiedziała Julie, rozglądając się i patrząc na słońce oświetlające wschodni koniec galerii i na flagowiec, który mimo późnej pory roku zachował aksamitne, zielone liście. Rosły na nim duże żółte flagi.

Gdakanie kury oznajmiającej, że zniosła jajko, potęgowało tylko wrażenie spokoju. Julie przyszedł do głowy pewien pomysł. Wydał jej się tak doskonały, że zaczęła mówić bez zastanowienia.

- Wie pani co? Ludziom płaci się takie za wynajęcie pokoi aktorom albo innym członkom ekipy. Myślę, że

komorne pokryłoby wydatki związane z naprawą dachu.

- Będziecie tutaj tak długo?

- Nie, ale moglibyśmy zapłacić pani dodatkowo za niewygodę.

- Ale potrzebowalibyście całego domu, prawda? Czy musiałabym się wyprowadzić?

- Wówczas nie przeszkadzalibyśmy pani wchodząc i wracając o różnych porach. Oczywiście gdyby pani wynajęła dom do kręcenia filmu, też musiałaby się pani wyprowadzić.

Starsza kobieta pokręciła głową.

- Chyba lepiej tego nie robić. Ja zaproponowałam to zbyt pośpiesznie, bo zjawiała się pani tutaj i zdawało mi się, że to dla mnie znak. Ale Rey nie będzie chciał się wyprowadzić, a mieszka teraz ze mną. Zjawiała się pani nie w porę. Ale to nic. A może mogłabym wynająć tylko jeden pokój, dodatkową sypialnię? Przysięgam na różaniec pobłogosławiony przez papieża, że ten przeciek w suficie jest bardzo mały.

Julie przez dłuższą chwilę patrzyła na starszą kobietę, na jej wyraziste rysy, w sposób tak klasyczny i nieokreślony francuskie, na delikatną cerę, która z wiekiem upodobniła się do bibułki, i na zmarszczki wokół Oczu będące śladami uczuć. Podjąwszy nagłą decyzję, powiedziała:

- Jeżeli naprawdę chce pani ten pokój wynająć, to nie ma problemu. Ja go wezmę.

Wkrótce potem, przed powrotem Reya na galerię, Julie pożegnała się, nie dając mu możliwości powstrzymania ciotki od decyzji wynajęcia pokoju. W zasadzie nie wiedziała, czy będzie się starał odwieść ją od tego zamiaru, ale wolała nie ryzykować. Umówiła się z ciotką Tine, że przyśle rzeczy na drugi dzień po południu. Wprowadzić się miała wtedy, gdy będzie mogła, a zależało to od postępu w przygotowaniach do zdjęć. Ekipa przygotowywała się właśnie do dynamicznej sceny mającej się rozegrać na otwartej przestrzeni na wodzie, którą ona odkryła poprzedniej nocy, sceny, w której przyjaciel Reya miał brać udział jako kaskader i którą zamierzano kręcić nazajutrz lub najpóźniej za dwa dni. Przygotowania były zadaniem skomplikowanym i mogły zająć sporo czasu.

Julie postanowiła wynająć pokój z kilku powodów. Po pierwsze, myślała, nie zaszkodzi, jeżeli będzie mieszkała w tym samym domu co Rey Tabary. Im więcej czasu z nim spędzi, tym większe będzie miała szanse przekonania go, by rozważył ponownie propozycję. Jeżeli uprze się, to ona będzie na miejscu i wyciśnie z niego potrzebne wiadomości za darmo. Poza tym wielu spraw na temat obyczajów i poglądów Cajunów będzie się mogła dowiedzieć od ciotki. Dopilnuje oczywiście, żeby starsza kobieta otrzymała za swoją pomoc odpowiednią gratyfikację; ciotka Tine nie zarzekała się przecież, że nie chce dla niej pracować.

Ostatni powód był związany z jej asystentką. Kiedyś Julie i Ofelia często mieszkały razem w motelowych pokojach, dla oszczędności. Miało to swoje dobre strony, gdyż pozwalało im na ścisłą współpracę, a często na wspólne zajęcia do późnej nocy. Jednak wtedy działały jako niezależne producentki. Królestwo bagien natomiast było pierwszym filmem, który Julie robiła dla wielkiego studia. Dostała do dyspozycji dwanaście milionów. Był to budżet skromny, lecz nie w porównaniu z poprzednimi, które wynosiły zaledwie paręset tysięcy. Ona i Ofelia mogły więc sobie pozwolić na mieszkanie oddzielnie ..

Przyjaźniły się od lat, od czasu studiów. Ofelia była doskonała w sprawach związanych i robotą papierkową, z werbunkiem statystów, wyżywieniem ekipy, sprowadzaniem rekwizytów. Dzięki niej Julie nie musiała się martwić o tysiące szczegółów. Ofelia była kobietą wysoką, o ciężkiej budowie ciała i rubasnym poczuciu humoru. Kiedy obie były młodsze, Julie potrafiła tolerować sześciocalowe papierosy Ofelii, jej zwyczaj zapełniania swojej części lodówki wyłącznie czymś tak niezdrowym jak piwo i chipsy, jej swobodny stosunek do mężczyzn, jak również to, że Ofelia chodziła zawsze spać późno, a wstawała w ostatniej chwili. Teraz jednak Julie nie była już tak bardzo tolerancyjna. Przekonała się o tym podczas realizacji zdjęć w Nowym Orleanie.

Wiedziała, że pod rubasnością Ofelii i jej swobodą kryje się nadwrażliwość kobiety cierpiącej z powodu potężnej budowy ciała i puciołowej twarzy oraz braku mężczyzny. Bała się powiedzieć swej asystentce, że zamieszka oddzielnie, wiedziała, że będzie to nie lada próba. Przydałby się jakiś powód, który Ofelia będzie mogła zaakceptować. Julie postanowiła umieścić ją w apartamencie motelu w Gonzales, położonym w odległości około dwudziestu mil. Mimo to miały ściśle współpracować, dzieląc reżyserski karawaning. We dwie zawsze dużo robiły w czasie przerw spędzanych tam z dala od reszty ekipy.

Julie chciała w odpowiednim momencie powiedzieć Ofelii o tym, że ma zamiar zamieszkać u ciotki Tine. Moment ten nadszedł wcześniej, niż się spodziewała.

Późnym popołudniem, po zakończeniu prac, udała się do karawaningu, żeby coś zjeść. Czekaając, aż zagotuje się woda na zupę, oglądała rozłożone na stole szkice męskich kostiumów. Podniosła znad nich wzrok, kiedy do środka wpadła z hukiem Ofelia, kierując się prosto do małej łazienki. Ofelia pozdrowiła ją wesoło. Powiedziała, że zaraz wychodzi; musi się tylko trochę ogarnąć, a potem idzie na piwo z operatorem obrazu i kilkoma operatorami kamery.

Julie wstała, podeszła bliżej, oparła się o framugę drzwi od łazienki i powiedziała o swojej decyzji wprost, podając powody. - Nie przejmuj się - odrzekła Ofelia, schylając się i szciotkując długie kasztanowate włosy.

Potem wyprostowała się ostrożnie, gdyż pomieszczenie było małe.

- Akceptuję wszystko, co robisz dla dobra tego filmu. Dla mnie możesz nawet złożyć ofiarę z siebie na ołtarzu doskonałości. Mam na myśli to, że możesz nawet uwieść tego zabójczego Cajuna. Widziałam go parę razy i muszę ci powiedzieć, że sama nie miałabym nic przeciwko złożeniu...siebie w ofierze za sprawę.

- Jestem pewna, że to nie będzie potrzebne - powiedziała chłodno Julie.

- To szkoda.

Ofelia posłała jej lubieżny uśmiech, skręcając swoje grube, lśniące włosy - jedyny powód do dumy - w węzeł na karku i przekłuwając ten węzeł czymś w rodzaju spinek, które nazywała tokijskimi pałeczkami do jedzenia. Te drewniane pałeczki były pomalowane na kolor krwistoczerwony, który kontrastował z żółtozielonym kolorem jej koszulowej bluzki wypuszczonej na obcisłe dzinsy.

- Na pewno nie masz nic przeciwko temu? - Julie obróciła się i oparła plecami o drzwi. - Nie chcę, żebyś

myślała, że od ciebie uciekam.

Ofelia przeciągnęła serdecznym palcem, umoczone w wiśniowym błyszczycy, po swoich szerokich ustach.

- Nie bądź niemądra. Od lat śpię sama, kiedy wszystko inne zawodzi. A poza tym odkryłam rozkosze bouree, przy którym błędna wszelkie inne rozrywki.

- Prawie się boję zapytać, co to takiego.

- Ależ ty masz kosmate myśli! To pod moim wpływem, mam nadzieję. No więc jest to taka gra w karty, przy której blackjack w Las Vegas to dziecinna zabawa. Odkryłam ją w pewnej tutejszej spelunce. Cajunowie grają w nią - i to ostro - od czasu gdy Bóg był w pieluchach. Stawki nie są małe. A ponieważ jak dotąd dawałam się oskubywać, faceci pozwalali mi grać. Dziś wieczorem chcę się odegrać.

- A co to była za spelunka? - spytała podejrzliwie Julie.

- No, nie był to żaden miejscowy klub Rycerzy Kolumba. Słyszałam, jak ktoś na to mówił "mordownia", i bardzo mi się ta nazwa spodobała. Mówiąc elegancko - to przydrożny zajazd. Ale nie próbuj mi matkować. Musisz wiedzieć, że do pokonania mnie potrzeba pięciu facetów i traktora, a nawet i taki zespół powinien uważać w starciu ze mną.

- To możliwe, ale musisz pamiętać, że znajdujesz się w okolicy, w której przeważnie mieszkają fundamentaliści religijni i w której mężczyźni są mężczyznami, a kobiety kobietami. Wiedz o tym, że tu najłżejsza sugestia może być uznana za zachętę.

- O Jezu! Będę musiała się nauczyć trzepotać rzęsami, tak? Ofelia odwróciła się, rozpościerając szeroko ramiona. - Ale spójrz. Nie jestem ubrana w koronkową spódniczkę, pod którą nic nie ma. Jestem tak bezpieczna jak Sears Tower. Nic mi nie grozi, niestety.

- Wyglądasz jak fajna dziewczyna z marzeń kierowcy ciężarówki - powiedziała Julie szczerze.

- Jak taka dziewczucha do towarzystwa w drodze - zakpiła Ofelia, a jej twarz pokryła się różowymi cętkami. - Która, może być zmienniczką za kółkiem i z którą można zmieniać opony? To mnie przeraża. Bo w "mojej spelunce bywają rybacy i myśliwi, a nie kierowcy ciężarówek. Grozi mi więc to, że po okradzeniu mnie z wygranej utopię mnie w bagnie.

- W takim razie mam nadzieję, że przegrasz.

W głosie Julie była zarówno troska, jak i irytacja.

- Odpieprz się - odcięła się Ofelia spokojnym tonem.

Julie puściła jej odpowiedź mimo uszu, bo przyszło jej do głowy kolejne pytanie.

- Jesteś tu już od kilku dni i zadajesz się z miejscowymi. Nie słyszałaś przypadkiem o jakimś prywatnym lotnisku znajdującym się w pobliżu?

- Nie, chociaż przydałoby się. Moglibyśmy dzięki niemu łatwiej się zaopatrywać. A dlaczego pytasz?

Julie opowiedziała jej o samolocie, który widziała poprzedniej nocy, i o tym, jak dziwnie się zachowywał.

Ofelia uśmiechnęła się do niej, patrząc w lustro i malując sobie powieki zjadliwie błękitnym cieniem.

- No to miałaś naprawdę bombowy wieczór, nie? Zostałaś wyłowiona z bagna przez tego Galahada, a na dodatek o mało nie spadły ci na głowę narkotyki.

- Nic nie spadło. O czym ty mówisz?

- Coś gdzieś musiało spaść. To ich ulubiona zabawa, tak przynajmniej słyszałam. Samolot przylatuje z Ameryki Południowej albo Środkowej w nocy, leci nisko, czasami nawet wyłącza silniki. Czeka na niego statek rybacki. Ze statku dają znak światłami i narkotyki w wodoszczelnym opakowaniu zostają zrzucone do rzeki. Dzięki styropianowi nie toną. Ludzie ze statku rybackiego wyławiają je, a potem płyną do takiego miejsca, w którym rzeka czy kanał krzyżuje się z autostradą. Tam podjeżdża ciężarówka i zabiera ładunek. I voilil, już go nie ma. Sprytne, co?

- To są współcześni piraci - powiedziała Julie, marszcząc brwi. Przypomniała sobie Reya, który zeszłej nocy z taką uwagą śledził samolot. Przypomniała też sobie, jaki był zły z tego powodu, że wypadek z pirogą spowodował zwłokę i jak szybko się później z nią pożegnał. Jeżeli jednak czekał na zrzut, to popełnił błąd, bo nie dał znaku światłem i rozminął się z samolotem. Być może dlatego tak się spieszył, bo chciał go dogonić w innym miejscu na krętej rzece. Chociaż z drugiej strony, jeżeli by tak było, to z pewnością nie zadałby sobie trudu; by wyłowić ją z wody i odwieźć na teren filmowców. No tak, ale jednak była też ta historia ze zwolnieniem go z DEA.

- Nie zaprzataj sobie tym głowy - odezwała się Ofelia. - Słyszałam też, że w tej okolicy zbrodniarze pozbywają się zwłok w tajemniczych okolicznościach w Nowym Orleanie. Od śródmieścia dzieli tę okolicę tylko godzina drogi, a będąc tu człowiek ma wrażenie, że znajduje się w Bóg wie jak zapadłym zakątku. No i są tu bagna, które mogą pochłonąć dowód zbrodni. Ale co to ma wspólnego z nami? My będziemy tu tylko przez parę tygodni, a potem się stąd zabierzemy. To nie nasz problem.

- Chyba masz rację.

- Oczywiście, że mam - powiedziała Ofelia, mrużąc oko.

W chwilę później wyszła, podzwaniając kluczykami od służbowej ciężarówki.

Zaraz potem Julie również opuściła karawaning. Zmierzch zapadał już za drzewami, spowijając rzekę w łagodne kolory. Julie lubiła tę porę dnia - czas, kiedy ustały już zgiełk i praca, kiedy większość ekipy przebywała na kwaterach w pobliskich motelach albo w barach i restauracjach.

Kiedy właśnie o tej porze włączyła się po planie, patrząc na wszystko od różnych stron, ustawiając w wyobraźni aktorów w różnych miejscach i konfiguracjach, przychodziły jej do głowy najlepsze pomysły. Mimo że w okresie przygotowawczym wypierała ze świadomości sceny z filmu, sam film jako całość pozostawał jednak w jej podświadomości i wciąż podlegał pewnym zmianom, które rzucały światło na nowe treści emocjonalne w nim zawarte, bądź na nowe motywacje, jakimi kierować się mieli bohaterowie. Tak naprawdę to przez cały okres realizacji zdjęć od początku aż do chwili, gdy został nakręcony ostatni milimetr taśmy, Julie nie przestawała myśleć o swoim dziele.

Ważne było dla niej uświadomienie sobie, jaki efekt miały przynosić poszczególne obrazy, gdyż tylko dzięki temu była w stanie panować nad całym procesem. A było to niezbędne. Tak jak dyrygent kierujący orkiestrą, który chce osiągnąć harmonijną współpracę z członkami zespołu, tak jej zależało na tym, by cała ekipa działała razem dla osiągnięcia jednolitego efektu.

Jej zadaniem było też zatroszczyć się, by wszyscy znajdowali przyjemność w tej pracy. Niektórzy reżyserzy uważali, że ostry konflikt, zderzenie temperamentów i działanie powodujące cierpienia psychiczne wyciskają z aktorów najwyższe osiągnięcia zawodowe. Julie jednak nigdy nie była zwolenniczką tego poglądu. Uważała, że aktorzy, podobnie jak inni profesjonaliści, powinni móc osiągać najwyższy poziom pracując w atmosferze odprężenia i porozumienia. Nie miała ambicji artystycznych. Zajmowała się rozrywką i chciała robić to w miarę swoich możliwości jak najlepiej.

Jednak największym jej pragnieniem było osiągnięcie satysfakcji z pracy. Każdy film oznaczał rok w jej życiu, bo tyle - nawet w najlepszym wypadku - trwały wszystkie fazy, od okresu przygotowawczego przez realizację zdjęć i prace wykończeniowe do ewentualnych tarapatów związanych z rozpoczęciem dystrybucji. Uważała, że gdyby nie czuła satysfakcji z pracy pochłaniającej taki kawał życia, musiałaby dojść do wniosku, że to jest praca nie dla niej.

Julie poszła w stronę rzeki. Lampy rtęciowe zapaliły się i odbijały w ciemnej wodzie jak plamy słoneczne w mrocznym, stalowym lustrze. Różowoczerwone światło blednącego zachodu przesuwało się w poprzek po powierzchni rzeki, podczas gdy cień ogromnego cyprysa rosnącego na brzegu, tuż obok miejsca, w którym stała Julie, padał aż na przeciwległy brzeg. Po lewej stronie widziała niski most oparty na przysadzistych palach; stał w miejscu, gdzie autostrada krzyżowała się z rzeką i gdzie był dostęp do klubu jachtowego oraz terenu filmowców. Równoległe do autostrady biegł kanał wykopany przed dziesiątkami lat przez drwali i służący wtedy jako droga transportu ściętych drzew, a teraz będący częścią systemu wodnego w tej okolicy. Blind River łączyła się z tym kanałem tuż przed mostem. Te dwie drogi wodne tworzyły rodzaj trójkątnej fosy wokół terenu zajmowanego przez filmowców, przy czym trzeci bok trójkąta tworzyło bagno podchodzące aż na tyły klubu jachtowego. Dzięki temu teren można było z łatwością zabezpieczyć przed niepożądanymi gośćmi i drobnymi złodziejaskami, stawiając jedną wartownię w miejscu, gdzie most nad kanałem łączył się z podjazdem prowadzącym na parking.

Bliżej, tuż pod ogromnym cyprysem, znajdowało się drewniane moło, do którego przycumowane były dwie łodzie z kabinami mieszkalnymi na pokładzie. Obok nich była jeszcze jedna łódź smukła, srebrzysta, szybka motorówka, którą dostarczono tego ranka. Julie podobała się jej sylwetka. Motorówka była nowoczesna i kontrastowała z brudnym aluminiowym skifem o okrągłym dnie i z motorem przyczepionym na zewnątrz; skif - również dostarczony tego dnia - był czymś w rodzaju zmodernizowanej pirogi, jaka spoczywała w pobliżu na brzegu. Dwie lżejsze łodzie, razem z jedną z tych, na których były kabiny mieszkalne, miały zostać użyte w pełnej dynamiki scenie, którą planowano filmować nazajutrz po południu. Kaskader zastępujący Vance'a Stuarta miał się znajdować w skifie, aktorzy grający opryszków wynajętych przez rozwścieczoną żonę bohatera mieli

wziąć szybką motorówkę, a kamera miała być ustawiona w większej łodzi.

Z rana zamierzano kręcić wstępne sceny z Vance'em. Nie chciał wprawdzie, żeby go zastępował kaskader, ale Julie nie mogła na to pozwolić, nawet gdyby firma ubezpieczeniowa wyraziła zgodę. Nie było czasu na leczenie zadrapań i siniaków, których mógłby się nabawić Vance, czy też, Boże broń, na leżenie w szpitalu, jeżeli zdarzyłoby się coś poważniejszego. W przeciwieństwie do scen bardziej statycznych, sceny wymagające umiejętności kaskaderskich zawsze były ryzykowne.

- Przymierzasz się do pozmieniania wszystkiego, Julie? Odwróciła się, gdy Stan McNeilly, koordynator efektów kaskaderskich, który czuwał też nad efektami specjalnymi, utykając nieco podszedł do niej z tyłu. To utykanie było pamiątką po jego karierze kaskaderskiej, efektem wypadku, który miał miejsce podczas kręcenia jakiegoś westernu w późnych latach pięćdziesiątych. W wyniku wypadku Stan stracił jeden zawód, ale zyskał drugi, gdyż został reżyserem scen z udziałem kaskaderów. Wykonywał go dobrze, sumiennie pilnował sprzętu, był dokładny w przygotowaniach i bardzo ostrożny.

Julie pokręciła głową.

- Nie, nie. Myślę tylko o wszystkim, przygotowuję się do jutrzejszego dnia. Czy się mylę, czy po południu widziałam cię, jak próbujesz z nowym kaskaderem scenę na wodzie?

Stan kiwnął głową. Światło padające z tyłu zabłysło na jego rzednących, siwiejących blond włosach, pozostawiając jego twarz w cieniu.

- On się nazywa Paul Lislet. Wygląda na to, że dobrze sobie będzie radził. Przez całe życie miał do czynienia z łodziami.

- Mnie martwi to, że nigdy nie pracował jako kaskader. Nie uważasz, że powinniśmy byli przywieźć z Los Angeles profesjonalistę? Zwłaszcza ten pierwszy numer nie jest łatwy.

- Ten facet należy do Stowarzyszenia Aktorów Filmowych. A to oznacza, że jest profesjonalistą. Jego zadanie nie jest takie trudne. To po prostu scena pogoni, Lislet naprawdę szybko załapał, o co chodzi. Poza tym potrzebny tu jest ktoś, kto zna rzekę, kto wie, gdzie są zatopione pniaki, któredy płynie kanał i tak dalej. On będzie płynął pierwszy, przeprowadzi pozostałe łodzie przez niebezpieczne miejsca.

Dyskutowali nad tą sceną, omawiali ruchy, przyglądali się scenie od strony fachowej; mówili o specjalnych zdjęciach bruzd pozostawianych na wodzie i linii wierzchołków drzew. Nie tylko Julie zależało na tych zdjęciach, wykonanie ich zalecał też chudy jak tyka, rudy operator, Andy Russell.

Stan zapalił papierosa. W świetle zapalniczki wyłoniły się z ciemności plamy i piegi na jego twarzy, pozostawione przez słońce, na którego działanie był wystawiony podczas kręcenia licznych filmów. Schował za siebie rękę z papierosem, gdyż nie chciał, żeby dym dotarł do Julie, po czym zmienił temat.

- Ofelia powiedziała mi, że nie mogłaś namówić tego Cajuna, który tu z tobą przyjechał wczoraj wieczorem, żeby dla ciebie pracował.

- Jeszcze go nie namówiłam. Ma się tu pokazać jutro i rozejrzeć. Wtedy zobaczymy.

- To nie ma znaczenia. Ty przecież dość się naczytałaś, dużo rozmawiałaś z ludźmi, i sama jesteś ekspertem.

A czego nie będziemy pewni, to jakoś zakłajstrujemy.

- Ja nie lubię klajstrowania.

- Wiem, ale klajstruje się bez przerwy. Ważne jest ogólne wrażenie, ta iluzja, jaką stwarza film. To, co zapamiętają widzowie, a nie jakieś szczegóły.

- Licz na to, a będzie jak z tymi jedwabnymi kwiatami w trawie w Stalowych magnoliach. Są ludzie, którzy takie szczegóły zauważają.

- Ale jest ich tak mało, że to się nie liczy. Julie pokręciła głową.

- Dla mnie to się liczy. Janie mogę się pogodzić z faktem, że coś jest nie tak.

- Mówisz jak twój starszynek.

- On ma parę dobrych cech.

- No tak.

Stan zaciągnął się i wydmuchnął dym nosem. Gorycz pobrzmiewająca w jego głosie przypominała o tym, że raczej nie lubił Billa Bullarda. Ojciec Julie, który w późnych latach pięćdziesiątych zaczynał karierę, reżyserował ten film, podczas kręcenia którego Stan został kaleką. Julie nie miała pewności, co wtedy zaszło, ale wiedziała, że Stan obwinia w pewnym stopniu Bulla za poniesioną szkodę.

Znała Stana od dziecka. Przed wypadkiem regularnie odwiedzał dom jej rodziców. Po wypadku i po rozwodzie przez pewien czas wpadał na karty do Julie i jej matki. Pamiętała, że zabierał je na pikniki, że rozmawiał z matką łagodnym głosem, pamiętała też, jak pewnego dnia w lecie, kiedy było gorąco, kupił jej lody w rożku i zabrał na przejażdżkę swoim Chevroletem ze składanym dachem. Po pewnym czasie zaczął odwiedzać je coraz rzadziej, aż wkrótce jego wizyty zupełnie ustały.

Po przeprowadzce do Los Angeles Julie odszukała Stana. Spotykali się od czasu do czasu na przyjęciach i w studiach filmowych. Stan zrobił parę nieprzeciętnych filmów, jednak w ostatnich latach nie pracował zbyt wiele. Kiedy Julie dowiedziała się, że będzie jej potrzebny koordynator efektów kaskaderskich do Królestwa bagien, zadzwoniła do niego. I przekonała się, że ma szczęście, gdy zechciał z nią pracować.

Milczeli przez dłuższą chwilę. Stan palił, a Julie, której zrobiło się chłodno, rozcierała sobie ramiona. Zapadła noc. Cienie pod ogromnym starym drzewem zgęstniały. Stan rzucił żarzący się niedopałek na ziemię i rozgniół go podeszwą tenisówki.

- Słuchaj, mała - powiedział niskim głosem - nie przejmuj się tak. To tylko film. Filmów zrobiono już tysiące. Niektóre były świetne, inne marne, a większość nijaka. Zrób, co w twojej mocy, a potem o tym zapomnij. I już.

Julie odwróciła głowę i uśmiechnęła się do niego Ciepło.

- Przykro mi, że ci to mówię, Stan, ale mędrcom to ty nie jesteś.

- A jednak moja rada jest niezła. Dobranoc.

Dotknął palcami wyimaginowanego runda kapelusza, a potem odszedł kuśtykając.

Prawdopodobnie jego rada była dobra. Tylko Julie żałowała, że nie może się do niej zastosować. Naprawdę szczerze tego żałowała.

Czy Rey Tabary się pokaże?

Pytanie to męczyło Julie od chwili, gdy nazajutrz wstała przed świtem. Znikało i na powrót pojawiała się w świadomości, odwracając uwagę od tysięcy istotnych szczegółów. Denerwowało ją to, że tak uparcie powraca. Julie pracowała przez pewien czas w swoim biurze, które mieściło się w metalowym baraku ustawionym na płaskiej platformie- przyczepie z dobudowanymi betonowymi stopniami prowadzącymi do drzwi. Ofelia przebywała w tym samym budynku, gotowa jej pomagać. Pierwszą godzinę spędziła jednak na opowiadaniu, ile przegrała zeszłej nocy. Trzymała się przy tym za głowę. Bolała ją od dużej ilości piwa mieszanego z koktajlem z rumu, soku cytrynowego, cukru i lodu.

Wczesnym rankiem Julie zjadła śniadanie w towarzystwie Andy'ego Russella i Stana McNeilly'ego. Zamiast jeść w klubie jachtowym, gdzie na podstawie specjalnego zezwolenia prowadzono kantynę, zjedli w jej biurze. Podczas śniadania udało im się omówić kilka problemów. A potem obaj mężczyźni wyszli, żeby przygotować wszystko do zdjęć, które planowano na ten dzień. Julie przejrzała fotografie statystów mających grać rybaków i traperów. Wybrała tych, którzy wyglądali najbardziej obiecująco. Ofelia miała umówić ich na bezpośrednie rozmowy. Za pół godziny słońce powinno stać wysoko na niebie i wtedy praca ruszy pełną parą.

Pojawiła się sekretarka Julie. Była to miejscowa dziewczyna zatrudniona na czas zdjęć. Wykonywała swą pracę sprawnie, ale niezwykle fascynowały ją gwiazdy filmowe. Julie słyszała, jak dziewczyna wstrzymuje oddech, a później wzdycha głęboko i niewyraźnie pozdrawia kogoś, kto otworzył drzwi biura. Odpowiedział jej miękki głos Vance'a Stuarta, który znalazł się w sekretariacie. Vance zapukał do drzwi i wszedł nie czekając na zaproszenie. Podszedł bliżej i opadł na fotel stojący przed biurkiem.

Julie skończyła oznaczać sterty fotografii. Odsunawszy je na bok, siadła głębiej w krześle i oparła się wygodnie. Mężczyzna siedzący przed nią był średniego wzrostu, miał starannie przycięte ciemne włosy i jasne, niebieskie oczy, których barwę podkreślały soczewki kontaktowe noszone przez niego całkiem niepotrzebnie. Gdyby nie jego niezbyt symetryczny uśmiech, byłby typem cikliwego przystojniaka. Mimo niedbałej pozy, którą przybrał opadając na fotel, i mimo swobody, z jaką nosił elegancki kostium składający się z jasnobrązowej bawełnianej koszuli i płóciennych spodni, było w nim jakieś napięcie.

- Charakteryzacja jest dobra - powiedziała Julie przyjrzawszy mu się uważnie - ale nie podoba mi się wynik pracy garderobianych..

- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać - odrzekł aktor gderliwym tonem. - Usiłowali wcisnąć mi parę znoszonych dzinsów i koszulkę trykotową z napisem "Dalej naprzód!"

- No i?

- Myślałem, że ten Jean- Pierre, którego gram, to ma być Cajun, który wrócił do korzeni.

- I uważasz, że dlatego ma nosić coś innego?

Vance przeciągnął dłonią po skroni, przyglądając włosy. Spojrzał na nią spod rzęs.

- Chciałem się ubrać w taką piracką koszulę z rękawami marszczonymi na ramionach i rozpiętą pod szyją. -
Żeby się pochwalić swoją męską piersią?

Julie nie wysilała się nawet, żeby ukryć rozbawienie.

- Tak. To znaczy nie. No wiesz, Julie!

- Przykro mi, że muszę ci to zakomunikować, ale takich strojów Cajunowie nie noszą od czasu, kiedy przestali sami szyć ubrania pod koniec ubiegłego wieku. Teraz noszą džinsy i koszulki trykotowe, jak wszyscy.

- Ale Julie, nie moglibyśmy tego trochę podbarwić? Wyglądałbym w tym stroju jak Errol Flynn. Mógłbym zapoczątkować nowy trend w modzie.

- Nie ma na to szans, to by się nie zgadzało z rzeczywistością. Wracaj do garderoby, przyjacielu.

- Ty musisz zepsuć każdą zabawę.

Julie uśmiechnęła się do niego promiennie.

- To przykry obowiązek, ale ...

- ... ale ktoś go musi wykonywać - skończył za nią Vance z przesadnym oburzeniem.

- Właśnie. A skoro już tu jesteś, muszę cię poprosić, żebyś coś dla mnie zrobił.

Julie powiedziała mu o tym, że ciotka Tine ma ich odwiedzić na planie wraz z Reyem Tabarym i że prosiła o autograf Vance'a.

- Chcesz, żebym ja powdzięczył się do tej staruszki po to, byś ty mogła tymczasem przygadać sobie konsultanta. - Vance patrzył na nią urażony.

- Niezupełnie. Chcę po prostu, żebyś był tylko taki czarujący jak zwykle, tak żeby ciotka Tine nie czuła się rozczarowana.

- A wtedy ten Tabary pomyśli, że wspaniale byłoby z nami pracować.

- Nie byłoby w tym nic złego.

Julie mówiła tonem osoby, która się broni.

- Mam się wysilać dla jakiegoś prowincjusza z zapadłej dziury?

- Nie, Vance - powiedziała Julie nie spuszczając z niego oka, a w jej z pozoru łagodnym głosie zabrzmiała stalowa nuta.

- Masz to zrobić dla mnie.

Wytrzymał jej spojrzenie przez dłuższą chwilę, a potem nagle się uśmiechnął.

- No dobrze, skoro tak to ujmujesz.

Narzekał jeszcze przez parę minut, ale bez emocji. Nie zdradzał też zamiaru odejścia.

- Powinnaś była wczoraj wieczorem pojechać z Madelyn i ze mną do Nowego Orleanu - powiedział pochylając się w jej stronę. - Spotkaliśmy w barze pewnego faceta. Zaczęliśmy rozmawiać, a potem on zabrał nas do siebie na kolację. Wiesz, ci ludzie naprawdę są nadzwyczaj gościnni.

- A gdzie jest teraz Madelyn?

- O ile wiem, w mieście. Mówiła coś o zakupach. Miała iść z Summer i jej matką. Przyjadą pewnie niedługo. Ale zacząłem ci mówić o tej kolacji. Była zupa z okry, w której pływały kawałki kurczaka, i wędzony indyk, i fantastyczna kiełbasa wieprzowa, taka podwędzona, miała nieopisany smak. Żona tego faceta podała to z ryżem, dobrze ugotowanym. Do tego była francuska bułka, a ja przyniosłem przyzwoite Chardonnay. Objadłem się jak proszę. Myślałem, że od tego jedzenia wyskoczył mi pryszcz, ale to był tylko znak po ukąszeniu komara.

Jedzenie było głównym tematem rozmów Vance'a, podobnie jak większości ludzi ze świata filmu. Julie czasami zastanawiała się, czy ci ludzie uważają rozmowy na ten temat za dowód wyrafinowania, czy też jedzenie zajmuje ich tak dlatego, że muszą uważać, by nie utyć.

- Przykro mi, że mnie to ominęło - powiedziała starając się okazać cierpliwość. - To znaczy zupa, nie pryszcz.

Vance posłał jej swój czarujący uśmiech.

- Oczywiście, możesz się śmiać. Ale moja twarz to przecież fortuna.

Julie wstała i obeszła biurko. Wschody słońca, podobnie jak zachody, na tej szerokości geograficznej były nad wyraz piękne. Światło świtu docierało teraz do pokoju, przefiltrowane przez mgiełkę wiszącą nad bagnami i przez poplątane gałęzie drzew. Światła przybywało stopniowo. Powoli zalewało parking. Przez długi czas wszystko za oknem biura było szare i słabo widoczne, teraz natomiast Julie nagle zobaczyła poruszających się ludzi, błyski światła słonecznego na przednich szybach samochodów i w mokrej od rosy trawie. Zwróciła się do drzwi, spiesząc do rozpoczęcia pracy nad filmem.

- Tak mówi człowiek, który chciał zaryzykować swój profil i grać w scenie pogoni? .

- To było głupie, przyznaję. Ale mimo to zagrałbym w tej scenie, gdybyś mi dała szansę. Czuję się taki bezradny, kiedy siedzę beczynnym, podczas gdy ktoś inny ryzykuje. A poza tym pomyśl, jak wiele by pisała o tym prasa, gdyby na zbliżeniu było wyraźnie widać, że to ja.

Skoczył na równe nogi i podążył za nią ..

- Przykro mi, ale na takim świecie żyjemy, takie są zasady.

Dogonił ją u podnóża betonowych schodków i próbował dorównać jej kroku.

- Słuchaj, Julie, ja naprawdę chciałbym się z tobą gdzieś wybrać, razem z Madelyn albo bez niej. Chciałbym cię poznać przed skończeniem tego filmu.

Julie zerknęła na niego z boku. Vance Stuart był dobry w swoim zawodzie, rozsądny, nigdy się nie spóźniał i zawsze czekał na wskazówki reżysera dotyczące granej przez niego postaci. Miał ambicję i sporo energii, chociaż czasami był nieco przesadny w sposobie mówienia i egoistyczny. Zanim zdobył sławę, grając zbyt dużo pijącego playboya w jednym z lepszych popołudniowych seriali, wykonał swoją porcję roboty w przedstawieniach letnich i off - Broadwayowych. Dzięki serialowi pozyskał oddanych wielbicieli, a dzięki nim od trzech lat jego nazwisko na afiszu zapewniało sukces kasowy filmom, w których grał. Zawsze kręciła się koło niego jakaś piękna młoda osóbką; z kobietami szło mu łatwo i cenił sobie te kontakty. Z przyjemnością też brał udział w życiu towarzyskim Los Angeles, brylował wśród tłumu tych, którzy kupowali szampana w ogromnych

dwudziestokwartowych butlach i serwowali kokainę w srebrnych wazach. To właśnie w takim towarzystwie poznał go Allen, który doszedł do wniosku, że Vance nadaje się do roli Jean - Pierre'a.

Julie z biegiem lat rozwinęła w sobie szósty zmysł, pozwalający jej rozpoznawać mężczyzn uganiających się za kobietami, którzy usiłowali zrobić na niej wrażenie swoim wyglądem i osobowością. Niektórzy robili to dla sportu, inni by schlebiać własnemu ego, a niektórzy po to, żeby coś od niej uzyskać. Nic nie wskazywało na to, że Vance jest mężczyzną należącym do jednej z tych grup, ale Julie była ostrożna.

- Pracujemy razem codziennie - powiedziała niefrasobliwie.

- Nie miałem na myśli pracy.

- A ja mam na myśli wyłącznie ją. Zdaje mi się, że garderobiana cię woła.

Vance spojrział przez ramię w stronę przyczepy, w której mieściła się garderoba. Przed przyczepą stała przysadzista kobieta o siwiejących włosach; w swoim codziennym mundurku składającym się z dżersejowych spodni i koszulowej bluzki.

Przyjmując tę odprawę z grymasem na twarzy, Vance powiedział:

- Porozmawiamy o tym później.

- Być może - odrzekła Julie i oddaliła się machając ręką.

Ten temat zapewne jeszcze wróci, pomyślała zdając sobie sprawę, że wcale za tym nie tęskni. I bez tego miała dosyć na głowie. Wcale jej się nie uśmiechało zastanawiać się, w jaki sposób hamować zapędy Vance'a nie pogarszając atmosfery pracy. Oczywiście, gdyby sytuacja stała się zbyt niebezpieczna, mogła zacząć mówić o Allenie, a żaden prawie aktor nie chce podejmować ryzyka narażenia się producentowi.

Dzień był ciepły i jasny, a słońce świeciło lekko przyćmione przez jesienną mgiełkę. Dzięki temu światło było doskonałe do zdjęć, bez ostrych kontrastów. Praca zaczęła się dobrze i posuwała się naprzód w przyjemnym, spokojnym rytmie, prawie bez żadnych przeszkód.

Przed południem Julie zrobiła sobie przerwę, chcąc porozmawiać z redaktorem działu rozrywki jednego z dużych dzienników. Było to poważne odstępstwo od jej zasad, uważała jednak, że to, co napisze ten dziennikarz, przyczyni się do wzbudzenia zainteresowania filmem i skłoni miejscową społeczność do współpracy. A poza tym wierzyła święcie w to, co mówiło krążące po Hollywood porzekadło: że każda reklama jest dobrą reklamą.

Wczesnym popołudniem mieli całe kilometry taśmy ze zdjęciami łodzi ścigających inne łodzie, mieli też zbliżenia Vance'a w pędzącym skifie. Byli więc gotowi do nakręcenia końcowej, bardzo dynamicznej sekwencji z udziałem kaskadera.

Przez cały niemal dzień Julie czekała na Reya i ciotkę Tine. Spodziewała się, że przybędą drogą wodną, być może dlatego, że tamtego wieczoru Rey przywiózł ją i odjechał tą właśnie drogą.

Nie zwracała uwagi na samochody i ciężarówki jadące nieprzerwanym strumieniem. Była więc zdumiona, kiedy kończąc dyskusję z operatorem zobaczyła wysokiego Cajuna i jego starą ciotkę wysiadających z dżipa Cherokee.

Rey i ciotka Tine nie byli sami. Towarzyszyła im brunetka o ładnych rysach twarzy, szczupłej sylwetce i łagodnym sposobie poruszania się, podobna do tancerki Degasa. Julie skończyła rozmowę z Andym Russellem i ruszyła na spotkanie nowo przybyłej trójki.

Ciotka Tine przedstawiła kobietę, mówiąc, że to Donna Lislet, żona kaskadera znajdującego się właśnie na kanale i przygotowującego się do wykonania numeru.

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, że ją tu przywieźliśmy. Umiera z ciekawości, chce zobaczyć męża w akcji. Kiedy usłyszała, że ja się tu wybieram, zmusiła Reya, żeby ją zabrał.

- To świetnie - powiedziała Julie, a potem spojrzawszy szybko na starszą kobietę i wymieniwszy z nią uśmiech, zwróciła się do Donny: - Z przyjemnością tu panią witam. Mam nadzieję, że nie rozczaruje się pani. Przeważnie filmowanie nie jest ciekawe. Jest przy tym tylko dużo pośpiechu i czekania.

- Jestem pewna, że to fascynujące.

Głos młodej żony był przyjemny, ale mówiła z pewnym chłodem. Najwyraźniej postanowiła nie pokazać tego, pod jakim jest wrażeniem. Mimo to jej oczy, brązowe i błyszczące, schowane za ogromnymi okularami słonecznymi z fioletowymi szklami, przyglądały się bacznie temu, co działo się dookoła.

Ciotka Tine interesowała się wszystkim. Julie starała się uprzejmie odpowiadać na jej pytania; równocześnie nie tracąc z oczu ekipy. Stan i Ofelia wraz z sześcioma innymi osobami przygotowywali łodzie. W tej scenie Cajun Jean - Pierre, manewrując swoim zdezelowanym, aluminiowym skifem o okrągłym dnie, wyposażonym w silnik o mocy stu pięćdziesięciu koni mechanicznych, miał się wymknąć nasłanym przez żonę opryszkom, którzy płynęli szybką motorówką.

Większa część tej długiej sceny została już sfilmowana; łodzie pędziły wzdłuż kanałów poniżej klubu jachtowego albo w dół rzeki na złamanie karku, biorąc ostre zakręty. Teraz miały się przenieść w to miejsce, w którym rzeka była szersza i gdzie dwie noce wcześniej omal nie została roztrzaskana piroga Julie. Aluminiowy skif i szybka motorówka miały się zabawić w "gonionego" wśród cyprysów i martwych kłód. Pod koniec tej zabawy Paul Lislet, zajmujący miejsce Vance'a w skifie, miał się posłużyć ogromnym martwym cyprysem - który zwałił się do wody, ale wciąż był połączony z korzeniami - i użyć go jako prowizorycznej rampy. Zgodnie ze scenariuszem skif powinien uderzyć w tę rampę i wylecieć w powietrze nad korzeniami cyprysa, między którymi miała ugrzęznąć szybka motorówka, by potem wypłynąć z powrotem na rzekę.

Pospiesznie zbudowana pływająca platforma została przyholowana w pobliże miejsca kręcenia sceny w celu stworzenia dogodnego punktu obserwacyjnego dla kamery, reżyserki i jeszcze paru osób. Za kilka minut Julie wraz z tymi osobami miała się udać na tę platformę.

Vance Stuart, zgodnie z umową, wyszedł ze swojego karawaningu i niedbałym krokiem zbliżył się do grupy. Ciotce Tine okazywał niejaki szacunek i wdzięczność za pochwały, których mu nie szczędziła, mówiąc z podziwem o jego talencie. Złożył nawet autograf na egzemplarzu scenariusza i ofiarował jej ten egzemplarz, a potem, być może poruszony tym, że sprawił jej taką przyjemność - starsza pani aż się zarumieniła - przeszedł się z nią objaśniając, co robił tego dnia na planie.

Rey Tabary stał nieco z boku. zachowywał się swobodnie. Jeżeli nawet został zmuszony do przybycia tutaj, nie robił z tego problemu. A jednak kiedy patrzył na Julie, a potem przenosił wzrok na ciotkę i aktora, w jego oczach pojawiał się wyraz ironii; był najwyraźniej rozbawiony. Julie zauważyła to i zaczęła podejrzewać, że Rey domyśla się jej spisku z ciotką. Nie przejęła się tym - ważne, że plan się powiódł. Musiała teraz tylko wykorzystać okazję.

Rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu. Czarny, długi samochód marki Lincoln, w którym pasażer był oddzielony od kierowcy oszkloną ścianką, prowadzony przez szofera w liberii, przejechał szybko przez most i wjechał na klubowy parking.

Kiedy się zatrzymał wzbijając tuman kurzu, wysiadła z niego.

Madelyn de Wells z torebką z firmy siostr Fendi pod pachą. Podeszła wolnym krokiem do Julie i pozostałych, a idąc trzymała wysoko głowę ze starannie ufryzowanymi ciemnymi lokami, tak że padające pod odpowiednim kątem promienie słońca w korzystny sposób oświetlały jej twarz w kształcie serca. Uśmiech igrający na czerwonych wargach był uśmiechem, który pewien recenzent nazwał nie bez racji drapieżnym. Obcisły żółto -czarny kostium od YSL był nieco rażący wśród dzikiej przyrody, chociaż odpowiednio dobrany do postaci, którą Madelyn grała.

Za Madelyn pojawiła się Summer Davett, odtwórczyni roli jej dorastającej córki imieniem Alice, oraz jej matka, Annette Davett. Obie szły za wyrafinowaną aktorką, jak gdyby nie bardzo wiedząc, gdzie jest ich miejsce.

- Nie dziw się tak bardzo - powiedziała Madelyn do Julie z dźwięcznym śmiechem wyćwiczonym podczas grania licznych ról, a właściwie wciąż jednej i tej samej roli kobiety bez serca, romansującej z cudzym mężem. - Ja wiem, że dzisiaj nie gram, ale dowiedziałam się pocztą pantoflową, że będą tu się działy interesujące rzeczy. Dlatego wszystkie trzy nie pojechałyśmy do motelu, tylko zjawiłyśmy się tutaj.

Julie pomyślała, że chodzi o scenę z udziałem kaskadera. Madelyn lubiła bowiem sceny niebezpieczne i zwykle je oglądała. Nie była w tym odosobniona. Liczba widzów na planie zawsze rosła wprost proporcjonalnie do stopnia ryzyka kręconych zdjęć. Julie zdenerwowała się trochę tym, że w opinii plotkarzy te dzisiejsze są interesujące ponad przeciętną miarę.

To, że Madelyn i inni słyszeli różne pogłoski w Nowym Orleanie, nie było zbyt zaskakujące. W świecie filmu plotkarstwo jest bardzo, rozpowszechnione. Szeptane opowieści błyskawicznie przedostają się z planu do prasy. Po części wynika to z charakteru pracy filmowców - ich izolacji od miejscowej społeczności i wysokiego stopnia koncentracji na wykonywaniu swoich zadań. Ponadto w tym świecie istnieje widoczna współzależność między rozgłosem, sukcesem i niepewnością egzystencji. Każda informacja może zaważyć na tym, że coś się uda lub nie, że odniesie się sukces bądź poniesie porażkę.

Nowo przybyłe zostały przedstawione zebranemu towarzystwu.

Madelyn stanęła obok Reya, od którego nie odrywała oczu od chwili gdy wysiadła z samochodu. Biorąc go pod ramię, owinięła się wokół niego jak wistaria wokół kraty altany.

- Więc to pan jest tym Szczurem Bagiennym? Słyszałam o patiu. Czy naprawdę będzie pan z nami pracował? Julie mówiła o Reyu Ofelii i Stanowi, ale nikomu więcej.

Sprawność poczty pantoflowej jest czasami denerwująca.

- To jeszcze nie jest pewne - odezwała się szybko. - Może ty byś nam pomogła przekonać pana, żeby się zgodził.

Madelyn obrzuciła Julie zaledwie przelotnym spojrzeniem. Jej przymilny wzrok przylgnął natomiast do Reya. Uśmiechając się powiedziała:

- Bardzo bym chciała spróbować. Może wstąpiłby pan do mnie na drinka i opowiedział mi o wszystkim?

Donna Lislet wydała cichy dźwięk świadczący o tym, że przyjmuje to z niesmakiem. Julie spojrzała na nią i zobaczyła, że obserwuje aktorkę zmrużonymi oczami Madelyn, nie interesująca się zupełnie odczuciami innych, często budziła antypatię wśród kobiet Nigdy się jednak tym nie przejmowała.

Hipokryzja nie była jedną z wad Madelyn, chociaż tych jej nie brakowało. Była wielką egocentryczką. Ceniła bardzo pieniądze, a w każdym razie biżuterię, stroje, samochody i inne luksusy, które można było za nie dostać. Najbardziej jednak uwielbiała mężczyzn. Każdy nie zwykły okaz męskiej urody był dla niej jak smakołyk dla żarłoka. Należało się spodziewać, że obecność Madelyn podziela na Reya Tabary'ego zachęcająco i że teraz zgodzi się na propozycję Julie, wyglądało bowiem na to, że aktorkę trudno będzie od niego oddzielić.

Rey jednak zachowywał niezależność i nie potrzebował pomocy.

- Doceniam pani zaproszenie - powiedział do Madelyn, rzucając jej pospieszny uśmiech - ale powinienem raczej pilnować cioci i nie dopuścić do tego, by zaczęła prześladować głównego aktora.

- Nie dopuścić do czego? - spytała ciotka Tine oburzona, podchodząc wraz z Vance'em do pozostałych.

Bratanek uśmiechnął się do niej wesoło. Równocześnie stanowczym ruchem uwolnił rękę z uścisku Madelyn i odwrócił się do dziewczynki i jej matki, chcąc się z nimi wreszcie przywitać.

Dziewczynka, przedwcześnie rozwinięta jak na swój wiek wskutek ciągłego przebywania na planach filmowych, obserwowała zabiegi aktorki. Kiedy Rey uściśnął jej dłoń, posłała mu wymowny uśmiech. Odpowiedział na to spojrzeniem uprzejmym i niewzruszenie spokojnym. Uśmiech zniknął z twarzy nastolatki, która stała się znowu opryskliwa jak zwykle.

Dwunastoletnia, drobna dziewczynka o prostych blond włosach i nieregularnych rysach, obdarzona była jedną z tych ruchliwych twarzy, które ukazane przez kamerę okazują się fascynujące. Grywała postacie w wieku od lat siedmiu do ponad czternastu i potrafiła się wcielić w każdą z nich, od wrzeszczącego bachora po pragmatycznego małego aniołka. W Królestwie bagien miała się przekształcić z zarozumiałej małej bogaczki w sukience z falbankami, z osóбки będącej kosztownie ubraną zabawką matki, którą nauczono bać się wszystkiego, w samodzielną odważną chłopczycę. Jak dotąd była doskonałą aktorką, mimo że czasami miewała ataki złości i trudno było sobie z nią poradzić.

- Mam nadzieję, że będą się państwo dobrze u nas bawili - powiedziała Annette Davett do Reya i jego ciotki swoim piskliwym, zdyszonym głosem. - Jestem pewna, że tak będzie. My, aktorzy, mamy swoje dziwactwa, ale

kiedy się nas pozna, okazuje się, że jesteśmy całkiem nieszkodliwi.

Matka Summer przerwała, spodziewając się entuzjastycznej reakcji. Kiedy słuchacze zareagowali tylko uprzejmie i zdawkowo, na jej twarzy pojawił się wyraz rozczarowania. Annette była w dzieciństwie gwiazdką. Podobną do Summer i nigdy nie przestała się spodziewać, że ludzie będą ją poznawali. Wyglądem różniła się znacznie od córki; była drobną blondynką o nieprzeciętnej urodzie, z lokami jak świderki i z dołeczkami w policzkach. Jednak jej kariera trwała zaledwie parę lat, gdyż wkrótce jej rysy przestały nadawać się do filmu. Wyrosła na bladą kobietę, wiecznie utyskującą i wspominającą czasy, w których była sławna. Była raczej żalosna w swym uporze, w pragnieniu ponownego przeżycia tamtych lat za pośrednictwem córki i w chęci zrobienia z Summer wielkiej gwiazdy. Grała tradycyjną rolę matki małej aktorki, wymuszając natręctwem i intrygami lepsze ujęcia i większą reklamę dla swego dziecka. Wskutek tego członkowie ekipy unikali jej, a aktorzy traktowali z góry. Julie było jej żal, ale także starała się jak najmniej mieć z nią do czynienia.

Donna Lislet oddaliła się od całego towarzystwa. Stała teraz i patrzyła na wodę, osłaniając oczy dłonią przed jaskrawym światłem słońca. Zaczęła machać ręką. Szczupły mężczyzna na aluminiowym skifie unoszącym się na kanale - najwyraźniej jej mąż - wstał na ten widok. Jego opaloną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Pomachał do niej wesoło. Zobaczywszy Reya, podniósł w górę kciuk.

Stan McNeilly, który kierował pracą kaskadera, coś do niego właśnie krzyczał. Głos wydobywał się z łodzi z kabiną znajdującą się w pobliżu. Stan odwrócił się na chwilę i powiedział coś do człowieka trzymającego ster. Łódź zawróciła i popłynęła w stronę mola.

- Czas zaczynać - powiedziała Julie do Reya i pozostałych.

- Zaczynamy?

Summer przyglądała się łodziom przygryzając dolną wargę.

Rzuciła okiem na Reya z wyrazem zastanowienia, który dziwnie wyglądał na jej ładnej buzi, a potem spojrzała w kierunku Julie. Jej brązowe oczy patrzyły poważnie, kiedy powiedziała:

- Ja też chciałabym popatrzeć. Czy możemy pójść tam z mamą? Zanim Julie zdążyła odpowiedzieć, odezwała się Annette Davett:

- Nie bądź niemądra, Summer. Wiesz, że będziesz tylko przeszkadzała. A poza tym musisz się uczyć tekstu na jutro, do sceny łowienia ryb.

- Oj, mamó - odrzekła dziewczynka.

- Dobrze wiesz, że to ważniejsze.

Annette Davett mówiła piskliwym karcącym tonem. Julie słysząc ją chciała się sprzeciwić i zabrać dziewczynkę ze sobą. Ale tylko się uśmiechnęła i odwróciła w stronę łodzi z kabiną, ściskając Summer lekko za ramię.

Wsiedli na pokład dużej, mocnej łodzi z silnikiem na jałowym biegu. Odpłynęła od mola, następnie rozwinęła większą prędkość i kołysząc się płynęła naprzód krętą rzeką; pozostawiała za sobą głęboką bruzdę na wodzie i tworzyła fale, które obmywały oba brzegi. Słońce odbijające się w wodzie oślepiało. Duży biały żuraw

zatrzepotał skrzydłami, posuwając się z wdziękiem w zwolnionym tempie, a jego sylwetka odcinała się od migoczącej jak brylant wody. Drzewa rosnące na brzegu tworzyły cień kontrastujący swoim chłodem i ciemną barwą z jasną wodą.

Julie stanęła twarzą do wiatru, z przyjemnością poddając się łagodnemu kołysaniu. Przypomniała jej się przejażdżka z Reym Tabarym. Odwróciła głowę. Rey obserwował ją, jego spojrzenie było poważne, choć z lekka roztargnione. Kiedy ich oczy się spotkały, na jego ustach na chwilę pojawił się uśmiech.

- To miło z pana strony, że przywiózł pan tutaj ciotkę - odezwała się Julie.

- To ja ją przywiozłem? - zapytał spokojnie. - Mnie się zdawało, że to ona przywiozła mnie.

- Jakkolwiek było, wierzę, że nie będzie pan tego żałował .. Objął spojrzeniem całą jej postać, a potem jeszcze raz zatrzymał wzrok na jej twarzy o ładnie zarysowanych kościach policzkowych, na których słońce zamieniło opaleniznę w brzoskwiniowożółtą przezroczystą mgiełkę.

- Prawdopodobnie będę tego żałował, ale jakie to ma znaczenie?

- Julie - pewnie po tych słowach - przypomniał się Allen. Próbowała wyobrazić sobie człowieka, z którym żyje od lat, mówiącego podobne słowa, ale bez skutku. Allen za wszelką cenę usiłował postępować tak, by niczego nie żałować. Uważał, że ktoś, kto zachowuje się w sposób, którego potem żałuje, jest mało inteligentny, ponieważ nie potrafi przewidywać. U producenta umiejętność przewidywania to dobra cecha, która zapewnia rozsądne postępowanie.

Platforma z kamerami, osadzona na pontonach o dużej nośności znajdujących się przy brzegu, była nieco zatłoczona. Oprócz sprzętu znalazły się na niej nadprogramowe osoby, nie było w tym jednak nic niezwykłego. Julie zostawiła Reya, ciotkę Tine i resztę towarzystwa po jednej stronie platformy, a sama przeszła na drugą, żeby się skonsultować z operatorem. Potem włożyła słuchawki, by usłyszeć ostatnie polecenia, które Stan, przebywający wciąż na łodzi z kabiną, dawał Paulowi Lisletowi i aktorom grającym opryszków. Skif i szybka motorówka kręciły się z pozoru bez celu albo kołysały się na wodzie, a tymczasem członkowie ekipy sprawdzali kamerę główną osadzoną na kranie, a także pozostałe kamery i sprzęt dźwiękowców, znajdujące się na platformie i na łodzi z kabiną. Ponieważ czekanie przedłużało się, Ofelia otworzyła dla zgromadzonych zimne napoje.

W końcu wszystko było gotowe. Julie dała komendę do rozpoczęcia zdjęć. Komenda została powtórzona przez Ofelię stojącą obok kamery głównej i Stana znajdującego się na łodzi z kabiną.

Podczas kręcenia bardzo dynamicznych scen Julie odczuwała zawsze silne napięcie. Zdjęcia rzadko wtedy przebiegały zgodnie z planem, a niespodzianki zdarzające się podczas filmowania nie zawsze były przyjemne, pociągały też za sobą dodatkowe koszty, często dość wysokie. Coś, co było doskonałe na papierze, nie zawsze dawało się realistycznie przetransponować na obraz filmu; na taśmie okazywało się bezsensowne. Członkowie ekipy, dokładnie wykonujący polecenia Julie w scenach dramatycznych czy romantycznych, zwykle w scenach o dynamicznej akcji wpadali na szalone pomysły. Julie denerwowało to, że w takich momentach nie panuje nad sytuacją, zwłaszcza że była przecież odpowiedzialna za cały film.

Tym razem wydawało się, że wszystko idzie dobrze. Skif wypłynął szybko z tunelu między drzewami, ciągnąc za sobą spienioną, rozdziałającą się brudę, która przypominała zamek błyskawiczny. Przeleciał zygzakiem przez otwartą przestrzeń wodną, omijając kikuty drzew i na wpół zatopione pniaki. Paul Lislet kucnął z tyłu przy sterze i oglądał się przez ramię na pędzącą za nim szybką motorówkę. Jeden z ubranych na czarno mężczyzn znajdujących się w motorówce wychylił się, strzelając z pistoletu maszynowego typu AK47. Seria strzałów poszła w wodę z zawodzącym wizgiem. Skif zachybotał się i zawrócił, przecinając brudę wodną pozostawioną przez motorówkę, a potem śmignął pomiędzy cyprysami rosnącymi gęsto przy brzegu położonym naprzeciwko platformy. Był to brawurowy pokaz zręczności i silnych nerwów. Kaskader przeprowadził skifa błyskawicznie między drzewami, bawiąc się w chowanego z plamami słońca i gęstego cienia, ginąc i wynurzając się na przemian, co na filmie miało dać znakomity efekt.

W ślad za dwiema ścigającymi się łodziami wyskoczyła z bocznego kanału łódź z kabiną, podążając za szybką motorówką. Za kamerą widać było Stana, który wciąż wykrzykiwał polecenia przez walkie - talkie, a równocześnie pochylał się i krzyczał coś do kamerzysty. Trudno było osądzić, czy jego ludzie go słyszą, gdyż ryk silników niósł się po wodzie i odbijał echem od linii drzew.

Kątem oka Julie zobaczyła, że Rey przechodzi na skraj platformy i chwytając się jedną ręką pionowego słupa, obserwując akcję zmrużonymi oczami. Uświadomiła sobie z satysfakcją, że scena, którą spreparowała wraz z ekipą, musi być ekscytująca, skoro przykuwa jego uwagę.

W tym momencie skif robił jeszcze jedno koło. Mknął z maksymalną szybkością, zataczał szeroki łuk, igrając z motorówką, z której znowu padały strzały. Zawrócił i popłynął za łodzią z kabiną, żeby operator, odwróciwszy kamerę, mógł zrobić zdjęcia z przodu. Następnie Paul Lislet zrobił zwrot, oddalił się od łodzi z kabiną i wziął szeroki zakręt, wabiąc i pociągając za sobą motorówkę, prowadząc ją znowu w stronę gęsto rosnących, tworzących przeszkodę cyprysów i prowizorycznej rampy oraz czarno brązowych, wystających nad wodę korzeni.

Rey nagle odepchnął się od pionowego słupa, oparł ręce na biodrach i obserwował łodzie. Rozejrzał się szybko, szukając wzrokiem Julie. Kiedy ją odnalazł, krzyknął:

- Przerwać to! Przerwać natychmiast!

Julie, skupiona na tym, co dzieje się na wodzie, odwróciła się w jego stronę zdejmując słuchawki, niepewna, czy z powodu hałasu dobrze usłyszała.

- Co takiego? - spytała.

- Coś jest nie tak! Skif nie idzie tak jak trzeba - odpowiedział Rey twardo. - Niech pani spojrzy!

Julie nic nie widziała. Mniejsza łódź nie zwolniła. Wydawało się, że jest posłuszna człowiekowi przy sterze. Ale czy na pewno? Czy przypadkiem nie reagowała z opóźnieniem na ruchy kaskadera? Czy nie zmieniła kierunku, lecąc z zawrotną szybkością w stronę cyprysów?

- Stop! - krzyknęła Julie. - Stop! Stop!

Usłyszała, że jej okrzyk odbija się echem od wody, i powtarzają go Ofelia i Stan; usłyszała go w miniaturze we własnych słuchawkach. Operatorzy zaczęli kląć i kamery przestały pracować.

Ale było za późno. Skif wpadł między cyprysy, a motorówka podążyła za nim. Obie łodzie ogarnął mrok, a chwilę później rozległ się trzask Skif zakręcił się w fontannie wody. Rąbnął w wysoki cyprys. Rozległ się głuchy huk i piskliwy odgłos towarzyszący rozcinaniu metalu. A potem skif wylądował tuż przed nadlatującą motorówką, która nie mogąc się zatrzymać, uderzyła prosto w niego unosząc w górę dziób. Szklane włókno wyleciało w powietrze, rozpadając się z trzaskiem, kiedy druga łódź przewaliła się nad pierwszą, lecąc łukiem przy ostrym ryku silnika pracującego na najwyższych obrotach. Motorówka spadła, waląc z hukiem o powierzchnię wody, a jej silnik zakrztusił się i umilkł.

Donna Lislet zaczęła krzyczeć. Jej przerażający krzyk wydobywał się prosto z gardła. Rey Tabary, zrobiwszy kilka kroków w jej kierunku, objął ją, a ona ukryła twarz na jego szerokim ramieniu. Rey obejmował ją mocno, zasłaniając czerwoną plamę rozszerzającą się na powierzchni brązowej wody.

- Jeżeli nie potrafi pani tego zrobić, panno Bullard, mówiąc wprost - jeżeli nie potrafi pani nakręcić tutaj filmu, nie poświęcając przy tym dwóch rąk i nogi - to będziemy musieli przekazać film komuś innemu.

- Przekazać komuś innemu? - powtórzyła Julie stłumionym głosem, patrząc na mężczyznę, który zarekwirował jej biurko i siedział na jej krześle.

- Zaangażujemy innego reżysera, kogoś, kto będzie lepiej wiedział, na co wydawać pieniądze.

- Nie może pan tego zrobić! - powiedziała Julie pochylając się nad biurkiem i opierając się o nie obiema dłońmi.

- Mogę, i pani dobrze o tym wie - odrzekł mężczyzna uśmiechając się nerwowo. - Wystarczy, że wydam takie polecenie.

Julie nie oczekiwała, że spotkanie z księgowym firmy ubezpieczeniowej będzie przyjemne, ale nie przypuszczała też, że człowiek ten doprowadzi ją do pasji. Nerwy miała maksymalnie napięte również dlatego, że przez ostatnie cztery dni nie mogła kręcić, gdyż Biuro Szeryfa Parafii Świętego Jakuba badało okoliczności wypadku. Udzielanie odpowiedzi na pytania policjantów i innych urzędników państwowych oraz odpiernanie ataków, które media kierowały do niej w sposób bardziej czy mniej uprzejmy, nie ułatwiało jej życia. Jednak tym, kto przede wszystkim doprowadzał ją do szału, był niejaki Davies, księgowy z firmy ubezpieczeniowej.

To, że spędził ostatnie kilka dni ryjąc w jej papierach, korzystając z jej zaopatrzenia, siedząc przy jej biurku i na jej krześle, używając jej bibuły i dzwoniąc z jej telefonu, było wprost nie do wytrzymania. Julie nie znosiła, kiedy ktoś dokonywał inwazji na teren jej pracy, przerzucał jej papiery i przeglądał pocztę. A najgorsze było to, że Davies traktował ją protekcyjnie. Był człowiekiem otyłym, łysiejącym, miał brzydką cerę i nieprzyjemnie pachniał. Starał się pokryć te defekty natury, demonstrując swoją władzę i znajdując w tym przyjemność.

- Niech pani ma odwagę to przyznać - mówił dalej. - Ten wypadek zrujnował pani budżet. Trzeba będzie kupić nowe łodzie, pokryć koszty pogrzebu Lisieta i rachunki za pobyt w szpitalu dwóch pozostałych kaskaderów. Na dodatek trzeba będzie płacić ekipie za czas przestoju, żywić ją i płacić za jej pokoje w motelu. Wszystko to będzie kosztowało majątek. Wątpię, czy będziemy czekać dwa tygodnie, aż wyda pani pieniądze. Myślę, że mamy prawo sprowadzić zespół księgowych już jutro. Przyjrzą się temu, co pani robi, ograniczą wydatki, pozbędą się wszelkich koronek i kokardek, wszelkich ozdóbek.

Julie spojrzała na niego ostro.

- Tu nie ma żadnych koronek i kokardek, jak je pan określa. Każda scena, kwestia i każde zdjęcie ma swój cel i znaczenie.

- Niech się pani nie złości. Nie mówię, że tu się wszystko rozłazi dlatego, że jest pani kobietą...

- Czyżby - powiedziała Julie tonem bynajmniej nie pytającym.

- Ta praca wymaga twardych decyzji, no i... siły woli pozwalającej je zrealizować.

- Ma pan częściowo rację.

- Tak. No i nie ma co gadać o spójności i ciągłości dzieła.

- Słyszałem to wszystko nie raz. To nie ma żadnego znaczenia. Nie przy tych pieniądzach, które trzeba w dzisiejszych czasach wydać na film. Potrzebujemy kogoś, kto zrobi co trzeba, i koniec. To proste. Albo robi to pani, albo ktoś inny.

- Najlepiej jakiś księgowy.

Jej głos brzmiał stanowczo i był pełen urazy.

- Jeżeli trzeba, to niech i tak będzie. Jestem pewien, że się zrozumieliśmy, ale na ,Wszelki wypadek pogadam z Gravesendem. - Wątpię, czy będzie pan mógł przekazać mojemu narzeczonemu jakieś nowe informacje na temat naszej sytuacji.

Julie nieczęsto chwaliła się swoim związkiem z Allenem, ale głos Daviesa zabrzmiał tak chytrze, że tym razem nie mogła się powstrzymać.

- Mimo to porozumiem się z nim.

- Jeżeli to ma poprawić pańskie samopoczucie, to proszę bardzo - powiedziała Julie zdenerwowana.

- I będziemy mieli oko na wszystko, co się tu dzieje. Możemy panią skontrolować bez uprzedzenia.

- Rozumiem. Ale tymczasem mam pracę do wykonania. Przykro mi, że muszę pana wyrzucić z biura, ale jest to miejsce, w którym pracuję. Z pewnością chciałby pan widzieć, że wzięłam się znowu do roboty.

Błada twarz Daviesa poczerwieniała. Zaczął jednak zbierać swoje papiery.

Julie z wielką satysfakcją zamknęła za nim drzwi. Mimo to nie mogła wrócić do pracy zaraz po jego wyjściu. Po pierwsze, żadna ilość dezodorantu nie była w stanie zlikwidować przykrego zapachu, a ponadto - trudno jej było zebrać myśli.

Była odpowiedzialna za śmierć Paula Lisieta. Oczywiście nie miała nic wspólnego z tym, że linka sterownicza na jego łodzi była przeżarta przez kwas z generatora, ale to ona wydała ostateczną zgodę na wykonanie numeru, podczas którego Lislet stracił życie.

Powinna być mniej lekkomyślna rozpatrując propozycje Stana, a nawet samego Paula Lisieta, należało wybrać ostrożniejszą wersję tej sceny. Trzeba było dopilnować, żeby ludzie z ekipy dokładnie obejrzeni skif, a nie polegać na opinii dostawców, którzy zapewniali, że łódź jest w idealnym stanie.

Z drugiej jednak strony żadna z tych rzeczy by nie zapobiegła wypadkowi. W tym, że kaskaderowi nie udał się numer, nie ma nic niezwykłego. Nawet najlepsi łamią sobie kości przynajmniej raz w życiu. Taki jest charakter tej gry. To, co w kinie wydaje się niebezpieczne, często robi takie wrażenie właśnie dlatego, że naprawdę jest niebezpieczne. Z tego powodu kaskaderom płaci się tak dobrze. Tak, płaci im się tak dobrze dlatego, że ich praca jest niebezpieczna. Nawet śmierć jest tu niczym szczególnym.

Do tej pory jednak nikt nie zginął podczas kręcenia żadnego z jej filmów.

Julie nie mogła zapomnieć chwili, kiedy obie łodzie się zderzyły. Obraz ten ciągle powracał w jej myślach; oglądała go, jak wciąż na nowo wyświetlany fragment filmu; słyszała ciche przekleństwo Reya, słyszała, jak ciotka Tine wstrzymuje z przerażenia oddech, z czego wtedy nie zdawała sobie sprawy. W uszach

Julie brzmiały krzyki Donny Lislet.

Kilka razy przyszło jej do głowy, że być może powinna dać sobie spokój z tym filmem, chwilami dochodziła do wniosku, że straciła do niego serce. Myślała o tym, by wyjechać z Luizjany i wrócić do Los Angeles, położyć się na plaży, by wchłaniać słońce i wiatr, i zapominając o Królestwie bagien oczekiwać pomysłu na nowy film. Myśl o tym była tak pociągająca, że Julie z trudem powstrzymała się od pakowania swoich rzeczy.

Jednak było to niemożliwe. Zbyt wielu ludzi było od niej zależnych, zbyt wiele pieniędzy zainwestowano w ten film. Nie można było tego tak po prostu rzucić. A poza tym musiała przecież udowodnić, że jest w stanie zrobić ten film. Pragnęła tego bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Pogrzeb Paula Lisieta miał się odbyć tego popołudnia. Odwłókł się, gdyż Paul nie zmarł śmiercią naturalną i trzeba było przeprowadzić sekcję zwłok. Julie posłała kwiaty - we własnym imieniu i w imieniu Excel Films. Usiłowała przekonać samą siebie, że to wystarczy i że nikt nie będzie oczekiwał od niej nic innego. Była to prawda i ona o tym wiedziała. A jednak czuła przerażenie na myśl, że mogłaby się pojawić na pogrzebie i stanąć twarzą w twarz z rodziną i przyjaciółmi Paula. Nie lubiła chodzić na pogrzeby nawet wtedy, gdy była w dobrej formie. Zastanawiała się, czy na tym pogrzebie miałaby odwagę się pokazać.

Doszła wreszcie do wniosku, że rozmyślanie o tym jest bardziej bolesne niż podjęcie jakiejś akcji. Ponieważ zbliżała się pora lunchu, a ona wciąż nie była w stanie nic zrobić, rzuciła długopis na biurko, wyszła i udała się do motelu.

Jedynym ubraniem Julie nadającym się na 'pogrzeb była sukienka z granatowego woalu, do której można było włożyć kapelusz z szerokim rondem. Stojąc niedaleko kościelnych drzwi podczas mszy, Julie czuła, że jest ubrana zbyt elegancko, stanowczo zbyt elegancko jak na to skromne, wzruszające nabożeństwo w starej, wiktoriańskiej kaplicy. Dobrze przynajmniej, że nie musiała wejść do niej sama. Przyszedł z nią Stan, który w ostatniej chwili zaproponował, że będzie jej towarzyszył. Była mu za to wdzięczna.

Na cmentarzu oboje stali tyłu, daleko od zielonego baldachimu, pod którym umieszczone były rzędy krzeseł i gdzie unosił się zapach goździków i wędnących z gorąca chryzantem.

Kiedy została odmówiona ostatnia modlitwa i żałobnicy zaczęli się rozchodzić, Stan chciał się wycofać, ale Julie postanowiła zrobić to, co uważała za stosowne. Poczekała, aż tłum zgromadzony wokół Donny Lislet przerzedzi się, a potem zaszła wdowie drogę.

- Chciałam pani powiedzieć, że boleję bardzo nad tym, co się stało - powiedziała robiąc pospieszny gest współczucia i dotykając ramienia kobiety.

-Nie spojrzała prawie na człowieka, który podtrzymywał Donnę obejmując ją w pasie, chociaż przez cały czas zdawała sobie sprawę, że Rey Tabary znajduje się gdzieś w pobliżu. Robiła też co mogła, by ominąć wzrokiem dwóch chłopców o blond włosach, z których jeden był tak mały, że trzymał go na rękach Rey, a drugi opierał się o matkę.

- Wiem, że to niczego nie zmieni, ale mówię naprawdę szczerze.

- Rzeczywiście - powiedziała Donna i skrzywiła się; po twarzy spływały jej łzy rozmywając makijaż - to niczego nie zmieni.

Oczy Reya spotkały się z oczami Julie. Na jego twarzy malował się smutek, skórę wokół oczu miał napiętą. Mimo to odezwał się łagodnym tonem.

- Panna Bullard nie jest temu winna. Paul wiedział o niebezpieczeństwie i się na nie godził.

Donna podniosła na niego oskarżycielski wzrok, jej ciemne oczy były pełne łez. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, a później wdowa westchnęła i odwróciła się do Julie.

- Tak, przypuszczam, że tak. Dziękuję pani.

Julie odsunęła się, pozwalając im przejść. Czowała na sercu ciężar, z którym oswoiła się w ciągu ostatnich dwóch dni, ciężar, który najprawdopodobniej przestałby ją przygniatać, gdyby się rozpląkała. Patrzyła na tę parę idącą wraz z dziećmi w stronę dżipa Reya i zastanowiło ją, że idą tak blisko siebie. Zastanowił ją sposób, w jaki wdowa opiera się na silnym ramieniu przyjaciela męża. Zastanowiło ją wreszcie to, że istnieje między nimi tak bliska więź wynikająca ze wspólnego cierpienia.

Patrzeć na nich stało się nagle jakąś formą podglądactwa. Julie odwróciła wzrok, spojrzała na cmentarz z wystającymi nad ziemię nagrobkami z marmuru i granitu, tak charakterystycznymi dla tej części dolnej Luizjany, spojrzała na kamienne krzyże i wazy, na porośnięte mchem inskrypcje nawiązujące do dawnych tragedii i nieszczęść. Czas stępił ból, uczynił te tragedie możliwymi do zniesienia. Bez wątplenia śmierć Paula Lisileta też z czasem przestanie wywoływać tak wielkie cierpienie.

- Witam panią, chere - odezwała się zza pleców Julie ciotka Tine. - Gdzie się pani podziewała? Myślę, że wprowadzi się pani lada dzień.

Julie odwróciła się, uśmiechając się z wysiłkiem.

- Naprawdę? Nie byłam pewna, czy po tym, co się stało, nasza umowa jest aktualna. Nie wiedziałam, czy pani bratanek będzie chciał, bym mieszkała w pobliżu.

- Rey? A co on ma do powiedzenia? Zresztą on oczywiście nie będzie miał nic przeciwko temu. Wprowadzi się pani dziś wieczorem, dobrze? Wywietrzyłam pani pokój cztery dni temu, dałam też świeżą pościel pachnącą palczatką, tak jak to zwykła robić moja grandmere. Rey sprawdził klimatyzację i powiedział, że działa dobrze. Spodziewam się pani na kolację, nie później. Dziś rano sąsiadka przyniosła mi doskonałe krewetki, przygotuję etouffee. Zrobię go tyle, żeby można było dać trochę Donnie.

Julie zgodziła się. Spotkawszy się z taką gościnnością nie mogła odmówić. Była wdzięczna ciotce Tine. Spokój, jakim emanowała ta kobieta w obliczu wypadku, jej zaproszenie świadczące o tym, że dla niej życie płynie dalej i polega na zapewnianiu wygody innym - wszystko to działało kojąco. Julie zastanawiała się, czy ciotka Tine robi to celowo, bo zauważyła, że ona, Julie, potrzebuje ukojenia, czy też z jej charakteru albo tradycji rodzinnej wynika to, że jest praktyczna i życzliwa.

Kiedy Julie tuż po zachodzie słońca przyjechała z rzeczami, Reya nie było w domu. Ciotka Tine pomogła jej wnieść walizki i laptopa, a także pudła, w których mieściło się jej przenośne biuro i trochę niezbędnych

drobiazgów - Julie wozila je ze soba, by upodobnial swoje kwatery do domu. Obiecujac kieliszek wina na galerii, starsza kobieta zostawila ja tymczasem, zeby sie rozgoscila w swym nowym pokoju.

Pokoj byl duzy, mial dobra wentylacje, wazkie oszlone drzwi prowadzily na tylna galerie. Mial tez dwa okna i drzwi wewnetrzne prowadzace do jadalni. W tym typowym wiejskim domu, zbudowanym w stylu francuskim, nie bylo korytarzy gdz kazdy pokoj laczy sie z innym lub nawet kilkoma. Role korytarzy pelnily czesciowo tylne galerie. Wszystkie pokoje, z ktorych trzy znajdowaly sie we frontowej, a trzy w tylnej czesci domu, laczyly sie ze soba, dzieki czemu w domu panowala atmosfera bliskości i przytulności. Pewnym mankamentem bylo to, ze mieszkancom moglo troche brakowac poczucia prywatności. Sypialnia Julie znajdowala sie w tylnej czesci domu, wraz z jadalnia i jeszcze jednym pomieszczeniem, sluzacym kiedyś jako sypialnia, ktore zostalo przerobione na nowoczesna kuchnie. Sypialnia ciotki Tine byla we frontowej czesci domu, w prawym jego rogu, tak ze Julie dzielila z ciotka jedna z dwuch malych lazienek znajdujacych sie miedzy pokojami. W srodku frontowej czesci domu byl glowny salon, a sypialnia Reya w rogu przeciwnym do sypialni ciotki. Wazkie schody prowadzily z konca frontowej galerii do sypialni na mansardzie.

Umeblowanie pokoju Julie bylo proste. Lozko z czterema slupkami do podtrzymywania baldachimu zrobione bylo z gladkiego palisandru pokrytego miękka patyna starosci. W drzwi palisandrowej szafy wmontowano lustro o scietych ukośnie krawedziach. Narzuta, pokrycie zaglowka i kapa byly uszyte ze sztywno wykrochmalonego bialego plótka, ozdobionego ręcnie robiona merezka. Nad lozkiem znajdowal sie krucyfiks z kości sloniowej, a po obu stronach oszlonych drzwi prowadzacych na galerie wisialy dwa sztychy w owalnych ramkach, przedstawiajace amorki. Na podlodze, ulozonej z róznej szerokości cyprysowych desek, lezaly wypłowiale ze starosci, uprane dywaniki w lagodnie harmonizujacych odcieniach błękitu, rózu i zieleni.

Lazienka byla rownie staromodna. Wanna wspierala sie na lapach z pazurami, komoda miala drewniany blat, a umywalka osadzona byla na starej podstawie z porcelanowymi galkami przy szufladach. Lustro zawieszono ukośnie. Ręczniki byly porzadne, grube, a goracej wody nie brakowalo. Julie wzieła zaraz kapiel, po czym przebrala sie w dzinsy i koszulowa bluzka. Rozlozyla wszystkie swoje rzeczy, nawet przenosne biuro umiescila na jednym z zapasowych stolow stojacych w kątach sypialni. Gdyby pozostawiono ja samej sobie, nie opuścila by pokoju, popracowalaby troche i unikala spotkania z kimkolwiek. Jednak nie mogla zlekcewazyć zaproszenia ciotki Tine. Wyszla wiec z pokoju i udala sie na poszukiwanie gospodyni.

- Widzi pani teraz, co mialam na ,mysli mowiac, ze Rey nie bedzie sie wtracal do zadnej z nas? - powiedziala ciotka Tine, kiedy obie siedzialy juz na tylnej werandzie, kolyszac sie powoli w bujanych fotelach i saczac wino.

- Kiedy mu oznajmialam, ze pani sie dzis wprowadza, powiedzial tylko, ze to dobrze.

- Miło mi slyszec, ze nie wyszedl z domu z mojego powodu. Zauwazyłam, ze nie ma jego dzipa.

- Przypuszczam, ze Rey jest ciagle u Lisletów. On im bardzo ,wspolczuje, nie tylko Donnie i chłopcom, ale takze matce Paula, jego ojcu, braciom i siostrom. Zostanie tak dlugo, jak bedzie potrzebny.

- Mam nadzieje, ze ja nie przeszkadzam ani pani, ani jemu. Jezeli bede przeszkadzala, prosze mi natychmiast powiedziec.

- Ależ nie. Miło mi będzie spędzić czas w pani towarzystwie. Zwłaszcza dzisiaj. Nie mam ochoty jeść sama. Ciotka zrobiła minę osoby uzalającej się nad sobą.

- Nie spodziewa się pani, że Rey będzie na kolacji?

- Raczej nie. Zresztą nigdy się tego nie spodziewam. On wychodzi i wraca kiedy chce, o różnych dziwnych porach. Jeżeli w lodówce jest coś do jedzenia, to zjada, a jeżeli nie, to gotuje sobie sam. Pomaga mi w pracach wokół domu, jeśli może. A ja nie żądam więcej. Kiedy zjawia się w domu, cieszę się z tego. A kiedy odjeżdża, nie smucę się, bo wiem, że wróci.

Julie patrzyła na ciotkę Tine z większym niż przedtem zainteresowaniem.

- Czy to znaczy, że pani bratanek nie mieszka z panią stale?

- Ależ nie, chere. Dlaczego pani tak myślała? On przeważnie mieszka w Nowym Orleanie.

- Chyba nabrałam takiego przekonania słuchając, jak mówi o sobie i bagnach. Mógł mi powiedzieć ...

- On lubi żartować - stwierdziła ciotka Reya z pobłażliwym uśmiechem.

- Jeżeli chciał, żebym się poczuła głupio, to z pewnością mu się to udało.

- Nie, nie, to były żarty. On czasami lubi się zgrywać. Podobnie jak wtedy, gdy mówił o tych prymitywnych ludziach zamieszkujących nasz stan. Lubi obserwować, jak długo ktoś będzie w takie rzeczy wierzył.

- Czy to nie jest trochę młodzieńczy rodzaj poczucia humoru?

- Być może. Ale on zajmuje się tyłoma poważnymi rzeczami, że ... Zresztą mniejsza z tym. Tak naprawdę wychował się na rzece i na kanałach. Wyrósł tu, w okolicy. Podobnie jak Paul. Przynosili mi codziennie coś do ugotowania, a to jakiegoś skorupiaka, a to ogon aligatora, a to kosy, a to znów trochę sacque-au-lait, to znaczy ryb u was znanych jako okonie.

- Musieli tworzyć niezłą parę - powiedziała Julie. Nie była pewna, czy chce rozmawiać o Paulu, ale wiadomości na temat Reya mogły jej się przydać. Oczywiście ze względu na film.

- Ależ tak. Pewnego razu, w lecie, kiedy obaj mieli po trzynaście albo czternaście lat, znaleźli po powodzi starą pirogę. Udawali się nią na Missisipi, gdzie łowili ryby i pływali. Często widząc, że zbliża się jacht jakiegoś bogacza; wywracali ją - co, jak pani wie, nie jest takie trudne - i udawali, że to ten jacht spowodował wypadek. Wpływali pod pirogę i chowali się tam, oddychając powietrzem zebrany pod spodem. Ludzie z jachtu szukali ich godzinami. W końcu chłopcy pozwalali się odnaleźć i wyratować i dostawali jeszcze za to sową nagrodę, czasami pieniężną. Ale pewnego dnia przyjaciel ojca Reya, który łowił na rzece ryby, przyłapał ich na tym. W dziesięć minut po powrocie chłopców do domu piroga została spalona!

Julie roześmiała się, wtórując spokojnemu śmiechowi ciotki, a potem pociągnęła łyk wina.

- Mówiła pani, że on zajmuje się czymś poważnym... ?

- Proszę nie zwracać uwagi na staruszkę, która ma krótką pamięć i zbyt długi język - odrzekła ciotka Tine, machając niedbale ręką. - Zapomniałam, że Rey nie pracuje już w agencji antynarkotykowej. Ależ ten czas płynie...

Gdyby Julie upierała się przy tym pytaniu, zbiłaby tylko ciotkę z tropu. Zdając sobie z tego sprawę, zamilkła. Powietrze na zewnątrz było duszne. Jakaś kura czy samiczka pawia zagdakała idąc do kurnika. Świerszcze i żaby śpiewały swoją monotonną, ale spokojną pieśń żalobną. Od czasu do czasu odzywała się też żaba drzewna, wydając dźwięk, o którym Julie od dzieciństwa wiedziała, że zapowiada deszcz. Chwilowo jednak nie było śladu wilgoci. Julie siedziała na galerii, nasłuchując i patrząc, a tymczasem nadciągała noc.

- A co z rodzicami Reya? - odezwała się po chwili. - Czy oni wciąż mieszkają w pobliżu?

- Mól brat i jego żona zginęli w wypadku drogowym, kiedy Rey był na studiach.

- Przykro mi z tego powodu - powiedziała Julie miękko. - A czy Rey ma rodzeństwo?

- Ma młodszą siostrę, która jest mężatką i ma troje dzieci. Mieszkają w Atlancie. Żyje też babka, matka jego matki, w Nowym Orleanie. Teraz, po śmierci Paula, to już wszyscy, którzy mu zostali, poza mną oczywiście. Rey i Paul byli prawie jak bracia.

- Nie miałam pojęcia, że byli sobie tak bliscy.

- Tak, bardzo bliscy. - Ciotka Tine skinęła powoli głową. - Włączyli się razem po bagnach, razem chorowali na świnkę i odrę, razem grali w piłkę, wszystko robili razem. Przez krótki czas, w szkole średniej, obaj kochali się w Donnie, a później Reyowi przeszło. On bardzo przeżywa śmierć Paula. Jemu się chyba zdaje, że powinien był to przewidzieć lub coś zrobić; żeby temu zapobiec.

- Nikt tu nie mógł nic zrobić - powiedziała Julie stanowczo. Ale czuła, że przynajmniej w tym wypadku potrafi zrozumieć, co przeżywa Rey.

Ciotka Tine westchnęła.

- Wiem, ale tak to już jest.

Rozmawiały jeszcze o różnych innych rzeczach, między innymi o tym, że szeryf zamknął śledztwo, i o tym, z jaką ulgą przyjęły orzeczenie stwierdzające, że była to śmierć poniesiona w wypadku. Julie dowiedziała się, że szeryf jest krewnym ciotki Tine. Nie zdziwiło jej to, gdyż zaczynała się orientować, że miejscowa społeczność jest bardzo spójna. Po wypiciu wina nie siedziały długo na galerii, tylko weszły do środka, żeby zjeść kolację.

Etouffee było wspaniałe. Tak dobre jak to, którego Julie spróbowała w restauracji w Nowym Orleanie podczas niedawnego wypadu do miasta. Miękką jesienną fasolka szparagowa i dynia prosto z ogrodu ciotki Tine, podane wraz z tą potrawą, były też wyśmienite, podobnie jak pudding z sosem rodzynekowo - ananasowym. Kiedy ciotka Tine nie chciała przyjąć do wiadomości wylewnych pochwał, Julie opisała jej swoje powszednie tekturowoplastikowe posiłki, które musiałaby jeść, gdyby się do niej nie przeniosła. Ciotka Tine nie mogła uwierzyć, że różnica jest taka wielka. W doskonałej harmonii sprzątnęły ze stołu i razem pozmywały. Kiedy skończyły, ciotka zaproponowała oglądanie telewizji w swojej sypialni, ale Julie podziękowała. Mówiąc, że musi opracować nowy plan zdjęć, wycofała się do siebie.

Przez blisko godzinę słyszała pomruk telewizora włączonego w pokoju, od którego jej sypialnię oddzielała łazienka. Julie tymczasem przygotowała plan zdjęć uwzględniając sceny z Summer i Vance'em i

starannie unikając dynamicznej sceny na rzece. Miała zamiar wrócić do niej później, gdyż trzeba było ją jednak nakręcić. Ale teraz nie była w stanie o tym myśleć.

Jej uwagę zwróciły błyskawice za oknem. Wstała i podeszła do oszklonych drzwi, żeby je otworzyć. Do środka wpadł podmuch wiatru, chłodny i odświeżający, niosąc zapach deszczu. Ten świeży podmuch uświadomił jej, że powietrze w pokoju jest stęchłe i zbyt oziębione przez klimatyzator. Podeszła więc do okna i wyłączyła urządzenie.

A potem wyszła przez oszklone drzwi na galerię i usłyszała grzmot. Nie była to prawdziwa burza - błyskawice świeciły blado, od czasu do czasu, a ich światło z ledwością przebijało się przez ciemności nocy; grzmot był tylko pomrukiem. Deszcz, kiedy już zaczął padać, lekko stukał o klepisko podwórka za galerią, a jego niezbyt gęste krople spadały na blaszany dach.

Deszcz w Luizjanie. Julie zawsze wydawało się, że deszcz w tym stanie jest bardziej mokry niż gdzie indziej, że przenika wszystko łatwiej, że jest bardziej naturalny. W Kalifornii woda spadająca z zachmurzonego nieba była jakby obrazą dla nie kończącego się ciągu słonecznych dni. W innych miejscach, na wyspach i w górach, deszcz padał w określonych porach roku i rzadko pojawiał się kiedy indziej. Ale w Luizjanie zawsze należało się z nim liczyć. Spadająca z nieba woda była tu przeklinana i błogosławiona, ale nigdy lekceważona, gdyż było bardzo prawdopodobne, że popłynie rwącymi potokami w kanałach albo stanie się dusicielką żab", jak to określali wieśniacy, że spowoduje powódź albo przyniesie tornado czy huragan.

Deszcz za barierką galerii rozpadał się na dobre, jego szum stał się ciągły, nieustępny. Krople dzwoniły o blaszany dach. Był to dobry, kołyszący do snu deszcz. Julie ogarnęło zmęczenie, czuła je w barkach. Czas spać, pomyślała. Wkrótce potem wyszła z łazienki w krótkiej tunice z białego jedwabiu i ze szczotką do włosów w ręce. Przechyliła głowę na bok, rozczesując włosy. Nagle znieruchomiała.

Nie była sama. Wysoki mężczyzna leżał rozciągnięty w nogach jej łóżka, podpierając głowę na dłoni. Był to Rey Tabary. Przyglądał jej się ze zmarszczonymi brwiami.

- Zostawiła pani drzwi szeroko otwarte - powiedział. - To nie najlepszy sposób postępowania.
- Rozkoszowałam się chłodem. Poza tym myślałam ...
- Myślała pani, że znajduje się pani na wsi, gdzie nie grożą pani... żadni intruzi.
- Coś w tym rodzaju.

Podniosła brodę, dalej szczotkując włosy.

- Widzi pani teraz, jak bardzo się pani myliła?
- Chyba tak - odrzekła nerwowo, przestając udawać, że nic jej to nie obchodzi. - A teraz, jeżeli zechce pan wyjść, położę się spać.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem pokręcił głową.

- Sprowokowała mnie pani znowu, co? Czy naprawdę jest pani taka nieostrożna? A może chce pani usłyszeć, co mam do powiedzenia?

- Ja nie uprawiam gier - odpowiedziała, starając się zignorować fakt, że puls ma przyspieszony. - Powiedziałam już panu wyraźnie, po angielsku, co ma pan zrobić.

- Chce pani, żebym wyszedł, czy tak? I nic więcej ... Nie nie, proszę zapomnieć, że to powiedziałem. Nie lubi pani gier. Zapamiętam to sobie, gdyż będziemy razem pracować.

To ostatnie zdanie wypowiedział z taką nonszalancją, że Julie nie zauważyłaby jej, gdyby nie wyczekujące spojrzenie kawowobrazowych oczu Reya. Wepchnęła szczotkę do włosów w kieszeń tuniki i odrzuciła w tył głowę.

- Będziemy razem pracować?

- Tak - odpowiedział - jeżeli ustalimy parę szczegółów. Podniósł się, a przyszło mu to łatwo, jak komuś, kto ma bardzo sprawne mięśnie. Usiadł na skraju łóżka z jedną nogą podkurzoną, a drugą wyciągniętą na podłodze.

- Jakich szczegółów?

- Po pierwsze, chcę wykonać zadania kaskaderskie Paula, łącznie z tym, którego nie dokończył.

Julie patrzyła na jego zdecydowane rysy, nie odwracając wzroku od nieustępliwego spojrzenia, ale twarz Reya była nieprzenikniona.

- Dlaczego?

- Z powodu pieniędzy, oczywiście.

- Nie wiem dlaczego - odpowiedziała powoli - ale nie mogę uwierzyć, że jest to powód, dla którego zmienił pan zdanie.

- Więc co? Może to kaprys? Albo dowód szacunku? Lub rodzaj odszkodowania? Albo też chcę dowiedzieć, że Cajun może wykonać to zadanie? Proszę wybierać spośród tych możliwości.

Po twarzy Julie przemknął skurcz świadczący o tym, że ma ona wątpliwości i że jest jej przykro; zlekceważyła jednak wyzwanie zawarte w jego słowach.

- Dobrze, skoro jest pan pewien, że tego pan chce. Czy to wszystko?

- Chcę mieć ostatnie słowo w sprawie miejscowych obyczajów i przedstawiania życia na bagnach, czyli chcę robić to, co mi pani przedtem zaproponowała.

- Nie mam nic przeciwko temu. Co dalej?

- A dlaczego pani sądzi, że jest coś jeszcze? - zapytał, a w jego oczach pojawił się wyraz rozbawienia. - Doświadczenie i intuicja. Więc?

Wahał się przez chwilę, a potem kiwnął głową.

- Chciałbym, żeby pani zatrudniła Donnę, żeby dała jej pani jakąś małą rolę, coś, co pozwoli jej zarobić kilka dolarów i nie myśleć o wypadku.

- Trudno mi zrozumieć, by praca w miejscu, w którym zginął jej mąż, mogła pozwolić jej nie myśleć o wypadku - powiedziała Julie szczerze.

- Nie twierdzę, że ona teraz jasno myśli, ale tego właśnie chce. Donna jest nauczycielką, chociaż od kilku lat nie uczy. Ma zamiar wrócić do szkoły w drugim półroczu. Obiecano jej posadę. Ona w każdym razie uważa, że

to jej pomoże, więc obiecałem, że panią poproszę.

Julie pomyślała, że Donna prawdopodobnie marzy o tym, żeby być aktorką. Widziała to setki razy: młode kobiety, uważające się za ładne, żywiły nadzieję, że zmienią swoje życie dzięki krótkim kontaktom z filmowcami. A może Donna Lislet chciała być blisko Reya, który miał zamiar pracować przy filmie? Chwilę później, zauważywszy kpinę w jego oczach, Julie poczuła wstyd, że przyszła jej do głowy taka cyniczna myśl.

Kiwnęła głową.

- W ciągu następnych kilku tygodni będziemy kręcić parę scen ulicznych, może jakąś w sklepie. Będziemy je kręcić w jednym z pobliskich miast, w Lutcher albo Gramercy. Donna może zostać statystką i zagrać w nich, jeżeli zechce skontaktować się z Ofelią, wypełnić formularz i pozwolić zrobić sobie zdjęcie z polaroida. Czy możemy się tak umówić?

- Jestem pewien, że Donna będzie zachwycona.

- Dobrze - powiedziała Julie, podnosząc rękę niedbałym ruchem i sprawdzając, czy nie rozchyliła jej się pod szyją tunika. A teraz, jeżeli to wszystko ...

Rey zignorował te słowa, zachowując się tak, jakby Julie nic nie powiedziała.

- Czy to przeze mnie czuje się pani zdenerwowana?

Julie spojrzała na niego spokojnie, a on odpowiedział spojrzeniem łagodnym, ale pełnym ciekawości. Wyglądało na to, że naprawdę przestał grać.

- Jeżeli mam być szczerą - powiedziała Julie powoli - to nie lubię być zaskakiwana. Nie lubię też, kiedy ktoś wdziera się na moje terytorium bez pozwolenia.

- Na pani terytorium?

- Do mojego pokoju, biura, w moją przestrzeń życiową - powiedziała, zataczając krąg ręką.

- Słyszałem o tej fobii - stwierdził Rey lakonicznie. - A czy jest pani pewna, że zdenerwowanie pani nie pochodzi stąd, że ja jestem ubrany, a pani ma na sobie tylko szlafrok? Czy nie denerwuje się pani właśnie tym, mimo że jest pani wyzwoloną Kalifornijką?

Julie zarumieniła się i zaraz zezłościła się na siebie. Była zła, że się rumieni, bo zwykle była dumna z tego, że nie traktuje własnego ciała pruderyjnie. Od czasu gdy skończyła kilkanaście lat, chodziła po plażach w bikini o powierzchni mniejszej niż damska chusteczka do nosa i od lat spała nago. Zdenerwowanie z powodu nagości było ostatnią rzeczą, która jej groziła - tak myślała. A jednak Rey nie bardzo się mylił.

- Moja nagość, jeżeli to jest określenie, którego pan szuka, nie ma z tym nic wspólnego - powiedziała. - Jest pan obcym, który pojawił się w moim pokoju w środku nocy. Czego się pan spodziewa?

- Myślę, że lepiej byłoby zapytać, czego pani się spodziewa?

- Niczego! Dosłownie niczego.

- To dobrze. Bo nic się tu nie będzie działo. Obiecuję. A teraz dlaczego nie mielibyśmy usiąść i omówić tych scen, które mają być filmowane w poniedziałek rano? Dlaczego nie miałyby mi pani powiedzieć, w jaki sposób mogę pani przy nich pomóc?

- Teraz?

- A kiedy? Czy znajdziemy lepszy moment? Teraz nikt nam nie przeszkodzi, nie będzie żadnych problemów technicznych, którym musiałaby pani poświęcać uwagę, nie będzie świateł, kamer, ekipy. Jesteśmy tylko my dwoje i mamy mnóstwo czasu.

Jego ostatnie słowa zabrzmiały szorstko, oczy mu pociemniały.

Nagle Julie przyszło do głowy, że być może Rey potrzebuje czegoś, co oderwie go od myśli o Paulu. Nie była już senna i stwierdziła, że przyda się coś, co zajmie jej myśli. Spuszczając oczy powiedziała pospiesznie:

- No dobrze, skoro tak.

Podeszła do łóżka, odsunęła kołdrę i spięrzyła poduszki na zagłówku. A potem oparła się o nie. Obok stołu, przy którym poprzednio pracowała, stało proste krzesło. Mogła je przyciągnąć i usiąść na nim, ale nie chciała dawać mężczyźnie leżącemu w nogach jej łóżka okazji do dalszych komentarzy.

Na ustach tego mężczyzny pojawił się cień uśmiechu. Rey obserwował ją, jego spojrzenie zatrzymało się na wilgotnych, miękkich włosach, na czystej cerze bez odrobiny makijażu. Umościł się wygodniej twarzą do Julie i oparł się plecami o jeden ze słupków łóżka.

Julie trudno było się skupić na interesujących ją problemach, dopóki nie zaczęła zadawać pytań, nękających ją od pewnego czasu. Wtedy dopiero skoncentrowała się na treści filmu i zapomniała o wszystkim.

Rey zdumiewająco szybko chwycił, o co chodzi w poszczególnych scenach, i był w stanie błyskawicznie zrozumieć jej wizję. Wyrażał się jasno i zdecydowanie, przytaczając fakty i cyfry na poparcie swego zdania. Nie był jednak dogmatyczny - dla celów artystycznych czy ekonomicznych gotów był dostosować się do niej. Julie zaimponowało to, że jest zupełnie spokojny. Wiedziała bowiem z doświadczenia, że niewielu mężczyzn potrafi dyskutować przez dłuższy czas z kobietą, nie próbując jej zdominować, zwłaszcza że w ich dyskusji chodzi o rzecz tak nieokreśloną jak obyczajowość.

Julie wyciągnęła egzemplarz scenariusza i pokazała mu fragmenty, które wymagały jego uwagi. Pokazała też plan zdjęć. Rey udzielił jej kilku ważnych wskazówek, jednakże takim tonem, jakby nie miały one większego znaczenia.

- Proszę spojrzeć na tę scenę, w której Jean - Pierre ściga opryszków wynajętych przez żonę po tej części bagien - powiedział, wskazując w scenariuszu scenę, która miała być kręcona za tydzień. - Według scenariusza on ma ich ścigać pieszo, okrążyć ich idąc pod osłoną drzew i przeciąć im drogę. Ale tego się nie da zrobić.

- Jak to "się nie da"?

Julie położyła się na brzuchu, żeby spojrzeć na tę część tekstu, którą pokazywał. On natomiast pochylił się w jej stronę, chcąc pokazać jej tekst.

- Na bagnach jest pełno palm niskopiennych, tych, które pani widziała. Kiedy się między nimi idzie, wydają taki grzechotliwy dźwięk. Jean-Pierre będzie musiał się prawie czołgać. Jeżeli pobiegnie, tak jak tu jest powiedziane, narobi hałasu jak stado słoni. Będzie go słyszeć w odległości kilku mil.

Julie uśmiechnęła się.

- Vance nie będzie chciał się czołgać w błocie. Nie spodoba mu się ten pomysł.

- Ale nic na to nie można poradzić, będzie musiał. No, a znowu ta scena, w której Jean-Pierre okrąża opryszków płynących szybką łodzią, a potem pędzi w dół rzeki i skręca w odnogę ... on nie może tak po prostu skręcić i uciec, bo na to potrzebny jest czas. Rzeka to nie autostrada. Piana tworząca się za łodzią pozostanie na wodzie przez jakieś piętnaście minut i zdradzi, którędy płynął. Lepiej by było, gdyby dla zmylenia pogoni zaszył się w jakąś odnogę, nawet ślepą. Mógłby wyłączyć silnik i wrócić na rzekę wiosłując. Potem, nadal wiosłując, mógłby się dostać do tej odnogi, do której zmierzał. Po przebyciu paruset stóp włączyłby silnik. W ten sposób nie zostawiłby za sobą na wodzie bruzdy ani piany. I mógłby się spokojnie wymknąć.

Mówił o końcowej fazie sceny, nad którą pracował Paul.

- Tak, rozumiem, o co chodzi - powiedziała Julie nerwowo. - Ale nad tym nie musimy się jeszcze zastanawiać.

- Dlaczego? Przecież trzeba to nakręcić.

- Wolalabym ... o tym nie myśleć.

- To nie pomoże. I tak nie da się tego uniknąć. Niech pani to zrobi, żeby mieć to za sobą.

W słowach tych brzmiało echo wszystkich męskich filmów przygodowych, jakie widziała - pogódź się z tym, staw temu czoło, skacz do wody, wsiadaj na konia po upadku. Takie rzeczy chętnie powtarzał jej ojciec, Bull Bullard.

- Kiedy przyjdzie czas, zadecyduję - powiedziała chłodno.

A on odwrócił głowę i spojrzał na nią. Rysy mu stężyły.

- W porządku ... szefowo - powiedział łagodnie.

Był tak blisko, że ocierał się o nią ramieniem. Julie czuła nikły zapach jego płynu po goleniu, widziała ciemną, nieprzenikloną głębię jego oczu i rzęsy, bardzo długie, wywinięte w dół tak, że dotykały pomarszczonej skóry pod oczami. Wyczuwała jego siłę, dostrzegała szerokie, obcisnięte trykotową koszulką ramiona i silne mięśnie ud, tworzące wypukłości pod obcisłymi dżinsami.

Na dworze deszcz ciągle padał, dzwoniąc o blaszany dach.

Wpływające przez otwarte drzwi powietrze było ciężkie, wilgotne. Zdawało się, że ich otula, zamyka w niepożądaną pułapkę bliskości. Gdzieś w głębi ciała Julie pojawiał się z wolna narastający ból, który podnosił się w górę, tamując jej oddech.

- Ja ... nie miałam zamiaru pokazywać swojej władzy - powiedziała odsuwając się od niego ze spuszczonymi oczami. - Miałam ciężki dzień ... i czuję się nieswojo, mówiąc o tej scenie. Może już teraz na tym skończymy, dobrze?

Patrzył na nią przez chwilę, a potem wstał, prostując się gwałtownie. Wziął scenariusz i zwinął go, odwracając się twarzą do oszklonych drzwi.

- Dobrze - powiedział.

Julie poczuła, że w momencie kiedy się odsunął, napięcie opadło. Przyszło jej do głowy, że może była zbyt szorstka, może zbyt ostro zareagowała na jego bliskość. Zwilżyła wargi.

- Chciałabym, żeby pan wiedział, że jestem wdzięczna za to, że chce pan ze mną współpracować. Jestem pewna, że dzięki temu Królestwo bagien będzie lepszym filmem, niż byłoby bez pańskiej pomocy, zwłaszcza po tym, co zrobiliśmy dzisiaj.

- Zobaczymy - odrzekł. - A teraz proszę zamknąć za mną drzwi na klucz.

Julie zsunęła się z łóżka, ale nie podeszła bliżej do niego.

- Dobrze, zamknę.

Rey spojrzał na nią uważnie.

- A tak przy okazji - powiedział - na galerii stoi wiadro. Ciotka je przysłała - na wypadek, gdyby dach zaczął przeciekać.

- To miło z jej strony.

Więc to był powód, dla którego przyszedł. Może tak, a może nie. Trudno było orzec.

- Mógłbym pani pokazać, gdzie je postawić w razie potrzeby.

- Nie trzeba. Poradzę sobie - odpowiedziała pośpiesznie. Kącik jego ust uniósł się, jakby w uśmiechu.

- Tak myślałem.

Przyglądał się jej jeszcze przez chwilę, a potem, kręcąc głową, wyszedł z pokoju i zamknął cicho drzwi.

- Dobranoc - wyszeptała Julie do siebie i odczekawszy, aż jego kroki ucichną na galerii, ruszyła do drzwi, żeby je zamknąć na klucz.

5

Do stołu Julie siedzącej właśnie w klubie jachtowym podeszła Ofelia, niosąc pół tuzina pączków w jednej ręce i ogromną filizankę kawy w drugiej. Opadła na krzesło i postawiła śniadanie na stole. Zaczęła rozdzierać torebki ze słodzikiem i wsypywać go do kawy.

- No to powiedz mi - zwróciła się do Julie - co musiałaś zrobić, żeby ten aligator Tabary się zgodził.

- Jaki aligator?

- No ten Galahad z bagien, pamiętasz go? Nie może być Krokodylem Dundee, bo w tej części świata nie ma krokodyli, ale jeżeli mi powiesz, że nie walczy z aligatorami, rozwiejesz moje dziewczęce marzenia.

- Przykro mi.

- O, do diabła, miałaś mi o tym nie mówić! Ale mimo to chcę znać pieprzne szczegóły.

- Jeszcze raz muszę ci powiedzieć: przykro mi.

- Oj, nie psuj zabawy!

- Ale on podjął decyzję sam. Ja nie miałam z tym nic wspólnego.

- No dobrze, wierzę ci. W każdym razie on już się tu zadowił: To muszę przyznać.

Julie wyjechała z domu ciotki Tine o świcie. Zachowywała się bardzo cicho, nie chcąc nikogo obudzić. Nie przyszło jej do głowy, by sprawdzić, czy dżip Reya stoi przed domem. Przełknęła kawałek krakersa o smaku jajeczniczy na boczku i zapytała:

- To on już tu jest?

- Już dawno. Wszystkiemu się przygląda, o wszystko wypytuje. W tej chwili Madelyn zaprasza go do siebie na pyszną kawę i omlet przygotowany jej białymi jak lilie rączkami. Ciekawe, czy przyjmie zaproszenie?

- O Boże.

- Tak, tak. Nie myśl, że Madelyn tak bez celu uczy się gotować. Ona ma wizję przyszłości. Po zakończeniu wspaniałej kariery aktorskiej zacznie grać rolę uroczej żony jakiegoś arystokraty z Nowego Orleanu.

- A co ...

- O co chodzi? - spytała Ofelia, pochłaniając pączka.

- Co to ma wspólnego z Reym Tabarym?

Ofelia otworzyła szeroko oczy, udając zdziwienie.

- To ty nic nie wiesz? Prywatni detektywi Madelyn donieśli jej, że nasz Szczur Bagienny jest ni mniej, ni więcej, tylko wielkim playboyem. Pieniądze są w jego rodzinie od pokoleń. Jest członkiem różnych klubów, wiesz, takich jak Pickwick Club, jak Krewe of Comus, a poza tym ma apartament w One River Place, Maserati, prywatny samolot... fabrykę ...

- Och, daj spokój - powiedziała Julie, uśmiechając się szeroko, w przekonaniu że Ofelia żartuje.

Ofelia popiła kawę następnego pączka.

- Nie nabierałabym cię. Madelyn przysięga; że też prawda. I zastawia sidła.

- To absurd - powiedziała Julie stanowczo. - On przecież pracował dla DEA.

- Zrezygnował z tej pracy parę lat temu, kiedy jego bogata babka-Kreolka miała zawał i przestała zajmować się interesami rodzinnymi.

Julie zmarszczyła brwi. Było to prawdopodobne, a równocześnie tak nierealne, że pozostawało chyba w zgodzie z oryginalnym poczuciem humoru Reya.

- Dlaczego więc teraz nie zajmuje się tymi interesami, tylko kręci się po bagnach ... albo koło nas?

- Kto to może wiedzieć - powiedziała Ofelia, wpychając sobie do ust ostatniego pączka i oblizując palce. - Myślę, że będziesz musiała o to spytać jego.

- Ty go spytaj. Ja mam ważniejsze sprawy na głowie - odrzekła Julie stanowczo.

- Tak długo, jak działa na korzyść mojego filmu, nie obchodzi mnie, co robi.

- Oczywiście, mnie też - powiedziała Ofelia żartobliwie, sięgając po papierosy i tanią, plastikową zapalniczkę.

Julie zignorowała tę uwagę, odsunęła krzesło i oddaliła się, wracając do pracy.

To, co powiedziała, było szczere. Za dużo już czasu poświęciła na myślenie o Reyu Tabarym. Teraz musiała skoncentrować się na pracy, zabrać się ostro za film i go skończyć. Snucie domysłów na temat spraw rodzinnych Reya nie pomoże jej w wykonaniu tego zadania.

Mimo to jednak Julie nie widziała powodu, dla którego nie miałyby sprawdzić, czy opowieść Ofelii jest prawdziwa. Przechodząc obok karawangu Madelyn zobaczyła, że aktorka stoi w drzwiach oparta o framugę; miała na sobie elegancki negligé w stylu lat trzydziestych - piżamę z białego atłasu o szerokich nogawkach, opływającą jej zmysłowe okrągłości - oraz biały turban. Była jaskrawo umalowana. Z niezadowoloną miną obserwowała Reya znajdującego się nad rzeką. Nowy konsultant stał na molo i wprowadzał Vance'a i Summer w arkana Rybołówstwa. I najwyraźniej nie dał się zaprosić na smakowite śniadanie.

- Ofelia jest albo idiotką, albo intrygantką - powiedziała Madelyn krzywiąc się, kiedy Julie powtórzyła jej swoje rewelacje usłyszane od asystentki. - W jakim celu opowiadałaby ci to, czego ja się dowiedziałam, jeżeli nie po to, byś się głupio poczuła? Kochana Ofelia zawsze ci zazdrościła.

- Zazdrościła mi? Ofelia? - zapytała Julie unosząc brwi i uśmiechając się. - To niemożliwe.

- No, no. Wiesz przecież, że masz wszystko, czego ona pragnie urodę, inteligencję, wcięcie w pasie ... nie mówiąc już o poparciu Allena na gruncie zawodowym i o tym, że zaczynasz zdobywać pozycję w świecie filmu. Dlaczego nie miałyby ci zazdrościć?

- Ona zbyt lubi pracę i własne rozrywki.

- Myśl, co chcesz, ale to fakt, że poszła i zaczęła ci gadać o Reyu, nie?

Madelyn często wyrażała się kąśliwie o ludziach, zwłaszcza o kobietach. Po wielu latach walki o dobre role, o to, by być blisko szczytu, patrzyła na nie jak na potencjalne przeciwniczki. Julie wiedziała, że to, co mówi aktorka, należy przyjąć z przymrużeniem oka.

Nawiązując do ostatnich słów Madelyn i chcąc zgłębić temat, zapytała:

- To znaczy, że to, co Ofelia o nim mówiła, to prawda? Madelyn przygładziła sobie włosy na skroni pod turbanem.

- Naturalnie, że to prawda, kochanie. Gdy idzie o mężczyzn, ja nigdy się nie mylę. Wiedziałam, kim jest, od chwili kiedy się tu pojawił. Już parę tygodni temu ktoś mi go pokazał w Nowym Orleanie. Towarzyszył swojej babce w cudownej restauracji zwanej Versailles.

- Nie mówiłaś mi o tym.

- A skąd mogłam wiedzieć, że cię to interesuje? W końcu masz przecież Allena.

Te słowa były delikatną aluzją. Julie omal się nie uśmiechnęła.

- Ta jego podwójna tożsamość to coś dziwnego.

- O nie, tu nie o to chodzi. On naprawdę nie lubi o sobie mówić. Możesz to sobie wyobrazić? Mnie się to bardzo podoba. W końcu tyle lat żyję wśród aktorów, gdzie wszyscy znają najdrobniejsze szczegóły życia innych. A tobie się to podoba?

- Nie jestem pewna - odrzekła Julie. - Ja raczej nie lubię sekretów.

Madelyn otworzyła usta, chcąc coś odpowiedzieć, ale jej słowa zagłuszył krzyk. Krzyczała Summer. Jej dochodzący z wody krzyk był głośny i przeraźliwy i brzmiała w nim nuta prawdziwie histerycznej złości. Nic nie wskazywało jednak na to, by Summer wrzeszczała z bólu. Julie odwróciła się i zobaczyła, jak dziewczynka rzuca wędkę i zaczyna podskakiwać, szarpiąc się za włosy.

Vance cofnął się, klnąc i kręcąc głową. Rey był tak zdumiony, że stał bez ruchu, patrząc na Summer. Dziewczynka zaczęła krzyczeć głośniej, a potem rzuciła się naprzód i zaczęła deptać wędkę.

Rey wyciągnął szybko rękę, chwycił Summer za ramiona i przytrzymał ją, mówiąc coś do niej rzeczowym tonem. Julie nie słyszała słów, zorientowała się jednak, że poskutkowały, gdyż dziewczynka przestała nagle krzyczeć. Wyrwała się z uścisku Reya. Odwróciła się na pięcie i pobiegła do karawaningu, który zajmowała z matką.

Julie ruszyła w stronę Summer, zabiegła jej drogę i zatrzymała ją chwytając za ramię.

- Co się stało? - spytała z niepokojem. - Co ci jest?

Summer rzuciła jej spojrzenie pełne złości, jej twarz wykrzywił grymas wściekłości i urażonej dumy.

- Powiedział, że jestem dzieckiem, rozwydrzonym bachorem! A ja nie jestem dzieckiem ani nie jestem rozwydrzona. Ja mu pokażę. Wszystko mi jedno, czy nauczę się łapać ryby, czy nie. Wszystko mi jedno, czy zagram w tej scenie, czy nie. Nie zagram. Nigdy w niej nie zagram.

Dziewczynka wyrwała się Julie i pobiegła pędem w stronę swego karawaningu. Wpadła do środka i zatrasnęła drzwi. Julie pokręciła głową i postanowiła zaczekać, by zobaczyć, co będzie dalej. Nie czekała długo.

Po chwili drzwi się otworzyły i stanęła w nich Annette Davett.

Tlenione włosy fruwały wokół jej głowy jak strzępki bawełny, a usta wykrzywił ponury grymas. Annette podeszła do Julie i spytała:

- Co ten człowiek zrobił mojemu dziecku? Jak on śmiał ją tknąć? Ona nigdy w życiu nie była tak przerażona. Żądam, żeby ją Przeprosił. Inaczej zawiadomię policję!

- Nie sędzę, żeby to było potrzebne - powiedziała Julie uspokajająco. - Jestem pewna, że to nieporozumienie.

- Nieporozumienie! To przypadek molestowania dziecka. Tak, on ją molestował!

- Nie, na pewno nie - zaczęła Julie stanowczo.

- Nic jej nie zrobiłem - odezwał się Rey, zbliżając się do nich - Chociaż miałem ochotę, naprawdę. Pani córka to rozwydrzona dziewczucha. Zniszczyła wędkę z kołowrotkiem wartą kilkaset dolarów tylko dlatego, że nie udało jej się prawidłowo. nią posłużyć za pierwszym i drugim razem, i dlatego, że ja powiedziałem, że źle ją trzyma.

- Moja córka to nadwrażliwa artystka żyjąca emocjami - odpowiedziała Annette, prostując się i przybierając wyniosłą minę. - Nie można jej oceniać tak, jak się ocenia inne dzieci. I nie miał pan prawa jej dotykać, bez względu na to, co zrobiła!

- Dotykać jej? Miała szczęście, że jej nie dałem w tyłek. Ta wędka była moja.

Oczy Annette Davett zabłysły.

- Zwrócimy panu koszty, ale to nie ma znaczenia. Żądam, żeby pan przeprosił Summer.

- Przepraszę Summer, kiedy ona przeprosi mnie, nie wcześniej. Jeżeli chce, może wyglądać w tej scenie jak idiotka. Ja nie będę tracił czasu na uczenie dziewczynki, która jest tak nadwrażliwa, że nie może się opanować.

Annette uśmiechnęła się smętnie.

- Summer mówi, że nie będzie grała w tej scenie.

- Mnie to nie sprawia różnicy.

- Ale mnie sprawia - wtrąciła się Julie stanowczym tonem.

Usłyszawszy, o co poszło, nie miała ochoty uspokajać Summer ani jej matki.

- Na twoim miejscu, Annette, spojrzalabym na umowę twojej córki, zanim bym się zdecydowała popierać ją w tym, co powiedziała w gniewie. Scena łowienia ryb będzie nakręcona, tak czy inaczej. I to dzisiaj.

Matka Summer spojrzała na Julie, a potem na Reya, ściągając wargi.

- Zobaczymy - zaczęła ..

- Poczekaj. Poczekaj, mamó - odezwała się Summer, która - stanęła w drzwiach karawaniungu.

Annette Davett odwróciła się z wściekłością i zdumieniem w oczach. Dziewczynka, pociągając nogami, zeszła po schodkach i zbliżyła się do kłócej się trójki. Zatrzymała się, patrząc na Reya.

- Nie wiedziałam, że wędka jest pana. Myślałam, że to rekwizyt - powiedziała. - Kupię panu nową.

Rey nie zmienił wyrazu twarzy.

- Wolę sam sobie kupić.

- Ale ja chcę panu odkupić wędkę. Naprawdę. - Dziewczynka odetchnęła głęboko, jej blada twarz zarumieniła się. - A potem ... potem niech mnie pan nauczy, jak się nią posługiwać.

- A dlaczego miałbym to zrobić? - spytał Rey.

- Nie widzi pan, że ona chce panu powiedzieć, że przeprasza? - wtrąciła się Annette Davett, załamując ręce w geście współczucia dla Summer.

- Naprawdę? - spytał Rey spokojnie. - Nie słyszałem słowa "przepraszam" .

Na wyrazistej twarzy Summer pojawiła się cała gama uczuć, od buntowniczości i dumy po wstyd i poczucie winy. W końcu, odchrząknawszy, Summer powiedziała:

- Przepraszam. Naprawdę pana przepraszam.

Twarz Reya zmieniła się pod wpływem powoli pojawiającego się, zdumiewająco ciepłego i serdecznego uśmiechu.

- Ja też przepraszam, jeżeli sprawiłem ci przykrość.

- Nie sprawił pan. Ja po prostu ... byłam wściekła.

- Nie ma w tym nic złego. Człowiek często się wścieka. Liczy się jednak to, jak sobie z tym radzi.

- Naucz mnie pan łapać ryby? Ja ... ja myślę, że ta scena będzie dobra. Nie chcę w niej wyglądać jak idiotka. Nie chcę też źle grać.

Rey kiwnął głową. Jego poważne spojrzenie spotkało się ze wzrokiem dziewczynki.

- Kołowrotek uda mi się naprawić, ale wędka jest już do niczego. Może pojedziemy do mojej ciotki i weźmiemy inną, tanią. Co ty na to?

- Teraz? - zapytała Summer, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Złapała go za rękę. - Dobrze. Jedźmy!

Rey nie ruszył się.

- Wydaje mi się, że o czymś zapomniałaś.

- O czym?

Uśmiech Summer zamienił się w grymas.

- Nie zapytałaś mamy, czy możesz iść z człowiekiem, który molestuje dzieci.

Dziewczynka spojrzała przez ramię na Annette.

- Mamo, my niedługo wrócimy.

Rey nadal nie ruszał się z miejsca i milczał. Summer pociągnęła go za rękę. Zmarszczka między jej brwiami pogłębiła się.

- Powiedziałaś jej - oświadczyła. - Czego pan jeszcze chce ode mnie?

- Chcę, żebyś dostała pozwolenie.

Dziewczynka szarpnęła jego rękę, którą trzymała obiema dłońmi.

- Pan mnie denerwuje.

- To bardzo źle.

- No dobrze! Mamo, mogę iść?

Annette Davett wyglądała na niezadowoloną z tego, że jej córka okazała uległość.

Odpowiedziała jednak opryskliwie:

- Tylko nie bądź tam za długo. Rey zwrócił się do Julie:
- Powinienem był spytać, czy to nie zakłóci dzisiejszego planu.
- Jeżeli to nie potrwa długo, zajmiemy się tymczasem filmowaniem scen bez Summer - odrzekła Julie.

Rey kiwnął głową i odszedł, zabierając ze sobą dziewczynkę. Annette Davett obróciła się na pięcie i poszła sztywnym krokiem do karawaningu. Drzwi zatrzasnęły się za nią.

- No, no - powiedziała Madelyn podchodząc do Julie.
- Rzeczywiście - zgodziła się z nią sarkastycznie Julie.
- Co w nią wstąpiło, jak myślisz?
- To po prostu ,taki wiek.
- Biedna mała. Wygląda na to, że się zaczyna podkochiwać w naszym konsultancie. No tak, to pierwszy silny mężczyzna, jaki pojawił się w jej życiu. I wzięło ją! Jakie to smutne.

Julie raczej nie mogła się zgodzić z jej zdaniem, chociaż zmarszczyła brwi, odprowadzając wzrokiem odchodzącą parę.

- Annette ma trochę racji. Summer jest nadwrażliwa. Potrzebny jej ojciec, ale nie będzie dobrze, jeżeli przywiąże się mocno do kogoś, kogo za tydzień może tu nie być.
- Nie sądzę, by stała się jej jakaś krzywda z tego powodu. Nieważne, dlaczego współpracuje z nami, byleby robiła to dobrze.

Julie nie odpowiedziała, a aktorka mówiła dalej:

- Ten Cajun to chłop co się zowie. Trudno się dziwić, że tak podziałał na Summer.
- Co ty mówisz, Madelyn? - zaprotestowała Julie.
- No, no. Przecież on działa i na ciebie, Nie zaprzeczysz chyba.
- Ja nie mam dwunastu lat - powiedziała Julie. - Wolę więcej subtelności.
- Jestem pewna, że Tabary potrafi być czarujący.
- Być może. Ale ja, jak zauważyłaś, mam Allena.
- Mężczyznę subtelnego, jeżeli tacy w ogóle istnieją.

Uśmiech Madelyn był kpiący.

- Właśnie - powiedziała Julie spokojnie, po czym odwróciła się i odeszła.

Nie była zdziwiona, kiedy przed południem zadzwonił do niej Allen. Po pierwsze, Allen potrafił wyczuć, kiedy ona o nim myśli, a po drugie, od dnia śmierci Paula Lisiecia spodziewała się, że Allen się z nią skontaktuje. Czekala na to. Rozmawiała z jego sekretarką, zostawiła mu prośbę, by się jak najszybciej odezwał. Sekretarka tłumaczyła jej, że Allen poleciał służbowo do Europy. Kiedy wyjeżdżał, trasa jego podróży nie była ustalona w szczegółach i sekretarka nie miała pojęcia, kiedy wróci.

Julie obruszyła się, ale zaraz sobie przypomniała, że była tak bardzo zajęta filmem, że nie zapytała Allena o jego plany na ostatnie tygodnie zdjęć. Myślała, że będzie w Los Angeles i zajmie się sprawami związanymi z dystrybucją filmu.

Tymczasem pojechał do Paryża i Szwajcarii i wrócił dopiero poprzedniego wieczoru. Miał tam przeprowadzić negocjacje dotyczące filmu, którego budżet sięgał „pięćdziesięciu milionów i który miał być sfinansowany głównie przez biznesmenów arabskich i południowoamerykańskich. Julie wiedziała, że nie będzie reżyserowała tego filmu, mimo że Allen, postępujący zawsze bardzo dyplomatycznie, nie powiedział jej tego przez telefon. Miała mu to za złe i okazała to, ignorując prawie jego wyjaśnienia i zmieniając temat rozmowy.

- Biedactwo - powiedział Allen głosem spokojnym i pełnym troski. - Zwaliło ci się na głowę takie nieszczęście. Lecę do ciebie natychmiast.

Julie oczami wyobraźni widziała Allena w przytulnym gabinecie, rozpartego wygodnie w czarnym skórzanym fotelu. O biurko opierały się jego buty z cholewkami, a na biurku, koło jego łokcia, stała taca z herbatą earl gray, brioszkami i owocami. Zrelaksowany, kulturalny, szczupły, ciemnowłosy Allen z oczami w kolorze zimowego nieba i akcentem rodem z prywatnej szkoły z internatem, jakich sporo na Północnym Zachodzie, był doskonałą mieszanką Kalifornijczyka i mieszkańca Massachusetts.

Julie uśmiechnęła się.

- Nie ma potrzeby, żebyś przyjeżdżał, zwłaszcza że jesteś zajęty tamtą sprawą. Naprawdę wydaje mi się, że panuję nad wszystkim. Jedyne to ten facet z firmy ubezpieczeniowej. Wolałabym, żeby mnie nie niepokoił.

- Firma ubezpieczeniowa ma prawo się tym interesować.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedziała Julie rozsądnym i spokojnym tonem - ale ten facet nie musiał być taki niemiły. - Porozmawiam z nim, dobrze?

- Dzięki.

- A ty jak się masz? - pytał dalej, ścisząc głos. - Tęsknisz za mną?

- Oczywiście, od czasu do czasu, w wolnych chwilach. Przeprowadziłam się do interioru, wiesz?

- Słyszałem o tym i o twoim nowym konsultancie.. Opowiedz mi coś o nim.

- Słyszałeś? Od kogo?

- Nie pamiętam. Chyba coś wspomiano na ten temat w jednej z tysięcy notatek, jakie znalazłem na biurku po powrocie. Więc jak ten facet się sprawuje?

Julie opowiedziała mu o Reyu dość szczegółowo, pomijając jednak ostatnie rewelacje Madelyn. Nie miały one związku z jego pracą przy filmie i nie mogły zainteresować Allena.

- Jeżeli Tabary będzie też kaskaderem, to wygląda na to, że dobrze zapracuje na swoje honorarium.

- Nie myślałam o tym w ten sposób, ale sądzę, że masz rację.

- Tak. No wiesz, powinnaś na takie rzeczy zwracać uwagę. Ten facet z firmy ubezpieczeniowej miał słuszną mówiąc o budżecie. Uda nam się go zredukować. Wiesz co? Za parę dni skończę załatwianie spraw związanych z nowym filmem. Przylecę wtedy i zobaczę, jak ci idzie. Może uda nam się spędzić trochę czasu razem. Nie rozmawialiśmy ze sobą od wieków.

- Będę na ciebie czekała - powiedziała Julie.

Porozmawiali jeszcze przez parę minut, apotem rozłączyli się.

Julie przez dłuższą chwilę siedziała z ręką na słuchawce leżącej na widełkach. Miło będzie zobaczyć się z Allenem, miło będzie mieć go na planie, czuć jego poparcie i widzieć, że się interesuje jej pracą. Tak myślała, równocześnie jednak niepokoiło ją nieokreślone przecucie, że Allen chce przyjechać, by ją sprawdzić. Allen zawsze popierał jej talent, utrzymując, że odziedziczyła go po Bullu, reżyserze, którego darzył najwyższym podziwem. Nigdy nie wtrącał się do żadnego z jej filmów, których był producentem. Może tylko czasami miewał uwagi natury estetycznej albo niekiedy zbyt ostro krytykował montaż. Tym razem jednak rzeczy miały się inaczej. Julie co prawda nie dostała pięćdziesięciu milionów na Królestwo bagien, jednak budżet był spory.

Te pieniądze zmieniały sytuację. Przy takich pieniądzach ludzie, nie wyłączając Allena, stawali się nerwowi.

Trzeba było też uwzględnić to, że Allen ma w planie ten nowy film. Przygotowując się do zrealizowania projektu na taką skalę, nie chciał mieć żadnych problemów finansowych z przedsięwzięciem bieżącym. Cień podejrzania, że coś może być nie w porządku, wystarczył, by go skłonić do dokładnego sprawdzenia pracy Julie. Julie nie podobało się to, że jest zmuszona tak myśleć. Ona i Allen byli razem tak długo, prawie siedem lat. Było im dobrze ze sobą. Mieszkali razem, kiedy pozwalała im na to praca, i stosunki między nimi były, harmonijne i serdeczne. On był jej mentorem, powiernikiem, człowiekiem, który nauczył ją wierzyć w siebie i we własny talent. Nigdy nie powstrzymywał jej od zrobienia tego, co chciała zrobić. Ich spotkaniom po dłuższej rozłące nie towarzyszyła wielka namiętność, nie było jednak również wzajemnych wymówek dotyczących czasu spędzonego oddzielnie. Allen pomógł Julie ukształtować własny gust w zakresie sztuki i muzyki, a także gusty kulinarne, nie próbując narzucić jej swoich. Zapewniał jej poczucie bezpieczeństwa, akceptacji i poczucie, że ma rodzinę. Julie była jego protegowaną i źródłem jego dumy.

Jednak z chwilą gdy zaczęła pracować nad Królestwem bagien, w Allenie zaszła zmiana. Julie nie była pewna, dlaczego tak się stało, nie wiedziała, czy było to związane z pieniędzmi, jakie wchodziły w grę, czy może miało związek ze wzrostem jej ambicji. Allen stał się bardziej powściągliwy, zaaferowany tym, co robiła, ale równocześnie mniej tym przejęty. Przyjechał na plan parę razy podczas kręcenia zdjęć w Nowym Orleanie, ale za każdym razem wracał do Los Angeles, spędziwszy na planie zaledwie dzień czy dwa. Słuchał, co Julie ma do powiedzenia na temat swoich pomysłów, i w nieokreślony sposób dodawał jej odwagi, ale nie zadawał wielu pytań. Julie pomyślała, że jego niechęć do omawiania filmu bierze się z przekonania, że osiągnęła już poziom, przy którym niepotrzebna jej pomoc. Teraz jednak nie była tego pewna.

Tego dnia podczas robienia zdjęć nie było żadnych incydentów i popełniono bardzo mało błędów. W końcowej scenie - niezwykle wzruszającej - Jean-Pierre i jego córka poznają się bliżej i Alice zaczyna doceniać wolność, którą może się cieszyć na bagnach. Scena ta okazała się najlepszą z dotychczas nakręconych. Wkład Reya w jej realizację był bardzo duży. Jego uwagi na temat techniki łowienia ryb i bagien, wplecione w dialog, okazały się bardzo cenne. Obserwując Vance'a przed kamerami Julie pomyślała, że aktor przyswoił sobie trochę akcent Reya, podobnie jak jego sposób poruszania się i stanowczy, choć nacechowany wrażliwością sposób

postępowania z Summer. Julie była zadowolona, a nawet zachwycona.

W następnej scenie Jean-Pierre i dwaj naślani przez jego żonę mężczyźni mieli ganiać się po bagnach, wymieniając się rolami ściganych i ścigających. Julie zarezerwowała na tę scenę dwa dni. Później mieli próbować kręcić scenę, w której żona imieniem Dorothea - grała ją Madelyn - odnajduje męża i grozi mu bronią, a potem zostaje podstępem zmuszona do odbycia długiej drogi przez bagna, w wyniku czego dociera do jego obozu brudna, rozczochrana i z poczuciem, że dostała porządną nauczkę. Julie planowała też parę innych scen na bagnach z udziałem Alice i Jean-Pierre'a, których wzajemny związek pogłębiał się. W scenach tych należało pokazać zdumienie i rosnące uznanie, z jakimi dziewczynka odnosi się do świata ojca. Wszystko to miało trwać aż do najbliższego weekendu, jeżeli nie dłużej.

W poniedziałek planowali zająć się scenami rozgrywanymi się w obozowisku, w chacie, którą wynalazła Ofelia, a zwłaszcza sceną, w której Madelyn grająca Dorotheę stara się zwabić Jean-Pierre'a do Nowego Orleanu i jest bliska poddania się czarowi dawnej miłości i księżycowej nocy na bagnach. Ta ostatnia scena miała być sceną centralną, gdyż oboje, mąż i żona, mieli się przekonać, że pożądanie, które ich kiedyś złączyło, wciąż istnieje. Równocześnie jednak mieli zdać sobie sprawę, że to, co ich dzieli, jest nie do pokonania. W sumie nakręcenie wszystkich tych scen zajmie jeszcze dwa tygodnie, pomyślała Julie. Później trzeba będzie się zająć scenami dynamicznymi, w których Rey ma brać udział jako kaskader w zastępstwie Paula. Jedna z nich miała wyjątkowe znaczenie, gdyż brała w niej udział Summer i miał w niej nastąpić wybuch, będący punktem kulminacyjnym całej historii. Na to wystarczą dwa, może trzy dni, a potem Julie przeniesie się z kamerami i całą ekipą do małego miasteczka wybranego przez Ofelię jako tło dla scen ulicznych i rozgrywających się w sklepie. Kręcenie ich nie zajmie dużo czasu, jeżeli Julie nie wymyśli czegoś dodatkowego.

Bo Julie chciała, naprawdę chciała pokazać trochę dokładniej życie Cajunów.

Zasiedziała się tego wieczoru nad rozkładem zajęć, a kiedy było już bardzo późno, usłyszała pukanie i w drzwiach zobaczyła głowę Reya.

- Gotowa? - spytał. - Ciotka na pewno czeka już z kolacją.

- Jeszcze chwilę. Niech pan jedzie pierwszy.

Podniosła wzrok tylko na moment, a potem znowu pochyliła się nad papierami.

- Jakiś problem?

- Nie, nic specjalnego.

- Techniczny?

- Właściwie nie - odrzekła, a potem podniosła głowę, uświadamiając sobie, że może on proponuje jej w ten sposób swoją pomoc. - A może i tak.

Podszedł do biurka i usiadł na jego rogu.

- Więc?

- Dorothea i Jean-Pierre mieli pływać w rzece przy księżycu. Miała to być taka scena jak ze snu, pokazująca, jak bardzo pociągający byli kiedyś dla siebie, a także sugerująca istnienie podskórnego napięcia seksualnego,

które wciąż nimi kieruje, nawet wtedy gdy walczą o córkę. W miarę rozwoju tej sceny wzajemne przyciąganie znika. Znika też wszelka nadzieja na to, że mogliby do siebie wrócić. J a chciałam, żeby to była scena pełna nieco rubasznego romantyzmu, mglista, a równocześnie pełna seksu. Takie miałam plany, dopóki sama nie wpadłam do wody tamtej nocy. Teraz chcę zrobić coś innego. Musi to jednak mieć ten sam efekt.

Rey uniósł jedną brew.

- Nie wiem, co się pani nie podoba w tej scenie.

- Niech pan da spokój - powiedziała Julie ze śmiechem. - Woda jest zimna, no i te pijawki.

- Nie jest taka zimna, kiedy człowiek pływa. A jeżeli chodzi o pijawki, to nie znalazłem ani jednej, prawda?

- Nie, ale mógł pan znaleźć.

Nagle coś jej zaświtało.

- Czy naprawdę mógł pan je znaleźć? - spytała. - Była pewna szansa na to, że tak będzie - odpowiedział z uśmiechem, który wcale nie był pełen skruchy. Julie ukryła twarz w dłoniach.

- Nie wierzę - oświadczyła.

- Właściwie - powiedział zamyślony, a potem widząc, że Julie podnosi głowę, dodał pospiesznie: - Jest ich więcej w lecie, kiedy woda jest cieplejsza.

- No tak, jestem tego pewna - stwierdziła Julie ponuro, odzyskując równowagę. - W każdym razie tam w wodzie jest za ciemno, poza tym zbyt dużo tam pniaków, korzeni cyprysów i pływających śmieci, nie mówiąc już o węzach i aligatorach. Nie. Będę musiała wymyślić coś innego.

- Myślałem, że tym zajmują się scenarzyści.

- W tym filmie ja sama jestem scenarzystką. I nic mi tu nie pasuje.

Rey wstał i pochylił się nad nią.

- Łamanie sobie głowy niewiele da. Chodźmy coś zjeść. Kto wie, może przy jambalai przyjdzie pani coś do głowy.

Nic jej jednak nie przyszło do głowy. Zresztą Julie nie spodziewała się tego. Rey rozproszył jej uwagę zupełnie. Usiłowała wyobrazić go sobie jako miejskiego dandysa asystującego babce arystokratce. Nie było to łatwe. Problem nie polegał na tym, że Rey zachowywał się swobodnie, ani na tym, że był swobodnie ubrany, tylko na tym, że w sposób naturalny pasował do bagien, do swojego nieluksusowego dżipa, do wiejskiego otoczenia, do dość odrapanego domu swojej ciotki. Tutaj był u siebie. Nie udawał, że jest u siebie, tylko rzeczywiście był. Jak to więc było możliwe, że "u siebie" był także gdzie indziej - w klubie dla bogaczy i w One River Place na przykład?

Julie powiedziała sobie, że to nie ma znaczenia. I rzeczywiście nie miało. Naprawdę. A jednak nie mogła się powstrzymać od porównań, nie mogła przestać się temu dziwić.

Ciotka Tine ugotowała zupę na mięsie z mnóstwem jarzyn prosto z ogrodu. Nie było jej jednak w domu. Zostawiła im liścik, w którym pisała, że pojechała zagrać w bingo w La Place. Julie i Rey zjedli kolację, a potem posprzątali i pozmywali dyskutując wciąż o tej scenie, w której Dorothea i Jean-Pierre mieli pływać.

W końcu Rey powiedział:

- Proszę wziąć kostium kąpielowy i pójść ze mną.

- Chce pan, żebym ... o nie, dziękuję. Miałam już zaszczyt pływać w Blind River i raczej nie mam ochoty robić tego jeszcze raz. - To nie będzie to samo. A poza tym gdzie pani gotowość do poświęceń dla dobra dzieła? Co się stało z pani zamiłowaniem do autentyzmu? I z pani pragnieniem, żeby film był realistyczny? - Zniknęły - powiedziała stanowczo. - Nie będę się narażać na niebezpieczeństwo. Jeszcze nie zwariowałam.

- Jest pani tchórzem. No dobrze, więc nie będzie pani pływała. Ale niech się pani ze mną przejedzie łodzią. Pokażę pani miejsce odpowiednie do tej sceny.

Julie nie miała najmniejszej wątpliwości, że będzie tego żałować. A jednak poszła. Miejsce, które chciał jej pokazać, musiało być niezwykle - inaczej nie upierałby się w taki sposób. A poza tym dał już tyle dowodów swojej pomysowości, że bała się, by odmówiwszy mu, nie stracić czegoś ważnego dla filmu.

I rzeczywiście, to miejsce było warte obejrzenia. Znajdowało się w odnodze tak wąskiej, że z ledwością mieścił się w niej ponton, którym posłużył się Rey. Wąskie koryto wiło się jak wąż. Płynęli nim długo, tak długo, że Julie wydało się, iż upłynęli kilka mil. Potem koryto rozszerzało się, tworząc okrągłe jezioro będące całkowicie ślepym zaułkiem. Jezioro otaczały czarne, wysokie cyprysy, a jego brzegi porastała trawa o szorstkich krawędziach. Na powierzchni unosiły się lilie wodne o majaczących jak widma białych kwiatach. Woda parowała w świetle księżyca. Delikatna mgielka wisiała świecąc nad jej spokojną, ciemną głębią, połyskującą jak kamień księżycowy. Był to wodny raj. Wydawał się tak odosobniony i nierzeczywisty, że Julie obawiała się, że zniknie z nadejściem świtu.

Rey wyłączył silnik i łódź podryfowała na środek sadzawki.

Julie milczała, rozglądając się wkoło. Czuła zapach lilii wodnych, słodki i natrętny, przypominający nieco zapach piżma. Nocne owady wydawały swe ciche, łagodne dźwięki. Proporce z szarego mchu kołysały się na drzewach w rytm niesłyszalnej muzyki, a spowijająca je srebrna mgła świeciła w słabym blasku księżyca.

Julie nie słyszała, kiedy Rey zsunął się do wody. Zrobił to błyskawicznie, pozostawiwszy ubranie na ławeczce. Wyplął na powierzchnię dość daleko od niej. Jego głowa wynurzyła się prawie bezgłośnie. Niesamowite niebieskawe światło księżyca zabłysło odbite w kropelkach, które strząsnął z włosów. Unosił się na wodzie, rozgarniał ją zdecydowanymi ruchami rąk. Jego mokre ramiona rozdzierały jej powierzchnię. A za nim ciągnęła się bruzda wodna spieniona jak szampan, z tańczącymi bąbelkami.

Był nocnym stworzeniem, mieszkańcem bagien, był wspaniały, nieoswojony, zanurzony w swój żywioł. Mgła tworzyła wokół jego wydłużonej sylwetki migoczący obłok, chwilami skrywając go, a chwilami odsłaniając. Światło coraz jaśniej świecącego księżyca obrysowywało kształt jego głowy, zaokrąglenie ramienia, krzywiznę uda, malując je srebrem. Wywoływał malutkie zmarszczki w miejscach, w których nurkował, tworząc tam opalizujące wiry.

Zniknął. Julie kręciła się niespokojnie czekając, kiedy się znowu wynurzy. Pomyślała o aligatorach, które chwytają ofiarę i topią ją, trzymając pod wodą. Przez chwilę podejrzewała, że Rey przygotowuje jakiś żart, który

skończy się wrzuceniem jej do sadzawki. Przyglądała się powierzchni wody tuż obok łodzi. Ale nic tam nie było. Zawołała, ale odpowiedziało jej milczenie. Miotając się między strachem a irytacją, między wściekłością a paniką, pomyślała, że może zrobić tylko jedno. Zrzuciła szybko spódnicę i bluzkę, które włożyła tego dnia idąc do pracy, zsunęła z nóg espadryle i dała nurka.

Wypląnęła prosto w ramiona Reya. Obróciwszy się twarzą do niego, rzuciła mu pełne gniewu spojrzenie.

- Zimno pani? - zapytał Rey głosem spokojnym, starając się ją przekonać, że miał rację.

- Nie - burknęła.

- Widziała pani węża albo aligatora?

- Tylko węża w ludzkiej skórze.

- No więc? - zapytał i odpłynął, zapraszając ją do zabawy.

Co miała do stracenia? Popłynęła za nim, nurkując i baraszkując w świetle księżyca. Tworzyli dobraną parę - oboje doskonale pływali, oboje przyzwyczajeni byli do zabaw w wodzie. Nastąpiło między nimi intuicyjne porozumienie - silni i pełni gracji płynęli razem naprzód, skręcali i zawracali równocześnie jak na komendę. Równocześnie też wynurzyli się obok pontonu i równocześnie go schwycili. Ich ciała unosiły się w wodzie, a oddech obojga, przyspieszony z powodu wysiłku, stawał się coraz głębszy.

Oczy Julie napotkały ciemne spojrzenie Reya. Nie mogła oderwać wzroku od jego oczu. Wiedziała, że to szaleństwo, a jednak nie była w stanie spuścić oczu. Jej skóra była gorąca z wysiłku, ale było też jakieś inne źródło tego gorąca, znajdujące się w jej wnętrzu. Serce biło jej mocno. W gardle czuła ucisk, a ramiona i nogi były ciężkie, bezwładne. Dotknięcie jego ręki, obejmującej ją delikatnym ruchem, było przyjemne i ciepłe. Twarz Reya wyrażała bolesne oczekiwanie, a wzrok powędrował w dół, na jej rozchylone wargi. Pochylił się i jego usta dotknęły ust Julie.

Mogła go powstrzymać - słowem, gestem, jednym ruchem. Ale nie zrobiła tego. Ten pocałunek był czymś nieuniknionym, koniecznym. Pragnęła go, nie mogła go sobie w tym momencie odmówić.

To pewnie za sprawą nocy i wody, i izolacji od świata i ludzi, a także jakiejś pierwotnej, nie podlegającej rozumowi więzi stworzonej przez światło księżyca. Za sprawą ciekawości i pozostałości strachu i gniewu. A także za sprawą właśnie odkrytego wzajemnego przyciągania dusz i ciał. I najczystszej, niemal bolesnej potrzeby miłości.

Jego usta były ciepłe i słodkie. Napierały na usta Julie w czułym ataku powodującym, że na wrażliwej powierzchni jej warg pojawił się lekki dreszcz. Jego język podniecał, pieścił miękko jej wargi, dotykał ich wilgotnych kącików, a potem łagodnie je ogarniał. Spotkał się z jej językiem, rozkoszującym się jego delikatną gładkością, akceptującym, dającym przyzwolenie. Naparli na siebie, subtelnie badając swoje odczucia, a w świadomości Julie pojawiły się pierwsze, dzwoniące gdzieś daleko nuty kłęski.

Odsunęli się od siebie tak powoli, jak się poprzednio zbliżyli, i z taką samą ostrożnością. Znajdowali się naprzeciwko siebie w wodzie, ich ramiona splatały się, ich nogi ocierały się o siebie łagodnie. Patrzyli sobie w oczy. I każde z nich czekało, by przekonać się, kto zrobi następny ruch.

6

- Czy wdzieram się na twoje terytorium? - spytał Rey miękko, pieszcząc oddechem jej policzek.

- Tak - odpowiedziała spokojnie, patrząc na jego obojczyk i zagłębienie poniżej szyi porośnięte ciemnymi wijącymi się włoskami. - Robisz to celowo?

- Można tak powiedzieć. A co ty masz zamiar teraz zrobić?

- Udawać.

- Udawać?

- Tak, udawać, że mnie obejmujesz, bo chcesz mnie ogrzać.

Rey przechylił głowę w świetle księżyca.

- To dobry pomysł - powiedział. - Może byśmy też zaczęli udawać, że nie istnieje ktoś imieniem Allen.

- Ale on istnieje - odpowiedziała Julie.

Spojrzała mu w oczy, a w jej wzroku pojawił się niepokój i skrucha, chociaż Julie nie zdawała sobie z tego sprawy.

- W jakiej to nas stawia sytuacji?

Westchnęła. Jej pierś podniosła się i opadła, a koronka skąpego stanika zamigotała pod wodą.

- Chyba w sytuacji, gdy musimy zaplanować scenę, w której bohaterowie pływają o północy.

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Zgodzisz się, że miałem rację?

- Twój sposób argumentacji jest bardzo ... przekonujący.

- Ale nie do końca.

Na wargach Reya igrał szelmowski uśmiech. Jego ręka objęła ją mocniej w pasie. Była to ostatnia pieszczota, gdyż zaraz potem odsunął się od niej powoli i ostrożnie. Następnie podciągnął się i wskoczył do łodzi, a później wciągnął na pokład Julie. Wyjął zza siedzenia ręcznik i podał jej. W tym czasie, gdy ona się wycierała, włożył na siebie ubranie. Potem wziął pled w niebiesko-czerwoną kratę i owinął nim jej nogi. Spojrzała na niego ironicznie - był dobrze przygotowany. Odpowiedział jej zuchwałym uśmiechem, a potem włączył silnik i ruszył pędem tą samą drogą, którą przyплыnęli.

Zanim włosy Julie zdążyły wyschnąć, byli już w domu. Podczas szybkiej jazdy oboje milczeli, nie mówili też nic wchodząc do domu. Od razu ruszyli do kuchni. Julie napełniła mosiężny czajnik wodą, a on tymczasem wsypywał kawę do maszynki. Dopiero po rozstawieniu filiżanek Julie odwróciła się i zobaczyła, że Rey przygotowuje śmietankę i cukier. Uświadomiła sobie, jak dziwna jest ich współpraca, jak zaskakujące jest to, że każde z nich jest pewne, co zamierza zrobić to drugie.

Nie było to nic wielkiego, jednak w zestawieniu z tym, co się wydarzyło tej nocy, mogło niepokoić.

Kuchnię wypełniał przejmujący aromat kawy. Równie przejmująca była cisza, która zapanowała. Syczenie gazu pod czajnikiem wydawało się donośne. Nagle rozległ się jakiś głos, któremu towarzyszyły trzaski i zakłócenia. Julie aż podskoczyła i spojrzała na radio stojące na łódźce.

- To taki nałóg ciotki Tine - powiedział Rey. - Radio policyjne. Zmieniają od czasu do czasu częstotliwości, żeby udaremnić plany różnych oszustów i staruszek żądnych sensacji, ale kuzyn ciotki zawsze jej przestraja odbiornik.

- Szeryf?

- Trafiłaś.

- Jestem zdumiona - powiedziała Julie. - Najpierw bingo, a teraz policyjne radio.

- Ciotka Tine mówi, że to ją trzyma z daleka od ulicy. Nigdy nie śmiałem zapytać, w jakim sensie.

- Na twoim miejscu nie pytałabym o to.

Napięcie panujące między nimi zniknęło. Julie zastanawiała się, czy Rey celowo tak żartuje.

- Jeżeli naprawdę mamy pracować nad tą sceną - powiedziała - to potrzebne nam będą papier i długopis przyniosę je.

- Wszystko, czego potrzebujemy, jest tutaj.

Rey otworzył szufladę i wyjął przybory do pisania. Położył je na kuchennym stole, stole do pracy, przykrytym plastikowym obrusem noszącym ślady długotrwałego używania. Po obu stronach stołu stały dwa proste drewniane krzesła.

Julie wzięła filizanki i postawiła je na stole. Starając się podtrzymać rozmowę, powiedziała:

- Przynajmniej nie będę musiała zawiadamić Madelyn, że usunęłam ze scenariusza jej ulubioną część. Dostałaby szału, gdyby się dowiedziała, że nie będzie miała sceny rozbieranej.

- Widziałem ten fragment w scenariuszu - powiedział Rey, nalewając wrzątek do maszynki. - Czy ona naprawdę to zagra?

- Nie może się doczekać. Taka jest teraz moda. Aktorka nie liczy się, jeżeli nie pokaże piersi, a aktor jest niczym, jeżeli nie zabłyszna na ekranie jego pośladki. Tylko Vance'owi to nie odpowiada. Właściwie nie wiem, po co się to robi - przecież wszyscy są pod tym względem podobni, nieprawdaż? Chociaż w scenie, w której bohaterowie pływają, to raczej naturalne. Nie będę jednak pokazywała ich z przodu poniżej pasa.

- Dlaczego? - zapytał, przyciągając dla niej krzesło.

Spojrzała na niego, zanim usiadła. On nie żartował ani nie próbował zbić jej z tropu seksualnymi aluzjami, nie próbował też przedłużyć rozmowy mogącej mieć lubieżne podteksty. Wyglądało na to, że interesują go motywy kierujące nią jako reżyserką.

- Po pierwsze dlatego, że wtedy film trzeba by było zaklasyfikować do kategorii X, a nie wszystkie kina grają takie filmy. A także dlatego, że odwraca to uwagę od nastroju sceny i od przebiegu wydarzeń i nie wnosi niczego do charakterystyki postaci.

Rey usiadł wygodnie na krześle i oparł się łokciem o blat stołu.

- A co z tak zwanym Wzbudzaniem lubieżnych myśli?

- Słowa te znaczą w zasadzie tyle, że widok nagich ciał na ekranie wywołuje w widzach pragnienie robienia tego z aktorem lub aktorką albo z własnym partnerem, odwracając uwagę od samego filmu. Dla mnie to się równa odwracaniu uwagi od przebiegu wydarzeń.

Rey roześmiał się niskim śmiechem, w którym była zarówno wesołość, jak i uznanie. Pokręcił głową.

- Co? - spytała i spojrzała na niego spod rzęs, biorąc dzbanek i sprawdzając, czy kawa już spłynęła. Nie spłynęła. Odstawiła więc dzbanek.

- Nie rozumiem dlaczego ten producent, twój przyjaciel, nie ożenił się z tobą. Chyba jest ślepy i głuchy, a na dodatek straszny musi być z niego idiota.

Julie dotknęła końcem palca mokrego kółka pozostawionego przez dzbanek.

- Rozmawialiśmy o tym parę razy. Ale nasze rozkłady jazdy jakoś się nie zgadzały. Kiedy mnie to interesowało, on uważał, że jestem za młoda, że sama jeszcze nie wiem, czego chcę, albo że powinnam się najpierw ustabilizować zawodowo. Kiedy on był gotowy, ja zwykle pakowałam się i wyjeżdżałam gdzieś na plan.

- To wygląda na niezbyt gorący, a raczej na letni romans.

Julie zmarszczyła brwi.

- Allen jest ode mnie prawie czternaście lat starszy. To mądry człowiek, który nie podejmuje pochopnych decyzji i który mnie nie pogania. To on nauczył mnie prawie wszystkiego o ekonomicznej stronie filmu, bo znajomość rzeczy od strony artystycznej zdobyłam obserwując ojca. Allen przedstawiał mnie różnym ludziom, dał mi poczucie stabilności, nauczył mnie cenić samą siebie jako osobę, jako kogoś; kto jest nie tylko córką Bulla Bullarda.

- To wszystko jest letnie.

- To może tak wyglądać w oczach obserwatora z zewnątrz, ale w rzeczywistości Allen był dla mnie zawsze kimś więcej niż tylko substytutem ojca - jeżeli już bawisz się w psychiatrę czy psychologa, On mnie rozumie i pozwala być sobą.

- Nie wdziera się na twoje terytorium - powiedział Rey, patrząc jej uporczywie w twarz.

- Robi to tylko wtedy, gdy go zaproszę - odpowiedziała krótko, a potem podjęła kontratak: - A ty? Jak to się stało, że ty się nie ożeniłeś?

- Ożeniłem się. Ona umarła, umarło też nasze dziecko. Zaczęła rodzić zbyt wcześnie. Nie była jeszcze w siódmym miesiącu. Powinienem być wówczas przy niej, ale mnie nie było.

Należało teraz przybrać współczujący wyraz twarzy, jednak jego mina nie zachęcała do tego. Był zamknięty w sobie. Julie wzięła dzbanek, do którego woda już się przesączyła przez filtr z kawą. Nalewając gęsty napar zapytała:

- A gdzie byłeś?

- Przez kilka lat pracowałem dla DEA, robiłem to z zapałem fanatyka. Chciałem zbawić świat. Podejmowałem się zadań, które właściwie mogłem sobie darować. Później mogłem pracować, ile chciałem, ale

nie wydawało mi się to już takie ważne.

Umilkł nagle, jak gdyby powiedział więcej, niż zamierzał.

- Ja też kiedyś bardziej lubiłam kręcić filmy niż teraz - powiedziała Julie, chcąc wypełnić ciszę, która zapadła.
- Wydawało mi się wtedy, że tworzę wyimaginowane światy, nadzwyczajne fantazje, które czynią życie bardziej znośnym, a równocześnie mówią ludziom coś o nich samych. Teraz nie jestem już taka zarozumiała. Usiłuję po prostu opowiadać pewne historie, w nadziei że mają one jakąś wartość.

Rey słuchał, z jego twarzy zniknęły bruzdy świadczące o wewnętrznym napięciu.

- Chciałabyś to rzucić? - zapytał.

- Chyba nie. Na ogół tego nie chcę. Są jednak dni, kiedy przychodzi mi to do głowy. Zwykle wtedy, gdy aktorów bardziej interesuje robienie sobie na złość niż to, co usiłuję im przekazać; wtedy gdy wszystko źle idzie. Czasami jednak zdarza się, że sfilmowana scena przerasta swoim pięknem i realizmem moją wizję, że jest lepsza niż to, co sobie wymarzyłam. Wtedy nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że mogłabym robić coś innego.

- A co twój tata myśli o tym, że poszłaś w jego ślady?

- Sądzę, że jest ze mnie dumny, chociaż przyjmuje to wszystko z lekkim niedowierzaniem. Opowiada zawsze wszystkim o moich filmach i każe im je oglądać. Ale nie chciał, żebym się zabierała za Królestwo bagien. Bał się, że porywam się na coś, czemu nie podołam.

- Myślisz, że miał rację?

Rey zapytał spokojnie, ale w jego pytaniu była nie tylko ciekawość, lecz i wyzwanie.

- Kto to wie? - powiedziała Julie, bezradnie wzruszając ramionami. - Wszystko, co mogę zrobić, to pracować nad tym filmem. A skoro już o tym mowa, to weźmy się za tę scenę ...

Kawy w dzbanku ubywało, w miarę jak rozmawiali, rzucając pomysły, planując ujęcia, kwestionując motywacje i postawy. Julie notowała każdy pomysł, bez względu na to, które z nich było jego autorem. Robiła to, mimo że połowę z tych pomysłów trzeba było odrzucić, gdyż były przesadne albo niemożliwe do zrealizowania.

- Na podstawie scenariusza ja to widzę tak - powiedział w pewnej chwili Rey. - Jean-Pierre z początku nie jest w stanie uwierzyć, że jego życie jest zagrożone. Traktuje te pogonie po bagnach, rzece i strumieniach jako zabawę, prawie jak grę, w trakcie której da się oszukać tych lalusiów z miasta, przybyłych na jego teren i nieświadomych, co ich tu czeka. Mnie się wydaje, że podczas tej wspólnej kąpieli on utwierdza się w tym przekonaniu. W tej scenie widać, jak bliscy byli sobie oboje z początku, jak bardzo byli dla siebie pociągający i czuli. Widać też, że z tego powodu jemu trudno jest uwierzyć, że ona naprawdę chce go zabić.

- Jest w tym coś, chyba masz rację. Chociaż ja myślałam o tym jako o metaforze, metaforycznym przedstawieniu bólu wiążącego się z uświadomieniem sobie, że ich miłość się skończyła. To może tak funkcjonować, chociaż twoja koncepcja nadaje temu inny wymiar. Dla moich celów wystarczyłoby, gdyby kamery przestały pracować po paru pocałunkach i oddechach i po zdjęciu części garderoby. Ale być może trzeba jednak pójść dalej.

- Myślałem, że ty od początku chciałaś pokazać pełną scenę miłosną, no wiesz, z połączonymi ciałami i ze wszystkim.

Julie wzruszyła ramionami.

- Określenie "scena miłosna" może oznaczać wszystko, od spojrzenia, któremu towarzyszy muzyka skrzypiec, do sceny, w której ciała splatają się pod prześcieradłami, a kamera przesuwa się i pokazuje łamiące się fale i borykające się z wiatrem palmy.

- Myślę, że powinnaś pokazać splecione ciała - powiedział ze śmiechem - chociaż kochanie się w wodzie nie jest rzeczą łatwą.

- Tak? - spytała podnosząc brwi i ignorując to, że czuje powolny przyływ ciepła pod skórą.

- Tak. Kamera musiałaby się potem szybko przesunąć na coś innego.

Julie zmrużyła oczy, opierając brodę na dłoni.

- Myślałam o unoszących się na wodzie liliach. One są przecież symbolem płodności? Myślisz chyba o kwiatach lotosu. W kwiecie lotosu urodził się Budda, czy ktoś taki.

- Ale lilie w świetle księżycy byłyby piękne, kołysałyby się na wodzie, poruszały się ...

- Inspirowałyby ich - powiedział Rey nieco stłumionym głosem.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła, jakie są jasne.

- Ja mówię poważnie!

- Wiem - odpowiedział, po czym wstał i zaczął zbierać filiżanki.

- Szkoda, że ja o tym nie pomyślałem.

- A skoro już mowa o scenach filmowanych dla celów estetycznych i metaforycznych, to zauważyłam zachody słońca na rzece. Są takie malarskie, tyle w nich koloru.

- Jest to bezpośredni skutek zanieczyszczenia atmosfery przez wyziewy z fabryk chemicznych wznoszących się nad rzeką - powiedział.

- To możliwe, ale chciałabym trochę ich mieć na taśmie. Może, a początku filmu tłem do napisów byłaby scena pokazująca starego Josepha płynącego pirogą o zachodzie słońca. Panowałaby w tej scenie nastrój spokoju, nawet nostalgii, a później koło Josepha przeleciałby swoim skifem Jean-Pierre, płynący z zawrotną szybkością do Nowego Orleanu po córkę. Czy myślisz, że Joseph się na to zgodzi?

- Dlaczego nie - powiedział Rey przez ramię, odkręcając kran i płuczając filiżanki. - On pewnie od dłuższego czasu podnieca się na myśl, że mógłby zostać aktorem. Chociaż nie wiadomo, ile zażąda za udostępnienie swojej pirogi, kiedy się dowie, jak bardzo ci na niej zależy.

- Będę to miała na uwadze rozmawiając z nim - powiedziała Julie sarkastycznie.

Wyrwała z notatnika kartki z zapiskami i wetknęła je do kieszeni spódnicy. A potem wstała i pomogła Reyowi odstawić na miejsce naczynia. Kiedy w kuchni był już porządek, nie ociągając się powiedziała "dobranoc" i poszła do swojego pokoju.

Nie chciało jej się spać. Była przyzwyczajona do picia w ciągu dnia ogromnych ilości kawy, ale nie do tak mocnej jak ta, którą przygotował Rey o tak późnej godzinie. Usiadła nad notatkami, chcąc opracować scenę trochę dokładniej. W końcu, zadowolona z tego, że nie ma nic do dodania, odłożyła papiery. Pomyślała, że mogłaby przez chwilę poczytać, ale najbardziej chciało się jej wziąć prysznic. Już zapomniała, jak wygląda z włosami wysuszonymi bez modelowania z przedziałkiem w przypadkowym miejscu. Nie patrząc w lustro zdjęła bluzkę, spódnicę i bieliznę i poczłapała do łazienki, żeby odkręcić wodę. Wanna z nóżkami w kształcie łap zakończonych pazurami wyposażona była w prysznic, a wokół niej zawieszono lekką nylonową zasłonkę przymocowaną do prostokątnej ramy. Przypominało to namiot Mydło, które zostawiła tu ciotka Tine, pachniało angielską lawendą i pieniło się obficie. Z powodzeniem posłużyło Julie jako szampon, którym powoli i z przyjemnością umyła włosy. Następnie spłukała je wodą, która spływała po twarzy i szyi, a potem zmywała zagłębienia i okrągłości jej ciała, które wciąż miało na sobie wodę z rzeki i niedawne wspomnienia.

Chwilę później usłyszała pukanie. Nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Zakręciła wodę. Wycierając oczy i sięgając po ręcznik wiszący poza zasłonką, krzyknęła:

- Kto tam?

- Poszukiwacz pijawek - odezwał się głos zza drzwi łazienki. Rey. W jego głosie brzmiała nuta rozbawienia i jeszcze jakaś inna, dodatkowa. Ta druga spowodowała, że przeszedł ją dreszcz. Chwyła ręcznik i wytarła twarz. Owinąwszy się nim, wyszła z wanny.

- Jak się dostałeś do mojego pokoju? Jestem pewna, że tym razem zamknęłam drzwi na klucz!

- Mieszkanie w tym samym domu, zwłaszcza starym; ma swoje zalety. Wszystkie zamki i klucze są takie same.

- Cudownie.

Brakowało jej tchu, opanowywała to z wysiłkiem.

- Dziękuję ci za dobre chęci, ale nie mam pijawek Drzwi łazienki otworzyły się ze skrzypieniem. Rey stał oparty o framugę. Odepchnął się od niej i powiedział:

- Jesteś pewna? Czasami stwierdzenie tego wymaga dokładnych poszukiwań.

Miał na sobie tylko dzinsy. Jego włosy były kruczoczarne i mokre, gdyż wyszedł spod prysznica. Teraz wiły się, opadając na czoło. Był wysoki, miał szerokie ramiona. W tym małym pomieszczeniu wydawał się ogromny, jednak ruchy miał swobodne i harmonijne, nieskrępowane, nie było w nich cienia agresji. Uporczywe spojrzenie ciemnych oczu coś obiecywało, choć czał się w nim cień wątpliwości.

Wyciągnął ręce i dotknął zaciśniętych na ręczniku dłoni Julie.

Pogładził je opuszkami kciuków. Jego świeży zapach, zapach zdrowej męskości podziałał na jej zmysły. Poczula pierwszy obezwładniający przypływ pożądania i wielkiej ciekawości. Akceptując to, zarumieniła się.

Pragnęła go i gardziłaby sobą, gdyby udawała, że jest inaczej.

Chciała poznać jego siłę i humor, i troskliwość, a także to, co w nim było inne, obce. Pragnęła, żeby ją objął i kochał, by pochłonęła ją fala jego namiętności. Chciała zapomnieć o wszystkim, pozwolić się unieść

uczuciom. Pragnęła czuć, czuć mocno aż do granic możliwości, zatracić się w rozkoszy. Pragnęła tego bardzo. Puściła ręcznik. Dotknęła piersi Reya, rozpostarła palce, przesuując ich koniuszkami przez płataninę miękkich włosów. Przycisnęła dłonie, czując pod nimi ciepło i tętnienie życia. A potem podniosła głowę, zbliżając usta do jego ust.

- Czy to jest zaproszenie? - zapytał szeptem, a jej wargi owiał ciepły, słodki oddech.

- Tak - odpowiedziała i spuściła powieki, zamykając pod nimi blask światła.

Rey schylił się, jedną ręką ujął Julie pod kolanami, a drugą objął jej plecy, podnosząc ją. Zaniósł ją do sypialni i położył na łóżku. Zdjął dzinsy i położył się przy niej. Przyciągnęła go do siebie, przytulając się i wyczuwając z przyjemnością, jak jędrne i elastyczne jest jego ciało w zetknięciu z jej miękkością.

Zarys ust Reya był stanowczy, wewnątrz jego warg przypominało delikatny, ciepły jedwab. Jego pieczyoty były pewne i bezbłędne. Odkrywał ciepłe otchłanie zachwytu Julie, pozwalając i jej poznawać i odkrywać siebie. Podsycając płomień wzajemnego pragnienia, przedłużali rozkosz do granic możliwości, a potem, kiedy przychodził na to czas, odsuwali się od siebie na chwilę, pomrukując i wzdychając. Podniecenie płynące ze złączenia nie było niespodzianką, ale raczej źródłem pełnego rozkoszy szoku. Przyszło w momencie szaleństwa, gdy dyszeli z wysiłku, rozśpiewując swoje dusze, oczyszczając je. Było objawieniem - długotrwałym, nie kończącym się objawieniem. Kiedy było już po wszystkim, leżeli wsłuchując się ze zdumieniem w bicie swoich serc.

Rey poruszył się, odgarnął włosy z twarzy Julie, wyciągnął rękę, żeby przykryć siebie i ją prześcieradłem. Podpierając się na łokciu, szepnął jej do ucha:

- Jak ci się wydaje, dlaczego myślę teraz o liliach wodnych? - Kto to wie? - odpowiedziała, nie otwierając oczu i zasnęła w jego ramionach z uśmiechem na twarzy.

Kiedy się obudziła, nie było go przy niej. Jego poczucie obowiązku jest nieco przesadne, pomyślała przeciągając się, wysuwając ręce nad głowę, odpychając się od zagłówka i rozluźniając z rozkoszą mięśnie.

Przewróciła się na bok, gładząc drugą ręką poduszkę, na której pozostało wgłębienie po głowie Reya. Stopniowo uśmiech zniknął z jej twarzy. Dlaczego wyszedł tak wcześnie, wymknął się bez słowa, jak od dziewczyny, do której przychodzi się na jedną noc?

Zdradziła Allena. Poszła do łóżka z innym mężczyzną, nie myśląc o konsekwencjach, nie mając najmniejszych skrupułów. Nigdy dotąd nie zrobiła czegoś takiego. Jak to się stało? Jak mogła zrobić to Allenowi? Była zdumiona. Poszła do łóżka z jakimś człowiekiem z bagien, który w Nowym Orleanie żył zgoła innym życiem niż na bagnach. Kim on był? Teraz pytanie to nabrało ogromnej wagi.

Julie spojrzała na sufit, popatrzyła na ściany i okna, jakby szukając odpowiedzi.

Jej ciężkie myśli i złe przeczucia rozwiały się nagle. Na zewnątrz nie tylko był dzień, ale świeciło jasne słońce.

Julie wyskoczyła z łóżka, znalazła bieliznę, złapała dzinsy, wyciągnęła z szafy bawełniany sweter i ruszyła do łazienki. Dzisiaj mieli kręcić scenę, w której grany przez Vance'a Cajun, Jean-Pierre, bawi się na

bagnach w chowanego z zabójcami wynajętymi przez żonę. Wszyscy na pewno już się zgromadzili i dowcipkując zastanawiają się, gdzie jest Julia i kiedy zaczną pracę.

Kiedy przyjechała na plan, prace były już zaawansowane, mimo że nie działała jeszcze żadna kamera. Ofelia i Stan zorganizowali większość prac, posługując się planem zdjęć przygotowanym przez Julie poprzedniego dnia. Scena miała się rozgrywać na bagnach tuż za klubem jachtowym, dzięki czemu nie było kłopotów z dostarczeniem wyposażenia i zaplanowaniem całości. Przygotowano też efekty specjalne. Miały to być małe eksplozje, następujące w chwili, gdy wynajęci opryszkowicze strzelają z broni maszynowej. Urządzenia służące do wywołania tych efektów rozmieszczono poprzedniego dnia, a teraz je ładowano. Rey przeszedł się już po bagnach z Vance'em, instruując go, jak ma się zachowywać, żeby uniknąć pokaleczenia przez bagienną trawę o szorstkich krawędziach, i jak powinien się poruszać nie robiąc hałasu. Objął mu, jak należy się przedzierać przez wydające grzechoczący dźwięk niskopienne palmy, jak uważać na bagiennie grzechotniki, a nawet - jak wyczuwać je węchem. Dał mu też tuzin innych wskazówek.

Aligatory pojawiły się równocześnie z Julie. Stare i ogromne, ospałe z zimna odczuwanego wczesnym rankiem i leniwe po pochłonięciu kilku funtów surowego mięsa z kurczaków - leżały w klatkach obserwując wszystkich nie przyjaznym wzrokiem. Dzięki nim scena miała nabrać kolorytu, a poza tym, zgodnie z planem Jean-Pierre'a, gady miały w kulminacyjnym momencie zablokować drogę mordercom.

Zajął się nimi Stan, wskazując, gdzie mają być umieszczone.

- Przywiążcie je dobrze! - krzyknął w stronę brodatego, ospałego dozorca i jego dwóch' czarnych pomocników. - Niech nie biegają po planie i nie przeszkadzają w filmowaniu.

- Te zwierzaki nigdzie nie pobiegną - powiedział dozorca przez ramię. - Nie pobiegłyby nawet wtedy, gdyby je walić kijem!

Ustawiono kamery i rozpoczęto zdjęcia. Początkowe fragmenty sceny trzeba było filmować po kilka razy, gdyż Vance miał skłonność do unikania błota, które pozostawił niedawny deszcz. A biegnąc przez zarośla podnosił głowę, żeby nie podrapać sobie twarzy, podczas gdy należało biec za spuszczoną głową, patrząc pod nogi i uważając na ślady. W końcu zrozumiał, o co chodzi, i wszystko poszło szybciej. Vance i jego prześladowcy, przy wyłączonych kamerach, przebiegli kilka razy teren, na którym były rozmieszczone ładunki. Wkrótce fragment ten został sfotografowany.

Zrobili przerwę na lunch. A następnie, dając Vance'owi odpocząć, rozpoczęli scenę, w której dwóch opryszków błąka się po bagnach z coraz większym przerażeniem, nawzajem się obwiniając.

- W porządku, wszyscy gotowi? - krzyknął Stan. - Jak tam aligatory? Dobrze? Pamiętajcie, że tu nie może być żadnych powtórek. Dobra, zaczynamy.

Aktorom grającym opryszków poprawiono charakterystykę, uwydatniając zadrapania i smugi brudu, a potem skierowano ich do rekwizytora po karabiny AK-47. Czekali chwilę, bo trzeba było usunąć ślepe naboje używane przez nich dotychczas, wytrząsnąć z pudełek nowe i załadować broń ponownie. Dwaj mężczyźni wzięli ostrożnie broń, a potem poszli na swoje miejsca.

- Poczekajcie - odezwał się Rey, stając przed nimi z rękami na biodrach. - Wstrzymajcie się.

Julie, konferująca właśnie z Andym Russellem, rudowłosym operatorem, odwróciła się słysząc głos Reya. Przez cały dzień była świadoma jego obecności, była świadoma tego, że przesuwa się w tle, słyszała jego żartobliwe uwagi, a także stanowcze komentarze, gdy wytykał komuś błędy i proponował inne rozwiązania. Od czasu do czasu wymieniali uśmiechy. Chciała zjeść z nim kanapkę w czasie przerwy na lunch, ale wyniknął jakiś problem i spędziła tę przerwę w biurze ze słuchawką telefonu przy uchu, nie mogąc się przyłączyć do całej ekipy jedzącej posiłek w klubie jachtowym.

Podeszła do Reya równocześnie ze Stanem, który przykuśtykał z drugiej strony. Stan odezwał się pierwszy:

- Jakiś problem, Tabary?

- Można tak powiedzieć. Rekwizytor załadował te karapiny ostrymi nabojami. - To prawda.

- Za dużo tu ludzi, żeby strzelać z broni maszynowej, nie mówiąc już o tym, że jesteśmy bardzo blisko autostrady. Po co ta amunicja?

- Ta amunicja jest po to - odpowiedział Stan sarkastycznie □ żeby zabić aligatory. Strzelanina będzie krótka, a poza tym oni będą celowali w ziemię. To nie będzie niebezpieczne. A teraz, jeżeli pan pozwoli, zabierzemy się do pracy.

Rey nie poruszył się.

- Nie pozwolę - powiedział ponuro.

- O czym pan, do diabła, mówi?

- Poczekaj, Stan - odezwała się Julie, kładąc mu rękę na ramieniu. - Trzeba go wysłuchać.

- Chcecie zabić dwa aligatory tylko po to, żeby nakręcić parę stóp taśmy? - zapytał Rey. - Chcecie, żeby krwawiły w technicolorze ku uciesze waszych widzów?

- Na litość boską, to są aligatory! - krzyknął Stan. - To nie jest żaden zagrożony gatunek, już nie! Ludzie do nich strzelają, polują na nie bez przerwy.

- Nie bez przerwy. Istnieje sezon łowiecki i niektórzy nawet przestrzegają związanych z nim przepisów. A poza tym ci, którzy na nie tutaj polują, nie fotografują ich agonii.

Julie widziała, że Stanowi nabrzmiały żyły na twarzy i że jego wargi drżą z gniewu. Zdawała też sobie sprawę, że naokoło panuje cisza, a cała ekipa stoi i przysłuchuje się kłótni. Nad ich głowami zawisło milczenie bagien, przerywane tylko zawodzeniem komarów i cichym szeptem wiatru poruszającego pióropuszcami niskopiennych palm.

Zanim starszy mężczyzna zdobył się na odpowiedź, Julie przemówiła:

- Mordercy mają zabić aligatory ze strachu. Są ludźmi z miasta i bardzo się boją, gdyż znajdują się w obcym środowisku i na łasce Jean-Pierre'a. Strzelają do wszystkiego, co się nisza, bo nie mogą zaatakować tego, kogo ścigają.

Rey popatrzył na nią surowo.

- To świetny pomysł, tylko dlaczego oni nie mogą strzelać ślepyimi nabojami? Dlaczego nie spryskacie ich nóg sztuczną krwią, tylko poświęcacie żywe aligatory?

- Przecież to nie jest takie ważne ... - zaczęła.

- Owszem, ważne. Aligatory cieszą się słońcem i deszczem, i światłem księżyca, ryczą z rozkoszy kopulując i śpiewając swoim młodym. Nie rezygnują z życia chętniej niż ty.

- A nie mówiłam? Ten człowiek to jest Aligator Tabary! - rozległ się zza kamer głos Ofelii.

- Cholera - powiedział Stan. - Chodź, Julie. Kręcimy.

Julie nie ruszała się z miejsca i nie odrywała wzroku od opalonej twarzy Reya i kawowobrazowej głębi jego oczu.

- Rozładujcie broń! - rzuciła w końcu przez ramię.

- Julie ... - zaczął Stan.

- Słyszałeś, co powiedziałam - zwróciła się do niego. - Zrób tak, żeby to wyszło dobrze. Przecież potrafisz.

Zastosuj efekty specjalne, żeby ta scena wyszła. I pamiętaj: aligatorom nie może się nic stać.

Stan zacisnął wargi, ale kiwnął powoli głową.

- Ty tu rządzisz - powiedział.

- Dzięki, Stan.

Dotknęła jego ramienia, a potem odwróciła się do ekipy.

- W porządku! - krzyknęła, a jej głos niósł się daleko. - Teraz pół godziny przerwy. A potem kręcimy.

Ale to nie był koniec.

Kiedy światło dnia już gasło i Julie schodziła z planu, Stan podniósł rękę, dając jej znak, żeby poczekała, a kiedy się zatrzymała, dogonił ją, utykając. Szli przez chwilę w milczeniu ścieżką wydeptaną tego dnia podczas zdjęć. Schylali się pod pióropuszami niskopiennych palm i przechodzili ponad gnijącymi pniami drzew pokrytymi porostami i małymi zielonymi paprociami. Słyszeli głosy i od czasu do czasu śmiech tych członków ekipy, którzy poszli przodem. Pozostałych słyhać było z tyłu. Julie zastanawiała się, gdzie jest Rey. Ostatni raz widziała go przed godziną. Musiał pojechać do domu przed nakręceniem ostatniej sceny.

Przez chwilę Stan i ona mieli najbliższą okolicę tylko dla siebie, gdyż oprócz wielkiej czapli o niebieskawoszarym upierzeniu, stojącej na straży nad małym skrawkiem mokradeł, i wiewiórki, która przebiegła im drogę, a później wspięła się na drzewo i rozpląszczyła na gałęzi próbując się schować, w pobliżu nie było żywej duszy. Stan patrzył przez chwilę na wiewiórkę, a potem rozejrzał się i popatrzył na Julie.

- No dobrze - powiedział - co jest między tobą a Tabarym?

- Od kiedy to kontrolujesz moje życie prywatne? - spytała Julie beztroskim tonem.

- Nie obchodzi mnie twoje życie prywatne - odpowiedział. Obchodzi mnie to, jak posuwa się praca nad filmem. Wygląda na to, że tracisz kontrolę, pozwalasz, żeby Tabary rządził na planie.

- Wiesz, że to nieprawda.

Julie chwyciła gałązkę woskownicy i obrywała z niej liście, wskutek czego wokół nich przyjemnie zapachniało.

- A właśnie że prawda. Słuchasz wszystkich jego rad. Traktujesz to, co mówi, jak ewangelię. Gimnastykujesz się, żeby robić wszystko tak, jak on chce. Stajesz po jego stronie w każdym sporze.

- Miał rację w sprawie aligatorów - powiedziała Julie, z wysiłkiem powstrzymując wybuch złości. - To cud, że nie było tu dzisiaj ludzi z towarzystwa zajmującego się zapobieganiem okrucieństwu wobec zwierząt.

- Oj, daj spokój! Oni opiekują się psami i końmi, ale nie aligatorami.

- Nigdy nie wiadomo. A taka reklama nie jest nam potrzebna.

- Nie musiałaś stawać po jego stronie. To nie w porządku. Ekipa filmowa jest jak rodzina. Nie powinnaś dyskredytować rodziny ze względu na jakiegoś miejscowego kmiotka, nawet jeżeli coś cię z nim łączy.

Julie połamała gałązkę woskownicy na małe kawałeczki i upuściła je na ziemię. Nie podobało jej się to, że ludzie widzą, jak Rey ją pociąga. Stan znał ją dość dobrze - to prawda, ale skoro on zauważył, to wkrótce zauważą inni. A co do pozostałych jego uwag, to musiała przyznać, że jest w nich odrobina słuszności. Ludzi współpracujących na planie łączyło jakieś pokrewieństwo, stworzone przez wspólny wysiłek, wspólne trudy i bezustanne porozumiewanie się żargonem filmowców, niezrozumiałym dla outsiderów. Ona pogwałciła ten związek, stając przy wszystkich po stronie Reya. Fakt, że Stan doprowadził do konfliktu, nie miał znaczenia. Powinna była poprosić obu mężczyzn na bok i porozmawiać z nimi na osobności, nie na oczach całej ekipy. No i podjąć decyzję, która później wyglądałaby na podjętą wspólnie za zgodą ich obu.

- Być może masz rację - powiedziała nagle. - Ale powinieneś pamiętać, że Rey Tabary został zatrudniony w pewnym celu. Jeżeli nie będziemy brali pod uwagę tego, co mówi, zmarnujemy tylko pieniądze.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to powiem ci, że to właśnie się stało. Zostały zmarnowane pieniądze. Nie stracimy wiele pozbywając się go.

Julie obrzuciła Stana gniewnym spojrzeniem.

- Rey to autorytet w sprawach bagien. On wie, co i jak, wie, jak to powinno wyglądać. A my nie wiemy - dodała uszczypliwie. - Żadne z nas tego nie wie.

- Moglibyśmy się nauczyć. Ja mógłbym powiedzieć Vance'owi, jak ma biec przez zarośla. Zrobiłbym to, gdyby Tabary nie pojawił się pierwszy. Julie, wiesz dobrze, że powinnaś oszczędzać. Oszczędź więc na Tabarym ... chyba że są inne powody, dla których go trzymasz.

- O co chodzi, Stan? - zapytała, a w jej głosie pojawiła się twarda nuta gniewu. - Co masz przeciwko Reyowi?

Wzrok kaskadera ociekł w bok. Stan spojrział w stronę przyczep i karawaningów widocznych za drzewami.

- On jest zbyt pewny siebie. A poza tym wydaje mi się, że interesuje go tu coś więcej niż tylko to, żeby być konsultantem. Wtyka nos tam, gdzie nie powinien, i pojawia się tam, gdzie nie ma żadnego interesu. Nie podoba mi się to.

- Chyba przesadzasz. On tylko próbuje robić, co do niego należy.

- Może, ale mówię ci jeszcze raz: nie podoba mi się to i on mi się nie podoba.

Doszli już do parkingu klubu jachtowego. Stan, nie czekając na odpowiedź Julie, pokuśtykał w stronę domku klubowego.

Julie przez chwilę nie ruszała się z miejsca, a potem poszła w stronę biura. Czy Stan ma rację? Czy Rey wtyka nos w nie swoje sprawy? Dlaczego miałby to robić? W jakim celu?

Założmy zresztą, że Stan ma rację. Ale dlaczego był taki zły?

Większość ludzi interesuje świat filmu i chce wiedzieć, jak się robi film. Nie było nic złego w tym, że ktoś chciał się tego dowiedzieć, pod warunkiem że to nie przeszkadzało w pracy. Stan pieklił się bez powodu.

A jednak ... jednak i Ofelia mówiła, że Reya jest wszędzie pełno, że gada ze wszystkimi. Możliwe, że za bardzo się tym wszystkim interesuje.

Trzeba to sprawdzić, pomyślała Julie. Jeżeli okazałoby się, że Stan ma rację, to jedno byłoby pewne: jej także by się to nie podobało.

W biurze Julie ktoś był. Sekretarka wyszła o zwykłej porze. Jej pokój był pusty i panowała w nim cisza. Popielniczki były opróżnione, czasopisma ułożone w równe stosy. Drzwi prowadzące do biura Julie po wyjściu sekretarki powinny być zamknięte na klucz, ale okazało się, że są uchylone. Julie usłyszała szelest papierów i odgłos zamykania szuflady zawierającej kartotekę.

Weszła energicznie do środka, popychając drzwi tak mocno, że uderzyły o ścianę. Rey, stojący koło szatki z kartoteką i przeglądający właśnie segregator, podniósł głowę. Ich spojrzenia się spotkały. Wyraz twarzy Reya zdradzał, że jest zaskoczony i zdaje sobie sprawę z kłopotliwości sytuacji.

- Czy jest coś, co mogłabym ci pomóc znaleźć? - spytała Julie z fałszywą wesołością, udając uprzejmość.

- Oj, chyba nie - odpowiedział. - Myślę, że twoje biuro też jest częścią twojego terytorium.

Zrobiło jej się gorąco, gdyż przypomniała sobie zeszłą noc, przypomniało jej się też, jakie znaczenie Rey nadał temu słowu. Czowała się zmieszana widząc, jak serdecznie na nią patrzy. Mimo to starała się mówić spokojnie.

- Przede wszystkim to biuro nie jest miejscem publicznym. Czy mógłbyś mi wyjaśnić, co tutaj robisz? .

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nie jestem pewien, czy mam na to ochotę, kiedy mówisz do mnie takim tonem.

- Mój ton jest odpowiedni do sytuacji.

Mówiąc to zastanawiała się, czy to, co mówi, jest prawdą. Być może udzieliła jej się podejrzliwość Stana, a być może jej własne uczucia wobec tego człowieka były ambiwalentne. Jakkolwiek było, nie lubiła, kiedy ktoś przeglądał jej rzeczy bez wiedzy i pozwolenia. Nie odpowiadało jej to nawet wówczas, gdy tym kimś był Rey.

- No więc - powiedział po chwili milczenia. - przepraszam, ale czekałem tu na ciebie i nagle pomyślałem, że mógłbym dowiedzieć się czegoś, co chcę wiedzieć. Następnym razem zapytam o pozwolenie. Dobrze?

Spokojny ton, jakim ją przepraszał, i mina, z jaką to robił, były tak rozbijające, że Julie niełatwo było nadal się gniewać.

- A co chciałeś wiedzieć?

- Chciałem się dowiedzieć, jak się nazywa firma, która dostarczyła tę łódź, na której zginął Paul. Donna i ja mamy wątpliwości co do tego, kto ponosi odpowiedzialność za wypadek.

Julie popatrzyła na niego, czując jakąś dziwną słabość, a potem usiadła przy biurku.

- Chcesz powiedzieć - odezwała się zduszonym głosem - że Donna Lislet ma zamiar wytoczyć proces?

- Tego nie powiedziałem.

- Ale wszystko na to wskazuje. W związku z procesem wymieniona zostanie nazwa nie tylko firmy, która dostarczyła łódź, ale i studia Excel Films. Firma ubezpieczeniowa zabierze się za nas z całą bezwzględnością. Davies będzie zachwycony. Dopnie swego, osiągnie to, że odbiorą mi film.

- O czym ty mówisz? - spytał Rey marszcząc brwi. Powiedziała mu pokrótce, co ma na myśli, dodając na koniec: - Nie rozumiem, dlaczego Donna chce to zrobić. Dostanie odszkodowanie za śmierć w wypadku z naszego ubezpieczenia.

- To jej nie uspokoi. Ona chce wiedzieć, co dokładnie spowodowało śmierć Paula. A tego może się dowiedzieć w wyniku śledztwa.

- To był wypadek, nic innego! - krzyknęła Julie. - Widziałeś, jak to się stało, wszyscy widzieliśmy. Linka sterowa nie wytrzymała, bo była przeżarta kwasem.

Rey pokręcił głową.

- Nie mogę uwierzyć, że Paul wszedł na skif, nie zrobiwszy przedtem przeglądu. Na pewno zauważyłby, że linka jest uszkodzona. To musiało być coś innego.

Julie przeczesła palcami włosy.

- Możecie zapytać ludzi z firmy, która dostarczyła łódź. Tylko nie jestem pewna, co oni wam powiedzą. Skif był stary, miał cztery czy pięć lat i był zużyty, w przeciwieństwie do łodzi z kabiną i szybkiej motorówki, które są nowe. Skif miał wyglądać na stary, zużyty, jakby Jean-Pierre pływał nim od lat.

- Kto zrobił przegląd po dostarczeniu go?

- Ofelia podpisała fakturę, a Stan i jeden z mechaników obejrzelі szybko skifa i motorówkę. Powiedziano nam, że skif został niedawno wyposażony w nowy silnik, więc nikt nie oglądał go dokładnie. Większość kaskaderów lubi sprawdzać własny sprzęt, nie ufając nikomu. Robią tak przynajmniej profesjonaliści. A członkowie ekipy uważają, że nie trzeba dublować ich wysiłków.

- Więc to było po prostu nieporozumienie. W każdym razie z twojego punktu widzenia.

- Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć. Przerwała, odwracając wzrok i zamyślając się ponuro.

- Zawsze mówiłam, że nie wiem, jak John Landis! reżyser Strefy mroku, mógł wystawić na niebezpieczeństwo życie Vica Morrowa i tych dwojga dzieciaków, którzy zginęli podczas zdjęć. Jego postępowanie wydawało mi się takie lekkomyślne, bezduszne. Teraz bardziej to rozumiem. Człowiek przyzwyczajają się do tego, że ludzie naokoło ryzykują, że wystawia ich na niewielkie niebezpieczeństwo. A potem, stopniowo, niebezpieczeństwo staje się coraz większe. Kiedy przez pewien czas nic wielkiego się nie dzieje, zaczyna się wydawać, że nigdy nie stanie się nic złego.

Rey rzucił segregator na szafkę, a potem usiadł obok Julie na rogu biurka.

- Scena, którą zaplanowałam, nie była znowu taka niebezpieczna. Ten wypadek nie powinien był się zdarzyć. I nie zdarzyłby się, gdyby coś się nie zepsuło w łodzi. Nie masz powodu, żeby obwiniać siebie.

- Jestem reżyserem. Daję komendę do kręcenia, więc jestem odpowiedzialna za to, co się dzieje na planie.

- Jeżeli dobrze pamiętam, to nawet Landis został zwolniony od odpowiedzialności karnej.

- Ale sprawa cywilna ciągnęła się latami i kosztowało go to miliony dolarów.

- Donna nie mówiła, że skieruje sprawę do sądu. Ona po prostu chce ... musi... poznać prawdę i zapomnieć o tym wypadku.

- Dobrze by było, gdyby i mnie się to udało.

Rey kiwnął głową, zgadzając się z nią. Przez chwilę na jego twarzy widoczny był niepokojący wyraz, który zaraz zniknął.

- Co myślisz o tym, żeby na kolację zjeść smażone krewetki i suma? - spytał łagodniejszym już tonem. - Dziś wieczorem ciotka Tine idzie na przyjęcie na cześć pewnej przyszłej matki, której goście mają przynieść prezenty, a my będziemy musieli radzić sobie sami.

- Dobrze, tylko że mnie smażenie nie idzie - powiedziała Julie, poprawiając się na krześle.

- Nie miałem na myśli tego, że będziemy sami to przyrządzać - odpowiedział Rey. - Miałem na myśli restaurację Middendorfa. Oni podają najlepsze smażone owoce morza w okolicy, a jako nagrodę specjalną oferują oglądanie jeziora Maurepas i Pass Manchac - kanału łączącego jezioro Maurepas z jeziorem Pontchartrain.

Julie przypomniała sobie, że jezioro Maurepas znajduje się tam, gdzie kończy się Blind River.

- Pojedziemy łodzią?

- Jeżeli chcesz.

Jego uśmiech był szczery.

- Nie, nie, lepiej samochodem.

- Co? - zapytał i przekręcił jej obrotowe krzesło tak, że siedziała teraz twarzą do niego. - Nie będzie pływania przy księżycu?

- Dziś nie.

Spuściła oczy i złożyła ręce na kolanach, przyciskając je mocno do siebie.

- Szkoda - powiedział Rey miękko. - Będę musiał pomyśleć o czymś innym.

Pochylił się i dotknął wargami jej chłodnych ust, ogrzewając je, pieszcząc językiem w miejscu, gdzie spotykały się wargi. Po chwili usta Julie zaczęły pulsować rytmem serca. Rozplotła palce i położyła dłonie na jego ramionach, przyciągając go bliżej i całując mocniej.

-No, no, to dopiero - odezwał się od drzwi śpiewny głos. Rey podniósł głowę, odsuwając się bez pośpiechu. Julie uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Odetchnęła powoli i głęboko odwracając się. Zobaczyła Vance'a stojącego z ręką na klamce.

- Chciałeś czegoś? - zapytała.

Oczy aktora pociemniały z zazdrości i urażonej dumy.

- Jestem pewien, że czegoś chciałem, ale zapomniałem czego - odrzekł zgryźliwie. - Przyjdę później. Zgoda? No i zamknę za sobą drzwi. Nie wiem, czy Allen wie, co się tu dzieje, ale jeżeli nie wie, to pewnie nie chcesz, żeby się dowiedział.

Jadąc do restauracji Middendorfa nie byli zbyt ożywieni. Rey prowadził dżipa, poświęcając prowadzeniu samochodu tylko część swojej uwagi. Pojechał autostradą zwaną Airline Highway albo inaczej US 61 aż do drogi prowadzącej na autostradę międzystanową nr 10, tam skręcił, dojechał do I-55 i skierował się na północ. Noc zapadła wcześniej i za szybami niewiele było widać. Rey pokazał Julie kanał wykopany wzdłuż autostrady międzystanowej, po którym pływały duże barki wożące pale do budowy szerokiej drogi przez bagna. Potem rozmawiali przez chwilę o oposach i szopach, które - wiedzione impulsem samobójczym - wybiegały nocą na drogi Luizjany, po czym zostawały z nich tylko żałosne kupki futra, którymi później zajmowały się myszołowy. Nie poprawiło to jednak ich nastroju.

Rey spoglądał na Julie od czasu do czasu. Ona zamknęła się w sobie, najwyraźniej zatopiona we własnych myślach. Obawiał się, że wie, o czym Julie myśli.

Pospieszył się i ją również zmusił do zbyt pospiesznego działania - wiedział o tym. Problem polegał na tym, że było tak mało czasu. Nie usprawiedliwiała go to jednak. przegrał. Taka była prawda. Nie mógł powstrzymać się od pójścia nocą do jej pokoju, tak jak nie mógł nakazać własnemu sercu, żeby przestało bić. Julie pociągała go z tak ogromną siłą, że nie potrafił się jej przeciwstawić. To było coś, co musiał sobie jasno uświadomić i wziąć pod uwagę.

Spojrzał na twarz Julie oświetloną zielonym światłem padającym z tablicy rozdzielczej. Patrzył na jej wyraziste rysy i pełen determinacji sposób trzymania podbródka, na jej wyraźnie zarysowane, łagodnie wygięte usta. Julie była tak opanowana, tak bezpieczna w swoim odcięciu się od otoczenia, że Rey przyjął to jak wyzwanie. Chciał ją rozbroić, przełamać jej postawę obronną, przekonać, że powinna dopuścić go do swoich myśli, marzeń. Chciał wiedzieć o niej wszystko: jaki kolor najbardziej lubi i na kogo będzie głosowała w następnych wyborach. Im więcej by wiedział, tym czułby się bezpieczniejszy.

Nie tak dawno, w biurze, miał ochotę dać Vance'owi Stuartowi pięścią w twarz. Zarozumiały pętał z tego Vance'a. On naprawdę uważał, że mówienie do Julie tak złośliwym tonem ujdzie mu na sucho! Czy między nim a Julie było kiedyś coś, co by to usprawiedliwiała? Jak bardzo ważny był Vance dla Excel Films i dla Julie? Rey zmrużonymi oczami obserwował drogę wylaniającą się w blasku jego reflektorów. Nie miał prawa zadawać takich pytań. To przecież z powodu jego własnej nierozwagi Vance'owi trafiła się taka gratka. Nie powinien był zbliżać się do Julie tam, w biurze. Oczywiście trzymałby się od niej z daleka, gdyby nie musiał naprawiać tego, co sam zepsuł, gdyby nie musiał odbudować ich bliskości.

Jeszcze raz rzucił okiem na siedzącą obok kobietę, która znowu odwróciła głowę, patrząc przez okno na mijane mokradła i na drzewa tworzące parawan oddzielający bagna od drogi. Zastanowiwszy się nad kilkoma z wielu pytań, jakie chciał jej zadać, zapytał:

- Skoro chodziłaś do szkoły w Luizjanie, to jak to się stało, że wylądowałaś w Los Angeles?

Spojrzała na niego, nie uśmiechając się, i odpowiedziała od razu:

- Po śmierci matki Bull poprosił mnie, żebym z nim zamieszkała. Poprzednio byłam w Kalifornii raz czy dwa razy, podczas wakacji. Wystarczyło to, żebym polubiła słońce i uciechy Malibu, gdyż Bull właśnie tam

mieszkał. Pojechałam więc do niego.

- I dobrze ci się z nim mieszkało?

- Z początku tak - odpowiedziała, kładąc głowę na oparciu i odwracając się do Reya. Odprężyła się, jak gdyby to, że ma w końcu o czym mówić, sprawiło jej ulgę. - Bull był hojny. Podarował mi samochód, otworzył konto bankowe, dawał mi ciągle po dwadzieścia dolarów, tak jakby jego zasoby były niewyczerpane.

- Wszystko, o czym marzą nastolatki.

- Tak. Ale on również chciał wybierać mi przyjaciół i mówić, co mam myśleć. Wcześniej nigdy go nie było, a teraz nagle zapragnął być najwyższym autorytetem, nie znoszącą sprzeciwu głową domu. Musiałam mu się spowiadać z każdej chwili życia. Wtedy uważałam, że on ustanawia te głupie zasady i pilnuje, żebym się do nich stosowała, dlatego że chce zaspokoić wymagania swojego wybujałego ego. Ale teraz zdaję sobie sprawę z tego, że on był przerażony. Przerażała go odpowiedzialność związana tym, że ma pod opieką krnąbrne dziecko.

To określenie wydało się Reyowi tak mało przystające do rzeczywistości, że musiał się uśmiechnąć.

- Czy rzeczywiście byłaś krnąbrnym dzieckiem?

- Myślałam, że jestem okropna - przyznała - chociaż prawdopodobnie, jak na swój wiek, byłam normalna. W każdym razie wyprowadziłam się i mieszkałam przez pewien czas w domku na plaży razem z czterema innymi dziewczynami i paroma chłopakami, kumplami.

- Przerwałaś studia?

- Na rok.

- A później? - pytał dalej.

- Później mnie to znudziło. Zaczęłam się bawić kamerą szesnastką, którą dał mi Bull. Fotografowałam ludzi uprawiających surfing, fotografowałam fale, chciałam pokazać atrakcyjność tego stylu życia i to, że prowadzi on w ślepy zaułek. Pojawiły się problemy techniczne, różne pytania. A kogo miałam prosić o radę i u kogo szukać odpowiedzi na moje pytania, jak nie u Bulla?

- Najwyraźniej udzielił ci tych odpowiedzi - powiedział Rey, wymijając precyzyjnie wielką ciężarówkę.

- To spowodowało radykalną zmianę. Nauczyliśmy się rozmawiać bez krzyku, słuchać siebie nawzajem, a nie czyhać na stosowną chwilę, żeby wykrzyczeć swoje racje. Wróciłam na uczelnię, ale nie zrezygnowałam z własnego mieszkania. Spędzałam czas obserwując Bulla przy pracy i filmując wszystko, co się rusza.

W jej głosie słychać było jakieś przygnębienie, zapowiedź depresji. Rey ostrożnie badał, jaki jest tego powód:

- Długo już mieszkasz sama.

- Można tak powiedzieć. Jestem sama z wyjątkiem przerw na mieszkanie z Allenem.

Rey prawie zapomniał o Allenie. Jednak to, że ona o nim nie zapomniała, było wymowne.

Zapadła między nimi cisza, którą przerwała Julie.

- Te bagna są takie wielkie. Zdaje się, że nigdy się nie skończą. - Nie są takie wielkie jak kiedyś. Zbyt wiele drzew wycięto, zbyt wiele domów i fabryk zbudowano.

- Dlaczego Cajunowie tutaj się osiedlili? W osiemnastym wieku musiały być lepsze miejsca do osiedlenia się.
- Wzięli ziemię, którą dali im Hiszpanie będący wtedy jej właścicielami, a oni byli zadowoleni, że ją dostali. Właściwie to nie osiedlili się na bagnach, tylko wzdłuż rzek i ich odgałęzień. Bagna jednak zawsze znajdowały się tuż za ich domami. Badali je chyba z tego samego powodu, dla którego ludzie uprawiają wspinaczkę górską.

- Po prostu dlatego, że istnieją, tak jak istnieją góry - powiedziała Julie domyślnie. - A twoi przodkowie? Czy oni właśnie tym się zajmowali? Zadając to pytanie, patrzyła na niego uważnie i w napięciu, on jednak nie był w stanie zorientować się, co to spojrzenie oznacza.

- Mniej więcej - odpowiedział w zadumie. - Była to rodzinna rozrywka, zawsze, aż do czasów obecnych. Teraz już nie, bo większość moich kuzynów jest zbyt zajęta zarabianiem na życie. Nie żyją już tak jak nasi przodkowie.

- A twój ojciec co robił ... to znaczy, jak zarabiał na życie?

- Przez pewien czas uprawiał ziemię, a potem poszedł do pracy w pobliskich zakładach chemicznych. Jego brat, mąż ciotki Tine, pracował w firmie Colo ni al Sugar, w fabryce słodczy. Uwielbiałem patrzeć na niego, kiedy wracał z pracy. Wyglądał jak kawałek marcepana, zawsze był pokryty kryształkami cukru, które w fabryce wisiały w powietrzu jak mgła. Ciotka Tine nazywała go najśłodszy na świecie mężczyzną.

- To do niej podobne - powiedziała Julie pogodnym tonem, chociaż wyraz jej oczu wskazywał na to, że coś ją nęka. Wjechali na wzniesienie i zobaczyli przed sobą jezioro Maurepas. Rey wskazał rozległy, ciemny obszar wodny leżący po lewej stronie i obrzeżony szeregiem żółtych świateł mrugających w oddali. Na prawo znajdował się wąski przesmyk prowadzący do jeziora, którego nazwa pochodziła od nazwiska ministra marynarki z czasów Ludwika XIV, hrabiego de Pontchartrain. Przejechali przez wybrzuszony most przerzucony nad tym przesmykiem, tak wysoki, że mogły pod nim przepływać barki i większe łodzie rybackie, a potem wjechali na parking restauracji.

Restauracja była bezpretensjonalna. Mieściła się w długim, niskim budynku ozdobionym markizą w czerwone paski i ogromnym czerwono - żółtym szyldem, mającym przyciągać uwagę Jankeś w jadących do Baton Rouge czy do Nowego Orleanu. Działała od ponad pięćdziesięciu lat, podawano w niej świeże owoce morza rybakom z jeziora i miejscowym - mieszkańcom Nowego Orleanu będącym amatorami nie wyszukanych dań, a także kibicom z północnej Luizjany i z nad Missisipi, jadącym na mecze futbolowe odbywające się w LSD i Super Dome. W sezonie przybywali tu również turyści.

W środku panowała domowa atmosfera. Ściany obłożone były drewnianą boazerią, a na stołach leżały obrusy w kratkę. Rozlegał się gwar ściszonych głosów gości i pachniało mięsem krabów, mąką kukurydzianą i ciepłym olejem z orzeszków ziemnych. Reya i Julie przywitała uśmiechnięta kelnerka i poprowadziła ich do stolika w rogu, o który poprosił Rey. Idąc za nią, odpowiedział na pozdrowienia kilku przyjaciół. Oboje z Julie pomachali też filmowcom z ekipy, którzy dowiedzieli się o tej restauracji i siedzieli teraz przy trzech stolikach.

W spisie potraw był befsztyk i kurczę, a także hamburgery, ale oprócz tego mnóstwo potraw morskich w rodzaju ostryg na półówkach muszelek, gotowanych langust, pieczonych na rożnie krewetek, pieczonych fląder z masłem cytrynowym i wszelkich odmian smażonych owoców morza. Do tego była zielona sałata i sałatka z surowej kapusty, smażone kartofle i ciasteczka kukurydziane bez cukru smażone w tłuszczu. Jedzenie nie było wyszukane, ale obfite i doskonale przygotowane.

Rey poprosił o butelkę Pouilly - Fuisse z dobrego rocznika, a później wspólnie z Julie zastanawiali się, czy wino nie jest zbyt dobre do smażonych potraw. Sączyli wino i studiowali kartę. Rey zamówił specjalność zakładu: cienkie filety z hodowanego w stawie suma, usmażonego na kolor złotobrazowy, Julie natomiast, chcąc spróbować kilku rzeczy, zamówiła półmisek z krewetkami, ostrygami, z sumem i faszerowanym krabem.

Kiedy kelnerka po przyjęciu zamówienia zabrała karty i oddaliła się, Rey nalał wina do kieliszków i oparł się wygodnie. Zdobył się na odwagę i zapytał spokojnie:

- Chcesz o tym porozmawiać, czy raczej nie?
- Słucham?

Julie upiła trochę wina. Nikły blask świecy osłoniętej szklanym kloszem odbijał się w dnie jej kieliszka; zamigotał na jej twarzy, podkreślając nienaturalny spokój Julie.

- Coś cię gnębi. Chciałbym wiedzieć, co to takiego.

Przez chwilę wydawało się, że Julie odpowie na to pytanie wymijająco. Jednak kiwnęła głową.

- Rzeczywiście - powiedziała - jest coś takiego. Słyszałam, że masz reputację playboya polującego w pewnych kręgach nowo orleańskiej socjety. Jak to jest możliwe, żeby taką reputację miał Cajun z zapadłej prowincji, znany jako Szczur Bagienny?

Rey był przygotowany na różne ewentualności, ale nie na tę właśnie. Myślał, że to jest sprawa mało istotna. Mówiąc tonem ironicznym i trochę niższym, niż zamierzał, zapytał:

- Madelyn?
- Tak. Ta informacja pochodzi od niej. Powiedziała mi to w sposób okrężny.
- Ona przesadza.
- Ale masz mieszkanie w Nowym Orleanie?

Zabrzmiało to jak oskarżenie.

- Mam.

- Bardzo ładne mieszkanie, jak słyszałam. I jeździsz włoskim samochodem sportowym wartym tyle, ile wynosi wieloletnie utrzymanie przeciętnej rodziny?

- Widzę, że Madelyn się napracowała ..
- I latasz własnym samolotem?

Westchnął zrezygnowany, potwierdzając.

- Czy Madelyn powiedziała ci, że mam kolekcję bezcennych sztychów i jacht na jeziorze Pontchartrain?
- Nie, ale wspomniała o Krewe of Comus.

- Wiem, że przynależność do klubu Mardi Gras jest czymś, co ci bardzo imponuje.

- Ja pochodzę z Luizjany i wiem, jaką to ma wagę towarzyską, wiem, że oznacza to arystokratyczne pochodzenie. W samochodzie dałam ci możliwość, żebyś opowiedział mi o swoich nowoorleańskich koneksjach rodzinnych, nie tylko o pokrewieństwie z Cajunami. Dlaczego nic o nich nie mówiłeś? Nie boisz się chyba, że ktoś przestanie cię lubić tylko dlatego, że jesteś taki, jaki jesteś, a zaczną cię cenić jedynie za twoją pozycję?

Rey przyjrzał się uważnie jej twarzy, starając się zorientować, czy chłodny ton głosu Julie bierze się z rozczarowania, czy może spowodowany jest oburzeniem albo powściągliwą ciekawością.

- Czy się tego nie boję? Mówisz tak, bo nigdy nie uganiała się za tobą Madelyn de Wells.

- Ja nie żartuję.

- Ja też nie - powiedział Rey trzeźwo. - Z początku nie powiedziałem ci o tym wszystkim, bo nie sądziłem, że to ma znaczenie. Nie mam zwyczaju podchodzić do kobiet i mówić: "Cześć, jestem bogaczem o złej reputacji".

- No nie, oczywiście, że nie. Bo przecież to bardzo zabawne zrobić z kogoś idiotkę.

Błysk w jej zielonych oczach, oczach w kolorze absyntu, był zdecydowanie błyskiem gniewu. Rey starał się uśmierzyć ten gniew.

- To nie tak. Byłaś taka pewna, że potrzebne mi pieniądze, że byłoby niegrzecznie wyprowadzać cię z błędu. W każdym razie ja nie spodziewałem się, że będę z tobą pracował, ani tym bardziej że będziemy mieszkali pod jednym dachem.

- Ale upłynęło ładnych parę minut od chwili, gdy łaskawie zgodziłeś się mi pomóc, do chwili, kiedy o świcie wysunąłeś się z mojego łóżka i kiedy właściwie mogłeś mi powiedzieć: "Atak przy okazji, to ja nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz".

Rey siedział obserwując ją, podziwiając rumieniec na jej oświetlonej świecą twarzy i sposób, w jaki bawełniany sweter - pod wpływem szybkiego oddechu spowodowanego gniewem - podnosił się i opadał na jej miękko zarysowanych piersiach. Po chwili skarcił się w duchu. Bo takie zauroczenie nie było dobre w tej sytuacji. Znalazł się bowiem w opałach. I wydawało mu się, że zaczyna rozumieć dlaczego.

- Przepraszam - powiedział nagle.

- No nie, nie rób tego ponownie - odpowiedziała, odrzucając stanowczo jego spokojne przeprosiny. - Nie rób mi łaski. Bo przecież przyjęcie na siebie winy przez mężczyznę jest z jego strony największą łaską.

Pochylił się ku niej i powiedział spokojnie:

- Nie przyjmuję na siebie żadnej winy, z wyjątkiem tego, że nie obudziłem cię dziś rano i nie powiedziałem "do widzenia". - Kto powiedział, że to było potrzebne? - odparowała ostro.

- Nikt, ale mam wrażenie, że nie byłabyś na mnie taka zła, gdybym dziś rano cię zapewnił, że odchodzę tak wcześnie nie dlatego, że chcę. Odszedłem ze względu na ciotkę Tine.

Julie zareagowała szybko: patrzyła na niego przez moment, a potem powiedziała:

- Oo!

- To prawda. Ciotka Tine rozumie potrzeby ciała. Ogląda z przyjemnością seriale telewizyjne pełne romantycznych scen i plotkuje z przyjaciółkami na tematy interesujące każdą starszą panią, ale nie byłaby zachwycona, gdyby się przekonała, że ostatniej nocy nie spałem w swoim łóżku. To jej dom i uważałem, że trzeba wziąć pod uwagę jej poglądy na temat moralności.

- Myślę - powiedziała Julie głosem prawie nie dosłyszalnym że o mnie miałyby gorsze zdanie niż o tobie.

Rey został zwolniony z obowiązku odpowiadania na tę uwagę, gdyż przyniesiono zamówione dania. Jedli przez dłuższy czas w milczeniu. Napięcie między nimi wciąż rosło. Julie miała oczy spuszczone, a między jej brwiami pojawiała się i znikła zmarszczka. W końcu odłożyła widelec. Rey, zauważywszy powagę w jej oczach, poczuł napięcie w mięśniach, brzucha, jak przed spodziewanym ciosem.

- Słuchaj - powiedziała Julie głosem ochryłym i bez tchu, jak gdyby chciała jak najszybciej wyrzucić z siebie słowa. - Myślę, że zeszłej nocy popełniliśmy błąd. Straciliśmy kontrolę. Wiem, że to nie tylko twoja wina, ale i moja. Wysyłałam niewłaściwe sygnały, nie wycofałam się wtedy, kiedy powinnam była to zrobić. Źle się czuję będąc równocześnie z tobą i z Allenem. Ja ... mam okropne poczucie winy.

Rey poczuł nagle, że stracił apetyt. Wypił resztkę wina i siedział przez chwilę z kieliszkiem w ręce, a potem postawił go na stole.

- Czy spowodowały to komentarze Vance'a? - zapytał stanowczym tonem.

- To uczucie narastało od chwili, gdy się obudziłam dziś rano. My z Allenem jesteśmy dość długo razem, byliśmy ze sobą w chwilach dobrych i złych. Szanujemy się i rozumiemy. On na to nie zasłużył.

Rey wiedział, że mógłby teraz powiedzieć różne rzeczy, ale nie był pewien, czy to, co powie, będzie miało jakiegokolwiek znaczenie. W tej chwili potrzebny był gest dżentelmena. Rey wiedział o tym, chociaż nie miał ochoty takiego gestu wykonać.

- To, co się stało zeszłej nocy, do niczego cię nie zobowiązuje - powiedział spokojnie.

- Skoro tak, to w porządku - odpowiedziała Julie, nie patrząc na niego.

- Wydaje mi się - odezwał się z lekką ironią - że pierwszy raz zostaję odrzucony z tego powodu, że mam pieniądze.

- To nie tak - zaprzeczyła szybko Julie. - To nie z powodu pieniędzy. To dlatego, że Jesteśmy tacy różni, że moje życie jest zupełnie inne niż twoje. Wszystko zaczęło się od nieporozumienia. Ciebie najwyraźniej to bawi, ale mnie nie. Nawet gdyby nie było Allena, to ...

- Coś tu jest nie w porządku.

- Tak - potwierdziła, a jej głos zdradzał, że jest mu wdzięczna za tę pomoc.

- Po prostu ... zapomnijmy, że to się stało.

Rey zacisnął zęby, żeby nie powiedzieć tego, co mu w pierwszej chwili przyszło do głowy.

- I będziemy dalej pracować nad filmem i mieszkać pod jednym dachem? - zapytał.

- Tak, jeżeli uważasz, że to możliwe.

- Nie jest to niemożliwe. Jeżeli tego chcesz.

- A więc ... dobrze. Nie chciałabym tak szybko wyprowadzać się od ciotki Tine i wyjaśniać jej, dlaczego się wyprowadzam.

Zdołał posłać jej coś w rodzaju uśmiechu.

- Tego trzeba uniknąć za wszelką cenę. Ona błyskawicznie wydobyłaby z ciebie całą prawdę.

-Nie wątpię.

Wargi Julie wygięły się lekko, chociaż jej oczy wciąż wyrażały niepokój.

- A gdyby to się stało, ja musiałbym się też wynieść.

- O, na pewno nie.

- Nie z powodu moich grzechów, nawet gdyby w twoim opowiadaniu wyglądały na bardzo ciężkie. Tylko dlatego, że ciotka nie wybaczyłaby mi tego, że wypłoszyłem ciebie.

- Jej bardzo zależy na tym nowym dachu.

Rey nie to miał na myśli. Nie sprostował jednak, gdyż nie był pewien, czy będzie w stanie to zrobić. Zaproponował deser. Kiedy podziękowała, dał znak kelnerowi, że chce płacić.

Spodziewał się, że Julie będzie obstawała przy tym, żeby za kolację zapłaciło studio Excel Films albo przynajmniej żeby zapłacili po połowie. To, że tak się nie stało, mogło być spowodowane jej poczuciem taktu, mogło też oznaczać, że Julie bierze poprawkę na to, że on jest tak bogaty. Jakkolwiek było, Rey ucieszył się, że może się zająć płaceniem, podczas gdy ona poszła umyć ręce.

Wyjął z portfela banknoty na napiwek i położył je na stole.

Sięgając po rachunek, który miał zanieść do kasjera, zauważył resztkę wina w butelce. Nalał je sobie do kieliszka. Kiedy obserwował zawartość naczynia, jego wargi wykrzywił ponury uśmiech. Siedział przez dłuższą chwilę, patrząc, jak z powodu drżenia jego dłoni na powierzchni chłodnego, żółtego płynu pojawiają się zmarszczki. Przechyliwszy kieliszek gwałtownym ruchem, wypił wino. Odszedł od stołu, nie oglądając się za siebie.

8

Julie nie spała dobrze. Wielokrotnie przeżywała w wyobraźni ten wieczór z Reyem. Powracał jak fragment pierwszej kopii filmu, który trzeba poddać obróbce myślowej, ze względu na jakiś problem. Wydawało jej się, że musi przyjrzeć się ponownie pewnym wypowiedziom Reya. W jednym miejscu niepokoiła ją barwa jego głosu, w innym znowu intonacja, a kiedy indziej fragment dialogu nie pasował do towarzyszącego mu wyrazu twarzy.

Reakcja Reya na jej decyzję dotyczącą zakończenia ich dopiero co rozpoczętego romansu była wielkoduszna. Julie nie mogła liczyć na postawę bardziej uprzejmą ani na to, że Rey pomoże jej wybrnąć z tak trudnej sytuacji. Spodziewała się jednak czegoś innego, chociaż nie była pewna czego. Może tego, że zareaguje niedowierzaniem albo gniewem, albo nawet oskarżeniami. Była mu wdzięczna, że przyjął to z takim spokojem, a równocześnie czuła, że ten spokój był nie na miejscu.

Oczywiście mogło to oznaczać, że jest mu wszystko jedno, że jest na tyle obojętny, iż nie uważa za stosowne robić z tego problemu, zwłaszcza że ona zdecydowała się mówić o całej sprawie w zatłoczonej restauracji. Julie czuła się dziwnie, ale trudno jej było zdecydować, czy to dlatego, że on coś powiedział w jakiś określony sposób, czy też dlatego, że została zraniona jej miłość własna

Było jej głupio. Jak mogła do tego stopnia nie wiedzieć, czego chce? Jak mogła jednej nocy pragnąć kochać się z Reyem, a już następnej od niego uciekać? I co w nim jest takiego, co było w tym jego czarującym dotyku, co wyprowadziło ją z równowagi do tego stopnia, że tak panicznie bała się kontynuowania tego romansu, a równocześnie cierpiała na myśl, że on przyjął spokojnie fakt odrzucenia. Mówiła o swoim przywiązaniu do Allena ... N o tak, prawdą było to, że czuła się źle zdradzając człowieka, który tak długo stanowił stabilne centrum jej życia. Ale czy to tylko to?

Rey był człowiekiem skomplikowanym. Z początku uważała go za zwykłego macho, za samca z nadmiernie rozbudowanym ego, któremu brakuje delikatności. Jednak to nie było takie proste. W nim było coś więcej, chociaż trudno powiedzieć co. Tak dobrze ukrywał, kim jest naprawdę, wykręcał się dowcipem i z taką nonszalancją traktował szczegóły, że - zdawało się - może się za tym kryć wszystko. Może nawet coś niezbyt dobrego. Julie to przerażało. przerażała ją nie tylko myśl o tym, że nie wie, kim Rey może się okazać, ale także myśl, że może zrobić coś niesłychanego z jej bezpiecznym, uregulowanym życiem.

Nie miało to jednak znaczenia. Bo Julie rozwiązała problem Reya. I uwolniła się od kłopotu, jaki on stanowił. Była teraz wolna i mogła znowu zająć się filmem: Za parę dni film będzie ukończony, a ona stąd wyjedzie. Wróci do Los Angeles, do Allena i do następnego filmu. I do wszystkich kolejnych.

Przez następne trzy dni Julie pracowała po czternaście i więcej godzin na dobę, co pozwoliło jej odciąć się od wszelkich wpływów zewnętrznych i skoncentrować na doraźnym działaniu. Posunęło to też naprzód pracę nad filmem. Nakręcono kilka scen z Summer i Vance'em, dziejących się w obozowisku na bagnach, scen, podczas których stosunki między ojcem a córką stają się coraz bardziej serdeczne. A także scenę, w której oboje znajdują się na skifie, w chwili gdy nadciąga burza. Walcząc wspólnie z falami, Jean-Pierre i jego córka stają się

sobie coraz bliżsi. Widać wyraźnie, jak Sijmmer jako Alice, przebywając z ojcem, staje się coraz odważniejsza. Dobrze wyszła scena, w której grająca Dorotheę Madelyn, zniecierpliwiona nieudolnością wynajętych zbirów, zabrawszy broń sama zaczyna ścigać męża. Madelyn okazała się doskonałą wiedźmą, kiedy straciwszy swoją żurnalową elegancję pod pokładami błota, była zmuszona ustąpić po zmierzeniu się z niepokonanym bagnem i sposobem obrony męża. Scena, w której oboje pływają nago, sfilmowana nocą, miała w sobie tak absolutne piękno i była tak przeniknięta podskórnymi emocjami, że Julie była zaskoczona, a Vance i Madelyn, po obejrzeniu pierwszej jej kopii, wpadli w zachwyty i zaczęli sobie nawzajem gratulować.

Rey był zawsze w pobliżu. Julie często z nim rozmawiała. Wymieniali zwięzłe, bezosobowe pytania i odpowiedzi, rzadko kiedy patrząc na siebie. Rey był wszędzie, śmiał się, gadał, objaśniał, poprawiał wszystko - od wymowy aktorów po sposób urządzenia obozowej kuchni. Drażnił się z Summer i to dzięki niemu dziewczynka posyłała mu kokieteryjne uśmiechy i doskonale współpracowała ze wszystkimi; uspokajał nadwrażliwą Madelyn i skłaniał Vance'a do większego wysiłku, rzucając mu wyzwania. Wkradł się jakoś w łaski kamerzystów, przekomarzał się z nimi i przechwalał z takim wdziękiem, że często pozwalali mu stanąć za kamerą. Został nawet kumplem Ofelii; pili razem piwo i opowiadali sobie dowcipy, które, sądząc po jej ochryplym śmiechu, były zdecydowanie swawolne, jeżeli nie sprośne. W godzinach wolnych od pracy często można go było zobaczyć pijącego kawę z leśniczym i miejscowymi policjantami, którzy patrolowali autostrady i drogi wodne na bagnach i traktowali klub jachtowy jako nieoficjalne miejsce wypoczynku.

Trzeciego dnia, po zapadnięciu zmroku, Vance wszedł do biura Julie najwyraźniej tylko po to, żeby porozmawiać o konsultancie. Rzucając się na krzesło stojące naprzeciwko niej, powiedział bez wstępów:

- Co się dzieje z tobą i Tabarym? Jesteście dla siebie tacy grzeczni, że aż zęby boją. A poza tym widziałem przed chwilą, jak on wchodził do tego burdelu na kółkach, który zajmuje Ofelia. Szedł tam z zapalem.

- Pilnuj swoich spraw, Vance - odpowiedziała Julie chłodno.

- A więc to tak. Nie byłem pewien, czy jest w tym coś ciekawego, ale teraz naprawdę płonę z ciekawości. Co się stało? Kłótnia kochanków? Czy też doszłaś do wniosku, że nie warto ryzykować, bo ten romans może doprowadzić do tego, że skończy się twój doskonały układ z Allenem?

Julie spojrzała mu ostro w oczy.

- Co cię to obchodzi? - spytała.

- A dlaczego nie miałoby mnie to obchodzić? - obruszył się. - Ty, taka chłodna, niedotykalska pani reżyser, i co? Mnie odpychasz, poklepując po ramieniu, a tracisz głowę dla jakiegoś dzikusa z bagien.

- Nie straciłam głowy.

- Takie rzeczy to możesz wmawiać komu innemu, ale nie mnie.

- Bez wątplenia. Ale co ty chciałeś zyskać? Chciałeś zwrócić na siebie uwagę idąc ze mną do łóżka? Chciałeś mieć satysfakcję widząc nasze nazwiska wydrukowane obok siebie w jakichś brukowcach? Dziękuję ci bardzo. Mam dla ciebie radę, Vance. Jeżeli chcesz zrobić wrażenie na kobiecie, a zwłaszcza na kobiecie reżyserze, to

musisz okazać trochę szczerego uczucia.

Vance siedział przez chwilę, przyglądając się Julie, a potem sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął z niej coś brązowego, co wyglądało jak brudna lina. Włożył to coś do ust, odgryzł kawałek i zaczął żuć.

- Ty żujesz tytoń?

Mruknął coś, co wyglądało na "tak", przesuwając żuty kawałek językiem.

- Dał mi to jeden z miejscowych. To się nazywa perique. Jest to czysty tytoń indiański, uprawiany tylko w tych stronach przez kilka starych rodzin. Jest świetny, ale nie jest narkotykiem.

- Właśnie się zastanawiałam, czy to nie narkotyk.

- Nie. Ale twarde narkotyki też można oczywiście zdobyć.

- Oczywiście - powtórzyła Julie drętwym głosem.

Popatrzył na nią chwilę, a potem powiedział:

- Wiesz, Julie, kiedy ci na tym zależy, robi się z ciebie straszna cholera.

- To nic nowego - odpowiedziała, nie chwytając przynęty.

- Dla mnie to coś nowego. Ja uważałem cię za słodką dziewczynę, za kociątko, mimo że zawsze zbytnio przejmowałaś się pracą. Annette usiłowała mnie przekonać, że wcale taka nie jesteś, ale ja myślałem, że ona tylko tak gada.

- Kociątkiem na pewno nie jestem - powiedziała Julie gniewnie.

- To prawda. Potrafisz człowiekowi zrujnować karierę bez mrugnięcia okiem. Może powinienem zacząć się bać.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Ależ masz, masz. Czterema krótkimi słowami odebrałaś Annette Davett szansę na coś wielkiego. Annette opowiedziała mi, jak to było. Miała próbę głosu, bo chciała grać dużą rolę w jednym z filmów Bulla. Ty się tam kręciłaś, czekałaś na kochanego tatusia. Chciałaś, żeby się pospieszył, więc kiedy cię zapytał, co myślisz o Annette, powiedziałaś: "Jej głos jest śmieszny".

Julie szukała w pamięci tego wydarzenia, ale bez skutku. To nie miało wielkiego znaczenia, była tego pewna. Bull często pytał ją o zdanie. Nie doceniał inteligencji kobiet, ale święcie wierzył w ich intuicję.

- To musiało być wiele lat temu - powiedziała wreszcie.

- O tak, rzeczywiście. Byłaś wtedy nastolatką. Nie pamiętasz tego, prawda? Tym gorzej dla ciebie.

- Bo to oznacza, że tak mało mnie to obchodzi, że nawet nie byłam łaskawa tego zapamiętać, tak? Nigdy nie miałam zamiaru zniszczyć niczyjego życia. Jeżeli tak się stało, to przykro mi. Nie zrobiłam tego złośliwie. Prawda jest taka, że głos Annette stanowił i nadal stanowi problem. Dlaczego nad nim nie pracowała, nie obniżyła go, nie wzmocniła?

Vance wzruszył ramionami okrytymi luźną bawełnianą koszulą. - Skąd mam to wiedzieć? Pewnie dlatego, że łatwiej było zwalić winę na ciebie.

- Nie rozumiem też, dlaczego Annette pozwoliła córce grać w moim filmie? Skoro mnie tak nie lubi, nie powinna na to pozwolić.

- To mogę ci wyjaśnić. Uważa, że jesteś jej coś winna. I uważa, że będzie w porządku, jeżeli odbierze, co się jej należy, za pośrednictwem Summer.

- A wydawało mi się, że ona jest taka dumna.

- Aktorzy nie mają dumy - powiedział, a błękit jego oczu, wzmocniony soczewkami kontaktowymi, pociemniał w błysku pełnej obrzydzenia samowiedzy. - Zamiast dumy mają ego. Pozbawione poczucia bezpieczeństwa, destrukcyjne ego, które nie toleruje doznanych krzywd.

Dotarł do nich jakiś dźwięk. Ktoś otworzył drzwi przyczepy, w pokoju sekretarki rozległy się kroki. Biurko Julie stało tak, że nie sięgała wzrokiem do sąsiedniego pomieszczenia, ale Vance, siedzący naprzeciwko, widział, co tam się dzieje. Julie rozpoznała kroki. W tej samej chwili Vance skoczył na równe nogi i obszedł biurko dookoła. Zanim Julie zdążyła się odsunąć, pochylał się nad nią, wziął jej brodę w dłonie i przycisnął wargi do jej ust.

Pocałunek był krótki, suchy, prawie obojętny. W chwilę później aktor wyprostował się.

- Ostrzegalem cię - powiedział zduszonym głosem.

Potem cofnął się i odwracając się do drzwi posłał stojącemu w nich mężczyźnie triumfalny uśmiech. Minał go, a następnie przeszedł przez pokój sekretarki i wyszedł z przyczepy.

- Mogę przyjść później - powiedział Rey obojętnym tonem jeżeli przyszedłem nie w porę.

Julie odetchnęła głęboko. Podniosła rękę do ust, jak gdyby chcąc je wytrzeć, a potem opuściła ją i powiedziała zdławionym głosem:

- Przychodzisz w porę. To, co widziałeś, to był akt małodusznej zemsty. Było to przeznaczone dla twoich oczu i miało mnie zawstydzić. Im mniej się temu poświęci uwagi, tym lepiej.

- Ja miałbym ochotę poświęcić mu sporo uwagi - powiedział ponuro Rey,

- W jakim celu? To by go tylko przekonało, że ci dopiekl.

- Chciałbym mu poświęcić sporo uwagi po to, żeby to się nie powtórzyło.

- Myślę, że mogę to zagwarantować.

- Możesz? A co zrobisz? Zagroźysz, że go zwolnisz z pracy? I ty wiesz, i on wie, że w tej fazie zastąpienie go kimś innym kosztowałoby zbyt wiele.

- Mogę tak zmontować jego sceny, że film będzie należał do Summer. Ona i tak prawie już mu go odebrała, więc nie byłoby to takie trudne.

Rey patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem roześmiał się. - Złośliwa z ciebie szefowa. Przypomnij mi, żebym ci się nie naraził.

Ta uwaga, w zestawieniu z oskarżeniami Vance'a, dotknęła ją w czułe miejsce.

- Nie omieszka - powiedziała, prostując się na krześle. - No, a teraz powiedz mi: potrzebujesz ode mnie czegoś?

W jego oczach zamigotały iskierki rozbawienia. Atmosfera w biurze stała się napięta. Julie poczuła, że policzki zalewa fala gorąca. Zdała sobie bowiem sprawę, że znowu powiedziała -coś, co mogło wywołać dwuznaczną uwagę. To, że Rey jej nie zrobił, podkreślało tylko jej omyłkę - Freudowską czy jakąś inną.

Zanim zdążyła to odkręcić, on odchrząknął.

- Tak naprawdę chodzi o coś, czego ty potrzebujesz. - To znaczy?

Julie wkładała dużo wysiłku, by jej głos był spokojny.

- Chodzi o to, żeby skończyć tę scenę z numerem kaskaderskim, którą odłożyłaś na później. Wspomniałem o niej Ofelii, a ona uważa, że ty jesteś już w stanie się do niej zabrać. Chciałem, żebyś wiedziała, że ja będę gotów ją zagrać, kiedy ty będziesz gotowa.

Julie dobrze wiedziała, że nigdy nie będzie do tego gotowa. Ale scenę trzeba było sfilmować.

- Dobrze - powiedziała, przestając zaciskać zęby. - Może jutro po południu?

- Świetnie - odrzekł.

- Świetnie - powtórzyła jak echo, unikając jednak jego wzroku.

- Słuchaj, Stan.

Julie stała na pływającej platformie, czekając. Czekając, aż główny operator przygotuje sprzęt, aż łodzie zostaną sprawdzone i ustawione w odpowiednim miejscu, a słońce znajdzie się we właściwym położeniu. Nie mieli zamiaru kręcić całej sceny pogoni od początku. Mieli się posłużyć materiałem już nakręconym z udziałem Paula - tą częścią sceny, która rozgrywała się na kanale i w niższych partiach Blind River, zanim łodzie znalazły się na otwartej przestrzeni. Oznaczało to, że pogoda, pora dnia, kąt padania promieni słonecznych i zewnętrzny wygląd łodzi muszą być dokładnie takie same jak w partiach już nakręconych. Wszystko to wymagało czasu i wysiłku.

Szybka motorówka została zreperowana i odmalowana; wyglądała jak nowa. Skif obejrzano szczególnie dokładnie, gdyż był to inny skif niż poprzednio, ten poprzedni był bowiem za bardzo zniszczony i nie dało się go uratować. Dołożono wszelkich starań, by znaleźć nowy - ten sam model i w podobnym stanie. Trzeba było jednak przemalować pas biegnący wzdłuż jego burty, a potem pobielić go w celu otrzymania tego samego wypłowiałego od słońca koloru. Ponadto w pewnych miejscach należało zrobić wgłębienia, a także sporządzić nowy napis z czarnych .liter i w odpowiednich miejscach je zdrapać.

Usłyszawszy głos Julie Stan, który rozmawiał właśnie z młodą sekretarką planu czuwającą nad realizacją scenariusza i mającą za zadanie dopilnować, by akcja była płynna i wszystko szło według harmonogramu, odwrócił się i pokuśtykał do Julie. Zaniepokojony rozłożył szeroko ramiona i zapytał:

- Co takiego?

- Nie panikuj, nie znalazłam żadnej nowej usterki - powiedziała Julie. - Zastanawiałam się tylko. Czy nie sądzisz, że próbuję przedobrzyć, kręcąc tę scenę? Że chcę, by była zbyt realistyczna? Zbyt dosłowna?

- Denerwujesz się, co?

- Można tak powiedzieć.
- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.
- Przedtem też tak mówiłeś.

Stan odchrząknął.

- No tak, wtedy też wszystko powinno było być dobrze. Ale tym razem tam jest Tabary. Może w tej ciemnobrazowej peruce nie wygląda tak atrakcyjnie jak zwykle, ale jest jedynym człowiekiem potrafiącym zapanować nad skifem.

Julie uśmiechnęła się, przypominając sobie, z jakim obrzydzeniem skrzywił się Rey, kiedy mu wręczono perukę przypominającą kolorem włosy Vance'a. Jednak jej wesołość nie trwała długo. - Ja pytam poważnie; Stan. Czy żądam zbyt wiele?

- Powiem ci coś, dziewczyno. Jeżeli wciąż jesteś w stanie zastanawiać się nad tym, to nie, nie żądasz zbyt wiele. Reżyser staje się niebezpieczny dopiero wtedy, gdy przestaje się zastanawiać, a zaczyna myśleć, że to, co sobie wykoncypował, musi być zrobione.

Julie kiwnęła powoli głową.

- Dzięki, Stan.

- Nie ma za co - odpowiedział, a potem odwrócił się i zaczął krzyczeć na pomocnika elektryka, który dopuścił do tego, że kabel wisiał zanurzony w wodzie.

Julie była zdenerwowana nie tylko z powodu niebezpiecznej sceny. Była też zdenerwowana tym, że w pobliżu miejsca, gdzie mieli kręcić, po rzece pływały powoli łodzie rybackie nie mające nic wspólnego z filmem. Było ich z tuzin. Łodzie te krążyły bardzo blisko nich. Znajdowali się w nich mężczyźni i chłopcy, a także kilka dziewcząt. Słyszeli, że filmowcy będą kręcili scenę z udziałem kaskadera, i chcieli ją zobaczyć. Filmowcy mieli prawo kontrolować, kto wchodzi na ich teren, mieli prawo nie wpuszczać nieproszonych gości i ciekawskich, a także ludzi, którzy mogliby przywłaszczyć sobie na pamiątkę rekwizyty i majstrować przy urządzeniach. Nie mieli jednak prawa kontrolować rzeki. Pociuszające było to, że w pobliżu, na pontonie, znajdował się policjant odkomenderowany do pilnowania, żeby gapie nie wchodzili na teren, gdzie miał być kręcony film. Gapie trzymali się przeważnie z daleka, jednak rozpraszali uwagę ekipy i mogli stanowić zagrożenie. Zagrożeniem takim mógł być każdy z nich, każdy, kto po rozpoczęciu zdjęć znalazłby się na drodze szybko płynącej łodzi.

Drugim czynnikiem rozpraszającym uwagę była obecność na platformie wdowy po Paulu Lislecie. Donna Lislet ubrana była w szarą sukienkę, włosy miała spięte z tyłu prostą, metalową klamrą, a twarz bladą. Oczywiście było, że jest zdenerwowana, ale postanowiła tu zostać aż do chwili, gdy kamery przestaną pracować. Zjawiała się też Madelyn. Jak zwykle rzucała się w oczy. Miała na sobie kreację od ekskluzywnego krawca - żółte spodnie i koszulową bluzkę, żółte sandały na trzyczalowych obcasach i okulary słoneczne w żółtej oprawce. Summer i jej matka również się pokazały. Wyglądało na to, że Rey ma własną klakę. Julie miała nadzieję, że wszystko pójdzie tak, że klakierom nie zabraknie powodów do oklasków i wiwatów.

Ciotki Tine nie było. Powiedziała, że nie mogłaby na to patrzeć po raz drugi. Miała zamiar czekać w domu na wiadomość, że wszystko poszło dobrze.

Ciotka Tine miała rację, pomyślała Julie. Przyszło jej do głowy, że i ona wolałaby trzymać się z daleka, aż do chwili kiedy będzie po wszystkim. Musiała jednak być na miejscu, a będąc tu miała ochotę przepędzić wszystkich tych, którzy nie mieli określonych zadań do wykonania.

Prześladowała ją myśl, że ci ludzie, interesujący się tak bardzo skifem i szybką motorówką, mają w sobie coś z wampirów. Podobnie jak w widzach oglądających walki gladiatorów w starożytnym Rzymie i jak w tych, co obecnie oglądają wyścigi samochodowe oraz starty i lądowania wahadłowca kosmicznego, była w nich jakaś pierwotna potrzeba przyglądania się, jak ludzie podejmują ryzyko utraty zdrowia lub życia. Świadomość, że ona, filmując takie sceny, zaspokaja tę potrzebę, nie poprawiała bynajmniej jej samopoczucia.

Właściwie wolałaby odwołać te zdjęcia. Ale nie mogła tego zrobić. Wszystko zostało przygotowane, ekipa i technicy byli na miejscu, a pieniądze zostały wydane. Zresztą pieniądze nadal płynęły w szybkim tempie kilku tysięcy dolarów na godzinę. Nagłe odłożenie zdjęć na później wywołałoby komentarze, mówiono by, że Julie kieruje się kobiecym kaprysem albo sentymentami, co zniweczyłoby jej szanse zdobycia renomy wybitnego reżysera. Z drugiej jednak strony, jakie to miało znaczenie w porównaniu z ludzkim życiem?

Donna Lislet stała sama i z zatroskaną miną obserwowała przygotowania na wodzie. Madelyn i inni nie zwracali na nią uwagi. Od chwili kiedy Rey zostawił ją na platformie, nikt nie odezwał się do niej słowem. Julie była zaniepokojona faktem, że młoda wdowa jest tak wyizolowana. Wciąż czuła się odpowiedzialna za śmierć męża Donny. Podeszła powoli do młodej wdowy.

- Przychodząc tutaj dzisiaj wykazała pani dużą odwagę - powiedziała przywitawszy się z nią.

- To nie odwaga - odrzekła Donna. - To chyba coś w rodzaju egzorcyzmów. Miałam takie koszmarne sny, że pomyślałam ... nie wiem, czy pani mnie zrozumie, ale wydawało mi się, że ... kiedy zobaczę, jak Rey wykonuje ten numer bezbłędnie, tamten obraz zostanie

Wdowa szukała odpowiednich słów. Julie spróbowała jej pomóc.

- Rozumiem, co pani ma na myśli. - powiedziała. - Każdy z nas radzi sobie z takimi rzeczami na swój sposób.

- Chciałam pani podziękować za to, że dała mi pani możliwość pracy przy filmie. Nie ma pani pojęcia, jak jestem tym zachwycona. Nie mogę się doczekać ...

Julie odpowiedziała uprzejmie, a potem opisała dokładnie sceny, w których Donna miała grać. Donna wtrącała swoje komentarze, które dowodziły, że jest kobietą zrównoważoną i dość inteligentną. Cechowała ją jednak pewna sztywność wskazująca na to, że być może nie ufa Julie do końca i że nie jest w jej obecności sobą. A może Donna po prostu uważała Julie za osobę winną śmierci męża? Podczas całej rozmowy jej uwaga była podzielona pomiędzy to, co mówi Julie, a to, co robi Rey w skifie na wodzie. Skupiała się całkowicie na konwersacji tylko wtedy, kiedy była mowa o tych scenach, w których miała grać. W końcu Julie została wyzwolona z tej niezręcznej sytuacji przez sygnał oznajmujący, że wszystko gotowe. Uśmiechnąwszy się i wypowiedziawszy kilka słów pocieszenia, odeszła na swoje stanowisko.

Padła komenda. Uruchomiono kamery. Wzdłuż rzeki przyplłynął skif. Wypadł pędem z ciemnego tunelu między drzewami na otwartą przestrzeń. Tuż za nim pędziła szybka motorówka, za którą posuwała się łódź z kabiną. Na tej ostatniej znajdowali się operator kamery i Stan. Wszystkie trzy łodzie pozostawiły za sobą na wodzie spienione bruzdy.

Podobnie jak poprzednio, z motorówki padły strzały oddane z pistoletu maszynowego przez jednego z mężczyzn w ciemnych kostiumach. Na lewo od skifu pojawiły się liczne fontanny - były to efekty specjalne, doskonale zgrane w czasie z ruchem mniejszej łodzi. Ułamek sekundy wcześniej skif zakołysał się biorąc zakręt i - tańcząc na własnej bruzdzie wodnej i na bruzdzie motorówki - przemknął między motorówką a łodzią z kabiną. Następnie, z Reyem u steru, przeleciał z łoskotem w stronę cyprysów i błyskawicznie się przez nie przedarł.

Nie trzeba było wydawać instrukcji, nie było potrzeby wykrzykiwania komend. Zadanie zostało wykonane perfekcyjnie, wszystkie ruchy były doskonale zsynchronizowane. Julie stała oniemiała z zapomnianym walkie - talkie w dłoni i patrzyła na to, co się dzieje.

Kiedy oglądała Paula Lisieta, wydawało jej się, że płynie on bardzo szybko. Teraz jednak okazało się, że Rey tak błyskawicznie przelatuje po wodzie, iż kamera nie może za nim nadążyć. Jego łódź, posuwająca się zawrotnej szybkości ślizgiem, znalazła się w trzech czwartych nad wodą. Wydawało się, że lada chwila poderwie się do lotu. Rey brał zakręty ostrzej niż jego przyjaciel, lepiej też panował nad łodzią. Przelatywał między cyprysami wśród plam słońca i cienia, tworzących wzór, który poprzednio tak zachwycił Julie. Tymczasem robiło jej się słabo na myśl, że Rey znajduje się tak blisko sterczących pni i kikutów oraz pełnych wypukłości, błyszczących korzeni cyprysów.

Kiedy tak stała zapatrzona, usłyszała za sobą jęk i zduszony szept Donny Lislet:

- Boże, o Boże kochany.

Madelyn rozchyliła usta i dyszała podniecona, obserwując Reya z zachwytem. Annette Davett patrzyła oszołomiona i przerażona. Obejmowała ramionami córkę, która stała przygryzając wargę, z bladą twarzą i nienaturalnie czerwonymi oczami.

Julie nie była w stanie zajmować się reakcjami tych kobiet.

W gardle ją ścisnęło, nie mogła zaczerpnąć powietrza. Serce tłukło jej się o żebra, a puls dźwięczał w uszach jak następujące po sobie grzmoty. Było jej niedobrze. Czuła, że zalewa ją zimny pot. W jej umyśle pojawiło się pragnienie przerwania tej męki. Uświadomiła sobie, że chce zatrzymać łodzie, nie dopuścić do tego, by scena rozwinęła się i osiągnęła przerażający finał. Słowo, które mogło to sprawić, czało się w jej myślach - rozpalone do białości i narzucające się, by go użyć. Słyszała jego dźwięk w głowie, wyczuwała jego ostre tony, ważyła jego siłę.

I nie mogła go wypowiedzieć. Strach czynił ją niemą. Była niema, gdyż bała się, że najdrobniejszy nawet dźwięk mógłby spowodować chwilową nieuwagę, pociągając za sobą katastrofę. Jej milczenie spowodowane było również szacunkiem dla profesjonalizmu i precyzji, których niezwykły pokaz miała przed oczami.

Wiedziała, że Rey studiował tę scenę ze Stanem, że dokładnie omawiali poszczególne ruchy łodzi, nie miała jednak pojęcia, z jaką precyzją opracowali choreografię tych ruchów, rozplanowali poszczególne działania, z jaką dokładnością wplekli łodzie i pozostawiane przez nie bruzdy wodne w zawily, piękny w swojej dynamice i ekscytujący wzór.

Padły kolejne strzały. Nastąpiło desperackie przyspieszenie.

Łodzie zaczęły zakreślać mniejsze kręgi, a potem popędziły w stronę cyprysów skręcając w kierunku na wpół zatopionego pnia, który miał się stać katapultującą rampą.

Jak drzewce ogromnej strzały podążające za swoim grotem skif popędził naprzód, unosząc się prawie nad wodą. Ktoś stojący za Julie zaklął z zachwytu. Kran zaskrzypiał, kiedy główna kamera przekreśliła się szybko, podążając za łodzią, błyskawicznie posuwającą się wśród drzew. Serce Julie biło jak oszalałe. Usta miała rozchylone, ale nie wypowiedziała ani słowa.

Skif leciał coraz szybciej i szybciej, zbliżając się do ogromnego pniaka tkwiącego w wodzie, pokrytego - ciemnym, opalizującym szlamem, zmurszałego i od lat obmywanego poruszaną przez łodzie wodą. Przepustnica była szeroko otwarta, silnik pracował na najwyższych obrotach, woda kotłowała się, a Rey trzymał ster żelazną ręką.

Aluminiowy skif uderzył w pień, rozległ się metaliczny dźwięk, jaki wydaje blacha szarpana przez tornado. Skif został wyrzucony w górę. Szybował teraz w powietrzu. Jego silnik zawył nagle, pracując na przyspieszonych obrotach, a śruba napędowa zawirowała. Zakreślając zdecydowaną parabolę, ominął korzenie cyprysa i ślizgając się, z pluskiem opadł na otwartą przestrzeń wodną. Szybko poruszając rufą na boki jak rybim ogonem, popłynął naprzód przez wyrzuconą przez siebie spienioną fontannę i pozbywszy się pogoni, udał się w górę rzeki.

Kiedy kamery filmowały ścigającą go motorówkę w momencie, gdy ta odbiła się od pnia, oraz reakcję sfrustrowanych opryszków, na planie panowała cisza. A potem rozległy się wiwaty, krzyki, wrzaski i aprobujące gwizdy. Niosły się ponad wodą, gdy Rey zwolnił i popłynął do platformy.

Julie klaskała razem z innymi. A jednak kiedy zobaczyła, jak Rey wstaje w wolno płynącej łodzi, zdejmując perukę i potrząsa głową, chcąc doprowadzić do porządku swoje włosy, kiedy patrzyła, jak zgrywa się przed tłumem gapiów znajdujących się na łodziach w pobliżu platformy i przed tymi, którzy stoją na platformie, pokazując zęby w uśmiechu i machając ręką, poczuła, że wzbiera w niej wściekłość.

Była wściekła na Reya za to, że w taki sposób narażał swoje życie, za to, że opracował scenę ze Stanem, nie konsultując się z nią, i za to, że tak rozbijającą niedbale, prawie nieśmiało, uśmiecha się do kobiet, które zebrały się, by go zobaczyć. Była na niego wściekła za to, że w jego wykonaniu wszystko wydawało się takie łatwe, podczas gdy ona tak się denerwowała.

A nade wszystko była na niego wściekła za to, że z jego powodu czuła tak wielki strach.

W niedzielę Julie zrobiła przerwę. Wielu reżyserów pracowało w weekendy. Ona też czasami to robiła, ale ten tydzień był wyjątkowo ciężki dla wszystkich; kilka razy kręcili w nocy, potrzebowali więc czasu na odpoczynek i odzyskanie sił. A poza tym ciotka Tine robiła aluzje, że powinna pójść z nią na mszę i Julie nie chciała sprawić jej zawodu.

Poszli we trójkę, razem z Reyem, na mszę przedpołudniową, a potem wrócili na lunch. Jedli gęstą zupę ze strączkami okry, sałatkę kartoflaną i francuskie pieczywo, jeszcze ciepłe, prosto z piekarni. Po lunchu ciotka poszła się zdrzemnąć, a Julie i Rey zostali, żeby posprzątać kuchnię. W kilka sekund po odejściu ciotki usłyszeli człapanie domowych pantofli, które włożyła po zdjęciu niedzielnych butów na obcasach.

- Zapomniałam pani powiedzieć, Julie - powiedziała, wsuwając głowę przez drzwi. - Jest pani zaproszona na wesele. W piątek moja cioteczna wnuczka, kuzynka Reya, córka trzeciego dziecka najstarszej siostry mego męża, wychodzi za mąż. Ślub będzie u Świętego Józefa. To będzie ślub i wesele nie lada, bo ona złapała lekarza i jej matka chce pokazać jego rodzicom, że nie jest od nich gorsza.

Julie uśmiechnęła się, słysząc kpiący ton starszej kobiety. - Wygląda na to, że nie można ominąć takiej okazji.

- Rzeczywiście. Podadzą jambalayę, a wino będzie tryskało z fontanny. Czegóż chcieć więcej? Będzie też taniec z pieniędzmi, podczas którego mężczyźni przypinają banknoty do sukni i welonu panny młodej. Kto wie - zakończyła ciotka mrugając - może nabierze pani ochoty na to, żeby pokazać w filmie wesele Cajunów. To by było coś.

Julie roześmiała się i wyraziła przypuszczenie, że może tak będzie, chociaż pomyślała, że słabe są na to widoki. Kiedy ciotka Tine wyszła, wytarła ostatnią szafkę i wypłukała zlewozmywak. Rey tymczasem zaniósł resztki jedzenia kurom i pawiom. Julie rozejrzała się po kuchni, chcąc się przekonać, czy wszystko jest już zrobione, po czym wyszła do jadalni.

Rey, wracając do domu, puścił drzwi z siatki drucianej, które trzasnęły głośno i odezwał się:

- Zastanawiałem się nad zakończeniem tej sceny, którą kręciliśmy wczoraj.

Julie milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

- Tak?

- Według scenariusza Jean-Pierre po wyminięciu korzeni cyprysów i zgubieniu pogoni znika w jakiejś odnodze. Ta ostatnia część, pokazująca jego zniknięcie, nie została jeszcze sfilmowana. Czy mam rację?

Julie dwoma palcami potarła sobie zmarszczkę między brwiami.

- Właściwie to częściowo została. Sfilmowaliśmy ją z udziałem Vance'a tego dnia, kiedy był wypadek. Jean-Pierre wpływa w odnogę, wyłącza silnik i czeka, aż jego prześladowcy miną odnogę. Ale po tym, co powiedziałaś o bąbelkach w bruździe wodnej za łodzią, bąbelkach, które go zdradzą, nie jestem pewna, czy ta scena jest dobra.

- Znam wspaniałe miejsce. Gdybyś zechciała je zobaczyć, można by tam sfilmować tę sztukę z dwiema odnogami.

- Chciałbyś, żebym je zobaczyła dzisiaj? - zapytała Julie. Marzyła o popołudniowej drzemce, która pozwoliłaby jej trochę nadrobić zaległości w śnie.

- To nie zajmie dużo czasu. Jeżeli chcesz, mogę ci to miejsce pokazać z powietrza, a nie z łodzi. - Nie. To zbyt kłopotliwe.

Julie zapomniała, że Rey podobno ma własny samolot.

- To żaden kłopot. I tak muszę sprawdzić samolot i polatać nim trochę. Już zbyt długo nie był w powietrzu.

- Ale w tym celu musiałbyś pojechać, do Nowego Orleanu, prawda?

- Jazda zajmie tylko czterdzieści pięć minut, a może i mniej, bo jest niedziela. Trudno było walczyć z poczuciem obowiązku, zwłaszcza że z każdym dniem zbliżał się termin zakończenia prac nad filmem. - To, że z tobą pojedę - odezwała się - nie oznacza, że zgodzę się na twój wybór miejsca.

- Wiem - powiedział z poważną miną i błyskiem wesołości w oku. - To tylko propozycja.

Była pewna, że ta propozycja jest dobra. Rey instynktownie wyczuwał, jakich miejsc Julię szuka do tego filmu. Było więc bardzo prawdopodobne, że propozycja zostanie przez nią przyjęta. Przypomniały jej się pretensje Stana, który miał leż za złe, że pozwala Reyowi rządzić na planie, i zastanowiła się, co Stan i inni powiedzieliby, gdyby się dowiedzieli, że Rey miał wpływ na jej decyzję dotyczącą tej sceny. Oczywiście potrafiłaby zignorować ich uwagi. Jednak przy odrobinie szczęścia oni się o tym nie dowiedzą.

- Czy mógłbyś poczekać, aż się przebiorę? - zapytała.

Miała na sobie to, w czym była w kościele - prostą szmizjerkę z kremowego jedwabiu z szerokim brązowoszarym paskiem. Ponieważ Rey był wciąż ubrany w spodnie od garnituru i jasnoniebieską, rozpiętą pod szyją koszulę z zawiniętymi rękawami, Julie spodziewała się, że i on włoży coś mniej eleganckiego.

- Nie zwracaj sobie tym głowy - odparł. - Nigdy nie wiadomo, co będziemy chcieli zrobić potem.

- Ja wiem. Wracam i kładę się spać!

- Szkoda na to takiej pięknej pogody. Ale, oczywiście, będzie, jak zechcesz.

Popołudnie rzeczywiście było piękne. Lagodne babie lato trwało nadal, dni były tak ciepłe, że człowiek wiedział, iż jest na południu, a równocześnie tak chłodne, że się nie męczył. Wilgotność, która w tych stronach osiągała czasami przez kilka dni dziewięćdziesiąt procent, oscylowała teraz w okolicy pięćdziesięciu. Liście sfruwały miękko z drzew, nie ponaglone przez wiatr. Leżały rozrzucone na szosie i podrywały się brązowożółtym tumanem, kiedy przejeżdżali. dziptem. Rzadko które były pomarańczowe lub czerwone. Poza liśćmi sumaku, sumaku jadowitego i z rzadka rosnących styrakowców, liście roślin tej subtropikalnej strefy miały kolory zgaszone. Jesień nie była tutaj ostatnim wybuchem jaskrawości, lecz raczej stopniowo narastającą sennością poprzedzającą krótką zimową drzemkę.

Chodzą ci po głowie drzemki, pomyślała Julie ironicznie, broniąc się przed sennością przeskakiwaniem z tematu na temat.

Samolot, Cessna 310, czekał na nich w pełnej gotowości. Rey zatelefonował zawczasu i zawiadomił mechaników w hangarze, że przyjeżdża. Teraz on i Julie siedzieli w samolocie stojącym jeszcze na ziemi. Słońce świeciło przez przednią szybę, a temperatura wewnątrz podnosiła się o dziesięć stopni na minutę. Rey sprawdzał listę kontrolną. W końcu odłożył spis i zwiększył obroty silnika, który pracował z głośnym rykiem. Zmierzali do pasa startowego. Przejeżdżali bardzo blisko ogromnych samolotów, przy których Cessna wyglądała jak zabawka. Julie na ich widok ogarniało przerażenie. Wkrótce unosili się w powietrzu.

Przechylając się na bok skręcili i znaleźli się nad jeziorem Pontchartrain, przelecieli nad długą groblą, która przecinała je na pół, ponad przepustem w Bonne Carre i ponad bagnami graniczącymi z lotniskiem znajdującym się w pobliżu Nowego Orleanu. Julie widziała szosę 1-10 ciągnącą się pod nimi, a także samochody pełzające nią jak owady. W chwilę później ślizgali się niżej, zakreślając ogromne koło ponad zakrętami Missisipi, ponad miasteczkami i zakładami chemicznymi, a także starymi domami plantatorów, nanizanymi na rzekę jak talizmany na bransoletkę. Przelecieli nad Sunshine Bridge - nad pomnikiem wystawionym byłemu gubernatorowi, Jimmiemu Davisowi, a także chwalebny czasom współczesnej Luizjany, w których zdawało się, że pieniądze z nafty są wszechmocne, tak wszechmocne, że mogą przemienić bagno w złoto.

Teren, na którym kręcili film, mignął Julie przed oczami tak szybko, że nie była pewna, czy go naprawdę widziała. Następnie polecili wzdłuż krętej Blind River, schodząc na wysokość, z jakiej widoczne były obozowiska i łodzie mieszkalne, których pełno było w górnym biegu rzeki, a także kanały i odnogi do niej wpadające. Bujali nad tym terenem, ścigając własny cień na bagnach, wypłaszając spomiędzy cyprysów ogromne, białe ptaki błotne i zmuszając je do szybkiego, pełnego trzepotów, srebrnopiórego lotu. Dolecieli do końca rzeki i przyłączając się do stad mew poderwali się ostro w górę nad jeziorem Maurepas, którego brzegi porośnięte były drzewami. A następnie zawrócili, mrużąc oczy, i polecili prosto w słońce.

Julie była zadowolona, że dała się namówić na tę wycieczkę.

Ten lot działał na nią rozweselająco. Przyglądając się uciekającej. spod samolotu ziemi, była w stanie o wiele lepiej niż przedtem uświadomić sobie, jak wyglądają bagna i w jakiej relacji pozostaje ta ich część, w której ona kręci film, do Missisipi i dwóch dużych jezior. Klimatyzacja w samolocie działała dobrze, więc dokuczało jej tylko jaskrawe światło słońca lśniące na nosie samolotu i przedniej szybie. Wnętrze kabiny pilota pachniało skórą i olejem, a także tchnącym świeżością płynem po goleniu. Rey uparł się, żeby Julie usiadła w fotelu drugiego pilota, chociaż w kabinie za nimi były inne miejsca.

- Stąd jest lepszy widok - powiedział. I bez wątpienia miał rację.

Julie w zasadzie nie czuła lęku przed lataniem, ale jej dotychczasowe doświadczenia ograniczały się do samolotów linii lotniczych, a także, z rzadka, do samolotów należących do różnych wielkich firm. Bała się trochę lecieć z Reymem, gdyż to, że ktoś jest właścicielem samolotu, nie oznacza, że jest dobrym pilotem. Jej obawy okazały się bezpodstawne. Rey obchodził się z samolotem tak samo sprawnie jak z łodzią. Jego ręce pewnie trzymały drążki sterownicze; był skupiony i równocześnie odprężony. Pochylając się w przód i

obserwując bagna, jakby nie pamiętał, że obok siedzi Julie.

- Z góry to wygląda jak jakiś starodawny Eden - powiedziała Julie. - Taki, co ciągnie się w nieskończoność, poza horyzont.

- Jest to jeden z ostatnich nietkniętych ekosystemów w tym kraju. Są tu wydry, a one nie tolerują zanieczyszczonego środowiska. przez te tereny przelatują ptaki wędrowne. Miliony kaczek i gęsi zbierają się tu jesienią i zimą. Ale to się zmienia. Zmieniało się stopniowo w ciągu dziesięcioleci. Teraz jest sporo zanieczyszczeń chemicznych, pochodzących zarówno ze źródeł przemysłowych, jak i z rolnictwa. A poza tym wkraczają przedsiębiorcy budowlani, którzy z każdym miesiącem posuwają się dalej, osuszając po paręset akrów. Mokradła znikają, wysychają.

- Ale na pewno ktoś w tej sprawie coś robi.

- Są tacy, którzy próbują. Ruch ochrony przyrody, organizacje obywatelskie, a także wielu stanowych senatorów i kongresmanów. Ale to droga pod górkę.

- Może nasz Jean-Pierre mógłby powiedzieć o tym parę słów z ekranu. Chyba jest to zagadnienie, które mogłoby go zainteresować.

Uśmiech, z którym się do niej zwrócił po tych słowach, wyrażał ożywienie, zaskoczenie i coś jeszcze, co kazało mu zatrzymać wzrok na jej twarzy.

- To świetny pomysł. Byłoby wspaniale, naprawdę! - Odwrócił się z wyraźnym ociąganiem. A po chwili dodał: - Tam jest to miejsce, o którym ci mówiłem.

Zanim skończył mówić, przelecieli nad nim i Julie musiała szybko odwrócić głowę, żeby je zobaczyć. W tym miejscu Blind River była węższa niż gdzie indziej, a na jej brzegach znajdowało się więcej zmurszałych pni i więcej ciemnych, niskopiennych palm. Dwie odnogi leżały o kilkaset stóp od siebie. Ujście jednej z nich było prawie zupełnie zatłoczone pniakami i gałęziami. Sprawnemu, myślącemu mężczyźnie łatwo byłoby wprowadzić łódź do jednej z tych odnóg, a potem spokojnie, powoli wpłynąć do drugiej.

- Ta większa odnoga to ślepy zaułek - zauważyła Julie.

- Będzie się więc wydawało, że twój bohater rozplątał się w powietrzu.

- To może przypominać drugorzędny western. Spojrzał na nią z szerokim uśmiechem.

- Uważasz, że to zbyt banalne?

- Nie będzie banalne - powiedziała Julie powoli - jeżeli w momencie, gdy zbiry dojdą do wniosku, że Jean-Pierre zamienił się w ducha, on włączy silnik i oddali się szybko. Oni go będą słyszeli, ale nie będą wiedzieli, gdzie jest i jak mu się udało wymknąć.

- Będą przeklinali. A to, wraz ze scenami pokazującymi przemoc i nagość, przyczyni się do tego, że twój film zostanie zaklasyfikowany jako film z ograniczeniem wieku. Nie będzie więc ani filmem bez ograniczeń wieku, co by się równało kasowemu fiasku, ani filmem typu X, co by nie odpowiadało tobie.

- To nie ja ustalałam tę klasyfikację - powiedziała Julie tonem osoby, która się broni.

- Nie powiedziałem, że ją ustalałaś. Opowiadała mi o niej Summer, która uważa filmy bez ograniczeń wieku za filmy dla dzieci. Sprawdziłem tylko, czy ona na rację.

- Dość dobrze się w tym orientuje.

- Jest inteligentną dziewczynką. Niewiele traci grając w filmach i nie prowadząc życia normalnego dziecka.

Julie nie odpowiedziała. Jej uwagę przykuła łódź płynąca pod nimi. Była biała i smukła i poruszała się bardzo szybko; wyglądało to tak, jakby się z nimi ścigała. Na jej pokładzie znajdowała się tylko jedna osoba: mężczyzna ubrany od stóp do głów na biało. Jego postać ledwie majaczyła w jasnym świetle popołudnia. Potem samolot wyprzedził łódź i ruszając nagle naprzód, zostawił ją z tyłu.

- Czy to nie była nasza łódź z kabiną? - zapytała Julie, oglądając się i próbując ją dostrzec w oddali.

- Tak ci się wydaje?

- Chyba widziałam na niej kamerę. Tylko nie wiem, po co ktoś miałby wlec ją na wodę.

- To pewnie taka przejażdżka dla przyjemności.

- Poza czasem zdjęć kamera powinna być zamknięta. Takie są warunki umowy najmu.

- Możemy spojrzeć jeszcze raz - powiedział Rey, zawracając. Zeszli niżej, lecieli tuż nad wierzchołkami drzew. Rey nie zrobił całkowitego nawrotu, nie poleciał wzdłuż rzeki, tylko podszedł do niej pod kątem prostym, z boku. Zobaczyli łódź przed sobą. Zbliżała się do kanału w miejscu, gdzie było kilka obozowisk i gdzie znajdowały się małe doki wysunięte na rzekę. Kiedy samolot podleciał bliżej, łódź skręciła w stronę doku z hangarem. Zwolniła nagle, tak jakby ktoś wyłączył silnik. Zanim samolot znalazł się nad nią, wśliznęła się pod dach hangaru. Wyglądało to tak, jakby zawinęła do macierzystego portu.

- Pomyliłam się, moja wina - powiedziała Julie, kręcąc głową.

- Przepraszam.

- Nie ma sprawy - powiedział Rey i skierował samolot w górę, nabierając wysokości.

Manewr, który wykonali, przypomniawszy coś Julie.

- Pamiętasz - powiedziała po chwili - tę noc, kiedy się poznaliśmy i ten samolot, który nadleciał na chwilę przed naszym ... poznaniem?

Rey kiwnął głową.

- Pamiętam - powiedział.

- Słyszałam, że z takich samolotów zrzuca się na bagna narkotyki. Wyławiają je ludzie na łodziach. Ty pracowałeś kiedyś dla DEA, więc pomyślałam, że mogłabym cię zapytać, czy to prawda.

- To się zdarza - potwierdził Rey. - Kilka lat temu czterosilnikowy DC-4 wylądował na drodze niedaleko stąd, w pobliżu Grand Point. Ta droga była nieczynna, bo trwały tam roboty. Z samolotu wylądowano jakieś osiem czy dziesięć ton marihuany, kiedy pojawiła się policja, którą zawiadomił jakiś mieszkaniec Grand Point. Trzech facetów ścigano potem po całej okolicy.

- To musiało być ekscytujące.

- Ludzie wciąż jeszcze o tym mówią. Ale moim zdaniem teraz większość towaru przywozi się na statkach. Trasa prowadzi pomiędzy przybrzeżnymi wyspami i przez zatoki wzdłuż wybrzeża; tą samą drogą, którą przywożono alkohol w czasach prohibicji i zrabowane przez piratów towary w czasach Lafitte'a.

- Ci, co się tym zajmują, muszą dobrze znać wybrzeże i drogi wodne.

- Albo zatrudniają kogoś, kto je zna - zgodził się, odwracając głowę i patrząc na nią spokojnie.

Julie niczego nie sugerowała. A może zresztą tak, może chciała zrobić jakąś aluzję? Z trudem wytrzymując jego spojrzenie, zapytała:

- Czy rzeczywiście przemysł tutaj tak kwitnie, w porównaniu, powiedzmy, z Florydą?

- Nasila się z miesiąca na miesiąc. Im bardziej siły rządowe do zwalczania narkotyków koncentrują się na miejscach takich jak Nowy Jork i Miami, Houston i Los Angeles, tym gorzej jest tutaj. Dealerzy są partyzantami. Oni nie stoją i nie gapią się, tylko znikają i urządzają sobie nowy przyczółek gdzie indziej, w tym wypadku w jakichś odnogach. No a Luizjana ma centralne położenie. Jest miejscem, w którym krzyżują się drogi prowadzące na wschód i zachód.

Gdy tak mówił, w jego twarzy było coś groźnego. Wiedziona impulsem, Julie powiedziała:

- Czy żałujesz, że przestałeś pracować dla DEA?

Poruszył ramieniem opiętym cienkim materiałem koszuli.

- W chwili gdy odchodziłem z tej pracy, byłem już nieco zmęczony tym, że muszę się zgadzać z poglądem głoszącym, iż ten problem można rozwiązać angażując ludzi i pieniądze w wojnę z narkotykami. Jeżeli twoim celem jest zwalczanie narkotyków, musisz najpierw doprowadzić do tego, żeby narkomania przestała być traktowana jako wypełnienie jakiegoś braku albo ucieczka. Ludzie, którzy nadużywają narkotyków czy jakiegokolwiek innej substancji, nawet jedzenia, muszą przyjąć na siebie odpowiedzialność za to, co wyrządzają samym sobie. Jak to powiedział pewien mieszkaniec bagien: "Zmierzyliśmy się z wrogiem, którym jesteśmy my sami". Nie jestem pewien, czy ten cytat jest dosłowny, ale Pogo miał rację.

- To niezbyt współczująca postawa.

- Nie chciałem urazić delikatnych uczuć liberalnej Kalifornijki - odpowiedział Rey spokojnie. - Ale od dwudziestu czy ponad dwudziestu lat okazywano narkomanom aż nadto współczucia. Wyniki widać w wiadomościach praktycznie co wieczór.

- A jakie ty proponujesz rozwiązanie? Zamknięcie wszystkich narkomanów w więzieniach?

- Po pierwsze, musi być wprowadzona przymusowa detoksykacja i pięć lat dla każdego, kto zostanie aresztowany za narkotyki lub urodzi dziecko uzależnione od narkotyków. A po drugie, ko nieczna jest publiczna edukacja tak intensywna, opisująca nałóg z takim realizmem, że każdy dorosły czy niedorosły, stykający się z nim, będzie wołał wsadzić sobie nóż między żebra, zanim zacznie używać narkotyków. Jeżeli zniknie popyt, zniknie też podaż, a także znikną ci, którzy tego towaru dostarczają.

- Naprawdę myślisz, że to jest metoda?

Jego poglądy i postawa interesowały Julie w tym samym stopniu, co wiedza na temat handlu narkotykami.

- Kto wie? Musi być co najmniej tak samo dobra jak ta, dzięki której przechwytuje się jeden z każdego tysiąca kilogramów koki i jedną tonę z każdych stu. ton marihuany dostarczanych na ląd.

Julie nie odpowiedziała, chociaż zastanawiała się, czy wielu z tych, którzy pracują dla DEA, myśli tak samo jak Rey. A jeżeli . tak, to jak mogą wykonywać swoje zadania, mając tyle wątpliwości.

Znowu lecieli na zachód. Słońce, świecące prosto w oczy, zmusiło Julie do zamknięcia ich na chwilę. otworzyła je dopiero wtedy, gdy samolot zaczął zawracać. Warkot silników i równomierny ruch były relaksujące. Julie stłumiła nagle ziewnięcie.

- Słuchaj - powiedział Rey spokojnie i z humorem - może byś poszła do tyłu i usiadła na jednym z foteli dających się rozłożyć? Prześpij się, a ja tymczasem sprawdzę, co tak terkocze, i trochę polatam.

- Co terkocze? - spytała powątpiewającym tonem.

- To nic wielkiego. Nic, czym powinnaś się martwić, chociaż chciałbym poświęcić temu parę minut. Jeżeli będziemy musieli skakać ze spadochronem, zawiadomię cię wcześniej, obiecuję ci to.

- Dzięki. Ale czy nie mogliby się tym zająć mechanicy z lotniska?

- Mogliby, ale skoro ryzykuję własny kark, nie mówiąc o innych częściach ciała, wolę to zrobić sam.

- Rozumiem - powiedziała śmiejąc się i odpięła pas, żeby się przenieść do tylnej części kabiny.

Kiedy się już wygodnie usadowiła, słuchając syczenia klimatyzacji i oscylując na krawędzi snu i jawy, uświadomiła sobie, jak dziwnie łatwo przyjęła do wiadomości zapewnienie Reya, że wszystko jest w porządku. Zwykle nie była taka ufna. Dziwne też było to, że się nie obraziła, kiedy Rey zażartował na temat jej delikatnych uczuć liberalnej Kalifornijki. Możliwe, że była zbyt senna, żeby się złościć, a może nie chciała psuć tego popołudnia nie prowadzącą do niczego sprzeczką. A zresztą, nie miała wyrobionego zdania na temat narkotyków. Uważała, że tylko głupiec wprowadza coś tak potencjalnie śmiertelnościowego do jedynego organizmu, jaki otrzymał w darze od życia, ale nie wrzała świętym oburzeniem, kiedy ktoś robił inaczej niż ona. Zdawała sobie sprawę, że zarówno jej aktorzy, jak i członkowie ekipy używają narkotyków. Trudno bowiem było tego nie zauważyć. Uważała jednak, że nie ma prawa wtrącać się do tego, dopóki nie przeszkadzało to w pracy. Zresztą nie czuła potrzeby takiej ingerencji.

No tak, praca. Czy to możliwe, że ktoś nie wykonał dobrze swojej pracy tego dnia, kiedy stracił życie Paul Lisiet? Ta myśl była niepokojąca. Odsunęła ją od siebie.

otworzyła oczy. Jej wzrok pobiegł w stronę kabiny pilota, znajdującej się za małym otworem drzwiowym, w którym wisiała zsunięta na bok zasłonka. Sylwetka siedzącego przy sterach Reya rysowała się zdecydowanie. Ruchy jego dłoni były pewne, a uwagę miał skupioną na przełącznikach, tarczach i wskaźnikach cyfrowych. Jego profil, odcinający się na jasnym tle, był wyrazisty, dobrze wymodelowany i budził zaufanie. Z całą pewnością budził zaufanie. Julie zamknęła oczy. Była naprawdę zmęczona. Nietrudno jej było zasnąć.

Poprzez lekką mgiełkę snu poczuła, że samolot przechyla się i zakręca. Usłyszała trzaski i jakieś słowa płynące z radia, a potem spokojną, zdecydowaną odpowiedź Reya. Obróciła głowę opartą o zagłówek, marszcząc brwi przez sen, ale nie obudziła się.

Otrzeźwiło ją szarpnięcie. Po chwili zdała sobie sprawę, że to turbulencja, gdyż szarpnięciu towarzyszyła łagodna zmiana ciśnienia. Julie miała sztywną szyję, czuła, że jest ospała i zdezorientowana. Nie spała chyba tak długo, jak jej się zdawało, a jednak światło w kabinie było teraz przyćmione, tak jakby ktoś zasłonił wszystkie boczne okna. Okazało się jednak, że tak nie jest. Okna były odsłonięte. Julie pochyliła się i wyjrzała.

Daleko w dole znajdowała się przerwana warstwa rozdętych chmur. Poniżej skrzyła się woda - falująca zielononiebieska krawędź przechodząca w beż. Barwy te szybko zmieniały się w szarość, gdyż zapadał zmrok. Lecieli nad plażą.

Julie usiadła tak gwałtownie, że pas napiął jej się na brzuchu, zmuszając do nagłego złapania powietrza. Odpinając go zobaczyła, że Rey - oświetlony światłem padającym z tablicy rozdzielczej i przypominający cień - odwraca głowę i spogląda przez ramię. Julie skoczyła na równe nogi i zrobiwszy szybko dwa kroki w przód, znalazła się w kabinie pilota.

- Go się dzieje? - spytała tonem dokładnie kontrolowanym, opadając na fotel obok niego.

- Lepiej zapnij pas. Może zacząć rzucać, kiedy skręcimy nad ocean.

Jego wzrok spoczął na twarzy Julie, jakby próbował się zorientować, w jakim jest nastroju.

- Nad ocean?! - krzyknęła, zapinając gwałtownie pas. - Jeżeli to żart, to ostrzegam cię: mnie wcale nie jest do śmiechu.

- Jesteśmy nad wybrzeżem Florydy. Gdybym ci powiedział, że jest problem, wpadłabyś w histerię?

Julie zeszywniała.

- A jest jakiś problem?

- Tak naprawdę - powiedział, patrząc na przyrządy pomiarowe znajdujące się przed nim, a potem znowu przenosząc wzrok na nią - to nie ma.

- Więc o co chodzi?

- Zachciało mi się zjeść homara.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała dobitnie:

- Masz dwie minuty na powiedzenie mi, gdzie dokładnie jesteśmy i dokąd lecimy. Potem zacznę się awanturować.

- Tylko to? Ja się obawiałem, że zechcesz mnie zamordować.

- To niezły pomysł, tylko że ja nie jestem samobójczynią.

Nagrodził tę logiczną odpowiedź ironicznym uśmiechem i jednym słowem:

- Nassau.

- Nassau? Nassau na Wyspach Bahama?

- Tak, jeżeli go stamtąd nie przenieśli.

- Lecisz tam, nie zapytawszy mnie o zgodę i nie wspominając o tym ani słowem?

- A poleciałabyś wtedy ze mną? Julie udąła, że nie słyszy pytania.

- Cała ta gadka o terkotaniu to była bujda, tak? Jego ciemne oczy były nieprzeniknione. - Poza tym myślę, że mógłbyś mi pokazać te dwie odnogi dużo szybciej i o wiele dokładniej ze ślizgacza.

- Widok byłby inny i chyba nie lepszy.

Julie usiadła głębiej w fotelu, skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała przed siebie.

- Świetnie. Mam nadzieję, że homar będzie ci smakował, kiedy będziesz jadł go sam.

- A ty nie lubisz homarów? - sondował Rey.

Julie uwielbiała homary, ale nie miała zamiaru się do tego przyznać. Spojrzała na niego, lecz nie odpowiedziała.

- Zanim powiesz coś, czego będziesz żałowała - odezwał się Rey tonem człowieka bardzo rozsądnego - muszę zwrócić ci uwagę, że do domu wrócimy prawdopodobnie późno, bardzo późno. I będziesz głodna.

Julie otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć, i zaraz z tego zrezygnowała. Już była głodna.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała, starając się mówić spokojnie, mimo że jej głos zdradzał wzburzenie. - Istnieją na pewno kobiety, które byłyby zachwycone, gdyby ktoś je porwał i uprowadził w jakieś egzotyczne miejsce, ale ja do nich nie należę. Nie wiem, dlaczego uważałeś, że mi się to spodoba. Chyba dałam ci jasno do zrozumienia, że nie znoszę, kiedy ktoś mnie do czegoś zmusza, że nienawidzę takiej kowbojskiej taktyki, nienawidzę być zmuszana do czegokolwiek. Że nienawidzę być traktowana jak ktoś, kto nie wie, czego chce i co jest dla niego dobre!

- A ty wiesz, czego chcesz i co jest dla ciebie dobre? - zapytał Rey głosem niskim i trochę szorstkim. - Czy wiesz dokładnie, czego chcesz i co jest dla ciebie najlepsze? Wiesz również, że to, co ci proponuję, nie jest dla ciebie dobre. Miło musi być mieć zawsze taką pewność. A przecież nawet nie spróbowałaś tego homara.

Julie zauważyła, że ostatnie słowa Rey wymawia z naciskiem.

Odwróciła głowę, nie patrząc na niego. Na jej policzki wypłynął powoli rumieniec. Przyszło jej do głowy, że on być może ma na myśli jej pewność, że jego nie pragnie.

Rey spojrzał na nią, a jego oczy były tak nieprzeniknione i lśniące jak kawa Cajunów. Przez moment wydawały się tak samo jak ta kawa gorące. Ale potem zatrzeszczało radio i popłynął z niego strumień pytań i poleceń. Rey odwrócił się od Julie, spuszczać oczy i ukrywając ich wyraz. Kiedy odpowiadał, jego głos był spokojny i autorytatywny.

Nie rozmawiali więcej, aż do chwili gdy wylądowali na lotnisku na wyspie Providence.

Kontrola paszportowa okazała się formalnością załatwianą szybko i niezbyt wnikliwie. Samochód do wynajęcia, który Rey zamówił przez radio, już na nich czekał. Jazda wzdłuż wybrzeża, nad wzdychającym, lśniącym w świetle księżycy morzem i pod szepeczącymi kazuarynami, zajęła niecałą godzinę. A potem siedzieli w restauracji na wolnym powietrzu, a przed nimi stały parujące porcje homara.

Powietrze było łagodne i ciepłe; pachniało solą i kwiatami; zapach smażonych małży mieszał się z wonią suszących się sieci i stawał się dzięki temu ostrzejszy. Wiatr wiejący w stronę morza powodował migotanie płomyka stojącej na środku stołu grubej świecy osłoniętej szklaną kulą; szeleścił palmowymi liśćmi, z których zrobiony był daszek nad ich głowami, i kołysał światelkami zawieszonymi na krzewach rosnących w donicach rozstawionych wokół restauracji. Daleko na horyzoncie morze podnosiło się pod księżycem jak porośnięty błyszczącymi łuskami grzbiet jakiegoś potwora; podczas gdy bliżej jachty ze zwiniętymi żaglami, szkunery czekające na gości i statki rybackie, zniszczone w różnym stopniu, kołysały się ruchem dziwnie zsynchronizowanym z rytmem muzyki reggae, dobiegającej z tancbudy na plaży.

Rey proponował, żeby pojechali do Graycliffs, restauracji mieszczącej się w starej gospodzie w stylu kolonialnym z czasów króla Jerzego, jedynej pięciogwiazdkowej restauracji na Wyspach Bahama. Jednak Julie nie zgodziła się. Powiedziała, że skoro ma jeść kolację na wyspie, to chce czuć, że jest na wyspie, chce czuć zapach morza i podmuch morskiej bryzy na twarzy.

Homar był doskonały, miał delikatny smak; masło cytrynowe było świeże i gorące, chleb grubo krojony, chrupiący i posypany ziarnem sezamowym nadającym mu przyjemny orzechowy smak. Chablis, najlepsze, jakie tutaj mieli, pachniało brzoskwinia i gruszką, i doskonale pasowało do homara.

Trudno było złościć się na kogoś, patrząc równocześnie, jak zajada homara. Sztywność i dąsy w tej sytuacji byłyby tak samo niedorzeczne jak delikatne garniry w stylu nouvelle-cuisine z jadalnych kwiatów i dekoracyjnej trawy. Jedzenie homara było ciężką pracą, podczas której trzeba było oddzielić kleszcze i wykonywać szybkie ruchy serwetką, żeby nie dopuścić do skapywania masła. Nie można było nie wydawać przy tym pomruków rozkoszy i triumfu i nie wymieniać uwag na temat trudności w rozbijaniu skorupki.

Julie zauważyła, że pełny żołądek rodzi uczucie sympatii. Ciągle jeszcze miała do Reya pretensję o to, że ją tak wymanewrował, ale stała się znacznie mniej bojowa. W każdym razie wściekanie się na człowieka, który potrafił tak rozkoszować się chwilą, było niemożliwe. Rey Tabary nawet nie usiłował ukrywać, jak wielką przyjemność sprawia mu ten posiłek, towarzystwo i miejsce, w którym się znalazł. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na jej humor; nie przejmował się też chyba tym, że dotarcie do wyspy i restauracji wiązało się z tak dużym wysiłkiem. Usługiwał Julie, jak mógł - dolewał wina, pomagał radzić sobie z opornym kleszczem, pomagał natrzeć palce plasterkiem cytryny w celu usunięcia zapachu. Uważał, żeby nie przekroczyć granicy między dobrymi manierami a spoufalaniem się, zachowywał dystans, poświęcając jednak całą uwagę Julie.

Odbierało jej to odwagę.

Pili kawę, patrząc na wodę i obserwując turystów - mniej lub bardziej ubranych, pijanych i trzeźwych, wesołych i ponurych spacerowiczów, którzy defilowali przed nimi wzdłuż plaży. Później sami przyłączyli się do tego pochodu, oglądali wystawy sklepowe, kupili tanio kapelusze słomkowy dla Julie od jednej z przekupek, która mimo późnej pory jeszcze sprzedawała swoje towary. W końcu wrócili do miejsca, gdzie zaparkowali samochód, wsiedli do niego i pojechali w stronę lotniska.

Byli już daleko od miasta, kiedy Rey zwolnił i skręcił na parking położony na przylądku wysuniętym w ocean. Siedział przez chwilę z rękami na kierownicy, a potem otworzył drzwi i wysiadł.

- Pospacerujmy po plaży - powiedział - tylko przez chwilę. A potem ruszymy w dalszą drogę.

W jego głosie brzmiała jedynie nuta uprzejmości, a jednak Julie niechętnie wysiadała z samochodu. Wino, morze i światło księżyca tworzyły niebezpieczną kombinację - nikt nie wiedział o tym lepiej od niej. Spędziła przecież mnóstwo nocy obserwując fale toczące się w stronę brzegu. Tutaj fale nie były wysokie, bo łamały się na rafie koralowej, były ujarzmione i spokojnie obmywały plażę. Jednak Julie wiedziała, że jest bardzo podatna na uroki takiej scenerii.

No i ta słabość do Reya. Nie był w jej typie, nie mieli wspólnych zainteresowań i aspiracji, pochodzili z różnych środowisk, mieszkali daleko od siebie, ich sposoby myślenia różniły się bardzo ... A jednak była podatna na jego urok.

Rey odszedł od samochodu. A ona mogła zostać w samochodzie jak naburmuszone dziecko, z poczuciem, że została opuszczona, albo mogła się do niego przyłączyć, iść powoli po mokrym piasku, wiatr rozwiewałby jej włosy, a pomruk oceanu brzmiał w uszach. Właściwie nie miała wyboru.

Rey czekał na nią na końcu przylądka. Podał jej rękę, pomagając zejść stromą ścieżką prowadzącą po wapiennych głazach aż na piasek. Puściwszy jej rękę, przeszedł po sproszkowanym koralu nad sam brzeg, gdzie stanął patrząc w morze. Fale tworzyły u jego stóp mokrą koronkę.

Z prawej i z lewej miał ciągnącą się w dal półkolistą plażę. Za nim wznosił się przylądek zasłaniający drogę i parking. Powietrze było wilgotne. Od rafy koralowej położonej o kilkaset jardów stąd, wokół której kotłował się ocean, niosła się piana, Powierzchnia oceanu przypominała ciemnoniebieski atlas wyszywany srebrnymi błyskotkami. Księżyc był niczym cynowy talerz, owinięty brudnym gałganem z chmur. Daleko w ciemności majaczył kanciasty kształt kontenerowca, który mrugając w powolnym rytmie i ciągnąc za sobą po niebie smugę czarnego dymu zmierzał w stronę krawędzi światła.

Rey odwrócił głowę, chcąc spojrzeć na Julie, która szła po piasku. Zbliżyła się i stanęła u jego boku, a potem ruszyła dalej plażą. Rey dostosował swój krok do jej kroków.

Wiatr uniósł lekką, jedwabną spódnicę Julie i owinał ją wokół jego długich nóg. Jedwab przylgnął do materiału, z którego uszyte były jego spodnie, ale on nie odsunął się. Wsunął ręce głęboko w kieszenie, a kiedy się odezwał, słowa harmonizowały z jego spokojnym, pewnym krokiem.

- Nie miałem zamiaru traktować cię jak kogoś, kto nie wie, czego chce. Pomyślałem tylko ... No, zdawało mi się, że powinnaś na krótki czas oderwać się od wszystkiego. Pracowałaś praktycznie dzień i noc, byłaś napięta, nie dosypiałaś, miałaś podkrążone oczy. Gdybym cię zapytał, znalazłabyś tysiące powodów, żeby mi odmówić. Więc nie zapytałem.

- Dla mojego własnego dobra.

- I dla mojego też. Ja również miałem wszystkiego dosyć.

- I spodziewałaś się, że będę tym zachwycona? Zwłaszcza po tym, jak zawarliśmy ugodę.

- Nie pamiętam żadnej ugody.

- No wiesz? Nie powiedziałeś, że się nie zgadzasz.

- Może się rozmyśliłem. W każdym razie dzisiaj spodziewałem się, że pogodzisz się z faktem dokonanym i poddasz się z wdziękiem.

- Albo z wdzięcznością.

- Tak wybujałych marzeń nie miałem.

Oschły ton Reya działał jej na nerwy. Jego zdolność wyprowadzania jej z równowagi była zadziwiająca. Julie uważała się za osobę mającą wprawę w seksualnej szermierce słownej, która w Los Angeles uchodziła za flirt. Nieczęsto zdarzało się, by ktoś ją zbił z tropu. Być może dlatego, że tam, w Kalifornii, ona i towarzyszący jej w tych utarczkach partnerzy rzadko byli zaangażowani emocjonalnie. W Kalifornii były to jedynie ćwiczenia. Tak, w Kalifornii ćwiczone intelekt i zdolność zachowywania zimnej krwi. Tutaj natomiast było inaczej. Stopień zaangażowania uczuciowego między nią a Reym Tabarym wciąż się zmieniał. Był zmienny jak ruchy morza i jak one niewyjaśnione.

Po szosie wysoko nad nimi przejechał samochód. Światła jego reflektorów omiotły plażę. Za nim pojawił się następny, jadący wolniej. Julie odczekała chwilę, a gdy hałas ucichł, odezwała się:

- Nie wiem, o czym marzyłeś, ale muszę ci powiedzieć, że twoje domysły dotyczące powodów, dla których postanowiłam przerwać ten związek, były z całą pewnością wzięte z powietrza.

- A co ty wiesz o moich domysłach?

Pytanie to wyrażało coś więcej niż tylko ciekawość.

- Wiem tyle, ile mogę się domyślić z tego, co powiedziałeś.

- A co ja powiedziałem?

Julie żałowała, że zaczęła o tym mówić. Sama nie wiedziała, dlaczego poruszyła ten temat, jednak nie mogła się już wycofać.

- Wydaje mi się - powiedziała - że uważasz, iż twoje pieszczoty mnie nie zadowolily. A to wcale nie tak. Powiedziałam ci, dlaczego postanowiłam zakończyć ten romans, tak jasno, jak tylko potrafiłam. I nie mów mi, proszę, że prowokuję i aż się prosi o jakiś komentarz, bo wiem, że tak jest, ale ostrzegam cię: jeżeli to wykorzystasz, to nie rękę ...

- Nie odważyłbym się - powiedział miękko, przerywając jej. □ Odpowiedź mogłaby zagrozić mojemu zdrowiu psychicznemu.

Cios był celny. Julie stała z włosami rozwianymi i rozchylonymi wargami; gniew powoli zniknął z jej oczu. Bystrość umysłu Reya, jego zdolność do wychodzenia jej naprzeciw, do chwytania w lot tego, co miała na myśli, i do wychodzenia o jeden krok naprzód działały na nią tak uwodzicielsko jak wiatr i morze, jak noc i jak fakt, że są tutaj sami. To wszystko dotykało jakiejś głębokiej pustki w jej wnętrzu, wypełniało tę pustkę i budziło w Julie osobliwy oddźwięk, jakieś współdrżanie, które narastało jak krzyk.

Mogła go kochać. Tak, z pewnością było to możliwe. Chociaż może niezbyt mądre i niezbyt prawdopodobne. Wiedziała, że ich związek skazany jest na niepowodzenie, ale czuła, że Rey pociąga ją z ogromną siłą. Choć z trudem, musiała jednak przyznać, że jest gotowa, że dojrzała do jego miłości. Tak, kiedy indziej, w innej sytuacji... mogłaby go kochać.

- Och, Rey - wyszeptała, jakby żałowała, że coś straciła. Popatrzyli na siebie, zachwyceni blaskiem księżyca w swoich oczach, i po chwili byli już jednością, ich ciała poruszały się razem w doskonałej harmonii.

Jego pocałunek był słony od niesionej wiatrem piany, a równocześnie słodko - mamiący, delikatny i rozkazujący. Julie odpowiedziała mu z takim samym żarem, splatając język z jego językiem, obdarowując go słodyczą, która również miała słonawy smak. Badała jego spękane lekko wargi i gładką ostrość zębów, badała też ciepłą miękkość wnętrza jego ust. Przyciskała piersi do torsu Reya, jakby chciała odcisnąć wspomnienie jego ciała na swoim. Czuła, że jego ramiona obejmują ją coraz mocniej.

W uszach dźwięczał jej bezustanny szum fal towarzyszący głuchemu łomotowi serca. Wiatr dotykający rozgrzanej skóry delikatnie ją pieścił, co pobudzało jej pożądanie. Otwarte niebo nad głowami dawało im nieograniczoną wolność, ponadczasowe błogosławieństwo. Noc była miękką osłoną, migoczącą bladym światłem na wpół ukrytego księżyca.

Zawietrzna strona przylądka znajdowała się w cieniu. Wiedzeni równoczesnym impulsem Julie i Rey weszli w ten cień. Rey odpiął guziki jej sukienki, a ona zajęła się jego koszulą. Kremowy jedwab szmizjerki zsunął się na piasek i rozpostarł, tworząc drobne zmarszczki. Uklękli na nim ze złączonymi ustami nie odrywając się od siebie. Julie zsunęła Reyowi koszulę z pleców, a potem zajęła się rękawami. Jego usta łagodnie pieściły jej wargi, kiedy bezwolnie czekał na moment, w którym znowu będzie mógł posłużyć się rękami.

Gdy miał już wolne ręce, wziął w dłonie jej piersi, pieszcząc kciukami brodawki przykryte wciąż cienkim jedwabiem i koronką, a potem przesunął palce wzdłuż żeber Julie aż na plecy i odpiął haftkę stanika. Schylił się, chcąc zaznać smaku tych gładkich półkul z przeświecającymi, lekkimi żyłkami. Wdychał ciepły, kobiecy zapach. Zamknął oczy, a ona poczuła łaskotanie jego rzesz przesuwających się po skórze.

Zdjęli pozostałe części ubrania i położyli się. Pod nagą skórą mieli teraz jedwab i piasek. Sproszkowany koral przesunął się po nimi, podczas gdy oni, poruszając się zgodnym rytmem, dotykali się, tulili, upajali się sobą nawzajem w powolnym, pełnym uniesień poszukiwaniu wspólnej rozkoszy i radości.

Znaleźli więcej, niż oczekiwali. Był to poryw zmysłów, ogrom piękna pochłaniającego umysł i serce. Złączeni i nierozłączni, czuli i wrażliwi, poruszali się tworząc pulsującą jedność, pełną niezwyklego uroku, jedność zdyszanej żarliwości i delikatnej namiętności.

Później, kiedy włożyli już ubrania i weszli na górę na przylądek, zauważyli, że ktoś ukradł im akumulator z wynajętego samochodu. Złodziej zabrał akumulator, kiedy oni leżeli tam na piasku, niepomni na wszystko, co się wokół działo. Spojrzeli na siebie i wybuchnęli śmiechem. Czekając na autobus, którym mieli się dostać na lotnisko, zartowali i śmiali się. Śmiali się też i później, kiedy się dowiedzieli, że firma wypożyczająca samochody została już poinformowana, gdzie znajduje się ich samochód, i jeszcze później, gdy

lecieli długo samolotem.

Ich nastrój zmienił się jednak, kiedy dotarli do domu ciotki Tine, bo kiedy wysiadali z dżipa, z bujanego fotela stojącego na galerii podniósł się jakiś człowiek. Podeszedł do schodów i ponuro przyglądał się ich zmiętym ubraniom, słomkowemu kapeluszowi, który niosła Julie, i Reyowi opiekuńczo obejmującemu ją w pasie. Człowiek ten był szczupły, miał włosy przyprószone siwizną i wyglądał na bardzo kulturalnego.

- Dobry wieczór, Julie, albo raczej dzień dobry. - Allen mówił z akcentem wykształconego mieszkańca Bostonu, jego ton był jednak zjadliwy i ostry jak dobra angielska stal. - Wybacz mi moją pomyłkę, ale czekam na ciebie od pewnego czasu. Zapytałbym, gdzie byłaś, jednak w tych okolicznościach pytanie to wydaje się niedyskretne albo wręcz bezsensowne.

- Przepraszam cię za to, że dziś rano byłem taki zły - powiedział Allen odwracając się od okna biurowej przyczepy Ofelii, którą oddała mu tymczasowo do dyspozycji. - Byłem zmęczony i niepokoiłem się o ciebie. Jeżeli powiedziałem coś, co cię zdenerwowało, to szczerze tego żałuję.

Zaczął mówić, jak tylko Julie weszła, tak jakby ćwiczył tę kwestię czekając, aż ona stawi się na jego wezwanie. Julie popatrzyła na człowieka, który był jej narzeczonym i producentem jej filmów. Była zbita z tropu - Allen najwyraźniej zmienił postawę, w jego głosie pobrzmiwało zmęczenie, ale słowa były bardzo oficjalne. Był idiotycznie sztywny, zwłaszcza jeżeli się wzięło pod uwagę charakter ich związku. A zresztą może wcale nie był taki sztywny, może jej się tak wydawało, bo przyzwyczaiła się do bezpośredniości Reya, do tego, że Rey celowo zaciera dystans między sobą a otoczeniem. Julie nie wyobrażała sobie sytuacji, w której Rey, po kilkutygodniowym okresie niewidzenia się z nią, dopuściłby do tego, żeby dzieliła ich taka odległość. Nie mogła też wyobrazić go sobie mówiącego do niej takim tonem, jakiego używa się w rozmowach o interesach. Oczywiście, Allen nigdy nie był człowiekiem niedbałym. Ogarnięty pewnego rodzaju manią brytyjskości, wzorował się, zarówno w życiu prywatnym, jak i na zewnątrz, na manierach dobrze wychowanego angielskiego dżentelmena. Był poprawny, sprawiedliwy i uprzejmy, ale zachowywał się z rezerwą. Julie nigdy nie widziała w tym nic niestosownego. Najwidoczniej jej wyobrażenia na temat bliskości - tak w przestrzeni, jak i w związkach między ludźmi - zmieniły się.

Allen nigdy w życiu nie wyglądał bardziej na arystokratę niż teraz, kiedy tak stał w nieskazitelnym szarych spodniach, w koszuli z firmy Turnbull i Asser, w fularowym szaro-bordowym krawacie, z przysypanymi srebrem piaskowokasztanowymi włosami zaczesanymi gładko na skroniach i z twarzą zbrązowiałą od słońca, którego promienie dosięgały go podczas niezliczonych partii tenisa. Julie zastanawiała się, gdzie znalazł stojącą na biurku porcelanową filiżankę, z której parowała herbata earl grey, i kto rozłożył mu onyksowe przybory biurowe oraz włączył jego ulubiony czarny telefon o opływowych kształtach. Może zrobiła to afelia. Jej asystentka drwiła sobie z kaprysów Allena, ale znajdowała perwersyjną przyjemność w zaspokajaniu wszelkich jego zachcianek.

- Jesteś bardzo wielkoduszny - odezwała się wreszcie spokojnym tonem.

- Wcale nie. Nie miałem prawa wygłaszać takiej tyrady. Na swoje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że nikt nie miał pojęcia, gdzie jesteś. Ciotka wiedziała tylko, że pojechałaś gdzieś z Tabarym. Muszę przyznać, że usiłowała mi pomóc, ale równocześnie doprowadzała mnie do szału mętym sposobem mówienia. Nie wiedziała, co robisz ani jak długo cię nie będzie. Wyobraziłem sobie najróżniejsze nieszczęścia i postanowiłem zawiadomić policję, gdybyś nie wróciła do rana.

- Zostawiłabym wiadomość, gdybym wiedziała, że się zjawisz i że będziesz się niepokoił. No i gdybym wiedziała, gdzie będę. Ta wycieczka do Nassau była nie zaplanowana, wynikła spontanicznie.

Poprzedniej nocy Julie dość zdawkowo wytłumaczyła się narzeczonemu. Nie powiedziała, że została porwana. Nie powiedziała tego i teraz. Bo zdawało jej się, że informując go o tym, musiałaby powiedzieć coś

więcej o tej wycieczce, na którą się zgodziła. Poza gorzkimi słowami, które padły na początku spotkania, Allen nie robił Julie więcej wymówek. Wtrącił się bowiem Rey, mówiąc, że lepiej będzie zostawić to do rana i porozmawiać wtedy, gdy Julie już wypocznie, a Allenowi minie złość. Poparł swoją radę czynem, podając Julie ramię i odprowadzając ją do drzwi jej pokoju. Weszła do środka i z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Po chwili usłyszała głosy obu mężczyzn wymieniających lakoniczne uwagi, wreszcie rozległy się kroki Allena schodzącego po schodach i zgrzyt kół jego samochodu na podjeździe. Julie spodziewała się, że Rey przyjdzie do niej, żeby porozmawiać o nagłym pojawieniu się Allena albo żeby przynajmniej powiedzieć dobranoc. Nie zjawił się jednak Rano Julie też go nie widziała.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to doprawdy wolałbym nie rozmawiać o twojej wycieczce z Tabarym.

Mówiąc to Allen odwrócił się do niej. Jego usta wykrzywił uśmiech, kłócący się z zatroskanym wyrazem szarych oczu.

- Miałem dość czasu, żeby to rozważyć i żeby przemyśleć moje reakcje. Zdaję sobie sprawę, że jestem prawdopodobnie w takim samym stopniu winien jak ty. Zaniedbałem cię, zostawiłem cię tutaj samą. Musiałaś zmagać się z tym filmem bez mojej pomocy. Uważałem, że to oczywiste, że odpowiada ci nasz układ.

- Odpowiadał mi - odrzekła Julie tonem osoby, która się broni. Nie chciała go zranić i świadomość, że go jednak zraniła, ciążyła jej bardzo.

- Możliwe. Zgodziliśmy się na początku, że każde z nas ma prawo mieć własny krąg przyjaciół, wchodzić w związki z innymi ludźmi. Ten temat nigdy nie wrócił w naszych rozmowach i dla tego myślałem, że nigdy nie będzie okazji, by go ponownie poruszyć.

- Nie miałam zamiaru wchodzić w żaden związek z Reyem. Tak się po prostu złożyło.

- Zwykle tak bywa. Nie będę udawał, że tego nie rozumiem albo że sam byłem święty, bo to byłaby nieprawda. A poza tym myślę, że ty o tym wiesz. Gardziłem zawsze mężczyznami, którzy sami tak postępują, a pieklą się, kiedy zdarzy się to kobiecie. Teraz jednak okazuje się, że i ja mam skłonności do przybierania takiej postawy. I trudno mi tę skłonność pokonać. Ale próbuję.

To dyskredytowanie siebie było wzruszające u człowieka, który zwykle miał tyle godności. Julie, czując przyływ dawnych uczuć, podeszła bliżej i położyła dłonie na jego ramionach.

- Dlatego właśnie jesteś mężczyzną niezwykłym.

- Wątpię, czy już jestem kandydatem na świętego. Chciałem jednak się z tobą pogodzić. Chciałem, żebyś wiedziała, że nie pozwolę, by to nas poróżniło. Kiedy wrócimy do Los Angeles, wszystko będzie jak dawniej. Nie chcę cię stracić.

W tym, co mówił, a może w sposobie, w jaki to mówił, było coś, co ją niepokoiło, chociaż nie była w stanie tego dokładnie określić. Mimo to Julie była do niego przywiązana, poza tym nie chciała zbyt wielkich zmian w swoim życiu.

- Próbowałam już wcześniej zerwać z Reyem. Zdaję sobie sprawę z tego, że trudno byłoby utrzymywać związek z kimś, kto ma zainteresowania tak inne od moich. Poza tym on nic nie mówił o przyszłości. Mało

prawdopodobne, że to, co jest między nami, będzie trwało po zakończeniu zdjęć.

- Słyszając to czuję oczywiście ulgę. Ale co tymczasem?

- Nie wiem - odpowiedziała, patrząc na niego poważnie i równocześnie smutno, gdyż poczuła, że ogarnia ją przygnębienie. Chyba potrzeba mi trochę czasu na przystosowanie się do okoliczności. Ale ty nie musisz się martwić. Nie będę ci stwarzała kłopotliwych sytuacji. Nie jestem kobietą, która dobrze się czuje lawirując między dwoma mężczyznami.

- Nie musiałaś mi tego mówić - odpowiedział z lekkim wyrzutem.

- Może musiałam ze względu na siebie. - Westchnęła cicho. W każdym razie przykro mi, jeżeli cię zdenerwowałam. Nie miałam zamiaru tego robić.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem podszedł do biurka i usiadł przy nim.

- Nie wiedziałaś, że przyjadę tak szybko, prawda? Jest pewien powód, dla którego przyjechałem. Uważałem, że powinienem cię osobiście o czymś poinformować, zanim dotrą do ciebie plotki.

Wyraz jego twarzy był tak poważny, że Julie poczuła, jak ogarniają ją wątpliwości. Podeszła do jednego z krzeseł stojących przy biurku i opadła na nie.

- Plotki? - zapytała.

- Zrobiłem coś, nad czym zastanawiałem się od pewnego czasu, a właściwie to od chwili, gdy zaczęliśmy pracę nad tym filmem. Nie myśl, proszę, że decyzja została podjęta pochopnie albo że nie została poprzedzona dokładną analizą wszystkich aspektów problemu. Miałem też wzgląd na twoje uczucia. Wiesz, że szanuję twój talent i zdolności. Zawsze byłem dumny z twoich osiągnięć i bardzo zadowolony z zysków, jakie przynosiły filmy, które robiliśmy razem. Jesteś reżyserką bardzo wrażliwą i o bardzo bystrym spojrzeniu, masz fenomenalne wycucie, wiesz, co się będzie podobało publiczności, masz też wyjątkową zdolność tworzenia narracji.

- Słuchaj, Allen - powiedziała Julie stłumionym głosem. Atmosfera zaczyna się tu robić lodowata. Mógłbyś zakończyć ten wstęp i powiedzieć mi, co zrobiłeś?

- Dla mnie jest ważne, żebyś знаła moje motywacje. Jestem odpowiedzialny przed sponsorami, muszę pilnować, żeby Królestwo bagien było filmem wartościowym. Równocześnie film musi być zrealizowany za sumę bliską tej, którą zamierzano na niego wydać, co zagwarantuje zysk.

- Myślałam, że za to odpowiadam ja.

- Z całą pewnością dzielisz ze mną tę odpowiedzialność - zgodził się, patrząc jej w oczy, a potem szybko mówił dalej: Jestem pewien, że jako reżyserce i inicjatorce całego przedsięwzięcia zależy ci tak samo jak nam wszystkim na tym, żeby film był dobrze odebrany przez publiczność, żeby stał się sukcesem kasowym, no i żeby miał dobre recenzje. Szanse na to zmniejszyły się bardzo z powodu tego śmiertelnego wypadku na planie i z powodu rozgłosu, jaki nadano temu zdarzeniu. Pogoń za sensacją może zawsze ...

- Jestem pewna, że kiedy ludzie zobaczą ten film ...

- Nie możemy czekać, aż znajdzie się w kinach. To się wiąże z ogromnym ryzykiem. Wolę zrobić wszystko, co jest konieczne, dla zapewnienia filmowi dobrego odbioru, zanim znajdzie się w kinach. To, co proponuję, nie tylko wielokrotnie zwiększy jego szanse, ale da także szansę tobie, i to szansę, o jaką wielu młodych reżyserów się zabija. Plan jest tak doskonały i naturalny, że dziwię się, że ten pomysł nie przyszedł mi do głowy na samym początku. Tobie też.

- Co, na litość boską ... - zaczęła Julie, ale zaraz przerwała, gdyż właśnie przyszło jej do głowy, co to może być. Na myśl o tym krew odpłynęła jej z twarzy. Julie siadła głębiej w krzesło, zakładając ręce na piersi. W jej głosie był ton niedowierzania, kiedy powiedziała: - Zaangażowałeś Bulla!

- Pomyśl tylko, co to znaczy: współpraca reżyserska ojca z córką, wspólne dzieło najlepszych ludzi ze starego i nowego pokolenia reżyserów z Los Angeles. Reklama będzie ogromna, wszyscy prowadzący programy typu talk - show będą stawać na głowie, żeby zaprosić was oboje. Będzie się o was mówiło tyle, co o Kirku i Michaelu Douglasach albo o Martinie i Charliem Sheenach.

- My nie jesteśmy aktorami. Zresztą te występy w telewizji nie są ważne. Ważny jest film. A ty nie możesz tego zrobić ... ani filmowi, ani mnie!

- To, co chcę zrobić, jest tylko próbą zwiększenia szans tego filmu. A poza tym daje ci możliwość wspólnej pracy z Bullem.

- Wspólnej pracy? - obruszyła się z niedowierzaniem. - Nie znasz mojego ojca. Wiem, że zawsze go podziwiałeś, że podobały ci się jego filmy. Ale ty nigdy z nim nie mieszkałeś, nie byłeś jego dzieckiem. On przejmie ten film, film będzie jego. Może wcale tego nie chceć, może nawet nie zdawać sobie sprawy, że to robi, ale już taki jest, nie potrafi pracować inaczej.

- Będzie aż tak źle? Przecież zrobiłaś już tak dużo, że jego włączenie się do pracy na tym etapie nie może mieć tak wielkiego znaczenia.

Julie patrzyła na niego i parsknęła śmiechem.

- To nie do Wiary, że tak uważasz. Bull to reżyser preferujący kino akcji. Jego filmy mają cudowne tempo, jest w nich napięcie, męska przyjaźń i humor, ale delikatności nie ma zbyt wiele, no i nie ma scen, które można by określić jako subtelne. Zacznie montować, wyrzucać niuanse, wstawiać akcję ... i to, co zrobiłam, będzie nie do poznania.

- Jego filmy są ... zawsze były kasowe.

- Co oznacza, że Królestwo bagien będzie lepsze, jeżeli on, Bull Bullard, przyłoży do niego rękę?

- Tego nie powiedziałem. Jednak na pewno możliwy jest jakiś kompromis. Jakoś się możecie pogodzić i pracować razem.

- Jakoś! To "jakoś" oznacza, że ja zrezygnuję ze swojego zdania!

- Nie wierzę, że jesteś aż taka słaba. Tak naprawdę to znam Cię z zupełnie innej strony.

- Nic nie rozumiesz. Bull jest taki, jaki jest. Walka z nim to walka z kamiennym murem. Człowiek albo robi, jak on chce, albo musi się wycofać. A ja tego nie mogę zrobić. Słyszysz? Nie wycofam się z pracy nad tym

filmem.

- Będziesz chyba musiała, Julie.

Allen powiedział to tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Julie siedziała, patrząc na niego przez dłuższą chwilę, a potem - z rękami założonymi na piersi i ze zmrużonymi oczami - pochyliła się do przodu.

- Dlaczego to robisz? Kiedy podjąłeś taką decyzję? Jesteś pewien, że to nie jest, w jakimś stopniu, zemsta?

- Julie! Mam nadzieję, że nie jestem aż tak małostkowy.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy - bo nie zniosłabym myśli, że celowo zadajesz mi cios przy okazji kręcenia tego filmu. I powiem ci coś jeszcze. Nie będę pracowała z Bullem. Ja znalazłam tę powieść, ja napisałam scenariusz, to jest mój film.

- Można wszystko urządzić tak, że będzie to film Bulla - powiedział Allen z naciskiem.

- Wolałabym to niż figurować jedynie w napisach jako asystent reżysera.

Nie podniosła głosu ani nie dopuściła do tego, żeby jej oczy zabłyśły gniewem, chociaż wydawało jej się przez chwilę, że reżyserzy, tacy jak Spielberg, Friedkin, Robert Benton czy Oliver Stone, są w stanie wyrzucić producenta. W każdym razie było bardziej prawdopodobne, że oni wyrzucą producenta, niż że producent wyrzuci ich. Różnica między nią a nimi polegała oczywiście na tym, że ich filmy są bardzo kasowe, i oni dzięki temu mają władzę.

- Jeżeli zależy ci na figurowaniu w napisach ...

- Dobrze wiesz, że tak nie jest! - krzyknęła, waląc pięścią w oparcie krzesła. - Chcę przerobić ten film na historię, którą widzę oczami wyobraźni. Chcę zrealizować moją własną wizję tej historii. I pamiętaj: albo zrobię ten film tak, jak chcę, albo wcale go nie zrobię.

Allen otworzył szeroko oczy.

- Naprawdę grozisz, że rzucisz nie dokończoną robotę?

- Będziesz miał wielkiego Bulla Bullarda. Przed chwilą to ci wystarczało.

Zapadła cisza. Allen badawczo przyglądał się jej twarzy. Z zewnątrz dobiegały różne odgłosy: warkot silnika, pisk opon ciężarówki wjeżdżającej na parking, gwar ludzkich głosów.

Allen, zirytowany, przeciągnął dłonią po twarzy.

- To nie będzie to samo - przyznał niechętnie.

- To właśnie próbowałam ci powiedzieć.

- Możliwe. Nie mogę jednak zapobiec przyjazdowi Bulla. On już jest w drodze.

Julie uniosła ironicznie brwi, słysząc, z jakim wyprzedzeniem Allen informuje ją o tym.

- Więc będziesz musiał mu powiedzieć, żeby wrócił tam, skąd przyjechał.

- No, nie wiem. Chyba nie mogę tego zrobić. Był tak rozentuzjasmowany, tak cieszyła go myśl, że będzie pracował z tobą.

Julie nabrała głęboko powietrza i wypuściła je powoli.

- Jak dotąd - powiedziała zduszonym głosem - usiłowałeś schlebiać mi, tyranizować mnie i wzruszać, a teraz mnie szantażujesz. Pozostaje ci jeszcze tylko obiecać mi wyższe honorarium. - Nie odważyłbym się tak cię obrazić.

- Gdybyś miał tyle samo szacunku dla mojej inteligencji, co dla mojej uczciwości, doszlibyśmy do czegoś.

Allen usiadł wygodniej i wyciągnął rękę po filiżankę z letnią herbatą. Pociągając łyk, skrzywił się. Odstawiwszy filiżankę, spojrzał na Julie błagalnie.

- W porządku. Być może powinienem był najpierw naradzić się z tobą, wybać, co myślisz o pracy z ojcem. Nie zrobiłem tego i teraz niewiele można w tej sprawie zdziałać. Bull będzie tutaj dziś wieczorem albo jutro. Nie mogę mu po prostu powiedzieć: "Nasza umowa jest nieaktualna".

- Przypuszczam, że chcesz, żebym ja zrobiła to za ciebie. . Allen uniósł dłoń, jakby chciał zaprotestować. Po chwili powoli opuścił rękę.

- Boże, Julie, kiedy zrobiłaś się taka cyniczna? - zapytał zdumiony. a potem dodał: - I gdzie ja byłem, dlaczego tego wcześniej nie zauważyłem?

Julie żałowała, że sama nie zna odpowiedzi na to pytanie.

Pomyślała, że zmiana zachodziła w niej stopniowo, od dłuższego czasu. Allen nic nie zauważył, bo, jak dotąd, rzadko spierali się na temat spraw istotnych.

- Zostawmy sprawy charakterologiczne, dobrze? - zaproponowała.

- Dobrze - powiedział po chwili milczenia. - Chciałem cię poprosić, żebyś porozmawiała z Bullem. Żebyś z nim porozmawiała i wybała, czy jest możliwość współpracy. Bo przecież musi być jakiś sposób. W końcu ten człowiek to twój ojciec!

- I na tym polega problem.

To wyjaśnienie najwyraźniej Allenowi nie wystarczało; po prostu siedział i czekał na odpowiedź.

- Dobrze, porozmawiam z nim. Ale ostrzegam cię: to nic nie da.

Allen zerwał się na równe nogi, obszedł biurko, złapał ją za ręce i przyciągnął do siebie.

- Dzięki, kochanie. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Pocałuj mnie teraz, pokaż, że nie żywisz do mnie urazy. Wiesz, że nie lubię takiego handryczenia się. A poza tym jeszcze się ze mną nie przywitałaś jak należy.

Julie przechyliła głowę. Ich wargi się spotkały. Było w tym nie tyle pragnienie, ile przyzwyczajenie. Julie, nie bez poczucia winy, porównała ten pocałunek z pocałunkami Reya. Gdzież był żar, gdzie ta wywołująca dreszcze bliskość, gdzie porywy zmysłów i cała słodycz? Po chwili odsunęła od siebie wspomnienia i skupiła się na tym, co mówi Allen.

- W nagrodę za chęć współpracy coś ode mnie usłyszysz. Czy wiesz, że twój ostatni film, Niebezpieczne CZOSY, ma być wyświetlony na otwarciu Festiwalu Filmów Kobięcych?

- Mówisz poważnie?

Odsunęła się trochę, chcąc zobaczyć jego twarz:

- Wiadomość nadeszła w zeszłym tygodniu. Jesteś kandydatką do Kryształowej Nagrody, przyznawanej najlepszej reżyserce. Jeżeli ją dostaniesz, twoje nazwisko będzie się liczyło tak samo, jak nazwiska Amy Heckerling i Marthy Coolidge.

- W zeszłym tygodniu? Wiedziałeś o tym już w zeszłym tygodniu, a mówisz mi o tym dopiero dzisiaj?

- Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- Festiwal ma się odbyć podczas najbliższego weekendu. Mogłeś zawiadomić mnie wcześniej, żebyśmy mogły się przygotować.

- Nie masz chyba zamiaru tam jechać, prawda? Myślałem, że będziesz tak zajęta filmem, że zostaniesz tutaj. Nie pojedziesz tam przecież tylko po to, żeby pozwolić się oklaskiwać przez kilka minut. To miło dostać taką nagrodę, ale nie jest to nagroda. Stowarzyszenia Reżyserów.

Patrzyła na niego przez chwilę. Zastanawiała się, czy jego lekceważenie dotyczy jej i jej filmu, czy też wszystkich filmów robionych przez kobiety. Zastanawiała się też, czy ta nuta lekceważenia wymknęła mu się czy zrobił to celowo, chcąc powstrzymać ją od opuszczenia planu i opóźnienia prac nad Królestwem bagien.

Doszła jednak do wniosku, że jest zbyt zmęczona, żeby robić z tego problem.

- W tym zawodzie - powiedziała chłodno - w ogóle trudno o nagrody. Przyjmę więc każdą.

- To oczywiście zależy od ciebie.

- Tak - zgodziła się zdecydowanie, odsuwając się od niego. - Teraz muszę wracać do pracy. Ciągłe jeszcze kręć film, przynajmniej chwilowo.

- Julie, poczekaj!

Nie obejrzała się. Wiedziała, że nie będzie mogła się skupić na pracy papierkowej, która czekała na nią w biurze. Potrzebowała ludzi, kogoś, kto by ją rozerwał i pocieszył. Potrzebne jej były zgiełk i krzątanie na planie. Przeszła przez pokój sekretarki, kierując się prosto do drzwi przyczepy, a potem zeszła po betonowych schodkach tak szybko, że wyglądało to na ucieczkę. Uświadomiwszy to sobie, zwolniła kroku, a potem się rozejrzała.

Vance z dworem rozłożył się pod wielkim cyprysem w pobliżu mola. Siedział rozwalony w jednym z dwóch foteli i mówił coś do wianuszka skupionych wokół niego kobiet w różnym wieku. Spojrzawszy uważniej, Julie przekonała się, że Vance udziela wywiadu. Jakaś młoda kobieta z szopą włosów na głowie i okularach w rogowej oprawie bazgroliła coś w notatniku. Siedziała naprzeciwko Vance'a od czasu do czasu sprawdzała, czy działa mały magnetofon umieszczony na stoliku między nimi.

Przez parking szła Ofelia. Była najwyraźniej w dobrym humorze; miała na sobie bawełniany jaskrawopomarańczowy kombinezon, a w uszach dyndały jej ogromne kolczyki z turkusów i drewna, z których zwisały szklane paciorki nanizane) na paski ze skóry. W ręce trzymała plik formularzy z przytwierdzonymi fotografiami robionymi z polaroida.

- Dzień dobry! - krzyknęła. - W wolnej chwili chcę ci pokazać kandydatów na statystów do scen kręconych w mieście. Mam też wspaniałą wiadomość. Nauczycielka, opiekunka Summer, opuściła nas. Jej córka zaczęła za

wcześnie rodzić i babcia in spe poleciała wczoraj wieczorem do Los Angeles.

- Cudownie - zgodziła się lakonicznie Julie.

Oddechnęła głęboko, wzdychając przy tym ciężko. Zgodnie z kalifornijskim prawem, dziecku, które gra w filmie, musi towarzyszyć zatwierdzony przez władze oświatowe nauczyciel-opiekun. Jego zadaniem jest zapewnienie dziecku edukacji oraz dbanie o jego zdrowie, bezpieczeństwo i moralność. Kobieta, która właśnie wyjechała, była doskonała w swoim fachu - robiła, co do niej należało, nie przeszkadzając w zdjęciach. Nie miała też problemów z Summer.

- Mogę zadzwonić do miejscowych władz szkolnych. Zobaczymy, kogo mogą dla nas znaleźć.

- Nie, poczekaj - powiedziała Julie, gdyż przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Kiedy pojawi się Rey, zapytaj go, czy Donna Lislet nie zechciałaby się tego podjąć. Rey mówił mi, że ona jest nauczycielką. Resztę chyba będzie można załatwić z Urzędem do spraw Dzieci.

- Rey już gdzieś tu jest - powiedziała Ofelia, robiąc notatkę na marginesie formularza. - W każdym razie jego dzhip tam stoi.

Julie poczuła skurcz mięśni w dole brzucha. Nie miała pojęcia, co Rey czuje w związku z przyjazdem Allena ani jak się mają sprawy między nimi po tej nocy na plaży. Na myśl o tym, że ma go teraz zobaczyć, w obecności tak wielu ludzi, napięcie narastające w niej powoli przez cały rano niemal eksplodowało.

Ofelia podniosła głowę znad notatek i zapytała:

- Co to za gadanie, że Buli ma się tu pojawić?

- To ta wieść już się rozeszła?

- Krąży jak cyklon. Połowa ekipy jest zdania, że przyjeżdża po to, żeby odwiedzić swoją ukochaną jedynaczkę, a połowa, że po to, by przejąć film. Masz mi coś do powiedzenia na ten temat?

- Jeszcze nie.

- W porządku. Ale mogłaś mnie ostrzec. Miałabym wtedy okazję się wykazać, - znalazłabym mu pokój, a może i biuro.

- Zrobiłabym to z przyjemnością - powiedziała Julie ironicznie - gdybym wiedziała, że przyjeżdża. Dowiedziałam się o tym przed chwilą.

- Ach, mężczyźni! Trudno z nimi wytrzymać.

Ofelia położyła sobie dłoń na obfitym biodrze i kiwnęła głową w stronę Vance'a.

- Spójrz tylko na tego potentata. Zobacz, jak bryluje i jak całe to koło gospodyń wraz z Lois Lane podziwia wśród ochów i achów perły mądrości padające z jego ust.

- Koło gospodyń?

- Klub gospodyń domowych czy coś takiego. Zadzwończyły parę dni temu i pytały, czy mogą przyjechać na plan. Vance był wtedy w biurze i usłyszawszy, że te baby oglądają wszystkie odcinki serialu, w którym on występuje, postanowił zaszczyścić je rozmową. Skąd pochodzi dziennikarka, nie wiem. Mam nadzieję, że jest naprawdę dziennikarką.

Różni ludzie często udają, że są dziennikarzami, kiedy chcą spędzić kilka minut sam na sam z gwiazdą. Robi się wszystko, żeby zapobiec takiemu łamaniu zasad bezpieczeństwa, jednak trudno jest ochronić żadnych rozgłosu aktorów.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Julie.

- Czy Vance opowiadał ci o tej dziennikarce, która doprowadziła do tego, że ściągnął spodnie? Nie? To było podczas kręcenia jakiegoś filmu chyba w Nowym Meksyku. Na plan przyjechała jakaś ładna dziewczyna. Opowiadała, że pracuje w pewnej gazecie studenckiej, że zakłada klub fanów i chce zdobyć materiał specjalny dla tej gazety. Tak sobie rozmawiali, atmosfera stała się nieco rozerotyżowana, wiesz, znasz Vance'a. W pewnym momencie dziewczyna mówi, że wspaniale byłoby, gdyby mogła opowiedzieć fankom, jaką on nosi bieliznę. On jej mówi, jaką, ona udaje, że nie wierzy, i twierdzi, że bieliznę tej firmy nosi jej dziadek. Koniec końców on opuszcza spodnie, żeby jej pokazać, mając być może nadzieję na dalszy ciąg. Ona dokładnie oglądała metkę z tyłu, a także jego pośladki, a potem mówi "dziękuję" i odchodzi. Wkrótce okazało się, że taka gazeta studencka w ogóle nie istnieje.

Julie uśmiechnęła się, kręcąc głową.

- Biedny Vance. Rozumiem teraz, dlaczego tak chroni swój tyłek.

- Akurat, biedny! Założę się, że na to zasłużył. Założę się też, że gdyby uważał, że zostanie dzięki temu supergwiazdorem, błyskawicznie ściągnąłby portki przed kamerą. Ja nie mogę się nadziwić, do czego ludzie są zdolni. Chociażby ty dla swojej sztuki zrobiłabyś wszystko, wszystko!

Głos Ofelii, która nigdy zresztą nie mówiła cicho, zabrzmiał tak donośnie, że Vance spojrział w ich stronę, a potem zmarszczył brwi. Patrząc na niego i zastanawiając się, czy przypadkiem nie słyszał, co mówią, Julie omal nie przeoczyła ostatniej uwagi Ofelii. Po chwili jednak odwróciła się i zapytała:

- O czym ty mówisz?

- Czyżbyś nie wiedziała?

Ofelia rozejrzała się i mrugnęła, patrząc ponad prawym ramieniem Julie.

- Cześć, Rey. Jak leci? O, cześć, Summer. Masz już nową nauczycielkę?

- Zjedliśmy z Reyem śniadanie - powiedziała dziewczynka, podnosząc głowę i chwytając Reya za rękę ~k, jakby się obawiała, że ktoś go zabierze.

- Mama Summer nie czuje się dziś zbyt dobrze - powiedział Rey.

- Boli ją głowa - dodała Summer. - Musiała się położyć. Mówi, że nie ma pojęcia, jak sobie ze mną poradzi bez kogoś, kto pomoże mi w lekcjach.

- Staramy się o nauczycielkę dla ciebie - powiedziała Ofelia, mrugając do Julie. - Ja muszę już iść. Porozmawiamy później.

Kiedy Ofelia odeszła w stronę przyczepy mieszczącej biuro, Rey spojrział na Summer.

- Idź do mamy, sprawdź, czy czegoś nie potrzebuje. I zapytaj, czy możesz popłynąć ze mną w dół rzeki, na jakąś godzinę.

Dziewczynka uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

- Dobrze. Zaraz wracam!

Rey popatrzył, jak biegnie do karawaningu. Summer szybko przebierała nogami w niebieskich dzinsach, a jej włosy, przypominające jedwab w kolorze piasku, powiewały za nią. Kiedy znalazła się wystarczająco daleko, by nie usłyszeć, Rey spojrzął na Julie; jego ciemnobrązowe oczy patrzyły tak samo ciepło jak wtedy, gdy zwrócone były na Summer.

- Jak się masz? Chce ci się spać?

- Drzemka by mi nie zaszkodziła.

Julie położyła sobie rękę na karku i przeciągnęła się.

- Mnie też nie chciało się wstawać - powiedział Rey.

- Przykro mi z powodu Allena. On zwykle nie jest taki nieznośny.

- Podejrzewam, że ja na jego miejscu byłbym skłonny kogoś zamordować. I tym kimś nie byłabyś ty.

Julie patrzyła na niego przez chwilę, porównując potężne ciało Reya z sylwetką narzeczonego.

- Przemoc fizyczna to nie w stylu Allena. On woli szermierkę słowną.

- Jest to kulturalne, ale raczej nie satysfakcjonujące - powiedział Rey ironicznie, a potem zaczął mówić szybciej, gdyż z karawaningu, trzaskając drzwiami, wyszła Summer i biegła w ich stronę. - Czy wiesz, że Annette Davett jest alkoholiczką?

- Nie wiedziałam o tym, ale nie mogę powiedzieć, że to mnie dziwi.

- Dziś rano była pijana ... czy ... w każdym razie zalana ... nie po raz pierwszy zresztą. Summer robi, co może, żeby ją kryć, ale mówi, że matka ciągle bierze jakieś pigułki, i to garściami.

- Co do tej nauczycielki ... zastanawiałam się, czy Donna nie mogłaby ...

- Julie! Dobrze, że cię złapałem przed wyjazdem. - Allen stał na stopniach przyczepy biurowej, z teczką w rękę. Zszedł szybko na dół i podszedł do Julie, ignorując Reya. - Przed chwilą miałem telefon z Los Angeles. Bull wyjechał stamtąd rano i jedzie do Nowego Orleanu. Chce się ze mną spotkać w hotelu, w którym mieszkam, więc jadę. Uważam, że powinniśmy się spotkać dziś wieczorem i zjeść razem kolację. Powiedziałem więc Ofelii, żeby zorganizowała limuzyny, które przewiozą wszystkich do miasta. Wypijemy parę drinków, jemy coś dobrego i pogadamy sobie z dala od planu.

- Przewiozą wszystkich? - zapytała Julie chłodno.

- No wiesz, Vance'a, Madelyn, Summer z matką, wszystkich najważniejszych. Zresztą, kogo chcesz.

- Myślałam, że najpierw porozmawiam z Bullem na osobności.

- Możesz to zrobić później, kiedy już wszyscy wyjdą. Oczywiście zamieszkasz tymczasem ze mną w hotelu Windsor Court. Nie zapomnij spakować torby i przywieźć jej ze sobą.

Wzrok Allena skierował się gdzieś w bok, a potem spotkał się ze wzrokiem mężczyzny, który stał obok Julie. Rey odpowiedział mu przeciągłym, chłodnym i stanowczym spojrzeniem, a potem odwrócił się powoli do Julie. Z uśmiechem na ustach, ale nie w oczach, powiedział:

- Dziękuję, że mnie ostrzegłeś. Pewnie niedługo zostaną trafiony szpadą.

Julie przenosiła wzrok z Allena na Reya i z powrotem, a na jej twarzy wściekłość walczyła ze wstydem. W końcu, patrząc na Allena, powiedziała dobitnie:

-Jeżeli pojedę teraz z tobą, będę mogła porozmawiać z Bullem, zanim przyjadą pozostali. Później wrócę tutaj razem z nimi. Nie zostanę w hotelu. Nowy Orlean jest za daleko stąd. Niewygodnie by mi było tam mieszkać.

Allen wyciągnął rękę i wziął ją za ramię.

- Jestem pewien, że coś wymyślimy. Porozmawiamy o tym po drodze.

W tej samej chwili otworzyły się z hałasem drzwi biura. Ukazała się w nich Ofelia. Jej kolczyki pobrzękiwały, twarz była zarumieniona, a oczy szeroko otwarte.

- Allen, poczekaj, nie jedź! Słuchajcie wszyscy!

Jej głos odbijał się echem od drzew rosnących nad rzeką, a ona krzyczała stojąc na najwyższym schodku z rękami na biodrach i szeroko rozstawionymi stopami. Allen odwrócił się i patrzył na nią unosząc jedną brew.

- Musimy natychmiast opróżnić parking! - krzyczała Ofelia. - Usuńcie samochody, ciężarówki, wszystkie pojazdy! Mieliśmy przed chwilą telefon z Dallas. Jedzie do nas Bull Bullard, będzie tu za piętnaście minut!

- To dobrze - powiedział Allen - ale dlaczego taki popłoch?

- Nie ma tu lądowiska. Mamy piętnaście minut na to, żeby je stworzyć! On leci helikopterem!

Kurz i piasek wirowały, tworząc chmurę. Wierzchołki drzew kołysały się, a trawa rosnąca na obrzeżu parkingu drżała przyparta podmuchem do ziemi. Powierzchnia rzeki pokryła się tysiącem zmarszczek, a łódki przywiązane do mola kołysały się, naciągając liny. Ryk silnika helikoptera i warkot wirnika uniemożliwiały rozmowę. Mrużąc oczy i odgarniając rozwiane włosy z twarzy, Julie pochylała się, wchłonięta przez wir. Aktorzy i członkowie ekipy zebrani wokół niej zrobili to samo.

Helikopter z Bunem na pokładzie pojawił się jak deus ex machina. Zawisł nad parkingiem, opróżnionym z zawrotną szybkością. Pojazdy, które się tu znajdowały, rozpierzchły się po całej okolicy i stały teraz za przyczepami, za karawaningami i poza terenem klubu jachtowego albo gdzieś wzdłuż autostrady. Schodząc powoli w dół, helikopter usiadł na przygotowanym miejscu. Silnik cichł stopniowo, a wirnik obracał się coraz wolniej.

Dziennikarka, która przeprowadzała wywiad z Vance'em, znajdująca się teraz w pobliżu Julie, z podniecenia nie mogła ustać w miejscu. Pochylając się w stronę aktora, krzyknęła:

- Nie mogę w to uwierzyć! Nie mogę uwierzyć, że to sam Bullard! Jak pan myśli, czy on powie mi kilka słów?

- Niech pani spróbuje go o tą poprosić - powiedział Vance, uśmiechając się chytrze.

- Myśli pan, że powinnam? Nie wiem, jak panu dziękować za to, że przekonał pan wartownika, by pozwolił mi tu zostać. Był pan naprawdę cudowny.

- Niech pani napisze o mnie parę miłych słów.

- Oczywiście - krzyknęła dziewczyna - oczywiście, napiszę! □ Madelyn, stojąca wraz z Reyem obok Julie, spojrzała na Vance'a i dziennikarkę z pełnym politowania uśmieszkiem.

- Vance najwyraźniej zapewnił sobie następny kawałek reklamowy. Czy to nie wzruszające?

- To chyba normalne w życiu gwiazdora?

Uwaga Julie skupiła się na potężnej postaci Bulla, który wstawał właśnie z siedzenia w helikopterze. Wyglądał dobrze, jego wyrazista twarz była opalona, co nadawało jej zdrowy wygląd, siwe, przerzedzone już włosy były zaczesane do tyłu, a orzechowe oczy przytomne i czujne.

Madelyn wzruszyła ramionami.

- Co do mnie, to wolę reklamę rozsądnie dawkowaną. Sława to rzecz ważna, ale nie zapewnia emerytury.

- Ty nie powinnaś się martwić o emeryturę.

- Oj, moja droga, żyje się już parę lat na tym świecie. Oczywiście jestem młodsza od twojego ojca, choć to on udzielał mi pierwszych wskazówek. Kiedyś stanowiliśmy przedmiot plotek. Wiedziałaś o tym?

Julie zerknęła na aktorkę ze zdziwieniem.

- Ty i Bull?

- Nie dziw się tak. Istniało nawet pewne prawdopodobieństwo, że zostanę twoją macochą. Ale nie byłam właściwie w jego typie.

- On też chyba nie był w twoim.

- O, Bull potrafi być czarujący. Na swój sposób, oczywiście. Jest taki nieskomplikowany. No wiesz, jego zdaniem miejsca kobiety i mężczyzny są jasno określone. A ja, mimo że lubię płacić za siebie, lubię też czasami mieć przy sobie mężczyznę, który zatroszczy się o rachunek, nie mówiąc już o otwieraniu drzwi.

Bull wyciągnął właśnie rękę do pilota, który wyładował jego podróżną torbę. Schylając się, żeby nie zawadzić głową o wciąż kręcący się wirnik, odwrócił się i spojrzał na zgromadzony tłum. Gdy Allen wyszedł mu naprzeciw, wykrzykując słowa powitania, ruszył w jego stronę. Podali sobie ręce i Bull wyprostował się. Coś powiedział, a Allen wskazał Julie. Uśmiechając się szeroko, Bull Bullard ruszył do córki.

Zaszła mu drogę młoda dziennikarka z magnetofonem w ręce. Długie, kręcone włosy rozwiewały się wokół jej twarzy, oczy miała szeroko otwarte z podniecenia.

- Mam wielki zaszczyt jako pierwsza powitać pana w Luizjanie, panie Bullard. Byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan powiedzieć kilka słów dla mojej gazety.

- Może później. Nie teraz.

- To zajmie tylko chwilkę. Mógłby mi pan powiedzieć, co pana tutaj sprowadza? Czy to prawda, że przejmie pan pracę nad Królestwem bagien jako nowy reżyser tego filmu?

Bull ostro popatrzył na dziewczynę.

- Nie mam nic do powiedzenia na ten temat. Po prostu odwiedzam córkę. To wszystko.

Szedł do Julie z otwartymi szeroko ramionami, odsuwając na bok i magnetofon, i trzymającą go młodą kobietę. Julie z ulgą i uśmiechem na ustach zrobiła krok w jego stronę. Mimo wszystko to był Bull, jej ojciec. Uściskał ją mocno i serdecznie, a jego uścisk przyniósł odległe, ale wyraźne wspomnienie poczucia bezpieczeństwa.

Julie cofnęła się ze śmiechem, a potem zamrugła szybko, chcąc usunąć łzę, która pojawiła się w oku, i odwróciła się, przedstawiając Bullowi Reya. Dwaj mężczyźni uścisnęli sobie mocno dłonie i zmierzylili się uważnym wzrokiem.

- Miło mi pana poznać - powiedział Rey. Bull wydał lekki pomruk.

- Słyszałem o panu i o pana pracy. Później będę się chciał dowiedzieć o niej więcej.

Rey skłonił głowę. Zanim zdążył się odezwać, podeszła do nich Madelyn.

- Co za widowisko, Bull - powiedziała, przeciągając samogłoski. - Helikopter! Nie jesteśmy w Czarnej Mryce.

- Madelyn, moja droga, znasz mnie przecież, wiesz, że zawsze się spieszę.

Rozległ się jego niski śmiech płynący prosto z brzucha, a potem Bull schylił się, żeby ją pocałować. Aktorka przedłużyła ten pocałunek do paru sekund, położywszy na jego karku dłoń z długimi paznokciami pociągniętymi francuskim krwistoczerwonym lakierem.

W tej samej chwili znajdujący się za nimi helikopter wystartował, wznosząc tumany kurzu i jeszcze raz zagłuszając wszelkie dźwięki. Julie pochyliła się w stronę Bulla i krzyknęła mu do ucha:

- Musimy porozmawiać. Sam na sam. Jak najszybciej.

- Oczywiście! - odkrzyknął kiwając głową. - Ale najpierw muszę się przywitać ze wszystkimi.

Zaczął chodzić tam i z powrotem, podając rękę operatorom kamery i dźwiękowcom, elektrykom i obsłudze kuchni, a także operatorowi obrazu, montażyście i Ofelii. Julie zauważyła, że Stan trzymał się z tyłu i przywitał Bulla krótkim kiwnięciem głowy, nie podszedł jednak do niego jak wszyscy inni.

Zanim zdążyła się zorientować, ojciec zebrał wokół siebie sporą gromadkę i zaczął wszystkich zachęcać, żeby opowiadali mu o pracy nad filmem. Chciał słyszeć o śmiesznych wydarzeniach na planie, o problemach i sukcesach. Wkrótce potem, zastanawiając się z Ofelią, gdzie urządzić biuro dla Bulla, Julie usłyszała, że ktoś włącza silnik motorówki. Rozejrzała się i zobaczyła, że Bull i Rey, wraz z siedzącą między nimi Summer, jadą ślizgaczem w dół rzeki. Położyła ręce na biodrach i zacisnęła usta, obserwując oddalający się ślizgacz.

Cała trójka wróciła dopiero po południu. Bull i Summer byli opaleni i pełni wrażeń. Dopłynęli aż do kanału Manchac, a potem przycumowali ślizgacz i poszli na lunch do Middendorfa. Bull powiedział, że ten lunch był ucztą co się zowie. Miał parę pomysłów. Chciał je omówić z Julie i być może porównać z tym, co już zrobiła. Ale najpierw zamierzał się odświeżyć i przygotować do wyjazdu do Nowego Orleanu, który obiecał im Allen. Rey zaproponował, żeby wszyscy pojechali do domu jego ciotki, napili się czegoś, wzięli prysznic i dla odprężenia posiedzieli na galerii. Bull był gotów przystać na to wszystko, a zwłaszcza na drinka.

Julie, wściekła ale milcząca, wykapała się i ubrała do obiadu.

Jak dotąd Rey spędził z ojcem więcej czasu niż ona. Była pewna, że to nie przypadek. Bull potrafił być przebiegły. A ona przez chwilę, zaraz po jego przybyciu, żywiła nadzieję, że ojciec nie spiskuje z Allenem. Nadzieja ta szybko jednak gasła.

Julie wyjęła z szafy drobno plisowaną sukienkę z brzoskwiniowego jedwabiu i znieruchomiała, nasłuchując. Rey i ojciec wciąż pili na galerii. Jeżeli Bull wypije jeszcze jedno piwo i rozbawi się jeszcze bardziej, będą musieli zapakować go szybko do samochodu. Siedziała z nimi dość długo, wypila kieliszek wina i napatrzyła się na wieczorną paradę paw. Wycofała się jednak, bo słyszała opowieści Bulla setki razy i nie miała ochoty wysłuchiwać ich jeszcze raz z nowymi ozdobnikami.

Gdyby to nie było zbyt nieprawdopodobne, podejrzewałaby Reya, że zachęca ojca do opowiadania o swoich wyczynach. Julie nie miała jednak pojęcia, po co Rey miałby to robić. Tak czy inaczej, sądząc po salwach śmiechu, obydwaj dobrze się bawili.

Przez chwilę usiłowała sobie wyobrazić ojca i Allena w takiej sytuacji. Nie udało jej się to jednak. Po pierwsze, Allen nie miał zwyczaju mówić o swoich słabościach ani żartować na swój temat. Po drugie, był wybredny, jeżeli chodziło o trunki. Nie lubił piwa, preferował wina dobrych roczników, a jeżeli pił coś mocniejszego, musiało to mieć kilkanaście lat i pochodzić z dalekiej Szkocji. Allen znany był z tego, że jadąc tam, gdzie oferuje się gorsze trunki, zabiera ze sobą własną butelkę Glenfiddich. Zdecydowanie nie pasował do towarzystwa takich równych chłopów, jakimi byli Bull i Rey.

Stosunki Allena z Bullem cechowała powierzchowna serdeczność. Rzadko jednak rozmawiali o czymś, co nie było związane z robieniem filmów. Trudno byłoby znaleźć dwóch mężczyzn mających mniej wspólnego. Po długich latach Julie doszła do wniosku, że nie był to zbieg okoliczności. Wybrała Allena, bo był pod każdym względem przeciwieństwem ojca.

A poza tym Bull nigdy nie pogodził się z faktem, że córka mieszka z mężczyzną. Początkowo zawzięcie się o to kłócili. Kiedy Bull przekonał się, że nie zmusi jej, by robiła tak, jak on chce, przestał wygłaszać tyrady i wściekać się, jednak nigdy się z tym nie pogodził. Po prostu udawał, że ta część jej życia nie istnieje. A udawać umiał niezłe, gdyż hollywoodzką karierę rozpoczynał jako aktor grający epizody w drugorzędnych filmach. Ironia losu polegała na tym, że Allen podziwiał go bardzo i pragnął się do niego zbliżyć. Nie był to bałwochwalczy podziw, jakim w dzisiejszych czasach obdarza się reżyserów kasowych filmów; płynął z faktu, że Allen doceniał artyzm Bulla. Bull zawsze kładł nacisk na akcję i przygody, jednak tematy, którymi się zajmował, sięgały korzeniami Biblii i Szekspira, Czechowa i Ibsena. To, według Allena, stawiało go zdecydowanie ponad tymi reżyserami gówniarzami, którzy czerpali inspirację z telewizyjnych seriali i kreskówek i oferowali widzowi tanią tandetę. Allen wcale nie żartobliwie mawiał, że nie może się doczekać, kiedy reżyserzy urodzeni podczas wyżu demograficznego przekonają się, iż świat nie zawsze jest sprawiedliwy, a .dobrzy nie zawsze zwyciężają i tak dalej. Opinie te zachowywał oczywiście tylko dla Julie, nie wygłaszał ich publicznie.

Julie podejrzewała Allena, że zorganizował konwój limuzyn specjalnie dla zaspokojenia próżności Bulla, gdyby nie to, że powiedział jej o tym, zanim Bull przyleciał. Myśląc o tym teraz doszła do wniosku, że samochody z szoferami są dobrym znakiem - ona, Julie, nie została usunięta na boczny tor, jest wciąż ważna i zasługuje na specjalne traktowanie. Jeszcze bardziej by się cieszyła, gdyby nie świadomość, że koszty tego wieczoru zostaną pokryte z budżetu jej filmu, i gdyby nie podejrzewała, że ten gest ma też zaspokoić próżność Allena, który przez obecność limuzyn chciał podnieść własny prestiż.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że Allen zrobił to, co zrobił. Patrząc na siebie w lustrze i biorąc buteleczkę z make-upem i małą gąbkę zastanawiała się, do jakiego stopnia narzeczony nie zdaje sobie sprawy z tego, że wymaga od niej zbyt dużego poświęcenia. Podczas rozmowy, w zdenerwowaniu, oskarżyła go o to, że sprowadza jej ojca z zemsty. Jednak teraz, kiedy zdała sobie sprawę, jak dawno musiał to ustalić z Bullem, wydało jej się to raczej niemożliwe.

Chyba że był na bieżąco informowany o jej posunięciach. Podejrzewała, że wśród jej ludzi może być kapuś, ktoś, kto zawiadamia Allena o wszystkich szczegółach i problemach. Ta myśl była przygnębiająca. Jak powiedział Stan, ekipa filmowa jest rodziną. Podczas kręcenia filmu oddanie sprawie, lojalność wobec reżysera i pozostałych jej członków jest czymś oczywistym. Plotki to co innego, mogą się zdarzać. Ale dostarczanie producentowi informacji jest poważną zdradą, żalosnym podlizywaniem się. Oczywiście ktoś mógł powiedzieć, że Allen, jako producent, powinien być informowany. Jednak ten argument tracił moc w chwili, gdy producent dogaduje się za plecami reżysera z firmą ubezpieczeniową i studiem.

Opuściwszy wreszcie swój pokój, Julie wyszła na galerię i zastała tam tylko ciotkę Tine. Wyglądało na to, że mężczyźni poszli wreszcie wziąć prysznic. Ciotka Tine nie musiała się przebierać, gdyż z nimi nie jechała. Julie zaprosiła ją, ale starsza pani odmówiła. Zamierzała zająć się przygotowaniem jambalaj dla czterystu osób, na piątkowe przyjęcie weselne. Resztę potraw zamówiono w restauracji, w której miało się odbyć przyjęcie. Jambalaya miała być jednak prezentem od przyjaciół i sąsiadów panny młodej.

Julie i ciotka Tine gawędziły leniwie o tym i o owym: Starsza pani zdradziła kilka szczegółów związanych z weselem, opowiadała o ślubie wnuczki pewnej przyjaciółki, który odbył się w małej drewnianej kapliczce nad rzeką, zwanej kapliczką Matki Boskiej z Blind River. Julie zauważyła tę kapliczkę przejeżdżając tamtędy, nie zdawała sobie jednak sprawy z jej znaczenia. Jak przystało na Cajunów, wszyscy ci, którzy spędzali niedziele nad rzeką łowiąc ryby, polując i odpoczywając, czuli potrzebę kontaktu z Bogiem. Zamiast skracać czas pobytu nad wodą i jeździć do kościoła, zbudowali po prostu kaplicę, w której mogli dziękować Bogu za te przyjemności. Ciotka Tine opowiadała również o przyjaciółach, którzy mają obozowiska nad rzeką i nad jeziorami, i o tym, że przywożą jej własnoręcznie złowione ryby i krewetki, oraz o synu pewnej przyjaciółki, który pracuje na moczarach jako gajowy wyróżniając się w tej pracy.

Julie natomiast opowiedziała o Kalifornii, o czasach, gdy żyła nad brzegiem morza i zaczynała robić filmy. W pewnym momencie przyszło jej do głowy, że ciotka wyciągnęła z niej zadziwiająco dużo informacji o tym okresie jej życia, kiedy mieszkała z Bullem. Zainteresowanie starszej kobiety jej życiem było rozbijające szczere, dzięki czemu przepytywanie okazało się bezbolesne. Julie została jednak uratowana od całkowitej spowiedzi, gdyż na galerię wrócili Bull i Rey.

Bull przebrał się w spodnie i ładną marynarkę, które - wraz z koszulą i krawatem - stanowiły harmonijny zestaw brązów. Jego ubrania były w dobrym stanie i w dobrym gatunku, ale nic ponad to. Traktował je jak coś koniecznego i praktycznego, a nie jako oznakę własnego stylu. Wszelkie wysiłki, żeby to zmienić, okazywały się zawsze bezskuteczne.

Na widok Reya natomiast Julie otworzyła szeroko oczy. Jego lekki garnitur miał płynne linie i staranne wykończenie, charakterystyczne dla firmy Caraceni z Via Campagna w Rzymie. Koszula była jedwabna, a spinki u mankietów miały stłumiony połysk osiemnastokaratowego złota.

To, że ją znowu zaskoczył, było irytujące. Julie wiedziała dobrze, że nie jest biedny, jednak z trudem przyjmowała do wiadomości oznaki takiego bogactwa. Winą za to oczywiście obarczała Reya. Bo dlaczego, na litość boską, człowiek z jego środowiska ugania się w środku nocy po bagnach? To pytanie zaczęło ją prześladować. Nie była jednak pewna, czy chce poznać odpowiedź.

Wreszcie ukazała się kawalkada limuzyn nadjeżdżająca od strony miasta. Posuwała się powoli i majestatycznie. Wjechała na podjazd i zatrzymała się obok domu.

- Tiens - krzyknęła ciotka Tine myśląca wciąż o weselu - to wygląda jak orszak ślubny ... albo kondukt pogrzebowy.

Miała rację. Kawalkada składała się z pięciu perłowszarych limuzyn tak wypucowanych i błyszczących, że - jak powiedział Bull żartobliwie - mucha nie odważyłaby się na nich usiąść. Patrząc, jak jedna po drugiej zajeżdżają przed dom, Julie poczuła, że policzki jej płoną. W Los Angeles, Las Vegas czy Nowym Jorku taki widok byłby czymś naturalnym, ale tutaj, przed skromnym starym domem ciotki Tine, wyglądał na ostentacyjną, typowo hollywoodzką manifestację braku gustu.

Teoretycznie przeznaczono po jednej limuzynie dla każdego z trojga głównych aktorów - dla Vance'a, Madelyn i Summer. Czwarta powinna być dla Julie i Allena, a piątą bez wątpienia dodano w Qstatniej chwili dla Bulla. W rzeczywistości natomiast trzy limuzyny były zatłoczone, podczas gdy Madelyn jechała z Allenem w czwartej, a piąta była pusta. Kiedy kierowca otworzył drzwiczki, Allen wysiadł i podszedł do schodków prowadzących na galerię, na której stała Julie z ojcem, ciotką Tine i Reyem. Allen podał rękę starszej pani, mówiąc kilka stosownych do sytuacji słów, a potem zwrócił się do Julie:

- Wsiadamy? Madelyn zabierze Bulla i Tabary'ego. Dzięki temu będziemy mieli czas porozmawiać.

Jego pewność, że Julie postąpi tak, jak sobie zaplanował, i że wszystko jest między nimi w porządku, rozżłościła ją. Starając się mówić tonem najbardziej uprzejmym oświadczyła:

- Przykro mi, Allenie, ale podczas jazdy chciałabym porozmawiać z Bullem. Ty i Rey możecie jechać z Madelyn. Jestem pewna, że ona nie będzie miała nic przeciwko tej zmianie.

Twarz Allena stężała. Jego wzrok pobiegł ponad głową Julie i zatrzymał się na podłodze galerii. Nie zauważywszy tam jej torby podróżnej, której najwyraźniej się spodziewał, spojrzął na narzeczoną z wyrzutem.

- Jak wolisz - powiedział krótko. - Zobaczymy się więc w Nowym Orleanie:

- Chwileczkę - odezwał się Bull serdecznym tonem - Rey opowiadał mi, jak się łowi krewetki na jeziorze Pontchartrain i obiecał, że może mi załatwić wycieczkę na to jezioro z jednym ze swoich kumpli. Niech jedzie z nami, opowie mi po drodze trochę więcej.

Julie po raz pierwszy słyszała o wycieczce na połów krewetek.

Już otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, ale rozmyśliła się i nic nie powiedziała. Nie chciała, aby Rey słyszał to, co miała do powiedzenia, ale lepiej było to powiedzieć w jego obecności niż w obecności Allena, On przynajmniej nie był stroną zainteresowaną.

Po ustaleniu, kto gdzie siedzi, limuzyny ruszyły w drogę. Dzieci machały rękami, a dorośli zatrzymywali się, żeby popatrzeć na kawalkadę jadącą drogą nad rzeką. Pojazdy posuwały się z dużą szybkością wzdłuż wijącej się jak wąż grobli i wzdłuż ciągnących się całymi akrami pól trzciny cukrowej, mijały zakłady chemiczne i skrzynie, w których trzymano ziarno przed załadowaniem na frachtowce, a także porządne uliczki mieszkalnej części miasteczka Lutchera. Następnie skręciły w lewo, w Airline Highway prowadzącą do Nowego Orleanu.

Julie siedziała, patrząc przez przydymioną szybę, która ją zasłaniała przed spojrzzeniami z zewnątrz, i słuchając dudniącego głosu ojca. Interesował go dosłownie każdy szczegół związany z połowem krewetek. Prawie nie czekał na odpowiedzi Reya, poruszając coraz to nowe problemy.

Robił to celowo. Julie nie wiedziała, co chce zyskać, odkładając ich rozmowę. W końcu miała tego dosyć.

- Słuchaj, Bull - powiedziała stanowczo, korzystając z pierwszej pauzy - chciałabym się dowiedzieć, czy Allen naprawdę omawiał z tobą możliwość twojej współpracy ze mną przy tym filmie.

Bull odwrócił się powoli twarzą do córki. Jego oczy patrzyły badawczo. Opadł na oparcie i położył swoje duże dłonie na kolanach.

- Zdaje mi się, że nie jesteś z tego zadowolona - powiedział.

- A ty na moim miejscu byłbyś zadowolony? - zapytała spokojnie, lecz stanowczo. - Janie widzę takiej potrzeby. O ile wiem, nazwisko reżysera nie przyczynia się do tego, że sprzedaje się więcej biletów.

Bull zacisnął usta.

- Nie sądzę, że Allenowi chodziło głównie o to.

- Czy twoim zdaniem on uważa, że ja nie dam rady skończyć tego filmu? Wiem, że były pewne problemy, ale inni reżyserzy radzą sobie z takimi sprawami.

- To możliwe, ale Allen będzie się chyba czuł pewniej ... Przerwała mu, starając się bardzo, żeby jej głos był spokojny. - Nie chcę, żebyś ty miał coś wspólnego z tym filmem, Bull.

- Bardzo mi przykro, że tak reagujesz - westchnął ciężko. - Cieszyłem się, że będę mógł pracować nad tym filmem.

- Nie cieszyłbyś się, gdybym to ja miała przejąć twoją pracę.

- Nie miałem zamiaru nic przejmować. Chciałem tylko pomóc.

- Ty nie potrafisz pomagać - powiedziała Julie z rozpaczą. - Pamiętasz, jak w ósmej klasie miałam przygotować doświadczenie na kółko fizyczne? Zrobiłam błąd i poprosiłam cię o pomoc, a ty zaangażowałeś w to kierownika produkcji, plastyka i technika, którzy pracowali nad tym przez cały weekend!

- No i zadanie zostało wykonane, nie?

- O tak, ale nie przeze mnie. Nie miało nic wspólnego z tym, co zaczęłam robić sama.

- Aha - powiedział.

- No właśnie. Dlaczego ty i Allen nie możecie zrozumieć, że ja wiem, co robię, wiem, co chcę osiągnąć? Dlaczego nie zostawicie mnie w spokoju?

- Może dlatego, że się boimy.

- Boicie się? Czego? Że będę szastała pieniędzmi i w końcu nic z tego nie wyjdzie? Dziękuję wam bardzo.

Bull pokręcił głową.

- Boimy się o ciebie. W sensie uczuciowym. Boimy się, że jeżeli ci się nie uda, nikt ci nie da następnej szansy albo że krytycy zjadą twój film, a ty nie będziesz miała odwagi podejmować następnych prób.

- Właśnie tego rodzaju rozumowanie, bardziej niż wszelkie zakazy, przyczynia się do tego, by kobiety rezygnowały z działań. Ja nie jestem tak delikatna, zapewniam cię. Niepotrzebny mi ktoś, kto będzie chronił mnie przed fiaskiem albo dzielił ze mną odpowiedzialność.

- Gdybyśmy pracowali razem, nie byłoby żadnego fiaska.
- Co oznacza, że nie jestem w stanie sama zrobić tego filmu, tak? Boże, Bull, jak mam cię przekonać?
- To nie mnie trzeba przekonywać, tylko Allena.

Spojrzała na niego surowo.

- Wcale nie. On nic nie może zrobić, jeżeli ty się nie zgodzisz.
- Ja nie jestem jedynym reżyserem na świecie. Może włączyć do tej pracy kogoś innego. On po prostu myślał, że ty najłatwiej zaakceptujesz właśnie mnie.
- Mylił się.
- Więc powiedz to jemu, a nie mnie. No dobrze, gdzie będziemy jedli? Jestem strasznie głodny.

Nie było nic do dodania. Julie, unikając uważnego spojrzenia Reya, odwróciła się znowu do okna.

Rezerwację mieli zrobioną u Brennana na Royal Street, w samym sercu Dzielnicy Francuskiej. Limuzyny zatrzymały się przed trzypiętrowym budynkiem, którego otynkowana fasada świeciła łagodnym różem w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. W migoczącym świetle gazowych lamp na stare ściany padał cień balkonowej balustrady z kutego żelaza, ozdabiając je szarym, skomplikowanym ornamentem po drugiej stronie ulicy, wokół budynku w stylu wiktoriańskim, w którym niegdyś mieścił się ratusz, rosły magnolie, smutne i nieruchome o zmierzchu.

Maitre d'hôtel pojawił się, gdy całe towarzystwo, tłocząc się, przechodziło przez ciężkie podwójne drzwi. Powitał gości ze swobodnym uśmiechem, a następnie zaprowadził ich do specjalnego stołu w końcu galerii na pierwszym piętrze, z której otwierał się widok na otoczony murem dziedziniec.

Wieczorny wiatr, łagodny i chłodny, poruszał liśćmi bananowców i magnolii, rosnących na wyłożonym płytami kamiennym dziedzińcu, oraz skrajem różowego, leżącego na długim stole obrusa. W powietrzu unosił się zapach róż stojących w wazie na środku stołu, lewkonii i paproci rosnących w niskim srebrnym naczyniu. Zapachy te mieszały się z cudownym aromatem świeżo upieczonego chleba, karmelu i brandy. Kelner był usłużny, udzielał wyczerpujących informacji, sposób bycia miał elegancki, pełen galanterii wobec dam. Kiedy przyniesiono pierwsze drinki i kiedy menu zostało uważnie przestudiowane, Julie poczuła odprężenie. Doszła nawet do wniosku, że może pomysł Allena nie jest w końcu taki zły.

Zamówiła sałatkę Jacksona przyprawioną sosem z cudownym serem z niebieskimi żyłkami, zupełną zółwiową, najlepszą w mieście, i polędwicę Stanley z interesującym sosem z chrzanu i bananów. Gdy wszyscy już wybrali potrawy, dania mięsne albo owoce morza, Allen, po długiej naradzie z kelnerem zajmującym się winami, zamówił kilka butelek starego bordeaux i dobrego alzackiego rieslinga.

Kiedy napełniono kieliszki, Bull podniósł swój i wstał.

- Chciałbym zaproponować toast - powiedział. - Zdrowie znakomitej reżyserki - mojej córki, której film Niebezpieczne czasy zakwalifikował się do pokazu podczas Festiwalu Filmów Kobięcych. A więc, zdrowie Julie, która lepiej niż my wszyscy wie, co robi.

Uśmiechnął się do niej znad kieliszka i wypił. Julie nie mogła się powstrzymać i odpowiedziała uśmiechem. W jego głosie była duma i miłość, pomyślała. Wzruszyła się, poczuła przyływ serdecznych uczuć. Pozostali wypili jej zdrowie, a potem zaczęli klaskać i gratulować. Julie z uśmiechem dziękowała. Przyszło jej jednak na myśl, że po tym wielkodusznym goście Bulla wyda się wszystkim niewdzięczna, jeśli nie będzie chciała z nim współpracować.

Goście łamali bagietki i smarowali je masłem, przyjęcie zaczynało się rozkręcać. Rozmowy o pracy były czymś nieuniknionym, ale towarzyszyły im żarty i docinki. Panowała radosna atmosfera, dopóki nie podano sorbetu. Wtedy to właśnie Vance, siedzący na prawo od Julie, zaczął rozmawiać przez stół ze Stanem i Andym Russellem o wypadkach kaskaderów.

- Jednym z pierwszych, o których słyszałem - powiedział Stan - był pewien biedak kierujący rydwanem podczas kręcenia niemej wersji Ben Hura. Od rydwanu odpadło koło i facet wyleciał na trzydzieści stóp w górę. No i zginął.

Andy Russell pokiwał głową.

- A ja słyszałem, że podczas kręcenia Pauline ryzykantki z Pearl White w latach dwudziestych też było ponuro. Jeden z kaskaderów poniósł wtedy śmierć.

- A kaskader zastępujący Jimmy'ego Stewarta w tym filmie o pustyni... jaki to on miał tytuł... zginął w symulowanym wypadku lotniczym.

- To chyba było w Locie Feniksa - powiedział Stan.

- Na mnie największe wrażenie zrobiła śmierć faceta, który zastępował Clinta Eastwooda w Akcji na Eigerze; stracił oparcie dla stóp podczas wspinaczki górskiej.

- Ciekawe, czy Stewart i Eastwood czuli się za to odpowiedzialni - zastanawiał się głośno Vance - czy po prostu im ulżyło, że to nie byli oni.

- I jedno, i drugie, jak sądzę - powiedziała ostro Julie. - Może byście, moje słoneczka, zaczęli mówić o czymś innym?

- Przepraszam. - Vance posłał jej swój słynny uśmiech. Jego ton jednak nie świadczył o tym, że odczuwa skruchę.

- Dziś po południu myślałem o Madelyn - powiedział Bull z miną żartobliwie zamysloną.

- Naprawdę? - zapytała Madelyn śpiewnie, rzucając mu spod rzęs powłóczyście spojrzenie.

- Był taki wypadek z rudą peruką, pamiętasz?

Bull spojrzał na aktorkę, a w jego oczach zaiskrzyła się wesołość.

- Ty świnió - powiedziała Madelyn, prostując się na krześle. Nie opowiesz im tego.

- Oj, chyba opowiem - zapewnił ją, a kiedy wszyscy zamilkli, zaczął mówić. - Było to wiele lat temu. Kręciliśmy wtedy w Meksyku wspaniały film pod tytułem Świt zła. W takiej zupełnej głuszy. Najbliższym osiedlem była indiańska wioska położona w odległości dwudziestu mil. Było gorąco jak w piekle. Madelyn grała rudowłosą rozpustnicę, która robi, co może, żeby uwieść księdza. Ksiądz oczywiście po męsku opiera się,

choć jest przebrany oszust. Przychodzi czas na nakręcenie wielkiej sceny nad jeziorem o zmierzchu. Namiętność aż skwierczy, kiedy nagle z krzaków wyskakuje ocelot i zmierza prosto do Madelyn. Wszyscy wpadają w panikę. Nikt nie ma broni. Bo nikt się nie spodziewał, że w promieniu stu mil może znajdować się ocelot!

- Ta historia nie jest wcale śmieszna - powiedziała Madelyn z oburzeniem.

- No więc ksiądz oszust bierze nogi za pas - kontynuował Bull - a nasza Madelyn daje nurka do jeziora. Jest taka dzielna, że płynie, nie mocząc sobie nawet peruki. I wtedy wszyscy przekonujemy się, że oceloty - jeżeli chcą - też potrafią pływać. Ten chciał. Trzeba było widzieć Madelyn, która stoi już na brzegu! Straciła równowagę i wpadła do wody. Zanurzyła się, a peruka wypłynęła na powierzchnię. I wiecie, co się stało? Kot zaatakował perukę, zaczął się z nią szarpać. W końcu uznał, że zabił swą ofiarę i uciekł, niosąc ją w pysku. Wtedy właśnie przekonaliśmy się, że Madelyn ma włosy obcięte krótko, jakiś cal przy skórze. Nosiła bez przerwy perukę, nawet wtedy, kiedy nie kręciła, bo nie chciała, by ktoś zauważył, że jej odrosty nie są czarne .

- Mój drogi Bullu - powiedziała Madelyn ze złowrogim spokojem - drogo mi za to zapłacisz.

- Czy zaprzeczysz, że tak było? Aktorka zignorowała to pytanie.

- Powiem ci, że w mojej rodzinie wszyscy wcześniej siwieją. Nie mogę nic poradzić na to, że publiczność kojarzy sobie siwiznę z wiekiem. Mężczyźni mogą być srebrnowłosi - na przykład Sam Elliott - i nikt im tego nie ma za złe, więc dlaczego kobiety traktuje się inaczej?

- Życie nie zawsze nas dobrze traktuje, a w świecie filmu też jest ciężko - powiedział Allen siedzący u szczytu stołu. - Pamiętam jeden z ostatnich filmów Julie, poświęconych surfingowi. Potrzebni byli ludzie, którzy by zagrali w siatkówkę na plaży, a statyści, których znaleźliśmy, nie pasowali do tej pełnej ruchu sceny. Julie kazała więc przynieść kostiumy kąpielowe i wciągnęła w to postronne osoby.

Julie, która zaczęła się orientować, ku czemu zmierza Allen, . chciała przerwać tę opowieść.

- Nie trzeba dodawać, że była to katastrofa. Ta zbieranina była bardzo niemrawa - powiedziała.

- Tak, ale główną rolę odegrała wtedy Ofelia. Dostała kostium w czerwone, białe i niebieskie paski, w którym wyglądała jak namiot cyrkowy, i przyłączyła się do gry. W pewnym momencie, kiedy się cofała, chcąc odbić piłkę, potknęła się i wylądowała w wodzie. Woda podcięła jej nogi i zaczęła nią rzucać w różne strony, aż w końcu zmyła z niej kostium. I Ofelia wyglądała już nie jak namiot, ale jak wielki biały wieloryb.

Ofelia śmiała się ze wszystkimi, chociaż plamy, które wystąpiły na jej twarzy, nie były spowodowane wyłącznie winem. Głosem nieco nerwowym powiedziała:

- To było takie śmieszne, że Julie wykorzystała parę ujęć.

- To był mój pomysł - przyznał się Allen. - Julie uważała, że jest to zbyt płaskie, zbyt tanie, ale mnie się zdawało, że ta scena dodaje komizmu.

Julie jeszcze teraz żałowała, że nie wycięła tej sceny, żałowała, że uległa Allenowi. Ale wtedy była młodsza i bardziej skłonna słuchać tego, co mówią inni.

Zobaczyła, że Ofelia podnosi kieliszek i opróżnia go, a potem, nie czekając, aż obsłuży ją kelner, dolewa sobie wina. Jej oczy podejrzenie błyszczały. Trzymała je spuszczone, jak gdyby nie chciała napotkać czyjegoś wzroku. Julie wiedziała, że Ofelię łatwo zranić, łatwiej, niż można było sądzić po jej obcesowym zachowaniu. Teraz właśnie tak się stało. Ofelii było przykro.

Allen spojrział na nią zmrużonymi oczami i zapytał spokojnie:

- Czy powiedziałem coś złego? Nie miałem zamiaru cię zdenerwować.

Ofelia energicznie odstawiła kieliszek. Głuche stuknięcie świadczyło o tym, że kryształowa nóżka była zagrożona.

- O Boże, Allen, czy ja wyglądam na taką przewrażliwioną? Znam się przecież na żartach.

- Ale cię uraziłem. Czasami taki ze mnie gbur.

- To prawda - odpowiedziała obcesowo - ale ja i tak ci wybaczam. Nagle zwróciła się do Vance'a, który wciąż się uśmiechał. - Nie wiem, co cię tak śmieszy. Przypomina mi się właśnie, jak ciebie przyłapano ze spuszczonymi spodniami, a może nawet kalesonami. Nie mówiąc już o tym, że kiedyś, gdy kręciliśmy film o cyrku, byłeś tak naćpany, że usiłowałeś zrobić salto zeskakując z trapezu, który był namalowany.

Vance zrobił się czerwony i potoczył wzrokiem po obecnych.

Zatrzymał go na Annette, która patrzyła na niego z przerażeniem.

- No, w każdym razie nie byłem tak pijany ani tak żądny forsy, żeby tańczyć nago opleciony przez ogromnego pytona.

Annette zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Jej twarz zbladła.

- Pyton to taki wąż? - spytała Summer, patrząc na matkę ze zmarszczonymi brwiami.

- To głupi żart, ot co - powiedziała szorstko Ofelia. - Mam tego dosyć. Co będziemy jedli na deser?

- Mogę polecić specjalność zakładu: Bananas Foster - powiedział Rey, uśmiechając się do Summer. - Banany są świeżuteńkie, płonący sos z brandy rozgrzewa serce, a lody są pyszne.

- Dobrze, ja to biorę - zgodziła się Summer uśmiechając się szeroko.

- Z brandy? - spytała Annette.

- Alkohol się spala, a zostaje tylko smak - wyjaśnił Rey.

- To szkoda - odezwała się Ofelia. - Ale ja też to wezmę.

- I słusznie - poparł ją Bull i uniósł jedną brew, patrząc na Reya. - Sądzę, że nie polewają tego czekoladą?

Rey pokręcił głową.

- To by było świętokradztwo. Smak jest najważniejszy, a syrop czekoladowy to by nie było to.

Julie, obserwująca tę akcję poboczną, była wdzięczna Reyowi za interwencję. Czuła, że napięcie znowu w niej narasta, a towarzyszyła mu potężna fala zmęczenia. Julie była znużona tą grą, charakterystyczną dla ludzi ze świata filmu, na którą składały się zazdrość i małostkowa mściwość, perfidne sztuczki i granie dla efektu.

Nic nigdy nie jest tak proste, jak się wydaje. Julie podejrzewała, że Vance zaczął rozmowę o śmiertelnych wypadkach kaskaderów chcąc zepsuć jej wieczór. Bull zorientował się, w czym rzecz, i

opowiedział historyjkę o Madelyn, żeby odwrócić uwagę od Julie, ale chyba również dlatego, że chciał uniknąć awansów aktorki. Allen przypomniał incydent z Ofelią, chcąc najwyraźniej zasugerować, że w przeszłości nie wszystko toczyło się tak, jak Julie chciała, a skoro on wywierał na nią kiedyś wpływ, to równie dobrze może to zrobić i teraz. Pozostałe historyjki zostały opowiedziane dlatego, że czyjeś uczucia zostały urażone, a może także dlatego, że opowiadający chcieli załatwić stare porachunki. Aktorzy są pamiętliwi.

- Myślę, że po deserze - powiedział Allen, rzucając siedzącym przy stole spojrzenie człowieka ekspansywnego i zadowolonego z siebie - moglibyśmy przejść się wzdłuż Bourbon Street, posłuchać jazzu i może trochę zydeco, o którym tyle słyszałem, a potem wpaść do paru klubów i zobaczyć, jak naprawdę wygląda nocne życie w Nowym Orleanie. Ja oczywiście zapraszam. Co wy na to?

- Uważam, że to wspaniała propozycja - odezwała się stanowczo Madelyn.

- My z Summer pójdziemy posłuchać jazzu, ale później musimy wracać do motelu - powiedziała Annette.

- Oj, mammo!

- Jesteś na to za młoda, kochanie. Zresztą nie ja wymyśliłam tę zasadę.

Pozostali zgodzili się, okazując entuzjazm o różnym stopniu natężenia, z wyjątkiem Reya, który siedział kręcąc kieliszkiem stojącym na różowym lnianym obrusie.

- A ty, Julie, idziesz z nami? - zapytał Allen. Zaczęła się kręcić na krześle.

- Nie sądzę. Zdaje się, że ktoś mówił, że ma tutaj w mieście samochód. - Zwróciła się do Reya. - Czy mógłbyś ... czy zechciałbyś zawieźć mnie do ciotki Tine?

- Oczywiście - odrzekł Rey, a jego oczy zdradzały zaskoczenie.

- No wiesz, Julie! - krzyknął Allen. - Ja to zaplanowałem z myślą o tobie.

- Naprawdę? - zapytała, nie patrząc na niego, a potem wstała i wzięła ze stołu leżącą obok talerza małą wieczorową torebkę z jedwabiu.

Rey podniósł się natychmiast i odsunął jej ciężkie krzesło. Allen rzucił serwetkę i też wstał.

- Myślałem, że później ty, twój ojciec i ja pojedziemy do hotelu i porozmawiamy.

- Ty i Bull możecie porozmawiać - odrzekła Julie. - Ja już powiedziałam, co miałam do powiedzenia.

Odwróciła się i odeszła od stołu. Rey spokojnie skinął głową, żegnając się ze wszystkimi, a potem dogonił Julie.

- Chciałabyś się przejść, zanim wsiądziemy do samochodu? Julie zgodziła się na propozycję Reya prawie odruchowo. To, co się ostatnio działo, tak bardzo wyprowadziło ją z równowagi, że było jej wszystko jedno, co robi. Zależało jej tylko na tym, żeby być z dala od Allena i pozostałych.

Trudno jej było pogodzić się z tym, że po tylu latach między nią a Allenem wytworzyła się taka bariera obcości. Wydawało jej się, że patrzy na niego innymi oczami. Wiedziała, że narzeczony ma mnóstwo pozytywnych cech; że potrafi być - i przeważnie jest - troskliwy; że z zapałem działa na rzecz muzeów i galerii sztuki, a także orkiestry symfonicznej, opery i teatru; że jest wielbicielem niekonwencjonalnych form teatru, pięknych starych kościołów, wystaw kwiatów, starych monet; że jest czytany i elokwentny; że w jego towarzystwie czuje się zrelaksowana. Wiedziała o tym wszystkim, a jednak zdawało jej się, że prawie wcale go nie zna.

Jak to było możliwe, że z nim mieszkała, gotowała dla niego, oglądała z nim komiksy w niedzielnej gazecie, kupowała mu bieliznę i razem z nim uśpiła jego ukochanego kudłatego owczarka, kiedy nie było innego wyjścia, a jednak nie potrafiła dostrzec pewnych ograniczeń w ich związku? Jak to się działo, że do tego stopnia się nie rozumieli? Dlaczego mogła teraz siedzieć z nim przy jednym stole, patrzeć na jego twarz, która powinna być jej tak dobrze znana, i mieć uczucie, że patrzy na kogoś obcego? A co więcej, czuć, że tak naprawdę to wcale nie chce go poznać.

Nie chodziło tu tylko o to, że była zła na Allena za próbę odebrania jej filmu i oddania go w ręce innego reżysera, ani o to, że czuła się urażona tym, że pieniądze znaczą dla niego więcej niż jej uczucia i potrzeby. Nie, powód był zupełnie inny - jej uczucie do Allena ulotniło się, uległo procesowi erozji tak powolnemu, że nie miała pojęcia o jego zanikaniu, aż do chwili, kiedy nic z niego nie zostało.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni się kochali. Musiało to być tej nocy, która poprzedzała jej wyjazd do Luizjany. Nie pamiętała jednak, gdzie ani o której godzinie, ani jak to się działo. Mogło to być także miesiąc wcześniej albo jeszcze dawniej. Kiedy próbowała przypomnieć sobie szczegóły, w jej wyobraźni pojawiał się człowiek, który siedł właśnie obok niej. Pojawiał się Rey ze światłem księżyca w oczach, przypominał jej się głuchy łomot jego serca zmieszany z biciem jej własnego, przypominał jej się lot w przestworzach i łagodne lądowanie.

Spojrzała na Reya, prawie ukradkiem. Widząc jego szerokie ramiona, Julie przypomniała sobie ich bliskość i przeszedł ją dreszcz. A on, jak zwykle świadom każdej jej reakcji, odwrócił głowę i uśmiechnął się, a potem, kiedy podchodzili do przejścia przez ulicę, którą płynął strumień samochodów, ujął ją za rękę.

Kiedy znowu zadrżała, zapytał:

- Zimno ci?
- Nie, właściwie nie.
- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś o tym wyróżnieniu na Festiwalu Filmów Kobietych?
- Allen zawiadomił mnie o tym dopiero dziś rano - odrzekła.

- Pojedziesz tam?

Julie właściwie nie podjęła jeszcze decyzji. Jednak widząc wyraźne zainteresowanie Reya jej sukcesem, zaczęła poważnie myśleć o tym, by pojechać na festiwal.

- Możliwe - odpowiedziała spokojnie.

- Jeżeli pojedziesz, to nie będziesz się musiała martwić o Summer. Rozmawiałem z Donną. Bardzo chętnie zatrudni się jako jej nauczycielka.

- Ale ona wie, że mimo to będzie mogła statystować w scenach kręconych w mieście?

Rey kiwnął głową.

- Zamelduje się w poniedziałek, jeżeli ci to odpowiada.

- Oczywiście, nie mogło być lepszego rozwiązania - odpowiedziała Julie.

Dobrze było mieć przynajmniej jeden problem z głowy.

Ulica rozciągająca się przed nimi była wąska, ale ruchliwa.

Padły na nią cienie licznych balkonów. Przejście na drugą stronę wymagało nie lada zręczności. Rey pociągnął Julie za sobą, żeby przejść przed powozem ciągniętym przez konia i wiozącym turystów - jednym z wielu w tej dzielnicy. Na rogu wmieszali się na chwilę w grupkę ludzi słuchających młodego gitarzysty; był prawie nastolatkiem, ale palce miał zwinne i grał jakąś delikatną, słodką melodię. W futerale gitary, który leżał u jego stóp, było sporo banknotów, a stojący w pobliżu sprzedawca hot dogów ze swoim wózkiem w kształcie bułki z kiełbaską sprzedawał błyskawicznie duże ilości towaru.

Muzyka ogarniała swym rytmem Julie i Reya i mieszała się z łagodnym zawrotem głowy dochodzącym z baru przy Bourbon Street. Julie, nie zdając sobie z tego sprawy, zwolniła kroku, dostosowując się do płynnego, zmysłowego rytmu muzyki. Rey, zauważywszy to, spojrzał na jej twarz. Jeszcze raz wargi dziewczyny wygięły się powoli, gdy odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech; słyszała szybki rytm własnego serca i czuła, że ten rytm także się zmienił.

Chcąc ukryć tę reakcję zapytała:

- Co to za zapach?

- Zastanówmy się: hot dogi i musztarda, woda w rzece, kraby z tamtej restauracji, rum i burbon, cebula smażona na kolację przez jakiegoś lokatora, perfumy z drogerii. Trafiłem już?

- Nie sądzę. Ten zapach jest słodkim zapachem kwiatowym, ale nie przypomina niczego, co do tej pory znałam. Poczułam go, kiedy kręciliśmy tu poprzednim razem, ale nie mogłam się zorientować, co tak pachnie.

- Ach, to oliwka z ogrodu za katedrą św. Antoniego ... albo może z ogrodu mojej babki.

- Twojej babki?

- Tak. Ona tu mieszka.

Stali właśnie przed ogromnymi drzwiami w otynkowanej ścianie między dwoma sklepami. Wypowiadając ostatnie słowa, Rey nacisnął dzwonek, a potem cofnął się i czekał.

Julie zwilżyła językiem wargi.

- Jesteś pewien, że dobrze robisz? Ona się przecież nas nie spodziewa.

- Będzie zachwycona, że ma gości. Jeżeli jednak nie chcesz być u niej długo, to zaraz wyjdziemy. Skorzystam tu z telefonu i każe sprowadzić swój samochód. Moje mieszkanie jest zbyt daleko. Nie doszłabyś tam w tych wieczorowych pantofelkach.

Zanim Julie zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły. Wysoki czarnoskóry człowiek o posiwiałych włosach i łagodnym uśmiechu powitał ich radośnie, a potem cofnął się i wpuścił gości do środka. Poszli za nim długim, wąskim korytarzem o sklepionym suficie, mającym nad głowami w świetle staromodnych lamp gazowych przerobionych na elektryczne. W końcu korytarza znajdował się mały przedpokój, którego dwie ściany pokrywał fresk w kolorach złotym, zielonym i niebieskim przedstawiający Wersal. W trzeciej ścianie były wysokie oszklone drzwi prowadzące na ciemny dziedziniec. Po obu stronach drzwi stały ogromne ceramiczne wazy, a ponad nimi biegła spiralą w górę mahoniowa klatka schodowa, tworząc wysoką studnię światła.

Weszli na schody, stąpając po wydeptanych zagłębieniach. Powietrze było chłodne, przesycone wonią zastarzałego kurzu pomieszaną z cytrynowym zapachem płynu do mebli, co przywodziło na myśl atmosferę szanujących się antykwariatów. Wrażenie ograniczonej przestrzeni, jakie odnieśli w korytarzu na dole, ustąpiło, gdy znaleźli się wyżej, w pomieszczeniu obszernym, pięknym i wygodnym. Następne sklepione przejście wyposażone było w oszklone otwarte na oścież drzwi, w których wisiały portierey z ciężkiego brokatu w kolorze paryskiego błękitu. Weszli do pokoju, który można było nazwać salonem.

Były tu trzy okna sięgające od podłogi do sufitu i wychodzące na ulicę. Jedno z nich było otwarte i wpuszczało wieczorne powietrze, pozostałe dwa zamknięto i szczelnie zasłonięto okiennicami. Przez otwarte okno widać było balkonową balustradę z kutego żelaza, której Julie z dołu nie zauważyła. Podłoga wypolerowana do połysku zrobiona była z desek średniej szerokości i pokryta cienkim, miękko tkanym latynoskim dywanem w kolorach niebieskim, kremowym, koralowym i terakoty. Ściany miały łagodny koralowy odcień, a krzesła, przeważnie w stylu Ludwika XV. albo Dyrektoriatu, obito kremowo-niebieskim jedwabiem w paski albo wzory kwiatowe. Na bocznym stoliku stał ogromny bukiet z koralowych lilii, chryzantem i dzikiej trawy, a sofa z poduszkami obciągniętymi kremowym lnem stała przed prawdziwym kominkiem z gzymsem z białego marmuru.

Stara kobieta, tak elegancka jak pokój, w którym się znajdowała, wstała z sofy i wyszła gościom naprzeciw z otwartymi ramionami.

- Rey, rrrwn cher, co za miła niespodzianka.

Rey objął babkę, a potem, odwracając się i wciąż trzymając starszą panią w pasie, przedstawił ją Julie jako madame Villars. Kobieta przywitała Julie ciepło, chociaż podając rękę, popatrzyła na nią uważnie. Julie była oczarowana. Mimo że staruszka miała pięknie obcięte włosy - leciutkie jak dym i w kolorze dymu i chociaż była ubrana w kosztowną, ale prostą suknię z szarego jedwabiu, przypominała jej bardzo ciotkę Tine. Obie mówiły tak samo ożywionymi głosami i w oczach obu błyszczała równie intensywne ciekawość świata.

- Przypuszczam, że jedliście - powiedziała madame Villars. - Tak? Więc chodźcie i napijcie się ze mną kawy i armagnacu.

Kawę podano w starej francuskiej porcelanie. Filiżanki były tak cienkie, że wydawały się zbyt delikatne dla mocnej, gorącej kawy. Babka Reya nie wspomniała o torcie Lane, który podano do kawy. Był to wspaniały deser zrobiony z czterech warstw ciasta, przełożonych podobnym do karmelu lukrem z dodatkiem masła, burbona, orzechów laskowych, rodzynek, wiórków kokosowych i kandyzowanych wiśni.

Julie siedziała na jednym końcu sofy, a madame Villars w drugim, Rey stał przed kominkiem, popijając kawę z kropelką brandy i traktując starą porcelanową filiżankę tak, jakby to był plastikowy kubek. Patrząc na niego i widząc, jak dobrze pasuje do bogatego, umeblowanego antykami wnętrza, Julie poczuła się oszołomiona przelotną myślą o tym, że wygląda jak wspaniały dżentelmen sprzed wojny secesyjnej. Wyobraziła go sobie, jak kłania się damom w salonach i z wdziękiem przyjmuje wyzwanie na pojedynek o świcie. I znowu rozzłościła się na myśl o tym, że dała mu się zwieść, kiedy udawał prostego człowieka z zaścianka na bagnach.

- Dużo słyszałam o pani i pani filmie, panno Bullard - mówiła madame Villars. - Pani zawód musi być bardzo interesujący.

Julie udzieliła stosownej odpowiedzi, dodając:

- Pani wnuk bardzo mi pomógł swoimi radami.

- Jestem pewna, że dobrze się przy tym bawi. Bagna są jego pasją od maleńkości. Kiedyś byłam przerażona tym jego zainteresowaniem. Ale teraz nie robi już ono na mnie takiego wrażenia. Pogodziłam się z tyloma rzeczami. Świat zmienił się bardzo od czasu, gdy byłam dziewczynką.

- Nie daj się zwieść, Julie - powiedział Rey kpiąco. - Babcia chciałaby, byśmy uwierzyli, że jest filarem starej kreolskiej arystokracji, ale ja wiem, że żyła swobodnym życiem bohemy, kiedy w latach dwudziestych mieszkała w Paryżu. Trzeba ją było zmusić, żeby wróciła i wyszła za mojego dziadka.

- W bardzo późnych latach dwudziestych. Nie rób ze mnie starszej, niż jestem. - Starsza pani posłała Reyowi uśmiech, w którym były i nagana, i rozbawienie. A do Julie powiedziała. - Myślałam, że chcę być artystką.

- Babcia jest artystką, i to jaką!

- Portrety delikatnych dzieci i karmiących matek w stylu Mary Cassatt, bezpieczne tematy kobiece. Gdybym została w Paryżu, poszłabym pewnie w jakimś zwariowanym kierunku, jak Dali.

- Wiesz dobrze, że masz swój własny styl.

- Być może - przyznała starszka. - W każdym razie daje mi to przyjemność i w zasadzie nie narzekam. Więc może w końcu nie było mi dane być Dalim w spódnicy.

- Małżeństwo babci zaaranżowali rodzice - powiedział Rey do Julie - i było to chyba jedno z ostatnich takich małżeństw. Mój dziadek zawsze udawał, że jest jej ogromnie wdzięczny za to, iż tak się poświęciła przyjmując jego oświadczenia.

- Był czarujący i miał humor, niech dobry Bóg i Matka Najświętsza czuwają nad jego duszą. Pozwalał mi malować, jak długo miałam na to ochotę, a sam robił interesy ze swoimi amerykańskimi przyjaciółmi. Widzi

pani, droga Julie, paranie się handlem to był dyshonor. Można było uprawiać wolny zawód - być lekarzem albo lepiej prawnikiem - ale nie można było zajmować się handlem.

- A dziewczynie Kreolce nie wolno było wyjść za mąż poza swoją klasę, nie wolno jej było nawet spojrzeć na Amerykanina czy Cajuna.

Rey, mówiąc to, odstawił filiżankę.

- Czytałam wystarczająco dużo, żeby zrozumieć problem małżeństwa z Amerykaninem, ale co można było zarzucić Cajunowi? - spytała Julie.

Madame Villars pokręciła głową.

- Słusznie czy niesłusznie uważano ich za ludzi należących do innej klasy, za farmerów raczej niż arystokratów. Przypuszczam, że było to głupie, gdyż wiele starych rodzin kreolskich pochodzi od stałych bywalców więzień paryskich. Kobiety wysyłane początkowo do kolonii na żony dla kolonistów były złodziejkami albo prostytutkami. Fiues a eassette, biedne dziewczęta z dobrych rodzin, wychowane przez zakonnice i przybywające tu z kuferkami albo podarowanymi im przez króla szkatułkami zawierającymi cały ich dobytek, pojawiły się dopiero później. Ulubionym dowcipem historyków Luizjany jest anegdota mówiąca, że wskutek jakiegoś dziwnego zrzędzenia losu czy anomalii anatomicznych te pierwsze żony nigdy nie miały dzieci, podczas gdy te drugie okazały się zadziwiająco płodne!

- Mój dziadek i moja babka - powiedział Rey ze śmiertelną powagą - wywodzili się oczywiście oboje z rodzin pochodzących bez wątpienia od dziewcząt ze szkatułkami.

- Oczywiście.

Babka rzuciła mu żartobliwie wyniosłe spojrzenie, a potem westchnęła.

- Dzisiaj to brzmi śmiesznie, prawda? Jednak tych zasad przestrzegano przez całe pokolenia, i to z dobrym skutkiem. Jak więc można je było podważać? No ale moją córkę cechował taki upór, o jakim mnie się nawet nie śniło, a ojciec Reya był czarujący i niewiarygodnie wytrwały. Teraz żałuję, że oboje z mężem tak długo nie pozwalaliśmy im się połączyć.

Następnie rozmowa zeszała na filmy, których ogromną liczbę nakręcono w Nowym Orleanie, i na widoczny renesans tego miasta, które stało się taką samą przystanią i inspiracją dla pisarzy, jaką było w latach dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych, kiedy przebywali tu Sherwood Anderson, William Faulkner, F. Scott Fitzgerald, Tennessee Williams i Truman Capote. Przez chwilę wszyscy troje gawędzili o zgrabnym powiedzeniu, z którego wynika, że muza literatury lubi zapach magnolii - stąd Południe do tego stopnia obfituje w talenty pisarskie. Nie zdołali jednak zbliżyć się ani trochę do ostatecznego wyjaśnienia tego zjawiska.

Wkrótce potem Rey przeprosił panie i poszedł zatelefonować.

Podczas jego nieobecności Julie spytała o drogę do łazienki. Została przeprowadzona przez przylegającą do salonu jadalnię, a potem na zewnątrz tylną galerią, skąd skierowano ją do sypialni, do której przylegała łazienka.

Wracając do salonu, Julie zatrzymała się na chwilę na galerii wychodzącej na wewnętrzny ogród dziedziniec. W ogrodzie panowała ciemność i cisza, docierały do niego jedynie światła z domu. Rabaty, z kwiatami podobnymi do białego barwinka tworzyły blade wzory w kształcie pętli okalających krawędzie kamiennej podłogi, a cienie gałęzi drzew kładły się jak koronka na ceglanych ścianach. Ogród miał w sobie coś tajemniczego, był ukryty za domem, zasłonięty przed spojrzeniami przechodniów. Mówił o życiu w odosobnieniu i o jego przyjemnościach.

Tuż za plecami Julie usłyszała cichy odgłos kroków, któremu towarzyszyło lekkie podzwanianie. Odwróciła się, spodziewając się zobaczyć Reya albo człowieka, który wpuścił ich do domu, Nie było jednak nikogo, chociaż wydało jej się, że kątem oka dostrzega przesuwający się cień.

- Rey? - spytała cichym głosem.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, a potem Rey wyłonił się z jadalni, z innej strony, niż Julie się spodziewała.

- Co takiego?

W świetle padającym z salonu wyraźnie rysowała się jego wysoka sylwetka, twarz natomiast pozostawała w cieniu. Nutka rozbawienia, którą Julie usłyszała w jego głosie, była podejrzana. Niemożliwe było, żeby przeszedł tak szybko z miejsca, z którego przed chwilą dochodziły głosy.

- Tam ktoś był - powiedziała. - Słyszałam jego kroki.

- Skąd wiesz, że to był mężczyzna?

Spojrzała na niego zirytowana.

- Wydawało mi się, że to męskie kroki. Myślałam, że to ty.

- Musiałaś słyszeć le chevalier.

- Kogo?

- Naszego domowego ducha. Niektórzy twierdzą, że go widzieli. Jest to mężczyzna ze szpadą, w surducie i spodniach, takich jakie noszono w czasach, gdy zbudowano ten dom.

- Aha, rozumiem. - Julie nie wierzyła w ani jedno słowo. - Czy on ma jakieś imię i czy zmarł przedwczesną śmiercią?

- Nikt tego nie wie. On po prostu lubi patrzeć na piękne kobiety przechodzące galerią po zapadnięciu zmroku.

- Aha, w porządku, może sobie patrzeć, pod warunkiem że trzyma się z daleka od łazienki.

- Tego nie można zagwarantować.

Za Reyem pojawiła się madame Villars.

- Czy mówiłeś, że Julie widziała le chevalier?

- Słyszała go - wyjaśnił Rey.

- To ciekawe, to prawie wróżba.

Staruszka podeszła bliżej, patrząc na Julie z ciepłym zainteresowaniem, a potem rzuciła okiem w ciemności za galerią.

- Wróżba? - zdziwiła się Julie.

- Nie zwracaj na to uwagi - uspokoił ją Rey - to tylko taki przesąd. Przekonasz się jeszcze, że my tutaj jesteśmy przesądni.

Julie była bardziej zaniepokojona niż rozbawiona.

- Ale co to wróży? Chyba nie upadek domu Villarsów.

- Nie, nie. Gdybyś zobaczyła Ze chevalier, znaczyłoby to tylko, że tutaj jest twoje miejsce.

- Gdzie? W tym domu?

- Nie - odpowiedział Rey i odwrócił się tak, że w padającym z boku świetle można było zobaczyć przekorę w jego oczach. - W rodzinie.

Madame Villars zaczęła łąać wnuka za to, że zawraca Julie głowę śmiechem wartymi rodzinnymi legendami. Łajała go tak przez dłuższą chwilę, a potem ze swadą zaczęła mówić o tym, że w starych domach dźwięk przenosi się w dziwny sposób; w końcu wciągnęła Reya i Julie z powrotem do salonu, proponując następną kawę.

Wkrótce potem kamerdyner zameldował, że samochód Reya przyjechał.

Był ciemnoniebieski, miał niskie podwozie i najwyraźniej potężny silnik. Tak, to był ten paskudny Maserati, o którym mówiła Madelyn. Za kierownicą siedział młody czarny mężczyzna z kozią bródką o śmiejących się oczach. Mężczyzna ten wysiadł. Miał na sobie niebieski golf i dżinsy. Mimo że był ubrany tak swobodnie, obszedł samochód i z galanterią stanął przy drzwiczkach od strony pasażera.

- Jak będzie, szefie? - zapytał z uśmiechem. - Mam prowadzić czy pójść pieszo?

- Będiesz prowadził, przynajmniej do mojego mieszkania - odpowiedział Rey, a potem zwrócił się do Julie: - To jest Greg Leonard. Studiuje prawo w Tulane, wtedy kiedy nie zajmuje się moimi sprawami. Greg, to jest Julie Bullard, reżyserka Królestwa bagien. - Kiedy Julie i Greg uścisnęli sobie ręce, mówił dalej: - Mam nadzieję, Julie, że nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy na chwilę wpadli do mojego mieszkania. Chciałbym sprawdzić, jakie mi zostawiono wiadomości.

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiedziała Julie, zbliżając się do drzwi samochodu, które przytrzymał Greg.

Rey prosił ją tak uprzejmie. Nie można się było sprzeciwić, zwłaszcza że słuchał ich Greg. A jednak poczuła napięcie w mięśniach karku. Nie miała nastroju na miłość. Nie przypuszczała, że Rey, który przecież wiedział, że odmówiła Allenowi, stosuje ten manewr po to, żeby wciągnąć ją znowu do łóżka. Ale, oczywiście, nie można było mieć co do tego pewności.

Jechali wąskimi jednokierunkowymi ulicami, zatrzymując się prawie przy każdym przejściu i przepuszczając pieszych ubranych w najrozmaitsze stroje - od jedwabi od renomowanych krawców i kreacji wieczorowych po byle jakie szorty. Greg prowadził ostrożnie i sprawnie i tylko czasami komentował zjadliwie wyczyny meandrujących pijaków, nieuważnych dorożkarzy i blokujących drogę autokarów z turystami.

Julie z udawaną swobodą zwróciła się do Reya:

- Powiedz mi... te opowieści o duchu ... nie wierzysz w nie, prawda?

- Czy w nie nie wierzę? - Uśmiechnął się do niej i dotknął ramieniem jej ramienia, gdyż samochód brał właśnie zakręt. - Wyobrażam sobie, jak to musiało brzmieć w twoich uszach. Jak jakiś wątek z wiktoriańskiej powieści gotyckiej. Jednak nie śmiałaś się, kiedy grand-mere mówiła o naszej legendzie. Dziękuję ci za to.

- Ale nie możesz przecież uważać, że ...

- Nie, nie. Tylko czasami, nocą, kiedy jest burza.

Spojrzała na niego z udawaną irytacją.

- Powinnam była przewidzieć, że nie odpowiesz poważnie.

- Chcesz, żebym odpowiedział poważnie? No dobrze. Lewa strona mojego mózgu, odpowiedzialna za logiczne myślenie, mówi: "Nie, to niemożliwe, duchy nie istnieją". Ale prawa, mistyczna, odpowiada: "Tak, kochanie. A jakie imiona nadamy dzieciom?"

Julie z rezygnacją pokręciła głową, bo widziała, że Rey znowu żartuje. Akceptując jego żartobliwy ton zapytała:

- Dzieci? W liczbie mnogiej?

- Bo powinno ich być co najmniej czworo. Dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

- Co za sielski obrazek! I ty wracałbyś do domu po długim dniu i grał z chłopcami w piłkę, a dziewczynki kołysał na kolanie, czekając, aż żona ugotuje obiad.

- Albo na odwrót, w zależności od wieku dzieci.

- Cudownie, ale żona, tak czy tak, tkwi w kuchni.

- Ja też umiem gotować i lubię to robić.

- Co za wzór cnót! - powiedziała z udawanym podziwem,

- Nie masz pojęcia .. - odrzekł i zawahał się, jakby chciał coś dodać.

Ale odwrócił zaraz głowę, by poinstruować Grega - zupełnie zresztą niepotrzebnie - żeby skrzyknął i nie najechał na barierkę, która była przed nimi.

One River Place był wieżowcem zbudowanym z kamienia i lustrzanego szkła; balkony budynku wychodziły na Missisipi. Położony w pobliżu Riverwalk, gdzie w roku 1984 odbywały się Targi Światowe, przypominał bardziej supernowoczesną wieżę z mieszkaniami niż zwyczajny blok mieszkalny. W tym mieście był jedyny w swoim rodzaju i miał pozostać jedyny, gdyż moda w architekturze zmieniła się.

Apartament Reya był umeblowany eklektycznie. Nadmiernie wypchane meble, obite ciemną, szarobłękitną skórą, sąsiadowały tu z masywnymi francuskimi antykami, a nowoczesne lampy z błyszczącej stali z lichtarzami i rokokowymi kinkietami z połączanego brązu. Dywan leżący na wypolerowanej podłodze salonu bardzo przypominał ten, który Julie zauważyła w salonie babki Reya. Być może pochodził ze składziku na poddaszu domu w Dzielnicy Francuskiej.

Zanim się tu znaleźli; Julie zaproponowała, że zostanie w samochodzie, ale jej propozycja została odrzucona. Rey powiedział, że budynek i parking są dobrze strzeżone, dodał jednak, że woli tego nie sprawdzać

o tak późnej porze. Zwolnił Grega mówiąc, że sam odwiezie Julie do domu.

Rey rzeczywiście sprawdził wiadomości na sekretarce automatycznej, przeglądając notatki leżące obok telefonu i przerzucając szybko pocztę. Julie stała przy szklanej ścianie, patrząc na rzekę leżącą w dole jak ogromny wąż, który się umościł wśród świetlistych klejnotów. Stała plecami do Reya, nie chcąc mu przeszkadzać.

Po rzece płynął parowiec. Posuwał się powoli, mijając frachtowce przycumowane w dokach, a jego czerwonozłote światła odbijały się w wodzie. Wyglądał jak fantom pochodzący z innych czasów. Poruszał się bardzo cicho, a z jego kominów nie unosił się dym; koło nieznacznie tylko się obracało i posuwał się tak wolno, że prawie nie pozostawiał za sobą bruzdy na wodzie.

Fantomy, duchy. Julie uznała, że powinna powściągnąć wyobraźnię. Dziś wieczorem ta wyobraźnia spletała jej figła. Zresztą może nie tylko jednego. Tam, na galerii, nie było za nią nikogo. Ten dźwięk to na pewno było złudzenie - jak sugerowała madame Villars, złudzenie akustyczne powstające w starym domu. A komentarze Reya były jedynie kolejnym objawem jego dziwnego poczucia humoru.

Jego kroki na starym dywanie tuż za nią były tak ciche, że ich nie usłyszała, i wzdrygnęła się przestraszona, kiedy jej dotknął.

- Odpręż się - powiedział spokojnie, zaczynając gładzić ją ciepłymi dłońmi. - Obiecuję, że się na ciebie nie rzucę.

Na rękach i wzdłuż kręgosłupa Julie pojawiła się gęsia skórka.

Poddała się łagodnie uściskowi Reya.

- Nigdy nie myślałam, że się na mnie rzucisz.

- To dobrze. Nie poproszę cię też, żebyś została tu ze mną na noc, chociaż bardzo tego pragnę.

Odwróciła głowę, czując jego ciepły oddech na karku.

- Nie poprosisz? Dlaczego?

Rey przysunął się tak, że stała teraz bardzo blisko. Przytulając skroń do jej słroni i dotykając prawie wargami kącika ust Julie, powiedział:

- Jestem wielkim egoistą. Chcę, żeby twoja uwaga była skupiona tylko na mnie.

Westchnęła, odwracając się objęła go w pasie i położyła głowę na jego ramieniu.

- Jesteś też bardzo delikatny, za co ci jestem wdzięczna. Przytulił ją. Julie spuściła oczy. Wyczuwała jego siłę, czuła delikatny zapach ciepłego jedwabiu i korzenno-cytrynowego płynu po goleniu. Przyszło jej na myśl, że bardzo łatwo byłoby zapaść się w jego ramiona, zagłębić w ten domowy świat, o którym mówił żartem, zostać żoną i matką martwiącą się tylko o listę zakupów, o kłopoty z sąsiadami, o jednorazowe pieluszki, o rozgrywki baseballowe dla maluchów i o atlasowe baletki w małych rozmiarach. Jak dobrze byłoby leżeć z nim w ogromnym łóżu i czuwać wspólnie nad śpiącym między nimi niemowlęciem, wychodzić z nim z pokoju dziecinnego, a potem zasypiać ze zmęczenia w jego ramionach i budzić się do miłości o świcie.

Boże drogi, jakież to podstęp hormonów wpędził ją w te rojenia?

Jaki to figiel natury spowodował, że wydaje jej się, iż małżeństwo i dzieci by jej wystarczyły? Julie była pewna, że to nieprawda. Na pewno nie potrafiłaby być przykładną żoną, poświęcającą marzenia dla obowiązków rodzinnych. To by się nie udało. A jeżeliby się udało, to na krótko. A potem zwariowałyby albo doprowadziła do szaleństwa kogoś innego.

Była jednak bezpieczna. Rey nie zaproponował jej małżeństwa.

Obrócił uwagę o nim w żart, wycofał się z tej propozycji, tak jak wycofał się z propozycji kochania się tej nocy. Było bardzo możliwe, że wcale nie postrzega jej jako kandydatki na żonę. Był tradycjonalistą i na pewno chciał mieć żonę postępującą zgodnie z tradycją. Mówił coś o tym, że mógłby jej pomagać gotować, ale było to tylko gadanie. W rzeczywistości z pewnością chciałby, żeby kobieta, z którą się ożeni, zrezygnowała ze wszystkiego - tak jak jego babka - poświęcając się jemu i domowi. Donna Lislet była kobietą tego typu. Osoba taka jak ona mogłaby być matką dzieci Reya, kobieta miękka i uczuciowa, którą łatwo byłoby rządzić i której marzenia są przyziemne.

Julie uważała, że ona jest dla Reya wyzwaniem, rozrywką, że pociąga go fizycznie raz bardziej, raz mniej, i to wszystko. Była inna, i to go intrygowało; jej umysł, jej duch, jej ciało dawały mu radość, ale nie był bez reszty w niej zakochany.

A może? Trudno było to wyczuć. Rey był bystrym obserwatorem, wyrażał swoje opinie szybko i dowcipnie, Mimo to był człowiekiem głęboko skrytym. Julie wydało się, że drzemią w nim myśli i uczucia, które potężną siłą woli i dla celów znanych tylko sobie utrzymuje w stanie uśpienia. Nie był tym, na kogo wyglądał. Julie dostrzegła w nim warstwy osobowości, które przed nią chował. Nie wiedziała, co jeszcze może w nim odkryć, i czuła się tym zaniepokojona.

- Jestem też człowiekiem - oświadczył głosem stłumionym, kładąc dłonie na jej rękach i pieszcząc ją delikatnie. - Mam dobre intencje, ale można je zignorować.

- Nie chciałabym tego robić - powiedziała Julie powoli.

- Tego się obawiałem - odrzekł, a potem odwrócił się, podszedł do drzwi i otworzył je, przepuszczając ją przed sobą.

Wśród filmowców aż wrzało od plotek na temat przyjazdu Bulla i wczorajszych wyczynów całego towarzystwa w klubach i spelunkach Nowego Orleanu. Wciąż snuto domysły, czy Bull rzeczywiście przejmie film. Julie zauważyła to, gdyż wraz z jej pojawieniem się ludzie przerywali rozmowy w pół zdania. Robota nie posuwała się zbyt szybko. Julie wcale się temu nie dziwiła, gdyż trudno było się spodziewać, że ekipa będzie stawiała na głowie, by zrobić coś, co być może będzie musiało zostać powtórzone, w wypadku gdy nowy reżyser wyrazi zastrzeżenia. Trzeba było podjąć jakąś decyzję, obojętnie jaką. Inaczej wszystko mogło się zacząć sypać.

Wyszła z domu wcześniej, zanim ktokolwiek się obudził. Pracowała w swoim biurze do chwili, gdy poczuła głód. Pomyślała, że można by sprawdzić, czy Ofelia nie ma ochoty pójść z nią do klubu jachtowego na kawę i pączki. Asystentka była już na miejscu przyjechała pół godziny wcześniej. Po zastanowieniu się Julie doszła do wniosku, że nie ma ochoty narażać się na chytre spojrzenia i patrzeć, jak inni coś szepczą na jej temat. Postanowiła pójść do karawaningu i zrobić sobie grzanekę i jajka na bekonie w kuchence mikrofalowej. To będzie lepsze niż cukier i kofeina. Zdenerwowanie, które czuła ostatnio, oraz drinki i ciężkie potrawy zjedzone poprzedniego wieczoru spowodowały, że jej żołądek miał się nie najlepiej.

Po drodze pomachała ręką Stanowi stojącemu wraz z Reyem i fachowcom od efektów specjalnych. Wszyscy trzej omawiali prawdopodobnie ostatnie szczegóły kolejnej sceny z udziałem kaskadera, którą zamierzali kręcić tego ranka. To dobrze, pomyślała, że przynajmniej oni próbują pracować. Samochód Madelyn stał na parkingu, a więc i ona była gdzieś w pobliżu. Vance z wystudiowaną niedbałością opierał się o cyprys nad rzeką i rozmawiał z dziewczyną pilnującą realizacji scenariusza. Zrządzenie Annette Davett dobiegało z następnego karawaningu, tak więc najwyraźniej Summer też już przybyła na miejsce. Nie było śladu Allena ani Bulla. Julie przyjęła to z ulgą jako łaskawe zrządzenie losu.

Zamykając za sobą metalowe drzwi, czuła się jak ktoś, kto dobił do bezpiecznej przystani. Westchnęła z ulgą i przekreśliła klucz. Karawaning, zrobiony z metalu i szkła, był bardzo nagrany przez słońce i unosiły się w nim drażniące zapachy syntetycznych tkanin i kleju do drewna. Idąc do małej łazienki, Julie włączyła klimatyzację.

Myjąc ręce nad umywalką, usłyszała jakieś grzechotanie. Spojrzała w górę, myśląc, że może to powietrze z takim hałasem wydostaje się przez otwór w klimatyzatorze. Mogło to się zdarzyć, jeżeli klimatyzator źle działał.

Julie zrobiła pół kroku, sięgając po ręcznik. Grzechot rozległ się ponownie. Dobiegał gdzieś z dołu; był coraz wyraźniejszy. Julie przeszedł po plecach dreszcz przerażenia. Znieruchomiała. Powoli, stopniowo schyliła głowę i spojrzała pod nogi.

Wąż był czarny, błyszczący, z szarymi plamami. Leżał zwinięty w kącie utworzonym przez ścianę i stanowisko prysznica, przed komodą. Głowę miał podniesioną, kręcił nią na wszystkie strony, a grzechotka na wyprężonym ogonie sterczała nad nim.

Bagienny grzechotnik.

Ta myśl przemknęła jej przez głowę jak błyskawica. Julie od razu przypomniała sobie, co czytała o takich węzach w książkach i co słyszała od Reya, który radził jej, jak ma się zachowywać na bagnach, chcąc uniknąć niebezpieczeństw.

Jej gołe nogi pod wąską spódnicą wydawały się bezbronne.

Serce waliło w piersi ze zdwojoną szybkością. Mięśnie zeszywniały; była jak sparaliżowana .. Przerazenie odebrało jej na chwilę zdolność myślenia.

Gdyby krzyknęła, wzywając pomocy, wąż mógłby zaatakować.

Gdyby nie ruszyła się z miejsca, samo ciepło jej ciała czy ruchy klatki piersiowej przy oddechu mogły spowodować atak gada.

Na ostrych koniuszkach zębów jadowych błyszczą światło. Język gada wysuwał się i cofał błyskawicznie, jak gdyby smakując powietrze. Grzechotka na ogonie wydawała ciche dźwięki.

Julie pomyślała, że nie może wiecznie tak stać. Wąż nie miał zamiaru się ruszyć. Zresztą nie miał gdzie pójść, był zapędzony w róg; obecność Julie powodowała, że znajdował się w pułapce. Oboje - ona i wąż - przerażeni, tworzyli znieruchomiały żywy obraz.

Możliwe było, że wąż zaatakuje. Ale możliwe też było, że tego nie zrobi. W najgorszym razie istniało coś takiego jak surowica.

Ta ostatnia myśl, pojawiając się w racjonalnej części jej umysłu, spowodowała, że Julie odprężyła się. Rzuciła się w tył przez drzwi łazienki i uderzyła z hukiem o ścianę przedpokoiku. Odpychając się od niej, sięgnęła do wąskich drzwi łazienki i zatrzasknęła je.

Odsunęła się, wstrząsana konwulsyjnymi dreszczami. Podchodząc do kuchennego stołu skrzyżowała ręce na piersi, biorąc jak gdyby samą siebie w ramiona i ściskając się mocno. Wiedziała, że ta reakcja nie jest racjonalna. Była instynktowna, a co za tym idzie, niekontrolowana.

Chwilę później, kiedy spuściwszy głowę zamknęła oczy, spróbowała opanować drżenie i zastanowić się, w jaki sposób wąż dostał się do środka.

Zewnętrzne drzwi były zamknięte - wchodząc otworzyła je swoim kluczem. Zamykano je na noc. W ciągu dnia jednak nie zawsze to robiono. Ale nawet i w takich wypadkach drzwi nigdy nie były uchylone, gdyż Julie zostawiała włączoną klimatyzację. Jeżeli zdarzyło się, że metalowe drzwi zewnętrzne nie zostały zamknięte, to zawsze pozostawały jeszcze wewnętrzne drzwi z siatki drucianej, które szczelnie przylegały do wysokiego metalowego progu.

No tak, a poza tym drzwi to nie wszystko, gdyż wejście znajdowało się kilka stóp nad ziemią. Do wnętrza prowadziły metalowe spuszczone stopnie, które wisały jakąś stopę nad ziemią.

Karawaningi, przyczepy mieszkalne i podobne do nich pojazdy, budowane z myślą o obozowaniu w miejscach oddalonych od cywilizacji i w zupełnej głuszy, były tak skonstruowane że dzicy goście nie mieli dostępu. Szanse na to, żeby grzechotnik sam się tu dostał, były prawie żadne.

Ale jakiś procent takiej szansy istniał. Wężę potrafią bowiem pełznąć w górę, a także przedostawać się przez małe otwory. Jednak muszą mieć odpowiednią motywację. Zwykle skłania je do tego fakt, że w pomieszczeniu znajduje się coś do zjedzenia. W karawaningu Julie nie było dużo takich rzeczy, nie było też żadnych ciepłych, poruszających się szybko zwierzątek, tak bardzo lubianych przez wężę, chyba że zabląkała się jakaś mysz.

Wszystko wskazywało na to, że ktoś go tu wpuścił celowo. Ale kto i z jakiego powodu?

Julie przyszło do głowy, że może miał to być żart. To prawda, że posłużenie się grzechotnikiem jest żartem nieco drastycznym, jednak ktoś pochodzący z Kalifornii mógł nie zdawać sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Epidemie idiotycznych żartów pojawiały się okresowo w ekipach filmowych, więc ten nie byłby taki niezwykły. Zaraźliwe żarty czasami wymykają się spod kontroli i stają się niebezpieczne.

Załóżmy więc, że był to głupi żart. Skoro tak, to przeciw komu był skierowany? - myślała Julie. Przeciw niej, czy przeciw Ofelii? A może ktoś myślał, że teraz Bull korzysta z karawaningu?

Jeżeli natomiast nie był to żart, to co to mogło być?

Na to pytanie Julie nie znajdowała odpowiedzi. Nie przychodził jej do głowy nikt, kto mógłby chcieć wyrządzić krzywdę Ofelii. Asystentka była w dobrych stosunkach ze wszystkimi. Bull natomiast był tu tak krótko, że nie mógł wzbudzić niechęci. A co do niej samej, to być może znaleźliby się tacy, którzy niezbyt ją lubili albo których denerwowała, ale nie było chyba nikogo, kto chciałby umyślnie zrobić jej krzywdę. Jeżeli jednak ktoś z aktorów czy członków ekipy chciał ją w ten sposób przekonać, że powinna oddać film Bullowi, to ona, Julie, przekona tego kogoś, że w tym celu trzeba użyć jeszcze bardziej drastycznych metod.

Wszystko to nie miało w tej chwili znaczenia. Problemem był teraz wąż. Pytanie brzmiało: co zrobić? Mogła udać się po pomoc, ale wtedy wokół sprawy powstałby szum, wszyscy by wiedzieli, że znalazła węża w swojej łazience, nie mówiąc już o tym, że zmanifestowałaby własne przerażenie i bezradność. A ona nie chciała nikomu sprawić takiej satysfakcji. Ten ktoś nie powinien wiedzieć, że ją przestraszył. Jeżeli był to głupi żart, wołała, aby wyglądało na to, że się nie udał. A w takim razie najlepiej załatwić sprawę węża spokojnie i bez niczyjej pomocy. Tak, powinna to zrobić sama, mimo że myśl o tym wcale jej nie zachwycała. Jeżeli zrobi to sama, to ten ktoś, kto wpuścił węża do karawaningu, będzie się dziwił, co się z nim stało i dlaczego obyło się bez krzyków i paniki. I być może zacznie się zastanawiać, gdzie wąż następnie ma się pojawić.

No dobrze, ale jak, na miłość boską, pozbyć się tego węża? Nie chciała go zabijać, bo nie zrobił jej nic złego, przestraszył ją tylko. Z drugiej strony, ktoś grzechotnika rozdrażnił, więc nie należało się spodziewać, że gad oddali się w spokoju. No tak, jeżeli nie chcę mieć pełzającego współlokatora, muszę go zabić, nie mam wyjścia, pomyślała.

Ale jak?

W dzieciństwie widziała kilka razy, jak matka pozbywała się węży, które były tak niemądre, że wpełzły na jej rabaty z kwiatami. Sama też zresztą zabiła ze dwa. Jej bronią była wtedy motyka. Ponieważ jednak w tej chwili nie miała motyki pod ręką, doszła do wniosku, że wystarczy cokolwiek, co jest ostre i osadzone na

długim, mocnym trzonku.

Julie wyprostowała się i poszła prosto do małej spiżarni znajdującej się obok lodówki. Znalazła tam szczotkę z dość ciężkim metalowym trzonkiem i plastikowym włosiem tkwiącym w metalowej oprawie. Oprawa miała rozmiary małej motyki. Julie wzięła szczotkę, zważyła ją w rękach i doszła do wniosku, że się nadaje.

Trzymając ją za koniec trzonka jak maczugę, poszła w stronę drzwi łazienki. Położyła dłoń na klamce, nacisnęła ją ostrożnie i powoli otworzyła drzwi.

Po chwili było już po wszystkim. Wąż był ogłuszony uderzeniami, ale Julie nie miała pojęcia, czy żyje. Zacisnęła zęby i posługując się szczotką wepchnęła długie bezwładne ciało do plastikowego kubła na śmiecie. Potem rzuciła do niego papierowy ręcznik, przykrywając nim węża i zastanowiła się, jak się go pozbyć. W końcu postanowiła zanieść go na skraj bagna i wrzucić go w zarośla, między palmy niskopiennie. Wiedziała, że ktoś może ją tam zobaczyć, ale doszła do wniosku, że musi podjąć takie ryzyko.

Nikt nie zwrócił na Julie uwagi, nikt nie zawołał, ani nikt za nią nie poszedł. Wyszła spokojnie z karawaningu i przemknęła się między nim a stojącym obok karawanikiem Summer. Stanąwszy na skraju bagna, tam gdzie poszycie dochodziło do bruku parkingu, zamachnęła się kubłem i wyrzuciła jego zawartość jak najdalej od siebie. Wąż z ciężkim płaszczykiem upadł na ziemię wśród palm. Julie odwróciła się i odeszła szybko, nie oglądając się i nie sprawdzając, czy przypadkiem nie ożył.

Przed swoim karawanikiem zastała Allena i Bulla. Postawiła kubek obok schodków i podeszła do nich. Nie chciało jej się wchodzić do środka. Nagle przestała odczuwać głód.

Bull był w dobrej formie. Przejął fotel Vance'a stojący pod cyprysem i opowiadał właśnie o jakimś filmie kręconym w Afryce. A ponieważ był nie tylko hollywoodzką znakomitością, lecz także doskonałym gawędziarzem, wokół niego zebrał się spory tłumek Allen siedział w pobliżu w fotelu reżysera i nalewał do porcelanowej filiżanki herbatę ze srebrnego termosu.

Vance rozwalił się w fotelu, a u jego stóp, oparta plecami o kolano gwiazdora, siedziała na podnóżku Madelyn. Po jednej stronie Bulla usadowiła się młoda dziennikarka, która przyjechała poprzedniego dnia, a po drugiej siedziała po turecku Summer, która jak urzeczona wpatrywała się w opowiadającego. Jej matka, Annette, była nieobecna, ale Donna Lislet zajęła miejsce na stołku niedaleko Summer, tuż obok Reya, który usadowił się na ziemi i oparł plecami o cyprys. Summer od czasu do czasu krytycznie zerkała na wdowę. Wyglądało więc na to, że Donna została przedstawiona jako jej nowa nauczycielka.

Julie była ciekawa, co by się stało, gdyby powiadomiła zebranych o swoim niedawnym gościu. Ciekawe byłoby zobaczyć ich reakcje, przekonać się, czy ktoś nie zachowuje się dziwnie. Nie chciała jednak psuć efektu opowiadającemu swoją historię Bullowi, nie chciała też, by wszyscy zasypali ją pytaniami, na które nie mogła odpowiedzieć. Oparła się więc pokusie i milczała.

Ofelia znajdowała się niedaleko i wymieniała właśnie ze Stanem oraz grupą operatorów i dźwiękowców pospieszne, błazeńskie dygresje, które jej się nasuwały w związku z opowieścią Bulla. Kiedy zobaczyła zbliżającą się Julie, przerwała i podeszła do niej ze scenopisem i planem zdjęć w ręce. Za nią ruszył Stan.

Asystentka poinformowała Julie, że czekają na to, by ludzie odpowiedzialni za efekty specjalne przygotowali sprzęt. Kiedy tylko skończą, będzie można przeprowadzić próby nad rzeką, które zaplanowała Julie. Ale do tego czasu można tylko słuchać Bulla - dosłownie i w przenośni.

Scena kaskaderska, zaplanowana na ten dzień, była jedną z najważniejszych w filmie. Tym razem Rey miał zastępować nie Vance'a, tylko jednego z aktorów grających opryszków wynajętych przez żonę Jean-Pierre'a, Dorotheę. Zgodnie ze scenariuszem, Dorothea miała odwrócić uwagę Jean-Pierre'a uwodząc go, a jeden z wynajętych opryszków miał w tym czasie porwać Alice. Jean-Pierre zorientowawszy się, co się stało, miał się puścić w pogoń i działając pod wpływem wściekłości spowodowanej kolejną zdradą żony, doprowadzić do wypadku motorówki i narazić życie córki. Miała nastąpić potężna eksplozja, w czasie której dziewczynka wypada z motorówki, a ojciec ratuje jej życie. Zdał sobie sprawę z tego, że przywożąc córkę na bagna naraził ją na niebezpieczeństwo i nekają go wyrzuty sumienia.

Summer nie brała udziału w zdjęciach. Dla bezpieczeństwa zastąpiono ją kukłą owiniętą w koc z blond peruką na głowie. Ta scena była zbyt niebezpieczna nawet dla dziecka-kaskadera. Scenę wyratowania Summer zamierzano nakręcić innego dnia, podobnie jak kilka innych, pokazujących stosunki między dziewczynką a ojcem i rozgrywających się w nędznym obozowisku nad wodą, w którym sfilmowano też scenę uwodzenia.

Vance chciał koniecznie sam prowadzić łódź w scenie z eksplozją, obywając się bez kaskadera. Miał dosyć sytuacji, w których ktoś inny zdobywa sławę. A poza tym cała ta scena, w której motorówka ulega wypadkowi, była bardzo łatwa, przynajmniej dla niego. Tak powiedział i miał częściowo rację. W scenie tej miał bowiem szybko płynąć i wziąć kilka ostrych zakrętów, ale nie groziło mu żadne poważne niebezpieczeństwo. Ryzykował nie on, tylko Rey, który miał wyskoczyć z motorówki w momencie zderzenia, na ułamek sekundy przed wybuchem. Vance natomiast musiał tylko przeprowadzić swoją łódź przez dym i pozostałości po motorówce. Ponieważ nie mieli kaskadera dorównującego umiejętnościami Reyowi, Julie zgodziła się w końcu, żeby Vance zrobił, jak chce.

Opowiadanie Bulla dobiegło końca. Donna wstała.

- Czas chyba, żebym zaczęła zarabiać na życie - powiedziała, uśmiechając się serdecznie do Summer i wyciągając do niej rękę. - Pokaż mi książki, z których się uczysz. Muszę zobaczyć, ile przerobiłyście z tamtą nauczycielką.

- Wysłucham jeszcze tylko jednej historii, proszę panią o to, proszę! - Summer patrzyła na wdowę błagalnym wzrokiem. - A później już pójdę. Obiecuję pani.

- Ale następnej historii może nie być.

- Ależ będzie, na pewno - upierała się dziewczynka, pewna swego.

Bull pokręcił głową.

- Wspomniałem, że może opowiem o swojej pierwszej pracy w Hollywood. Grałem wtedy Billy'ego Kida w muzycznym westernie.

- Żartuje pan! - powiedziała Donna z niedowierzaniem.

- Niezupełnie!

Bull zaśmiał się niskim śmiechem i zaczął następną opowieść. Julie wycofała się. Poszła do klubu jachtowego, gdzie poprosiła o grzanekę i filiżankę kawy. Siedziała tam, zastanawiając się nad dzisiejszą sceną i mieszając czarny płyn o smaku cykorii, do którego wlała śmietankę, kiedy do środka weszła powoli Madelyn. Aktorka wzięła też filiżankę kawy i podeszła do Julie.

- No więc - powiedziała, kiedy już usiadła i rozłożyła jedwabną sukienkę, tak żeby się nie pogniotła - masz zamiar pozwolić Bullowi, żeby ci pomógł, czy nie?

Julie spojrzała jej prosto w oczy.

- Czy to on cię tu przysłał, żebyś się tego dowiedziała?

- No wiesz, wstydziłabyś się. Bull wcale o tym ze mną nie rozmawiał. Po prostu jestem ciekawa.

- Nie wiem, dlaczego cię to interesuje. Chyba że wolisz pracować z Bullem.

- Innymi słowy mam pilnować swojego nosa, tak? - Madelyn zaśmiała się niewesoło. - Właściwie to martwię się o Bulla.

- Tak? A dlaczego?

- Czy uwierzyłabyś, gdybym ci powiedziała, że ze względu na dawne czasy? Wydaje mi się, że on źle wygląda, jest zmęczony i czymś zmartwiony. Być może martwi się o ciebie i o to, co robisz. - Nic na to nie mogę poradzić.

- Nie? Widzisz, on nie jest już taki młody jak dawniej. Nikt z nas nie jest. Bull jest potężny i szorstki, i samowystarczalny, ale mimo to można go zranić.

- Wiem, ale czy z tego powodu mam poświęcić wszystko, całą swoją pracę związaną z tym filmem?

- On tyle samo poświęcił dla ciebie.

- O czym ty mówisz?

Julie przyjrzała się Madelyn, marszcząc brwi...

- Kiedyś, dawno temu, wyrzucił mnie, gdy ty się sprowadziłaś do Los Angeles. Mieszkaliśmy razem od jakiegoś roku, ale to nie miało żadnego znaczenia. Powiedział mi, że mu przykro, ale musi tak postąpić. Nigdy mu nie wybaczyłaś tego, że zerwał z twoją matką, i chciał ci to wynagrodzić. Zrezygnował dla ciebie z wszelkich związków uczuciowych i bliższych więzów.

- Nie miałam o tym pojęcia.

Julie wpatrywała się w zarumienioną twarz Madelyn.

- To nie wszystko. Bull zrezygnował z mnóstwa filmów. Z takich, za które inni reżyserzy daliby sobie uciąć palec. Zrezygnował z nich tylko dlatego, że robiąc je musiałby wyjechać z kraju i na jakiś czas rozstać się z tobą.

- Nie prosiłam go o to - powiedziała Julie tonem osoby, która się broni.

- Nie musiałaś tego robić. On uważał, że go potrzebujesz, i cię nie opuszczał.

- Lepiej by było, gdyby nie opuścił mojej matki.

- Droga Julie, myślałam, że dość długo tkwisz w tym biznesie, by wiedzieć, że ludzie kina są tylko ludźmi, nikim więcej. Nie ma wśród nas ani bohaterów, ani czarnych charakterów. Supergwiazdy i legendy kina krwawią i pocą się jak wszyscy inni i doznają bólów serca. Popołniają błędy, jednak rzadko popołniają je sami. Dotyczy to nawet Bulla.

- To bardzo głęboka myśl- powiedziała Julie z westchnieniem.

- Myślę, że mówiąc to usiłujesz dać mi coś do zrozumienia?

- Do zrobienia dziecka i przeprowadzenia rozwodu trzeba dwojga ludzi.

Julie odczekała chwilę, a potem zaczęła mówić spokojnym głosem:

- Słuchaj, Madelyn, to, co się tu dzieje, ma mało wspólnego z tym, co czuję do Bulla, i z tym, co on czuje do mnie. To jest sprawa zawodowa. Nie ma potrzeby, żebyś się za nim wstawiała albo go żałowała.

Czerwone wargi Madelyn wykrzywił ironiczny uśmiech.

- On miał rację, prawda? Nie wybaczyłaś mu.

Aktorka wstała, wzięła filiżankę i odeszła. Julie nie ruszyła się z miejsca. Nie obserwowała odchodzącej Madelyn, lecz znaczyła swoją filiżanką kółka na plastikowym blacie stołu. Kiedy ktoś przyszedł zawiadomić ją, że wszystko jest gotowe, wciąż siedziała w tym samym miejscu nad nie zjedzoną grzanką i zimną kawą.

Ailen wyszedł z przydzielonego mu biura i stał z Bullem i Ofelią koło mola, obok łodzi z kabiną. Gdy Julie podeszła, odwrócił się do niej. Zanim zdążył coś powiedzieć, odezwał się ojciec Julie:

- Pomyśleliśmy z Allenem, że moglibyśmy popłynąć z tobą jako obserwatorzy, jeżeli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

- Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? - spytała Julie uprzejmie. - Dołączę do was za chwilę.

Przechodząc dotknęła ramienia ojca i pokazała mu łódź, którą oboje mieli popłynąć. Przez chwilę rozmawiała ze Stanem, ustalając ostatnie szczegóły. A potem wskoczyła lekko na pokład łodzi z kabiną. Następnie, bez dalszej zwłoki, popłynęli w dół rzeki.

Rey już wcześniej odpłynął szybką motorówką, która miała być użyta w jego dzisiejszej scenie. Kiedy Julie, Allen i Bull przybyli na miejsce, gdzie miały być kręcone zdjęcia, on już tam był. Była. to ta sama otwarta przestrzeń na wodzie, na której filmowano poprzednią scenę, przestrzeń tak duża, że można było na niej manewrować łodziami. Platformę z kamerą przetransportowano na drugi brzeg - rzeka filmowana z tej strony wyglądała zupełnie inaczej.

Próba tej sceny przebiegła pomyślnie. Podobnie jak poprzednio, kilka małych eksplozji miało symulować kule idące w wodę. Próba wykazała, gdzie dokładnie te eksplozje następują, dzięki czemu Rey i Vance mogli potem przepłynąć obok nich z odpowiednią szybkością, tak żeby efekt był jak najlepszy. Nie można było oczywiście zastosować symulacji dla ukazania większych eksplozji ani pokazać w czasie próby, jak Rey opuszcza motorówkę, gdyż motorówka miała być zniszczona w trakcie tej sceny. Jednak Rey i Stan ustalili dokładnie czas każdej czynności.

Julie usiłowała pozbyć się myśli o niebezpieczeństwie, próbowała udawać, że jest to po prostu jedna z wielu kręconych scen, jeszcze jedna z udziałem kaskadera, któremu się płaci za narażanie życia i zdrowia. Miała nadzieję, że ten kaskader zachowa się przytomnie. Nie udawało jej się to jednak. Obserwowała motorówkę, skif Vance'a i łódź z kamerą, pędzące i okrążające się nawzajem, a potem znowu poruszające się wolno i kołyszące na bruzdach pozostawianych na wodzie. Jej spojrzenie zza ciemnych okularów wielokrotnie wracało do Reya, którego ciemna głowa błyszczała w słońcu, a szerokie ramiona wydawały się w ciemnym garniturze jeszcze szersze. Ruchy Reya były pewne i skuteczne, a równocześnie ostrożne.

Julie chciała być tak samo pewna i ostrożna jak on. A tymczasem robiło jej się słabo. I to powodowało, że zwracając się do ludzi na wodzie przez walkie-talkie, mówiła głosem, w którym wyczuwało się zniecierpliwienie. Tak, uważała, że jej głos powracał do niej wraz z zakłóceniami jako cienki i ochrypły, brzęący niecierpliwie i zdradzający poirytowanie. A poirytowana była tym, że skutek przeprowadzenia próby wszystko się opóźniło. Rzeczywiście miała powód do niezadowolenia - chciała bowiem, żeby ta scena została już wreszcie nakręcona. A tak naprawdę to dużo by dała, żeby cały ten film był już nakręcony. Uważała, że im prędzej go skończy, tym lepiej.

Ale czy na pewno?

A może chciała, żeby trwał wiecznie? Sama nie wiedziała.

Naprawdę nie miała pojęcia.

Łodzie znowu krążyły, wracały na pozycje wyjściowe. Kran zaskrzypiał, gdy główna kamera obróciła się i też zajęła właściwą pozycję. Szmer głosów na platformie cichł, w miarę jak zbliżała się chwila rozpoczęcia zdjęć.

Nagle dźwiękowiec skrzywił się boleśnie, gdyż rozległo się terkotanie silnika jakiejś obcej motorówki. Najwyraźniej ktoś z miejscowych płynął do nich z wizytą albo jakiś rybak udawał się tędy w dół rzeki. Przy końcu ciemnego tunelu prowadzącego w stronę obozowiska pojawiła się stara motorówka.

Potem wypłynęła na słońce. Miała silnik przytwierdzony na zewnątrz, była Poobijana, brudna i niewiarygodnie zniszczona, a u jej steru siedział nie żaden rybak ani nieproszony gość. To była Donna.

Młoda wdowa zamachała ręką i coś krzyknęła, jednak warkot silników motorówek na planie i silnika jej łodzi zagłuszał słowa. Julie dała znak ręką, żeby podpłynęła bliżej. W momencie gdy Donna wyłączyła silnik i podpłynęła do platformy, Julie ostatni raz rzuciła okiem na plan, a potem kiwnęła głową w stronę Ofelii.

- Dobra. Zaczynamy - krzyknęła asystentka do megafonu. - Kamera!

- Przepraszam - szepnęła zdyszana. Donna, wspiąwszy się po drabince. - Nie miałam zamiaru przeszkadzać.

Uciszyło ją ze sześć osób. Poczzerwieniała, ale zamilkła. Podeszła do Julie.

- Przepraszam - zaczęła znowu po cichu - ale musiałam przyjechać. Nie mogę znaleźć Summer.

- Cisza!

Ofelia spojrzała na wdowę z wściekłością, ruszając w jej stronę, ale Julie podniosła rękę.

- Proszę mówić dalej - powiedziała do Donny.

- Summer mówiła mi, że chce zjeść z matką późne śniadanie, ale kiedy poszłam do nich pół godziny później, Annette oświadczyła, że jej nie widziała. Szukałam jej wszędzie, ale nie znalazłam. Pomyślałam, że może uprosiła panią, żeby jej pani pozwoliła przyjechać tutaj. Wszystkie łodzie są tutaj, więc okrążyłam samochodem kanał, pojechałam do obozowiska znajomych i pożyczylam od nich łódź. Czy ... czy ona jest tutaj?

W oddali łodzie nabierały szybkości. Krążyły, przygotowując się do długiej, skomplikowanej drogi, u której końca, oddalona o jakieś dwieście stóp, miała znajdować się stara, częściowo zanurzona pod wodą estakada, będąca sztucznie zbudowaną kopią estakady znajdującej się w innym miejscu. Julie poczuła się tak, jakby jej umysł podzielił się na dwie części, mające do czynienia z dwoma problemami, które jej przedstawiono. Były one niczym dwie oddzielne części jednej całości. Julie marzyła o tym, by je ze sobą połączyć. Troska o Reya wystąpiła równocześnie z niepokojem o Summer.

- Czy ktoś ją widział? - spytała bezgłośnie, odwracając się to w tę stronę, to w inną i błagając wzrokiem obecnych o zgodę na tę rozmowę. Ale oni wzruszali tylko ramionami i kręcili głowami.

- Od czasu gdy się z nią rozstaliśmy, nikt jej nie widział - szepnął Buli, podchodząc do Julie z tyłu.

Przerwał im ryk silników - to łodzie zaczęły swój wyścig. Potem rozległy się strzały - Rey płynący pierwszą łodzią wystrzelił w stronę Vance'a, a małe ładunki przygotowane przez człowieka od efektów specjalnych wybuchły nad wodą dając doskonały efekt. Vance odchylił się, a jego łódź zakołysała się tworząc na wodzie zygzakowatą bruzdę.

Julie, obserwując łodzie, przypomniała sobie na chwilę Summer siedzącą u stóp Bulla i zasłuchaną w jego niski głos. Zupełnie jak kiedyś ona, Julie. Przypomniała sobie to samotne dziecko pragnące robić takie wspaniałe rzeczy jak on, pragnące zrobić na nim wrażenie. Równocześnie nie odrywała oczu od Reya ubranego w ciemny garnitur, odwracającego się błyskawicznie, strzelającego, kontrolującego motorówkę, która niby to swobodnie dryfowała; Reya z pozoru nieświadomego faktu, że na wpół zanurzona estakada majaczy przed nim i że zbliżający się Vance go na nią spycha. Za nim, na wąskim siedzeniu, leżała kukła. Jasne włosy peruki falowały na wietrze.

Kukła ruszała się.

Nagle usiadła, odsunęła koc. Działała tak, jakby była oszołomiona. Ukazała się blada twarz z szeroko otwartymi oczami. Mała ręka wysunęła się spod koca i chwyciła górną część burty pędzącej łodzi.

Kierując się instynktem, Julie podniosła walkie-talkie. To niemożliwe, to po prostu niemożliwe! Dla Julie było to jakieś nierealne déjà vu, chociaż równocześnie, przerażona i wściekła, krzyczała do mikrofonu:

- Ta kukła to Summer! Rey, ta kukła to naprawdę ... !

Ostatnie słowo zagłuszył ryk eksplozji. Ciemna sylwetka Reya wyleciała w powietrze jak z katapulty. Wyleciała z łodzi i uniosła się wraz z falującą ścianą ognia.

- Nie wiem, jak Tabary to zrobił.

Bull powtarzał to już od trzech dni i wypowiadał te słowa po raz chyba setny. Wypowiadał je z ogromnym podziwem, który dzielali wszyscy obecni. Siedział z innymi filmowcami w dawnej klasie szkolnej, służącej obecnie jako sala recepcyjna w restauracji zwanej "W chacie", mieszczącej się częściowo w czymś, co kiedyś było chatką murzyńskich niewolników pracujących na plantacji. Przyjęcie weselne po ślubie ciotecznej wnuczki ciotki Tine było w toku. Buli, rozparty na krześle, z kieliszkiem szampana w jednej ręce i z miską jambalai w drugiej, jak zwykle rozprawiał. Wokół niego zebrało się sporo gości weselnych, przyjaciół ciotki Tine. Wszyscy jeszcze raz wysłuchiwali opowieści o wypadku na rzece.

Julie wiedziała, jak Rey to zrobił.

Wiedziała, co dokładnie się zdarzyło, gdyż obserwowała wypadek z zapartym tchem i sercem podchodzącym do gardła. Wiedziała, bo oglądała go co najmniej pięć razy na filmie.

Siedząc przy stole obok ojca i patrząc na piękną ciemnowłosą pannę młodą w białej sukni z jedwabiu i koronki naszywanej perłami, pozującą do zdjęć wraz z druhnami, Julie jeszcze raz przeżywała w duchu tę scenę. W momencie gdy zaczęła krzyczeć, Rey odwrócił się już i zobaczył, że kukła na tylnym siedzeniu się rusza. Pochylił się nad siedzeniem i zgarnął Summer, podnosząc ją w górę, a potem - jak pomarańczowoczerwona kula ognista - rzucił się, przesybował ponad burtą i przedarł się z hukiem przez drzewa, wstrząsając nimi do tego stopnia, że szare mchy na ich gałęziach wykonały szaleńczy taniec. W momencie gdy wraz z Summer wpadał do wody, jego marynarka płonęła. Zanim oboje zdołali się wynurzyć, łódź stała się ogromnym płonącym stosem. Mieniający się kolorami tęczy olej wylał się z niej i płonął w promieniu dwudziestu stóp. Dla Julie te kilka sekund było chwilami najdłuższego w życiu oczekiwania.

Vance, znajdujący się w drugiej łodzi, pierwszy dotarł do Reya i Summer. Wciągnął ich na skifi przywiózł na platformę. Summer, wciąż owinięta poczerniałym kocem, czuła się dobrze. Miała tylko osmalone włosy i opiała się wody z Blind River. Marynarka Reya była zwęglona, a jego poparzone ramię i plecy wyglądały jak przypalona wołowina. Z powodu Summer skoczył dosłownie w ostatniej chwili; jeszcze moment, a byłoby za późno.

Donna wybuchnęła histerycznym płaczem. Szlochając twierdziła, że to jej wina. Ta histeria była zrozumiała, choć męcząca. Summer, przerażona i zszokowana, także wybuchnęła płaczem, w momencie gdy zdała sobie sprawę, że omal nie doprowadziła do śmierci Reya i omal nie zginęła sama. Płakała długo i nie mogła się uspokoić. Dopiero po pewnym czasie udało jej się wytłumaczyć, że ranny Rey nie potrzebuje jej pomocy.

Rey potrzebował lekarza. Zresztą i Summer należało zbadać i sprawdzić, czy do jej płuc nie dostała się woda z olejem. Dopiero kiedy wszyscy znaleźli się na łodzi z kabiną, wiozącej ich na miejsce, z którego mieli się udać do szpitala, Julie i pozostałym udało się dowiedzieć, dlaczego dziewczynka zakradła się na motorówkę. Z tego, co Summer nieskładnie opowiadała, zrozumieli wreszcie, że pomysł przyszedł jej do głowy, gdy

przypadkowo usłyszała opowiadanie Bulla o odważnym małym Meksykaninie, który został gwiazdorem, ponieważ zakradł się na arenę i stoczył walkę z bykiem, nie pozwalając, żeby zrobił to za niego kaskader-karzeł. Tego ranka usłyszała też, jak ktoś - nie wiedziała kto - mówił, że to wielka szkoda, że Summer nie może sama zagrać w scenie z eksplozją. Pomyślała, że to dobry pomysł. Przyszło jej też do głowy, że udział w tej scenie może jej przynieść sławę. Wiedziała, że Rey nie dopuści do tego, żeby jej się coś stało.

Ale później, kiedy schowała już kukłę i zajęła jej miejsce, ktoś do niej podszedł i poczuła ukłucie w ramię. Zasnęła i obudziła się dopiero wtedy, gdy usłyszała strzały padające w trakcie kręcenia sceny.

Bull klął i złorzeczył sobie za to, że Summer usłyszała jego opowieść o małym Meksykaninie. Nikt jednak nie miał pojęcia, kto mógł zasugerować, żeby dziewczynka zagrała w tej scenie.

- Jesteś pewna, że naprawdę słyszałaś, jak ktoś to mówi? - spytał Bull. - Jesteś najzupełniej pewna, że nie wymyśliłaś tego sama?

Summer przygryzła wargę i zmarszczyła brwi.

- Chyba to słyszałam. Jestem tego prawie pewna.

- I jesteś pewna, że czułaś ukłucie? Może koc cię drapał? Było przecież gorąco ...

- Myśli pan, że tak po prostu zasnęłam? - powiedziała ze złością Summer. - Ja nigdy tak mocno nie śpię! Na pewno bym się obudziła, kiedy włączano silnik. .. albo podczas jazdy.

Nic nie było w stanie skłonić jej do zmiany wersji tego wydarzenia, nawet przesłuchiwanie przez szeryfa. I nie można było wydobyć z niej żadnych innych szczegółów. Na ramieniu miała ślad jakby po ukłuciu, ale badanie krwi nie wykazało nic niezwykłego. Po przeprowadzeniu dokładnych badań wypuszczono ją ze szpitala.

Z przesłuchania członków ekipy filmowej wynikało, że nikt nie widział, jak Summer zakrada się do łodzi. Nie było to żadną niespodzianką, podobnie jak to, że nikt nie widział, co się działo później. No bo ktoś, kto by to widział, powiedziałby najprawdopodobniej dziewczynce, żeby stamtąd odeszła, albo zwrócił na nią uwagę innych. Kilka osób dawało wyraz podejrzeniom; że Summer dramatyzuje całą sytuację albo też wymyśla sobie usprawiedliwienie. Zastępcy szeryfa byli zbyt uprzejmi, żeby się z tą opinią zgodzić. Przy braku dowodów na to, że ktoś zawinił, dochodzenie przeprowadzono bardzo szybko i równie szybko zamknięto.

Wydawało się, że wypadek nie wywarł na Summer wrażenia.

Tego wieczoru, ubrana na różowo i biało, z mieniącą się różową kokardą we włosach, oglądała ceremonię ślubną w starym kościele przy River Road. Na jej szczupłej twarzy malował się zachwyt:

A teraz, skorzystawszy z pomocy ciotki Tine i nałożywszy sobie dość dużo na talerz, siedziała i obserwowała gości z wyrazem skupienia w oczach, jak gdyby gromadziła w swojej pamięci młodej aktorki różne gesty i sposoby mówienia.

Wszyscy bawili się świetnie - jedli, pili, śmiali się i rozmawiali równocześnie. W całej tej uroczystości nie było nic statecznego, nic formalnego. Przyjęcie było po prostu ciepłym i wesołym wprowadzeniem młodej pary w dorosłość i w życie społeczności, a rodzina i przyjaciele, sąsiedzi i znajomi cieszyli się szczęściem młodych ludzi.

Panna młoda uśmiechała się jak osoba wzruszająco szczęśliwa.

Rozpromieniony pan młody w białym smokingu, pasującym do sukni panny młodej, promieniał miłością i dumą. Oboje byli pełni oczekiwania. Dobre wychowanie kazało im jednak powstrzymywać niecierpliwość, która objawiała się w szybkich pocałunkach i długich, pełnych obietnic spojrzeniach.

W powietrzu unosiły się zapachy potraw i wina; pachniał słodki lukier na wysokim białym torcie, ukoronowanym orchideami z pianki i udekorowanym amorkami, kolumienkami i girlandami ze słodkiej wstążki. Druhny kręcili się tu i tam, a za nimi . biegali druźbowie. Matka panny młodej stała oszołomiona.

Goście przechodzili od jednego bufetu do drugiego. Ich śmiechy i rozmowy tworzyły ściszoną kakofonię. Od czasu do czasu ktoś głośno zachwycił się kwiatami, które były w kościele, słowami księdza i pięcioma białymi limuzynami, które przywiozły orszak weselny z kościoła na przyjęcie. W rogu stał człowiek z kamerą wideo i uwieczniał wydarzenie dla potomności.

- Dobrze się pani bawi? Ma pani co jeść? - spytała ciotka Tine, zatrzymując się obok Julie z kieliszkiem wina w jednej ręce i przypieczoną kielbaską na widelcu w drugiej.

- Bardzo dobrze się bawię. I naprawdę mam co jeść - odpowiedziała Julie, kładąc sobie rękę na brzuchu. - Ale proszę mi powiedzieć: na czym polega wasz sekret? Co powoduje, że Cajunowie mają tyle joie de vivre? Że tak się świetnie bawią?

Kobieta spojrzała bystro na Julie, uśmiechając się przy tym dziwnie .. Gestykulując widelcem z kielbaską dla podkreślenia wagi swoich słów, powiedziała:

- Otóż, chere! to jest tak. Kiedy Akadyjczycy zostali zmuszeni do opuszczenia Nowej Szkocji, zostawili tam wszystko: jedzenie, meble, domy, wszystko z wyjątkiem ubrania, które mieli na sobie. Zapędzono ich na statki, rozdzielono rodziny, których członkowie mieli się już więcej nie zobaczyć, posłano najpierw w jedno miejsce, potem przepędzono w drugie. Wiele lat upłynęło, zanim ci, co nie umarli z zimna, głodu i zgryzoty, dostali się do Luizjany. Udało się to tylko tym, którzy kochali życie. Po tych strasznych doświadczeniach, straciwszy wszystko i odbywszy taką podróż, wiedzieli jedno - że życie jest krótkie, a śmierć długa. Wiedzieli, że wszystko, co nam jest dane, to chwila, którą właśnie przeżywamy. I wiedzieli, że ta chwila może być smutna i okropna albo wspaniała i radosna. I że radość jest czymś lepszym niż smutek.

Julie popatrzyła na otaczających ją ludzi i powiedziała powoli:

- Myślę, że coś w tym jest.

- Proszę mi wierzyć, chere, na pewno tak. I proszę zjeść kielbaskę. Kielbaski są, takie dobre!

Po pewnym czasie składająca się z czterech osób orkiestra, która stroiła instrumenty i przygotowywała mikrofony na zewnętrznej galerii, zaczęła grać. Panna młoda i pan młody Aeszli na wybrukowany ceglami dziedziniec i powoli wirowali w walcu . Później panna młoda tańczyła ze swoim ojcem, a .n młody ze swoją matką, a obok nich dziewczynka, która niosła kwiaty przed panną młodą, wirowała z jednym z chłopców. Goście siedzący na galerii przyglądali się tańcom z uśmiechem. W momencie gdy szaroniebieski zmierzch zamienił się w rozświetloną pochodniami ciemność, wszyscy członkowie orszaku ślubnego, wraz z pierwszym

druzbą i pierwszą druhną oraz pięcioma innymi druhnami i drużbami, kręcili się w rytmie reggae. Kiedy tańce zostały w ten sposób oficjalnie zapoczątkowane, dziedziniec oddano do dyspozycji gościom.

Oprócz Julie i Bulla spośród filmowców zaproszono na wesele Summer i jej matkę. Nie zaproszono wszystkich, bo w końcu wesele było prywatną uroczystością i budżet na przyjęcie był ograniczony. To Donna nalegała, by zaprosić Summer, prawdopodobnie chcąc, żeby dziewczynka zapomniała o wypadku. I to właśnie ona wręczyła Summer kieliszek z kilkoma kroplami szampana.

- Nie zaszkodzi jej to - powiedziała - a zresztą lepiej, żeby skosztowała wina przy wszystkich niż żeby przyzwyczaiła się do niego pijąc po kryjomu.

Summer, która z początku była niezadowolona z tego, że ma nową nauczycielkę, stopniowo coraz bardziej akceptowała Donnę.

Rey tańczył z Summer. Przedtem Julie widziała go kilkakrotnie, gdy mówił coś miłego nowożeńcom, gdy podawał coś do jedzenia starej przyjaciółce ciotki, gdy rozmawiał w jakimś cichym kącie z przyjaciółmi. Nie opierał się o nic - unikał zwłaszcza oparcie krzesła - i nie robił gwałtownych ruchów. Przyjrawszy się uważnie, można było zobaczyć, że linię jego marynarki psuje wypukłość spowodowana bandażem. Mimo to schylał się bez wysiłku, słuchając szczebiotu Summer, i obracał nią w walcu Cajunów, aż wirowały jej spódniczki; uczył dziewczynkę obrotów z ręką wdzięcznie założoną za plecy. Z daleka wyglądał jak ktoś, kto traktuje partnerkę z atencją i kto równocześnie nie jest pozbawiony poczucia humoru. Summer śmiała się, podnosząc na niego oczy i patrząc z zachwytem. W jej oczach błyszczało uwielbienie. Najwyraźniej uważała Reya za bohatera. Julie, patrząc tak na nich, złapała się na tym, że pragnie, by jego obraz nigdy się nie zmienił, a jeżeli już miałby się zmienić, to żeby Summer nigdy się o tym nie dowiedziała.

Donna nosiła na biodrze jasnowłosego malucha, ścisnęła pana młodego, który był jakoś z nią spokrewniony, odpowiadała z wdziękiem i opanowaniem na wyrazy współczucia. Wyglądała na osobę, która w spokojny sposób dość dobrze się bawi. Nikt nie miał jej za złe, kiedy weszła z Reyem w krąg tańczących, mimo że dzieciak - rozstawszy się z nią - okazywał pewne niezadowolenie. Jego gniewne miny zamieniły się jednak w śmiech, kiedy panna młoda wręczyła mu tren sukni. Maluch wziął tren w pulchną rączkę, a panna młoda - ku jego uciesze - zaczęła tańczyć z nim walca na galerii.

Kilka minut później panna młoda była znowu wśród tańczących na wyłożonym ceglami dziedzińcu. Tym razem tańczyła ze swoim dziadkiem, który z zadowoleniem szurając nogami w rytm muzyki, przyszpilał studolarowy banknot do jej welonu. Przyszedł bowiem czas na taniec z pieniędzmi, podczas którego mężczyźni - przeważnie przyjaciele i sąsiedzi, a także krewni - tańczyli z panną młodą i przyszpilali pieniężne dowody sympatii do łatwiej dostępnych części ślubnego stroju - czasami do rękawów sukni, ale najczęściej do welonu. Pieniądze, jak powiedziała ciotka Tine, szły przeważnie na opłacenie wydatków związanych z miodowym miesiącem.

Młoda para miała na jedną noc pojechać do Tezcuco, do domu kolonialnego, należącego niegdyś do właścicieli plantacji, teraz zamienionego na gospodę, w której świeżo upieczeni małżonkowie spędzali zwykle

noc i jedli śniadanie. Stamtąd mieli się udać na tydzień na wybrzeże Florydy. Julie wyobrażała sobie, że po powrocie zaczną pędzić życie typowego małżeństwa, będą mieli dzieci, będą pracowali i w końcu kiedyś umrą, nie oddalwszy się prawdopodobnie nawet na odległość kilku mil od pięknego wiktoriańskiego kościoła, w którym brali ślub. Panna młoda zostanie żoną i matką, ciotką i matką chrzestną, cioteczną babką i babką, gdyż taka jest kolej rzeczy. Nie będzie narzekała i najprawdopodobniej będzie szczęśliwa.

Zastanawiając się nad tą drogą życiową, Julie pokręciła głową.

Jakie to było proste i jak niewiarygodnie idylliczne!

To jednak było życie nie dla niej.

Czworo dzieci, dwóch chłopców i dwie dziewczynki.

Nie, to nie dla niej. Jej marzenia nie dawały się wtłoczyć w takie ramy. Były zbyt wzniosłe. Nie pasowały do takiego przyziemnego życia.

- Zatańczymy?

Rey stał przed nią i wyciągał rękę, gdy tymczasem orkiestra zaczynała grać kolejnego walca Cajunów. Julie położyła palce na dłoni Reya. Przeszła z nim wzdłuż galerii, a potem ruszyła po drewnianych schodkach na dziedziniec.

Obserwowała wcześniej, jak tańczą inni, a poza tym miała pojęcie o tym, jak się tańczy na sali balowej, więc wkrótce wirowała z Reyem na dziedzińcu, wysuwała się z jego ramion i wracała w objęcia partnera, kręciła się w rytm muzyki, podczas gdy męska dłoń spoczywała na Jej plecach. I rosła w niej radość, słodka, nieustraszona radość.

Julie pragnęła, żeby ta radość nie miała końca, a równocześnie wiedziała, że to niemożliwe. Postanowiła zapamiętać ją, zachować jako najbardziej osobiste wspomnienie, które miało ją podtrzymywać na duchu.

- No więc jak, czy masz zamiar włączyć do filmu scenę z wesela Cajunów? - spytał Rey, posyłając jej serdeczne spojrzenie, a równocześnie uśmiechając się nieco tajemniczo.

- Myślę, że mogłabym to zrobić. Nie ma chyba lepszego sposobu pokazania pewnych aspektów życia i poglądów Jean-Pierre'a, a także rozwoju emocjonalnego małej Alice.

- Ciotka Tine bardzo się ucieszy.

- Naprawdę?

- Będzie jej miło pomyśleć, że przyczyniła się w jakiś sposób do powstania filmu.

- Bardzo się do tego przyczyniła - powiedziała Julie. - Dzięki rozmowom z nią dowiedziałam się wielu ciekawych szczegółów.

Była mu wdzięczna za to, że zaczął rozmowę na neutralny temat.

Zastanawiała się przez chwilę, czy zrobił to przez grzeczność, czy dla własnej wygody, czy też może z troski o nią. Bez względu na przyczynę Julie była zadowolona z tego, że jej myśli mogą poruszać się na jednym poziomie, podczas gdy nieokiełznane uczucia szaleją na innym. A uczucia te rzeczywiście szalały - była przecież w ramionach Reya, mówił do niej delikatnie, a to wytrącało ją z równowagi.

- Jak twoje ramię? - zapytała i przestraszyła się na myśl, że skojarzenia, które doprowadziły do tego pytania, mogłyby pojawić się także w jego umyśle.

- Boli – odpowiedział - ale nie jest tak zupełnie bezużyteczne. Przycisnął ją do siebie i porwał nagle w wir obrotów, które zjednoczyły ich ciała od piersi do ud i które sprawiły, że zabrakło jej tchu i całe ciało 19nęło do jego ciała. A potem delikatnie odsłmął ją na odległość ramienia, wpatrując się przez niktł wie jasnymi oczami w jej oczy.

Rozumiał ją aż zbyt dobrze i był niebezpieczny właśnie dlatego, że nie bał się dać jej tego do zrozumienia. Gdyby w tej chwili powiedział jej: "Chodź ze mną", poszłaby. Ale on tego nie zrobił. I Julie nie wątpiła, że ma po temu powody. Mogła oczywiście domyślać się jakie, nie miała jednak pewności, czy chce je znać.

Będzie go jej brakowało, będzie brakowało jej tego jasnego uśmiechu w oczach Reya i ciepła jego głosu, którym wypowiadał słowa pełne troski. Będzie jej brakowało jego błyskotliwej inteligencji, która uzupełniała jej intelekt, a także delikatności i tego, że ją rozumiał, nie oczekując wzajemności. Będzie jej brakowało - już jej brakuje - jego dotyku i pomysłowych pieszczot, i siły wewnętrznej, nad którą miał pełną kontrolę. Będzie jej nawet brakowało siły fizycznej i siły woli Reya. Uświadomiwszy sobie ten ostatni fakt, pomyślała, że to dobrze, że wyjeżdża.

Panna młoda rzuciła bukiet, pan młody rzucił podwiązkę, jakaś młoda kobieta schwyciła jedno, młody mężczyzna schwycił drugie, a wszystko to przy akompaniamencie przekomarzania się. Młoda para odjechała przy wtórze życzeń, obsypana siemieniem i potpourri.

Orkiestra schowała instrumenty i wyszła, a goście rozeszli się do samochodów. Bull i Rey opuścili przyjęcie razem, nie mówiąc nikomu, dokąd się udają, chociaż Rey, całując ciotkę w policzek, powiedział jej, żeby na niego nie czekała, tylko szła spać. Bull miał zamieszkać w tym samym motelu w Gonzales, co reszta ekipy firmowej. Przed opuszczeniem towarzystwa powiedział tylko, że spotka się z córką na planie.

Julie została z ciotką Tine i obie zaczęły pomagać w pobieżnym sprzątaniu matce panny młodej i jej przyjaciółkom i krewnym. Sprzątanie dokładne miała zrobić obsługa restauracji. Julie nie miała nic przeciwko temu zajęciu. Było coś uspokajającego, a nawet satysfakcjonującego w tym, że została wraz z innymi do końca wieczoru.

Ciotka Tine uparła się, żeby Julie prowadziła samochód, twierdząc, że sama jest wstawiona, bo wypiła za dużo szampana. Po przyjeździe do domu posiedziały chwilę na galerii, rozmawiając o weselu i o gościach weselnych, a także zastanawiając się, co też Bull i Rey robią gdzieś w środku nocy. Zresztą nie było jeszcze tak późno - minęła dopiero jedenasta.

Mimo to Julie zaczęła ziewać. Od czasu wypadku była zbyt zdenerwowana, znękana problemami, żeby odpocząć. Budziła się często w nocy i nie mogła już zasnąć, leżała patrząc w ciemność i myślała, bez przerwy myślała. Może dzisiejszej nocy będzie inaczej, pomyślała.

Okazało się jednak, że ta noc wcale nie była inna. Julie spała może z godzinę, a potem obudziła się nagle, jak gdyby wytrącona ze snu przez jakiś cichy alarm. Westchnęła i położyła się na brzuchu, podpierając się na łokciach i zatapiając palce we włosy. Sięgnęła po mały podręczny budzik i nacisnęła guzik. Zapaliły się cyfry.

Była pierwsza.

Julie położyła się, obejmując ramionami poduszkę i zagłębiając w niej twarz. Usiłowała odsunąć od siebie dręczące pytania. Jednak na próżno.

Pytanie, które dręczyło ją najbardziej, dotyczyło tego, czy wypadek z Summer miał coś wspólnego ze śmiercią Paula Lisleta. Wydawało jej się to niemożliwe, a jednak fakt, że przy kręceniu dwóch scen kaskaderskich pojawiły się niebezpieczne problemy, był dziwnym zbiegiem okoliczności. Gdyby Rey nie zauważył pierwszych nieśmiałych ruchów Summer, mieliby dwie śmierci na planie. I tę drugą śmierć, śmierć bezbronного dziecka, które nie powinno się znaleźć nawet w pobliżu łodzi, byłoby bardzo trudno wytłumaczyć. A jeszcze trudniej byłoby żyć ze świadomością, że dziewczynka nie żyje. To właśnie ta myśl budziła Julie co noc i sprawiała, że z przerażenia oblewała się potem. Mogła się okazać winna śmierci Summer. Była od tego o krok.

Zresztą to nie wszystko. Julie zadawała sobie pytanie, czy dziewczynka przypadkiem nie była niedoszłą ofiarą jakiegoś dziwnego spisku skierowanego przeciwko niej, Julie, i jej filmowi. Był przecież ten wąż. Czy miał ją przestraszyć, czy ukąsić? Czy może miał być ostrzeżeniem, znakiem, że ktoś nie chce, by reżyserowała Królestwo bagien i żeby skończyła ten film?

Ale kogo obchodziło, czy ona, Julie, odniesie sukces, czy poniesie porażkę? Kto jej tak nienawidził, kto chciał uniemożliwić ukończenie filmu? Kto był na tyle szalony, żeby zabijać dorosłego człowieka i usiłować zabić dziecko tylko po to, by ona nie zdołała sfilmować jakiejś książki?

A może się myliła? Może cierpiała na paranoję albo była skrajnie egocentryczna i uważała, że wszystko kręci się wokół niej? Wypadki się przecież zdarzają, zwłaszcza przy okazji kręcenia scen z udziałem kaskaderów. Węże żyją na bagnach; nie było więc nic dziwnego w tym, że jeden z nich pojawił się w jej łazience. Kilka węży przecież zabito podczas wprowadzania karawaningów na ich teren i podczas budowania platformy nad rzeką. Rey mówił jej, że wiosną, kiedy woda stała wysoko, miejscowi wychodzili ze strzelbami, żeby zmniejszyć ich populację. O tej porze roku węże wszelkiego rodzaju, zwisające z konarów drzew, tworzące pętle i -węzły, podobne do dekoracyjnych sznurów, nie były w tych stronach niczym dziwnym.

Julie przyszło do głowy, że być może pod wpływem zmartwień, jakich dostarczają jej ludzie związani z tym filmem, zaczyna wszystko widzieć czarno. To, że Allen ją tak potraktował, że chciał, by zrezygnowała z filmu na rzecz Bulla, było przygnębiające. Przygnębiające też było to, że wielu z współpracowników Julie żywiło do niej zadawnioną, czasami trwającą całe lata, urazę. Była przyzwyczajona do tego, że ze współpracownikami łączy ją dobre stosunki, że nie ma napięć i że ufają sobie wzajemnie. Była przyzwyczajona do tego, że najważniejszy jest film, a nie zazdrość i dawne urazy.

Czuła się zmęczona wątpliwościami i zwłoką w zdjęciach.

Chciała kontynuować pracę nad filmem, jednak nie pozwalało jej na to poczucie wewnętrznej niemocy oraz to, że podświadomie obawiała się następnych tragicznych wydarzeń.

Przez pokój przesunęło się żółte światło, jakie rzucają reflektory samochodu. Odwróciło to uwagę Julie od ciężkich myśli. W chwilę później usłyszała pomruk Maserati Reya, zatrzymującego się przed domem, a zaraz potem zanikający warkot wyłączanego silnika.

Następnie przez dłuższy czas nic się nie działo. Julie obróciła się na plecy i podparła na łokciach nasłuchując. Spodziewała się, że usłyszy, jak Rey wchodzi do domu przez frontową galerię. W ciągu ostatnich tygodni nauczyła się odczytywać znaczenie różnych dźwięków rozlegających się w tym domu, a także rozpoznawać, kiedy Rey wraca i kiedy wychodzi. Teraz usłyszała jego kroki, ostrożne i powolne - wchodził po stopniach prowadzących na tylną galerię. Potem rozległ się stłumiony, grzechoczący dźwięk i Julie usłyszała przekleństwo. Uniosła brwi domyślając się, że Rey potknął się o jeden z bujanych foteli.

Rey szedł dalej galerią, zbliżył się do jej drzwi i zatrzymał się przed nimi. Zapadła cisza.

Po chwili kroki trochę się cofnęły. Julie usłyszała cichy, nieco fałszywy śpiew we francuskiej gwarze Cajunów. Słowa nie były wyraźne. Julie pokręciła głową z uśmiechem. Słyszała bowiem z lekka zlewające się sylaby.

Mogła przysiąc, że Rey Tabary jest pijany. Pomyślała, że musi przedstawiać sobą nie lada widok.

Wyszła z łóżka, sięgnęła po cienki jedwabny szlafrok, zawiązała pasek w talii i po omacku szukała kapci. Nie zapaliła światła, tylko po ciemku ruszyła do drzwi. Przekręciła klucz w starym zamku i uchyliła drzwi. Wysunęła głowę i rozejrzała się po galerii. Reya nigdzie nie było. Po chwili usłyszała cichy dźwięk, przypominający wciąganie powietrza, który skierował jej uwagę na barierę po prawej stronie w końcu galerii.

Szedł po niej Rey. Ubrany tylko w spodnie i rozpiętą koszulę z rękawami zawiniętymi do łokci, szedł po barierze jak po linie. Obnażone palce u nóg chwyciły deskę, a ramiona miał rozpostarte dla utrzymania równowagi. Jego ruchy cechował nieświadomy wdzięk, chociaż szedł nieco chwiejnie. Rey dotarł do miejsca między kwadratowymi kolumnami, odwrócił się i ruszył z powrotem.

Nigdzie nie było śladu Bulla. Julie przypuszczała, że Rey zawiózł go do motelu. Stała milcząco, dopóki Rey nie znalazł się prawie naprzeciwko niej, w pobliżu następnej kolumny podpierającej barierę. Wtedy się odezwała:

- Co ty wyrabiasz?

Drgnął, zachwiał się i sięgnął do kolumny. Tuląc ją do piersi, odwrócił się twarzą do Julie.

- Dlaczego mi przeszkodziłaś? - powiedział tonem oskarżycielskim i pełnym żalu.

- Z ciekawości - odrzekła Julie.

Spojrzał na nią z góry. Widział ją w świetle gwiazd i latarni stojącej gdzieś przed domem. Jeżeli słowa, które wypowiedziała, miały dla niego jakieś znaczenie, to nie pokazał tego po sobie. Oczy mu błyszczały, spojrzenie było pełne melancholii i czegoś jeszcze, czegoś, co miało większe znaczenie niż ta melancholia.

Po dłuższej chwili powiedział:

- Nie potrafię pływać na desce surfingowej.
- To ty teraz właśnie pływasz na desce surfingowej? - zapytała Julie, jakby dokonała odkrycia.
- Nie ma oceanu.,- Jego słowa brzmiały uroczyście.
- Masz rację. Gdyby był, to z pewnością umiałbyś pływać na desce surfingowej.

Rey pokręcił głową.

- Nie potrafię też grać.
- Myślę, że się mylisz, ale potraktuję twoje słowa jak ewangelię.
- Potraktuj je tak - odpowiedział.

Julie podeszła bliżej, chcąc zobaczyć jego twarz i zastanawiając się, czy jest tak pijany, na jakiego wygląda.

- Niepotrzebna ci umiejętność grania.
- Ty lubisz aktorów. I takich, którzy pływają na desce.

Julie zamruwała, zdziwiona smutkiem w jego głosie.

- To wada, wiem o tym dobrze - odparła.
- Ach, ci mieszkańcy Los Angeles. Ciemne okulary i opalenizna. Bel Air i Rodeo Drive.
- No tak - zgodziła się, zaintrygowana.
- Producenci. Es-de-te-Ci. .. - Czy ten wtręt w ostatnie słowo był tylko omyłką? Jeżeli tak, to on uznał tę omyłkę za zabawną, gdyż na chwilę na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Janie jestem taki - mówił dalej. - Cała moja wiedza o filmach sprowadza się do umiejętności ich oglądania.

- Nie doceniasz siebie - zaprotestowała Julie.

Popatrzył na nią poważnie, jak gdyby podejrzewał, że Jej odpowiedź odnosi się nie tylko do jego ostatniej uwagi, że znaczy coś więcej. Głosem łagodniejszym niż poprzednio powiedział:

- Nie jestem też Jeanem.
- To prawda.
- A ty nie jesteś jego Dorotheą.

Wymówił to imię z naciskiem, jak gdyby miało jakieś ukryte znaczenie, które ona powinna rozszyfrować. Nie potrafiła jednak tego zrobić, chociaż chciała spróbować.

- Nie?
- Oni potrafią tylko nienawidzić i uważać, że kochają. A małżeństwo to coś więcej.

Ciągle nie wiedziała, o co mu chodzi, chociaż jedno było dla niej oczywiste: pod siłą Reya kryły się całe pokłady wrażliwości na ciosy, pokłady, jakich nigdy w nim nie podejrzewała.

- Nie jestem szczurem - powiedział.
- Jesteś Szczurem Bagiennym - odrzekła tonem łagodnym, jak gdyby badając, o co chodzi.

Pokręcił głową.

- Nie.

- Kim więc jesteś?

- Człowiekiem. Po prostu człowiekiem.

Puścił kolumnę i zeskoczył z bariery, lądując z głuchym stuknięciem na zgiętych nogach. Kucnął, skrzywił się i położył sobie jedną rękę na głowie, a drugą na opatrunku na lewym ramieniu. Potem wyprostował się. Chwiał się przez chwilę, a następnie cofnął się, oparł o barierę i zaczął się wściekać jakby w ataku nieznośnego bólu.

Julie szybko zrobiła krok naprzód, objęła go i podtrzymała.

- Nie powinieneś tyle pić - powiedziała ostro.

Rey schylił głowę i oparł ją na ramieniu Julie; wstrząsnął nim śmiech.

- Jack Daniel's nie daje się mieszać z percodanem.

- To to jest powód?

Julie doznała ogromnej ulgi. Bo fakt, że dużo pije, byłby dla niej zaskoczeniem. No, ale skoro tak. .. Mieszanina whisky i środka przeciwbólowego mogła rzeczywiście być zabójcza.

- Powinieneś mieć więcej rozumu.

- Bull uparł się przy tej whisky.

- A co on ma z tym wspólnego?

Rey zaśmiał się znowu. Jego ciepły oddech owionął jej sutek ukryty pod jedwabiem szlafroka, tak że brodawka napięła się.

- Pytał mnie, jakie mam zamiary. To jego własne słowa.

- Żartujesz chyba - powiedziała Julie ze złością. I zaraz, działając wbrew sobie, zapytała: - A co ty mu powiedziałaś?

- Zapytałem: „O jakie zamiary ci chodzi, o dobre czy złe?”

- Bardzo śmieszne. I to wszystko?

- Powiedziałem mu, że to nie jego sprawa. Jemu się to nie spodobało. Postawił następnego drinka.

- Mam nadzieję, że nie zmieniłeś taktyki.

Podniósł rękę i opuścił je, obejmując ją w pasie i przyciągając do siebie.

- Jakie to przyjemne - powiedział.

Ponieważ nie odpowiedział właściwie na jej pytanie, mogła tylko przypuszczać, że odpowiedź potwierdziłaby jej przypuszczenie. A co do chwili obecnej, to mogła równie dobrze wykorzystać ją dla własnej przyjemności.

- Tylko przyjemne?

- Cudowne.

- Miło mi, że ci to sprawia przyjemność - powiedziała rozbawiona i równocześnie wyprowadzona z równowagi. - Czy tylko dlatego mój ojciec wlewał w ciebie alkohol?

- Tylko dwa drinki. Przysięgam. Wypiłem tylko dwa.

- To się chwali.

Jego ciałem wstrząsnął śmiech. - Bull był zdziwiony.

- Wyobrażam sobie. - Julie przypomniała sobie, że Bull znany jest z tego, że potrafi zwykle upić większość współbiesiadników.

- Powiedziałem mu. Miłością.

Skłoniła głowę, usiłując dostrzec jego twarz.

- Powiedziałeś mu co?

- Miłością. I zrozumieniem. Tak można cię zdobyć.

- On cię pytał, jak mnie można zdobyć? A dlaczego myślał, że ty to wiesz?

- Nie wiem.

Czy to było kłamstwo, czy też jego zdolność rozumienia jej była tak instynktowna, że sam nie zdawał sobie sprawy, jak głęboko sięga?

- Więc myślisz, że przez zrozumienie można dotrzeć do mojego serca?

- To jest sposób dla Bulla. Nie dla mnie.

- A twój sposób jest jaki?

- Żaden - powiedział z westchnieniem.

Żaden. Czy miał na myśli to, że nie ma żadnego na nią sposobu, czy to, że nie ma zamiaru zastosować żadnego ze znanych sobie sposobów?

- Nie jestem Jean-Pierre'em - powiedział, gdy nie doczekał się odpowiedzi.

- Wiem o tym - odrzekła Julie schrypniętym głosem.

- No to w porządku.

Nie mogli zostać tam, gdzie stali. Noc zrobiła się chłodna, z północy wiał zimny wiatr. Julie zmarzły stopy. Pomyślała, że powinna zaprowadzić Reya do jego pokoju. W tym celu trzeba było jednak przeprowadzić go przez cały dom, nie budząc ciotki Tine. To zadanie wydawało się niemożliwe do wykonania. Julie zaprowadziła go więc do swojego pokoju i skierowała do łóżka. Upewniwszy się, że uderzy o materac zdrowym ramieniem, posadziła go, a potem pchnęła na pościel. Wyciągnęła pled i prześcieradło spod Reya i go przykryła, później zaś podeszła do drzwi i zamknęła je na klucz. Stała przy nich przez chwilę, zastanawiając się, czy kieruje nią humanitaryzm, czy po prostu głupota. Nie miało to właściwie znaczenia. Robiła bowiem to, co chciała. Zsunęła z siebie szlafrok, rzuciła go w nogi łóżka i wsunęła się pod przykrycie obok Reya.

- Masz zimne nogi - powiedział, kiedy otarła się stopą o jego kostkę.

Przysunęła się bliżej i przycisnęła stopy do jego nóg mówiąc:

- Zaslugujesz na to.

Odwrócił się i położył rękę na jej nagiej talii, rozpościerając palce w zachłannej pieszczocie i przyciągając Julie do siebie.

- Wiem - powiedział.

Dlaczego telefony hotelowe zawsze dzwonią tak głośno jak dzwon na pożar? Julie przestraszył ostry dźwięk, w momencie gdy zakładała kolczyk. Upuściła małą grudkę składającą się z kilku szafirów i aż krzyknęła ze złości. Pomyślała, że może warto byłoby zlekceważyć ten alarm. Zresztą nie miała pojęcia, kto mógłby do niej dzwonić. O ile jej było wiadomo, jedyną osobą, która wiedziała, gdzie się zatrzymała w Los Angeles, była jej sekretarka, gdyż to ona właśnie załatwiała rezerwację. Jeżeli to właśnie ona dzwoniła, żeby przekazać wiadomość o jakimś kolejnym nieszczęściu na planie, to Julie nie miała ochoty jej słuchać.

Jednak dzwonek był nieznośnie natarczywy. Julie podniosła słuchawkę i odezwała się tonem niezbyt serdecznym.

- Panna Bullard? - zapytał głos w telefonie. - Mówi pani kierowca. Pani limuzyna czeka na panią.
- Ale ja nie zamawiałam limuzyny - zaprotestowała Julie.
- Ktoś ją dla pani zamówił. Będzie czekała przed hotelem. Najprawdopodobniej ktoś z komitetu festiwalowego zamówił samochód. Miły gest...
- Zaraz schodzę - powiedziała do słuchawki.

Znalazła kolczyk i zaczepiła go w uchu. Sprawdziła, czy w wieczorowej torebce ma klucz, szminkę, trochę gotówki i - na wszelki wypadek - kartę kredytową, a potem po raz ostatni przejrzała się w dużym lustrze wiszącym na drzwiach schowka na ubrania. Włosy miała gładko zaczesane i zaplecione w klasyczny francuski warkocz. Wieczorowa suknia z jedwabiu mieniącego się odcieniami przechodzącymi od złota do kobaltowego błękitu miała wycięcie w karo i szerokie rękawy. Było w niej coś mrocznie średniowiecznego, co odpowiadało nastrojowi właścicielki. Spod gładkiego rąbka szerokiej spódnicy nie wystawała halka. Julie oceniła, że wygląda znośnie.

Kiedy przeszła przez hall hotelowy, odźwierny otworzył przed nią drzwi z brązu. Julie przeszła pod baldachimem wiszącym nad chodnikiem, który prowadził do hotelu, i podeszła do miejsca, gdzie czekała limuzyna. Szofer w czarnym uniformie stał w pogotowiu przy tylnych drzwiczkach. Kiedy Julie się zbliżyła, ruszył naprzód, dotykając wąskiego daszka czapki.

- Panna Bullard? Dobry wieczór. - Otworzył przed nią drzwi.
- Proszę bardzo.

Schyliła głowę, żeby wejść do środka, i zobaczyła, że limuzyna nie jest pusta. Z tyłu siedział Rey, zaskakująco przystojny w swoim wieczorowym ubraniu.

- Witam cię, Julie - powiedział.

Ujęła odruchowo rękę, którą jej podał. Pozwoliła się wciągnąć do środka i posadzić. Zanim zdążyła pozbierać myśli na tyle, żeby coś powiedzieć, kierowca zamknął drzwi i zajął swoje miejsce.

- Nie musiałeś tego robić - odezwała się Julie. W oczach Reya pojawił się wyraz rozbawienia.
- Wiem, ale przetransportowanie tu Maserati tylko na jeden wieczór byłoby zbyt ostentacyjną manifestacją bogactwa. A poza tym chciałem móc z tobą porozmawiać, nie prowadząc samochodu i nie uważając na ruch.

- Wiesz, co miałam na myśli.
- Tak. Ale widzisz, nie mogłem znieść napięcia.
- Napięcia? - spytała ostrożnie.
- No, nie mogłem się doczekać, kiedy się dowiem, co się działo, zanim zasnąłem w twoim łóżku.
- Nic specjalnego - odpowiedziała krótko.

Rey przyjrzał się badawczo twarzy Julie oświetlonej przesuwającymi się światłami reflektorów samochodowych i ulicznych latarni.

- Mam wrażenie, że powiedziałem mnóstwo głupstw.
- Wtedy nie wyglądało na to, że uważasz to, co mówisz, za głupstwa.

Rey westchnął głęboko; spuścił głowę.

- No tak, byłem tego pewny. Powtórz mi to najgorsze.
- Stwierdziłeś, że mam zimne stopy.
- Czy było to przed czy po tym, jak chciałem wzlecieć w powietrze, startując z barierki?

Julie zauważyła ze zdziwieniem, że jest zakłopotany i pełen skruchy i że równocześnie potrafi z tego żartować.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytała. - Nic złego się nie stało.
- Więc dlaczego wyjechałaś bez pożegnania?
- Spałeś tak głęboko, że żal mi cię było budzić. A poza tym musiałam zdążyć na samolot.
- Zapomniałaś o tym wspomnieć. A ja bym się o tym nie dowiedział, gdyby Bull nie zdołał wycisnąć tego z twojej sekretarki i przekazać dalej.

Julie przechyliła głowę na bok.

- Nie wiedziałam, że cię to interesuje.
- To jest dla ciebie ważne, prawda?

Być może było to dla niej ważne. A być może nie. W każdym razie Julie była wzruszona, tak bardzo wzruszona zainteresowaniem Reya, że aż ją to przerażało.

On był zbyt przystojny, zbyt bogaty, zbyt silny, zbyt inteligentny, zbyt wrażliwy; zbyt uprzejmy - było w nim zbyt wiele wszystkiego. Przy takiej dawce doskonałości musiały istnieć również potężne wady. Od zeszłej nocy Julie miała dość czasu, żeby się nad tym zastanowić, tyle czasu, ile trwa lot nad kontynentem.

Nigdy jej nie mówił, w jaki sposób rozstał się z DEA, nigdy też nie wyjaśnił, co człowiek taki jak on robił w agencji antynarkotykowej. Powiedział, że jego żona zmarła, ale nikt inny o tym nie wspomniał, nikt nie poinformował Julie, jak to się stało, chociaż ciotka Tine napomknęła ze dwa razy o tym małżeństwie. Julie słyszała plotki o romansie z Donna, który miał miejsce może w nie tak dalekiej przeszłości. No i jeszcze to jego uganianie się po Blind River w nocy, wtedy kiedy w górze pojawił się hydroplan. I buszowanie w jej papierach, wtedy w biurze.

Mało tego, Rey był wcieleniem doskonałości w oczach wszystkich. Summer uwielbiała go. Donna na nim polegała. Ofelia uważała, że jest wspaniały. Stan podziwiał go. Nawet Buli go lubił. Wszyscy, z wyjątkiem może Vance'a i Allena, uważali, że jest cudowny. Zadał sobie wiele trudu, żeby wyrobić sobie taką opinię.

Ale dlaczego?

O co mu chodzi? Coś w tym musi być.

Podejrzliwość. Cynizm. Nie trudno o to, kiedy się jest w Los Angeles. W tym mieście te zjawiska są częścią krajobrazu, są tak wszędobylskie jak palmy i smog. Są rodzajem obrony, czymś bardzo praktycznym. Julie bała się Reya Tabary'ego. Zniszczył jej system obronny, mógł doprowadzić do tego, że zagubi się w jego świecie, w jego życiu, w jego otumaniających zalotach. Nie chciała tego. Pragnęła, żeby jej życie pozostało takie, jakie było, żeby był w nim podział na sprawy zawodowe i artystyczne. To prawda, że jej życie z Allenem było czasami trochę letnie, ale takiego dokonała wyboru. Prawdą było również to, że jej życie zawodowe nie zawsze dawało jej pełną satysfakcję, ale co na świecie jest doskonałe?

- Czy wolałabyś pojechać tam sama? - zapytał Rey spokojnie.

- Powiedz tylko słowo, a wysiądę natychmiast z samochodu.

No tak, był zbyt wrażliwy.

- Nie bądź śmieszny - powiedziała z subtelnym uśmiechem.-Cudownie będzie mieć towarzystwo. Gdyby przyszło mi to do głowy wcześniej, zamówiłabym sobie kogoś do towarzystwa.

- Cóż, smoking i ja dobrze prezentujemy się w samochodzie - zauważył ironicznie.

Próbowała go zlekceważyć i nawet jej się to udało, ale nie czuła satysfakcji, była tylko zmieszana.

- Przepraszam - powiedziała, odwracając głowę i patrząc przez okno na nie kończący się rząd starych moteli, sklepów z alkoholem i pralni samoobsługowych. - Nie rozumiem, dlaczego zadałeś sobie tyle trudu, żeby tu przyjechać. Dlatego nie wiem, co ci powiedzieć.

- Nie musisz mi nic mówić - odpowiedział tonem człowieka zmęczonego. - Odpręż się po prostu i baw się dobrze.

Festiwal Filmów Kobięcych nie był może taką okazją jak wręczenie nagród Stowarzyszenia Reżyserów, była to jednak gala. Impreza ta odbywała się co roku od sześciu czy siedmiu lat i miała na celu uhonorowanie osiągnięć kobiet-twórczyń filmów z całego świata, nawet z takich krajów, jak Czechosłowacja, ZSRR czy Maroko. Kobiety przenikały do wyższych warstw tej zdominowanej przez mężczyzn profesji raczej powoli, mimo że liczba kobietproducentek, scenarzystek i kierowników studia, podobnie jak kobiet-reżyserów, wzrastała. A ponieważ nie spieszo się, by docenić ich osiągnięcia, skrzyknęły się, żeby to nadrobić.

Impreza udała się. Były światła i kamery, mowy i brawa. Film Julie Niebezpieczne czasy został przyjęty entuzjastycznie. Kiedy znalazła się na estradzie, żeby odebrać nagrodę za reżyserię. Julie prawie nie wiedziała, co mówi, miała tylko cudowne uczucie, że doceniono jej pracę. O wiele bardziej niż nagrodę ceniła sobie to uczucie, które podnosiło jej wiarę w siebie i we własne metody pracy. Bardzo tego potrzebowała, zwłaszcza teraz.

Opuszczając estradę w światłach jupiterów i z kryształową nagrodą w rękach, skierowała się tam, gdzie stał Rey bijąc brawo wraz ze wszystkimi. Poczula ogromną dumę i równocześnie wdzięczność, że tu jest, że przeżywa z nią uczucie triumfu. Dołożył przecież wszelkich starań, żeby ją wesprzeć, a ona była tak zajęta doszukiwaniem się niskich pobudek, że nawet mu nie podziękowała.

Z błyszczącymi oczami, z uroczym uśmiechem, czując, jak zalewa ją fala ciepła, podeszła do Reya i zarzuciła mu ramiona na szyję. Głosem schrypniętym z radości powiedziała:

- Miło mi, że tu jesteś, naprawdę.
- Mnie też jest miło - odparł, uśmiechając się i serdecznie biorąc ją w ramiona.

Kiedy wszystko się skończyło - gdy zrobiono ostatnie zdjęcie, nagrano ostatni komentarz dla telewizji i padł ostatni komplement - poszli do czekającej na nich limuzyny. Julie z ulgą zapadła się w jej miękkie siedzenie i za ciemnym szkłem okien samochodu poczuła, że znów jest osobą anonimową. Gdy limuzyna ruszyła, włączając się w strumień innych samochodów, Julie z przyjemnością pomyślała, że ma ten wieczór - wraz z jego stresem - za 'sobą. Napięcie ostatnich kilku godzin tętniło w niej z bolesną intensywnością. Była szczęśliwa, a równocześnie zbyt zmęczona, żeby czuć się dobrze.

- Dokąd chcesz jechać? - zapytał Rey. - Jesteś głodna? Czy jest restauracja, do której chciałabyś pójść?

Julie zagłębiła się w siedzenie.

- Naprawdę nie wiem. Trochę jestem głodna, ale nie bardzo chce mi się iść do Bistra, do Mortona, do La Scali czy do innego, lokalu, w którym ... spotyka się elita. Rey z uśmiechem zauważył krótki cytat ze starego nowoorleańskiego motywu jazzowego, który stał się sławny dzięki wielkiemu Satchmo Armstrongowi.

- Co? - zapytał. - Nie chcesz kalifornijskiej nouvelle cuisine przy stole z telefonem?

- Ja nie jestem taka - powiedziała, odwracając się twarzą do Reya.

- Myślałem, że w tym mieście człowiek musi pokazywać się we właściwych miejscach, żeby wyglądać na człowieka sukcesu, i że musi na takiego człowieka wyglądać, jeżeli chce osiągnąć prawdziwy sukces.

- Niektórzy to robią, ale ja jestem w lepszej sytuacji, bo jestem córką mojego ojca. Nie muszę tego robić, ponieważ on to robił. - Dokąd zatem jedziemy?

- W miejsce kameralne, z ogniem na kominku, dzięki któremu nie będzie nam dokuczało wilgotne oceaniczne powietrze i gdzie będzie doskonałe jedzenie. Co o tym myślisz?

- Brzmi nieźle, chyba że ...

- Chyba że co?

- Nic, nic. O czym myślałaś?

- O Bel Air. O kolacji w moim pokoju.

Kiedy w odpowiedzi rzucił jej poważne spojrzenie, którego znaczenia nie mogła odgadnąć, spytała:

- No to co robimy?

- A nie pojedziemy do Gravesenda? Albo do Bulla?

- A jak myślisz, po co bym wynajmowała apartament? Przecież po to, żeby pozwolić sobie na odrobinę

luksusu.

- Tylko po to?

- No i dlatego, że nie chciało mi się zmagać z ruchem. A to by mnie czekało, gdybym musiała dojechać z domu Allena w San Marino. A gdybym się zatrzymała u ojca, musiałabym jechać autostradą nad morzem, co w nocy niekoniecznie jest bezpieczne.

Julie udało się zapanować nad ostrą nutą w głosie. Miała nadzieję, że Rey jej nie usłyszy, chociaż powinna była wiedzieć, że się łudzi.

- Chcesz więc się znaleźć na neutralnym gruncie? Dlaczego?- zapytał.

- Dlatego, że nie żywię dla żadnego z nich zbyt serdecznych uczuć. Czy to chciałeś wiedzieć?

- Tak.

Spojrzała mu w oczy i serce zaczęło jej mocno bić. Dobry Boże, jak on to robi? W jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, nie mówiąc o tym, że nie pojawił się na niej uśmiech, a jej nagle zabrakło tchu. Popelniłaby jednak poważny błąd, gdyby pozwoliła mu to zauważyć.

Starając się mówić spokojnie, poinformowała go:

- Mam w hotelu apartament, bardzo przytulny, a to dzięki temu, że posługuję się nazwiskiem mojego ojca. Jeżeli chcesz, możesz dostąpić zaszczytu zajmowania się ogniem na moim kominku, a ja w tym czasie zamówię kolację.

- Jestem więc zaproszony? - zapytał ironicznie.

Cały wysiłek, jaki włożyła w to, żeby postępować taktownie, poszedł na marne i Julie sama nie wiedziała, czy ma być tym ubawiona czy zirytowana.

- Jesteś zaproszony, chociaż dziwię się, że tak długo czekałeś z tym pytaniem.

- Robię co mogę, żeby nie stosować ... jak ty to określiłaś podczas wycieczki do Nassau?.. kowbojskiej taktyki.

Jej wargi drgnęły.

- Tak, rzeczywiście. Dlatego zadzwoniłeś i spytałeś mnie, czy chcę jechać limuzyną!

- Zapomniałem tego zrobić. Ale teraz już koniec, żadnych gier i niespodzianek.

Julie wydawało się, że Rey jest tego wieczoru w dziwnym nastroju. Był jakiś daleki, przygnębiony - poza rzadkimi chwilami ożywienia - prawie ponury. Możliwe, że była to jedynie reakcja na jej niepokój, na brak zachęty z jej strony.

- To był miły gest i doceniam go - powiedziała - nawet jeżeli nie okazałam ci wdzięczności.

- Niektóre niespodzianki są więc do zaakceptowania?

- Niektóre tak, choć jest ich niewiele - odrzekła poważnie.

- Zapamiętam to sobie.

Wkrótce potem samochód skręcił w ulicę prowadzącą do hotelu. Przejechali obok stawu, w którym łabędzie - białe plamy wśród ciemności - spały z głowami schowanymi pod skrzydła. Bel Air zamajaczył przed

nimi. Był to konglomerat wież i skrzydeł. Rey odesłał limuzynę i szofera. Julie otworzyła drzwi i weszła pierwsza.

Apartament był rozległy i luksusowy, utrzymany w odcieniach zieleni z akcentami różu i jasnego drewna. Pewne pomieszczenie stylów nadawało mu swobodną atmosferę. Telewizor wbudowany w szafkę, sosnowa komoda przy łóżku, stoły z mosiądzu i szkła. Lampy na nóżkach w kształcie kolumn z podstawami z ciężkiego różowego marmuru utrzymane były w stylu włoskim. Nowoczesną i wygodną sofę i krzesła obito włoskim materiałem harmonizującym z puszystą narzutą na łóżko i tkaniną pokrywającą poduszki. W jednej ze ścian znajdował się kominek z prawdziwego kamienia. Balkon, na który wychodziło się z części jadalnej, wyposażony był w meble z kutego żelaza pokrytego niebieskozieloną patyną. W dużych kamiennych donicach rosło różowe geranium i bluszcz.

Julie postawiła kryształową nagrodę na stoliku do kawy znajdującym się przed sofą. Odsunęła przy tym malowaną porcelanową popielniczkę i chińską wazę z półkolistą pokrywą. Poczęstowała Reya drinkiem i wręczyła mu menu, a sama poszła się przebrać. Kiedy wróciła, Rey stał przed kominkiem, na którym jasne płomienie ogarniały grube polana. Był bez marynarki. W jednej ręce trzymał butelkę Heinekena, a w drugiej jej nagrodę.

- Musisz być bardzo dobra w tym, co robisz - powiedział. Julie podeszła do barku i nalała sobie kieliszek wina.

- Sądysz tak z powodu nagrody?

- Z powodu nagrody i dlatego, że ludzie tak, a nie inaczej mówią o twoim filmie.

- Nie wiem, czy jestem dobra - stwierdziła. - Nie zastanawiam się nad tym zbyt często, chociaż .oczywiście miałam dobrego nauczyciela.

Rey podniósł głowę. Jego wzrok zatrzymał się na chwilę z uznaniem na jedwabnym turkusowym spodniem, do którego Julie włożyła włoskie skórzane sandały w tym samym odcieniu.

- Nie wiesz?

- Nie sądzę, żeby ktokolwiek, kto zajmuje się sztuką, wiedział, czy to, co robi, jest dobre. To może być satysfakcjonujące albo nie, i to chyba wszystko.

- Krytycy nie mogą wam tego powiedzieć? A to, że rzecz się sprzedaje, nie świadczy o tym?

- Krytycy to tylko ludzie. Oni patrzą z jednego określonego punktu widzenia, który jest ich własnym spojrzeniem. Byle co sprzedaje się bardzo dobrze, chociaż trwa to krótko. Prawdziwy wyrok wydaje czas. A kto może pozwolić sobie na czekanie na wyrok czasu?

- Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, co się dzieje w świecie filmu. Dopiero w ciągu ostatnich tygodni...

Postawił nagrodę na szklanym stoliku do kawy, gdzie kryształ zlewał się ze szklanym blatem.

- Film to zawód. Sposób zarabiania na życie - powiedziała Julie bez uśmiechu.

- Czy zastanawiałaś się kiedyś, co byś robiła, gdybyś nie mogła kręcić filmów?

Patrzyła na kieliszek z winem, zastanawiając się nad pytaniem Reya.

- Może zostałam scenarzystką, chociaż jest to chyba jedno z najbardziej stresujących zajęć. Bo człowiek musi przeżywać frustrację, kiedy wizja reżysera czy aktora odbiega od jego własnej. Scenarzysta musi mieć bardzo słabe ego.

- Albo musi bardziej kochać pieniądze niż własne pomysły.

- Nie mam pojęcia. Kto wie, może scenarzyści bardzo lubią patrzeć, jak obrazy, które wymyślili, nabierają własnego życia.

Przerwała i wskazując menu leżące na stoliku przed sofą spytała:

- Zdecydowałeś już, co chcesz?

Spojrzał na nią, a w jednym kącie jego ust igrał nikły uśmiešek.

- Już dawno.

Patrzyła mu w oczy przez dłuższą chwilę. Jej spojrzenie przykuła szczerłość i jakaś drażniąca obietnica w jego wzroku. Patrzyła tak, dopóki nie poczuła, że zalewa ją fala gorąca i że dłużej nie może tego znieść. Chwyliła menu kurczowo, ale to nic nie pomogło - widać było, że palce jej drżą.

Zamówili łososia w sosie czosnkowo-śmietanowym z dodatkiem estragonu, a na deser tort malinowy z kremem z białej czekolady. Na ich prośbę potrawy wraz z kalifornijskim winem podano przy kominku.

Godzina była późna, ogień trząskał spokojnie i emanował łagodnym ciepłem, na srebrach i kryształach tańczyły odbicia jego płomieni. Wszystko to, wraz z przenikającymi się nawzajem zapachami dymu, wina i doskonałych potraw, tworzyło atmosferę takiej ściszonej harmonii, że Julie poczuła, jak nagromadzone w niej napięcie ustępuje. Mówili mało, zresztą słowa wydawały się niepotrzebne. Kiedy skończyli danie główne, Julie postawiła talerzyki z deserem na stoliku, apotem wystawiła wózek z naczyniami i sztuczkami na korytarz. Tymczasem Rey zajął się w kuchni przygotowaniem kawy. Posługiwał się przy tym wysokim niemieckim dzbankiem. Kiedy kawa była gotowa, przynieśli filiżanki przed kominek, a Julie zrzuciła ze stóp sandały i zwinęła się w fotelu. Rey usiadł na dywanie, oparł się zdrowym ramieniem o jedno z krzeseł i wyciągnął swoje długie nogi w stronę kominka. Julie wzięła talerzyk z deserem ze stolika i podała mu, a potem zajęła się swoim.

W końcu ostatnie okruchy tortu były zjedzone, a kawa wypita do dna. Ogień przygasł, pozostawiając tylko czerwony żar. Julie, najedzona i beztroska, odstawiła talerzyk i filiżankę. Usadowiwszy się wygodniej w fotelu, oparła głowę na łokciu.

- Nie jesteś dzisiaj rozmowny - zauważyła, przyglądając się Reyowi, który nie odrywał wzroku od ognia. - Dokuczają ci ramię?

Przez moment Rey wydawał się zdezorientowany, jak gdyby myśli, w których był pogrążony, dotyczyły czegoś zupełnie innego i jak gdyby trudno mu było zrozumieć, o co Julie go pyta. Pokręcił głową.

- Nie, ramię jest w porządku.

- Jest więc jakaś inna przyczyna?

Jego twarz powoli rozjaśniła się. Uśmiechnął się.

- Nic ważnego.

Julie nie była pewna, czy to prawda. Nagle poczuła chęć porozmawiania z nim o tym, co działo się na planie. Chciała się dowiedzieć, co on myśli o tych wszystkich rzeczach, które ją niepokoją. Ale było to niemożliwe, gdyż myśli, które ją nękały, zbyt ściśle dotyczyły również jego.

- Właściwie - powiedział, uśmiechając się trochę ironicznie to nie zupełnie prawda. Staralem się przypomnieć sobie swoje dobre intencje ... Co cię tak śmieszy?

- Nic - odpowiedziała, machając lekceważąco dłonią; uśmiechnęła się tak, jakby sobie coś przypomiała.

- Próbowałem też - mówił dalej, mrużąc oczy - nie wiązać zbyt wiele nadziei z twoim zaproszeniem i powstrzymać się od doszukiwania się ukrytego znaczenia w twoich słowach, na przykład w propozycji, żebym zajmował się ogniem na twoim kominku.

Julie zamrugała, a potem wyprostowała się w fotelu i spuściła nogi na podłogę. Pomyślała, że powinno ją to chyba zirytować. Jednak czuła się raczej zaintrygowana.

- Co za skojarzenia! - rzuciła z udawanym oburzeniem.

- Jest to bezładna mowa zdesperowanego. Mam też problemy z tym czymś z jedwabiu, co masz na sobie. Z tego miejsca wygląda to jak czysta prowokacja, ale mogę się mylić.

- Myślę, że się mylisz.

- Myślisz? Ale nie wiesz tego? - W jego głosie zabrzmiała nuta rozpacz.

- Dlaczego miałabym mieć większą pewność niż ty?

- Dlatego, że to jest twój pokój i twoje piękne ciało - powiedział, patrząc jej w oczy spojrzeniem tak zniewalającym, że nie mogła odwrócić wzroku. - I dlatego, że masz prawo powiedzieć mi, żebym, sobie poszedł albo żebym został.

Dźwięk głosu Reya, jego wielkoduszność, emanująca z niego siła, którą z trudem trzymał w ryzach - wszystko to było bardziej prowokacyjne niż cokolwiek, co mogłaby ona, Julie, zrobić czy powiedzieć. Pożądanie, od kilku godzin czające się w zakamarkach jej świadomości, zalało ją ciepłą falą, mieszając się z winem krążącym w jej żyłach i z poczuciem odosobnienia o tej późnej porze nocy. Miała już pewność. Możliwa była tylko jedna odpowiedź:

- Zostań - powiedziała łagodnie.

Jego twarz zmieniła się. Natychmiast się podniósł, zbliżył się do Julie i przyklęknął.

- Nie miałem zamiaru wymuszać twojej decyzji - powiedział spokojnie.

- A co miałeś zamiar zrobić? - zapytała, kładąc palce na jego silnej opalanej dłoni leżącej na poręczy fotela.

- Zaczekać ... tym razem zaczekać i przekonać się, czego pragniesz, co chcesz robić.

- Teraz już wiesz.

Popatrzyła na swoje szczupłe palce spoczywające na dłoni Reya.

- Wiem?

Uniosła rozpromienione oczy.

- Myślisz, że nie mogłabym powiedzieć "nie"?

- Mogłaś uznać, że "nie" byłoby niesprawiedliwe.

- Dlatego, że cię zwabiłam? Czy też w świetle poprzednich wydarzeń? O nie, nie jestem aż tak szlachetna.

- A więc ...

- A więc ty też nie musisz być taki szlachetny - powiedziała uśmiechając się, po czym schyliła się i przycisnęła usta do jego warg.

On jednak upierał się przy tym, żeby wyrażała zgodę na wszystko; potraktował to jak erotyczną pokutę nakładaną na nią z wielką przebiegłością i nieskończoną inwencją. Musiała dokładnie określać, na co chce pozwolić, od odpięcia najdrobniejszego suwaka i haftki aż po najdelikatniejsze pieszczoty warg muskających jej skórę. Kontynuował to bez litości, ignorując protesty, aż do chwili gdy Julie, przewidując jego ruchy i pieszczoty, zaczęła szeptem wyrażać nie tylko zgodę, lecz żądanie.

Wtedy, wstrząsany tłumionym śmiechem, pociągnął ją na podłogę i toczyli się razem po dywanie w zamierającym świetle gasnących płomieni.

Własny puls dźwięczał Julie w uszach lekkim jak puch ostrzeżeniem, podczas gdy krew rozgrzewała żyły i niosąc pragnienie, skupiała się w dolnej części ciała. Mięśnie klatki piersiowej Reya, dotykającej jej napiętych sutek, budziły ogromne podniecenie. Jego uda, twarde i szorstkie, z lekko wijącymi się włoskami, w zetknięciu z gładkością jej ud podniecały ją do granic wytrzymałości. Julie dotykała jędrnego ciała Reya, rozkoszując się każdą chwilą.

To, co się między nimi działo, było fizycznym zauroczeniem, zagłębianiem się w siebie bez tchu i bez poczucia winy. Było to cudowne odkrywanie zagłębień i wypukłości, odkrywanie wyżyn oddania i krańców wytrzymałości. A później, gdy już dotarli do granic, które trzeba było przekroczyć, on uniósł się nad nią i za □ pytał:

- Czy już mogę?

- Tak - odpowiedziała, chwytając gwałtownie powietrze, i zamykając oczy poszybowała z nim w nieświadomość.

A potem, po walce i po rozkoszy, gdy ogień obok nich zamarł i przemienił się w popiół, szepnęła jeszcze raz.

- Tak.

Obudziła się naga pod dobrze otulającym ją przykryciem, w ogromnym łóżu. Oszklone drzwi prowadzące na balkon były szeroko otwarte. Do środka wpadało powietrze pachnące drzewami pieprzowymi i świeżo skoszoną trawą. Lekka zasłona poruszała się, tworząc jasnorożową falę. Rey stał w drzwiach. Jego wspaniała sylwetka - z wypukłymi, jakby wyrzeźbionymi mięśniami rysowała się na tle szaroniebieskiego porannego nieba. Na biodrach miał ręcznik, który trzepotał powoli na wietrze. Opatrunek na zranionym ramieniu był mniejszy niż poprzednio.

Patrzyła na niego, chłonąc ten widok z radością. Mimo że stał spokojnie, wydawał się zdecydowany, czujny, robił wrażenie człowieka mającego się na baczności. Julie zauważyła to już wcześniej. Dziwiło ją to,

gdyż był jednocześnie jednym z najbardziej swobodnie zachowujących się ludzi, jakich w życiu spotkała.

Uśmiechnęła się przypominając sobie, z jaką gorliwością oddawał się rozkoszom chwili. Równocześnie dręczyły ją pytania. Dlaczego był tu z nią teraz? Po co? Co chciał osiągnąć? Jaka była ewentualna korzyść, której się spodziewał? Bo coś takiego musiało być. Zawsze coś takiego jest.

Postanowiła pomyśleć o tym później. Za wcześnie było na podejrzenia lub cynizm.

- Co się stało? - spytała sennym głosem. - Dlaczego wstałeś? Odwrócił głowę i uśmiechnął się.

- Patrzyłem na deszcz.

- Deszcz? W Kalifornii?

Usiadła na łóżku. Prześcieradło i narzuta zsunęły się, obnażając Julie do pasa.

- Tak, pada. A nad oceanem jest mgła. Gęsta mgła. Nie jest to dobra pogoda na lot.

- O! To szkoda - powiedziała, wczuwając się w jego nastrój i odgadując jego zamiar.

- Prawda? - zgodził się.

Zdejmując z siebie ręcznik, podszedł zdecydowanym krokiem do łóżka.

- Może jutro - mruknęła, kiedy wśliznął się pod prześcieradło i ją objął. Jego umyte pod prysznicem włosy były wilgotne, a skóra pachniała rześkim powietrzem, mydłem i męską świeżością. Julie zadrżała lekko, czując dotyk chłodnych palców; czekała, co nastąpi.

- Może - powiedział łagodnie.

Julie i Rey wrócili do Luizjany późnym popołudniem następnego dnia. Zachodzące słońce zsuwało się w stronę horyzontu. Było ogromną czerwoną kulą ognia pozostawiającą na niebie pomarańczowe, różowe i złote smugi. Na tle nieba rysowały się czarne sylwetki drzew. Julie, która przez ostatnie minuty podróży obserwowała zmieniające się kolory, poczuła żal - straciła ten zachód. Stanowiłby znakomite tło dla końcowych napisów.

Skręcili na parking. Wokół panował spokój, ale Julie nie spodziewała się nic innego. Wiedziała, że nic się nie będzie działo, chciała jednak zatrzymać się tu w drodze do domu ciotki Tine. Musiała się upewnić, że podczas jej nieobecności nic się nie stało.

Karawaningi, biura w przyczepach, autobusy-stołówki w pobliżu klubu jachtowego - wszystko to stało puste. Pewnie są w motelu albo w Nowym Orleanie - korzystają z krótkiego urlopu spowodowanego jej nieobecnością i oczekują na wezwanie do pracy. Wartownik, zastępca miejscowego szeryfa, dorabiający sobie do pensji, zsalutował, kiedy Julie wysiadła z dżipa Reya, który czekał na nich na lotnisku. Julie poczekała, aż Rey się do niej przyłączy, a potem podeszła do wartownika.

- Co się dzieje? - zawołała.

- Wszystko jak zwykle - powiedział wartownik. Poprawił broń u pasa, wyszedł z małej metalowej budki i ruszył w ich stronę. - Wszyscy są na rzece, patrzą, jak pracuje wielki Bull Bullard.

Julie zrobiło się zimno. Mimo to starała się mówić spokojnie i uśmiechać się.

- Bull? A co on znowu wymyślił?
- Wziął ekipę i filmuje zachód słońca, o ile wiem.
- Tak? No to chyba powinnam to zobaczyć.
- Julie ... - powiedział Rey.

Odwróciła się do niego gwałtownie.

- Zawieszysz mnie? Musi tu być jakaś łódź.
- Nie uważasz, że powinnaś poczekać? Oni na pewno niedługo wrócą.

Julie zrozumiała, co Rey ma na myśli. Niebo ze smugami światła wkrótce ściemnieje. To, czy ona tam się zjawi czy nie, nie ma znaczenia.

- Nie - odparła. - Nie sądzę. Jeżeli nie chcesz ze mną jechać ...
- Zawiozę cię - odpowiedział ponuro.

Ślizgacz Reya był w pobliżu, zacumowany w doku. Był tu od czasu, gdy ostatnio kręcili. Kilka minut później pędzili w dół rzeki. Wiatr wiał im w twarz, a we włosach mieli kropelki wody.

Nie musieli płynąć daleko. Bull kręcił w najbliższym otwartym kanale, w miejscu, gdzie dało się umieścić kamery tak, żeby mogły uchwycić nie tylko zachód słońca i linie drzew, ale także wolno płynącą wśród gęstniejącego mroku drewnianą pirogę ze starym Josephem, stojącym na rufie i odpychającym się drągiem od dna.

Julie z bólem i niedowierzaniem przypatrywała się temu, co się dzieje. Patrzyła na starannie ustawione kamery, na filtry, dzięki którym można było uchwycić ukośnie padające promienie słońca, na różowe i złote refleksy na wodzie, na drżące odbicie człowieka i łodzi i bagienno-krajobrazu. Była to tak dobrze jej znana wizja i tak doskonała reprodukcja tego, co często widziała oczami wyobraźni, że Julie usiadła oszołomiona.

W tej samej chwili z rzeki dobiegł ryk silnika. Zza zakrętu wyłonił się skif z Vance'em przy sterze. Pomknął w stronę kamer, mijając drewnianą łódź. Vance machnął ręką do starca w pirodze. Stary Joseph kiwnął tylko głową, odwracając się i obserwując pędzący skif, gdy tymczasem jego łódź kołysała się na falach. Kamery też się obróciły, śledząc skif.

Julie odwróciła się powoli do Reya, który zwolnił, a potem wyłączył silnik ślizgacza.

- Powiedziałeś mi. Powiedziałeś Bullowi o zachodzie słońca. - W jej głosie brzmiała rozpacz.

Patrzył na nią, nic nie mówiąc, ale w jego oczach był żal. Bull, znajdujący się na łodzi z kabiną, odwrócił się i spojrzał z wściekłością na ślizgacz dryfujący tak blisko kamer. Zesztywniał, kiedy zobaczył Julie. Podniósł ręce, zdejmując słuchawki z uszu i krzyknął ochrypłym głosem:

- Kamery stop!

Bull wszedł do biura Julie. Twarz miał purpurową i patrzył wilkiem. Trzasnął drzwiami tak mocno, że przyczepa zatrzęsała się. Podeszedł do biurka i pochylił się do córki, opierając się pięściami o blat. Przez dziesięć sekund wpatrywał się w nią sapiąc, a potem powiedział:

- Przepraszam.

To była ostatnia rzecz, jakiej się Julie spodziewała. Jej gniew, nasilający się od chwili gdy opuściła plan nad rzeką, rosnący podczas ostrego rozstania z Reyem w doku i przez piętnaście minut, które spędziła w swoim biurze, miał wybuchnąć właśnie teraz, kiedy ojciec się tu pojawił. Ale te przeprosiny stłumiły gniew Julie. Równocześnie zagotowało się w niej ponownie na myśl, że chciał ją w tak prosty sposób udobruchać.

- Za co? - spytała. - Za to, że cię przyłapałam?

- Nie powinienem bez pozwolenia korzystać z twojej ekipy i sprzętu. To nie było w porządku. Wiem, że jesteś wściekła, i nie mam o to pretensji. Ja byłbym gotów zabić każdego, kto by sobie na to pozwolił na moim planie.

- Dlaczego więc to zrobiłeś?

Julie cisnęła na biurko długopis i usiadła wygodniej na krześle, składając ręce na brzuchu.

- To była ostatnia szansa. Później nie można by było tej sceny nakręcić. Babie lato już się kończy. Rey powiedział mi przed wyjazdem do Los Angeles, że zbliża się zimny front atmosferyczny i że za parę dni będzie padało. Trzeba to było zrobić natychmiast, bo inaczej straciłoby się okazję.

- Wykombinowaliście zatem we dwóch, że scenę nakręci się podczas mojej nieobecności. A czy Rey ci powiedział, że postara się zatrzymać mnie o dzień dłużej, żebyś mógł zrobić to, co zamierzałeś?

Bull cofnął się o krok i usiadł na krześle.

- Ależ nie, Julie, do diabła, nic z tych rzeczy. Nakręcilibyśmy tę scenę wczoraj, tylko że stary Joseph brał udział w turnieju domina czy w czymś takim.

Julie nie była pewna, czy wierzyć ojcu, jednak poczuła się tak, jakby kamień spadł jej z serca.

- Mogłeś do mnie zadzwonić. Omówić sprawę.

- Myślałem, że każesz mi się trzymać z daleka od kamer i pilnować własnego nosa. A ten pomysł był za dobry, żeby go zmarnować.

- A ja, według ciebie, tak bym się cieszyła z tego, że mam tę scenę, że nie zauważyłabym, kto ją nakręcił, tak? Kiedy miałeś zamiar powiedzieć mi o tym? Czy to Rey miał mnie o tym poinformować, oczywiście po odpowiednim przygotowaniu mnie?

Bull skrzywił się, ale pozostawił słowa córki bez komentarza.

- Nie przypuszczaliśmy, że wrócisz w momencie, gdy będziemy kręcić. No i myślałem, że dobrze będzie ci o tym powiedzieć, kiedy się zorientujesz, że jest już za późno na nakręcenie tej sceny.

- Czy myślałeś także, że to będzie dobry sposób na to, by się wśliznąć i przejąć moje zadania? - zapytała cedząc słowa.

- Julie ... - zaczął i przerwał, a na jego twarzy pojawiło się coś, co mogło być oznaką bolesnego skurczu. Spuścił głowę, wbijając wzrok w podłogę, a potem znowu ją podniósł. - No dobrze, może i myślałem, że z wdzięczności pozwolisz mi zostać, Ale nie chcę przejmować twoich zadań. Nie zrobiłbym tego nawet wtedy, gdyby. Allen mi to zaproponował. Zresztą on by tego chyba nigdy nie zrobił. Ja naprawdę chcę z tobą współpracować. Dlaczego uważasz, że to niemożliwe?

- Wiesz dobrze dlaczego!

- Wiem, co na ten temat mówisz, ale to naprawdę nie musi tak być. Wszyscy reżyserzy mają asystentów. Ja właśnie byłbym jednym z asystentów.

- Zgodziłbyś się figurować w napisach jako asystent reżysera? Myślisz, że w to uwierzę?

- A dlaczego nie?

- Bardziej prawdopodobne jest, że to ja zostałabym twoją asystentką. I w napisach, i na planie. - powiedziała Julie stłumionym głosem.

- Nie zrobiłbym ci tego.

- Allen by to zrobił, gdyby uważał, że film, się dzięki temu lepiej sprzeda.

- Chyba źle go osądzasz. On usiłuje zrobić to, co jest dla ciebie najlepsze. Próbuje uratować ten film.

- Tego filmu nie trzeba ratować! W tym, co robię, nie ma nic złego.

- Ach, więc to cię niepokoi? Myślisz, że sprowadzenie mnie tutaj jest rodzajem komentarza do twojej pracy? To nieprawda, zapewniam cię. Wszyscy wiedzą, kto tu jest szefem. Przekonałem się o tym w ciągu ostatnich dwóch dni. Produkcja zaczęła się dawno. Film jest w dwóch trzecich gotowy. Trzeba tylko nakręcić parę ostatnich rolek i można iść do domu.

- To prawda. I dlatego tym bardziej się dziwię, że chcesz tu zostać.

Jego oczy pod krzaczastymi brwiami zwięzły się.

- Mógłbym powiedzieć, że martwiłem się o ciebie. Z powodu tych wypadków. Mógłbym powiedzieć, że zdaje mi się, że ktoś nie chce, byś skończyła ten film, i że pragnę być przy tobie, by cię pilnować. I może zorientować się, o co tu chodzi. Mógłbym to wszystko powiedzieć, ale nie byłaby to cała prawda.

- A co byłoby całą prawdą? - spytała, starając się zlekceważyć ucisk w piersi. .

- No więc to jest tak - Przerwał i odchrząknął, patrząc ponad lewym ramieniem córki. - Potrzebna mi praca. Udział w jakimś nowym przedsięwzięciu, w czymś świeżym. Powinienem się otrzeć o jakieś twórcze pomysły. Straciłem wenę, Julie. Moje źródło wyschło. Nie ma już we mnie tego, co potrzebne jest do tej pracy.

- Twój ostatni film był sukcesem kasowym. O czym ty mówisz?

Na czole Julie pojawiła się zmarszczka.

- Ten film jest znośny. Ale nie doskonały.

- Krytykom bardzo się podobał.

- Krytycy nie finansują moich filmów. A faceci od forsy chcą, żeby inwestycja przyniosła zysk, najlepiej duży. Zresztą to nie jest najgorsze. Julie, mnie się skończyły pomysły. Ja po prostu ... po prostu nie mam

szwungu, nie mam żadnej wizji, nie przychodzą mi do głowy te obrazy, które są konieczne do robienia filmów. Takie, które przychodziły mi kiedyś. I takie, które przychodzą tobie.

- Nie bądź śmieszny - powiedziała ostro Julie. - Na pewno masz szwung i wszystko inne.

- Już nie. - Pokręcił swoją dużą głową. - Nie powiedziałbym tego nikomu innemu. Ale tobie mówię. Moje źródło wyschło. Jestem skończony. Chłopaki ze studia wiedzą o tym. Od miesiąca do mnie nie oddzwaniają. Wkrótce zaczną o tym pisać brukowce. To będzie dla nich nie lada gratka.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Zawsze myślała o Bullu jako o kimś, kto będzie pracował w nieskończoność, kto będzie robił film po filmie, aż padnie na nos. Inni mogliby wypaść z łask albo nawet przestać pracować, ale nie Bull.

- Ja też mam trudności z uwierzeniem w to - powiedział tak cicho, że Julie nie była pewna, czy go zrozumiała.

Przełknęła ślinę i odchrząknęła, chcąc pozbyć się ucisku w gardle.

- Jeżeli nawet tak jest - odezwała się - to nie wiem, co dobrego mogłaby ci przynieść współpraca ze mną. Królestwo bagien nie ma zagwarantowanego sukcesu komercyjnego.

- Może nie ma, a może ma. Według mnie ma na niego duże szanse. Dla mnie jest ważne, że obcuje z pomysłami, z tymi wspaniałymi rzeczami, które się tu dzieją. To mnie może odblokować. Ty, dziewczyno, masz w sobie coś. Nie wiem, skąd to wzięłaś, ale masz wizję i wcielasz ją w życie. Masz wycucie i potrafisz wycisnąć uczucia z aktorów, tak że ludzie, którzy na nich patrzą, są pod wrażeniem. To jest dar, uwierz mi. Ja kiedyś też miałem tę zdolność. I chciałbym ją znowu mieć.

Rozumiała tę potrzebę, była wstrząśnięta tym, co mówił ojciec.

Coś jej równocześnie podszeptowało, że taki właśnie miał być zamierzony efekt tych wynurzeń, jednak odsunęła od siebie tę myśl.

- Widziałeś pierwsze kopie?

- Allen mi je pokazał. On bardzo chwali ten film. Uważa, że będzie się podobał, jeżeli zostanie ukończony. Usiłuje robić wszystko, żeby tak było.

- Dziwne, że mi tego nie powiedział.

- Może myślał, że to niepotrzebne, albo uważa za oczywiste, że ty o tym wiesz. A może nie dałaś mu czasu na powiedzenie tego.

Było w tym sporo prawdy. Julie poczuła się nieswojo. Ale równocześnie była zirytowana, bo potraktowała to jako zarzut pod swoim adresem.

- Dałabym mu więcej czasu, gdyby mniej rzeczy uważał za oczywiste.

- No tak, to sprawa między nim a tobą. A mnie teraz interesuje to, co jest między tobą a mną. Co powiesz na naszą współpracę? Nie moglibyśmy przynajmniej spróbować?

Podniosła rękę i potarła sobie skroń, a potem przeczesła dłonią włosy i położyła sobie dłoń na karku.

- Nie wiem, Bull, po prostu nie wiem. W twoich ustach to brzmi tak łatwo, ale. oboje wiemy, że to by łatwe nie było.

- Gdyby nie było, to nie z mojej winy. Robiłbym, co bym mógł, żeby się trzymać z boku, dopóki ty byś mi nie powiedziała, co mam robić.

Mówił to z takim przejęciem, że Julie była poruszona. Nigdy w życiu nie widziała, żeby o coś tak błagał. Jak tu odmówić? A jednak była przekonana, że wyrażając zgodę, zrobi źle.

Westchnęła.

- Daj mi jeszcze jeden dzień do namysłu, dobrze? Nie chcę być taka twarda, ale to jest poważny krok, który pociągnie za sobą mnóstwo zmian, mimo że w tej chwili wydaje się taki łatwy.

- Dobrze - powiedział kiwając głową i pocierając dłońmi o nogawki spodni. - W porządku. Porozmawiamy o tym jutro.

Kiedy wyszedł, Julie usiadła i zapatrzyła się w ścianę naprzeciwko biurka i w brązowe metalowe szafki na papiery. Kiedyś byłaby zachwycona, mogąc pracować z Bullem, mogąc dyskutować z nim na temat mechanizmów interakcji między postaciami, na temat teorii wyjaśniających, na czym te mechanizmy polegają i co powoduje, że film jest dobry. Ta perspektywa była wciąż kusząca. Mimo to Julie nie mogła się pozbyć wrażenia, że zgadzając się na propozycję Bulla i Allena, straci kontrolę nad swoim filmem i że nie będzie to już jej film.

Gdyby Bull włączył się do pracy, inne byłyby nie tylko te sceny, które trzeba było jeszcze nakręcić. Bull wtrącałby się także do montażu. Bo właśnie podczas montażu, podczas sklejania całych mil taśmy, w czasie przedstawiania scen, historia przybierała ostateczny kształt. Podczas montażu bowiem cała treść filmu i jego wymowa mogłyby być i prawdopodobnie byłyby zmienione. Nie dlatego, że Bun umyślnie dążyłby do wprowadzenia zmian w tym, co robiła, co próbowała wyrazić, ale dlatego, że reprezentował inną postawę i inaczej patrzył na świat, a zwłaszcza dlatego, że jego dotychczasowe triumfy i sukcesy miały tak wielką wagę.

Julie nie była pewna, czy będzie w stanie się z tym pogodzić. Bo to przecież ona znalazła tę historię. I poświęciła jej tyle miesięcy, tyle pracy i myśli. I tak bardzo chciała zobaczyć ją na ekranie w kształcie, który nadała jej w wyobraźni. Pomyślała, że oddając ją komuś innemu i pozwalając, by została zmieniona nie zgodnie z jej intencjami, popełni coś w rodzaju świętokradztwa.

Z drugiej strony Królestwo bagien było tylko filmem. Jednym z wielu. A Bun był jej ojcem. Ojcem, który jej pomagał i dodawał odwagi i który dał jej szansę. I ten ojciec potrzebował teraz jej pomocy. Czy mogła odmówić?

Czuła, że wszystko wokół się rozpada. Te wypadki na planie, które nie powinny były się zdarzyć... Ten jej niespodziewany, i najwyraźniej nie dający się opanować pociąg do człowieka, który był przeciwieństwem tego, co uważała za wartościowe, człowieka o mrocznej przeszłości. Zdrada Allena polegająca na tym, że próbował sprowadzić innego reżysera ... Zerwanie z Allenem, zerwanie z mężczyzną, wokół którego koncentrowało się jej życie przez blisko dziesięć lat... Naciski, żeby zrezygnowała z filmu ... Uświadomienie

sobie, że niektórzy z jej otoczenia pod uśmiechami skrywają urazę do niej ... Ten wąż, który wywołał podejrzenie, że niektórzy nie ograniczają się tylko do żywienia urazy ... Odkrycie zмовy między Reyem i Bullem prowadzącej do wtargnięcia na jej terytorium zawodowe ... Prośba ojca o pomoc, którego pozycję zawodową uważała za niepodważalną ... Wszystko to potęgowało wrażenie, że rzeczywistość wokół niej wciąż się zmienia. Nic nie było takie, jak myślała, nawet własne serce i umysł.

- Hej! Bull dał ci wycisk, czy ty jemu?

W drzwiach, które Bull wychodząc zostawił otwarte stała Ofelia. Garbiła się trochę. W prawej dłoni trzymała cienki palący się papieros, a lewą opierała na biodrze. Julie z wysiłkiem uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- I jedno, i drugie.

- Można się było tego spodziewać. Facet zna się na swojej robocie, ale jest strasznie egocentryczny. Mówię to, bo tak jest. I nie obchodzi mnie, że to twój stary.

- Chyba masz rację.

- Oczywiście, że mam. - Odepchnęła się od drzwi i weszła w głąb pomieszczenia. Kilkoma szybkimi ruchami rozgniotła papierosa o popielniczkę stojącą w rogu biurka Julie. - A tymczasem zastanawiałam się nad planem dnia na jutro.

Omawiały go przez kilka minut, a potem ustalały szczegóły dotyczące rekwizytów i zezwoleń potrzebnych do kręcenia scen w Lutcher w przyszłym tygodniu. Ofelia wzięła plan i sprawdzwszy szybko, kogo trzeba będzie wezwać na jutro, powiedziała nie podnosząc wzroku na Julie:

- Allen też tu będzie.

- Naprawdę? Nie było go dziś wieczorem, więc myślałam, że wrócił do Los Angeles.

Ofelia podniosła głowę.

- O Boże, Julie. Nie mogę uwierzyć, że nie wiesz, gdzie on jest i co robi. Nigdy przedtem nie było tak między wami. Co się dzieje?

- Nie wiem - powiedziała Julie z westchnieniem. - Jedno zdarzenie po prostu pociągnęło za sobą następne. .

- Jeżeli chcesz znać moją opinię, to powiem ci, że to nie jest zbyt rozsądne. Allen wciąż jest producentem tego filmu, a ty nadal musisz z nim współpracować. Wkrótce skończymy tu robotę i wrócimy na wybrzeże. Co wtedy?

- Myślę, że to zależy od wielu spraw.

- Od tego, jak ułoży się z Bunem? Czy od tego, co będzie się działo między tobą a twoim Cajunem?

Julie popatrzyła ostro na asystentkę.

- Od wielu rzeczy.

- No a ty i Vance. Co to jest? Jakieś współzawodnictwo?

- Co Vance ma z tym wspólnego?

- On się wysila, żeby rozśmieszyć tę głupią dziennikarkę, co, jak przypuszczam, nie jest trudne, tylko po to, żeby udowodnić coś tobie. A tymczasem ty zadajesz się z Reyem, żeby udowodnić coś komu innemu, może Allenowi, a może swojemu tatusiowi.

- To nieprawda! - rzuciła Julie ze złością i wstała z krzesła.

- Nie? Słyszałam, jak twoja sekretarka mówi Reyowi, gdzie się zatrzymałaś, i proponuje mu, że zrobi rezerwację. Nie było was razem i nagle razem się pojawiliście. Co to znaczy, możesz mi powiedzieć?

- To znaczy, że jesteś wścibska - powiedziała Julie opryskliwie.

- To prawda - zgodziła się Ofelia z uśmiechem. - I bardzo interesuję się życiem innych ludzi, mając przy tym kosmate myśli. Jak to się dzieje, że sprawy innych są o wiele bardziej interesujące niż moje rozpustne jednonocne przygody? Chyba robię coś nie tak.

- Może tak, a może nie - odparła Julie, a jej wściekła mina zamieniała się bardzo powoli w uśmiech. - Czy nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego jakiś mężczyzna się z tobą umawia i czego od ciebie chce?

- Do diabła, Julie. Ja wiem, czego oni chcą. To nie jest zbyt skomplikowane.

- Nigdy?

- Nigdy, do cholery.

- A nie uważasz, że mogłoby być skomplikowane, gdybyś podchodziła do tego inaczej?

Ofelia zarumieniła się. Wyglądała na zakłopotaną.

- Nie wiem. Ale o co mogłoby chodzić w takim miejscu jak to tutaj? Za parę dni wyjedziemy stąd, wrócimy do naszego kochanego luksusu, wrócimy tam, skąd przybyliśmy. Mówię o tobie i o mnie, kotku. Ja jestem kobietą pracującą, tak jak ty. Niepotrzebne nam komplikacje. W naszym życiu nie ma na nie miejsca. Jest w nim miejsce tylko dla ludzi naszego pokroju, dla kogoś takiego jak Allen, który rozumie, co chcemy osiągnąć, i potrafi nam w tym pomóc.

- Tak myślisz?

- Jeżeli się nad tym zastanowisz, to zobaczysz, że to ma sens. Ale na twoim miejscu byłabym ostrożna. Allen jest cierpliwy, lecz zmuszać go, żeby czekał, to niezbyt rozsądne. Jest mnóstwo kobiet, które chciałyby dostać to, co ma do zaoferowania.

- Jeżeli masz na myśli to, czego się domyślam - powiedziała Julie powoli - to muszę ci przypomnieć, że tego, co mam, nie zawdzięczam wyłącznie Allenowi.

- Ale to, że go znałaś, nie zaszkodziło ci - zauważyła Ofelia, wzruszając ramionami i rzucając głową tak, że jej gruby koński ogon opadł z ramienia na plecy.

To była prawda, a jednak Julie, wchodząc w związek z Allenem i kontynuując go, nigdy nie była interesowna. Nie wprowadzała się do niego po to, żeby ułatwić sobie karierę. Zastanowiła się teraz, czy on uważał, że jednak tak było, i czy dlatego właśnie w ich związku było zawsze coś z relacji między mentorem a protegowaną i czy przybierał postawę wyższości po to, by zachować odpowiedni dystans. Zastanowiła się, czy zachowywał ten dystans w obawie, że ona, Julie, by go wykorzystywała, gdyby byli sobie zbyt bliscy. Ta myśl

ją zaniepokoiła.

- Pójdę już i zabiorę się za to - powiedziała Ofelia, machając papierami. - W razie gdybyś mnie potrzebowała, będę przez pewien czas w pobliżu. Jeżeli zaczniesz mnie szukać i nie znajdziesz, to sprawdź u Vance'a. Pozwolił mi trzymać piwo w swojej lodówce. Bull wyrzucił mnie z twojego karawangu. Powiedział, że nie znosi zapachu moich cholernych papierosów - tak dokładnie się wyraził. I pomyśleć, że powiedział to człowiek, który bywa systematycznie we wszystkich zadymionych spelunkach Los Angeles.

- Naprawdę cię wyprosił? Ofelia roześmiała się.

- Nie dosłownie. Zrobił tylko przejrzystą aluzję. Łatwiej jest go unikać niż słuchać tego, co mówi. Nigdy nie wiadomo, kto nagle zacznie dbać o zdrowie, prawda? Kto wie, może wkrótce Bull zacznie pić piwo bezalkoholowe?

Było późno, kiedy Julie wyszła z biura. Nie miała pojęcia, co się dzieje z Reyem. Jego dżipa nigdzie nie było widać. Nie miała zamiaru na niego czekać. Kluczyki do wynajętego samochodu Julie znajdowały się w jej karawangu. Zostawiła je tam wyjeżdżając do Los Angeles - na wypadek gdyby samochód potrzebny był Ofelii albo komuś innemu.

W karawangu było ciemno i ,panował spokój. W oknach odbijało się światło rtęciówek Julie sięgnęła do kontaktu w kuchni. Światło zalało wnętrze, przepędzając ciemności z kątów.

W gardle jej zaschło. Podczas lotu organizm się jej odwodnił, a po przyjeździe wypila tylko filiżankę kawy. Podeszła do lodówki i wyjęła butelkę wody Evian. Sięgnęła też po puszkę soku pomidorowego. Zauważyła kawałek sera gouda i plastikową torebkę z winogronami bez pestek. Wyłożyła je również na stół, a potem zaczęła buszować po szafkach w poszukiwaniu paczki krakersów. Czas kolacji dawno już minął i nie wiedziała, czy u ciotki Tine dostanie coś do jedzenia. Dobrze więc byłoby zjeść lekką kolację - przez ostatnie kilka dni zbyt często się objadała.

Ryjąc wśród pudełek z płatkami śniadaniowymi i paczek z mieszankami na ciasto pieczone w kuchence mikrofalowej, natknęła się na dziwny pakunek. Wyjęła go. Była to plastikowa torebka, związana sznureczkiem i do połowy napełniona krystalicznym białym proszkiem.

Wiedziała, co to jest, a jednak jej umysł przez dłuższą chwilę odmawiał przetworzenia tej informacji. Odwiązała sznureczek i ostrożnie powąchała, a potem gwałtownie odwróciła głowę.

To nie był cukier puder. Nie było to też mleko w proszku ani proszek do pieczenia, ani soda, ani mąka kukurydziana do robienia budyniu, ani żadna inna substancja znajdująca się zwykle w kuchni.

Kokaina.

Czysta, nie sfałszowana, łatwa do dostania, o piorunującym działaniu na mózg.

Co ona tu robi? Jak długo tu jest? A przede wszystkim: kto ją tu schował?

Szybkimi, gwałtownymi ruchami Julie zamknęła pakiecik i wepchnęła go z powrotem na to miejsce, gdzie go znalazła. Zatrzasnęła drzwi szafki, cofnęła się do stołu i usiadła na ławie. Wypiła prawie całą wodę, a potem wpatrując się w resztkę pozostawioną w butelce, obserwowała, jak bąbelki unoszą się i opadają.

Czy to dlatego Bull potrzebował pomocy? Czy to z powodu nałogu jego siły twórcze zanikły i nie można mu było powierzyć żadnego przedsięwzięcia? Czy zamienił tradycyjną męską rozrywkę, jaką było picie, na zażywanie koki, szybciej wywołującej oszołomienie?

Czy to dlatego przepędził Ofelię? Dlatego, że chciał w spokoju i bez świadka ciągnąć swój romans z tym środkiem? Ale dlaczego miałby troszczyć się o to, żeby nikt o tym nie wiedział? Był przecież wystarczająco długo członkiem śmietanki hollywoodzkiej, żeby wyzbyć się wstydu z powodu własnych przywar. Chyba że chciał oszukać córkę.

Te i inne pytania wirowały Julie w głowie jak bąbelki w wodzie. Nie znajdowała na nie odpowiedzi.

Przychodził jej jednak do głowy pewien wniosek, który podsuwały raczej emocje niż logiczne myślenie. Był oczywisty, nieunikniony.

Jeżeli kokaina rzeczywiście należała do Bulla, jeżeli była przyczyną jego kłopotów, to córka, która odmówiłaby mu wszelkiej pomocy, byłaby córką wyrodną. Nie miała wyboru: musiała pozwolić mu włączyć się do pracy nad Królestwem bagien. Pozostawało jej tylko znaleźć odpowiedni czas i miejsce na powiedzenie mu o tym. No i odwagę.

Zachrobotała gałka w drzwiach. Gałka przekręciła się, Julie zamarła i obserwowała ją w milczeniu. Ucieszyła się, że zamknęła drzwi na klucz.

Rozległo się pukanie.

- Julie? To ja. Wpuść mnie.

Julie odetchnęła głęboko rozpoznając Vance'a i pokręciła głową. Była zbyt nerwowa, może przydałaby się jakaś gimnastyka? Nie pomogłaby na wszystkie jej kłopoty, ale źle by jej nie zrobiła. - Co ty tu jeszcze robisz? - zapytała otwierając drzwi siatkowe, a potem zewnętrzne.

Zwrócona w górę twarz aktora, widoczna w świetle padającym przez drzwi z siatki, była spuchnięta. Vance mrużył oczy. Miał na sobie coś, co wyglądało jak krótki szlafrok plażowy z aksamitu, i gumowe klapki. Z krzywym uśmiechem wyciągnął rękę, pchnął drzwi z siatki i wszedł do środka.

- Wziąłem prysznic i położyłem się w karawaningu, bo chciałem się trochę zdrzemnąć. Byłem wypompowany. Całe popołudnie pracowałem na słońcu, a to naprawdę człowieka wykańcza. Kiedy się obudziłem, nie było już nikogo oprócz ciebie. Zobaczyłem cię przez okno i pomyślałem, że wejdę i dowiem się, czy Los Angeles jest wciąż tam, gdzie było.

- Jest, i to na dodatek mokre - odpowiedziała Julie i zaproponowała mu, żeby się czegoś napił.

Dał jej znak ręką, żeby wróciła na swoje miejsce, a sam podszedł do lodówki i wyjął z niej puszkę wody sodowej. Usiadł po drugiej stronie biurka. Zaczęli rozmawiać o festiwalu, a także o wyższości hotelu Bel Air nad hotelem Beverly Hills.

- Tabary był tam z tobą, prawda? - zagadnął w końcu Vance.

- Najwyraźniej nie jest to tajemnicą - odpowiedziała Julie chłodno.

- Wiesz, że tutaj nie ma tajemnic. Ale chciałbym wiedzieć, dlaczego pojechałaś właśnie z nim. Przecież to mogłem być ja. Jeżeli potrzebne ci było towarzystwo ...

- Myślałam, że ty jesteś zajęty tą dziennikarką.

- Dla ciebie pozbyłbym się tej dziewczyny.

Julie wypila resztę wody, a potem sięgnęła po puszkę soku pomidorowego i otworzyła ją.

- Bardzo mi to pochlebia, Vance, ale prawda jest taka, że ...

- Nie chcę tego słyszeć! Nienawidzę, kiedy ktoś tak zaczyna zdanie. Takie zdanie jest zawsze policzkiem.

Głos miał ochryply, więc Julie przyjrzała mu się uważniej.

Vance nie wyglądał dobrze. Źrenice miał zwężone, twarz bladą, ręce mu drżały. Naciągał poły szlafroka, jak gdyby był za krótki albo jakby coś pod nim ukrywał. Julie zbyt często widywała takie objawy w ciągu ostatnich paru lat, a także wcześniej wśród przyjaciół uprawiających surfing, zbyt często, żeby się mylić.

- Prawda jest taka - mówiła dalej - że nikogo nie prosiłam, żeby mi towarzyszył. Rey poleciał z własnej inicjatywy. I wiesz co? Wróciliśmy dzisiaj i właśnie uświadomiłam sobie, że jestem bardzo zmęczona. Chyba czas powiedzieć, że dosyć na dziś.

Wstała i ruszyła do drzwi. Vance wypił swoją wodę i też wstał.

Puszka, którą postawił na stole, przewróciła się.

- Mogłabyś dzisiaj spać tutaj - powiedział. - Byłoby mi miło otulić cię kołdrą i tak dalej.

- Dzięki za tę propozycję - odrzekła beztrosko - ale ciotka Tine będzie się niepokoiła.

- Nie mówiąc o ukochanym. Chyba on naprawia swoje stosunki z tą przebiegłą wdową? Widziałem, jak z nią rozmawiał, kiedy Summer pojechała do motelu.

- Nie mam pojęcia. Zresztą to nie ma znaczenia. Miałam ciężki dzień i najwyraźniej czuję skutki różnicy czasu.

Julie rozejrzała się za swoją torbą na ramię.

Vance zastąpił jej drogę. Położył rękę na framudze drzwi ponad jej głową, tak że znalazła się w pułapce między nim a końcem ławy stojącej przy stole. Wolną ręką Vance przesunął w górę po ręce Julie. Dłoń aktora zawędrowała na ramię, a potem jego palce znalazły się na piersi pod koszulową bluzką.

- Gdzie się tak spieszysz? - powiedział ochryplym głosem. - Mamy czas na jeden szybki raz.

- Wybij to sobie z głowy, Vance - odpowiedziała Julie, z wysiłkiem panując nad głosem. - Mam w tej chwili dość komplikacji. - W tym nie ma nic skomplikowanego - odrzekł Vance. - Ja pragnę ciebie, ty pragniesz mnie. Zaspokoimy potrzebę. To proste. - Proste, tak, wszystko jest proste z wyjątkiem jednego: nie wiem, dlaczego uważasz, że mam na ciebie ochotę?

- Mężczyzna wyczuwa takie rzeczy.

Stał zbyt blisko. Czują zapach jego oddechu, czują, że jest rozgorączkowany. Czują też, że sama się dusi. Musiała zacisnąć pięści, by się powstrzymać i go nie odepchnąć. To mógłby być błąd, pomyślała. Teraz był jeszcze podatny na racjonalną argumentację, ale gdyby stała się agresywna, mógłby się stać głuchy na wszelkie

argumenty.

- Mężczyzna też może się mylić. Jestem zmęczona, Vance. I ty też. Sam mówiłeś. Chodź, czas, żebyś wrócił do motelu. A może chciałbyś, żebym ci znalazła kogoś, kto cię zawiezie?

- Wezmę cię, bez. względu na zmęczenie. Nie musisz nic robić, połóż się tylko i odczuwaj przyjemność.

Objął Julie za szyję, wsunął dłoń pod włosy, chcąc ją do siebie przyciągnąć. Usta Vance'a zbliżyły się do jej ust, otwarte, mokre, gumowate.

Julie zatrzęsała się z obrzydzenia. Podniosła dłonie zaciśnięte w pięści. Odepchnęła się, wyzwajając się z uścisku i zaraz potem zaczęła go bić pięściami w klatkę piersiową, tak że cofnął się, chwiejąc się na nogach.

Zaklął i chwycił się jedną ręką stołu. A potem odepchnął się od niego i ruszył znowu do Julie. Obróciła się na pięcie, pchnęła drzwi i zbiegła po stopniach. Vance uderzył się o framugę. Odbił się, rzucając się na Julie. Tracąc równowagę, chwycił ją z tyłu za bluzkę.

Runęli oboje na ziemię. Przez chwilę Julie leżała oszołomiona.

A potem, czując, że zalewa ją fala bólu, zaczęła kopać, drapać i walić. Była tak wściekła, że prawie nie wiedziała, co robi. Nie zdawała sobie sprawy, że zadaje ból i że sama go odczuwa. Nie obchodziło jej to. Usłyszała krzyk, poczuła, że Vance podskoczył, ale nie mogła się zorientować w sytuacji.

Nagle okazało się, że jest wolna. Vance został od niej oderwany, podniesiony w powietrze i gdzieś odrzucony. Upadł na ostry biały żwir parkingu. Julie zobaczyła szerokie ramiona o potężnych mięśniach, ciemną głowę i wykrzywioną z wściekłości twarz. A potem Rey dopadł Vance'a i postawił go na nogi. Julie zobaczyła, że zamierza się na niego pięścią.

- Nie w twarz! - krzyknęła wstając. - Nie bij go po twarzy! Prawie nie zauważyła Ofelii, która podbiegła, by jej pomóc wstać.

Rey zerknął na Julie przez ramię. W przyćmionym świetle dostrzegła na jego twarzy gniew i zdziwienie. Zadał cios nie w twarz, tylko w przeponę; Vance skulił się i upadł jak długi. Wił się, kłął, płakał i wymiotował na żwir, przyciskając rękę do brzucha.

- Boże - wyszeptała Ofelia. Posłała Reyowi pełne szacunku spojrzenie, a potem zwróciła się do Julie, pytając z troską w głosie: - Dobrze się czujesz, kotku? Chcesz, żeby ktoś cię zawiózł do domu? A może wezwać policję?

- Nie - powiedziała Julie, pocierając dłonią o dłoń; upadając zraniła je o żwir. - Nic mi nie jest, naprawdę. Nic mi się nie stało. - No tak. Myślę, że to by się źle odbiło na filmie. Boże, co za bajzel. Chyba jakoś możesz się temu żartownisiowi odwdzięczyć.

Julie zdołała uśmiechnąć się blado, ale w jej uśmiechu nie było radości. To ona traciła w wyniku tego zajścia. Miała teraz kolejnego wroga, a to wcale nie było jej potrzebne.

Ofelia puściła ramię Julie i stanęła nad aktorem.

- No, Vance, ty idioto. Co ty, do cholery, chciałeś zrobić? Wstawaj i zabieraj się stąd, zanim cię tu ktoś zmasakruje.

Julie niechętnie odwróciła się w stronę Reya, który stał w miejscu, obserwując ją. Brwi miał zmarszczone, a nieruchome dłonie wciąż zaciśnięte w pięści. Patrzył badawczo, jak gdyby się chciał upewnić, że nic jej się nie stało. Zanim zdążyła się odezwać, kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Julie otworzyła usta, żeby go zawołać, ale zaraz z tego zrezygnowała. Najwyraźniej nie potrzebował podziękowań i był oburzony, tym, że zabroniła mu bić Vance'a po twarzy. Dobrze, niech sobie idzie. Skoro tak postanowił, nic się na to nie poradzi. Może to nawet lepiej.

Tak, bez wątpienia, lepiej.

- Z Vance'em nie będziesz już miała problemów - powiedział Allen.

On i Julie stali czekając, aż zakończą się przygotowania do filmowania sceny ulicznej.

-Ofelia opowiedziała mi, co narobił wczoraj wieczorem. Rozmawiałem z nim o tym przed paroma minutami. Sądzę, że doszliśmy do porozumienia.

Vance stał w pobliżu, ze swoją znajomą dziennikarką. Wyglądał na przygnębionego i zmęczonego. Ubrany był w dżinsy i koszulkę trykotową, czyli w strój, którego wymagała rola. Za parę minut miał pójść z Summer ulicą, wymieniając pozdrowienia i uściski dłoni z ludźmi z miasta wającymi jego przyjaciół i sąsiadów. Julie pomyślała, że na szczęście scenariusz nie wymaga, aby w tej scenie 'był zbytnio ożywiony - nic nie wskazywało na to, że mogłby to dobrze odegrać. Oczywiście trudno to było orzec z absolutną pewnością, ponieważ wielu aktorom zdarza się, że są półżywi do chwili włączenia kamer, a potem ożywiają się i są pełni animuszu.

- To miłe, że się o mnie troszczysz - powiedziała Julie - ale dałabym sobie z tym radę sama.

- Być może, uważam jednak, że moja reprimenda zrobiła na nim większe wrażenie niż twoje odwoływanie się do rozumu czy pięści Tabary'ego. W każdym razie wydawało mi się, że najlepiej będzie z nim porozmawiać i zapobiec jego wrogości wobec ciebie, która w tej sytuacji byłaby zrozumiała.

- Zrozumiała?! - Julie patrzyła na Allena z niedowierzaniem. Był sztywny, ubrany ze zwykłą starannością w brązową jedwabną koszulę, fularowy krawat i rdzawe spodnie. przy nim Julie, w bawełnianych spodniach i koszulce bez rękawów, wyglądała na niedbałą i źle ubraną.

- Chodzi mi o tę całą awanturę. - Kręcił się pod spojrzeniem Julie, poprawiając krawat. - Nie sugerowałem, że to naturalne, że żywi do ciebie wrogie uczucia, ponieważ odrzuciłaś jego awanse. - Nie?

- Nie. Chociaż niektórzy mężczyźni mają do tego skłonność, zwłaszcza jeżeli odrzucenie było publiczne.

Julie przyjrzała się twarzy Allena podejrzewając w jego słowach oskarżenie; nie miała jednak pewności, czy było zamierzone.

- Powinni się nauczyć - powiedziała powoli - nie robić awansów publicznie.

- To byłoby bez wątpienia rozsądne. Czy możemy przyjąć, że ja dostałem już nauczkę? Czy przestaniesz okazywać mi, że nie jesteś moją własnością, i zamieszkaż ze mną w Nowym Orleanie?

- To nie jest takie proste, Allen - odrzekła.

- Tego się obawiałem. O co chodzi? Masz zamiar rzucić się w ramiona tego człowieka z bagien z powodu jego paru heroicznym gestów? Naprawdę myślisz, że zrezygnujesz z tego wszystkiego dla domowego szczęścia?

Pokazał ręką to, co się wokół działo, cały ten ruch i hałas, kamery, sprzęt do nagrywania dźwięku, generatory, wijące się kable elektryczne, światła i reflektory, techników, którzy byli potrzebni, aby opanować ten chaos.

Chłodnym tonem Julie powiedziała:

- Nikt mnie nie prosił, żebym z czegoś zrezygnowała.

- To dobrze, bo ty tego nie zrobisz. Nie możesz tego zrobić. Ty masz to we krwi, to jest twoja obsesja, coś, czego potrzebujesz jak pokarmu i snu.

- To jest moja praca, nic poza tym - odrzekła.

- To jest coś, nad czym pracowałaś od czasu, kiedy byłaś nastolatką, coś, w co włożyłaś mnóstwo wysiłku. To jesteś sama ty. Nie możesz się z tym rozstać, tak jak tamten budynek nie może rozstać się ze swoimi fundamentami.

- Masz taką nadzieję?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Co takiego?

- Masz nadzieję, że nie mogę się z tym rozstać, bo uważasz, że oznacza to mój powrót do Los Angeles i do ciebie. Nie chcesz mnie otwarcie prosić, żebym z tobą wróciła, bo to by oznaczało, że jesteś bardziej zaangażowany, niż chcesz przyznać. Czy zdajesz sobie sprawę, że o małżeństwie nie rozmawialiśmy od blisko dwóch lat?

- Nie sądziłem, że zależy ci na małżeństwie. Zmęczonym gestem Julie przeczesła palcami włosy.

- Może mi nie zależało. Mieliśmy wygodny układ, ale musisz przyznać, że był to tylko układ. Nie ma potrzeby zmieniać go w coś więcej.

- Nie miałem pojęcia, że tak to odbierasz - powiedział skonsternowany i błady.

- Ja też nie. Do niedawna. Czy nie sądzisz, że to smutne?

- Ale ja cię kocham, Julie - szepnął.

Spojrzała mu w oczy ze smutkiem.

- Możliwe, jednak nigdy cię to nie powstrzymywało od przygód ze starletkami.

- Nie rozumiesz - rzekł głośniej. - Kocham cię. Tworzyliśmy doskonałą parę. Dopełnialiśmy się, reprezentowaliśmy talent i pieniądze, kontakty i umiejętności organizatorskie, stary Hollywood i nowy, starą krew i nową energię. Tak dobrze nam się razem pracowało. Dzięki tobie czułem się młody i ,pełen sił i ze swej strony pomagałem ci osiągnąć sukces. Może tak być znowu.

- Nigdy nie byłem z tobą dlatego, że mogłeś coś dla mnie zrobić. Dlaczego miałabym się na to zdecydować teraz?

- A dlaczego ze mną byłaś?

- Zastanawiałam się nad tym. - Przerwała niepewna, co ma mówić dalej. W końcu powiedziała: - Przed laty robiły na mnie wrażenie harwardzkie krawaty i cytaty z Ibsena i Arthura Millera. Myślałam, że na tym polega klasa. Byłam zachwycona tym, że dostrzegasz we mnie możliwości, zachwycona, że jestem Galateą w rękach takiego jak ty Pigmaliona. Wdzięczność przerodziła się w sympatię, a przywiązanie stało się przyzwyczajeniem. Nie umiem tego lepiej wyjaśnić.

- Ale, Julie, czy nie mogłabyś mnie znowu polubić? Nie mogłabyś spróbować? Będzie inaczej, obiecuję ci. Do tej pory bałem się, że kiedy się zorientujesz, co do ciebie czuję, zdobędziesz przewagę, a ja stanę się od ciebie zależny.

- Wolaleś, żebym to ja grała rolę zależnej.

- Ze strachu. Obawiałem się, że kiedy stwierdzisz, do czego jesteś zdolna, i gdy zostaniesz doceniona i uhonorowana nagrodą, jaką dostałaś na kobiecym festiwalu, odejdiesz ode mnie. Bałem się twojego sukcesu. A teraz chciałbym dać nam obojgu szansę.

- Nie wiem ... - zaczęła.

- Zastanów się nad tym, tylko o to cię proszę. Przez te ostatnie tygodnie tak za tobą tęskniłem. Ciągłe myślałem, w jaki sposób cię ściągnąć do Los Angeles, zwłaszcza po tym wypadku. Prawie z ulgą przyjąłem propozycję Bulla, który chciał się do ciebie przyłączyć. Myślałem, że może on przejmie film, a wtedy ty wrócisz tam, gdzie jest twoje miejsce.

- O tym nie ma mowy. Mogę cię o tym od razu zapewnić.

- Przyjmuję to do wiadomości.

- Dobrze. Chciałabym też wiedzieć, czy po przejęciu filmu przez Bulla mój wkład w niego miał pozostać nie zauważony? Czy miałaś zamiar dopilnować, aby w więcej nie została doceniona? - O Boże, Julie, nie mów takich rzeczy. Doprowadzasz mnie do ostateczności. Bałem się o ciebie i chciałem, żebyś wróciła do Los Angeles. I nie poza tym.

Tymczasem przecież to ona została doprowadzona do ostateczności, prawie do choroby psychicznej. Podejrzanie, że to Allen sprowokował oba wypadki - ten, w którym zginął Paul Lisiet, i ten, w którym omal nie zginęła Summer - pojawiło się przez chwilę w jej głowie z taką wyrazistością, że poczuła mdłości. Tak, to on je sprowokował, żeby stworzyć powód, dla którego musiałyby zrezygnować z filmu. Prześladowała ją też myśl, że Allen odebrałby jej natychmiast film, gdyby nie romans z Reyem. Ten romans chronił ją w jakiś sposób - Allen nie był pewien, czy w wypadku gdyby doprowadził ją do ostateczności, nie opuściłaby go i nie związała się z Reyem.

Wszystko to było szaleństwem.

Julie widziała wszędzie zagrożenia i spiski. Należało to przerwać. Musi skończyć ten film. Wtedy większość problemów rozwiąże się sama. I każdy pójdzie w swoją stronę, czy może prawie każdy.

- Słuchaj, Julie - zaczął Allen głosem cichym i głębokim - ja nie mam zamiaru cię błagać, ale nie chcę też zrezygnować. Chcę, żebyś przemyślała to, o czym mówiliśmy. Zastanów się dobrze. A potem znajdziemy czas, żeby o tym poważnie porozmawiać. Dużo od tego zależy. Więcej, niż sobie wyobrazasz.

Było to pretensjonalne i prowokacyjne, i dosyć wyświechtane.

Ale i wzruszające - Allen starał się, jak mógł. Patrząc za nim, kiedy odchodził, Julie pokręciła głową, a potem z premedytacją rzuciła się w wir pracy.

W kręconej właśnie scenie zamierzano pokazać Summer świetnie wyglądającą w nowiutkich dzinsach, koszulce trykotowej i adidasach, a także określić, jakie miejsce w lokalnej społeczności zajmuje Jean-Pierre. Później, po zniknięciu porannego światła i nadejściu zimnego frontu ze spodziewanym deszczem, mieli nakręcić scenę zakupów, w której Summer i Vance kupują ubrania, niezbędne do przedstawienia metamorfozy Summer z miejskiej dziewczynki w chłopczycę z zapadłego kąta.

Summer i jej matka znajdowały się w pobliżu karawaningów, które przyholowano na parking obok sklepu spożywczego. Annette, robiąc dużo szumu, zajmowała się włosami Summer splecionymi w warkocz spadający jej na plecy. Rozpylała lakier do włosów, ujarzmiając każdy wymykający się kosmyk, a dziewczynka wiała się i kaszłała.

Julie rozmawiająca właśnie z Andym Russellem odwróciła się i ruchem ręki przywołała sekretarkę planu.

- Idź i powiedz Annette, żeby zostawiła włosy Summer w spokoju. Mają wyglądać jak uczesane przez ojca, a nie przez fryzjera.

Dziewczyna poszła wykonać polecenie. Julie kątem oka obserwowała, co się dzieje; zobaczyła, że dziewczyna podchodzi do Annette, a ta wyrzuca lakier i grzebień. Summer musiała się przy tym uchylić, żeby nie dostać w głowę. Annette wyciągnęła rękę, żeby złapać Summer za warkocz. Dziewczynka uchyliła się ponownie, odepchnęła rękę matki, odwróciła się i ociekła. Annette ruszyła za nią, ale zaraz zatrzymała się, machając rękami. Krzyczała coś do sekretarki planu, a potem odwróciła się na pięcie i poszła sztywnym krokiem do karawaningu. Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nią z hałasem, sekretarka planu uniosła oczy do nieba i oddaliła się.

- Pijana - powiedział Andy Russell, kręcąc głową. - To okropne dla Summer, która musi się z tym godzić. Będziemy mieli szczęście, jeżeli cokolwiek z niej dzisiaj wyciśniemy.

Julie zgodziła się z nim, chociaż, przypomniawszy sobie, w jakim stanie był Vance poprzedniego wieczoru, pomyślała, że alkohol nie jest chyba jedynym powodem kłopotów Annette. Zmieniła temat rozmowy z Andym, jednak spomiędzy jej brwi nie znikła głęboka zmarszczka.

Kiedy kamery wreszcie zaczęły działać, Summer nie była chętna do współpracy. Szła niepewnie, była sztywna i zbyt nieśmiałym ruchem wzięła Vance'a za rękę. Trzeba jej było wciąż powtarzać, żeby patrzyła na niego, a nie pod nogi. Jej uśmiech był wymuszony i szybko zniknął z twarzy. Uwagi i sugestie, jak ma grać, niewiele zmieniały, poza tym, że w oczach dziewczynki pojawiły się łzy.

Kolejne powtórki działały na Vance'a irytująco. Zamiast pomagać Summer, stawał się coraz bardziej opryskliwy. Wszystko to wpłynęło również na jego sposób gry. Szedł sztywno ulicą, ciągnąc za sobą dziewczynkę i zgrzytał zębami przy zbliżeniach.

W końcu Julie ogłosiła przerwę. Wzięła dwie puszki coli i podeszła do Summer, która siedziała na zwoju kabla, podpierając twarz dłońmi. Dała jedną colę dziewczynce i usiadła obok niej na ziemi. Obie piły napój i patrzyły na samochody, które musiały nadkładać drogi, gdyż ulica była zamknięta dla ruchu z powodu zdjęć.

- No więc, skarbie, o co chodzi? - spytała w końcu Julie. Summer roztarła kciukiem rosę na swojej puszcze.

- Wszyscy się na mnie, gapią.

- Oczywiście. Jesteś przecież jedną z gwiazd.

- Mam na myśli ekipę. Jest im mnie żal. A Vance nienawidzi grać ze mną. Mówi, że dzieci zawsze kradną sceny.

- Zawodowa aktorka - powiedziała Julie - musi się nauczyć nie przejmować tym, co myślą inni. Co by było, gdybyś musiała zagrać scenę miłosną z Vance'em, wiedząc, że on cię nie lubi? Aktorki zwykle są w takiej sytuacji.

- To co innego - mruknęła dziewczynka, rumieniąc się.

- Niezupełnie. Musisz zrobić to, co masz do zrobienia, a inni niech się martwią o własne role. W pewnym sensie to samo odnosi się do twojej matki. Nie jesteś odpowiedzialna za jej zachowanie, tylko za to, jak sama na nie reagujesz. Jeżeli nie chcesz, żeby inni cię żalowali, nie lituj się sama nad sobą.

- Ale pani nie wie, jak to jest! Nie mogę przed takim tłumem ludzi udawać, że jestem szczęśliwa i zadowolona, kiedy naprawdę jestem nieszczęśliwa.

- Właśnie że możesz. Musisz sobie po prostu przypomnieć chwile, w których byłaś szczęśliwa. Przypomnieć sobie, jak się wtedy czułaś i co robiłaś, żeby to okazać, jak się zachowywałaś, poruszałaś i jak patrzyłaś na ludzi. Pamiętasz ... jak się czułaś, tańcząc z Reyem na weselu? Byłaś wtedy szczęśliwa, prawda?

- No tak.

Po twarzy dziewczynki przemknął słaby uśmiech.

- No widzisz. Więc udawaj, że Vance to Rey. Udawaj, że to Rey kupił ci nowe ubrania i że teraz oboje macie zamiar popływać łodzią albo pójść na ryby. Potrafisz to zrobić?

Summer uniosła brwi, a potem je opuściła. Zasznurowała usta i wykrzywiła je najpierw w jedną, a potem w drugą stronę. Podniosła puszkę z colą i pociągnęła długi łyk, jakby nagle zachciało jej się pić. A potem roześmiała się.

- Mogę spróbować - powiedziała.

- To dobrze - odrzekła Julie z ulgą i też się roześmiała.

- Biegnij i powiedz charakteryzatorce, żeby ci poprawiła charakteryzację, i zaczniemy od początku.

Stojąc i patrząc na odchodzącą dziewczynkę, Julie usłyszała za sobą kroki. Zorientowała się, że to Rey. Wiedziała, że to on, zanim się odezwał. Rozpoznała te kroki, a także męski zapach jego wody. Odwracała się właśnie, kiedy powiedział:

- Dobrze sobie z nią radzisz.

- To nie jest trudne. Ona jest dobra, kiedy się skupi.

- Ale ty masz do niej cierpliwość, a to naprawdę coś znaczy.

Ten komplement sprawił Julie większą przyjemność, niż się mogła spodziewać. Odwróciła głowę, chcąc ukryć rumieniec. Równocześnie poczuła pulsowanie w gardle; uświadomiła sobie, że on nie przyszedł w sprawie Summer, jak początkowo myślała. Był tu dla niej.

- Słuchaj, chcę ci powiedzieć ... - zaczęła.
- Jeżeli chodzi o ostatnią noc, to ... - powiedział prawie równocześnie.

Oboje przerwali.

- Panie mają pierwszeństwo - rzekł Rey spokojnie.

Spojrzała mu w oczy zakłopotana.

- Nie jestem pewna, czy wiem, co według ciebie działo się wczoraj z Vance'em, ale on ... on nie był sobą.
- Chcesz powiedzieć, że był naćpany po dziurki w nosie.
- Dokładnie. I chcę ci powiedzieć, że cieszę się, że się tam pojawiłeś.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę i napięcie powoli znikło z jego twarzy. Zaczerpnął powietrza, a potem wypuścił je, wzdychając.

- Kiedy zobaczyłem was na ziemi, straciłem na chwilę orientację. No i kiedy potem usłyszałem, jak go bronisz, też nie wiedziałem, co myśleć. Dopiero później dotarło do mnie, o co ci chodziło. Nie jestem przyzwyczajony do rozpatrywania wszystkiego z punktu widzenia korzyści dla filmu.

- To przyzwyczajenie. Czasami trochę z tym przesadzam. Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Zobaczyłem światło i chciałem przyjść i porozmawiać z tobą o tej scenie o zachodzie słońca. Myślałem, że dasz mi wskazówkę, jak mam się zachowywać wobec kobiety, która jest na mnie tak wściekła, że nie chce ze mną rozmawiać. Wskazówkę wyłącznie reżyserską oczywiście.

- Oczywiście - powtórzyła. - Prawdopodobnie poradziłabym ci, żebyś spróbował udawać, że ona nie jest taka wściekła.

Rey spojrzał na nią z góry, przechylając głowę na bok.

- To znaczy?

- To znaczy, że Bun powiedział mi, dlaczego rozmawiałeś z nim o tej scenie. Mogłeś spróbować sam to wyjaśnić, zamiast odchodzić bez słowa.

- Wtedy ucieczka wydawała mi się lepszym wyjściem. Nie byłem pewien, kto jest w większych opałach, Buli czy ja, i nie chciałem pogorszyć sprawy, mówiąc coś niepotrzebnego.

- Kiedyś będziesz mi musiał powiedzieć, co by się stało z tego, gdybyś powiedział mi prawdę - odrzekła żartobliwie. - Prawda jest czymś, co bardzo cenię.

Nie odpowiedział, a jego twarz zmieniła się w okamgnieniu, stała się zagadkowa. Julie ogarnęły wątpliwości, a wraz z nimi przyszło przygnębienie; poczuła, że musi zadać sobie pytanie, czy Bull powiedział jej prawdę.

Musieli się spieszyć. Słońce chowało się za gęstniejące z wolna chmury i wkrótce zabrakłoby odpowiedniego światła. Powietrze stało się ciężkie, przytłaczające. Wiatr, który wiał od rana, nasilał się, podrywał wirujący kurz, papierki po gumie do żucia, a także suche liście jaworów, podobne do uciekających żyłatek morskich, pędzące w porywach ulicą. Kamerzyści usiłowali zasłaniać obiektywy. Ofelia wyjęła z torebki swoje spinki w kształcie pałeczek do jedzenia i upinała za ich pomocą włosy. Annette stała przy drzwiach

karawaningu i patrzyła na niebo, jakby koniecznie chciała zobaczyć pierwsze krople deszczu.

- Do roboty! - krzyknęła Julie. - Jeszcze jedno, ostatnie, dobre ujęcie.

Ludzie rozbiegli się na miejsca. Ktoś ich uciszył. Nastąpił klaps.

Zaczęły z szumem pracować kamery.

Było cudownie.

Słońce znalazło przerwę w zbierających się chmurach, światło unormowało się. Wiatr ustał. Summer szła w radosnych podskokach, kołysząc ręką Vance'a. Podziwiała nowe ubrania, patrząc na swoje odbicie w lustrzanych szybach, obok których przechodzili, i szczebiotała, jak gdyby nie miała pojęcia, czym jest trema. Vance uśmiechał się na jej widok, a ona dodawała blasku całej scenie. Była uosobieniem dziecka, które zostało wyzwolone z obcisłej świątecznej sukienki i śliskich lakierków z paseczkiem zapinanym z boku na klamerkę. Była uosobieniem kochającej córki i małej femme fatale, uosobieniem szczęścia i radości. Była wspaniała.

Kiedy ona i Vance doszli do końca ulicy, wszyscy zaczęli klaskać, a kilka osób odetchnęło z ulgą. A potem zaczął padać deszcz.

Nie był to mały deszczyk, którego krople padałyby stopniowo, ostrzegawczo. Wszystko zmieniło się w jednej chwili. Przed sekundą wiał ciepły wiatr i słońce zachodziło za chmurę, a teraz nastąpił istny potop. Krople były ciepłe i ogromne. Zmoczyły chodnik, spadając z pluskiem w kurz, mieszając się i spływając razem z nim. Równocześnie zaczęła unosić się para, a stęchły zapach wilgoci wypełnił powietrze.

Summer, odczuwająca naturalną euforię wywołaną dobrze zagraną sceną, wybiegła z piskiem na ulicę i zaczęła się kręcić jak fryga z rozkrzyżowanymi rękami i głową uniesioną tak, że deszcz padał jej na twarz. Julie nie mogła się powstrzymać i uśmiechnęła się na widok jej radości, a potem pobiegła i schowała się pod jakąś markizę. To było zaraźliwe. Sama była gotowa wybiec na deszcz i przyłączyć się do Summer.

W chwili gdy tak pomyślała, rozległ się przeraźliwy, zwierzęcy wrzask:

- Nie! Nie! Ty idiotko! Nie!

To krzyczała Annette, biegnąc od strony karawaningu. Machała rękami, a jej stopy rozpryskiwały błoto i wodę pokrywające już chodnik. Annette miała dziki wyraz oczu i otwarte usta. Włosy przylepiły jej się do czaszki, a wiotkie bawełniane spodnie, zupełnie przemoczone, zwisały na chudej sylwetce jak pranie na sznurze. Z twarzy Summer zniknął uśmiech. Dziewczynka zaczęła się cofać. Annette dopadła do niej. Chwyliła ją i szarpnęła, przyciągając do siebie, a potem uderzyła córkę w twarz.

- Ty idiotko! Ja cię nauczę. Nie będziesz robiła z siebie widowiska! Nie wolno ci chorować, słyszysz? Nie wolno ci! Bo jak zachorujesz, to kto zarobi na życie?

Annette potrząsała dziewczynką. Summer wyglądała przy niej jak szarpany wiatrem strach na wróble. Dziewczynka usiłowała się wyrwać. Annette zaczęła ją bić. Przeklinała i wygrażała córcie. Summer krzyczała, błagając matkę, żeby przestała, i ze zrećznością płynącą z doświadczenia unikała ciosów, szarpiąc się na uwięzi i starając się wyrwać.

Julie, przerażona okrucieństwem tego ataku i szaleństwem w głosie Aimette, stała przez kilka chwil bez ruchu. Potem jednak wybiegła na deszcz i przeskoczyła przez krawężnik na zagrodzoną ulicę. Chwyła Annette za ramię i potrząsnęła nią krzyżąc, żeby przestała. Równocześnie z drugiej strony nadbiegł Rey, przeskakując przez sznury, krzesła i skrzynie z narzędziami.

Bardzo szybko znalazł się przy nich. Wyrwał Annette z rąk Julie i przytrzymał jej ręce za plecami. Summer upadła. Wylądowała na wznak na mokrym bruku. Popatrzyła na matkę, a potem jej twarz - całą czerwoną, tylko z bladą obwódką wokół ust - zalały łzy. Zerwała się nagle na równe nogi i puściła się pędem, jakby chciała prześcignąć burzę i wściekłość matki.

Julie spojrzała na Reya. Jego twarz przypominała maskę, na której malował się wyraz obrzydzenia. Czuł wstręt do kobiety, którą przytrzymywał. Jego wzrok pobiegł za Summer. Julie obróciła się na pięcie i puściła się w pogoń za dziewczynką.

Złapała ją za ostatnim karawaniem i za ciężarówką z generatorem, na skraju jezdni, którą pędziły samochody, rozpryskując wodę. Bez słowa przyciągnęła dziewczynkę do siebie, mocno ją obejmując. Przez dłuższą chwilę napięte ciało Summer stawiało opór, a potem dziewczynka rozplakała się. Tuliła się do Julie, chowając głowę na jej piersi, wstrząsana szlochem. Julie głaskała ją po głowie, mrużąc coś uspokajającego, osłaniając ją własnym ciałem przed ulewą. Tuliła ją tak, dopóki obok nich nie zatrzymał się dżip i dopóki Rey nie wychylił się z niego, popędzając je, żeby wsiadły.

- Wiesz, co się mówi, prawda? - spytała Madelyn.

Piłowała sobie paznokcie, podczas gdy świeżo nalany szampan musował w kieliszku stojącym obok jej łokcia. Mówiła dość głośno, bo deszcz bębniący o metalowy dach klubu jachtowego i gwar głosów członków ekipy, siedzących naokoło jak w klubie studenckim, grających w karty, czytających książki albo po prostu chwalcących się własnymi osiągnięciami, zagłuszały wszystko. Ekipa skończyła pracę nad zdjęciami bagien podczas deszczu, mającymi się przydać w scenie, w której Madelyn szukająca obozowiska Jean-Pierre'a kąpie się w błocie.

- Tak, wiem - odpowiedziała Julie.

- Mówi się, że ten film jest pechowy - ciągnęła aktorka, jakby nie słysząc odpowiedzi Julie. - Najpierw śmierć kaskadera, później ten wypadek z Summer, a teraz znowu Annette w szpitalu na "obserwacji", chociaż dobrze wiemy, że przekroczyła dawkę kokainy i alkoholu i dlatego wpadła w szal. W każdym razie ta sprawa z Annette to ostatnia kropla. Wszyscy mówią, że będzie katastrofa, chyba że stanie się coś, co odwróci złą passę.

- A czy ci wszyscy mają jakiś pomysł? - spytała Julie ironicznie.

- Czy potrafisz znaleźć jakąś radę?

- Tą radą jest Bull - padła obcesowa odpowiedź. - Wszyscy uważają, że on może wszystko zmienić.

- To wzruszające słyszeć, jakim darzą mnie zaufaniem. Madelyn podciągnęła czarny, narzucony na ramiona sweter, który zsunął się jej z jedwabnej czarnej bluzki.

- No cóż, taki już jest showbiznes: lojalność do końca, albo do chwili gdy następuje katastrofa. Ale tak poważnie - czy to nie zostało zaplanowane w górze? No bo po co on by tu przyjeżdżał? - Z wizytą.

- No tak, oczywiście. A ty masz w zanadru jakieś wspaniałe pomysły, które chcesz sprzedać.

- Ja ... myślałam o zasięgnięciu jego opinii w kilku sprawach.

- Wiedziałam! Mnie nie można oszukać, Dość długo żyję w tym środowisku i mam do czynienia z tymi ludźmi w różnych sytuacjach, nie wyłączając łóżka i stołu konferencyjnego. Wiem, że góra zaczyna się denerwować, kiedy coś jest nie tak. I zwykle zaczyna od tego, że chce zmienić gwiazdę albo reżysera. Szczerze mówiąc, kochanie, wolałabym, żebyś to ty odeszła.

Julie uśmiechnęła się w duchu na myśl, że Madelyn uważa, że to ona oczywiście jest tu gwiazdą. Aktorka na pewno nie byłaby zadowolona, gdyby ktoś jej powiedział, że tylko staż pracy daje jej tytuł do uzurpowania sobie prawa do tej pozycji.

- Jak się ma Summer? :... pytała dalej Madelyn.

- Dobrze. Świetnie się rozumieją z ciotką Tine. Piekły razem piernik. Mam nadzieję, że jutro rano siniaki na jej twarzy zbledną do tego stopnia, że będzie je można przykryć makijażem.

- To miłe ze strony tej staruszki, że wzięła ją do siebie na czas pobytu Annette na odtruwaniu.

- To był pomysł Reya.

- Ale ona nie musiała się na to zgodzić - zauważyła Madelyn.

- Po krótkiej przerwie dodała: - Może nie powinnam o tym mówić, ale nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że to Vance dał Annette to, co ją doprowadziło do takiego stanu. On sam też ostatnio był niewyraźny. No i między nimi coś było, spotykali się rano przez parę dni, dopóki nie pojawiła się ta dziennikarka. Annette jest o parę lat starsza od niego, ale jakie to ma znaczenie, prawda? On zaczął oglądać się za inną, a dla niej to był cios.

Julie kiwnęła głową ze zrozumieniem. Sama miała podobne podejrzenia.

- Czy nie sądzisz, że ona mogła celowo przedawkować? - spytała.

- Trudno to stwierdzić. Możliwe, że brała coraz więcej, bo czuła się zraniona. Ale żeby wydawać tyle pieniędzy na środek przeciwbólowy? Te miliardy dolarów, które na to idą, na to, żeby ludzie mogli się oszalać ... Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Pomyśl, ile za to można by było kupić ubrań i biżuterii, samochodów i domów! Nic dziwnego, że ludzie handlują narkotykami, skoro można na tym tak łatwo robić pieniądze...

- Jeżeli zniknie popyt, zniknie też podaż, a także ci, którzy towaru dostarczają - rzekła Julie jak gdyby do siebie.

- Co takiego?

- Nic. Powtórzyłam tylko to, co ktoś kiedyś powiedział.

Madelyn patrzyła na nią przez chwilę, a potem, wzruszając ramionami, odłożyła pilnik.

- Wiesz, myślałam o starym, drogim Bullu. Może powinnam z nim porozmawiać, przypomnieć mu nasze dawne czasy. To by mogło mieć dobry wpływ na parę następnych scen filmu. Co ty na to?

- Wątpię, naprawdę wątpię - odparła Julie szczerze.

- Ach, kto nie ryzykuje, ten nic nie ma.

Madelyn wstała z krzesła i ruszyła do drzwi. Jej bransoletki dzwoniły, gdy przyglądała sobie włosy i obciągała sweter, obcasy stukwały na twardej podłodze, a jedwabna czarna spódnica furkotała wokół kolan. Julie popatrzyła na nią z odrobiną współczucia. Zastanawiała się, czy Madelyn zdaje sobie sprawę, że jej zamiłowanie do ubiorów, biżuterii i innych pięknych rzeczy jest swego rodzaju uzależnieniem. Pomyślała, co by było, gdyby ona w wieku lat czterdziestu była uważana za skończoną, gdyby musiała chodzić na paluszkach wokół różnych szyszek albo przymilać się do mężczyzn takich jak Bull, by dostać rolę. Nie byłaby dobrą aktorką, nie miała dostatecznego hartu ducha potrzebnego do tego zawodu.

- Myślałem, że nigdy się nie odczepi.

To był Stan, który kuśtykając podszedł i usiadł na krześle zajmowanym przed chwilą przez Madelyn. Trzymał plastikowy kubek z kawą, wielkości wazonu, a w poźółkłych palcach miał jak zwykle papierosa.

- Madelyn jest w porządku - powiedziała Julie z uśmiechem.

- Oczywiście, ale nie chciałem mówić przy niej. Ani przy nikim innym, jeżeli już o to chodzi.

- Może wyjdziemy na zewnątrz? Tutaj jest jak w palarni. Przeszli przez salę, opuścili ją i stanęli pod metalowym daszkiem osłaniającym wejście. Powietrze, które owionęło im twarze, było świeże i wilgotne. Deszcz przypominał grube warstwy szarej draperii falującej na wietrze. Bębnienie kropel o daszek było głośne, jednak hałas ten nie był aż takim hurgotem, jaki dawał się słyszeć wewnątrz, w zamkniętej przestrzeni. Julie oparła się o ścianę i czekała.

- Czy ja dobrze słyszałem? Czy Bull rzeczywiście się do nas przyłącza? - spytał Stan, gwałtownie wyrzucając z siebie słowa. - Chyba tak, chociaż jeszcze o tym nie powiedziałam ani jemu, ani nikomu innemu.

- Więc nie rób tego.

- Co takiego?

- Słyszałaś. Nie rób tego. Jeżeli to zrobisz, ja się stąd zabieram.

- Dlaczego?

- Wiesz dlaczego. Nie lubię Bulla. Nigdy go nie lubiłem. I nie będę z nim pracował. - Jego twarz była ponura. Stan naprawdę myślał tak, jak mówił. Julie poczuła, że ogarnia ją zmęczenie. Musiała złączyć kolana, żeby się pod nią nie ugięły.

- Pracujesz już przy tym filmie tak długo - powiedziała spokojnie - i tak mało zostało do zrobienia. Dlaczego nie zaciśniesz zębów i nie zostaniesz?

- Nie mogę. Moja skóra może nie jest wiele warta, ale ja ją cenię.

Fakt, że postawił takie ultimatum i że nie chciał nawet rozważyć tego, co mu powiedziała, wzbudził w niej gniew. Tego już było za wiele, miała przecież inne problemy, a ten okazał się kroplą przepełniającą czarę

- O czym ty mówisz? Czy wolno mi wiedzieć? Bo jeżeli nie, to przyjmij do wiadomości, że nie rozumiem.

- Tu chodzi o coś; co jest między mną a Bullem, o coś z zamierchłej przeszłości. Jeżeli chcesz wiedzieć, o co chodzi, to zapytaj jego. Zapytaj go wtedy, kiedy już będzie gdzie indziej, a nie tutaj.

- Ja nie chcę pytać Bulla. Chcę, żebyś ty mi to powiedział, bez owijania w bawełnę. O co chodzi?

Milczał, przygryzając wewnątrz dolnej wargi i patrząc na deszcz.

Oczy, wokół których miał czerwone obwódki, latały mu, jakby szukał drogi ucieczki.

- No więc? - spytała Julie.

Nie powiedział nic, spojrzał tylko na nią, potem odwrócił wzrok, a jego dłonie zwinęły się w pięści.

- No dobrze - odezwała się Julie - nie musisz nic wyjaśniać.

Ale nie możesz się spodziewać, że powiem Bullowi, by się wynosił, bo ty tak kazałeś.

Wyduł wargi wzdychając, a potem zwilżył je językiem. Jednak kiedy Julie odepchnęła się od ściany i odwróciła się, żeby wejść do środka, powiedział:

- To dotyczy twojej matki.

Julie nie potrafiła określić, czego się spodziewała, była jednak pewna, że nie tego. Odwróciła się sztywno, jakby była maszyną poruszaną zardzewiałym mechanizmem.

- Co moja matka mogła mieć z tym wspólnego?

- Miała romans. Ze mną.

Julie nic nie powiedziała. Nie mogła wydobyć z siebie słowa.

Usiłowała wyobrazić sobie matkę - tę wrażliwą kobietę kochającą kwiaty, antyki i stare domy, kobietę z tym subtelnym poczuciem humoru - zaplątaną w romans ze Stanem, spotykającą się z nim potajemnie; usiłowała wyobrazić ich sobie razem, spoconych, w uścisku. Usiłowała i nie mogła.

- Nie bądź taka zdumiona. Kiedyś byłem inny. Wszyscy byliśmy inni.

- Jak to było? - spytała Julie ledwie wydobywając z siebie głos.

- Bull uganiał się jak zwykle za gwiazdą grającą w jego filmie, pretensjonalną blondyną. Ja byłem głównym kaskaderem w tym filmie. Bull posłał mnie, żebym zabrał twoją matkę na jakieś przyjęcie, a sam został na noc z blondyną. Twoja matka była piękną kobietą, ty jesteś bardzo do niej podobna. Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia i później zacząłem ją odwiedzać. Twoja matka dowiedziała się o blondynie i postanowiła odegrać się na Bullu. Chciała zadać mu jak największy ból. Ja byłem pod ręką. I to wszystko, naprawdę, chociaż ona wiedziała, co do niej czuję. Uważałem, że i tak miałem szczęście.

- No dobrze, mieliście romans. Ale nie widzę powodu...

- To nie wszystko. Twoja matka nie umiała dochować tajemnicy. Zresztą nie wiem, czy chciała, żeby to było tajemnicą. Bull się dowiedział. Kilka dni później wyjechał w teren kręcić western. Ja też pojechałem. Bull dał mi zadanie kaskaderskie. Miałem skoczyć z wozu wiozącego dynamit dla kopalni złota. Wóz miał spaść ze skały i eksplodować przy uderzeniu. Powiedziałem mu, że to zbyt niebezpieczne, ale on się upierał, że to będzie świetna scena. Dynamit eksplodował za wcześnie. Skoczyłem i dlatego jestem teraz kulawy. Ale miałem szczęście, nie

zginąłem.

Julie patrzyła na Stana, nie poruszając się.

- Więc więc twierdzisz, że Bull wiedział o twoim romansie z matką i dlatego celowo naraził cię na to niebezpieczeństwo?

- Tak to mniej więcej wygląda.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Uwierz w to, bo on to naprawdę zrobił. Muszę jednak przyznać, że był wtedy wyprowadzony z równowagi. Bo widzisz, twoja matka nie chciała mu powiedzieć, czy dziecko, które nosi, jest moje czy jego.

- A powiedziała tobie?

Nawet w jej własnych uszach pytanie to zabrzmiało bardzo cicho. Dobrze, że ściana, o którą się opierała, była mocna, bo Julie poczuła, że same nogi nie są w stanie jej utrzymać.

- Powiedziała mi, że jesteś Bulla. Ale ja mimo to zastanawiałem się, czy to prawda.

- Dlaczego?

- Twoja matka była kobietą niezwykłą. Myślę, że nie chciała, żebym czuł się zobowiązany. Po wypadku z wozem odeszła od Bulla. Odeszła od niego z powodu tego wypadku i wróciła tutaj, do Luizjany. Mówiła, że nie mogłaby żyć z człowiekiem, który jest prawie mordercą.

Samochód Julie jechał nocą wzdłuż ciemnej, podwójnej wstęgi autostrady międzystanowej nr 10. Większość samochodów jadących jeden za drugim autostradą między Nowym Orleanem a stolicą stanu, Baton Rouge, mijają ją tak, jakby stała w miejscu. Reflektory przedzierały się przez deszcz, a tylne światła zamazywały tworząc czerwone smugi.

Julie nie spieszyło się zbytnio do miejsca, do którego zmierzała.

Ogarnęły ją dawno zapomniane myśli samobójcze. Jednostajnie cykające wycieraczki nie były w stanie oczyścić przedniej szyby. Na wpół zahipnotyzowana ich monotonnym dźwiękiem, Julie patrzyła prosto przed siebie, starając się zachować przytomność umysłu i równocześnie nie będąc w stanie powstrzymać nieustannego przepływu myśli.

Nigdy nie była wysokiego mniemania o Bullu jako ojcu. Dlatego między innymi zawsze zwracała się do niego po imieniu. Uważała, że nie zasługuje na "tatę" czy "tatusia", bo wtedy gdy powinien był na to zapracować, nie było go przy niej. Wtedy, w dzieciństwie, nie godziła się z tym, że go nie ma, nie godziła się z tym, że na urodziny i na Boże Narodzenie przysyłał tylko prezent albo liścik z pieniędzmi. Czasami nienawidziła go za to, że opuścił ją i matkę, i nigdy nie kwestionowała swojego prawa do tej nienawiści. Czytała w gazetach i magazynach ilustrowanych o jego wspaniałym życiu w Hollywood, Nowym Jorku i Europie, gdzie robił filmy, i często ciskała te pisma na podłogę z pogardą i wściekłością nastolatki. Kiedy żyła matka, obie były wrogo nastawione do świata i, w pewnym stopniu, do mężczyzn, zwłaszcza takich jak jej ojciec.

Później, kiedy matka zmarła, zaproszenie Bulla do Los Angeles zaskoczyło Julie. Z drugiej strony wydawało jej się, że po latach opuszczenia należy jej się to. Uważała za rzecz oczywistą, że ojciec powinien ją ubierać, dawać pieniądze na naukę i samochód, finansować pierwsze próby filmowe. Równocześnie nie chciała przyznać, że ma prawo do jakiegokolwiek władzy nad nią, że ma prawo wtrącać się do tego, co robi. Nic więc dziwnego, że nie było im łatwo mieszkać razem przez te kilka lat i że się w końcu rozstali.

Historia, którą opowiedział Stan, zmieniała wszystko. Jeżeli Bull nie miał pewności, czy jest jego córką, to cudem było, że kiedykolwiek pamiętał o jej urodzinach albo myślał o niej przy okazji świąt. To, że ją zaprosił, by z nim mieszkała, było zdumiewające. Cudem też było to, że nigdy, nawet w największym gniewie, nie wspomniał, że być może Julie nie jest z jego krwi i kości. Teraz ich związek wymagał ponownego przemyślenia. Postanowiła natychmiast powiedzieć Bullowi, że może z nią pracować. Nie mogła mu tego odmówić.

Z drugiej jednak strony ...

Bull co prawda doznał krzywdy, nie był jednak niewinny. Próbował pozbawić Stana życia, albo co najmniej naraził go na niebezpieczeństwo, mając nadzieję, że Stan - podobnie jak mąż Batszeby wysłany na bitwę przez Dawida - nie przeżyje.

Tylko czy Jak było naprawdę? Na potwierdzenie tego Julie miała jedynie słowo Stana, a Stan nie był obiektywny. Kochał jej matkę, ale został wykorzystany i odrzucony. Mógł się czuć rozgoryczony i gniew skierował przeciwko Bullowi.

Julie uważała, że musi o tym wszystkim porozmawiać z ojcem.

Nie było wyjścia. Tyle dla niej zrobił. Musiała dać mu szansę wytłumaczenia się.

Ale jeśli on się przyzna, że było tak, jak mówi Stan? W jaki sposób dokona wyboru między Stanem a Bullem, między dwoma mężczyznami, którzy kochali jej matkę i z których każdy mógł być jej ojcem?

Zamajaczył przed nią zielono-biały drogowskaz, wskazujący zjazd na Gonzales. Julie wyrzuciła kierunkowskaz. Po kilku minutach skręcała już na podjazd motelu i okrążała budynek z czerwonej cegły, u którego stóp rosły mokre od deszczu jałowce. Zajechała na parking. Siedziała przez chwilę w samochodzie, robiąc dla uspokojenia kilka wdechów i wydechów, a potem wyłączyła silnik i reflektory i wysiadła.

Musiała przebiec odległość dzielącą ją od rzędu oświetlonych' drzwi, bo nie pomyślała o tym, żeby wziąć ze sobą parasolkę. Strząsając krople z włosów i ramion, ocierając twarz dłonią, dwa razy sprawdziła numer na drzwiach, a potem podniosła rękę i zapukała.

Drzwi otworzył Bull z gazetą w ręce. Patrzył przez parę wąskich szkieł w złotych drucianych oprawkach, które zsunęły mu się na sam czubek nosa. Kiedy zobaczył Julie, zerwał okulary i odrzucił gazetę, a potem otworzył szeroko drzwi.

- Wchodź, dziewczyno, wchodź, bo się utopisz! Co, do diabła, robisz poza domem w taką noc? Jadłaś kolację? Zamówię ci pizzę albo coś innego. Nie, nie sprzecaj się ze mną, do cholery. Dlaczego ty zawsze dyskutujesz? - Podszedł do telefonu. Wykręcając numer opadł na ogromne łożo. - Napij się piwa, dobrze ci to zrobi - powiedział przez ramię. Mam tylko Coors. Było trochę ciemnego niemieckiego w karawaningu, ale Ofelia je zwędziła, przenosząc się do Vance'a. Nie musiała tego robić. Ja bym się z nią podzielił i piwem, i karawanikiem.

Kiedy zamówił już to, co chciał, odwrócił się i zobaczył, że Julie nalewa sobie małą szklaneczkę Jacka Danielsa. Odłożył słuchawkę i powiedział:

- Nie wiedziałem, że pijesz to świństwo.
- Zwykle tego nie robię.
- I dobrze, bo to wyżera człowiekowi wątrobę. A dlaczego teraz to robisz?

Julie nie mogła sobie wymarzyć lepszego zagajenia rozmowy.

Powiedziała dlaczego.

- Boże - jęknął Bull, kiedy skończyła. - Popatrzył na nią z łóżka, na którym wciąż siedział. A potem nagle wstał i podszedł do tacy z drinkami. Nalał sobie dużego Jacka Daniel'sa. Wychyliwszy sporą jego porcję, odezwał się znowu: - Boże drogi.

- Ja zareagowałam prawie tak samo - powiedziała Julie.

- Nie mogę uwierzyć, że Stan ci to wszystko powiedział. Po latach milczenia. Nie mogę uwierzyć, że powiedział ci takie rzeczy o twojej matce, bo on ją uwielbiał.

- Miał swój powód. Bał się, że ty zaczniesz pracę przy filmie, że będziesz znów jego szefem.

Bull mruknął coś, a potem roześmiał się tubalnie.

- Idiota. Powinien się był zorientować przed laty, że gdybym chciał go zabić, to wziąłbym pistolet i strzeliłbym mu w łeb. Po co miałbym zawracać sobie głowę i czekać, aż zdarzy się wypadek w trakcie kręcenia sceny z jego udziałem? To nie dawałoby mi pewności.

- To znaczy, że nie próbowałeś go zabić?

- Do diabła, oczywiście, że nie. Ta myśl przyszła mi do głowy, to prawda. Ale kiedy twoja matka powiedziała mi, co zrobiła i dlaczego, wiedziałem, kto jest temu, winien.

- Ona?

Bull pokręcił głową i pociągnął kolejny łyk.

- Nie, ja.

- Ale według Stana matka rzuciła cię, bo usiłowałaś go zabić.

- Rozmawialiśmy na ten temat. Powiedziałem jej, tak jak teraz mówię tobie, że tego nie zrobiłem. Może ona mi nie uwierzyła, nie wiem. Zawsze myślałem, że mnie opuściła, bo miała mnie dosyć. Mnie i tego, co robiłem w Los Angeles; miała dosyć tego wszystkiego. W Los Angeles czuła się zawsze nie u siebie, tęskniła za Luizjaną, za rodziną, za wiejskim życiem, za życiem tam, gdzie wszyscy znali ją i gdzie ona знаła wszystkich.

- Tak, to możliwe - zgodziła się Julie, gdyż Bull patrzył na nią tak, jakby się spodziewał, że coś powie.

- Ja tylko jednego nie rozumiem: dlaczego nie wyszła za Stana.

Skoro była taka pewna, że to z jej powodu został kaleką. Zresztą to w jej stylu, uznała widocznie, że zasłużył na taką nagrodę.

- Prawdopodobnie przypuszczała, że on oświadcza się jej z litości, i nie chciała, by Czuł się zobowiązany do utrzymywania jej i mnie, tak przynajmniej uważa Stan. Pamiętam zresztą, że kiedy byłam mała, sama ją pytałam, dlaczego nie wyszła ponownie za męża. Odpowiadała zawsze, że jedno małżeństwo jej wystarczy.

- To cała ona.

Julie, patrząc na Bulla ruszającego szklanką w taki sposób, że trunek w niej wirował, pomyślała, że trudno jest poznać innych ludzi, nawet najbliższych, a może zwłaszcza najbliższych. Nigdy by się nie domyśliła, że Bull i matka tworzyli wraz z kimś trzecim niebezpieczny trójkąt miłosny. Nie wyglądali na takich. Nie mieli nie spełnionych marzeń, nie było w nich skrywanych namiętności ani też żadnego tragizmu, jaki zwykle towarzyszy podobnym sytuacjom.

Jeżeli wierzyć Bullowi, ta zdrada była czymś przyziemnym i raczej smutnym.

Przyniesiono pizzę. Była niezła, ciepła, posypana serem. Jedząc Julie uświadomiła sobie, jaka jest głodna, jaką pustkę i chłód odczuwała od czasu rozmowy ze Stanem. Równocześnie zdała sobie sprawę, że wierzy Bullowi. Nie była pewna, czy dlatego, że to, co mówił Bull, było bardzo logiczne, czy też dlatego, że ma wewnętrzną potrzebę uwierzenia mu. W każdym razie miała wielką ochotę uznać cały ten rozegrany dawno temu epizod za nieporozumienie.

- Pomyślałam - zaczęła, kiedy skończyła drugi kawałek pizzy i sięgnęła po następny - że mogłabym zakończyć zdjęcia o tydzień wcześniej albo nawet jeszcze szybciej. Sceny, które pozostały jeszcze do zrobienia,

miały tworzyć atmosferę, charakteryzować bliżej postacie. Nie są jednak potrzebne do pokazania przebiegu akcji.

Bull pociągnął piwa z puszkę, którą właśnie otworzył.

- Dlaczego chcesz wprowadzić zmianę?

- Powiedziałam ci - odparła, nie patrząc na niego. - Kręcąc te sceny, zwiększę tylko koszty, nie wnosząc nic konkretnego.

- Co ty mówisz? Zaczynasz eliminować sceny i zepsujesz film.

Ten film przestanie być taki, jaki sobie zaplanowałaś. A poza tym zbuntują ci się aktorzy. Madelyn już tu była i obiecywała mi Bóg wie co, jeżeli dodam jej parę kwestii i kilka stóp taśmy. Jeżeli coś wytniesz, będzie się darła tak głośno, że usłyszą ją na granicy Teksasu z Nowym Meksykiem. Mówię poważnie, ona potrafi być złośliwa.

- Nie ma na to rady.

- Mylisz się. Musisz trzymać się tego, co zaplanowałaś. Uważałaś, że te sceny są potrzebne, więc dlaczego teraz chcesz je wyrzucić? A może straciłaś odwagę?

- Odwagę? O czym ty mówisz?

- O dwóch rzeczach. Albo straciłaś wiarę we własną wizję albo ... po prostu się boisz.

- Dobrze, boję się. Zadowolony jesteś? Usiadł wygodniej na krześle.

- Boisz się? Czego? Czy wiesz, czego się boisz?

- Tak, wiem! - krzyknęła. - Boję się, że ktoś jeszcze zginie na planie. Boję się też, że ktoś zostanie ranny albo okaleczony, albo zwariuje na moich oczach. Boję się, że ktoś mi zabierze ten film. Boję się też, że przekroczę budżet i potem będę mogła kręcić tylko reklamówki. Obawiam się wreszcie, że ktoś na mnie czyha, usiłuje doprowadzić do tego, żeby mi się nie udało ...

- Co? - zapytał Bull tak głośno, że zdołał ją przekrzyczeć. Julie odstawiała pizzę i oparła łokieć na stole, a głowę na dłoni. - Słyszałaś.

- No tak, słyszałem. Ale w to nie wierzę.

- Ja też czasami w to nie wierzę - odparła, prostując się i patrząc na niego z wściekłością - ale rozsądek powinien ci podpowiedzieć, że dzieje się bardzo źle. Jeżeli to nie są działania kogoś, kto chce się na mnie zemścić, to zupełnie nie wiem, jak to wszystko wytłumaczyć.

- Powiedziałaś o tym Allenowi?

- Nie mówiłam o tym nikomu.

- Aha.

- Nie chcę się ośmieszyć - mruknęła, unikając wzroku Bulla.

Wziął ją za rękę.

- Ale nie masz nic przeciwko temu, żeby się ośmieszyć przede mną?

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

- Ty jesteś Bull, ty ...

Nagle przypomniała sobie. Uśmiech zniknął z jej twarzy. Spojrzała w dół, na jego dużą dłoń leżącą na jej dłoni, przyjrzała się długim palcom, porastającym je włoskom, kształtowi paznokci.

- O co chodzi? I

- Sjan mówił ... mówił, że matka powiedziała mu, że ja jestem twoją córką.

- Oczywiście, że jesteś. A czyja miałabyś być? Jego ton był ciepły, trochę pobłażliwy.

- W każdym razie nie jego.

- Ach, o to chodzi. Zapewniam cię, Julie, twoja matka nie była święta, ale nigdy nie umiała kłamać. Nie chciała mi powiedzieć, czyje nosi dziecko, ale nie powiedziała też, że to dziecko nie jest moje. Rozważyłem, jakie było prawdopodobieństwo ... wiesz, tu było zaledwie parę nocy, a tu wszystkie dnie i noce wypełnione miłością. Nigdy nie miałem poważniejszych wątpliwości.

Julie roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać. To był cały Bull- człowiek ogromnie praktyczny i nie lada egoista. Uświadomiła też sobie, że mówiąc to kierował się życzliwością, W jej oczach zabłyśły łzy. Kiedy popłynęły po jej policzkach, otarła je wierzchem dłoni.

- No, no, tylko nie to - powiedział Bull zmieszany.

- Nie, nie będę, ale wiesz co? Doceniłam cię o wiele bardziej, kiedy uświadomiłam sobie, że płaciłeś za moją szkołę i nauczyłeś mnie swojego fachu myśląc, że może jestem dzieckiem innego mężczyzny.

- O, cholera! - Wyprostował się na krześle. Julie uśmiechnęła się przez łzy.

- No wiesz, musiałam się nad tym zastanawiać. Stan przecież przyjeżdżał i widywał mnie. A ty nigdy tego nie robiłeś.

Bull popatrzył na puszkę z piwem, którą trzymał w ręce.

- Myślałem o tym często, ale wiedziałem, że twoja matka nie chce, żebym przyjeżdżał i wyprowadzał was z równowagi. Poza tym łatwiej było nie jechać wcale niż pojechać tam, zobaczyć cię i zaraz się wynosić. Jednak zawsze posyłałem alimenty.

Julie uświadomiła sobie, że Bull uważa to za powód do dumy i za coś w rodzaju pocieszenia.

- Rzeczywiście, robiłeś to - przytaknęła miękko.

Chciała mu w tym momencie powiedzieć, że dopuści go do współpracy. Jednak powstrzymała się, przypomniawszy sobie o kokainie znalezionej w karawaniu. Uznała, że musi z nim o tym porozmawiać, musi się dowiedzieć, co to znaczy. Tyle że w tej chwili nie wydawało się to możliwe. Nie mogła się zmusić do powiedzenia czegoś, co zburzyłoby istniejące między nimi serdeczne porozumienie, czegoś, co zakłóciłoby atmosferę pełną miłości. Uznała, że trzeba jeszcze jeden dzień poczekać. Jeden dzień to nie tak długo.

Skończyli jeść pizzę i zbierali palcami ostatnie kawałeczki grzybów, kielbasy i cebuli, kiedy Bull odchrząknął.

- Co zatem zrobisz ze Stanem? - zapytał.

- Nie wiem - odparła, wkładając sobie do ust kawałek kiełbasy z pepperoni i jedząc ją w zamyśleniu. - Chyba spróbuję z nim porozmawiać. Powiem mu, co ty mi powiedziałaś.

- Pozwól, że ja z nim porozmawiam. Może już przyszedł na to czas.

Spojrzała na Bulla szeroko otwartymi oczami. - Jeżeli chcesz ...

- To nie powinno zaszkodzić. Jeżeli mnie się nie uda, wtedy ty możesz przejąć inicjatywę.

- Kiedy się z nim zobaczysz?

- Może jutro. Dziś już jest za późno. A poza tym muszę się zastanowić, co powiedzieć i jak się do tego zabrać.

Wkrótce potem Julie wychodziła z motelu. Gdy była już w drzwiach, cofnęła się i objęła Bulla, ściskając go zdecydowanym ruchem. On odwzajemnił uścisk, przytulił ją do siebie i niechętnie wypuścił z ramion. Pocałowała go pospiesznie w policzek, uśmiechając się łagodnie, a potem odwróciła się i wybiegła na deszcz.

- Uważaj na siebie! - krzyknął za nią.

Zamknął drzwi dopiero wtedy, gdy była bezpieczna w samochodzie i wyjeżdżała z parkingu.

Następnego dnia wrócili do filmowania scen w mieście. Wczesnym rankiem kręcili sceny w sklepach z ubraniami i butami, a pozostałą część dnia wykorzystali na scenę wesela. Na drugi dzień mieli kręcić scenę, w której Madelyn i Vance czuwają nad Summer w szpitalu, po wypadku, do którego o mały włos naprawdę nie doszło. Mieli też prawdopodobnie wziąć się za tę, w której Summer, grająca Alice, wychodzi z łóżka w szpitalu i ucieka, a potem chowa się na bagnach, chcąc zmusić rodziców, żeby przestali się o nią kłócić i szukając jej zaczęli współdziałać.

Julie nie była pewna, czy chce się już brać za tę scenę. Zastanawiała się nad nią jeszcze, zwłaszcza nad szczęśliwym zakończeniem, będącym wynikiem starań Alice. Obserwując interakcje aktorów grających postacie i widząc, jak niebezpieczne są bagna, doszła do wniosku, że takie zakończenie jest nierealistyczne.

Nie należała nigdy do zwolenników poglądu, że szczęśliwe zakończenie jest automatycznie mniej wartościowe i ma mniejszą rangę artystyczną niż nieszczęśliwe. Podobała jej się myśl, że Alice powinna wziąć swój los we własne ręce, że powinna zrobić coś, co wymusi szczęśliwe zakończenie i doprowadzi ją do osiągnięcia upragnionego celu. A jednak Jean-Pierre i Dorothea nie mogli nagle się pogodzić i pokochać na nowo. Byłoby to sprzeczne z ich charakterami.

Julie doszła do wniosku, że może powinna wymyślić coś innego.

Tak, powinna to zrobić, i to szybko.

Po zdjęciach pojechała do swojego biura i tam przez parę godzin siedziała z Ofelią i Stanem nad rozkładem zajęć na następny dzień. Kiedy współpracownicy już sobie poszli, została sama. Siedziała przy biurku i bazgroliła w żółtym notatniku. Rzuciła na papier różne pomysły, od rozwiązań wyświechtanych i schematycznych po wydumane. Stosowała grę wolnych skojarzeń, usiłując znaleźć coś nowego, co będzie dobrym zakończeniem. Ale nie szło jej to.

Słyszała, jak parking się opróżnia, jak wyjeżdża samochód za samochodem, jak odjeżdżają ciężarówki. Słyszała, jak oddaliła się ciężarówka dostarczająca żywność, ale pracowała dalej. Tego wieczoru ciotka Tine grała w bingo, a Rey rano przy śniadaniu wspomniawszy coś o jakimś zebraniu dotyczącym interesów w Nowym Orleanie. Nikt więc na nią w domu nie czekał.

W ostatnich dniach Rey często miał takie zebrania. Widywała go rzadko. Z powodu deszczu nie mogli kręcić żadnej z pozostałych dynamicznych scen, więc Rey Julie był potrzebny na planie. Julie wciąż nie mogła zaakceptować jego drugiego życia, które wiódł w Nowym Orleanie. Dla niej od początku był tak zdecydowanie Szcurem Bagiennym, że wciąż na nowo musiała się przyzwyczajać do myśli, że jest nie tylko nim.

Jakieś dwie godziny później przyszedł jej do głowy pomysł na zakończenie filmu. Zapisała go tak szybko, jak tylko potrafiła, dodała kilka ozdobników, a potem usiadła, uśmiechając się do siebie. Zakończenie było dobre, bardzo dobre.

Ależ nie, wcale nie było dobre.

Dorothea w wykonaniu Madelyn nie była typem kobiety, która pozwoliłaby, żeby sentymenty długo rządziły jej sercem. Znaleźć córkę na bagnach po jej ucieczce, a potem pozwolić Jean-Pierre'owi uratować dziewczynkę - nie, to nie było do niej podobne.

Julie wyrwała kartki z notatnika, zwinęła je w kulkę i cisnęła do kosza na śmieci.

Była zmęczona. Oczy ją piekły, bolał kark i zeszywniała tak, że trudno jej było chodzić.

Wstała z krzesła i wzięła torbę. Idąc do drzwi, szukała kluczy.

Zamknęła biuro i przeszła do drzwi zewnętrznych, a potem zamknęła je na klucz. Zeszła powoli po schodkach przyczepy, patrząc w górę na nocne niebo. Po raz pierwszy od paru dni było czyste. Zrobiło się też chłodniej. Gwiazdy świeciły nisko, a zachodzący księżyc w pełni był pomarańczowy jak dynia.

Wynajęty Buick Julie stał zaparkowany koło ręcionej latarni na skraju parkingu, w miejscu najbardziej oddalonym od bramy prowadzącej na drogę. Julie ruszyła w jego stronę; rozglądając się widziała wokół siebie pustkę i miała coraz większą pewność, że wszędzie jest bardzo cicho. Ucieszyła się, kiedy zobaczyła wartownika w metalowej budce o szerokich oknach. Siedział na krześle, bujając się na dwóch jego nogach, i czytał książkę w kieszonkowym wydaniu.

Julie podchodziła do samochodu, kiedy dotarł do niej jakiś znajomy dźwięk. Zatrzymała się, podnosząc jeszcze raz głowę, patrząc w ciemne niebo i słuchając jednostajnego warkotu zbliżającego się samolotu. Słyszała już ten dźwięk, podczas pierwszej nocy spędzonej w tej krainie bagien. Nie był to samolot pasażerski i nie był to odrzutowiec. Był to samolot prywatny, najprawdopodobniej hydroplan.

Może to handlarze narkotyków?

A może to handlarze narkotyków mający coś wspólnego z jej ekipą?

Ta myśl przyszła jej do głowy już wcześniej, nawet zanim znalazła torebkę z kokainą. A co do tej kokainy, to przecież nie przypadkiem znalazła się na terenie zajmowanym przez filmowców, nie przypadkiem też w pobliżu następowały jakieś zrzuty. Takie skupisko filmowców było jak ożywione mrowisko - ciężarówki i

pół ciężarówki różnych rozmiarów przyjeżdżały tu o każdej porze, obracano tu również niemałą gotówką. Takie skupisko stanowiło nie tylko nie lada kanał dla narkotyków, ale było też miejscem, w którym można pracować brudne pieniądze.

Julie nie miała oczywiście dowodu na to, że ma rację.

Samolot był czarnym cieniem na oświetlonym księżycem niebie, cieniem z czerwonymi i zielonymi mrugającymi światełkami. Brał właśnie zakręt daleko nad wierzchołkami drzew, leciał nisko i powoli. Zapaliły się reflektory do lądowania. Mimo dużej odległości Julie zobaczyła, że zabłyśły z przerażającą intensywnością. Zalała ją fala różnorodnych uczuć: miała wątpliwości i była ciekawa, czuła gniew i strach. Przeważał jednak gniew.

Nagle ruszyła biegiem do przyczepy, szukając równocześnie kluczy. Wbiegła po schodkach, otworzyła drzwi i wpadła do biura Ofelii. Drzwi nie były zamknięte na klucz - Ofelia nigdy nie zwracała sobie głowy takimi rzeczami. W środku, na tablicy, wisiały klucze do łodzi i ciężarówek. Julie przejrzała je, zastanowiła się, czy nie wziąć kluczy do jednej z łodzi z kabinami, ale zrezygnowała z tego, gdyż łódź była zbyt duża i zbyt głośna. Zauważyła przy tym, że na miejscu był tylko jeden komplet kluczy. Prawdopodobnie Stan miał ten drugi. Opatrzony niebieską etykietką klucz do firmowej ciężarówki, którą zwykle jeździł, wisiał na haczyku, tak jakby Stan był wciąż gdzieś w pobliżu. Dla jej celów lepszy był skif. Zerwała klucz z tablicy i wybiegła z przyczepy, zatrzymując się tylko po to, żeby zamknąć na klucz zewnętrzne drzwi.

W doku była przycumowana jedna łódź z kabiną. Spychając na wodę skif leżący na brzegu, Julie tylko rzuciła na nią okiem, a potem wskoczyła do skifu. Włączyła silnik i wyprowadziła skif z doku, a następnie skierowała go dziobem w dół rzeki. Zauważyła, że wartownik nawet nie wyjrzał ze swojej budki. Julie pokręciła głową, a potem spojrzała w górę, na nocne niebo.

Samolot zniknął, prawdopodobnie wylądował. Julie domyślała się gdzie. W pamięci miała kanał widziany z powietrza i łódź z kabiną wpływającą do hangaru stojącego tuż obok kanału. Musiała się tam dostać niepostrzeżenie.

Nagle rozległ się głośny plusk. Coś uderzyło o powierzchnię wody, posyłając fontannę kropeł na dwadzieścia stóp w górę. Julie odwróciła gwałtownie głowę. Serce podskoczyło jej w piersi i zaczęło walić.

A potem go zobaczyła. Aligator zsunął się z brzegu do wody i płynął w odległości jakichś sześciu stóp od jej łodzi, jak gdyby ścigając się z nią. Julie, drżąc, odetchnęła głęboko, ścisnęła mocniej ster i popatrzyła w dół rzeki.

Rey siedział nieruchomo, a tymczasem chmara komarów tak małych, że nie można ich było dojrzeć w ciemności, tańczyła wokół jego głowy i żerowała na twarzy i karku. Powinien był mieć więcej rozumu i nie wychodzić z domu bez środka przeciw komarom, no i nie zajmować miejsca pod nisko wiszącym konarem. Niestety, ten konar był jedyną możliwą osłoną. Reyowi przyszło do głowy, że będzie miał szczęście, jeżeli za koszulę nie wejdzie mu tarantula. Ale pomyślał też, że jeżeli wytrzyma jeszcze parę minut i samolot na kanale

zostanie rozładowany, będzie mógł wrócić do domu.

Deszcz przeszkodził w tej operacji. Wszystko szło wolniej i ciężar był potrójny, wskutek czego nie można było ładunku zrzucić, tylko trzeba było łądować. Takie rzeczy zdarzają się nawet najlepszym. Jednak operacja była dobrze zaplanowana. Nie było zbędnego gadania, nikt nie hałasował.

Nagle dobiegł go warkot motorówki. Rey odwrócił głowę; znał ten dźwięk. Zaklął pod nosem, a potem, kiedy silnik zamilkł, zaklął jeszcze bardziej siarczyście. Nieproszeni goście byli czymś niepożądanym, a goście mało wiedzący o sprawie i działający chyłkiem mogli się stać przyczyną katastrofy, stanowili śmiertelne zagrożenie.

Rey zrzucił z nóg sportowe buty i związał razem ich sznurowadła. Z butami zawieszonymi na szyi zsunął się z pożyczonego skifu. Brodząc w wodzie, wyszedł na brzeg. Włożył buty i zniknął wśród pni cyprysów i palm niskopiennych. Kiedy był już pewien, że go nie widać ani nie słychać, puścił się biegiem w stronę miejsca, z którego dobiegł warkot silnika.

Lekka łódź była bliżej, niż się spodziewał. Zamiast tkwić nieruchomo na rzece, skręcała właśnie w kanał. Poruszała się dzięki małemu silnikowi do trolingu umieszczonemu z przodu. Rey zdumiał się, kiedy zobaczył, kto nią płynie. Przez dłuższą chwilę stał z rękami na biodrach, wpatrując się w łódź, a potem odrzucił głowę do tyłu, wznosił oczy ku niebu i wyszeptał:

- O Boże Święty!

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Zresztą nie spodziewał się jej. Pomyślał, że na to zasłużył. Tak czy inaczej była tylko jedna rzecz do zrobienia. Jeszcze raz zanurzył się w wodę.

Wypłynął na powierzchnię obok skifu. Zrobił to bezszelestnie.

Wyciągnął błyskawicznym ruchem obie ręce i położył je na burcie. Podciągał się stopniowo. Kiedy już był na odpowiedniej wysokości, przerzucił cały ciężar ciała do wnętrza tak szybko, że chybotliwa łódka nie zdążyła się zakołysać i przewrócić. Julie odwróciła się, a on w tej samej chwili wstał i schwycił ją od tyłu w ramiona. Brakło mu tchu, kiedy oboje upadli na dno łodzi. Wydał z siebie krótki pomruk, któremu towarzyszyło sapnięcie. Poczuł, że odrywa mu się największy strup na ramieniu, poczuł piekący ból. Mimo to zdołał przygnieść nogą udo Julie i położyć jej rękę na ustach.

- Bądź cicho - wyszeptał jej do ucha z wściekłością - bo oboje zginiemy.

Julie zamarła w bezruchu. Czuł szybkie podnoszenie się i opadanie jej piersi i ciężkie bicie serca. Jej ciało było miękkie i giętkie, a włosy pachniały słodko. Przez głowę przeszła mu ulotna i mglista myśl, że bardzo przyjemnie byłoby kochać się z nią na dnie dryfującej łodzi, pod gwiazdami. Jednak nie czas był na to, gdyż łódź obracała się, bo silnik pozostawiono samemu sobie.

Rey przesunął się, unosząc się na jednym łokciu. Poczuł, że ramię ma mokre i obolałe. Nie mogło to poprawić mu humoru. - Puszczę cię teraz i zawrócimy. Będziemy płynąć tak szybko, jak to tylko możliwe bez robienia hałasu. Kiwnij głową na znak, że się zgadzasz, bo inaczej ...

Miała tyle odwagi, że leżąc na plecach w unoszącej się na wodzie łodzi, podniosła pytająco brwi. I!a widok takiej nieustraszonej zuchwałości Rey omal się nie roześmiał. Żeby ukryć ochotę do śmiechu, powiedział szorstko:

- Bo inaczej sprawdzę, jaki kawałek twojej bluzki nada się na knebel.

Julie skinęła nieznacznie głową; Rey wygrał.

- Dobrze - powiedział z ulgą.

Puścił ją; sięgając w przód, chwycił drążek steru. Ponieważ silnik i tak chodził przez cały czas, nie wyłączył go. Obrócił łódź i popłynął z powrotem w stronę rzeki. Kątem oka obserwował Julie, która usiadła na dnie, a potem wycofała się na tylne siedzenie, jak najdalej od niego.

Poczuł ukłucie żalu, ale zepchnął to w podświadomość. Zajmie się tym później, jeżeli, oczywiście, będzie to możliwe.

Na jej korzyść świadczyło to, że zaczęła mówić dopiero wtedy, kiedy byli już w pobliżu klubu jachtowego i że nawet wtedy mówiła cicho, troszcząc się o to, żeby głos nie niósł się po wodzie. - Myślałam, że jesteś w Nowym Orleanie - powiedziała.

- Nowy Orlean jest niedaleko. Skąd wiesz, że tam nie byłem? Może byłem i zdążyłem wrócić.

Usiłował zrobić na niej wrażenie, mówiąc tonem spokojnym i stanowczym. Nie odniosło to jednak skutku.

- Co robisz tak późno na bagnach?

- Łowią ryby.

- Akurat.

- Szczury bagienne tym się zajmują.

- Oszczędź mi tych kłamstw - rzekła i odwróciła głowę z obrzydzeniem.

Posłuchał jej.

Żadne z nich nie odezwało się aż do chwili, gdy zbliżyli się do doku i zobaczyli świecące nad wodą lampy rtęciowe. Dziwne różowawe światło odbijało się od powierzchni rzeki, oświetlało mchy kołyszące się na drzewach i ślizgało się po białej farbie i chromowanych powierzchniach łodzi z kabiną, która unosiła się na wodzie w pobliżu drewnianego chodniczka.

Oświetlało też ciało zwisające z tylnej części łodzi, tak, ciało zwisające twarzą w dół i kołyszące bezwładnymi rękami, a także czerwoną moką smugę na białej burcie, sięgającą wody. Julie rozpoznała starego kaskadera.

Wciągnęli ciało na tylny pokład, a Julie uklękła przy nim; starając się wyczuć puls. Rey powiedział jej już, że to się na nic nie zda, ale musiała sprawdzić, musiała się upewnić. I nawet wtedy, kiedy trzymała zwiotczalą rękę i patrzyła w woskową, pozbawioną życia twarz, wydawało jej się to niemożliwe.

Stan nie żył. Tak po prostu. Niedawno chodził, mówił, martwił się, miał nadzieję i coś czuł. A teraz nic. Ten człowiek, o którym przez krótki czas myślała, że mógł być jej ojcem, ten człowiek po prostu nie żył.

Julie poczuła ucisk w gardle. Przełknęła ślinę. Łzy napłynęły jej do oczu i popłynęły po policzkach. Usiłowała nie zwracać na nie uwagi, próbowała skupić się na czym innym.

Stana najwidoczniej ugodzono czymś ostrym, chociaż w pobliżu nie było śladów narzędzia zbrodni. Jak dawno się to stało, miał stwierdzić lekarz sądowy. Mimo to Julie nie mogła się powstrzymać i zaczęła się zastanawiać, czy Stan leżał tam wykrwawiając się, kiedy ona płynęła skifem. Zastanawiała się, czy nie mogłaby go uratować, gdyby go zauważyła .

- No, no - powiedział Rey, kładąc jej rękę na ramieniu i ściskając je przez moment. - Powinniśmy zadzwonić do biura szeryfa i skończyć z tym.

- Ty idź - odparła cicho. - Ja zostanę z nim.

- Nie.

Podniosła wzrok i zamrugła, żeby powstrzymać łzy. Była przestraszona bezkompromisowym tonem głosu Reya.

- Dobrze więc. Ja pójdę, a ty zostaniesz.

- Pójdziemy oboje. Na wszelki wypadek. Bo morderca może wciąż być gdzieś w pobliżu.

Julie już otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale zaraz zrezygnowała z tego zamiaru. W oddali, koło karawaningów, pojawiło się światło latarki, migoczące i ruchome. To wartownik pilnujący terenu robił obchód. Przed chwilą Julie bała się zapytać, gdzie on jest, bała się, że i wartownik może nie żyć. Ale on miał przynajmniej broń.

- Myślę, że problem został rozwiązany - powiedziała.

Rey zadzwonił do biura szeryfa. Ponieważ nie było wątpliwości, że chodzi o zabójstwo, szeryf miał według wszelkiego prawdopodobieństwa zaalarmować policję stanową. Rey powiedział o tym Julie i dodał, iż może się spodziewać, że śledztwo będzie tym razem o wiele dłuższe i bardziej wnikliwe niż to, które miało miejsce w związku ze śmiercią Paula.

Dopiero teraz Julie przypomniała sobie o swoich obowiązkach. Zadzwoniła do Allena do Nowego Orleanu. A potem do Bulla.

Bull podniósł słuchawkę po piątym sygnale. Jego głos świadczył o tym, że jest zalany i na wpół śpiący. Obudził się jednak szybko.

- Boże drogi, jak to się stało?

Julie powiedziała mu to, co wiedziała. Kiedy Bull oświadczył, że zaraz do niej jedzie, i odłożył słuchawkę, nie ruszyła się z miejsca. Stała i przypominała sobie jego głos, usiłowała dociec, czy reakcja Bulla była naturalna czy nie, czy ten głos nie był zbyt spokojny i rzeczowy, a odpowiedź zbyt szybka. Nienawidziła siebie za te podejrzenia, jednak nic nie mogła poradzić na to, że przychodziły jej do głowy.

Nie wiedziała już, w co wierzyć.

Rey pojawił się na kanale jakby znikąd. Nie była w stanie wyobrazić sobie, jak dostał się do jej łodzi, ale zbyt dobrze potrafiła sobie wyobrazić, co robił tam, na rzece. Jego brutalność, groźby - wszystko to świadczyło o tym, że wiedział o samolocie, który wylądował. Świadczyło też o tym, że jej domysły co do samolotu były słuszne.

Nasuwało się pytanie: ile powinna ujawnić policji?

Stan nie żył i nie mogła zrobić nic, żeby go wskrzesić. Jeżeli powie władzom, że od lat był skłócony z jej ojcem, Bull może zostać aresztowany. Jeżeli powie im, że zabójstwo ma coś wspólnego z tym, że ekipa zamieszana jest w przemyt narkotyków, i z tym, że na bagnach wylądował ten samolot, produkcja filmu zostanie przerwana na długie tygodnie. A to będzie miało katastrofalne skutki dla filmu i dla jej przyszłości.

Tak czy owak produkcja zostanie przerwana na dość długi czas - to nieuniknione. A ona, Julie, może się spodziewać kolejnej wizyty Daviesa, księgowego z firmy ubezpieczeniowej, a także kolejnych gróźb, że odbiorą jej film. Na tę myśl chciało jej się krzyczeć. Albo wyć jak zranionemu dziecku.

Jednak bez sensu było myśleć, że śmierć Stana miała być ciosem wymierzonym w nią. Nikt nie mógł być przecież tak mściwy, tak pozbawiony litości, żeby zabijać człowieka po to, by jej dopiec.

Może się myliła. Może te wszystkie zdarzenia nie miały nic wspólnego z nią osobiście? Być może wszystkie - od śmierci Paula Lisiety po śmierć Stana - miały coś wspólnego z narkotykami?

Było tyle możliwości, a równocześnie Julie nie miała pojęcia, która z tych możliwości jest realna. Jak mogła się zdecydować, co mówić? Czy ma ochraniać ojca i próbować uratować film, nie ujawniając podejrzeń, i' przyjmując na siebie ryzyko, czy też podać szeryfowi wszystkie szczegóły, które знаła i których się domyślała, i ludzi się, że sprawy potoczą się pomyślnie? Miała około dziesięciu minut na podjęcie decyzji.

Rey podszedł do okna przyczepy, z której telefonowali, i wyjrzał. Zerknął w stronę mola dla łodzi. Julie popatrzyła na niego, zgnębiona ponurym milczeniem i napięciem, które między nimi panowało. Włosy Reya były wciąż wilgotne, a mokra koszula i dżinsy przylepiały mu się do ciała. Na jego ramieniu widniała poszerzająca się plama czerwieni.

- Ty krwawisz - powiedziała przestraszona Julie.

Odwrócił się twarzą do niej, żeby ukryć czerwoną plamę. Równocześnie wzruszył lekko ramionami.

- To nic, to tylko oparzenie.

- Wejdzmy do tamtego pomieszczenia i pozwól mi na to spojrzeć. Ofelia ma chyba apteczkę. - Poszła pierwsza. - Dziwnym trafem wszystko skupia się tutaj.

Rey patrzył, jak Julie wyjmuje foliowe opakowanie zawierające nasyczone alkoholem gaziki, a także kilka prostokątów z gazy i szpulkę nylonowego plastra.

- Przypuszczam, że pracowałaś dziś wieczorem.

Kiwnęła głową, a potem zrobiła krok w jego stronę, rozdierając folię. Odwrócił się posłusznie. Siedział na krawędzi biurka Ofelii, tak żeby Julie mogła łatwiej dostać się do jego ramienia. Skrzywił się, kiedy dotknęła gazikiem świeżo otwartej rany.

- Przepraszam - powiedziała cicho.

Nie poruszył się ponownie, prawie nie zauważał tego, co robi Julie, i mówił dalej:

- Czy nie zwróciłaś uwagi na nic niezwykłego? Nie widziałaś kogoś obcego?

- Nie. Ale przecież zawsze kręci się tu tyłu ludzi. A poza tym, kiedy siedzę przy biurku, zwykle nic nie zauważam.

- O ile wiesz, wszyscy opuścili to miejsce o mniej więcej normalnej porze?

- Wszyscy z wyjątkiem Stana - powiedziała, ścierając krew z pleców Reya i przypominając sobie krew na burcie łodzi; wstrząsnął nią konwulsyjny dreszcz.

Wrzuciła gazik do śmietnika i wzięła następny.

- Widziałam jego klucz na tablicy ... kiedy brałam klucz do łodzi.

- Niczyjego więcej klucza nie było?

- Nie sądzę, chociaż nie tak łatwo to stwierdzić. Parę ciężarówek zawsze zostaje tu na noc. To zależy od tego, co ma się dziać następnego dnia, od tego, kto pracuje do późna i potrzebuje, żeby go podwieźć.

- Ale ty nie rozpoznałaś niczyjego klucza?

Pokręciła głową. Rana była już oczyszczona. Julie wzięła prostokąt gazy, rozpostarła go w miejscu, gdzie strup był rozerwany, i zaczęła przyklejać plastrem. Przerwała na, chwilę, trzymając palce na jego ramieniu i przyciskając plaster kciukami, żeby się dobrze przykleił. Wyczuwała pod palcami napięte mięśnie i ciepłą elastyczność opalonej skóry Reya. Przełknęła ślinę i zapytała:

- O co chodzi? Co chcesz, żebym powiedziała?

- Chciałem wiedzieć, czy masz coś ważnego do powiedzenia szeryfowi i jego ludziom. Jeżeli nie, to nie ma sensu, żebyś wdawała się z nimi w rozmowę bardziej szczegółową, niż tego wymaga rutynowe przesłuchanie. Ja mogę im po prostu powiedzieć, że łowiłem ryby, a potem wróciłem i odkryłem zwłoki.

- To znaczy, że mam nie mieć okazji, żeby im powiedzieć, co stało się na kanale, tak? Mam nie mówić nikomu o samolocie? O tym, co ty tam robiłeś? I o przyczynach, dla których chciałeś, żebym ja stamtąd zniknęła?

- To nie ma związku ze sprawą.

- Ale skąd ja mam wiedzieć, że to nie ma związku? I skąd ty to wiesz?

- Nie wiem, może istnieje jakiś związek między tą sprawą a samolotem. Ale wiem tyle: to, że ja tam byłem, nie ma nic wspólnego ze śmiercią Stana, tak jak i twoja obecność na kanale. - Masz zamiar powiedzieć tylko

tyle?

Odwrócił się i patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Jego oczy były nieprzeniknione.

- Zaufaj mi, Julie. Tak będzie najlepiej - poprosił w końcu. Spokojny ton jego głosu przypominał Julie ich wspólne radości, przelotne, a jednak wspaniałe zjednoczenie ciał i uczuć. Wspomnienie to pojawiło się samo - nie sądziła, żeby Rey, chcąc ją przekonać, świadomie manipulował wspomnieniami ich dawnej bliskości.

"Zaufaj mi" - powiedział.

Zadawała sobie pytanie, czy ratował z kłopotów ją czy siebie.

Nie знаła na nie odpowiedzi i nie była pewna, czy chce ją znać.

Nie była w stanie ufać mu bezgranicznie, ale mogła zaakceptować pakt o współpracy. A on właśnie taki pakt proponował. Tak, na to wyglądało.

- Na wypadek gdybyś zapomniał - powiedziała z irytacją biorącą się z niepewności - wciąż jesteś mokry. Jak masz zamiar to wyjaśnić?

Rey odetchnął głęboko, pierś uniosła mu się, a oczy zablęskły na chwilę ożywieniem.

- Mogłem nurkować wokół łodzi, szukać narzędzia zbrodni, które mogło wpaść do wody, kiedy Stan upadł na burtę. Kto wie, może je nawet znalazłem.

- Twoje ramię zaczęłoby krwawić albo zostałoby zainfekowane. Zresztą może i tak się stało. - Julie zawahała się. - Jest inna możliwość. Moglibyśmy wziąć klucz do przyczepy, w której mieści się garderoba, i zobaczyć, czy nie znajdziemy czegoś suchego.

Rey uśmiechnął się nieznacznie, nie ruszając się z miejsca.

- Nie rób takiej miny - rozłościła się Julie. - Nie jesteś jedyną osobą, która ma pomysły.

- Widzę - odparł niskim głosem.

- No dobrze. Więc co z wartownikiem?

- Przyszedł na swoją zmianę o dziesiątej trzydzięci, twierdzi, że podczas tej zmiany nie wchodziła ani nie wychodziła żadna osoba, której obecność na terenie byłaby czymś niezwykłym. On jest moim przyjacielem, przyjaźnił się też z Paulem. Myślę, że uda mi się skłonić go do tego, żeby widział rzeczy tak, jak ja mu podpowiem.

Julie kiwnęła powoli głową.

- To dobrze. A teraz powiedz mi, co według ciebie powinniśmy mówić.

Nie było to skomplikowane. Mieli nie mówić o tym, że Julie była na wodzie. Julie miała natomiast powiedzieć, że usłyszała warkot silnika motorówki Reya i wyszła na jego spotkanie. Potem razem znaleźli Stana - tu mieli opowiedzieć to, co rzeczywiście się zdarzyło.

Przeglądając szybko garderobę w poszukiwaniu jednego z kostiumów Jean-Pierre'a, Julie robiła co mogła, żeby pozbyć się wątpliwości. Pomogło jej to, że szeryf i jego zastępcy pojawili się w momencie, gdy ona i Rey wracali do przyczepy mieszczącej biuro i że policja stanowa przybyła wkrótce potem. Kiedy Rey opowiedział swoją skróconą historię i kiedy ona dodała swoją, potwierdzającą wersję, nie było już odwrotu.

Była to długa noc. Przyjechał Bull, ponury i nie ogolony, z krótkimi, siwiejącymi włosami, sterczącymi na głowie jak rżysko wskutek ciągłego przeczesywania ich palcami. Przed wyjazdem z motelu Bull zatelefonował do Ofelii, która przyjechała zaraz po nim. Wkrótce w recepcyjnej części przyczepy biurowej parzyła się dla wszystkich kawa i przyczepa stała się głównym punktem zbornym.

Przyjechał i odjechał lekarz sądowy, zespół medyków pojawił się, zrobił, co do niego należało i odjechał. O czwartej trzydzieści nad ranem, w jakieś trzy godziny po tym, jak Julie i Rey znaleźli zwłoki, ustalono, że śmierć nastąpiła nie wcześniej niż o jedenastej poprzedniego wieczorem i nie później niż o pierwszej, na pół godziny przed znalezieniem zwłok. Oględziny lekarskie, a także szczegółowa analiza czynności, które wykonywał Stan wieczorem, przed północą, mogły doprowadzić do precyzyjnego określenia momentu śmierci, jednak na razie stwierdzono tylko tyle. Policja, opierając się na tym ustaleniu, miała przesłuchiwać członków ekipy, którzy byli obecni na terenie w tym czasie; poproszono Ofelię o wezwanie ich.

Julie miała nadzieję, że moment śmierci zostanie określony bardziej precyzyjnie. Przy obecnych ustaleniach nie można było się zorientować, czy Stan już nie żył, kiedy odpływała łódką, czy też został zamordowany podczas jej nieobecności. Ta niepewność męczyła ją.

W miarę jak noc przemieniała się w błądy świt, coraz bardziej nieprzyjemne stawało się dla niej to, że musi ukrywać pewne fakty, uważać na każde słowo. Kiedy przybył Allen, słońce już stało wysoko, a Julie była zupełnie wyczerpana.

Allen spojrzął na nią i zażądał, żeby pozwolono jej pojechać do domu i odpocząć. Nikt nie protestował. Bull i Rey od kilku godzin usiłowali ją do tego nakłonić, jednak odmawiała. Ale teraz zgodziła się, gdyż była zmęczona stawianiem oporu, a poza tym uznała, że Allen może przejąć jej obowiązki i występować jako przedstawiciel Excel Films. On jeden spośród trzech obecnych mężczyzn miał do tego prawo.

Ciotka Tine wciąż miała u siebie Summer, chociaż Donna była na miejscu, gotowa przejąć nad nią opiekę. Gotowość tę zgłaszała zresztą codziennie, od czasu gdy hospitalizowano Aimette. Obie kobiety usłyszały o morderstwie przez policyjne radio ciotki Tine. Odesłały Summer, polecając jej, żeby się pobawiła z dwoma synami Donny, a same zaczęły zadawać Julie pytania. Ich ciekawość była naturalna - nie były ani zbyt natrętne, ani nie kierowały się chęcią usłyszenia makabrycznych, sensacyjnych wiadomości. Julie nie miała nic przeciwko temu, żeby odpowiedzieć na ich pytania. Zrobiła to, powiedziała im też, kto jest na terenie i co robi policja. Ciotka Tine tymczasem przygotowała dla niej śniadanie, ale Julie nie miała specjalnej ochoty na jedzenie. Ciotka zabrała wreszcie talerz, ściskając ją serdecznie za ramię.

- A teraz marsz do łóżka. Wygląda pani na wykończoną. Powinnam się wstydzić, że panią zatrzymuję. Potrzeba pani wypoczynku i ja dopilnuję, żeby pani wypoczęła!

Julie wzięła prysznic i włożyła nocną koszulę, zamknęła drzwi na klucz i zaciągnęła zasłony. Weszła do łóżka i przeciągnęła się z westchnieniem. Nic to nie pomogło. Jej umysł wciąż pracował na pełnych obrotach.

"Zaufaj mi" - powiedział Rey. Nie zgodziła się, dyskutowała, a jednak wyszło na jego. Miała oczywiście swój powód, dla którego zrobiła to, o co ją prosił, jednak nie mogła uwierzyć, że nie zażądała od niego, by jej

powiedział, co robił na rzece i dlaczego tak bardzo się starał, żeby nie zobaczyła samolotu.

Słyszała dzieci bawiące się na dziedzińcu za domem. Krzyczały i śmiały się od czasu do czasu Donna albo ciotka Tine coś do nich wołały, ale ich ostrzeżenia i krytyczne uwagi nie były agresywne - była w nich tylko pobłażliwa troskliwość. Te odgłosy kobiet i dzieci - były dziwnie uspokajające, jak marzenie o dzieciństwie.

Nagle od strony galerii rozległo się pukanie. Julie aż podskoczyła. Usiadła z wysiłkiem, a potem wysłiznęła się z łóżka, włożyła szlafrok i poszła otworzyć drzwi. Za drzwiami stała Donna. Twarz miała poważną.

Julie zaprosiła ją do środka. Cofnęła się, żeby zrobić przejście, zawiązując przy tym pasek szlafroka. Siadając na łóżku, wskazała ręką krzesło.

Donna usiadła i złożyła ręce na kolanach, a potem nieśmiało spuściła na nie wzrok.

- Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale jest coś, o czym chcę z panią porozmawiać. A na planie nigdy nie ma na to czasu. Zawsze jest tylu ludzi i pani jest zajęta.

- Trzeba było z tym do mnie przyjść. Czy chodzi o Summer?

- Nie, Chodzi... o Reya.

- Tak?

Julie zdawała sobie sprawę, że to słowo nie posuwa rozmowy naprzód, jednak nie mogła wymyślić nic innego. Przypomniała sobie, że Donna była ukochaną Reya z czasów, gdy mieli po kilkanaście lat, a być może również czymś więcej tuż przed śmiercią Paula, i poczuła skurcz w okolicach żołądka.

- Martwię się o niego. Mówił pani pewnie, że jego żona zmarła?

- Coś o tym wspominał.

- Prawdopodobnie nie powiedział pani, że ona była na niego zła, że była wściekła, bo miał taką pracę, że ciągle nie było go w domu. Właściwie to wtedy od niego odchodziła. Schodziła po stromych schodkach na tyłach ich starego domu. Lał akurat deszcz i schodki były śliskie, a poza tym straciła równowagę, bo była w ciąży i na dodatek niosła ciężką walizkę. Upadła, leżała na deszczu i poroniła. Umarła, umarło także dziecko. Rey zawsze obwinał się o to. Winił się za to, że ją opuścił, że tego dnia nie było go w domu, bo wykonywał specjalne zadanie.

- Nie opowiadał mi tego ze szczegółami, ale doprawdy nie wiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Już do tego dochodzę - powiedziała Donna z uporem. - Jego żona była młoda i uparta. I piękna jak Madonna Rafaela, chociaż niezbyt dojrzała. Myślałam, że on nigdy nie dojdzie do siebie po jej śmierci, która właściwie była śmiercią podwójną. Kobiety, z którymi się potem umawiał, były ... nie wiem, jak to dokładnie określić ... one potrzebowały wsparcia. Były atrakcyjne, ale opuszczone przez rodzinę albo męża, chorowały, ktoś się nad nimi pastwił, psychicznie albo fizycznie, każda miała takie problemy. Najwyraźniej pociągały go kobiety, które go potrzebują. Było tak, jakby podstawą ich związków była pomoc, której im udzielał. Rozumie pani, co chcę powiedzieć?

- Nie jestem pewna, czy rozumiem. Chyba że chce pani zasugerować, że w ten sposób postrzega i mnie.
- Usiłuję pani powiedzieć, że takie uczucie oparte na współczuciu było wszystkim, co potrafił z siebie wykrzesać. Do chwili kiedy pojawiła się pani.

Julie była ciekawa, czy Donna zdaje sobie sprawę, że sama jest być może ostatnią z tych potrzebujących wsparcia kobiet w życiu Reya. Jeżeli on rzeczywiście miał takie skłonności, to z pewnością nie mógł się oprzeć pięknej młodej wdowie z dwojgiem dzieci, potrzebującej środków do życia.

Julie wstała, podeszła do drzwi i położyła rękę na klamce.

- Przykro mi, ale wydaje mi się, że nie ma sensu dyskutować na ten temat. Przepraszam, ale naprawdę jestem zmęczona.

- To nie moja sprawa, wiem o tym. Wiem też, że Rey nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że z panią rozmawiałam. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że znam go od dawna i nie chcę znowu patrzeć, jak się męczy. Nie chcę widzieć, że szarpie się tak, jak się szarpał przez tę głupią dziewczynę, z którą się ożenił.

- To, że kobieta ucieka, że zrywa złe małżeństwo, nie świadczy o jej głupocie - powiedziała Julie.

- Być może, ale jego żona wychodząc za niego wiedziała, jaką on ma pracę. Wiedziała też, że nie zawsze będzie siedział w domu.

Julie poczuła nagle, że jej potrzeba prywatności jest mniej paląca niż potrzeba dowiedzenia się czegoś więcej o Reyu i zweryfikowania własnych lęków. Zdjęła rękę z klamki, odwróciła się i oparła o ścianę.

- Jaką on właściwie miał pracę?

- Był specjalnym tajnym agentem DEA. Był nim przez całe lata.

Był tajnym agentem.

- A tak, pamiętam. Podobno zrezygnował?

- Tak. Kilka lat temu.

- Był jakiś problem, tak?

- Co takiego?

Donna miała zakłopotaną minę.

- Słyszałam coś o narkotykach, których brakowało po jakiejś operacji. Sam mi tak powiedział.

- Aha, o tym pani mówi. Zboczył z drogi z ładunkiem pochodzącym z jakiegoś statku. Wziął go w pobliżu jednej ze szkół w Nowym Orleanie; w tej szkole miał mieć pogadankę na temat zapobiegania narkomanii. Przez piętnaście minut była w związku z tym panika, ale potem okazało się, że jest wszystko, co do grama.

Julie stała całkiem nieruchomo.

- Ale ... dlaczego on w takim razie chciał, żebym myślała o nim jak najgorzej?

- Kto to wie. Może dlatego, żeby zobaczyć, co pani na to powie. Z Reym nigdy nic nie wiadomo.

- Nie rozumiem też, dlaczego w ogóle pracował w DEA. Przecież pochodzi z takiej bogatej rodziny.

- Z tym bogactwem to nie zawsze tak było. Jego dziadkowie z Nowego Orleanu nie akceptowali małżeństwa córki z Cajunem. Nie widywali się z nią ani nie rozmawiali do czasu urodzenia się Reya. A i potem przyjeżdżali

tylko raz albo dwa razy na rok. Rey rósł jako Cajun. Tak jak ojciec związany był z bagnami i tak jak ojciec jego ojca i wszyscy przodkowie aż do siódmego, ósmego pokolenia wstecz. Ta tradycja sięga gdzieś roku 1730 i ślubu w katedrze Świętego Ludwika, bo Cajunowie, którzy przybyli w latach sześćdziesiątych osiemnastego wieku, od dawna łączyli się więzami małżeńskimi z Niemcami, którzy pojawili się tu w początkach kolonizacji francuskiej. Widzi pani, my tutaj, nad rzeką, jesteśmy jedną wielką rodziną i nie przywiązujemy wagi do dobrego pochodzenia z bogatego rodu.

Julie wiedziała o tym. Docierały do niej fragmentaryczne informacje. Teraz jednak była w stanie poskładać je w całość. Gdzieś w głębi świadomości miała jeszcze jedną łamigłówkę do rozszyfrowania, nie wiedziała jednak, jaki ma przedstawiać obraz.

- Po śmierci rodziców w jego życiu zaczęły pewnie zachodzić zmiany? - zapytała.

- O tak. Stał się wtedy spadkobiercą i częściej gościł u dziadków w ich domu w Nowym Orleanie. Nigdy jednak nie wybaczył im do końca i nie chciał brać od nich niczego prócz pieniędzy na edukację. Miał swoją dumę. Dopiero kiedy dziadek zmarł, a babka zachorowała, zrezygnował z pracy w DEA i zaczął zarządzać rodzinnym biznesem i inwestycjami. Przez długi czas nie chciał nic brać za swoją pracę, jednak ostatnio interesy tak się rozrosły i jego działania do tego stopnia zmieniły swój charakter, że upór stał się bezsensowny.

- Rozrosły się w jakim kierunku?

- Przede wszystkim w kierunku inwestycji zagranicznych. Tak mi się wydaje, chociaż on dużo o tym nie mówi.

- A jeżeli już mowa o jego zdolności do robienia interesów, to proszę mi powiedzieć, czy to on zasugerował, że dobrze byłoby pozwać naszą firmę do sądu w związku z wypadkiem pani męża?

- Pozwać do sądu? Nie mam pojęcia, o czym pani mówi

Julie nie była zdziwiona reakcją Donny. Zrobiła lekceważący gest - powiedziała:

- To jest też coś, o czym mówił Rey. Myślę, że źle go zrozumiałam.

Ale tak naprawdę to wcale go źle nie zrozumiała, była pewna, że nie. Rey specjalnie wywołał tego ducha, specjalnie mówił o sprawie sądowej, bo chciał usprawiedliwić swoje wtargnięcie do biura i buszowanie w papierach.

- W każdym razie - mówiła dalej Donna - ja bym nigdy tego nie zrobiła, i Rey o tym wie. Mój mąż wiedział, co robi, podejmując się pracy kaskadera. To była jego praca, i ja, to rozumiałam. - W głosie Donny był jakiś smutek, a zarazem duma, które się ze sobą nie zgadzały. A poza tym wyglądało na to, że ona i Julie się nie rozumieją.

- Nie musiał podejmować tej pracy - powiedziała Julie zmieszana.

- Nie, ale on nie był typem mężczyzny, który odrzuciłby taką propozycję. W każdym razie nie wtedy, kiedy widział, że ta praca powinna być wykonana. On był takim typem, takim typem policjanta.

- Policjanta? - powtórzyła Julie zakłopotana.

- Tajniaka narkotykowego, jeżeli pani woli. Nie ma nic złego w tym, że to mówię. On sam siebie tak nazywał. Był dumny ze swojej pracy. Co jakiś czas powtarzał, że rzuci ją i zacznie zarabiać na życie łowieniem krewetek, ale płaca była dobra i czuł się potrzebny, więc nigdy tej pracy nie rzucił.

Tajniak. Tajny agent służby antynarkotykowej.

Julie poczuła, że robi jej się zimno. Otuliła się dokładniej szlafrokiem.

- Rey wiedział o tym, prawda?

- Myślę, że Paul się w to wciągnął, bo Rey robił to samo dla DEA - powiedziała Donna kiwając powoli głową. - Czy dużo innych osób mogło o tym wiedzieć?

- Niewiele. Wiedziała o tym bliska rodzina, wiedzieli współpracownicy. Czy próbuje pani zasugerować, że on został zabity, bo wśród filmowców też wykonywał swoje tajne zadania? Ja zawsze byłam pewna, że to mógł nie być wypadek.

- I mimo to przysłała pani do nas do pracy. Donna odwróciła wzrok.

- To nie było łatwe, ale potrzebowałam pieniędzy. Julie popatrzyła na odwróconą twarz Donny.

- Jest pani osobą wyjątkową. Żałuję, że już wkrótce skończymy kręcić ten film. Miło by mi było lepiej panią poznać.

- Więc wróci pani do Los Angeles? - spytała Donna.

- Tak, oczywiście.

- Tak - powtórzyła Donna jak echo. - Myślę, że nie posłuchałaby mnie pani, gdybym poprosiła, żeby do czasu wyjazdu zostawiła pani Reya w spokoju?

- Mam go zostawić w spokoju? Nie wiedziałam, że go niepokoję.

- Wie pani, co mam na myśli. Jeżeli nie traktuje pani Reya poważnie, to niech mu pani o tym powie. I niech pani wraca do swojego kochanka w Kalifornii. Rey jest silny i przystojny i pewnie podnieca panią swoją innością, ale on potrzebuje czegoś więcej, nie tylko krótkiego romansu. Pani jest inna ... być może potrzebuje pani wsparcia, ale nie takiego jak tamte kobiety. Jest pani kobietą, którą mógłby kochać. Tak, mógłby panią kochać, gdyby mu pani na to pozwoliła. A to oznacza, że może mu też pani zadać ból. On na to nie zasługuje.

- Nie chce pani, żeby cierpiał? Nawet wiedząc, że pani sama będzie w pobliżu i będzie go mogła w razie czego pocieszyć?

- Ja jestem wdową - powiedziała Donna; twarz miała przy tym spokojną, a brodę wysoko uniesioną. - Kochałam bardzo męża. Kocham też Reya, ale nie w sposób, o jakim pani myśli. On zawsze był przy mnie i myślę, że zawsze będzie, ale to wszystko.

- Może na razie.

Donna wstała i ruszyła do drzwi, przy których stała Julie.

- Powinnam była mieć więcej rozumu, nie powinnam próbować z panią rozmawiać. Przepraszam, że straciła, pani przeze mnie czas.

Julie miała wyrzuty sumienia. Cicho westchnęła.

- Nie - powiedziała spokojnie. - To ja przepraszam. Uważam, że to pani jest kobietą, jakiej potrzebuje Rey. Proszę się nie martwić. Ja uważam, że nie jestem stworzona do dzieci i pieluch. Nie mogłabym też codziennie wysyłać mężczyzny do niebezpiecznej pracy. Wkrótce mnie tu nie będzie, i tak się to zakończy.

Donna zatrzymała się we wpółotwartych drzwiach. Brwi miała zmarszczone.

- Na pewno?

Julie wzruszyła ramionami i bez przekonania spróbowała się uśmiechnąć. Ale nic nie odpowiedziała. Nie wiadomo dlaczego gardło miała tak ściśnięte, że nie mogła wydusić słowa.

Po południu Julie wróciła do pracy. Po kilkugodzinnym odpoczynku czuła się lepiej, mimo że wcale nie spała. Była zbyt niespokojna, myślała wciąż o tych samych problemach albo zastanała się, jak przebiega dochodzenie i co wszyscy robią.

Nie mogła przestać myśleć o Stanie. Trzeba było podjąć działania w związku z jego śmiercią. Julie wiedziała, że gdzieś w Iowa czy Illinois mieszka jego siostra, którą należy zawiadomić i zapytać, gdzie Stan ma zostać pochowany - czy na cmentarzu w rodzinnej miejscowości na Środkowym Zachodzie, czy w Los Angeles, czy może w Luizjanie. Trzeba było podjąć decyzję dotyczącą udziału w pogrzebie, bez względu na to, gdzie i kiedy się odbędzie. Planować coś można jednak było dopiero po sekcji zwłok. Tymczasem Julie musiała się zorientować, jak długo potrwa przerwa w robieniu zdjęć, a także przekonać się, czy nie można by na małą skalę kontynuować kręcenia zdjęć w mieście. Jeżeli to się okaże niemożliwe, trzeba będzie rozwiązać tysiące problemów organizacyjnych - odłożyć na później albo odwołać dostawy i usługi, przedłużyć zezwolenia, i tak dalej. Byli ludzie, do obowiązków których to należało, ale Julie nie miała pewności, czy w tym bałaganie po śmierci Stana wszystko zostanie zrobione.

Były to jednak wymówki, żeby nie zostać w domu. Julie nie mogła bowiem znieść odosobnienia, podczas gdy tutaj tyle się działo.

Bull siedział w jej biurze i jadł kurczaka. Kiedy weszła, podniósł na nią wzrok.

- Byłem pewien, że wrócisz - powiedział, biorąc pudełko w czerwone i białe paski, w które zapakowany był kurczak, i podsunął je Julie. - Chcesz skrzydełko?

Wzięła kawałek kurczaka, głównie po to, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Przysiadła na rogu biurka i spytała:

- Jest coś nowego?

- Znaleźli paru facetów, którzy widzieli Stana koło dwunastej. To pozwala określić czas śmierci nieco precyzyjniej. I to wszystko.

Zjadła skrzydełko, a potem wrzuciła resztki do śmietnika i sięgnęła po serwetkę.

- Wiesz, zastanawiałam się ... Po śmierci Stana wycięcie tych scen, o których ci mówiłam, staje się koniecznością.

- Oj, nie zaczynaj od początku - powiedział zasmucony, żując kęs kurczaka.

- Słuchaj, mnie się to też nie podoba, ale trzeba ten film jakoś zakończyć. To będzie lepsze niż nic.

- Wiem, Julie, że zwłoka doprowadza cię do szału, ale to oczekiwanie się skończy. Masz jeszcze czas na to, żeby zrobić ten film tak, jak chcesz.

- Nie sądzę. Wydaje mi się, że im szybciej skończymy, tym lepiej. Dzieją się tu rzeczy, których ty nie rozumiesz.

- Masz na myśli narkotyki - powiedział stanowczym tonem.

- Skąd ... - zaczęła.

- Ja mam oczy, dziewczyno. I uszy. Poza tym, kiedy ciebie nie było, Rey doinformował mnie.

- No dobrze, może i rozumiesz, co tu się dzieje. Jeżeli tak jest, to chyba widzisz, że naszej firmie nie wyjdzie na dobre, gdy tu dłużej zostaniemy i damy się wykorzystywać.

- To nie ma nic wspólnego z tym, co ty robisz. Twój film, twoja sztuka, jeżeli wolno mi używać takich wzniosłych słów, wnoszą się ponad to. Powinnaś o tym wiedzieć.

- Nigdy mnie nie skłaniano, żebym to, co robię, postrzegala jako sztukę - odpowiedziała Julie nieco cierpkim tonem - więc nie mogę powiedzieć, że o tym wiem. Jeżeli stąd nie wyjadę i jeżeli ktoś następny zostanie zabity, wtedy ten fakt wzniesie się ponad moją sztukę. Będę za to odpowiedzialna, a szczerze mówiąc, mam już dosyć odpowiedzialności za różne rzeczy.

Bull z niesmakiem odsunął resztkę kurczaka, wziął serwetkę i wytarł tłuszcz z palców.

- Już to mówiłem, ale powtórzę jeszcze raz: zarznieś swój film. Nie jesteś jednym z tych reżyserów, którzy nakręcają o wiele więcej materiału, niż potrzeba. Obserwowałem cię przy pracy i wiem, że u ciebie każda scena ma swój cel, wnosi coś istotnego do postaci lub przebiegu akcji, albo do jednego i drugiego. Wyrzuc jakąś scenę, a zepsujesz efekt. Tak to jest.

- Nie ma na świecie takiego reżysera, który by nie zostawiał po montażu całych zwojów taśmy.

- To co innego. Dobrze o tym wiesz. My tu mówimy o rezygnowaniu z nakręcenia jakichś scen.

Kiedy tak rozmawiali, ktoś otworzył zewnętrzne drzwi, po czym rozległ się niski głos Reya i gardłowy kontralt Madelyn de Wells. W chwilę później aktorka wkroczyła do pokoju.

- Będziesz rezygnowała z nakręcania scen? - zapytała, udając przerażenie. - Wiesz dobrze, Bull, że to prowadzi do wojny. Z których więc scen rezygnujemy?

- Z twoich, Madelyn, wyłącznie z twoich - powiedział Bull, a jego ostry ton zdradzał niezadowolenie z tego, że im przerwano.

Madelyn uśmiechnęła się do niego nerwowo.

- Nie wątpię w to. Ale powiem wam coś: ktoś, kto wytnie chociaż jedną sylabę z mojej sceny w szpitalu, może się przygotować na śmierć.

Po chwili zdała sobie sprawę z tego, co powiedziała, i skrzywiła się.

- O Boże. Zważywszy okoliczności, to nie wypadło dobrze, prawda? Ale wy wiecie, co mam na myśli.

- Scena w szpitalu jest potrzebna - powiedziała Julie. - Oczywiście, zostawię ją.

- No, to mi ulżyło. A scena, w której tarzam się w błocie, w tym piekielnym bagnie? Obiecuj mi, że, używając klasycznego określenia, nie wyląduje ona na podłodze pokoju montażysty.

- Nie przewiduję tego.

- To dobrze. Te dwie sceny muszę mieć. Jeżeli którąś z nich stracę, to naprawdę będę musiała kogoś okaleczyć. Nawet jeżeli tym kimś będzie musiał być mój agent, który nie dopilnował sprawy.

Nastąpiła chwila ciszy. Madelyn nie miała tak wielkiego nazwiska, żeby się aż tak pieklić. Julie czuła się zażenowana patrząc, jak aktorka odgrywa gwiazdę na oczach ludzi, którzy wiedzą, że gwiazdą nie jest. Już miała

powiedzieć coś niezobowiązującego, ale przerwał jej Rey.

- Wydaje mi się, Julie, że szkoda by było, gdyby to wszystko, o czym myślałaś przez kilka tygodni, nie zostało sfilmowane - rzekł. - Uśmiechnął się do niej, kiedy spojrzała na niego zaskoczona. - Przepraszam. Nie mogłem się powstrzymać. Musiałem wtrącić swoje trzy grosze. Właściwie to przyszedłem cię ostrzec. Zdaje się, że ten facet, który właśnie z dumną miną wysiada z wynajętego samochodu, to księgowy z firmy ubezpieczeniowej.

- To niezły aparat - powiedziała Madelyn, ruszając w stronę drzwi. - Ostatnim razem dałam mu autografy dla babci, żony, bratanka i trzech siostrzenic, dla wszystkich z wyjątkiem psa. Szkoda, że tu nie ma kuchennego wyjścia. Nie obrazicie się, jeżeli się stąd wycofam?

Aktorka nie czekała na odpowiedź. Ponieważ Bull też wstał, Julie powiedziała:

- Nie idź. Będzie mi potrzebne wsparcie moralne.

- Nie miałem zamiaru wychodzić - odpowiedział, zgarniając pudełko po kurczaku i inne śmieci. - Chciałem ci tylko oddać biurko. Nie masz nic przeciwko temu, żeby Rey też został, prawda? Dla niego to może być interesujące.

Julie posłała Bullowi ostre spojrzenie, ale on był zajęty sprzątaniami okruszków z biurka.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparła i zaraz spytała: - A kto zadzwonił do firmy ubezpieczeniowej?

- Ofelia. Być może na polecenie Allena. To okropne, ale wydaje mi się, że trzeba było ich zawiadomić. Nie ma sensu odkładać tej rozmowy z ich księgowym.

- Nie znasz go - powiedziała Julie cierpko.

Po chwili przedstawiciela firmy ubezpieczeniowej wprowadzono do biura. Nie zmienił się. Wniósł ze sobą zapach nieświeżego potu i atmosferę wyniosłości. Julie podała mu rękę i przedstawiła go obecnym z taką uprzejmością, na jaką potrafiła się zdobyć.

- No, no - rzucił Davies, ściskając rękę jej ojcu - sam wielki Bull. Dowiedziałem się, że pan tu jest, i zastanawiałem się, czy będę miał przyjemność pana poznać. Bardzo pana podziwiam, lubię zwłaszcza pana filmy wojenne. Te wielkie sceny batalistyczne! Są po prostu doskonałe! Ta w Śmierci wśród wydm, gdzie wszyscy wylatują w powietrze, to moja ulubiona.

Julie zerknęła ironicznie na Reya, a potem opadła na krzesło stojące przy biurku. Zasugerowała, żeby Davies usiadł naprzeciwko. Bull przyciągnął swoje krzesło do biurka i ustawił je z prawej strony, a Rey nie usiadł wcale. Oparł się plecami o ścianę przy drzwiach, po lewej ręce Julie.

- No cóż, panno Bullard, znowu ma pani kłopoty - powiedział Davies uśmiechając się nerwowo, położył dużą teczkę na biurku i przysunął sobie krzesło.

- Niestety tak - odparła Julie. - Zmarły był nie tylko moim współpracownikiem, ale i przyjacielem.

- Składam pani moje kondolencje. To jednak nie może nam przesłaniać faktów. Rozumiem, że nie była to śmierć przypadkowa.

- Jest pan dobrze poinformowany.

Jego wargi poruszyły się, a na twarzy pojawił się wyraz satysfakcji.

- Staram się zawsze być dobrze poinformowany. Musi pani zdawać sobie sprawę, panno Bullard, że skoro rzeczy tak się mają, to sprawa będzie głośna, bardzo głośna.

- Prawdopodobnie ma pan rację..

- Zjadą się tu poszukiwacze sensacji, ludzie z prasy opadną panią jak szarańcza. Właściwie dziwię się, że jeszcze ich tu nie ma.

- Byli, ale odjechali - wtrącił się Bull.

- No widzi pani. Istnieje prawdopodobieństwo, że kręcenie filmu zostanie na jakiś czas przerwane. Z tego powodu zostałem upoważniony do zawieszenia produkcji.

- Zawieszenia produkcji?! - powtórzyła Julie z niedowierzaniem.

Rey wyprostował się.

- Chce pan powiedzieć, że się ten majdan zwinie i pośle wszystkich do domu?

- Właśnie - powiedział Davies z nutą satysfakcji w głosie. - Gdyby wszyscy tu siedzieli aż do wyjaśnienia sprawy, wydałoby się zbyt dużo pieniędzy.

- A czy nie więcej pieniędzy wyda się zwijając wszystko, a potem sprowadzając tu sprzęt i techników jeszcze raz?

Davies nie raczył prawie spojrzeć na Reya.

- Nie ma o tym mowy. Materiał nakręcony dotychczas musi wystarczyć - oświadczył.

- Ale to niemożliwe! - powiedziała Julie. - Musimy tu nakręcić jeszcze kilka scen. Są niezbędne dla zachowania ciągłości.

Człowiek siedzący naprzeciwko niej pokręcił głową.

- Jestem pewien, że w studio da się coś wykombinować. Przeciętny widz nie zauważy różnicy.

- Nie mogę się na to zgodzić. To nie ma sensu. Przecież wystarczy poczekać parę dni i nakręcić te sceny tutaj.

- Owszem, to ma sens, w ten sposób oszczędza się pieniądze.

W tym celu zostałem również upoważniony do odebrania produkcji z pani rąk, panno Bullard, i znalezienia kogoś, kto zrobi ten film taniej.

Julie poczuła, że krew odpływa jej z twarzy, a potem napływa znowu gwałtowną falą.

- Teraz? Kiedy film jest prawie skończony?

- Bo teraz wszystko wymknęło się pani z rąk. Do tego stopnia, że na tym terenie morduje się ludzi. - Ja na to nic nie mogę poradzić! - Może ktoś inny będzie mógł.

Zapadła cisza. Julie usiłowała się zorientować, czy decyzja jest ostateczna, próbowała zebrać myśli i znaleźć argumenty przeciwko niej.

Bull, który słuchał w milczeniu ze zmarszczonymi brwiami, wychylił się do przodu, odchrząknął i powiedział:

- Ja mogę. Mogę to zrobić za ciebie. Twarz Daviesa oblała się purpurą•

- Pan? Pan chce przejąć ten film?

- Jestem do dyspozycji - oświadczył Bull uprzejmie.

Julie czuła się jak ktoś, kogo kopnięto w żołądek. Oparła się na w krześle. Zrobiła to powoli, ostrożnie, nie chcąc powiększać bólu. Zauważyła, że Rey chciał do niej podejść, ale się powstrzymał, nie była jednak w stanie odwrócić wzroku od uprzejmie uśmiechniętej twarzy ojca.

Bull zajmował jej miejsce! Nie mogła w to uwierzyć.

A jednak czy nie lepiej było, że skończy ten film Bull, a nie ktoś wybrany przez urzędników, jakiś potakiwacz, który potnie film na kawałki i zrobi końcową scenę na bagnie urządzonej za pomocą węża gumowego albo w lesie z jedwabnych fikusów?

- No tak - odezwał się Davies - będę musiał omówić to ze zwierzchnikami. To rzuca nowe światło na całe zagadnienie.

- Chciałbym skończyć zdjęcia tutaj - rzekł Bull. - Myślę, że mogę obiecać, iż opóźnienie będzie minimalne, a jakość pozostanie wysoka. Ponieważ przybyłem tu niedawno i nie mam bezpośredniego związku ze sprawą, tak jak, powiedzmy, moja córka, sądzę, że nikt się nie sprzeciwi, jeżeli wraz z okrojoną ekipą zabiorę się do pracy od razu, równocześnie z prowadzonym dochodzeniem. To powinno umożliwić wam kontrolę wydatków.

- Pańska postawa bardzo mi się podoba, jednak muszę zaznaczyć, że honorarium będzie stanowiło pewien problem.

- Janie jestem zachłanny. Myślę, że dojdziemy do porozumienia, jeżeli pańscy zwierzchnicy zaakceptują moją propozycję.

Davies uśmiechnął się.

- Jestem pewien, że będzie pan chciał sprowadzić własnego asystenta i tak dalej, a także nowego człowieka od efektów specjalnych. Jednak nie sądzę, by budżet pozwolił zatrudnić więcej ludzi niż dotychczas.

- Nie ma problemu. Mam nadzieję, że córka będzie moją asystentką. A co do nowego człowieka od efektów specjalnych, to Tabary już się zgodził przyjąć tę pracę.

- Pozwoli pan, że sobie to zanotuję - powiedział Davies, odpinając zamek błyskawiczny teczki i wyjmując notatnik i długopis. - Zapiszemy to wszystko i może jeszcze dzisiaj załatwimy sprawę.

Julie otworzyła usta, żeby się odezwać, ale zaraz z tego zrezygnowała. To, co miała do powiedzenia Bullowi - na temat jego propozycji i bezczelności, z jaką, nie konsultując się z nią, chciał zatrudnić Reya - lepiej było powiedzieć na osobności. Nie chciała dawać Daviesowi kolejnego powodu do satysfakcji. Przyjemnie jej było jednak widzieć, że urzędnik z zakłopotaniem przyjmuje fakt, że ona, Julie, w dalszym ciągu będzie uczestniczyła w produkcji filmu.

Spojrzała na Reya. Obserwował ją z dziwną mieszaniną współczucia i obawy w oczach. Związek oparty na współczuciu - takiego określenia użyła Donna. Chyba było to dobre określenie. Julie odwróciła wzrok, wzięła z biurka ołówek i zaczęła obracać go w palcach. Potem nagle rzuciła go i wstała.

- Przepraszam bardzo - odezwała się. - Jestem z kimś umówiona.

Bull, dyktujący coś Daviesowi, zerknął na córkę.

- Nie idź, Julie. Muszę z tobą porozmawiać.

- Później - odpowiedziała, nie patrząc na niego.

Okrążywszy biurko wyszła z pokoju. Nie zatrzymała się w pierwszym pomieszczeniu, tylko poszła dalej i ruszyła po schodkach. Szła na oślep, nie miała właściwie pojęcia, dokąd zmierza. Przemierzyła otwartą przestrzeń pomiędzy przyczepą biurową a karawanikiem i skierowała się w stronę bagna. Wysokie drzewa i ciemnobrązowe palmy niskopienne zasłaniały widok. Nie zatrzymała się, dopóki nie znalazła się tam, skąd nie było widać przyczep ani karawaników, gdzie nie było ciężarówek, samochodów ani łodzi, dopóki nie znalazła się w miejscu, gdzie panował głęboki spokój otaczającej ją przyrody, z dala od zgiełku.

Straciła swój film. Królestwo bagien nie należało już do niej.

Jedyny człowiek, którego nie podejrzewała, że może ją zranić, odebrał jej film. Gdyby Bull się nie odezwał, wymogłaby na Daviesie jakiś kompromis, poszłaby na ustępstwa, co by jej pozwoliło zakończyć film zgodnie z własną wizją. Teraz ta szansa przepadła.

Filmu już nie miała, Stan nie żył, a Rey... właśnie, co z Reym? Oparła się plecami o szorstki, mocny pień ogromnego cyprysu, podniosła głowę i popatrzyła w niebo. Czysty, pogodny błękit powoli przesłoniła drżąca mgła ciepłych łez. Ból rósł, wstrząsał Julie, ścisnął za gardło, wykrzywił twarz tak, że musiała podnieść rękę, by ją zakryć.

Straciła wszystko. Ojciec ją zdradził. Nie miała już szansy zostać liczącym się reżyserem; żadne studio filmowe nie da jej możliwości zrobienia filmu fabularnego. Życie z Allenem okazało się puste. Okazało się, że była to tylko udawana miłość. A Rey nigdy nie miał jej do zaoferowania nic prócz ostrożnej namiętności. Tak, i współczucia - o tym nie wolno jej zapominać. Współczucie, troska, żal - ale nigdy miłość - oto, co miał jej do zaoferowania. Nie miłość.

- Julie?

Odwróciła się gwałtownie, przestraszona. Cofnęła się. Przed nią stał Rey, opierając się jedną ręką o cyprys. Podszedł tak cicho, że nie miała pojęcia, że jest tak blisko. Zdała sobie z tego sprawę, dopiero kiedy się odezwał.

- Odejdź - powiedziała, ocierając obiema rękami łzy, które zebrały się w zagłębieniach pod oczami. - Odejdź i zostaw mnie w spokoju!

- Pozwól mi wyjaśnić. To nie jest tak, jak myślisz.

Odepchnął się od drzewa i powoli zrobił w jej stronę parę kroków.

A ona cofała się o krok za każdym razem, kiedy on się o krok zbliżał.

- Nie musisz mi nic mówić. Bull szukał pracy i doszedł do wniosku, że może mieć moją, skoro i tak mają mi zabrać ten film. W porządku. Cieszę się ze względu na niego. Ty chciałeś zostać na tym terenie ze względu na swoją tajną misję, więc namówiłeś go, żeby cię zarekomendował na . następcę Stana. On prawdopodobnie miał ze mną o tym porozmawiać przed pojawieniem się tego Daviesa, ale co to za różnica. I tak dało się to załatwić,

więc wszystko w porządku.

Rey zatrzymał się. Stał jak skamieniały.

- O czym ty mówisz?

- O, przepraszam. Nie powinnam była nic mówić o twojej misji, bo ta twoja praca jest taka tajna. Nie martw się, nie mówiłam o niej nikomu, tak samo jak nikomu nie powiedziałam, co robiłeś zeszłej nocy. Ale zasugeruj Donnie, żeby przestała rozpowiadać, że Paul był tajniakiem antynarkotykowym. To może ludziom dać do myślenia, zwłaszcza jeżeli dowiedzą się o twojej pracy dla DEA. Zajęło mi to trochę czasu, ale w końcu się w tym zorientowałam. Nie jestem pewna, czy zajmujesz się tym z własnej inicjatywy, czy oficjalnie, ale myślę, że zaczęło się od Paula. Paul wykonywał jakieś zadanie i dlatego przyjął pracę kaskadera. Ty nie chciałeś pracować ze mną, dopóki on nie zginął, a kiedy zginął, skończenie jego roboty stało się dla ciebie kwestią ambicji. Tyle że ty poszedłeś o krok dalej, prawda? Doszedłeś do wniosku, że ja, jako osoba najważniejsza, jestem prawdopodobnie zamieszana w aferę narkotykową. I postanowiłeś mnie śledzić. Tyle że posunąłeś się za daleko, Rey, naprawdę, o wiele za daleko.

- Przyznaję, początkowo myślałem, że możesz być w to zamieszana, ale to wszystko. To, co było między nami, nie ma z tym nic wspólnego.

Jego słowa brzmiały tak szczerze. Jednak Julie wiedziała, że Rey potrafi doskonale udawać.

- Ale to było takie wygodne, prawda? Miałeś takie cudowne usprawiedliwienie, mogłeś być w pobliżu o każdej porze i robić, co chciałeś. Mogłeś na przykład grzebać w papierach w moim biurze, szukać tam śladów. Złapałam cię wtedy, ale wykręciłeś się kłamstwem. Szukałeś nazwy firmy, która dostarczyła łodzi, żeby biedna Donna mogła wytoczyć sprawę sądową. Tylko że Donna nawet o tym nie pomyślała. Jeżeli masz zamiar wykorzystywać ją jako współniczkę, to powinieneś lepiej ją informować.

- Nie mieszaj do tego Donny.

- Z chęcią. Następnym razem ją zabierz na Wyspy Bahama albo na oszałamiającą wycieczkę do Los Angeles. Tylko dopilnuj, żeby te wycieczki były wyłącznie rozrywkowe, żeby nie miały na celu sprawdzenia, co ona wie na temat handlu narkotykami ani przyłapania jej w trakcie negocjacji, ani też wydobycia z niej informacji na temat otaczających ją ludzi. Wykorzystałeś mnie, Rey, ale nie zrobisz tego więcej.

- Podróż do Los Angeles nie miała z tym absolutnie nic wspólnego - powiedział cicho i łagodnie. - Naprawdę. Nie rozumiem, jak możesz tak myśleć.

- Nie mówisz nic o Nassau. O tak, to było mądre. I myślę, że wtedy, kiedy byliśmy w Los Angeles, zdążyłeś się już zorientować, że ja jestem w porządku. Wiedziałeś równocześnie, że grozi mi pewne niebezpieczeństwo. Czułeś się winny, bo groziło mi ono z twojego powodu, i przyjechałeś, żeby mnie pilnować. Z bardzo bliska, Wzruszałoby mnie to, gdyby nie fakt, że zostało ci to sowicie zrekompensowane.

- No tak - powiedział, nie odrywając od niej uważnego spojrzenia. - Muszę się z tobą zgodzić.

- To już coś - odpowiedziała z sarkazmem.

- To z powodu węża. Znalazłem go - powiedział.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Wąż? Jak... ?

- Nie masz pojęcia, jak dobrze cię pilnowałem. Zabiłaś go w karawaniu i wyrzuciłaś gdzieś tutaj razem z całkiem dobrym ręcznikiem. Od tamtej pory nie daje mi to spokoju.

Julie uniosła jedno ramię.

- Ja pomyślałam, że albo to był przypadek, albo jakiś zwariowany kawał. Jeżeli był to przypadek, to nie miało sensu robienie alarmu, a jeżeli kawał, to postanowiłam zepsuć zabawę temu komuś, kto mi go zrobił.

- A jeżeli ktoś chciał ci zrobić krzywdę?

- Wolałam o tym nie myśleć.

- A co chciałaś zrobić? Pomyśleć o tym jutro? To nie jest kino, Julie!

- A ja nie jestem Scarlett O'Hara! Miałam do zrobienia robotę i nie chciałam tracić czasu na głupie kawały.

- Nie, nie jesteś Scarlett. Ona by zaczęła wołać Retta i wpadłaby w histerię, jak przystało na damę.

- O tak, ale gdyby Retta nie było w pobliżu, zabiłaby węża sama i wrzuciła w krzaki.

- Więc niepotrzebna ci opieka?

- Nie. I nie chcę, żeby mnie ktoś żałował. To też potrafię zrobić sama! A zwłaszcza nie potrzebuję litości człowieka, który jest tak okaleczony przez cierpienie z powodu śmierci żony, że potrafi zainteresować się tylko kobietami, które też są jakoś okaleczone. Co do mnie, to jestem zdrowa. Mam się świetnie. Więc Donna może się przestać martwić. Może się poczuć szczęśliwa. Wszyscy mogą się czuć szczęśliwi. Problem nie istnieje. A teraz już idź!

- Z przyjemnością - powiedział zdenerwowany - ale najpierw muszę cię zapytać, co zrobisz z tymi rewelacjami, które odkryłaś?

- A dlaczego miałabym z nimi cokolwiek robić? Mam inne zmartwienia. Na przykład mój film. Ty i Bull może myślicie, że przejęliście nad nim kontrolę, ale ja mam dla was nowinę: nie pozwolę na to. To jest mój film! - Uderzyła się dłonią w pierś i prawie nie przerywając mówiła dalej: - I powiem ci coś jeszcze. Do szalu doprowadza mnie to, że ktoś posługuje się moim filmem w celu sprowadzenia narkotyków do kraju i zabija mi ludzi na planie i na moim terenie. Jeżeli odkryję; kto to robi - a jest to prawdopodobne - to ten ktoś będzie musiał słono za to zapłacić! Więc idź i zostaw mnie w spokoju, zanim zmienię zdanie i powiem, że najprawdopodobniej winny jest były agent DEA pracujący na własną rękę, były agent, który ma własny samolot i który zna bagna. W tej chwili chciałabym nawet, żeby się okazało, że to prawda!

Słuchał jej, a jego twarz nabierała ostrego wyrazu.

- Dobrze, pójdę sobie - powiedział w końcu. - Ale na twoim miejscu dobrze bym się zastanowił, zanim bym się wdał w ten narkotykowy biznes. Bo następnym razem może się to skończyć śmiercią, i to nie węża.

Odwróciła się od niego z rękami złożonymi na piersi. Słyszała odgłos oddalających się kroków. Potem wszystko ucichło. Odszedł.

Powiedziała mu dokładnie to, co myślała. Powinna czuć się lepiej. Tymczasem było jej zimno i czuła przygnębienie, i nieludzkie zmęczenie. Myśl o tym, że ma wrócić i stanąć twarzą w twarz ze wszystkimi, i spróbować skończyć film zgodnie z własną wizją, a przy tym spierać się z Bullem i zwalczać jego pomysły, napawała ją obrzydzeniem. Sama nie wiedziała, dlaczego właściwie do tej pory chciała robić filmy, i czuła, że na pewno nigdy już nie będzie miała ochoty na następny. Ta praca kosztowała ją zbyt wiele. Traciła przy niej zbyt wiele sił, zbyt dużo angażowała się uczuciowo. Nic dziwnego, że reżyserzy tacy jak Buli czy John Huston zaczęli ostro pić, że stali się cynicznymi sadystami.

Do zacienionego miejsca, w którym stała, dotarło światło słoneczne. Wokół zapanował spokój. Z oddali dobiegał szum generatorów, silników samochodowych, jakieś głosy. Jednak odgłosy bagien docierały do niej wyraźniej. Słyszała alarmujący krzyk sójki, zawroźnienie komara i delikatny szelest wywołany przez jaszczurkę kręcącą się u jej stóp wśród zbutwiałych liści. Ogon zwierzątka ocierał się o czubek jej buta. Julie zanurzona w mgławicę spokoju czuła wewnętrzny niepokój. Westchnąwszy głęboko i wyprostowawszy ramiona, ruszyła w drogę powrotną.

W tej samej chwili usłyszała trzask gałęzi. Ktoś przedzierał się przez palmy niskopienne. Szedł od strony bagien - najwyraźniej znajdował się tam od dłuższego czasu albo zrobił koło i zaszedł Julie od tyłu. Oczywiście było, że ten ktoś nie miał pojęcia o tym, co Rey mówił na temat cichego poruszania się wśród tego rodzaju roślinności.

Krzyk sójki stał się ochrypłym wrzaskiem, który niósł się w powietrzu. Odgłosy przedzierania się przez palmy przypominały powolny warkot bębena, po którym dobosz przesuwają metalową szczoteczką. Serce Julie tłukło się w piersi, a potem zaczęło łomotać. Opuściła ręce i odwróciła głowę nasłuchując. Zrobiła parę kroków. Hałas przybliżył się. Julie zaczęła biec.

W spokojnym powietrzu rozległ się strzał. Sójka zamachała skrzydłami i odleciała, a kula zagwizdała wśród wysokich cyprysów.

Julie poczuła ukłucie w skroni, pole widzenia przesłoniła jej chmura czerwieni. Upadła w ciemność. Upadła miękko, wtulając policzek w poduszkę z liści.

- Julie? - Allen mówił cicho, tuż przy jej uchu. Julie ostrożnie otworzyła oczy.

W głowie czuła tępy ból; czyhał na nią, trochę stłumiony. Instynkt podpowiadał jej, że jest stłumiony tylko czasowo. Że może w każdej chwili powrócić, prześwidrować się do środka, aż do mózgu.

Pokój był zaciemniony. Pierwszą rzeczą, jaką Julie zobaczyła wyraźnie, był ogromny bukiet żółtych róż. Było ich pewnie sto. Stały w wazonie, otoczone liśćmi paproci i niezapominajkami. Widziała też bukiety z frezji i lili i doniczki z zielonymi roślinami. Granitowy parapet dużego okna był nimi zastawiony, przez co odnosiło się wrażenie, że jest się w altanie. Ściany pokryte były tapetą w dyskretne wąskie niebieskie paski na kremowym tle. Mimo to nie było wątpliwości, że jest to pokój szpitalny - wysoko na ścianie przymocowano telewizor, łóżko miało poręczę zabezpieczające, a pościel była biała.

Allen stał obok łóżka i trzymał rękę Julie. Sprawiał wrażenie zmęczonego, choć być może to wrażenie wywoływał szary kolor jego golfu. Za nim, na krześle, siedziała starsza kobieta w białym mundurku, w wykrochmalonym białym czepku na siwiejących włosach i w narzuconym na ramiona białym swetrze. Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła, że Julie na nią patrzy. Wstała i przeszła na drugą stronę łóżka. Wzięła Julie za nadgarstek i trzymała ją przez chwilę, patrząc na duży zegarek.

- Co się dzieje? - wyszeptała Julie przestraszona. - Co się stało?

- Masz pęknięcie czaszki na linii włosów i lekki wstrząs mózgu - odrzekł Allen uspokajającym tonem. - Ale się nie martw. Wyzdrowiejesz.

- Ale ... jak to się stało?

- Nie pamiętasz?

Julie poruszyła leciutko głową i zaraz zbladła; ból przeszył jej czaszkę.

- No, no, kochanie - odezwała się pielęgniarka - najlepiej jeszcze przez jakiś czas się nie ruszać. I proszę się nie niepokoić. Często się zdarza, że ludzie nie pamiętają, co się działo przed czymś takim i po tym.

- Czymś takim? To znaczy czym?

- Zostałaś postrzelona - wytłumaczył Allen. - Zdaje się, że biegłaś, więc nie stanowiłaś dobrego celu. Kula wyorała płytką bruzdę w twojej czaszce, uszkodziła tyle naczyń krwionośnych, że wyglądało to tak, jakby połowa płata czołowego... a zresztą mniejsza z tym. W każdym razie masz na skroni wygolony kawałek skóry, założyli ci sześć czy osiem szwów i jesteś zabandażowana jak Boris Karloff w Mumii.

- Naprawdę? - Oswobodziła rękę i podniosła ją do głowy. Allen chwycił ją za palce.

- Nie, nie, żartuję sobie tylko. To nic wielkiego. Nie widziałaś, jak potem było zabawnie. Powinnaś była widzieć, jak Bull się rozkleił, kiedy zobaczył, jak Tabary wybiega z lasu umazany twoją krwią i jak tobie krew kapie z włosów. Wyglądało na to, że Tabary słyszał strzał i wiedział, gdzie cię szukać. Wróciłem właśnie z lunchu, kiedy ta komedia się zaczęła. Myślałem, że Bull i Tabary pobiją się o to, który z nich ma cię zawieźć do szpitala. Potem obaj zaczęli równocześnie wrzeszczeć i wzywać policję. Domagali się, żeby jeden oddział szukał tego, kto strzelał, i żeby reszta wskoczyła do samochodów i eskortowała cię jak najszybciej do szpitala. Biedny

szeryf i jego ludzie zupełnie stracili głowę. Było jak w kinie. Naprawdę to by była doskonała scena. Szkoda, że jej nie widziałas.

- Dobrze, że ty ją widziałeś - zauważyła Julie trochę ironicznie.

- Nie myśl, że jestem taki nieczuły. Ale ja naprawdę mogłem się temu tylko przyglądać. Ani Tabary, ani Bull nie pozwoliliby mi się do ciebie zbliżyć. O opiece nad tobą nawet nie mówię. Nie bardzo mi się to podobało, też chciałem być bohaterem - wybawcą.

Julie uśmiechnęła się.

- Przynajmniej teraz jesteś przy mnie.

- No tak, pozwolili mi na to. Bo obaj czuwali przy tobie w nocy i rano. Zdaje się, że lekarz wysłał w końcu Bulla do domu, bo doprowadzał pielęgniarki do białej gorączki. Tabary zabrał się, kiedy usłyszał, że pęknięcie jest niegroźne i że prawdopodobnie wkrótce się obudzisz.

Julie rozejrzała się po pokoju. Zerknęła na kwiaty i na pielęgniarkę, która przykryła rękę pacjentki prześcieradłem, poklepując ją lekko, i teraz strząsała termometr.

- Jeżeli to pęknięcie to nic poważnego, to po co to wszystko? Allen uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiedziałem, że to nic poważnego, i musiałem coś zrobić.

- Jak długo będę musiała tu leżeć? - zapytała.

- Nie bądź taka niecierpliwa. Możemy się bez ciebie obejść przez parę dni, zwłaszcza teraz. - Ja muszę skończyć film.

- Bull cię zastąpi. Na pewno sobie przypominasz, że zgłosił gotowość dokończenia pracy. W sumie ten drobny wypadek na coś się przyda. Można nim usprawiedliwić to, że Bull przejmuje film właśnie teraz.

Julie patrzyła na Allena przez chwilę.

- Miło mi, że znalazłeś jakąś zaletę tej sytuacji. Mimo to chcę się stąd wydostać.

- Dobrze - zgodził się, podnosząc ręce w górę. - Mają zamiar zatrzymać cię na obserwacji tylko przez czterdzieści osiem godzin. Możesz stąd wyjść jutro. Chyba że byłby jakiś problem, czego lekarze się zresztą nie spodziewają.

- To dobrze - powiedziała zamykając oczy. - To dobrze.

- Nie wiem, czy to tak dobrze. Policja chce z tobą rozmawiać. Znowu.

Między brwiami Julie pojawiła się zmarszczka. Jej wargi rozchyliły się.

- O czym? - spytała.

- Chcą wiedzieć, kto do ciebie strzelał. Co się tam stało. I dlaczego.

Julie znowu otworzyła oczy. Był w nich wyraz zaskoczenia.

- Ja ... nie pamiętam.

- Jak to nie pamiętasz?

- No tak, mam w głowie pustkę - mówiła coraz bardziej zaniepokojona. - Czarną dziurę.

- Uspokój się. Powiedz mi, co pamiętasz.

- Nic. Po prostu ... nic.

- Jak to jest możliwe? - dopytywał się Allen natarczywym tonem. - Wiesz przecież, kim jesteś? Wiesz, kim jestem ja?

Rzęsy Julie zatrzepotały, a wyraz twarzy nieco się zmienił, było w niej teraz trochę mniej niepokoju. Głosem nieco spokojniejszym powiedziała:

- Tak. To wiem. I... i pamiętam, że rozmawiałam z Bullem, Reyem i tym facetem z firmy ubezpieczeniowej, a potem wyszłam z biura. Pamiętam, że poszłam kawałek w głąb bagien. Pamiętam drzewa, liście, ptaki. Ale potem ... już nic.

- Nie widziałaś, kto strzelał?

Pokręciła głową.

- To nic - uspokoiła ją pielęgniarzka. - Przy urazach głowy to się zdarza. To lekka chwilowa amnezja. Niech się pani nie wysila. - Chwilowa - powiedziała Julie drżącym głosem.

- Tak sędzę. Powiemy o tym lekarzowi i on o tym z panią porozmawia. Ale ja myślę, że pani sobie wszystko przypomni bez niczyjej pomocy. Może dziś po południu, może jutro albo pojutrze. - Myśli pani, żetak będzie? - spytała Julie.

Pielęgniarzka poklepała ją po ręce.

- Z pomocą bożą. A jeżeli nawet nie, to przecież nie pamięta pani takiego krótkiego okresu. Jakie to ma znaczenie?

To prawda, to nie ma znaczenia. A jednak ma.

Julie nie była pewna, czy wypowiedziała te słowa głośno, czy tylko je pomyślała. Odpłynęła, zaczęła myśleć o altanach z żółtych róż, które powoli zamieniły się w unoszące się na wodzie lilie. Po chwili poczuła, że Allen wypuszcza jej rękę ze swojej dłoni.

Dwa dni później Julie siedziała skulona na huśtawce wiszącej w zacienionym końcu tylnej galerii domu ciotki Tine. Wypuszczono ją ze szpitala przed lunchem. Po lekkim posiłku odpoczywała przez jakiś czas w swoim pokoju, odzyskując siły. Ból głowy to znikał, to się pojawiał, jednak żeby go stłumić, wystarczała aspiryna. Bull zawsze mówił, że Julie ma twardą głowę. Najwidoczniej miał rację.

Po południu znudziło jej się być inwalidką. Miała ochotę wyjść . z pokoju. Summer i ciotka Tine przyniosły jej na huśtawkę dodatkowe poduszki, książki, przenośne radio oraz tacę z ciasteczkami i dzbankiem lemoniady.

Julie nie dane było jednak rozkoszować się tymi wygodami, gdyż w domu ciotki Tine pojawili się szeryf i oficer policji stanowej. Ostatnio widziała ich tyle razy, że wizyta ta wyglądała raczej jak wizyta towarzyska i nie przypominała przesłuchania. Wrażenie to pogłębił jeszcze fakt, że przysiadła się do nich ciotka Tine i zaczęła obu mężczyzn wypytywać o ich rodziny.

Julie doceniała fachowość i uprzejmość przedstawicieli policji miejscowej i stanowej. O dziwo, dogadywali się jakoś z członkami ekipy filmowej, którzy przeważnie nie bardzo szanowali władzę i nie byli skłonni do udzielania jej pomocy. Julie jednak niewiele mogła im pomóc, gdyż wciąż pamiętała bardzo mało. W każdym razie wszyscy z przyjemnością siedzieli na galerii, popijając lemoniadę.

Kiedy szeryf i policjant poszli, zza drzwi kuchennych wystawiła głowę Summer; po chwili wyszła na galerię i usiadła na poprzeczce do opierania nóg przy huśtawce. Wydymając wargi powiedziała:

- Nudzę się.

- A gdzie jest dzisiaj Donna?

- Poszła do dentysty z jednym z chłopców. Powiedziała, że mogę iść z nimi, ale ja nie lubię gabinetów dentystycznych.

Patrząc na strapioną twarz dziewczynki, Julie nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Rozumiem cię. Szeryf mówi, że już niedługo będziemy mogli znowu kręcić. Będziesz wtedy miała mnóstwo zajęć.

- Bull mówił, że będziemy kręcić już jutro. Pytałam go, czy w scenie w szpitalu będę mogła mieć głowę obandażowaną tak jak pani. Powiedział, że zobaczy, czy to możliwe.

- Ach tak - mruknęła Julie.

Summer usiadła w pozycji lotosu, potem oparła łokcie na kolanach, a podbródek na dłoniach i posłała Julie spojrzenie godne osoby dorosłej.

- Niech się pani nie denerwuje. On miał na myśli, że się dowie, co pani na to.

- Dlaczego ci to przyszło do głowy?

- Bo zapytałam go, kiedy będzie wiedział, a on powiedział, że wtedy, kiedy pani poczuje się lepiej.

Julie poczuła przypływ nadziei, której towarzyszyły jednak wątpliwości. Próbowała się jej wyzbyć.

- Ty masz być w tej scenie poparzona - powiedziała - O wstrząsie mózgu nie ma mowy.

- No tak, ale tam był wybuch i nie rozumiem, dlaczego nie mam mieć takich obrażeń jak pani. Można zabandażować mi całą głowę. Wtedy wyglądałoby na to, że spaliły mi się włosy. To by było fajne.

- Tu masz rację.

- I może mogłabym mieć złamaną nogę? I rękę?

- I co, trzymałabyś je na wyciągach? Nie uważasz, że ta scena będzie lepsza, jeżeli będziesz po prostu leżała w łóżku blada i malutka, i taka biedna?

- Ale z bandażem na głowie?

- Z bandażem - powiedziała Julie z powagą.

Dziewczynka zmarszczyła brwi, a potem poruszyła nimi w dół i w górę, jak gdyby chciała się przekonać, czy wszystko z nimi jest w porządku.

- Dobrze. Ale nie będę miała takiej zielonej rurki w nosie. Bo to obrzydliwe.

- Nie będziesz miała zielonej rurki.

Summer rozplotła nogi przypominające w pozycji lotosu zaplątane spaghetti, wstała i poszła nalać sobie szklankę lemoniady. A. potem wróciła i usiadła na podłodze wyciągając nogi przed siebie. Wypiła połowę lemoniady, oblizwała usta i odezwała się:

- Wie pani, ja bym chciała, żeby Rey był moim ojcem.

- W tej sprawie twoja mama miałaby coś do powiedzenia - zauważyła Julie.

- Tak. Ona już wyszła ze szpitala.

- Tak?

- Dwa dni temu. Mówi, że jedzenie było tam okropne. Od dwóch dni mieszka w motelu, ale do mnie zadzwoniła dopiero dziś rano. Chce, żebym się do niej przeprowadziła.

- To dobrze.

- Dlaczego dobrze? Ja nie chcę. Bo to się powtórzy. Weźmie za dużo tabletek, wypije za dużo i zacznie mnie winić za to, że nie jestem tak sławna jak ona i że nie zarabiam tyle pieniędzy. I pewnego dnia skończy się to nie atakiem wściekłości, ale śmiercią. Dziewczynka była taka mała, a mówiła głosem osoby tak wiele wiedzącej. W jej zachowaniu była też udawana obojętność, maskująca cierpienie. Julie wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia. - Może tym razem to się nie powtórzy.

- Nic jej od tego nie powstrzyma - odparła Summer, łącząc palce stóp i obserwując je tak, jakby do niej nie należały.

- A co z twoim prawdziwym ojcem? Mogłabyś z nim mieszkać?

- Nie ma mowy. On ma nową żonę, która jest okropna. I troje dzieci, które robią siusiu na stojąco. - Ach tak - powiedziała Julie.

Summer zrobiła się czerwona i spojrzała na nią wilkiem.

- No tak, nie powinnam tego mówić, ale to prawda. On się drugi raz ożenił i ma trzech ukochanych synków. On mnie nie chce, tak jak nie chciał mamy, kiedy się zorientował, że nie będzie wielką gwiazdą. Rozwiedli się już dawno.

- Przykro mi. Wiem, co czujesz. Ja też kiedyś myślałam, że mój tata mnie nie chce.

- Bull?

- Jak się później okazało, myślał, że będzie mi lepiej z matką. Tak to mniej więcej wyglądało.

- U mnie to tak nie wygląda - odparła Summer ze smutkiem.

- Ale gdyby Rey był moim tatą, byłoby inaczej. On jest wspianiały. Jest taki jak Jean-Pierre. O wiele bardziej go przypomina niż Vance. Vance może udawać nie wiem ile, a i tak będzie mniej do niego podobny. A Rey naprawdę mnie lubi, tak jak Jean-Pierre lubił swoją córkę. Moglibyśmy razem robić mnóstwo rzeczy. Ja' nie sprawiałabym mu żadnego kłopotu. Mogłabym na zawsze zostać tutaj z ciotką Tine. Sypialnia na poddaszu byłaby moim mieszkaniem, tylko moim. Robiłabym ludziki z piernika i ciasteczka do herbaty, chodziłabym na wesela, jadłabym jambalaję, chodziłabym na ryby i...

- I nigdy nie nakręciłabyś już żadnego filmu?

Dziewczynka zamknęła usta, wykrzywiając się ze złości.

- Nie wiem - mruknęła.

- To miło mieć rodzinę, prawda?

- Tak - odpowiedziała półszepem Summer.

Zaskrzypiały drzwi z siatki prowadzące do sypialni. Otworzyła je ciotka Tine.

- Summer, chere, przynieś mi szklanki po lemoniadzie, zanim muchy zjedzą Julie. A później będziesz mi potrzebna. Pokroisz cebulę na roux. Robię gęstą zupę ze strąkami okry.

Summer zerwała się i pobiegła spełnić prośbę ciotki Tine.

Ciotka trzymała drzwi, żeby dziewczynka mogła przejść ze szklankami i dzbankiem ustawionymi na tacy. Trwało to chwilę, ciotka jednak zdążyła się uśmiechnąć do Julie. Pokręciła przy tym głową. A potem weszła do domu.

Julie słyszała ich głosy - cichy pomruk dobiegający z kuchni.

Ciotka Tine była kobietą dobrą i mądrą. Wynajdywała Summer zajęcia nie tylko po to, żeby dziewczynka jej pomogła, ale także po to, żeby odwrócić jej uwagę od życiowych problemów. Dla Summer właściwie nie można było zrobić nic więcej, gdyż Płatka dziewczynki nie kwalifikowała się do tego, żeby odebrać jej prawa rodzicielskie. Z własnej woli prawdopodobnie nie zrezygnowałaby z córki, zresztą nikt by jej pewnie do tego nie namawiał. Epizod na planie budził niesmak, ale Julie pomyślała, że może sprawy nie mają się tak źle, jak sugerowała Summer. Dzieci czasami mówią w gniewie 'rzeczy, których nie mają na myśli, a Annette zawsze okazywała, że kocha córkę.

Możliwe było też, że Summer identyfikuje się z postacią, którą gra - z dzieckiem serdecznego i silnego Cajuna, Jean-Pierre'a, dzieckiem uczącym się życia na bagnach, w którym budzi się silne poczucie więzi rodzinnej i społecznej, poczucie, które dają więzy krwi. Nie byłoby w tym nic dziwnego. Aktorzy starsi i bardziej zrównoważeni niż Summer mieli czasami trudności z wyraźnym rozgraniczeniem fikcji i rzeczywistości.

Myśląc o tym, o stosunkach między Summer a Reyem i między Jean-Pierrem a Alice, Julie uświadomiła sobie, ku własnemu zaskoczeniu, że jej koncepcja tego filmu była całkiem mylna. Uważała bowiem, że jest to film o dorastaniu, o tym, jak dorastająca dziewczynka uczy się stawać na własnych nogach i myśleć samodzielnie. To dziecko, które omal nie straciło życia wskutek tego, że matka i ojciec kochali ją w tak różny sposób, ma w końcu zmusić oboje rodziców do przewartościowania ich własnego życia.

Było to w pewien sposób słuszne. Ale Julie zorientowała się, że tak naprawdę nie jest to film o dojrzewaniu. Była to historia mówiąca o wzajemnych stosunkach ojca i córki. Mówiła o miłości, która nie uzależnia, a uczy niezależności. Mówiła o uczuciu, które stymuluje indywidualny rozwój, a nie żąda powielania własnego obrazu.

W związku z tym zakończenie, które Julie sobie wymyśliła, było błędne. Alice nie byłaby zdolna do ucieczki ze szpitala. Julie stwierdziła, że sama nie byłaby zdolna tego zrobić. To oznaczało, że potrzebna była

jakaś decyzja. Lecz tej decyzji nie mogło podjąć dziecko.

To Jean-Pierre powinien podjąć decyzję, to on kochał dziewczynkę najbardziej, więc powinien się poświęcić. Nie było innego rozwiązania.

Oznaczało to, że scena w szpitalu była sceną kluczową. Nie mogła być sentymentalna, nie musiała być nawet długa. Powinna natomiast być piękna i przesycona miłością (maskowaną co prawda szorstkością w sposobie bycia), no i być może nie pozbawiona szczypty humoru. Powinna przemówić do serc widzów.

Julie pomyślała, że musi o tym powiedzieć Bullowi. Pomysły przychodziły jej do głowy szybko. Potrzebny był jej notatnik i długopis. Musiała to wszystko zapisać, by nie zapomnieć. A potem przepisać to wszystko na komputerze. I trzeba to było robić szybko, bo przecież nazajutrz mieli zacząć kręcić scenę w szpitalu.

Nagle sobie przypomniała: to nie ona robi film, tylko Bull.

A Bull mógł mieć inny pogląd na tę scenę.

Ale nie, musi się z nią zgodzić. Jest przecież jej ojcem.

A potem, siedząc i patrząc na cienie drzew i wymęczoną słońcem trawę, Julie uświadomiła sobie jeszcze coś.

Ten film, jej film, nie był filmem o jakiejś tam córce i jej ojcu.

Był filmem o niej i o Bullu.

Nie było w nim oczywiście nic z jej życia, ale było mnóstwo z tego, o czym marzyła w dzieciństwie, na co miała nadzieję i czego się bała - wtedy i nawet teraz. Kiedy jako mała dziewczynka złościła się na matkę i pocieszała fantazjowaniem na temat ojca, który w jej wyobraźni kochał ją tak bardzo, że przyjeżdżał i ratował ją, wykradał matce, pokonując wszelkie przeszkody i robiąc wszystko, żeby mieć ją przy sobie. W tych fantazjach to właśnie matka zawsze przeszkadzała, to matka zawsze starała się nie dopuścić go do niej. Jednak wtedy Bull okazał się zdrajcą - albo był nim w jej oczach - bo zademonstrował, że nie kocha córki, czy też nie kocha jej dostatecznie mocno. Okazał się zdrajcą, gdyż nigdy się nie pojawił.

Ta zdrada łączyła się w jej wyobraźni ze zdradą, jakiej dopuścił się wobec jej matki, zadając się z innymi kobietami. Julie nigdy mu nie wybaczyła żadnej z tych zdrad, nie wybaczyła mu ich nawet wtedy, kiedy zaczęła z nim mieszkać. Gdzieś w głębi jej duszy krył się zawsze gniew. Co więcej, nigdy mu nie ufała. Bała się kolejnej zdrady.

Im więcej o tym myślała, tym wyraźniej uświadamiała sobie, że to właśnie ten lęk powodował, że myśl o możliwości współpracy z nim przy filmie wyprowadzała ją z równowagi. Nie wierzyła mu, kiedy mówił, że chce tylko z nią współpracować, a nie zastąpić. I miała rację. Bo przy pierwszej okazji zgłosił gotowość przejęcia filmu. Była to kolejna zdrada, która jeszcze raz pokazywała, jak niewiele córka go obchodzi.

Ale zaraz, czy rzeczywiście tak było?

Nie dała mu przecież szansy wytłumaczenia się.

- Kochanie, dlaczego siedzi tu pani z taką zasepioną miną? Boli panią głowa? - ciotka Tine jeszcze raz przysłała sprawdzić, co się z nią dzieje, i dla odpoczynku usiadła na chwilę w bujanym fotelu.

Julie uśmiechnęła się. Była wdzięczna za tę troskę. Odpowiedziała na pytanie kręcąc głową, a potem powiedziała, o czym myślała. Opowiedziała jej o Bullu i filmie, o tym, jak Bull zabrał jej film; i o tym, że nie wie, czy jej go odda. Kiedy skończyła, ciotka Tine siedziała przez chwilę milcząc i kołysząc się w fotelu na biegunach, który przyciągnęła do huśtawki. Na jej pięknej niemłodej twarzy o cerze jak bibułka malowało się skupienie.

- Więc myśli pani, że pani tata zabrał pani pracę? Mogłoby tak być. Takie rzeczy się zdarzają. Tata aligator z uśmiechem pożera swoje nowo narodzone młode, jeżeli jest głodny i jeżeli to młode nie jest wystarczająco szybkie, żeby uciec. Ale ludzie są przeważnie bardziej humanitarni i bardziej troszczą się o swoje dzieci. Wydaje mi się, że musi pani go przynajmniej zapytać.

Julie kiwnęła głową.

- Byłam bliska tej konkluzji. Myślę, że tak naprawdę to powinnam winić tylko siebie za to, że uciekałam i zostałam postrzelona. - Nie, chere! Proszę nie mówić głupstw. Skąd mogła pani wiedzieć, że ktoś chce panią zabić?

- No, ale przecież przedtem zginął Stan - powiedziała Julie ponuro.

- Tak, to okropne - stwierdziła ciotka smutnym tonem. - Wszystkie te morderstwa i jacyś obcy ludzie na bagnach. Cały ten handel narkotykami. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że oni wciągają w to młodych ludzi, a ci młodzi tak łatwo umierają.

- Uważa pani, że to, co się dzieje na naszym terenie, ma związek z handlem narkotykami?

- To nietrudno zgadnąć, chere. Bo co można zabijać na bagnach? Aligatory na skóry poza sezonem? Nie, nie.

- A ja myślałam, że to tajemnica. Nic o tym nie mówiłam, bo bałam się, że to się źle odbije na moim filmie. Narobiłam okropnego bigosu.

- Policja zawsze wiedziała, że to możliwe. Oni na co dzień prowadzą z nimi walkę, mają specjalne oddziały, które się tym zajmują. Więc właściwie wątpliwe jest, czy to, co im pani powiedziała, ma jakiegokolwiek znaczenie.

- Być może. Ale naprawdę wygląda na to, że wszystko mi źle idzie.

- Takie ma pani wrażenie, bo nie czuje się pani dobrze. Jutro się to zmieni.

- Wątpię. - Julie pokręciła głową.

- No, ale to jest coś, co tylko pani sama może zmienić - stwierdziła z prostotą starsza kobieta. - To jest tak jak z gotowaniem zupy: w garnku życia znajduje się to, co do niego wrzucimy. Można dodać miłości lub nienawiści, nadziei lub lęku. Jeżeli na powierzchni pływa coś, czego nie lubimy, powinniśmy to wyłowić i wyrzucić. Szaleństwem byłoby zostawić to w garnku, a potem narzekać, że smak jest nie taki. Należy dążyć do tego, żeby jeść ze smakiem. Taki jest cel.

- Myślę - zaczęła Julie - że ten garnek przypaliłam. Czy uważa pani, że mogłabym zacząć od początku?

- Zacząć od początku można zawsze. Dobrzy kucharze stosują tę zasadę, dopóki potrawa nie jest taka jak trzeba. Ale, ale, to mi przypomina, że powinnam zajrzeć do garnka. Summer nad nim czuwa, ale ona nie będzie wiedziała, kiedy potrawa jest gotowa.

Ciotka Tine weszła do domu, a Julie siedziała przez jakiś czas bez ruchu. Obserwowała pawia rozpościerającego ogon w ukośnie padających promieniach słońca, wdychała napływające z domu zapachy - przyrumienionej mąki i cebuli z selerem i czosnkiem, łagodnej papryki i wędzonego mięsa, a także rosół z kury - i myślała o tym, co powiedziała ciotka Reya. Myślała też o tym, czego nie powiedziała, a dała jej delikatnie do zrozumienia: mianowicie o tym, że ludzkie życie jest czymś ważniejszym niż film.

Bull, Rey, Allen, Ofelia - żadne z nich nie mogło być zabójcą.

Dlaczego tak trudno było jej sobie wyobrazić, że ktoś, kogo zna, jest winien? Nie uważała się za osobę naiwną, a jednak zupełnie nie potrafiła wyobrazić sobie, że któreś z nich doprowadziło do wypadku, posłużyło się nożem albo pistoletem. Mimo to ktoś zabił dwie osoby i usiłował zabić dwie inne.

Usiłowano zabić Summer. Może to był klucz do zagadki? Wszystkie pozostałe zdarzenia można było jakoś racjonalnie uzasadnić, ale nastawanie na życie Summer było bez sensu. Bo co można było osiągnąć, robiąc krzywdę dziecku?

Istniało prawdopodobieństwo, że Summer coś wiedziała, że widziała albo słyszała coś, czego nie rozumiała, ale mogła o tym komuś powiedzieć. Zabójca obawiał się właśnie tego: że Summer o tym czymś komuś powie. Była przecież dzieckiem przedwcześnie rozwiniętym i wścibskim, które mogło zauważyć coś; co się koło niego działo, zwłaszcza jeżeli to coś nie było przeznaczone dla jego oczu i uszu.

Summer. Jeżeli ona naprawdę coś wie, to prawdopodobnie wciąż grozi jej niebezpieczeństwo. Julie zastanawiała się nad tym w skupieniu, obserwując zapadający zmierzch. Będzie musiała porozmawiać z dziewczynką.

Było też kilka innych osób, którym chciała zadać parę pytań.

Gdzieś w płataninie myśli czaiło się coś, co ją niepokoiło, coś, co zostało przez kogoś powiedziane i co chciała usłyszeć jeszcze raz. A może było to coś, co sama komuś powiedziała i o czym zapomniała. Jakiś drobny szczegół, ale dręczyło ją to, że nie może go sobie przypomnieć. Wiedziała, że nie zazna spokoju, dopóki nie będzie wiedziała, co to jest.

W dalszym ciągu nie pamiętała też, co się działo w ciągu kilku minut poprzedzających strzał. Może to właśnie wtedy wypowiedziane zostały te słowa, które chciała usłyszeć jeszcze raz. Wiedziała tylko, że pojawił się tam Rey. Będzie musiała go zapytać, o czym rozmawiali. Może on pomoże jej sobie przypomnieć.

Tak czy inaczej miała zamiar dowiedzieć się, kto śmiał wykorzystywać ją i jej film do swoich celów. Tak czy inaczej miała zamiar dopilnować, żeby temu komuś nie uszło to na sucho. Nie była pewna, jak to osiągnie, ale pomyślała, że może zacząć od zamieszania w tym garnku, w którym gotowała się zupa mająca związek z produkcją Królestwa bagien.

Tak, zamiesza w nim energicznie i zobaczy, co wypłynie na powierzchnię.

Bull przyjechał na kolację. Podjechał z Reyem dokładnie w chwili, kiedy Julie pomyślała, że trzeba wejść do domu. Bull wyglądał na strapionego, oczy miał podkrążone. Jego ubranie w kolorze khaki było zmięte, jakby wyciągnął je prosto z walizki, nie mając czasu na zwracanie sobie głowy pilnowaniem, żeby obsługa motelu je wyprasowała.

Rey, ubrany ze swobodną elegancją w dzinsy i granatową koszulę oraz granatowe buty, wyglądał świeżo. Był chyba w dobrej formie i tak ożywiony, że Julie aż przykro było na niego patrzeć.

Zapytał ją o samopoczucie, a ona odpowiedziała:

- Dobrze. - A potem spytała: - Jak twoje ramię?

Otrzymała taką samą odpowiedź. Pomyślała, że oboje kłamią.

Reyowi przyszło do głowy dokładnie to samo.

- Myślałam nad ostatnimi scenami filmu - zwróciła się Julie do ojca. - Mam pewne pomysły, które chcę z tobą omówić.

- Teraz? - Twarz mu poczerwieniała. - Tak się składa, że i ja mam parę pomysłów. Ale czy to nie może poczekać? Czy nie możemy o tym porozmawiać po kolacji? Jestem głodny jak wilk. Chyba pójdę umyć ręce, a potem pomogę ciotce Tine nakrywać do stołu.

Kiedy wchodził do domu, Julie popatrzyła na niego ze zmarszczonymi brwiami. Rozpoznała typową metodę Bulla - robienie uników. Stosował ją zawsze wtedy, kiedy nie chciał o czymś mówić.

- Podobno znalazłeś mnie na bagnach i wyniosłeś mnie stamtąd na rękach - powiedziała do Reya. - A potem zawiozłeś do szpitala. Ja naprawdę ...

- Jeżeli masz zamiar mi dziękować, to nie trzeba - odparł głosem pełnym napięcia; podszedł do barierki i usiadł bokiem do Julie z jedną stopą opartą o podłogę. - Nie powinienem był cię tam zostawić. Gdybym tego nie zrobił, nie doszłoby do tego.

- Więc ty tam byłeś! Wiedziałam o tym, tylko nie mogłam sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy. Przypuszczam, że o czymś, co miało związek z Bullem i filmem. Pamiętam, że rozmawiałam z nim i z Daviesem i że potem pobiegłam do lasu jak szalona.

Odwrócił się twarzą do Julie i przyjrzał jej się uważnie.

- Naprawdę nie pamiętasz naszej rozmowy?

- Mam jakieś przebłyski, ale to wszystko.

- Jakie przebłyski? - zapytał, a oczy mu pojaśniały. Zastanowił ją ton rozbawienia w jego głosie. - Nie wiem ... coś jakby ...

- Więc gdybym ci powiedział, że poprosiłaś mnie, żebym się z tobą kochał pod gołym niebem, nie wiedziałabyś, czy rzeczywiście się kochaliśmy. Ja musiałbym to potwierdzić albo temu zaprzeczyć, tak?

- To nie jest zabawne! - Serce zabiło jej mocniej.

- A ja myślę, że jest. Nie wierzę, że mogłaś zapomnieć coś tak ważnego.

Julie odwróciła nieco głowę, nie odrywając jednak wzroku od Reya.

- To znaczy co?

- Nie jestem pewien, czy powinienem ci powiedzieć. Mogłoby cię to wprawić w zakłopotanie.

- Na pewno nie będę bardziej zakłopotana niż teraz, kiedy patrzę, jak się ze mnie śmiejesz z powodu czegoś, o czym nie mam zielonego pojęcia!

- Wiem, ale ja nie mogę się powstrzymać.

Julie nie dowierzała mu. Pomyślała też, że po raz ostatni widziała taki wyraz rozbawienia na jego twarzy przed kilkoma tygodniami.

- No więc - odezwała się - masz zamiar mi powiedzieć, o co chodzi, czy będziesz tak siedział i śmiał się do siebie?

- Człowiek nie zawsze jest w stanie uwierzyć, do czego zdolne są kobiety, kiedy poniosą je emocje. No więc przysięgałaś mi, że mnie uwielbiasz i że chcesz zostać ...

Przerwał, a wyraz rozbawienia zniknął z jego oczu. Spojrzał na własne złączone dłonie i położył je sobie na udzie.

- Jeżeli to powiedziałam, to miałaś rację uciekając i zostawiając mnie tam samą - odrzekła Julie powoli.

Zerwał się na równe nogi, podszedł do najbliższej kwadratowej kolumny i oparł się o nią, stojąc tyłem do Julie.

- Nie, nie powiedziałaś tego. To był głupi żart. Przepraszam. Tak naprawdę to powiedziałaś, że myślisz, że zamordowałem Paula, bo pragnę jego żony, a później zabiłem Stana, bo był jedyną osobą, która mogła się domyślić, co zrobiłem.

- Nie ... nie powiedziałam tego. Nie mogłam tego powiedzieć.

Julie z wysiłkiem wydobywała słowa ze ściśniętego gardła.

- Może nie. Może tylko dałaś mi to do zrozumienia. Efekt był jednak ten sam.

- Jaki efekt?

- Efekt był taki, że pozwoliłem, by moja kretyńska duma wzięła górę nad rozsądkiem, a ty omal nie straciłaś życia.

- Brzmi to tak, jakbyś myślał, że to my jesteśmy wszystkiemu winni. Ja jednak nie straciłam życia. Daj sobie z tym spokój.

Odwrócił się i stanął z nią twarzą w twarz, opierając się zdrowym ramieniem o kolumnę i trzymając palce w kieszeni dżinsów. Spojrzał na Julie i powiedział, nie uśmiechając się:

- Chciałbym dać sobie spokój, ale nie mogę. Nie mogę dać sobie z tym spokoju, dopóki ty sobie nie przypomnisz wszystkiego, co wtedy zostało powiedziane.

- Czy to takie ważne? - zapytała cicho.

- Myślę, że tak - odpowiedział.

- A co będzie, jeżeli nigdy sobie tego nie przypomnę?

Przez otwarte drzwi jadalni dobiegł odgłos kroków. Prawdopodobnie była to ciotka Tine, która chciała im powiedzieć, że kolacja gotowa.

- To by było najlepsze, co by się mogło zdarzyć - pospieszył Rey z odpowiedzią, nie chcąc, żeby mu przerwano.

Po kolacji pomagał ciotce zbierać talerze. Śmiał się i przekomarzał z Summer, Wciągnął ją także w sprzątanie. Tymczasem ciotka wypchnęła Julie z jadalni do salonu. Widząc, że Bull zbiera się do odejścia, Julie złapała go za ramię i przypomniała, że mieli porozmawiać.

Salon był niewielki. Nieczęsto go też używano. Ciotka Tine wolała przyjmować przyjaciół na tylnej galerii albo w kuchni. Wskutek tego salon przypominał hermetyczne wnętrze muzealne. Stała w nim stara fisharmonia z wydeptanymi, pokrytymi aksamitem pedałami, a do jednej ściany przymocowane były srebrne lichtarze osadzone na drewnianych, wystających ze ściany ramionach. Ogromne rokokowe lustro wisiało nad kominkiem - wisiało ukośnie, a jego górna krawędź odchylona była od ściany pod ryzykownym kątem, ale przez to odbijał się w nim cały pokój. Na jednej ścianie wisiał sztych w sepii, przedstawiający jakąś scenę ze starożytnego Rzymu, a na drugiej umieszczony został wyblakły obraz przedstawiający Madonnę z Dzieciątkiem. Za ramę tego obrazu zatknięte były kruche zasuszone gałązki palmy z poprzedniej Wielkanocy. Przed kominkiem stał komplet składający się z czterech foteli i dwóch podnóżków pokrytych białym niegdyś, a teraz nieco pożółkłym brokatem. Jediną bardziej współczesną rzeczą w pokoju było staromodne radio z lat trzydziestych. Na radiu stały zdjęcia z tej samej epoki obok fotografii Reya z jego lat szkolnych.

Pokój z tak nobliwym umeblowaniem przypominał plan filmowy czekający na aktorów. Julie wyciągnęła rękę, dotknęła szklanego klosza, pod którym stały woskowe kwiaty w delikatnych kolorach, i wypowiedziała swoją długo ćwiczoną kwestię z nadspodziewaną łatwością:

- Chciałam z tobą porozmawiać o zakończeniu Królestwa bagien. Zależy mi na pewnych zmianach.
- Co do zakończenia filmu to myślę, że nie bardzo się trzyma kupy.

Powiedzieli swoje kwestie prawie równocześnie. Spojrzeli na siebie i roześmiali się z niejakim zakłopotaniem.

- Ty mów pierwsza - powiedział Bull.
- Nie, ty pierwszy. Ty jesteś reżyserem.
- Podlizujesz mi się? Ty? No, daj spokój.

Jego beczelność była do przewidzenia, ale szyderstwo w momencie gdy ona usiłowała być rozsądna -nie.

- Wiesz, że tak nie jest!
- Oczywiście - powiedział. - Oboje jesteśmy reżyserami, nie zapominaj o tym, I mów, co masz mi do powiedzenia.

Przez chwilę Julie myślała, że się rozplacze. Przełknęła ślinę i zaczęła opisywać swoje pomysły.

Jej pomysły sprawdziły się. Przekonali się o tym na drugi dzień kręcąc scenę w szpitalu. Julie, wspomagana przez Bulla i Reya, przez całą noc przerabiała zakończenie filmu. Ofelia, zawiadomiona zawczasu, przesiadła kilka godzin przy telefonie, załatwiając zezwolenie na dodatkowy czas kręcenia w szpitalu i na ulicy. Kiedy wszystko zostało już załatwione, Madelyn, Vance i Summer musieli przećwiczyć dodatkowe kwestie. Okazało się, że warto było podjąć wszystkie te wysiłki.

Alice leżała w łóżku z zabandażowaną głową i wyglądała jak aniołek. Ale z tego, co mówiła, można się było zorientować, że jest twarda i dzielna, że nie boi się już niczego i w przyszłości może sprawić matce nie lada kłopoty. Kiedy Jean-Pierre oświadczył, że musi iść, gdyż jest oskarżony o porwanie córki i poszukuje go policja, napięcie emocjonalne sięgnęło zenitu. W pożegnalnych słowach Alice i Jean-Pierre'a był ogrom miłości, w ich oczach błyszczało zrozumienie. Widać było, że oboje pojęli, jak każde z nich się poświęca dla drugiego, zachowując przy tym hart ducha; widać też było, że oboje zrozumieli, jak wielką siłę dają im wspólnie przeżyte niebezpieczeństwa i wspólne wspomnienia. Sposób, w jaki dziewczynka odprowadzała ojca wzrokiem, kiedy wychodził z pokoju, i w jaki potem, wyszedłszy z łóżka i stanąwszy przy oknie, patrzyła za odjeżdżającym samochodem, wywarł ogromne wrażenie na całej ekipie, która obserwowała scenę w milczeniu, jak zaczarowana. A potem, po usłyszeniu magicznych słów "Kamera stop!", wszyscy zaczęli bić brawo i gratulować obojgu aktorom.

Julie podeszła do Summer, żeby ją uściskać i pochwalić, usiadła obok niej na łóżku i przycisnęła swoje obandażowane czoło do czoła dziewczynki. W tym momencie błysnął flesz i Julie odwróciwszy się zobaczyła dziennikarkę, która jak cień chodziła za Vance'em. Dziewczyna była na tyle bezczelna, że puściła do niej oko i pomachała ręką.

Julie popatrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami, a potem, poklepując po raz ostatni Summer, oddała ją pod opiekę Donny i poszła szukać Vance'a,

- No, panowie! - zawołała Ofelia do operatorów i dźwiękowców, kiedy Julie wyszła z pokoju. - Przykro mi, ale muszę wam powiedzieć, że wasze miejsce jest już gdzie indziej. Teraz musicie się ustawić w korytarzu. Chodźmy!

Wychodząc z budynku, Julie skrzyła za róg i natychmiast zeszła z drogi kobiecie, która biegła z przeciwnej strony. Kobieta złapała gwałtownie powietrze, cofnęła się i roześmiała.

- Ojej, Julie, nie chciałam na ciebie wpaść.

Była to Annette. Julie wyciągnęła rękę, pomagając jej złapać równowagę.

- Myślę, że to ja prawie wpadłam na ciebie. Nic ci się nie stało? Annette energicznie pokręciła głową.

- Czy scena już nakręcona? Powiedziano mi, że gra w niej Summer. Chciałam przy tym być.

- Obawiam się, że już po wszystkim. Możesz pomóc odwijać ją z bandażu ... oczywiście takich na niby.

- Ale mnie przestraszyłaś. Tak się z tego wszystkiego wyłączyłam, że prawie zapomniałam, jak przebiega akcja filmu.

Annette była blada. Włosy leżały jej na głowie płasko, tak że widoczny był kształt czaszki; były matowe, bez życia. Twarz bez makijażu pokryta była zmarszczkami, a pod oczami kładły się chorobliwe cienie. Wyglądała jak pacjentka odwykówki.

- Summer ma się dobrze - uspokoiła ją Julie, a potem, nie mogąc pozbyć się myśli, która męczyła ją od poprzedniego wieczoru, zapytała: - Słuchaj, Annette, czy ta historia, którą opowiadał Vance, jest prawdziwa? Ty naprawdę robiłaś ten numer z pytonem?

Annette jęknęła.

- Ach, to. Mam ochotę zamordować Vance'a albo zabić się za to, że się kiedyś upiłam i mu o tym opowiedziałam.

- To nie brzmiało tak źle - powiedziała Julie.

- Ale ja mało nie umarłam, taka byłam upokorzona. Nie chciałam, żeby ludzie wiedzieli, że upadłam tak nisko. Na szczęście brukowce tego jeszcze nie podchwyciły. Bo kiedy się o tym dowiedzą, będą pisać, że Summer jest półwężem!

Julie pewnie by się roześmiała, gdyby sama nie podejrzewała, że Annette właściwie ma rację.

- Więc to prawda?

- Tak jakby. To nie był striptease, tylko taki zwykły numer. Zrobiłam to tylko raz, bo nie mogłam wytrzymać, kiedy ten wąż mnie oplatał... taki obszliszły. - Wzdrygnęła się z obrzydzeniem, które wyglądało na szczere.

- Nie miałam zamiaru przywoływać twoich złych wspomnień - powiedziała Julie. - Ale to wydawało mi się takie dziwne.

- No tak, oczywiście, człowiek robi różne rzeczy, kiedy musi nakarmić dziecko, a kariera mu się załamała. Ale ty nie masz o takich rzeczach pojęcia. Chociaż może kiedyś przyjdzie taki dzień, w którym i ty się dowiesz, co to znaczy. I może wtedy przypomnisz sobie mnie i pytona.

- Myślę, że tak - powiedziała spokojnie Julie.

Annette spojrzała na nią nieżyczliwie, jak gdyby ten brak emocji wzbudził jej podejrzenia. A potem weszła do szpitala.

Julie znalazła w końcu Vance'a, który szedł poprawić charakteryzację. Miał za chwilę kręcić scenę w korytarzu, razem z Madelyn. Była to scena krótka, ale ważna. Jean-Pierre miał w niej powiedzieć żonie, że rezygnuje, że ona wygrała, a on nie będzie już próbował zatrzymywać córki i nie będzie prosił jej, Dorothei, żeby do niego wróciła. Równocześnie ona miała zacząć zdawać sobie sprawę z tego, że bardzo wiele straciła.

- W tej scenie z Summer byłeś wspaniały - powiedziała Julie do Vance'a, doganiając go.

- Dziękuję - odpowiedział, wruszając lekko ramionami, jak gdyby uznawał ten komplement za banalny. - Ta scena należy do małej, ale ja też tam się liczę.

- Zgadzam się - przyznała Julie, chociaż w głębi duszy dziwiła się, że ktoś tak cyniczny jak Vance potrafi wrzucić widza.

Vance przywołał charakteryzatora i usiadł w płóciennym fotelu. Kiedy charakteryzator założył mu już pelerynkę i pudrował twarz, Julie zaczęła mówić dalej:

- Rozumiesz następną scenę, prawda? Rozumiesz, że trzeba pokazać przepaść dzielącą ciebie i twoją żonę, a także trzeba dowieść widzowi, że na próżno spodziewa się, że któreś z was się zmieni i pójdzie na rękę drugiemu?

- Rozumiem - powiedział tonem znudzonym, zamykając oczy i przechylając twarz tak, żeby charakteryzator mógł wyczesać mu puder z brwi.

- Co, oczywiście, nie znaczy, że przestałeś ją kochać, ani też że ty jesteś jej całkowicie obojętny.

Vance podniósł na nią wzrok. Jego niebieskie oczy były tak chłodne jak jego ton.

- W porządku, Julie. Czytałem scenariusz. Mówiłem ci już, rozumiem tę scenę.

- To dobrze. Jest jeszcze coś. Powiedz swojej przyjaciółce, żeby odłożyła aparat fotograficzny albo żeby zabrała się z planu. Vance zerwał z siebie pelerynkę i rzucił nią w charakteryzatora. Wstał.

- Próbowałem być uprzejmy i wysłuchiwałem twoich uwag. Ale chciałbym ci przypomnieć, że już tu nie rządzisz. Więc zejdz ze mnie, dobrze?

Julie uśmiechnęła się, a nawet wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

- Jesteś dobrym aktorem, Vance, ale niezbyt byстрыm facetem. Zniżę się więc do twojego poziomu. Rzeczy mają się tak: będziesz robił, co każę, albo doniosę na ciebie Bullowi.

Mogła załatwić to bardziej dyplomatycznie, ale Vance ją rozzłościł. A poza tym wcale nie zależało jej na jego sympatii. Odwróciła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Zrobiła parę kroków, po czym obejrzała się.

- Aha, Vance - powiedziała - znasz Allena od dawna, prawda? Czy to z przyjaźni trudniłeś się składaniem mu donosów, czy może chciałeś, jak mówi Bull, się podlizać?

- Dlaczego, do diabła, wyobrażasz sobie, że możesz mówić do mnie w ten sposób? - krzyknął, idąc w jej stronę z zaciśniętymi pięściami. - Wiedz, że to ja jestem tu gwiazdorem. Ta gówniara może jest dobra, ale beze mnie byłaby niczym! Podlizać się, cholera jasna, podlizać się! Ja nie jestem takim wrednym pełzakiem! Nie muszę robić takich rzeczy! A teraz zabieraj się stąd i pamiętaj, że następnym razem takie gadanie może obrócić się przeciwko tobie.

- Ho, ho. - Julie uniosła brwi, uśmiechając się i odwracając się od niego po raz drugi. - Dzięki, Vance.

Odeszła, a on gapił się za nią. Wyrażenie, którego użył, kołatało w jej świadomości. Wredny pełzak. Wredny pełzak. Nagle coś jej się przypomniało, przypomniały jej się słowa, które ktoś wymówił i które wyleciały jej z pamięci. Dzięki nim była w stanie domyślić się, kto krył się za tym wszystkim, kto działał na szkodę jej filmu, kto uruchomił handel narkotykami, z czyjej winy zginął Paul i Stan i o mało nie poniosły śmierci ona i Summer, Nie wiedziała jeszcze, dlaczego ten ktoś, to wszystko robił, ale reszta tworzyła spójną, choć skomplikowaną całość. Wszystko pasowało tak dobrze, że była pewna swojej racji.

Musiała mieć rację.

I miała teraz problem: jak tę sprawę rozegrać?

Zdjęcia trwały. Patrząc na Vance'a i Madelyn grających scenę w korytarzu, tę, która w filmie miała poprzedzać scenę pożegnania z Summer w pokoju szpitalnym, Julie zastanawiała się, czy przypadkiem metoda tych reżyserów, którzy obelgami doprowadzają aktorów do wściekłości, nie jest metodą dobrą. Na planie. panowała cisza. Wszyscy patrzyli na grających, wszyscy, nawet Summer, wciąż ubrana w szpitalny szlafrok i koszulę w cielistym kolorze.

Vance był wspinały, mierząc się z prawdą o własnej naturze i naturze kobiety, z którą się ożenił. Mówił tak, że czuło się, jak tłamsi w sobie cierpienie i gorzki smutek i jak równocześnie, kierowany dobrocią, stara się, żeby dla tej kobiety - żony i matki jego dziecka - rozstanie było możliwie najłatwiejsze. Z przekonaniem mówił o tym, że czasami człowiek nie jest w stanie się zmienić; że nie jest do tego zdolny, chociaż byłoby to dla niego korzystne; że zarówno zadawnione przyzwyczajenia, jak i ambicje są zbyt zakorzenione i nie da się ich zmienić; że te przyzwyczajenia i wyuczzone zachowania dają takie poczucie bezpieczeństwa, że nie można się ich wyzbyc.

- A co z miłością? - szepnęła Madelyn, patrząc na niego ogromnymi i wilgotnymi, umalowanymi oczami.

- Z miłością czy z namiętnością? - zapytał Vance, a na jego twarzy pojawił się wyraz tęsknoty tak wielkiej, że przypominała udrekę. - Powiedz mi, jaka jest między nimi różnica, a odpowiem ci na to pytanie.

Odczekał chwilę, a kiedy Madelyn nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, posłał jej swój słynny dwuznaczny uśmiezek, a potem wzruszył z rezygnacją ramionami.

- Cokolwiek było między nami, było niewystarczające.

- Co teraz zrobisz? - zapytała Madelyn.

- Odejdę - powiedział Vance - bo oboje rozszarpujemy Alice i nie może to już dłużej trwać. Odejdę, kiedy będę mógł. I nie wrócę, bo Alice wie już, czym jest miłość. Ja też wiem. I to wystarczy.

Następnie Vance oddalił się i wszedł do pokoju Summer, żeby się z nią pożegnać, a Bull i Julie dali znak operatorowi, by dał zbliżenie znękanej twarzy Madelyn.

Nagle z głębi korytarza, zza pleców członków ekipy, dobiegł szloch. Do Julie podbiegła Summer. Poły szlafroka płątały jej się wokół nóg, a bandaż na głowie rozluźnił się. Dziewczynka chwyciła dłoń Julie, szarpiąc ją gwałtownie. Po policzkach płynęły jej łzy, a na szczupłej twarzy malował się nieutulony żal.

- Nie wiedziałam, że on nie wróci, że nigdy go już nie zobaczę! Niech pani zrobi tak, żeby wrócił. Wiem, że pani może to zrobić. Niech pani tak zrobi!

Julie wzięła dziewczynkę w ramiona, przytuliła jej drobne ciało, czując ucisk w gardle.

- Och, Summer - szepnęła bezradnie. - Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro.

W tym samym momencie pojawiły się koło nich Donna i Annette. Vance wyszedł z pokoju szpitalnego i stanął zakłopotany z boku. Pozostali członkowie ekipy zgromadzili się wokół. Rozległy się szepty.

- Biedne, zagubione dziecko.

- Jest nadwrażliwa, jak matka.

- Boże drogi, nie przypuszczałem, że ona może lubić starego Vance'a.

- Jej nie chodzi o Vance'a, idioto.

Potem tłum rozstał się, robiąc przejście Reyowi. Rey przykląkł na jedno kolano obok Summer i dotknął jej ramienia. Summer odwróciła głowę. Zobaczywszy Reya, wyrwała się Julie i rzuciła się z płacze w jego ramiona.

- Chcę mieszkać z tobą - wołała, wtulając twarz w jego szyję. - Nie odchodź. Nie opuszczaj mnie.

- Nie odejdę - powiedział Rey miękko. - Zostanę tu na zawsze.

- Jeżeli odejdziesz, to ja będę musiała wrócić z matką. Będę musiała!

- Tylko pod warunkiem, że będzie ci z nią dobrze - powiedział, patrząc przed siebie. - I tylko jeżeli tego będziesz chciała. Obiecuję ci to.

- Poważnie? - zapytała dziewczynka z ulgą, a równocześnie z napięciem.

- Daję ci na to słowo.

Summer westchnęła i przytuliła się do niego mocniej, pociągając nosem. Ścisnęła go tak mocno, że koniuszki jej palców miały kolor wosku. Być może Rey czuł ten uścisk, jednak nie dał tego po sobie poznać. Uspokajał dziewczynkę, gładząc ją po plecach. Annette z twarzą pokrytą czerwonymi cętkami przepchnęła się do nich. Chwyliła córkę za ramię.

- Dziecko, jestem tutaj. To ja, twoja mama - powiedziała. - Nie płacz, to tylko film. Tylko film, nic więcej.

- Nie! - krzyknęła Summer, wyrrywając się matce i nie patrząc na nią.

Annette cofnęła się oszołomiona.

- Widzi pan, co pan zrobił?! - krzyknęła do Reya. - Wiedziałam, że to źle, że pan się nią tak zajmuje, że ją pan zabiera na łódkę. Widzi pan, co się dzieje, kiedy ktoś igra z uczuciami dziecka?!

Rey popatrzył na nią z gniewem.

- Gdyby pani bardziej się nią zajmowała, gdyby pani ją kochała dla niej samej, nie widząc w niej odbicia siebie, nie potrzebowałaby mnie.

- Ona pana wcale nie potrzebuje. Ona potrzebuje kogoś innego, kogoś nierealnego. Nakładł jej pan do głowy głupstw, zaczęła myśleć, że jest pan taki jak ten Cajun w filmie. A pan taki nie jest. Nigdy pan taki nie był.

Summer uspokoiła się. Przestała płakać. Patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami.

- Niech się pani nie martwi, Annette - powiedział Rey spokojnie. - Summer dobrze wie, że Królestwo bagien to tylko film .. Wie też lepiej od innych, że filmy się kończą. Nauczyła ją pani przynajmniej tego.

Annette patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem jej twarz wykrzywił okropny grymas.

- Ona jest moim dzieckiem! - krzyknęła. - Ja bez niej jestem niczym. Ona jest wszystkim, co mam. Ona jest mi potrzebna! Tak, potrzebuję jej!

Kiedy echo tego rozpaczliwego krzyku zamilkło w końcu korytarza, Summer poruszyła się. Podniosła powoli głowę. Spojrzała na matkę, a potem na Reya. Zaciśnęła na chwilę usta, a potem jej drobne rysy zakrzepły w takim wyrazie cierpienia, że przestały przypominać rysy dziecka.

Rey, trzymając ją za ręce, odezwał się łagodnie, ale z naciskiem:

- Summer wie, że pani jej potrzebuje. I wie, że pani ją na swój sposób kocha, podobnie jak Jean-Pierre kochał Alice. Co więcej, ona rozumie, że ja co prawda nie jestem Jean-Pierre'em, ale że tutaj, w sercu bagien i w moim sercu, będzie zawsze dla niej miejsce.

- Tak, rozumiem, chyba tak - powiedziała Summer cicho.

- I będziesz o tym pamiętała?

- Zawsze. - Zachłysnęła się tym słowem. - My ... my ... dobrze się bawiliśmy, prawda?

- Oczywiście - przyznał cicho Rey.

- Nie zapomnę, jak się tańczy walca Cajunów.

- Nie zapominaj.

- I kiedyś tu wrócę, naprawdę. I pojedziemy znowu na ryby. I popłyniemy łódką tam daleko, tam, gdzie kończą się bagna, a zaczynają jeziora.

- Będę na ciebie czekał. A tymczasem będę cię oglądał na dużym ekranie, w filmach.

- Tak, bo ja będę grała w filmach. Tak, będę grała - powtórzyła prawie bezgłośnie.

W ciszy, która po tym nastąpiła, rozległy się słowa Bulla.

- To tyle na dziś, moi państwo. Zwijamy się!

Kiedy usuwano sprzęt, Julie podniosła wzrok i zauważyła, że dziennikarka przyjaźniąca się z Vance'em stoi w pobliżu i kieruje aparat fotograficzny na Summer i Reya. Julie ruszyła szybko naprzód i przeszkodziła dziewczynie, która już miała zrobić zdjęcie. Podeszła do niej z ponurą miną.

- Chwileczkę - powiedziała dziennikarka, cofając się. - Ja mam pozwolenie. Vance mówił ...

- Nie obchodzi mnie, co mówił Vance. Już pani nie ma pozwolenia - stwierdziła Julie.

- To, co się tutaj dzieje, jest interesujące. Te zabójstwa, wypadki, ta scena z dziewczynką. Nie może pani zabronić czytelnikom ... - Nie mogę? - zapytała Julie, po czym wyciągnęła rękę i wyrwała aparat dziennikarce.

Dziewczyna rzuciła się na nią, żeby odebrać swoją własność, ale ona odwróciła się, otworzyła aparat i wyjęła film, ściągając z rolki prześwietloną część. Potem gwałtownym ruchem oddała pusty aparat właścicielce.

- Proszę to wziąć i się stąd wynosić. Jeżeli jeszcze raz pokaże się pani na planie, każę panią aresztować za wkroczenie na cudzy teren.

Dziennikarka oddaliła się. Julie zobaczyła, jak Summer i Rey odchodzą korytarzem wraz z Annette. Szli w stronę pustej poczekalni. Julie usłyszała niski głos Reya i zobaczyła, że Summer podnosi na niego oczy z nadzieją, ufnością i miłością. Dziewczynka pociągała nogami, ale trzymała za ręce Reya i matkę i już nie płakała.

Natomiast Julie tak. Julie płakała. Tonęła w tych łzach. Ogarnęła ją potężna fala czułości i to ta czułość przyniosła łzy. Julie zdała sobie sprawę, że kocha tego człowieka, który potrafi zrozumieć potrzeby dziecka i zaspokajając je nie szczędzi siebie. Kochała go za wszystko, za jego siłę, dobroć i poczucie humoru. Kochała go za to, co robił dla innych, i za to, że budził w niej takie, a nie inne uczucia. Kochała go, chociaż wiedziała, że to nic nie zmieni.

Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Uświadomiła sobie, że drży. Była słaba i prawdopodobnie za wcześnie podjęła zbyt duży wysiłek. Ale drzenie to spowodował też szok, jakiego doznała uświadomiwszy sobie własne uczucia. A także wściekłość - zwykła, trawiąca ją od wewnątrz furia, nakazująca się bronić.

Bo nawet mała Summer, która była taka krucha i tak bardzo potrzebowała poczucia bezpieczeństwa płynącego z miłości, miała w sobie tyle odwagi. Ktoś, kto by chciał ją zaatakować, musiałby być zdecydowany nie cofać się przed niczym.

Julie zdała sobie teraz sprawę z czegoś innego. Uświadomiła sobie, jaki jest ten ostatni, mały fragment łamigłówki, którą układała w wyobraźni. I gdzie kryje się przyczyna wszystkiego.

Wiedziała już, co musi zrobić.

Doszła do wniosku, że skoro tak czy inaczej ma być celem ataków, to powinna się z tym zmierzyć. Być może nie było to zbyt mądre, jednak była już zmęczona zastanawianiem się, co będzie dalej, oczekiwaniem na to i świadomością, że nie ma żadnego wpływu na przebieg wypadków. Poza tym była wściekła. Wściekłość leżała u podłoża wszystkich jej umysłowych wysiłków, wściekłość wywołana tym, że ktoś uważa, że może atakować to, co do niej należy, posługiwać się tym dla własnych celów i robić to bezkarnie. Była jeszcze rozżalona, ale nad tym wołała się nie zastanawiać,

Zaraz po powrocie do domu ciotki Tine zadzwoniła do motelu w Gonzales. Potem usiadła i przez dłuższy czas pisała list, w którym informowała adresata o tym, co robi. Tym adresatem musiał być ktoś, kto nie narobi alarmu i nie spłoszy jej ofiary. Długo zastanawiała się, do kogo zaadresować ten list, ale właściwie nie miała wyboru - był tylko jeden człowiek, co do którego Julie nie miała wątpliwości, że zrobi to, co trzeba. Włożyła więc list do koperty, zakleiła ją i, napisała na niej szybko nazwisko ciotki Tine,

Spódnica i bluzka w kolorze khaki nie były odpowiednim strojem, Ściągnęła je z siebie i rzuciła na łóżko, a potem zrzuciła z nóg brązowe buty na płaskich obcasach. Wyjęła z szafy dzinsy i koszulkę trykotową w niebieskie i białe paski, ubrała się w nie, a potem wciągnęła skarpetki i adidasy. W ostatniej chwili zawiązała sobie w pasie biały bawełniany sweter. W powietrzu wisiał wilgotny spokój; Julie wiedziała, że zapowiada to deszcz.

Summer wróciła do domu z Donna, gdyż Annette, po dyskusji, która nastąpiła po nakręceniu sceny w szpitalu, zgodziła się dobrowolnie wrócić na oddział odwykowy. Powiedziała, że ze względu na córkę chce uporządkować swoje życie i że właśnie odwykówka jest miejscem, od którego należy zacząć. Później Donna pojechała do domu zobaczyć, co się dzieje z dziećmi. Julie słyszała teraz, że w sypialni ciotki Tine gra telewizor. Pomyślała, że to Summer ogląda jakiś program. Ciotka Tine była jak zwykle w kuchni. Rey nie wrócił jeszcze do domu po zdjęciach, nie powiedział też nikomu, dokąd jedzie.

Julie nie chciała, żeby po przeczytaniu jej listu ktoś podjął przedwczesne kroki. Przeszła przez jadalnię do salonu, a stąd do sypialni. Summer leżała na łóżku w piżamie i wyblakłym szlafroku przypominającym szlafrok ciotki Tine i oglądała jakiś teleturniej. Nos miała wciąż czerwony, a oczy zapuchnięte od płaczu, ale była spokojna.

Julie, stojąc w drzwiach, przyglądała się jej przez parę chwil.

Zastanawiała się nad przebiegiem wypadków i nad tym, że tak mało można było zrobić, żeby zmienić ich bieg. W końcu weszła do pokoju.

- Summer?

Dziewczynka podniosła głowę i uśmiechnęła się blado.

- Chcesz coś dla mnie zrobić? - zapytała Julie.

- Tak.

- To poczekaj jakąś godzinę, a potem daj to cioci Tine. Będziesz pamiętała?

- Oczywiście - zapewniła dziewczynka, biorąc kopertę i przyglądając się jej z umiarkowaną ciekawością.
- Oddaj jej to na pewno. To bardzo ważne.
- Dobrze.

Julie zawahała się, zastanowiła się, czy powiedzieć coś jeszcze.

Jednak doszła do wniosku, że przestraszyłoby to dziewczynkę. Odwróciła się i idąc do wyjścia, uśmiechnęła się, patrząc przez ramię.

- Dziękuję ci, kochanie.
- A dokąd pani idzie? - zawołała za nią Summer.
- Polować na węże - powiedziała Julie odruchowo, ale zaraz dodała: - Nie, nie, to głupi żart. Jadę trochę popracować.

Doszła już do schodków na tylnej galerii, kiedy usłyszała tupot bosych stóp.

- Proszę pani! Niech pani zaczeka!

Julie odwróciła się natychmiast i zapytała cicho:

- Co takiego?
- Jedzie pani na nasz teren? - Dziewczynka patrzyła na Julie szeroko otwartymi oczami. - Coś w tym rodzaju.
- Ale jest już prawie ciemno.
- Wiem. Nie będę tam długo.
- Ale pani dopiero wyszła ze szpitala. I była pani tam naprawdę, nie grała pani.
- Czuję się dobrze. Nie martw się.
- A nie boi się pani?

Niepokój malujący się na twarzy Summer był wzruszający. Julie weszła na werandę i objęła dziewczynkę.

- Tak, trochę się boję - przyznała szczerze. - Ale nic mi się nie stanie. Będę ostrożna. A ty nie zapomnij dać listu cioci Tine.

Dziewczynka kiwnęła głową, chociaż w jej oczach czaiły się wątpliwości. Wróciła do domu, ciągnąc za sobą poły szlafroka. Julie odprowadziła ją wzrokiem. Kiedy Summer zamknęła za sobą drzwi, podeszła szybko do samochodu.

Przejeżdżając przez bramę, pomachała ręką wartownikowi.

Zaparkowała koło karawaningu, przekręciła kluczyk i zgasiła reflektory. Siedziała w ciemności, patrząc na duży, ciężki pojazd stojący przed nią. Był ciemny i pusty, podobnie jak trzy pozostałe, zaparkowane tutaj ponownie po przyciągnięciu ich z planu.

Nie było nikogo. Klub jachtowy był zamknięty na trzy spusty, oświetlało go tylko odstraszające owady światło przy wejściu. Przyczepy mieszczące biura i garderoby stały puste. Przy molo kołysały się na cumach dwie łodzie z kabinami, a skif obijał się o pał, do którego był przywiązany. Poza tym panował bezruch. Oprócz Julie na terenie znajdował się jedynie wartownik, który, przepuściwszy ją przez bramę, wrócił natychmiast do

czytania książki.

Julie wysiadła z samochodu. Cicho zamknęła za sobą drzwiczki.

Idąc w stronę karawangu, wybrała z całego pęku jeden klucz. Włożyła klucz do dziurki, obróciła gałkę i otworzyła drzwi, a potem sięgnęła do drzwi z siatki. Zatrzymała się, zaglądając do ciemnego wnętrza, w którym panowała cisza. Stojąc na żelaznym stopniu, wyciągnęła rękę i zapaliła światło.

W środku nie było nikogo.

Julie westchnęła i przeszła przez próg. Kiedy znalazła się w kuchni, położyła torebkę na stole. Potem wróciła do drzwi i zamknęła je na klucz. Jak zwykle, w metalowym pomieszczeniu było upalnie. Julia włączyła klimatyzację, a potem zaczęła odwiązywać sweter.

Kiedy schyliła głowę, włosy opadły jej na twarz. Odgarnęła je palcami. Pociągnęła przy tym delikatne pasemka na skroni i poczuła przejmujący ból- włosy przykleiły się do plastra przytrzymującego bandaż na czole. Przestała się na chwilę zajmować swetrem i poszła do małej łazienki, żeby poszukać gumki, którą mogłaby związać włosy. Znalazszy ją zaplotła sobie warkocz i związała go. Przyglądając kilka wymykających się kosmyków, weszła z powrotem do kuchni.

Wino, pomyślała, i ser, i krakersy. Wyjęła to wszystko z lodówki, rozłożyła na stole, a potem postawiła dwa kieliszki i położyła serwetki. Nalała sobie wina ze schłodzonej butelki i usiadła wygodnie na ławie. Popijając powoli wino, cierpliwie czekała.

Gdy kieliszek był prawie pusty, parking omiotło światło reflektorów samochodowych, a po chwili trzasnęły drzwiczki. Zaraz potem rozległo się pukanie; drzwi karawangu zatrzęsły się, stucząc o framugę.

- Julie? Jesteś tam? Wstała i otworzyła drzwi. - Wejdz. Napij się.

- Boże, nie mogę uwierzyć, że siedzisz tu sama po tym wszystkim - powiedziała Ofelia wchodząc. - Życie ci nie miłe?

- Pomyślałam, że tu będę miała spokój. - Julie wróciła na swoje miejsce.

Ofelia roześmiała się niezbyt wesoło.

- Jeżeli o to chodzi, to miałaś rację. A nad czym pracujesz?

- Usiądź i posiedź trochę. - Julie nalała wina do drugiego kieliszka. - Pomyślałam, że można by ustalić plan pracy na najbliższe kilka dni. Trzeba wprowadzić pewne zmiany, bo zmieniliśmy z Bullem zakończenie.

- Ja nie mogę siedzieć tu długo. Jestem umówiona na karty □ powiedziała Ofelia, sadowiac się na krawędzi ławy stojącej po przeciwnej stronie stołu. - A zresztą czy nie powinnaś o tym porozmawiać z Bullem? Bo teraz to on przecież jest szefem, a ty pierwszą asystentką. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Pilnuję tylko, żeby wszyscy słyszeli to, co wy mówicie.

Julie uniosła brew.

- Jakie znaczenie ma oficjalna funkcja? Bull i tak akceptuje moje pomysły. Właściwie to chciałam, żeby tu był z nami, ale on się trochę boi tego miejsca. Mówił, że słyszał jakieś chrobotania w ścianach, schowkach i przewodach wentylacyjnych. Wyobrazasz sobie? Nie mam pojęcia, co by to mogło być, może szczury?

- Mężczyźni są jak dzieci. - Ofelia wzruszyła ramionami. - Ale o jakich zmianach myślałaś?

- Może warto by się było zastanowić nad sceną porwania Summer, nad tą, w której następuje wybuch i ona omal nie zostaje zabita. Mamy to na taśmie, bo kamery pracowały, kiedy Rey ją chwycił i wpadł do wody. Ten materiał jest taki świetny, że szkoda by było go nie wykorzystać.

- Rozumiem, co masz na myśli - powiedziała Ofelia, kiwając głową. - A co poza tym?

- Myślałam o ponownym nakręceniu sceny pogoni, tuż przed wybuchem. Rey, zastępujący Vance'a, przeskoczyłby ze skifu do pędzącej motorówki, a potem walczyłby z dwoma opryskami uciekającymi z Summer i wyrzuciłby ich za burtę jak jakiś prowincjonalny James Bond. Następnie pokazalibyśmy scenę z Reyem i Summer, która już jest gotowa. A potem ... - Julie przerwała. Uniosła podbródek, odwracając głowę. - Słyszałaś to?

- Co? - Ofelia rozejrzała się po pomieszczeniu.

- Nie wiem. Jakieś syczenie.

- Nic nie słyszałam.

- Nie? To chyba przez to gadanie Bulla jestem taka nerwowa. O czym to ja mówiłam? Aha, o scenie z udziałem Summer. Możemy sfilmować Vance'a wychodzącego z wody z nieprzytomną Summer w ramionach. Trochę ich trzeba ucharakteryzować i voila!

- Nie widzę powodu, dla którego to nie miałyby się udać - powiedziała Ofelia.

- Najlepsze jest to, że nakręciliśmy ten materiał nie łamiąc przepisów dotyczących pracy dzieci, gdyż był to wypadek. Jestem zadowolona, że mamy ten materiał. I ciągle myślę, że nikt przy zdrowych zmysłach nie wsadziłby Summer na łódź, która miała wylecieć w powietrze.

Ofelia zerknęła na Julie. Po chwili uśmiechnęła się.

- Tak, to święta prawda - przyznała. - A co do tej sceny, to nie wiem, co bym mogła dodać. Ty ją tak dobrze obmyślałaś.

- No nie wiem. Zastanawiałam się, czy nie miałabyś czegoś do dodania na temat reakcji Vance'a w chwili gdy Summer znajduje się już, że tak powiem, na suchym lądzie. Widziałyśmy, jak ona wyglądała po tym wypadku, kiedy omal nie utonęła. Czy on powinien być przerażony myśląc, że mała nie żyje, i czy potem powinien dziękować Bogu za to, że jednak ocalała? Czy powinien być wściekły? Czy powinien chcieć się zemścić?

- Myślę - zaczęła Ofelia powoli - że najlepiej by było, gdyby zareagował tak jak Rey. - To znaczy jak?

Julie zmieniła pozycję, wyciągając jedną nogę pod stołem.

- Powinien być zaniepokojony, powinien się bać, że mała nie żyje, a wszystkie inne uczucia powinny być na dalszym planie, dopóki nie przekona się, co z nią jest.

- Aha, no świetnie - powiedziała Julie, biorąc kieliszek; oparła się plecami o ścianę, wyciągnęła drugą nogę i przesunęła stopę w stronę Ufelii. - Podoba mi się ten pomysł, na ...

Przerwała, cofając się ze stłumionym okrzykiem. Upuściła kieliszek i wskoczyła na ławę.

Ofelia aż podskoczyła. Rzuciła się w drugi koniec kuchni i uderzyła się o zlew.

- Zabij go! - krzyknęła. - Zabij go.

Julie znieruchomiała w półprzysiadzie. Przy wtórze odgłosów tłuczonego szkła i rozlewającego się wina patrzyła na przyjaciółkę i asystentkę znajdującą się w drugim końcu kuchni i dostrzegła na jej okrągłej twarzy strach, mściwość i chęć niszczenia.

- Co mam zabić, Ofelio? - spytała cichym głosem.

Ofelia nie była głupia. Zrozumiała, co zrobiła, zanim Julie skończyła mówić. Zamrugła szybko, a potem jej drżące wargi ułożyły się w coś, co bardziej przypominało grymas niż uśmiech.

- Boże, Julie, jak ty mnie przestraszyłaś. Myślałam, że to co najmniej szczur wszedł ci na nogę.

- Mnie się wydaje, że było inaczej - powiedziała Julie, prostując się. - Myślę, że się spodziewałaś, że to grzechotnik. Myślę, że od jakiegoś czasu czekasz, aż się pojawi.

- Nie, ja naprawdę ...

- Tak, tak. Problem jednak polega na tym, że ten wąż już został znaleziony. Dość dawno temu. Ja go znalazłam.

Ofelia usiłowała się roześmiać. Ale jej śmiech był jakiś nienaturalny.

- Boże, Julie, mówisz tak, jakbyś sądziła, że to ja go tu wpuściłam.

- Czy ja powiedziałam, że on tutaj był? - spytała łagodnie Julie.

- Musiałaś ... dawałaś do zrozumienia ...

- Nie. - To słowo zabrzmiało spokojnie, ale stanowczo. - Nikt inny o tym nie wiedział, nikt nie miał powodu bać się przyjść tutaj, nikt poza osobą, która usiłowała mnie zabić. Nikt poza zabójczynią. Nikt poza tobą, Ofelio.

Ofelia wpatrywała się w Julie z nieruchomą twarzą. Zdała sobie bowiem sprawę, że się zdradziła. Źrenice jej patrzących z nienawiścią oczu zwały się do granic możliwości. Blade, zeszywniałe usta otworzyły się.

- Dziwka - wyszeptała chrapliwie. - Dziwka, która ma szczęście.

- Tak, jeżeli o to chodzi, to zgadzam się: mam szczęście - powiedziała Julie z prostotą.

- Chciałam, żebyś umarła, naprawdę.

Pod Julie ugięły się kolana. Usiadła.

- Dlaczego? - zapytała szczerze zaintrygowana, marszcząc przy tym brwi. - Chociaż ... chwileczkę, zaczynam coś rozumieć. Tu chodzi o Allena. Ty się w nim kochasz, prawda? Od lat?

- Kocham się w nim? - Ofelia powtórzyła te słowa tak, jakby mówiła je w obcym języku. A potem zaśmiała się ochryple, histerycznie. - Ja go uwielbiam. To idiotyczne, co? Bo co on mógłby zobaczyć w kobiecie takiej jak ja? On lubi kobiety subtelne, piękne, takie, które mogą wzbogacić jego image, na przykład mające sławnego ojca. Więc dlatego przypocholebiałam mu się, informowałam go. Robiłam to, bo miałam nadzieję, że da mi szansę, tak jak dał ją tobie. Ale to się na nic nie zdało. Nic na to nie mogę poradzić. Uwielbiam go.

- Tak bardzo, że myśl o tym, że go porzucę, doprowadziła cię do wściekłości. Tak bardzo, że usiłowałaś przekonać mnie, żebym z nim została.

- Nie wiem, być może. Gdybyś się z nim rozstała, ja nie miałabym pretekstu, żeby być koło niego. Dopóki z nim byłaś, dopóki z tobą pracował, miałam przynajmniej powód, żeby go widywać. - Ale wystawiłaś to wszystko na niebezpieczeństwo, mieszając się w handel narkotykami. To nie ma sensu.

Usta Ofelii wykrzywiły się w brzydkim grymasie.

- Powiem ci, co ma sens. Sens mają pieniądze! Nie wierzę, że przez cały czas nie zdawałaś sobie sprawy, jak bardzo ich potrzebuję. Boże drogi, Julie, ja chciałam mieć twoją pracę i twoje pieniądze. Chciałam je mieć o wiele bardziej, niż pragnęłam Allena. Rozpaczliwie chciałam mieć wszystko, co ty miałaś, a zwłaszcza robić filmy.

- To dlaczego ich nie robiłaś?

- Dlatego, że nie mam sławnego ojca! A poza tym ja jestem kobietą. Może tego nie zauważyłaś, ale tak jest. A w Los Angeles nie daje się pieniędzy kobietom reżyserom. Za kobietą reżyserem musi ktoś stać, musi ją popierać jakiś mentor, kochanek. Spójrz na mnie. Komu przyjdzie do głowy, że sypianie ze mną jest warte sześć milionów dolców? Potrzeba mi pieniędzy, mnóstwo pieniędzy, żebym mogła zrobić pierwsze dwa czy trzy filmy i żebym mogła pokazać, co potrafię, żebym mogła zrobić coś, co da dochód pozwalający mi być niezależną.

- Ja zaczęłam od rzeczy małych. Ty też byś mogła - powiedziała Julie.

- Takie groszowe interesy? O nie, dziękuję.

- Z filmami jest jak ze wszystkim. Musisz zainwestować, zrobić kilka, zdobyć na nich szlify. Gdybym wiedziała, że to tak dużo dla ciebie znaczy, zrobiłabym, co bym mogła, żeby ci pomóc.

- Ale nie wiedziałaś. A mnie wkurzało, że tego nie widzisz. Uważałaś, że jesteś jedyną twardą babą, która potrafi robić filmy. Uważałaś, że ja jestem szczęśliwa, wykonując polecenia i od czasu do czasu mając okazję sfilmować jakąś scenę uliczną. Rzygać się chce, naprawdę!

W jej głosie było tyle nienawiści i urazy, że Julie zdumiała się, że przez tak długi czas ich nie wyczuwała.

- Myślałam, że robisz to, co chcesz - powiedziała. W dzień pracujesz przy filmie, a w nocy włóczysz się z facetami po tutejszych spelunkach. Przypuszczam, że to w tych spelunkach zetknęłaś się z handlarzami narkotyków?

- Umierasz z ciekawości, co? Chcesz wszystko wiedzieć ze szczegółami? Założę się, że doładowujesz sobie akumulatory słysząc, jak nisko upadłam. Ale masz tylko częściowo rację. Bo to w barach Los Angeles złapałam kontakty. Po przyjeździe tutaj robiłam dalej to, co tam zaczęłam. Wszystko szło świetnie, dopóki Paul Lislet nie zaczął węszyć.

- Więc go zabiłaś, a Stan zaczął coś podejrzewać ...

- Stan zrobił się pazerny. To dlatego, jeżeli chcesz wiedzieć, musiałam się go pozbyć. Wiedział, że ten wypadek Paula był podejrzany. Zresztą ja nie miałam zamiaru pozbawiać Paula życia. Dopiero później dowiedziałam się, że był agentem antynarkotykowym. Wtedy myślałam po prostu, że jest zbyt wścibski i że trzeba go odstraszyć albo posłać do szpitala, gdzie pozostanie do chwili, kiedy będzie po wszystkim. Ale potem

pojawił się Bull i Stan postanowił, że nie będzie pracował z dawnym szefem. Postanowił w ogóle przestać pracować w filmie i chciał zainkasować ile się da, tyle, żeby móc zamieszkać w Meksyku i dobrze tam żyć. Problem był w tym, że nie mógł strawić tej historii z Summer. Poza tym widział chyba, że ja nie żywię dla ciebie siostrzanych uczuć, widział, że cię nienawidzę. Nie wiedziałaś o tym, prawda? A ja cię nienawidziałam, od czasu gdy zrobiłaś ze mnie idiotkę w tym filmie o surfing. Stan zaczął się o ciebie bać. Groził mi, rozumiesz? Groził! A ja miałam nóż. Nie wiem, dlaczego zaskoczyło go to, że jestem taka silna.

Julie pomyślała, że jej rozmówczyni oczekuje aprobaty, uznania za to, że jest taka zręczna. Nie mogła jednak wykrzesać z siebie tego uznania, chociaż miały nią różne uczucia. Pokręciła głową.

- Dla mnie w całej tej sprawie najgorsza jest ta historia z Summer. Nie rozumiem, jak mogłaś zrobić to dziecku. Ten wybuch, ogień! Przecież, jak sama mówisz, jesteś kobietą.

- Myślisz, że ja chciałam to zrobić? Nie chciałam, ale ona widziała, jak wyjmuję węża ze swojej ciężarówki. Podeszła do mnie z tyłu, zanim się zorientowałam, że jest w pobliżu. Powiedziałam, że to jest wąż oswojony, taki, którego trzyma się w domu. Ona przecież pochodzi z Los Angeles, wie zatem o węzach tylko tyle, że można je kupić w sklepach zoologicznych. Wiedziała jednak, że przypomni sobie o nim, kiedy usłyszy, że wąż cię ukąsił. Ale ten wąż zniknął. Nic się nie stało.

- Zabiłam go.

Ofelia roześmiała się.

- Kto by się tego domyślił.

- Ty powinnaś była się tego domyślić, wiedząc, do czego zdolne są niektóre kobiety.

- Ale nic o tym nikomu nie powiedziałaś. Nigdy bym nie pomyślała, że to możliwe.

Julie przyszło do głowy, że Ofelii nie podoba się świadomość, że nie jest jedyną osobą zdolną do ukrywania prawdy.

- Okazuje się, że tak - powiedziała. - Ja się zorientowałam, że to twoja sprawka, kiedy mi się przypomniało, że od tamtej pory przestałaś tu wchodzić. Powiedziałaś mi, że to Bull cię wyrzucił. Ale to była nieprawda. Bull poskarżył mi się, że zabrałaś jego importowane piwo do karawaningu Vance'a i powiedział mi, że właściwie mogłaś zostać i pomóc mu je wypić. Doszłam do wniosku, że skoro wiedziałaś o wężu, to byłaś też zamieszana w całą resztę.

- To dowodzi, że jesteś bardzo inteligentna, ale to, że przyszłaś tu sama dzisiejszej nocy, temu przeczy.

Ofelia spojrzała na Julie surowym wzrokiem. Opierała się o zlew, stopy w brązowych skórzanych sandałach trzymała skrzyżowane. Dłonie położyła na krawędzi szafki. Wyglądała jak ktoś, kto w każdej chwili może się odepchnąć i ruszyć do przodu.

- No tak - powiedziała Julie. - Ale myślałam, że może się mylę. Chciałam się mylić, naprawdę.

Nie przyszła tutaj całkiem nie przygotowana. Ale teraz czuła, że te przygotowania na nic się zdały.

- Naprawdę? - zapytała Ofelia drwiąco. - A jeżeliby się okazało, że się nie mylisz, to co? Czy uważałaś, że cię posłucham, kiedy powiesz mi, żebym poszła z tobą na policję?

- Coś w tym rodzaju. Bo to, że tu jestem sama, nie dowodzi, że jestem jedyną osobą, która się w tym wszystkim orientuje. Rey też o tym wie. Czy wiesz, że on był kiedyś tajnym agentem DEA?

- Kiedyś! Droga Julie, on się zajmuje tym co ja. Bawił się w to przed śmiercią Paula. Jak inaczej mógłby żyć na takim poziomie? Wziął pracę kaskadera po Paulu po to, żeby nie wziął jej nikt inny z biura szeryfa. To wszystko.

Wesołość malująca się na twarzy Ofelii mogła przyprawić o mdłości. Julie postanowiła jednak być niewzruszona.

- O tak, masz rację - powiedziała. - To dlatego robił wszystko, żeby po wybuchu trzymać Summer z dala od ciebie, prawda? Pilnował, żeby przez cały czas ktoś z nią był. Zabrał ją nawet do swojego domu, kiedy przekonał się, że pracujesz nad Annette, że dajesz jej darmowe próbki narkotyków, takie jak ta, którą zosta-
wiłaś tutaj, w karawaniu.

Julie domyśliła się tego w ciągu ostatnich paru godzin. Była prawie pewna, że się nie myli. Prawie.

- No tak, więc on współczuł Summer. I powstrzymywał ją od rozgadywania tego, co wiedziała, prawda? A poza tym, jeżeli prowadził jakieś śledztwo, to mógł pobiec za mną po tym, jak cię postrzeliłam. A nie zrobił tego.

- Bo bał się o mnie. Chciał mi zapewnić opiekę lekarską.

- Cholera, Julie, jesteś zbyt naiwna, żeby żyć. Zresztą to trwa już zbyt długo. Wstawaj. Idziemy.

Ofelia wyjęła pistolet z tylnej kieszeni dżinsów i przystawiła go Julie do mostka. Julie spojrzała na wlot lufy, przypominający czarne gardło. Zadrżała. Poczowała pulsowanie w skroniach. Przez chwilę kręciło jej się w głowie, ale zaraz potem wróciła jej jasność widzenia.

Wstała bardzo powoli.

- Dokąd idziemy?

- Nad rzekę, gdzie powinnam była zabrać cię już dawno. Czy ktoś ci mówił, że opryszki z Nowego Orleanu wrzucają do niej swoje ofiary? To z powodu aligatorów. Aligatory nie atakują żywych ludzi, ale zjadają wszystko, co jest martwe.

- Słyszałam o tym.

- Tak myślałam. Wychodź za drzwi. Przez parking przejdziemy jak dwie najlepsze przyjaciółki. A kiedy wartownik nie będzie nas już widział, wsiądziemy na łódkę i zrobimy sobie małą przejażdżkę.

Julie posłusznie wykonywała polecenia. Kiedy były w połowie parkingu, odezwała się:

- Będiesz ostatnią osobą, z którą mnie widziano. Jak masz zamiar to wyjaśnić?

- Nie będzie z tym problemu. Kiedy wrócę, zatoczę koło tak jak wtedy, kiedy do ciebie strzelałam. Dopilnuję, żeby wartownik mnie nie zauważył, a może nawet wejść z powrotem do karawaniu. Po jakimś czasie wyjdę z niego z ogromnym hałasem i zacznę się serdecznie żegnać. Może powiem wartownikowi, że ty jesteś strasznie pracowita. Przy odrobinie szczęścia wszyscy zorientują się, że cię nie ma, dopiero przed południem.

- A jak wytłumaczysz to, że o północy wypłynęłyśmy na rzekę?

- Powiem, że szukałyśmy miejsca na zdjęcia. Że chciałyśmy zobaczyć rzekę w nocy. Przecież ty to już kiedyś zrobiłaś.

W rozumowaniu Ofelii było tyle przebiegłości, że Julie wolała się nad tym nie zastanawiać.

- Mam lepszy pomysł - powiedziała. - Jeżeli pójdziesz ze mną na posterunek i przyznasz się do handlu narkotykami, potraktują cię pobłażliwie.

- Nieźle to wymyśliłaś. Problem w tym, że w Luizjanie za morderstwo grozi kara śmierci. Wolę więc nie ryzykować. A poza tym od tego przyznania się nie przybędzie mi ani jednego centa.

Kiedy przechodziły przez otwartą przestrzeń oświetloną bladym światłem lamp rtęciowych, wartownik siedzący w budce podniósł głowę. Julie poczuła na zębach dotknięcie pistoletu. Wolną ręką Ofelia pomachała. Mężczyzna poznał je obie i też podniósł rękę. Patrzył na nie przez chwilę, a potem wrócił do książki.

- Weźmiemy skif - oświadczyła Ofelia, kiedy podeszły do doku.

- Nie trzeba zwracać na siebie uwagi, prawda?

W tym, co robiły, było coś tak nieprawdopodobnego, że Julie ta scena wydała się nierealna. Miała wrażenie, że w każdej chwili ktoś może krzyknąć "Kamera stop" i ją zakończyć. Zatrzymała się, a Ofelia popchnęła ją naprzód.

- To jest szaleństwo - powiedziała Julie.

- No tak, uważasz mnie za wariatkę. Ale ja jestem normalna. Zabijanie jest jak oszukiwanie w kartach. Za pierwszym razem człowiek czuje się okropnie, za drugim już nie tak źle, a za trzecim i czwartym mówi sobie: to nic takiego.

- Ty oszukiwałaś?

- Właściwie to nie, ale rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Nie będzie mi trudno cię zabić. Wsiadaj więc do łodzi.

- Szkoda by było, gdybyś musiała zastrzelić mnie tutaj i gdyby twój plan poszedł na marne.

- Ale ty i tak straciłabyś życie.

Ta logika była żelazna. Julie ruszyła przed siebie, dżgana lufą pistoletu.

Ofelia zdecydowanym gestem nakazała jej usiąść z tyłu łodzi.

Odepchnęła skif, wsiadła i zajęła miejsce z przodu, tak że mogła sięgnąć do silnika. Siedziała twarzą do swej ofiary. Obróciła łódź i po chwili płynęły z prądem rzeki.

Nocne niebo było pokryte chmurami, spoza których od czasu do czasu przeblyskiwały gwiazdy. Ich nikłe światło odbijało się w wodzie, mimo to widoczność była żadna. Jednak Ofelia nie zapaliła świateł. Płynęła cicho wzdłuż prawego brzegu.

W ciemności śpiewały owady i chóry żab. Od czasu do czasu nad głowami kobiet przelatywały nietoperze i sowy. Nocne zwierzęta przypominały ruchome cienie, które wpadały do wody i znikaly albo zamierały w bezruchu i czekały, aż skif się oddali. Mgła podnosząca się z wody pachniała błotem, zgnilizną i rybami. Nad rzeką wisiał też zapach rozkładu, przypominający o śmierci.

Julie zastanawiała się, w jakim stanie jest akumulator - Rey eksploatował go nieźle podczas ich nocnych przejazdów po rzece. Pomyślała jednak, że z pewnością go naładowano, gdyż silnik pracował gładko. Pływały kanałami i odnogami, mijały obozowisko rybaków i myśliwych, w końcu minęły też sanktuarium Matki Boskiej z Blind River.

Na widok sanktuarium Julie przypomniała sobie ciotkę Tine i historię, którą opowiadała. Wraz z tymi wspomnieniami przyплыły do niej wspomnienia chwil spędzonych na rzece. Był z nią wtedy Rey. Przelatywał przez bagna, ciągnąc za sobą kłębiącą się pianę przypominającą srebrny ogon. Ciemny, silny i nieco tajemniczy, gotowy był wyciągnąć ją z wody i zawieźć do domu, a potem śmiać się z całej przygody. Innym znowu razem pędzili po wodzie, wiatr rozwiewał im włosy, a słońce zaglądało w twarze. Wszystko to przypominało sen. Czyżby te obrazy były wytworem jej potrzeb i pragnień? Czyżby te pragnienia i potrzeby sprawiły, że czas spędzony z Reym wydawał się przesycony ciepłymi uczuciami i głębokim sensem, których w istocie wtedy nie dostrzegła?

Nie, nie będzie o tym myślała. Bo to nic nie pomoże.

Musi się skupić. Musi usunąć ze świadomości mgłę, wspomnienia i ból. Musi się zastanowić.

Rey i Paul. Dwaj chłopcy w pirodze na rzece. Nie na Blind River, ale na potężnej Missisipi. Tam, jeżeli dobrze zrozumiała, zdarzyło się coś, co jest dla niej ważne. Tak.

Wilgoć wisząca nad rzeką przesycała bluzkę i dżinsy, które zrobiły się lepkie, więc Julie zaczęła szczerkać zębami. W każdym razie tłumaczyła sobie, że taki jest powód tego szczerkania. Wokół talii wciąż miała zawiązany sweter, gdyż w karawaniu w końcu go nie zdjęła. Teraz zaczęła majstrować przy węźle.

- Co robisz? - spytała ostro Ofelia siedząca naprzeciwko niej z pistoletem w jednej ręce i z drugą wyciągniętą w tył do rumpla. - Zimno mi. Chciałam włożyć sweter.

Ofelia roześmiała się.

- Proszę bardzo. To mi nie sprawia różnicy.

Julie miała na końcu języka jakąś ciętą odpowiedź, ale powstrzymała się i nic nie powiedziała. Lepiej będzie, jeżeli Ofelia będzie przekonana, że ona jest zastraszona, że się boi. Zresztą może powinna się bać. A może boi się naprawdę.

Potrząsnęła swetrem i zarzuciła go sobie na ramiona, nie wsunęła jednak rąk w rękawy. Oparła się jedną ręką o burtę i wspierając się na niej, spojrzała w stronę, z której przyплыły.

- Co masz nadzieję zobaczyć? Nikt za nami nie płynie. Już ja tego dopilnowałam.

Julie poczuła mrowienie w czaszce i przyплыł ból.

- O czym ty mówisz? - spytała ostro.

- Jadąc tutaj, wpadłam do ciotki Tine. Nie chciałam iść do karawaniu i pomyślałam, że może złapię cię w domu. Rozumiesz. Ciotka Tine dzisiaj gra w bingo. Założę się, że o tym zapomniałaś. W domu była Donna z dwójką swoich maluchów. Jak zwykle pilnowała Summer, a Summer spała na kanapie. Na podłodze leżał ten liścik. Od razu poznałam twoje pismo, poznałabym je wszędzie. Wzięłam go.

Ofelia poklepała się po kieszeni na piersi, a pod jej dłonią sucho zaszeleścił papier. Julie odetchnęła. Przez chwilę myślała, że Summer i ciotka Tine mogą być ... ale nie, nic im nie groziło, były bezpieczne. Jak na razie.

One przynajmniej były bezpieczne. W przeciwieństwie do niej.

Chłód przeniknął ją do szpiku kości. Zatrzęsła się, ogarnął ją nagły dreszcz przerażenia. Nikt nie pospieszy jej z pomocą, ani szeryf z zastępcami, ani Rey, nikt. Na rzece są tylko we dwie: ona i Ofelia. I nikogo więcej nie będzie.

Zaczął padać drobny deszcz; wilgoć sączyła się z jesiennego nieba, jak gdyby przesycone nią powietrze nie mogło dłużej powstrzymać kropel. Deszcz szeptał na powierzchni rzeki i wśród liści drzew. Julie czuła, że włosy ma już mokre, podobnie jak zarzucony na ramiona sweter. Na jej twarzy osiadała wilgoć; Julie zrobiło się zimno, ale pewnie dzięki temu rozjaśniało jej się w głowie. Zdawała sobie sprawę z tego, że Ofelia znosi deszcz gorzej niż ona - padał jej prosto w twarz.

Ofelia stała się niewyraźną, zamazaną sylwetką majaczącą w ciemności. Julie wiedziała, że i ona musi przedstawiać podobny obraz. Sięgnęła wolną ręką ukrytą pod swetrem do drugiej burty, chcąc się jej chwycić.

Łódź zaczęła płynąć wolniej. Julie obejrzała się za siebie, patrząc na rzekę rozciągającą się przed dziobem. Znajdowały się wciąż w sporej odległości od otwartej przestrzeni wodnej, na której niedawno były kręcone zdjęcia. Julie spodziewała się, że dotrą do tego miejsca albo nawet dalej. Okazało się jednak, że po prawej stronie znajduje się wejście do jakiejś odnogi. Łódź zaczęła kierować się w tę stronę.

- Nie ma sensu płynąć dalej - powiedziała Ofelia. - Każda część rzeki jest tak samo dobra jak inne. A poza tym śmieszne by było, gdybyśmy tak długo przebywały na deszczu.

- No tak, deszcz mógłby nas przemoczyć - skomentowała to lakonicznie Julie.

- To prawda. - Ofelia parsknęła śmiechem.

W tym momencie Julie rzuciła się w lewo, rozhuśtując łódź.

Użyła do tego całego ciężaru ciała i posłużyła się prawą ręką, którą trzymała się burty. Puszczając prawą burtę, chwyciła oburącz lewą i wpadając do wody pociągnęła za sobą łódź.

W tej samej chwili rozległ się strzał. Kula przeleciała w odległości stopy od głowy Julie. Równocześnie łódź przewróciła się do góry nogami, a Ofelia wydała z siebie przeraźliwy krzyk. Gdy wpadła do wody, rozległ się głośny plusk.

Mokra burta wysliznęła się z dłoni Julie. Uderzyła ją w ramię, zanim zdążyła zanurkować w ciemność. Każdy oddech sprawiał jej ból, serce kołatało o żebra, bolały ją nos i gardło. Sportowe buty były jak z ołowiu. Dżinsy przyłgnęły do ciała, utrudniając poruszanie nogami. Woda wciągała ją w dół, stanowiła niezmierną głęboką, gęstą i zimną, w której Julie poruszała się jak mucha w smole.

Nadludzkiem wysiłkiem odbiła się w górę. Trwało to nieskończenie długo, ale w końcu wypłynęła na powierzchnię, łapiąc gwałtownie powietrze. Oddychała ciężko, słyszała w uszach gwizd. W głowie jej pulsowało, czuła mdłości i nic nie widziała. O Boże, ależ jestem słaba, pomyślała. Wydawało jej się, że opuszczają ją resztki sił, że te siły wtapiają się w niewidzialny nurt rzeki.

Skif unosił się na wodzie dnem do góry jakieś dwadzieścia stóp od niej. Był ledwo dostrzegalny. Ofelia znajdowała się między nią a skifem. Rzuciła się w wodzie, usiłując wypłynąć na powierzchnię.

Brzeg rzeki, jak zamglony cień, wisiał jakieś siedemdziesiąt stóp od Julie. W normalnych warunkach dostanie się tam byłoby bardzo łatwe, teraz jednak wydawało jej się niemożliwe. Należało zrobić jedną rzecz, należało zrobić coś, co miała zamiar zrobić od chwili, gdy przypomniała sobie Reya i Paula, którzy w latach

chłopięcych celowo przewracali swoją pirogę ku przerażeniu turystów.

Deszcz nie ustawał. Krople spadały z pluskiem. Na wodzie wokół niej tworzyły się kółka. Z daleka dobiegł cichy warkot przypominający brzęczenie ogromnego leżącego owada. Czy ja to słyszę naprawdę, zastana wiła się, czy to krew tak mi szumi w uszach? Nie była w stanie odpowiedzieć sobie na to pytanie.

Ofelia płynęła w jej stronę. Wydała ochryply okrzyk triumfu, a potem rzuciła się ku niej zdecydowanym crawllem.

Julie dała nurka. Zanurzyła się głęboko, a w jej głowie pulsowała tylko jedna myśl. Słabła, musiała więc zrealizować swój zamiar nie tyle wysiłkiem ciała, ile wysiłkiem woli.

Podpłynęła do skifu, wynurzyła się bezszelestnie na powierzchnię w odległości niecałych trzech stóp od niego, zaczerpnęła powietrza i znowu dała nurka. Kiedy wypłynęła jeszcze raz, nad jej głową i wokół niej panowała dusząca ciemność, w której wisiał zapach benzyny i starej przynęty na ryby. Walcząc o oddech, uderzyła głową o coś stałego, co wydawało cichy, metaliczny dźwięk. Udało się. Znajdowała się pod łodzią, oddychała uwieczonym pod nią powietrzem.

Trzymając się jedną ręką znajdującej się pod wodą burty, Julie odpoczęła przez chwilę. Deszcz wzmógł się, bębnił teraz o aluminiowe dno nad jej głową. Pod łodzią było znacznie cieplej niż na otwartej przestrzeni. Julie przez chwilę poczuła, że jest bezpieczna. Było to jednak złudne. Dźwięk dobrze niósł się w wodzie. Julie słyszała, że Ofelia pływa tam i z powrotem, szukając jej i klnąc pod nosem.

Na jak długo wystarczy powietrza uwieczonego pod łodzią?

Julie nie wiedziała. Wiedziała jednak, że ukrywanie się w nieskończoność nie będzie możliwe: Ofelia w każdej chwili może przestać szukać, mając nadzieję, że utonęła. Wtedy zechce odwrócić łódź i wrócić nią tam, skąd przybyła.

Unoszący się na wodzie skif nie był ciężki. Julie zdjęła buty, najpierw jeden, a potem drugi. Ruszając powoli nogami, zaczęła posuwać się wrz z łodzią w dół rzeki; kierowała się przy tym w stronę brzegu.

Przynajmniej miała nadzieję, że kieruje się w tę stronę. W całkowitej ciemności panującej pod łodzią nie była pewna kierunku.

Nie słyszała już Ofelii. Oddalała się od niej. Szum deszczu i własny ochryply oddech były jedynymi dźwiękami, jakie słyszała.

Siły ją opuszczały. Czowała, że jest jej zimno. Była wyczerpana.

Niech ten brzeg będzie już blisko! Ruszaj nogami. Popychaj jedną ręką. Nie dawaj za wygraną. W zamkniętym powietrzu było niewiele tlenu. Łódź kołysała się lekko i dziura pod nią zdawała się przez to zmniejszać. Łódź ciążyła Julie coraz bardziej, spychała ją w dół, za każdym ruchem głębiej. Jeszcze parę oddechów i parę ruchów nogami i będzie musiała znowu dać nurka, żeby się wydostać spod łodzi. Jeżeli pójdzie zbyt głęboko pod wodę, może nie wypłynąć.

Jej noga uderzyła o coś miękkiego i ustępującego. Raz i drugi raz. Błoto.

Brzeg! Chciało jej się śmiać, krzyżeć. Udało się. Przestała się ruszać, opuściła nogi i stanęła na błotnistym dnie. Trzymając się obiema rękami burty ugięła kolana i pochylona wyszła spod łodzi.

W tej samej chwili zza łodzi wyłonił się ciemny kształt. Ofelia, wykrzykując obelgi, rzuciła się na swą ofiarę. Julie, która znajdowała się w półprzysiadzie, została uderzona z góry. Opadła na kolana. Teraz opierała się na rękach; woda sięgała pasa. Julie ogarnęła ciemność. Krztusiła się, dusiła pod powierzchnią wody; przygniatał ją ciężar ciała Ofelii.

Równocześnie gdzieś głęboko w jej świadomości nastąpiła oślepiająca eksplozja wściekłości. Krew nabiegła jej do oczu i Julie jednym ruchem wyprostowała się. Wykonała skręt, zrzucając z siebie Ofelię i stanęła na nogi. Kiedy Ofelia znowu rzuciła się w jej stronę, cofnęła się zataczając się. Woda była tu płytsza, błoto zachlupotało. Ofelia schwyciła Julie za kolana, ciągnąc ją w dół. Julie zanurzyła zakrzywione jak szpony palce we włosy przeciwniczki, szarpnęła jej głowę w tył i wepchnęła do wody. Kiedy Ofelia kaszłąc i plując puściła ją, Julie wyprostowała się i zaczęła znowu brnąć do brzegu.

Ofelia wstała. Ociekały z niej woda i błoto, twarz wykrzywił okropny grymas. Ruszyła z wyciągniętymi rękami. Skoczyła, chwytając Julie z tyłu za dzinsy. Kiedy ta odwróciła się, uderzyła ją pięścią w twarz.

Julie cofnęła się przed ciosem, mimo to pięść wylądowała na jej czole. Poczula, że spod mokrego bandaża wypływa jej krew. W uszach miała okropny szum. Ból ją oślepił. Przed jej oczami nastąpiła erupcja białego światła, które zalewało niebo. Na jego tle rysowała się jeszcze jaśniejsza niż światło sylwetka Ofelii, która stała jak wyrzeźbiona w marmurze starożytna bogini śmierci.

Julie wydała z siebie gardłowy okrzyk, okrzyk bólu i wściekłości. Stanęła prosto i zacisnęła dłonie w pięści. Rzucając się w stronę Ofelii, zamachnęła się od dołu. Kierowała się przy tym szaleńczą odwagą. Ostatkiem sił zadała cios.

Pięść wylądowała na okrągłej twarzy Ofelii z odgłosem podobnym do tego, jaki wydaje młot spadający na dojrzały melon. Ofelia jęknęła, obróciła się na pięcie i opadła na kolana. Podniosła głowę. Z jej nosa lała się krew, a oczy zaszklily się bólem. Ofelia znieruchomiała, patrząc na Julie i na to, co działo się za jej plecami. Wydała ochryply krzyk rozpaczy i zakryła twarz rękami.

Julie widziała wyraźnie tę twarz, czerwoną krew i splątane długie włosy, widziała też zmaconą wodę rozpościerającą się wokół Ofelii, widziała to wszystko jak w biały dzień.

Tak, było dość światła - widziała to wszystko wyraźnie. Odwróciła się powoli. Zobaczyła jasno świecące reflektory dwóch ślizgaczy - jednego z czerwonym światłem na dziobie i drugiego, starszego i bardziej odrapanego. Z drugiego ślizgacza wyskoczył i brnął przez światło, rozpryskując wodę tak, że fontanna sięgała jego głowy, wysoki mężczyzna o szerokich ramionach.

Z Julie ociekała woda; stała ciężko dysząc i uśmiechając się.

Stała i czekała, aż Rey do niej dotrze.

Nigdy nie było podobnej fety na zakończenie zdjęć. Klub jachtowy został co prawda udekorowany powiększonymi klatkami z filmu, a goście siedzieli wyłącznie na płóciennych krzesłach reżyserskich albo na metalowych składanych krzeselkach ustawionych przy stołach z plastikowymi blatami, jednak na tym kończyły się podobieństwa do zwykłej w takich razach imprezy.

Skif, który grał w Królestwie bagien, został napełniony tłuczonym lodem i ustawiony na krzyżakach na samym środku. Wstawiono do niego naczynia do chłodzenia piwa i wina oraz ostrygi. Przyjemny zapach owoców morza, wydzielany przez jambalayę i zupę ze strączkami okry, wisiał w powietrzu i mieszał się z aromatem pieczonych na ruszcie kielbasek i wędzonych indyjskich nóżek. Na długim stole piętrzyły się półmiski, gorące dania sąsiadowały z innymi gorącymi daniami i wysoko spiętrzonymi gotowanymi krewetkami, smażonymi żabimi nóżkami, ogromnym serem i gorącym sosem z krabów, a także sałatką kartoflaną, górami francuskiego pieczywa i wszelkich ciast i ciasteczek nadziewanych owocami.

Ustawiona na prowizorycznej estradzie orkiestra grała rock and rolla i zydeco, muzykę country i charakterystyczne dla Cajunów fais do-ckj - wszystko z jednakowym polotem i werwą. Główny wokalista miał dobry głos i robił co mógł, żeby urozmaicić występ dowcipami i ciętymi powiedzonkami.

Ale przede wszystkim feta ta różniła się od zwykłych fet filmowców z powodu jej uczestników. Przybyli na nią bowiem licznie członkowie klubu jachtowego wraz z żonami, synami i córkami oraz ich przyjaciółmi. Przeprowadzili też ciotki i cioteczne babki, wujów i stryjecznych dziadków, jak również siostrzenice i siostrzeńców, teściów i kuzynów, i przyjaciół swoich przyjaciół. Każdy technik przeprowadził rodzinę, podobnie jak dostawcy. Większość z nich przyniosła jakieś potrawy, a wszyscy wnieśli niezwykle wprost apetyty. Napoje płynęły, a śmiech rozbrzmiewał wesoło. Odgłos przesuwających się po parkiecie stóp wtórował rytmicznym melodiom orkiestry.

Serdeczność, tak, serdeczność była tym, co najbardziej różniło tę imprezę od innych. Na sali panowała atmosfera serdeczności i życzliwości, wszyscy doskonale się bawili, doceniając proste przyjemności, których wartość rosła jeszcze dzięki koleżeńskim gestom.

Ekipa filmowców zanurzyła się w tym wszystkim jak w kąpieli z szampana. Członkowie ekipy jedli i pili, i rozmawiali z ludźmi, których nie znali. Opowiadali o rzeczach zabawnych, jakie zdarzały się na planie, rycząc ze śmiechu, przy czym niektóre z ich opowieści były prawdziwe. Usiłowali flirtować, pozując na elegantów z Los Angeles, ale ukośne spojrzenia ciemnych oczu i ironiczne uśmiešky przywoływały ich do porządku. Próbowali tańczyć i robili z siebie idiotów, gdyż nie byli w stanie dotrzymać kroku ruchliwym Cajunom. To ich jednak nie zrażało.

Nostalgia - ten nieunikniony produkt uboczny wszelkich zakończeń - przyszła później. Ogarnęła ich wszystkich w chwili, gdy wygłaszano mowy, w których filmowcy dziękowali za przyjęcie, jakie zgotowała im miejscowa społeczność, i za jej współpracę przy filmie, a także kiedy Vance, Madelyn i Summer mówili, że bardzo im było dobrze i że ogromnie żałują, że wyjeżdżają. Julie wygłosiła swoją mowę ze ściśniętym gardłem. Oświadczyła szczerze i z przekonaniem, że nigdy nie zapomni pobytu tutaj. Powiedziawszy to, ustąpiła miejsca

Bullowi.

- Nie jestem dobry w wygłaszaniu mów - zaczął Bull - ale muszę powiedzieć, że podobnie jak wszyscy uważam, że ten film, to miejsce i czas spędzony tutaj były wyjątkowe. Przypadł mi też obowiązek uczczenia pamięci tragedii, które się tu wydarzyły. Wniosę w tym celu szlachetny toast, taki, który, mam nadzieję, mówi dostatecznie dużo, a równocześnie nie mówi zbyt wiele. Panie i panowie, przyjaciele, proszę was, wnieście kielichy i wypijcie ze mną za nieobecnych przyjaciół.

- Za nieobecnych przyjaciół - powtórzyła szeptem Julie. Wypiła i przypomniała sobie Paula, takiego jakim był, kiedy go widziała po raz ostatni, uśmiechniętego, zadowolonego, machającego ręką do żony. Pomyślała też o Stanie, przypomniała sobie, jak z ożywionym wyrazem twarzy opowiadał o swych ryzykownych wyczynach kaskaderskich. Żadnego z nich już nie było, odeszli, zabici przez ambicję jej, Julie. I przez ich własne ambicje.

Za duszę Stana odprawiono nabożeństwo żałobne, a później zwłoki wysłano do rodzinnej miejscowości na Środkowym Zachodzie, gdzie mieszkała jego siostra. Odbyło się to wszystko bez fanfar, ale też nikt go o nic nie oskarżał. Czy Stan rzeczywiście próbował włączyć się do gry Ofelii? Nie można było odpowiedzieć na to pytanie - Ofelia nie była zbyt wiarygodnym świadkiem. W każdym razie, jak się wyraził Bull, nie było sensu niepokoić tym wszystkim jego krewnych. Zgodzili się, że nie będą się tym zajmować. I życzyli Stanowi, żeby spoczywał w pokoju.

Julie odwróciła się do Bulla z uśmiechem. Dobrze sobie poradził. Nie powinno jej to dziwić: był co prawda szorstki, ale i wrażliwy. Mawiał, że nie chce ujawniać tej wrażliwości ze względu na reputację.

Jak ów ojciec z jej snu przybył na ratunek. Słuchając wiadomości na temat problemów na planie jej filmu, krążących dzięki pocztce pantoflowej w światku filmowców, zorientował się, że powinien się rozejrzeć w sytuacji. Nie był zachwycony tym, czego się dowiedział. Skontaktowawszy się z Allenem, wprosił się do filmu Julie, co nie było takie trudne w porównaniu z zadaniem, jakie musiał wykonać, przekonując córkę, żeby dopuściła go do współpracy. Tak naprawdę to nigdy nie potrzebował jej pomocy. To, co opowiadał o braku perspektyw i zaniku mocy twórczych, było kłamstwem obliczonym na to, że wzbudzi współczucie. Sam uważał, że to się nie uda, chociaż Rey przekonywał go, że w ten sposób osiągnie swój cel.

Później, kiedy do akcji wkroczył Davies z firmy ubezpieczeniowej, Bull zgłosił gotowość przejęcia filmu. Nie zrobił tego jednak dla siebie. Zrobił to dla Julie, nie chcąc dopuścić do tego, żeby jakiś gryziopiórek zabrał jej film albo żeby sama ten film zepsuła, wprowadzając planowane zmiany. W rezultacie sceny końcowe zostały nakręcone zgodnie z pomysłami Julie, zarówno tymi, które miała od początku, jak i tymi zmodyfikowanymi.

W trakcie końcowych zdjęć Julie nauczyła się na nowo ufać Bullowi i go rozumieć. Przykro jej było, kiedy myślała, że ta nauka trwała tak długo. Nie mogła winić matki za to, że nauczyła ją widzieć ojca w takim, a nie innym świetle - matka miała po temu swoje powody. Julie doszła do wniosku, że ojciec miał już nieraz okazję, żeby wyprowadzić ją z błędu. Domyślała się, że nie zrobił tego, bo nie chciał zbrukać obrazu kobiety, która była jego żoną. Julie szanowała go za to. Mimo to ciężko jej było na duchu, gdy myślała, że gdyby nie to,

że znalazła się w Luizjanie, gdyby nie to, że kręciła tu swoje Królestwo bagien, mogłaby nigdy się nie dowiedzieć, jaki on jest naprawdę.

Allena nie było wśród obecnych. Wyjechał na Zachodnie Wybrzeże przed kilkunastoma dniami, kiedy zorientował się, że budżet filmu zostanie tylko nieznacznie przekroczony, i kiedy zobaczył, że film znajduje się w dobrych rękach - Julie i Bulla jako współreżyserów - oraz kiedy doszedł do wniosku, że w zasadzie to wszystko jedno, czy zostanie czy wyjedzie, bo i tak nie będzie miał wpływu na decyzję Julie dotyczącą jej powrotu do Los Angeles.

Allen, w przeciwieństwie do Bulla, był gotowy odebrać jej film z powodów nie mających nic wspólnego z bezpieczeństwem czy życiowym powodzeniem Julie. Chodziło o pieniądze i własną reputację, bał się też, że może stracić narzeczoną, w wypadku gdy ta odniesie sukces. Mówił, że ją kocha; być może była to prawda, ale troszczył się przede wszystkim o własne potrzeby i uczucia i mało energii pozostawiało mu na troskę o to, co czuła i czego potrzebowała Julie. Ona natomiast życzyła mu dobrze, ale już go nie kochała. Zresztą nie była pewna, czy w ogóle go kochała. Związała się z nim, bo buntowała się przeciwko wszystkiemu, kim był i co reprezentował Bull - pod tak wieloma względami był przeciwieństwem Bulla. Problem polegał na tym, że w sprawach uczuć też był jego przeciwieństwem.

Ofelii również nie było na sali. Siedziała w miejscowym więzieniu, czekając na proces. Była oskarżona o podwójne morderstwo. Julie wciąż trudno było uwierzyć w to, co zrobiła. Ofelia nie zawsze była taka. To gromadzące się przez lata urazy, gorycz i zazdrość uczyniły z niej złą kobietę.

Rey pojawił się niedawno. Siedział teraz z Donna i jej dziećmi przy stole, przy którym znalazły się też Summer i jej matka. Ich grupka była bardzo ożywiona. Summer i dwaj chłopcy nie posiadali się z zachwytem. Kilka minut wcześniej cała trójka pobiła się o jakąś potrawę, ale Rey uspokoił to towarzystwo.

W ciągu dwóch tygodni, które upłynęły od aresztowania Ofelii, Julie niezbyt często widywała się z Reyem. Był zajęty współpracą z władzami, które w okręgu składającym się z trzech parafii zajmowały się tropieniem szajki handlarzy narkotykami, mającej powiązania z szajkami w Nowym Orleanie, Baton Rouge i Shreveport, a także znacznie dalej, w Houston i Atlancie oraz Nowym Jorku i Los Angeles. Ofelia sypała, podawała nazwiska, daty i trasy przewozu, a także miejsca, w których towar był odbierany, i sposoby transportu. W rezultacie wykonano całą serię nalotów i aresztowano tyle osób, że sądy miały zajęcie na długie miesiące. Rey brał w tym wszystkim udział jako agent specjalny związany z DEA.

Zrezygnował z pracy w agencji jakiś czas temu, ale teraz wezwano go do współpracy, gdyż doskonale znał bagna i ludzi na nich żyjących. On i Paul współpracowali zarówno jako przyjaciele, jak i członkowie dwóch różnych zespołów zaangażowanych w tę samą operację. To z powodu śmierci Paula Rey przyjął oferowaną mu przez Julie pracę - w tej sprawie Ofelia nie kłamała. Zrobił to, gdyż podejrzewał, że śmierć Paula nie była przypadkowa, że przyjaciel zginął, bo zbyt blisko się zbliżył do czegoś istotnego.

Rey obserwował Ofelię od dnia, kiedy postrzelono Julie. Podczas rozmowy Bulla, Reya i Julie Ofelia była w drugim pomieszczeniu i podsłuchiwała. Siedziała cicho, ale on usłyszał nieznaczny hałas i zauważył, jak

wychodziła. Podsluchana wiadomość o pozbawieniu jej funkcji asystentki wprawiła Ofelię w taką wściekłość, że wkrótce znalazła okazję, by strzelić do Julie. Od tego czasu Rey zdobywał przeciwko Ofelii coraz więcej dowodów, ale ludzie z agencji zwlekali ze zwinięciem jej, spodziewając się nakryć jakąś grubszą rybę.

Julie przypomniała sobie teraz tę noc, podczas której Ofelia usiłowała ją zabić, przypomniała sobie, jak Rey podbiegł do niej w strumieniach światła, rozpryskując wodę. Przypomniała sobie kojące ciepło jego ciała, przypomniała sobie, jak objął ją tam, na deszczu, w jaskrawym świetle. Była taka mokra, słaba i tak zboląła, że rzuciła się ku niemu i przyłgnęła do niego tak, jakby nie miała zamiaru nigdy go puścić. Wspomnienie to było upokarzające.

Rey otulił ją płaszczem nieprzemakalnym i trzymał w ramionach przez całą drogę powrotną, którą odbywali ślizgaczem. W domu ciotki Tine dał jej percodan, który za namową ciotki popiła gorącym grogiem z bourbona osłodzonego miodem. Julie jak przez mgłę pamiętała, że starsza pani pomogła jej zmienić ubranie, a Rey zawiózł ją do szpitala, gdzie zajęto się ranami i zrobiono nowe opatrunki. A powrotu do domu nie pamiętała wcale. Nie pamiętała też, jak położono ją do łóżka.

Ciotka Tine opowiedziała o tym, jak Summer, obudziwszy się po wyjściu Ofelii i nie znalazłszy listu, wpadła w histerię. Dziewczynka uparła się, żeby Donna zadzwoniła do ciotki i powiedziała jej, że Julie wyszła. Miała jej też powiedzieć, dokąd Julie pojechała, oraz poinformować ją, że list zginął. Ciotka Tine, która wiedziała co nieco, a może nawet wszystko o pracy Reya, zadzwoniła do szeryfa, a ten dopadł gdzieś jej bratanka. Rey przyjechał do domu eskortowany przez policję. Kazał Summer opowiedzieć ze szczegółami, co się działo przed wyjazdem Julie. Kazał sobie powtórzyć każde słowo. W chwili gdy usłyszał wyrażenie "polować na węże", wyskoczył natychmiast z domu i ruszył w drogę. Nie znalazłszy nikogo w karawaniu, przepytął wartownika, który skierował ich w stronę rzeki. Klucze do łodzi z kabinami były zamknięte w biurze, ale oba ślizgacze znajdowały się w obozowisku, z którego ludzie z DEA korzystali podczas dochodzenia. Szybko tam dojechali, ale i tak stracili zbyt dużo czasu.

Rey był zajęty, ale Julie uważała, że to nie jest jedyny powód, dla którego tak rzadko go widywała. Od tego popołudnia, kiedy została postrzelona, Rey zachowywał dystans, przebywał w pobliżu niej tylko tak długo, jak to było konieczne. W ciągu ostatnich kilku dni zaczęła powoli się domyślać, jaka jest tego przyczyna. Wszystko wskazywało na to, że nadszedł czas, by to naprawić. Następna okazja mogła się nie nadarzyć.

Julie wstała i przeszła przez salę, kierując się do stolika, przy którym siedział Rey. Posuwała się powoli, gdyż zatrzymywano ją, witano się, gratulowano i okazywano współczucie. Starła się jak mogła skracać te rozmowy.

Czuła, że Rey ją obserwuje, że czeka na nią. Siedział rozparty na krześle, długie nogi wyciągnął przed siebie, a rękę, w której trzymał piwo, położył na stole. I patrzył, jak Julie się zbliża. Miał świeżo obcięte włosy, a niesforny kosmyk ujarzmiony. Od kremowej koszuli padał na jego twarz delikatny odblask. Widać było, że Rey jest wysportowany, opalony i bardziej pociągający niż gwiazdor filmowy. Julie - ze swoją czerwoną blizną biegnącą przez wygolone miejsce na głowie i z ręką na szynie - poczuła się nieswojo.

Kiedy się zbliżyła, Rey wstał. Powitanie było uprzejme, uśmiechali się do siebie, ale nic ponadto. Julie zamieniła kilka słów z Donną, z Annette i dziećmi. A potem, kiedy Rey położył rękę na oparciu krzesła, jak gdyby chciał je dla niej odsunąć, spojrzała na niego ciepło.

- Czy mogłabym przez chwilę z tobą porozmawiać? - zapytała.

- Nie zabiorę ci dużo czasu.

Zgodził się, pilnie jej się przyglądając. Zerknął na Donnę, unosząc jedną brew. Wdowa, przenosząc szybko wzrok z niego na Julie, kiwnęła głową, a na jej usta wypłynął powoli życzliwy uśmiech.

- My sobie damy radę - powiedziała. - Idźcie.

Rey odpowiedział Donnie uśmiechem, mrugnął do Summer i poszedł za Julie. Dogoniwszy ją, wskazał ręką otwarte drzwi.

- Może na zewnątrz?

Julie kiwnęła głową i po chwili oddalali się powoli od gwaru i zapachów potraw, idąc w stronę tonącego w mroku mola i ogromnego, górującego nad nim cyprysa.

- Przykro mi, że ci przeszkodziłam w zabawie - powiedziała, kiedy zatrzymali się nad wodą.

Cieszyła się, że dzieli ich odległość paru stóp. Bała się, że Rey mógłby usłyszeć, jak mocno bije jej serce. To bicie serca utrudniało koncentrację.

Spojrzał na nią, a potem włożył ręce do kieszeni i odwrócił głowę.

- To nie ma znaczenia - rzekł.

- Chciałam tylko... - zaczęła i zaraz musiała przerwać, bo zachrypla. - Chciałam ci powiedzieć przed wyjazdem, że wreszcie przypomniałam sobie, co mówiliśmy tego dnia, kiedy Ofelia do mnie strzelała, albo raczej co ja mówiłam. I chciałam ci powiedzieć, że nie miałam tego na myśli, to znaczy tego, co powiedziałam o twojej pracy, o Donnie, o twoich kobietach. Gotowałam się z wściekłości i tak się zdarzyło, że kiedy wybuchnęłam, ty byłeś akurat pod ręką.

- Nie, nie, miałaś rację, przynajmniej częściowo. Wiem, że umawiałem się z kobietami, które mnie potrzebowały. To się stało moim nawykiem. Te kobiety nie były właściwie kalekami, ale ja w miejsce miłości podstawiałem litość czy może współczucie. W ten sposób czułem się mniej winny. Wydawało mi się, że daję im coś w zamian za ich uczucie.

- Ale ja nie powinnam tego mówić. Bo to nie była moja sprawa.

- Nie sędzę, żeby to miało znaczenie. W każdym razie to nie odnosiło się do ciebie. Nie spotkałem kobiety, która potrzebowałaby mniej litości czy współczucia niż ty.

Julie popatrzyła na niego przez chwilę, nie wiedząc, czy to, co powiedział, ma jakiegokolwiek znaczenie. Nie wiedziała, czy nie są to puste słowa.

- Powiedziałam też - kontynuowała z uporem - czy też sugerowałam, że myślę, że jesteś zamieszany w jakieś nieczyste sprawy z narkotykami.

- Zależało mi na tym, żebyś tak myślała - powiedział, kręcąc głową. - W tym celu zadałem sobie wiele trudu. Chciałem, żebyś ty tak myślała, podobnie jak inni, nie wyłączając Ofelii.

- To ci się nie udało. Wcale w to nie wierzyłam, bo tej pierwszej nocy widziałam, jak obserwujesz hydroplan. Po rozmowie z Donna wiedziałam, że jesteś tajnym agentem, że podejrzewasz mnie i że się do mnie zbliżyłeś, żeby ...

- Rzeczywiście tak było. Wykonywałem zadanie, z tym że nikt nie żądał ode mnie, bym posunął się tak daleko. Ze względu na Paula musiałem mieć pewność, że jesteś czysta. To było przed wyjazdem do Los Angeles i nocą w Bel Air. Tam byłem tylko ze względu na siebie.

- Tylko ze względu na siebie? A nie dlatego, że się o mnie bałeś?

Ja zdecydowanie odniosłam wrażenie, że jestem pilnowana.

- Jeżeli miałem choćby cień słuszności, przypuszczając to, co przypuszczałem, wyglądało na to, że ktoś nie pozwoli ci dożyć chwili, w której będą ci wręczać twoją nagrodę.

- I dlatego wzięłeś sobie swoją nagrodę.

Rey podniósł głowę.

- No ... można by tak powiedzieć.

- No to dobrze, bo nie wzięłeś jej sobie sam.

- Tak?

- Nie będę udawała, że nie chciałam ci dać tego, czego pragnąłeś. - Zanim Rey zdołał coś powiedzieć, Julie pospiesznie kontynuowała: - Powiedz mi, czy pamiętasz tamtą noc, kiedy wzięłeś percodan, a Bull uraczył cię Jackiem Daniel'sem?

Odwrócił lekko głowę, tak jakoś ostrożnie, i spojrzał na Julie.

- Mów dalej.

- Pamiętasz, co robiłeś i co mówiłeś tej nocy?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Pamiętam, że obudziłem się w twoim łóżku. Ale przedtem? - zapytała szybko.

- Chciałem z tobą porozmawiać, ale światło w twoim pokoju było zgaszone i pomyślałem, że śpisz. Siedziałem przez chwilę na barierce na galerii. Wydaje mi się nawet, że po niej chodziłem. - Chodziłeś.

Spojrzał w górę na gałęzie cyprysa nad głową i westchnął.

- Co jeszcze?

- Powiedziałeś, że nie potrafisz pływać na desce surfingowej i nie potrafisz grać tak jak aktorzy. - To prawda, nie potrafie.

- I złożyłeś mi pewną propozycję, niekoniecznie nieprzyzwoitą. Nie zaproponowałeś mi na przykład, żebyśmy się namiętnie kochali pod gołym niebem.

- Widzę - powiedział cicho - że mszczą się na mnie moje własne grzechy.

- Chyba tak - odparła z bladym uśmiechem.

- Nie ma co się ze mną patyczkować, mów dalej.

- Mam taki zamiar - odpowiedziała, ale nie mogła mówić dalej, bo strach ścisnął ją za gardło.

- Julie?

Odwrócił się i zbliżył się do niej o krok, żeby dokładniej widzieć jej twarz.

Chciała się cofnąć, ale nie mogła. Na myśl o ryzyku, jakie podejmuje, poczuła rozpaczliwy strach, bo nie wiedziała, co Rey odpowie. Jednak nie było odwrotu, nie mogła nic zrobić, musiała w to brnąć dalej.

Zwilżyła wargi, przełknęła z wysiłkiem ślinę.

- Powiedziałeś, że chcesz mnie zabrać na bagna jak Jean-Pierre. Ale dodałeś, że nie jesteś jednak nim, że nie krępują cię stare obyczaje, że nie jesteś pyszny jak on. Powiedziałeś, że moglibyśmy się pobrać i mieszkać na przemian w Nowym Orleanie i w Los Angeles, czy też gdzie indziej, gdzie ja kręciłabym filmy, w każdym razie moglibyśmy tak żyć, dopóki nie urodziłyby się dzieci. A potem żylibyśmy jak nowoczesne małżeństwo, bo ty jesteś mężczyzną nowoczesnym, potrafisz w razie potrzeby gotować, opiekować się dziećmi i równocześnie zarządzać firmą.

- Naprawdę powiedziałem to wszystko? - zapytał schrypniętym głosem i położył jej ręce na ramionach.

- Tak - odpowiedziała i mobilizując odwagę, podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

Patrzyła na niego długo, nie odwracając wzroku.

- A co ty na to odpowiedziałaś?

- Odpowiedziałam, że cieszę się, że nie jesteś Jean-Pierre'em.

Pochylił głowę, jego usta były tuż przy twarzy Julie.

- I to wszystko?

- Powiedziałam, że ten plan nawet mi się podoba - odpowiedziała, z trudem łapiąc oddech. - Pod warunkiem że doprowadzisz do tego, że DEA znajdzie sobie innego bagiennego szczura.

- Powiedziałeś coś jeszcze? - zapytał szeptem.

- Powiedziałam, że cię kocham. Że bardzo, bardzo cię kocham, choć usiłowałam to ukryć, choć próbowałam przekonać samą siebie, że mogę bez tego żyć, że mogę żyć bez ciebie. Próbowałam i przekonałam się, że się mylę.

- A czy ja odpowiedziałem, że ty jesteś moim życiem, że jesteś piekielnie niezależną panią mojej duszy, że mam zamiar cię kochać i ogrzewać ci stopy do końca życia... i że ... że pewnego dnia, już niedługo, będę się z tobą kochał pod gołym niebem albo ... albo niech mnie trafi szlag?

- Była o tym mowa - odparła głosem ledwie dosłyszalnym i westchnęła. - Rey? Pamiętasz, jak ci powiedziałam kilka tygodni temu, że nie uprawiam gier?

- Pamiętam.

- Myliłam się. Uwielbiam je uprawiać z tobą.

- Dzięki Bogu - powiedział Rey. - A także Jezusowi, świętemu Michałowi i Matce Boskiej.

- Dziękujesz im wszystkim?

- Tak - odpowiedział tonem zdecydowanym.

Ich wargi spotkały się. W końcu Rey podniósł głowę, nie osłabiając jednak uścisku, trzymał Julie mocno w ramionach, pocierając czołem o jej czoło.

- Myślę - odezwał się - że powinienem ci powiedzieć, że wiem doskonale, co wydarzyło się tamtej nocy, na galerii i później, w twoim łóżku, że pamiętam wszystko, zwłaszcza każde wypowiedziane wtedy słowo.

- Naprawdę? - zamruczała, nie otwierając oczu. - I co, dobrze to wszystko powtórzyłam?

- Tak, dobrze - powiedział i po raz drugi odnalazł jej wargi. - Bardzo dobrze.